

ADELE PARKS

opowieści młodych mężatek

Z języka angielskiego
przełożyła Monika Wiśniewska



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

1

PONIEDZIAŁEK, 4 WRZEŚNIA

ROSE

Trochę za mocno zamykam drzwi — trzaśnięcie słyhać w całym domu. W chwili gdy zapada cisza, dociera do mnie, że wokół jest pustka. Próżnia. Cisza. Przemyka mi przez głowę myśl, żeby zawołać „Cześć!”, ale wiem, że i tak nikt mi nie odpowie. Pustka ta nie powinna być dla mnie zaskoczeniem. To już trzeci z kolei wrzesień, kiedy wracam po długiej letniej przerwie i wita mnie niesamowita cisza. Spokój ten z jednej strony przynosi ulgę, z drugiej jednak rozdziera serce. W tym roku cisza jest szczególnie przygnębiająca, ponieważ przy szkolnej bramie nie musiałam nakłaniać pochlebstwami, przekupywać, błagać ani groźbą zmuszać moich chłopców do tego, żeby się mnie tak kurczowo nie trzymali. W tym roku Sebastian puścił się biegiem w stronę dziedzińca, ani razu się nie oglądając, a o czymś takim, jak pożegnalny całus, mogłam sobie najwyżej pomarzyć, i nawet Henry (ten bliźniak, który zazwyczaj otwarcie okazuje uczucia) jedynie mi pomachał. Z daleka.

Czyż nie spisałam się świetnie? Doskonale. Cudownie. Powinnam przyjmować gratulacje. Wychowałam pewnych siebie i niezależnych chłopców. Odwaliłam kawał dobrej roboty.

Chyba się zaraz rozpłaczę.

Przez chwilę się zastanawiam, czy nie nalać sobie whisky. Odrzucam jednak ten niemądry pomysł, gdyż jedyny wysoko-procentowy alkohol w moim domu to sherry do gotowania.

Mogłabym wypić kieliszek wina. W lodówce jest chyba jeszcze pół butelki chablis, ale zadawałam się włączeniem czajnika. Mocna kawa to znacznie rozsądniejszy wybór, a ja słynę przecież z rozsądku.

Dzwoni telefon. Jego pogodny sygnał jest niczym paczka z Czerwonego Krzyża. Odbieram go pospiesznie i z wdzięcznością.

- To ja.

„Ja” to w tym wypadku Connie, jedna z moich najlepszych i najstarszych przyjaciółek. Ma smętny głos. Przypominam sobie, że to pierwszy dzień szkoły jej starszej córki.

- Jak tam Fran?

- Okej - mruczy w odpowiedzi, lecz w jej głosie nie słychać przekonania. — Wyglądała niesamowicie. Ten mundurek jest taki uroczy. Ale...

-Ale...?

- To normalne, że dzieci kurczowo trzymają się twojej nogi i płaczą? Nie mogłam jej od siebie oderwać, była niczym mała małpka. Wciąż błagała, żeby móc wrócić do domu z Florą i ze mną. Powiedziała nawet, że posprząta swoje Barbie, a to akurat jest naprawdę bezprecedensowe. - Connie próbuje się roześmiać, ale mnie nie zwidzie.

- Jak najbardziej normalne - zapewniam ją. - Masz ochotę na kawę?

- Chce mi się wódki, ale niech będzie kawa. Zaraz u ciebie będę. Jestem dosłownie za rogiem.

Jeśliby dobrze policzyć, to Connie i ja znamy się prawie dwadzieścia lat, co jest wyjątkowe i niewiarygodne. To, że znam kogoś tak długo, musi oznaczać, że jestem pełnoprawnym dorosłym, do przetrwania tego faktu potrzeba zaś całej góry cukru, a nie tylko łyżeczki. Poznałyśmy się przez moją siostrę Daisy. Razem studiowały i trzymały się naprawdę blisko. Connie i ja przyjaźnimy się tak na poważnie dopiero od pięciu czy sześciu lat. Obie mamy dzieci, w przeciwieństwie do biednej

Daisy. Przekonałam się, że dzieci ciągną cię w stronę kobiet, o których nigdy byś nie powiedziała, że to twoje przyjaciółki, gdyby nie wasze potomstwo - to jedna z dodatkowych korzyści płynących z bycia mamą. Poza tym Connie okazała mi bardzo dużo serca, kiedy mój mąż zostawił mnie dla jednej z naszych wspólnych znajomych.

Sytuacja ta była oficjalnie niewesoła.

Connie była mocno zaprzyjaźniona z Lucy, kochanką, mimo to jednak udało się jej wspiąć na szczyty dyplomacji i pozostać przyjaciółką nas obu. Czasami uważam, że powinnam była zażądać od Connie bardziej moralistycznego stanowiska. Powinnam ją była poprosić o to, żeby wzgardziła swoją dawną koleżanką i moim zdradliwym byłym mężem, ale nie mogłam ryzykować. Wtedy nie kręciło się w pobliżu zbyt dużo przyjaciół, a naprawdę niewielu ludzi jest skłonnych do tego, żeby postrzegać świat w czarno-białych barwach. Ekstremizm nie jest modny. Ani nawet szczególnie miły. Ludziom, którzy są za bardzo mili, nie ufa się albo się ich wykorzystuje. Uwierzyć mi, przekonałam się o tym na własnej skórze. Tak więc musi mi wystarczyć świadomość, że Connie jest dla mnie wspaniałą przyjaciółką, ignoruję zaś to, że jest wspaniałą przyjaciółką także dla Lucy.

Odkąd Peter odszedł, podczas rozmów z Connie walczę z własnymi odruchami i wytrenowałam się tak, że o Petera i Lucy pytam jedynie grzecznie i mimochodem. Nie pozwalam sobie na przyjemność wyśmiewania ich czy szkalowania, czym bym ją krępowała i stawiała w trudnym położeniu. Ograniczam się do tego typu pytań, jakie zadaje się w wypadku dawnego, wspólnego znajomego z pracy - uprzejmych, chłodnych, nawet nieco nieobecnych - i tą pokrętną metodą gromadzę każdą najdrobniejszą informację.

Czasami, na początku, nie mogłam się powstrzymać — okrucy bólu czy żalu wydostawały się na zewnątrz bez względu na to, jak mocno starałam się strzec swoich uczuć - i wymie-

niałam imię Petera. Psioczyłam na niego albo przyznawałam, że mi go brakuje. A jednak czyniłam to z absolutną pewnością, że mogę ufać Connie. Że nigdy, przenigdy nie powtórzy Lucy tego, co mówię na jego temat. To nie lada wyczyn i próba samokontroli dla każdego, ale w wypadku Connie to zapierający dech w piersiach hołd oddawany naszej przyjaźni. Nie należy ona do osób dyskretnych i z całą pewnością niezwykle trudno jest jej nie puścić pary z ust. Nigdy nie pozwoliłam sobie na ujawnienie moich prawdziwych uczuć, jakie żywię wobec Lucy. Chodzi o to, że nie znam odpowiednich słów, żeby je wyrazić - a nie lubię używać wyrazów niecenzuralnych.

Nie przejmuję się tym, że Lucy mogłaby rozmawiać o mnie z Connie. Wiem, że jeśli to zrobi, Connie będzie wobec mnie lojalna i oddana, ale nie przypuszczam, żeby do czegoś takiego w ogóle miało dojść. Nie sądzę, bym kiedykolwiek zakradła się do myśli Lucy, nawet wtedy, gdy jadała w moim domu niedzielny obiad, a zanim zdążyłam podać deser i kawę, w garderobie pospiesznie robiła mojemu mężowi loda. Zbyt mocno zajmowało ją zawsze nadawanie dosłownego znaczenia słowom („Mam stosunkowo udany dzień”), żeby choć przez chwilę myśleć o mnie. Nie jestem wystarczająco olśniewająca, aby zaliczać się do grona jej znajomych, i nie jestem wystarczająco bogata, aby być jej klientką. Dlatego też nie jestem godna jej uwagi.

Connie rzeczywiście po chwili zjawia się pod moim domem. Otwieram drzwi i widzę, że walczy ze łzami.

— Uwierz mi, że istnieje coś gorszego niż dzieci trzymające się kurczowo twojej nogi i błagające, żebyś nie odchodziła - oświadczam.

Connie stawia Florę, swoją młodszą latorośl, na podłodze w kuchni, a sama siada na stołku barowym i sięga po puszkę z herbatnikami.

— Co może być gorszego?

— Sebastian i Henry dosłownie odskoczyli dzisiaj ode mnie. Mogłam zapomnieć o jakichkolwiek czułych gestach.

Tak, jak miałam nadzieję, że się stanie, Connie odsuwa na bok własny smutek i uśmiecha się ze współczuciem.

- Widziałam ich na dziedzińcu, rzeczywiście, wyglądali na totalnie rozluźnionych. Biegali jak szaleni. Chyba dobrym pomysłem było oddalenie się chwiejnym krokiem od szkolnej bramy tego pierwszego dnia, żeby za bardzo nie przytłaczać nowicjuszy.

- Masz na myśli nowych rodziców?

- Tak. - Uśmiecha się, trochę już rozluźniona.

Odwracam się od Connie i zabieram się za parzenie kawy, tak więc następne pytanie mogę zadać z odrobiną godności:

- Widziałas Petera i Lucy jak odprowadzali dziś Auriol?

Bo w tym właśnie tkwi sedno. Spośród kilku milionów przestępstw, których mój - piii! - były mąż dopuścił się względem mnie, to prawdopodobnie zasługuje na pierwsze miejsce. On i ta jego kochanka-latawica - och, dobrze, jego żona - postanowili posłać swoje dziecko do m o j e j szkoły. Mojej szkoły! Cóż, oczywiście, że kiedy mówię „moja szkoła”, mam na myśli szkołę chłopców. Ale, ale! Czy istnieje coś świętego i nienaruszalnego? Nie, oczywiście, że nie. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co skłoniło wybredną Lucy do postawienia stopy na moim szkolnym terenie.

Sądziłam, że tam będę bezpieczna. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Lucy wybierze dla swojej córki szkołę publiczną. Oboje z Peterem pracują w *city* i zarabiają krocie. Spokojnie byłoby ich stać na wytworną, niewielką szkołę z niezwykleymi wychowankami.

Szkoła Sebastiana i Henry'ego jest cudowna. Świetnie sobie radzi w rankingach i ma fantastyczny dziedziniec - znalezienie szkoły z trawą jest w Londynie niemal niemożliwe, a jednak wokół tej rosną wielkie drzewa, objęte w dodatku ochroną. Jeszcze przed zajściem w ciążę przeprowadziłam staranny wywiad na temat szkół. Nalegałam na kupno domu na tej akurat ulicy, żeby mieć gwarancję, że nasze dzieci zostaną przyjęte do

szoły Holland House. A kilka lat później, po tym jak ukradła mi męża i zniszczyła rodzinę, ta kobieta miała czelność ogłosić wszem i wobec, że uznawała, że byłoby miło, gdyby Auriol chodziła do tej samej szkoły co jej starsi bracia.

Przeklęta krowa.

To z całą pewnością było działanie z premedytacją, po to, żeby mnie zranić. I tak się rzeczywiście stało, co samo w sobie jest zdumiewające, ponieważ sądziłam, że jestem już odporna na ciosy z jej strony, uśmiercona tysiącami ran. Ich dom w Holland Park nie należy nawet do rejonu, który obejmuje szkoła, ale Lucy zjawiła się tu osobiście i omamiła pana Walkera, dyrektora (i możliwe, że dosłownie, bo z taką przebiegłą diabolicą to nic nie wiadomo). Wyjechała z historyjką, jak to by było dobrze dla Sebastiana i Henry'ego, gdyby mogli być blisko swojej siostry. Krowa, zdzira, jędza. Jak ona śmie? Tak, jakby ją obchodziło dobro chłopców. Gdyby rzeczywiście tak było, nie sypiałaby z moim mężem, udając jednocześnie moją przyjaciółkę, czyż nie? Poza tym Auriol nie jest ich siostrą. Jest przyrodnią siostrą, a to wielka różnica. Mają wspólnego ojca i nic ponad to, zresztą - co to tak naprawdę znaczy? Aby zasłużyć na miano ojca, Peter musiał mnie jedynie zapłodnić, to zaś nie wymagało jakiegoś szczególnego wysiłku, bez względu na to, co może twierdzić obecnie.

Nie musiał przecież wycierać ich małych ciałek chłodną flanelową szmatką, żeby zbić temperaturę, gdy byli malutcy, ani razu nie nałożył maści cynkowej na ani jedną krostę w czasie ospy. Nie zabierał ich nawet do dentysty, lekarza ani okulisty. Nie obcinał im paznokci ani włosów. Nie robił kanapek do szkoły. Nie odrabia z nimi pracy domowej. Nie zaprasza ich kolegów na podwieczorek do swojego domu. Nie przyszywa tarcz do ich mundurków. Nie odpowiada na ich pytania dotyczące śmierci czy znęcania się nad słabszymi.

Rzeczywiście, gra z nimi w piłkę w niedzielne przedpołudnia, kupił im game boya Advance i dzięki niemu poznali swo-

ją pierwszą miłość - Sonic. I raz w roku zabiera ich na wakacje do Kornwalii. Nie chodzi o to, że jest koszmarnym ojcem, w gruncie rzeczy jest całkiem dobry. Twierdzą jedynie, że bycie ojcem nie jest wcale takie trudne, czyż nie? A już na pewno nie z mojego punktu widzenia.

Nie chodzi także o to, że bym miała coś przeciwko małej Auriol. W gruncie rzeczy to całkiem słodkie dziecko, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że ma to nieszczęście, że jej matka to najpodlejsza kobieta znana zachodniemu światu od czasów machochy Królowy Śnieżki. Ale naprawdę... szkoła!? Czy tej kobiecie nie wystarczy, że ma mojego męża, a ja nie mam w ogóle męża, własnego czy należącego do jakiegokolwiek innej kobiety? Ma jedwabiste jasne włosy, jędrne piersi, długie nogi, mnóstwo kasy, a w szafie więcej butów niż w sklepie Russell & Bromley zamawiają na cały sezon. Tymczasem ja mam rude, kędzierzawe włosy, piersi, które chłopcy ze szkoły podstawowej określiliby mianem bazook, i grube, puchnące nogi z taką ilością żyłaków, że wyglądają jak mapa linii metra. Lucy to kobieta dobrze czująca się we własnej skórze (choć moje zdanie jest takie, że każdego dnia powinna posypywać sobie głowę popiołem i publicznie się biczować). Ja jestem z gruntu dość miłą osobą, której brakuje pewności siebie, wyraźnych talentów i czasami nawet poczucia humoru. Pewnie dlatego, że potrafię przedstawić tak realistyczną charakterystykę nas obu, rozumiem, dlaczego mój mąż zostawił mnie dla niej.

Ale miałam przynajmniej tę szkołę. To było moje terytorium. W tym roku jestem klasową przedstawicielką rodziców. Na co szczerze sobie zasłużyłam. Zawsze zgłaszam się na ochotnika podczas wycieczek, kiedy nauczycielom przydałaby się dodatkowa osoba do pomocy. Byłam odpowiedzialna za stragan z ciastem podczas letniego kiermaszu i przez dwa lata z rzędu podczas bożonarodzeniowej loterii fantowej sprzedawałam więcej losów niż inne matki. W Holland House jestem znana i lubiana. Szkolna brama to moje życie towarzyskie, moje schronienie

w chwilach słabości i miejsce, gdzie przeżywam dreszczyk emocji. To ważne. Święte. I powinno być nietykalne.

Nie wypowiadam na głos żadnej z tych myśli. Biorę głęboki oddech, odwracam się do Connie z dwiema filiżankami kawy i z szerokim uśmiechem i powtarzam pytanie:

- A więc widziałeś dziś rano przy bramie Petera i Lucy?

- Nie. Auriol przyprowadziła Eva, ich obecna niania.

- Mam nadzieję, że się tam zdomowi - mówię z uśmiechem.

Nie bardzo jestem w stanie spojrzeć Connie prosto w oczy, skupiam się więc na dmuchaniu na kawę, żeby ją nieco przestudzić. Naprawdę mam nadzieję, że ta mała dziewczynka zdomowi się w szkole. Życzyłabym tego każdemu dziecku. Z drugiej jednak strony, gdyby to się nie udało, to mogliby ją przenieść do innej szkoły. Dobrze jej życzę, ale najbardziej życzę sobie tego, żeby znalazła się jak najdalej stąd.

Connie wyciąga rękę, żeby ucisnąć moje ramię.

- Nie przeszkadza ci to, że Auriol chodzi do Holland House, Rose? To niełatwa sytuacja.

- Och, jest okej - kłamię.

- Tak sobie myślę, że nieco w tym mojej winy. Uważam, że na przeprowadzkę Lucy do Holland Park miało wpływ to, że Luke i ja przenieśliśmy się do Notting Hill. - Connie to urocza dziewczyna, ale odrobinę egocentryczna, i jest przekonana, że cały świat obraca się wokół niej, a działania wszystkich ludzi są skutkiem jej postępowania albo reakcją na nie. Trzeba jej przyznać, że ma świadomość tej cechy w sobie i bardzo często z nią walczy. - A może przeniosła się tutaj po to, żeby cię po prostu wkurzyć - dodaje z szerokim uśmiechem.

- Może, ale nie sądzę. To świetnie, że chłopcy mają teraz tatę tuż za rogiem, gdyby go potrzebowali.

Kłamię teraz przekonująco. Kiedyś byłam beznadziejna, jeśli chodzi o najmniejsze nawet kłamstwa, ale każdą umiejętność można rozwinąć dzięki odpowiedniej liczbie ćwiczeń.

- Tak. Teraz może w każdej chwili tutaj wpadać - dodaje Connie.

Kiwam głową i powstrzymuję się od stwierdzenia, że nigdy tego nie robi. Zamiast tego częstuję ją kolejnym herbatnikiem i pytam, czy udało jej się kupić Fran torbę na książki. Niełatwo je dostać - sprzedawcy błędnie obliczyli popyt.

- Tak, udało mi się. Mam zrobić na niej naszywkę czy mogę po prostu napisać jej imię na tej klapce?

- Musisz umieścić na rączce naszywkę. Pierwsza litera imienia i nazwisko, w kolorze niebieskim. Czcionka Times New Roman - odpowiadam pewnie. Stoję teraz obiema stopami na stałym lądzie.

Connie spędza u mnie godzinę, ale nie udaje mi się jej namówić na wspólny lunch. Opiera się nawet propozycji skosztowania domowego chleba i zupy.

- Jesteś pewna? To organiczna zupa. Sześć różnych warzyw. Ugotowałam dla chłopców wielką porcję. Za wielką, jak się okazało. Nie byliśmy w stanie zjeść wszystkiego.

- Rose, zawstydzasz mnie. Fran i Flora nigdy czegoś takiego nie jedzą. Dla mnie zdrowy posiłek to miska makaronu i trochę mrożonej fasolki - wyznaje Connie. - Możemy w tym tygodniu wpaść do ciebie, żeby posmakowały warzyw i czegoś organicznego?

Śmieję się i umawiamy się na czwartek. Podejrzewam - i mam nadzieję - że Connie przesadza, jeśli chodzi o brak zdolności w kuchni. To prawda, że gotowanie nigdy nie należało do jej mocnych stron, ale na pewno wie, że teraz jest odpowiedzialna za dzieci. Przecież chyba każda mama przerzuciła się na produkty organiczne? Zaczynam jej wyjaśniać, jak łatwo jest ugotować taką zupę, ale zanim dochodzę do konkretnych instrukcji dotyczących ugotowania i zamrożenia, widzę, że oczy Connie są zaszkłone.

- Wiesz co, ja zawsze kupuję po prostu kostki bulionowe - stwierdza, po czym ściska mnie na pożegnanie i wychodzi.

Pamiętam czasy, kiedy nie istniało na świecie nic prostszego niż namówienie Connie do marnowania czasu. Była niekwestionowaną królową lenistwa. Oczywiście działa się to wtedy, kiedy udawała, że jest konsultantką do spraw zarządzania. Teraz pracuje jako fotograf i prowadzi własną działalność. Jak na razie nie zbija na tym kokosów, ale widać, że satysfakcja, jaką czerpie z tej pracy, jest bezcenna. Przynajmniej nie ma już za złe mężowi, że lubi swoją pracę architekta.

Po wyjściu Connie zmywam po śniadaniu, a następnie pucuję cały dom. Gratuluję sobie, gdy udaje mi się wytrzeć kurz z szafki odkurzyć pod łózkami. Dwie godziny zabiera mi sprzątnięcie pokoju chłopców. To niesamowite, jak szybko mija czas, kiedy się sortuje klocki lego według kolorów i kształtów. Prasuję ubrania z kosza i nastawiam programy w dwóch pralkach. Jedno pranie właśnie schnie. Poprasuję wieczorem, kiedy będę oglądać telewizję. Robię *quiche* z szynką i obieram warzywa na podwieczorek.

O 15.15 nakładam na usta błyszczki i wychodzę do szkoły. Mam wyrzuty sumienia. Powinnam się była nieco bardziej postarać, jeśli chodzi o wygląd. Niektóre mamy zawsze pojawiają się pod szkołą w pełnym makijażu i najnowszych hitach z galerii handlowych. Ale mają przecież mężczyzn o wzroście powyżej metra dwudziestu centymetrów, dla których się starają. Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, żeby Sebastian i Henry zwrócili uwagę na to, czy mam na sobie ostatni krzyk mody czy też ulubiony stary T-shirt z M & S w kolorze brzoskwińowym, ten, któremu w mojej szafie jest dobrze już od całej dekady. Trudno mnie zaliczyć do niezłych mamusiek.

Dlatego też, choć droga do szkoły trwa krótko (dosłownie dwie minuty), a popołudnie jest słoneczne, nie wychodzę z domu, nie zabrawszy ze sobą rozpinanego swetra. Nie mam ochoty wystawiać na światło dzienne trzęsących się, zwiotczających ramion. Noszę ubrania w rozmiarze czterdzieści sześć, a w wypadku mniej litościwych producentów - nawet czter-

dzieści osiem. Jest tak od czasu, gdy zaszłam w ciążę, i w ogóle się tym nie przejmuję. Czy raczej: nie przejmuję się aż tak, żeby chcieć coś z tym zrobić. Nie znoszę diet, a jedyną lubianą przeze mnie formą ruchu jest wyprowadzanie psa, co czynię regularnie. Robię to jednak bardziej z myślą o sercu niż figurze. Nigdy nie byłam chuda. Moja suknia ślubna miała rozmiar czterdzieści cztery i trzeba było nieco popuścić szwy w biuście. Różnica jest taka, że wtedy mój biust sprawiał, że faceci potykali się o własne nogi na jego widok, teraz natomiast zwisa tak nisko, że jedyną osobą, która mogłaby się o niego potknąć, jestem ja sama.

Jest niezwykle przyjemne popołudnie - bardziej lato niż jesień, ponieważ pory roku nie wiedzą już, kiedy powinny się zmieniać. Gdy byłam mała, miało się zagwarantowane złote liście pod nogami właściwie od momentu, kiedy wyciągało się z szafy szkolny krawat, teraz jednak już tak nie jest. Wszystko stanęło na głowie. W sierpniu widziałam w Hyde Parku kruski wypuszczające pąki kwiatowe. Czasami myślę, że cały świat oszalał. Idę pospiesznie w stronę szkoły, zastanawiając się, jakie jest prawdopodobieństwo tego, że chłopcy zgubili swetry, jeśli je zdjęli.

Gdy zbliżam się do szkolnej bramy, dostrzegam tam już dwie albo trzy inne mamy, i tętno mi przyspiesza. Lubię tę porę dnia. Podczas porannego odprowadzania żadna z nas nie ma czasu na pogaduszki. Popołudniami otrzymuję swoją porcję towarzystwa osób dorosłych. Zauważam, że pozostałe mamy mają ze sobą młodsze dzieci. Niektóre na rękach i w wózkach, inne uczeplone matczynej spódnicy. Czuję pustkę i przez chwilę nie wiem, co zrobić z rękami.

Wymieniamy się uprzejmościami i informacjami na temat tego, gdzie spędziłyśmy tegoroczne wakacje, porównujemy zajęcia pozaszkolne, na które pozapisywałyśmy w tym semestrze nasze dzieci, proponujemy terminy wspólnych podwieczorków.

- Wyjechałaś gdzieś latem, Rose? - pyta Lauren Taylor, mama trójki dzieci. Jej najstarsza córka jest w wieku bliźniaków. Średnia pociecha chodzi do zerówki, a najmłodsza jeździ w wózku.

- Tak. Razem z siostrą i jej mężem wynajęliśmy *gite* na południu Francji.

- Och, to świetnie. Myślałam o tobie i zastanawiałam się, jak sobie radzisz w czasie wakacji. Sześć tygodni potrafi się dłużyć, kiedy jest się samotną matką.

Ludzie często zakładają, że jestem samotna. Nawet względnie obce osoby czują się w obowiązku powiedzieć: „Musi być pani bardzo trudno samej” i poprzeć swoje słowa spojrzeniem pełnym współczucia. Współczucie to coś, do czego zdążyłam się przyzwyczaić. Przyzwyczaić, ale nie uodpornić na to. Według moich rozmówców, mam się dzięki temu poczuć lepiej. Nie czuję. Pojedyncze słowa mogą się nieznacznie różnić, zależnie od pór roku („Ciężko musi być ci samej w czasie wakacji/Bożego Narodzenia/w twoje urodziny”), ale odczucie, że mi współczują, pozostaje niezmiennie. Zawsze zaskakują mnie tego typu opinie. Jak można uważać, że jestem sama, skoro mam dwóch siedmioletnich synów, psa, królika, dwie złote rybki, oboje rodziców i oboje byłych teściów, przyjaciół, młodszą siostrę, szwagra, duży, pełen zakamarków ogród i mały niszczący dom? Z których wszyscy (wszystko) polegają na mnie w kwestii zapewniania wikt i opierunku, rad, gotowych opinii (nawet jeśli po to tylko, żeby je odrzucić), wyprowadzania na spacer, pielienia, malowania, sprzątania i tak dalej.

Choć warto zwrócić uwagę na to, że nie uprawiałam seksu od ponad pięciu lat. To akurat rzeczywiście czasami mnie dreczy. Pocięszam się tym, że nie ma sensu lamentować z powodu braku seksu. Nawet gdyby zaistniała ku temu okazja, nie mam pewności, czy kiedykolwiek byłam w tym dobra, i jestem przekonana, że teraz bym nie była. Zapomniałam, co się robi z czym.

- Pod koniec lata rwałam sobie włosy z głowy - kontynuuje Lauren - i liczyłam minuty do powrotu Marka z pracy.

Kiedy tylko zjawiał się w drzwiach, wołałam: „Twoja kolej, ja ich miałam na głowie cały dzień”. — Lauren nie mówi tego złośliwie. Wypowiada po prostu na głos to, co myśli każda szczęśliwa żona i matka. - Nie mogę się doczekać przyszłego roku, kiedy Chrissie pójdzie do przedszkola. Ostatnie z głowy. Pusty dom to nowa nirwana.

- Nie powinnaś marzyć o czymś takim - mówię kwaśno.

Wygląda na speszoną, a ja w swojej beznadziejności cieszę się z tego - jest remis po jej uwadze o mojej samotności. Wiem, że macierzyństwo nie powinno stanowić współzawodnictwa, ale często odnoszę wrażenie, że tak właśnie jest. Bardzo jednak lubię Lauren, zwalczam więc w sobie pokusę dodania, że dla mnie najlepszymi dniami są te, w których mam przy sobie chłopców, dni pełne hałasu i bałaganu, ponieważ wiem, że przytłoczyłyby ją wyrzuty sumienia.

Ogarnia mnie przygnębienie, gdy nagle dociera do mnie, że dzisiaj był dzień pełen stresu, a nie wakacje.

- Może wpadłabyś do nas w któryś weekend na niedzielny obiad? Samotna niedziela to nic fajnego - proponuje Lauren. I może przyjąłabym jej zaproszenie, gdyby nie to, że zaraz dodaje: - Ale nie w tę niedzielę, przychodzą do nas Phil i Gail Carpenterowie z dziećmi. Mają dziewczynkę w pierwszej klasie i chłopca w czwartej. Znasz ich? Tak czy inaczej, byłoby chyba lepiej, gdybyś przyszła w taki weekend, kiedy nie będą u nas same pary. Myślę, że swobodniej byś się wtedy czuła. Może kiedy mój Mark wyjedzie służbowo? Co myślisz?

Myślę, że mam ochotę ją walnąć, ale uśmiecham się i kłamię.

- Przykro mi, Lauren. Mam już zajęty każdy weekend aż do Bożego Narodzenia.

Na szczęście w tej akurat chwili dostrzegam kątem oka, jak chłopcy wychodzą na dziedziniec, przepraszam więc i ruszam w ich stronę.

Są zawstyżeni tym, że po nich przyszłam, i oświadczają, że sami mogą wracać do domu ten kawałek i że gdybym

stanęła w oknie w mojej sypialni, to właściwie mogłabym ich widzieć. Rozdrażniam ich jeszcze bardziej, ponieważ marnuję (ich słowa) cenne minuty, które można wykorzystać na oglądanie telewizji (nie, jeśli udaje mi się przeforsować swoje zdanie), rozmawiając z panem Walkerem, dyrektorem. Zawsze się kręci w widoku w porze odprowadzania i odbierania ze szkoły, tak żeby rodzice mogli się mu wyżalić albo przymilać. On także pyta mnie o wakacje, ale bez współczucia, jakie słychać było w głosie Lauren. Podczas tej krótkiej wymiany zdań chłopcy kopią w chodnik i szeptem im grożą, że jeśli nie zaczną się grzecznie zachowywać, to skonfiskują ich ulubione zabawki. Kiedy w końcu ruszamy w stronę domu, upierają się, żebym szła za nimi, zachowując odległość co najmniej dziesięciu kroków, aby koledzy nie uznali ich za małe dzieci. Ale oni przecież są moimi małymi dziećmi.

Gdy idę za nimi wolnym krokiem, myślę o kłamstwie, którym uraczyłam Lauren. Wiem, że kierowała mną złość. Dla mnie jedynym problemem wynikającym z bycia singlem jest to, że małżeństwa nigdy cię nigdzie nie zapraszają. Nie robią tego nie dlatego, że coś takiego krępuje osobę samotną, ale dlatego, że to krępuje pary, które ogólnie nie wiedzą, co zrobić z niechcianymi żonami. Gdzie, och!, gdzie je umieścić?

Niemniej jednak znam Lauren dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, że nie próbowała mnie w żaden sposób urazić, ale że jest po prostu pozbawiona taktu. Czasami myślę, że żyję w kajdanach braku taktu. Wielkie żelazne łańcuchy, które ciągnę za sobą. Kajdany te stają się cięższe, bardziej niewygodne i uciążliwe, gdy przyjaciele, krewni i obcy ludzie wygłaszają nieumyślnie obraźliwe uwagi, ja zaś muszę później żyć z emocjonalnym ciężarem ich słów.

Ale może jestem po prostu drażliwa. Może powinnam zadzwonić do Lauren i powiedzieć jej, że w listopadzie zwolnił mi się jeden weekend. Miło by było iść na niedzielny obiad w jakieś inne miejsce. Daisy i Simon zjawiają się u mnie mniej więcej

raz na dwa tygodnie, a Connie i Luke dość często zapraszają mnie do siebie. Na szczęście Luke znacznie lepiej radzi sobie w kuchni niż jego żona. Ogólnie jednak są przecież zajętymi ludźmi i nie mogę się im ciągle narzucać. Chłopcy często spędzają niedziele z Peterem - i właśnie te dni są najgorsze. Nieprzejednane. Paskudne.

Tak, zadzwonię do Lauren.

LUCY

O 7.45 siedzę już przy biurku. Sprawdzam Dow, FTSE i Nikkei. Niespiesznie przeglądam serwis agencji prasowej Bloomberg, żeby się przekonać, jak rynki radziły sobie przez noc. Nastąpiła niewielka zmiana amerykańskich indeksów giełdowych kontraktów typu *futures* w odpowiedzi na pogłoski, że zaufanie klientów się obniżyło i że nastąpi zmniejszenie wydatków osobistych. Zawsze krążą jakieś pogłoski, a większość jest rozpuszczana przez traderów. Ważna jest umiejętność skutecznego, sprawnego i bezbłędnego oddzielania faktów od fikcji. Czytam dalej i chwilę później znajduję to, co mam nadzieję zobaczyć.

Giełdy europejskie zanotowały wzrost, na czele z producentami półprzewodników, włączając w to Infineon Technologies AG, a Micron Technology Inc. - w Stanach Zjednoczonych - po zamknięciu rynków nieoczekiwanie zaksiegował fiskalny zysk w czwartym kwartale.

Nieoczekiwanie może dla niektórych, ale ja to przewidziałam i odpowiednio się do tego przygotowałam. Prawie już czuję premię. Przewiduję, że przyjemnie zaskakujące zyski Micronu to dobre wieści dla akcji z sektora technologicznego, że istnieje na nie zapotrzebowanie i że spółki mogą sobie radzić lepiej, niż to kalkulował wcześniej rynek. Natychmiast sprawdzam portfele moich klientów i podejmuję decyzje o tym, co sprzedać, a co zostawić.

W pracy czuję, że stoję na pewnym gruncie. Uwielbiam swoją pracę i wszystko, co się z nią wiąże. Lubię liczby i lubię pieniądze, co samo w sobie stanowi dobry początek. Ale podoba mi się też to, że jestem cholernie dobrym traderem, a moi współpracownicy darzą mnie ogromnym szacunkiem - tym cenniejszym, że czynią to z niechęcią.

Zaczynałam jako stażystka w Gordon Webster Handle, jednej z najbardziej szanowanych i uznanych instytucji w *city*. Szybko się przekonałam, że szacunek i uznanie to eufemizmy wyzysku i seksizmu. Dziwna rzecz, ale to środowisko mnie nie onieśmiało, stało się za to wyzwaniem. Zaczynało razem ośmioro stażystów. Wszyscy z wyjątkiem mnie to absolwenci Oxfordu i Cambridge. Wszyscy z wyjątkiem mnie i jeszcze jednej dziewczyny to mężczyźni. Ta druga kobieta już nie pracuje. Wyszła za jednego z niewielu multimilionerów z branży internetowej, którym udało się przekształcić pomysł w ciężkie pieniądze tuż przed tym, jak internetowy sen zmienił się w koszmar. Jeden z pozostałych facetów przeszedł załamanie i z tego, co mi wiadomo, przebywa teraz na buddyjskich rekolekcjach w Indiach. Pozostała piątka dalej zajmuje się tradingiem, choć tylko ja nadal pracuję w Gordon Webster Handle. Dwóch mieszka obecnie w Nowym Jorku, co jest pod każdym względem niesamowite - czysta adrenalina przez cały czas. Niestety, nie zanoszą się na to, żebym czegoś takiego doświadczyła. Przeprowadzka do innego kraju nie wchodzi teraz w grę, gdyż Peter musi mieszkać niedaleko swoich synów. Tak czy inaczej, podoba mi się tutaj. Jestem doceniana.

Kiedyś, gdy jeszcze śledziliśmy tego typu rzeczy, regularnie otrzymywałam najwyższą premię spośród naszej początkowej ósemki stażystów. Był to fakt, którego nikt z nas nie był w stanie pojąć.

Jak stwierdził Jeremy - samozwańczy, pewny siebie sukinyś w naszej grupie - kiedy stało się to po raz pierwszy:

- Prawda jest taka, Lucy, że coś takiego jest nieoczekiwane. Możesz być najlepszym traderem z nas wszystkich, ale i tak

masz waginę. Sądziłem, że już samo to będzie cię kosztować dwadzieścia albo trzydzieści patyków.

- Rzadko się widzi, żeby wygrywał rzeczywiście najlepszy - roześmiałam się. - Zwłaszcza gdy tym najlepszym jest kobieta.

Choć trzeba przyznać, że nastąpiła zmiana. Odkąd przyszła na świat moja córka, Auriol, premie mam od dziesięciu do piętnastu procent niższe od najniższej premii z czasów sprzed Auriol. Wygląda na to, że udawało mi się ukrywać swoją płęć, dopóki nie urodziłam dziecka, później zaś stało się to niemożliwe, co nie stanowi zaskoczenia. Doskonale jednak pamiętam te dni, kiedy ogłaszano wysokość naszych premii i to mnie uznawano za wybrańca losu. Najlepsze dni w moim życiu. Porównywalne z poznaniem Petera, ukończeniem studiów z pierwszą lokatą, wyjściem za mąż i raczej lepsze od dnia, w którym urodziłam dziecko.

Wybaczcie, ale po prostu nie przyjmuję do wiadomości tych bzdur, że dzień, w którym wyskakuje z ciebie bachor, jest najpiękniejszym w całym twoim życiu. To nieprzyjemny, zakrwawiony, przerażający i pełen bólu dzień. Choć miałam cesarkę na życzenie i znieczulenie zewnątrzoponowe, i tak było to przeżycie krępujące i nieprzyjemne. Ludzie karmią się takimi bredniami. Zgadzam się, że dzień, kiedy twoje dziecko robi pierwszy krok albo po raz pierwszy się uśmiecha, jest dość wyjątkowy, ale dzień, w którym przychodzi ono na świat? Litości!

Nie jestem typem mamuśki. Nie byłam zachwycona olbrzymim brzuchem, tym, że musiałam wyrzec się alkoholu czy ograniczeniami ubraniowymi z czasu ciąży. Oczywiście, świetnie sobie poradziłam z tą całą ciążą. Bardzo mało jadłam, żeby jak najmniej przytyć, co doprowadzało do szału mojego lekarza, ale płaciłam mu takie ciężkie pieniądze, że kupiłam sobie możliwość ignorowania jego rad. Poza tym Auriol urodziła się, ważąc trzy dwieście, o co więc był ten cały raban? Powrót do figury sprzed ciąży okazał się bardzo prosty. Nie mam cierpli-

wości do tych kobiet, które narzekają, że nie mają czasu, żeby zawlec swoje tłuste dupska na siłownię — mam im do powiedzenia tylko trzy słowa: „opiekunka do dziecka”. Okej, opiekunki kosztują, ale jaki jest lepszy pretekst, żeby wrócić do pracy, od twierdzenia, że wszystkie pieniądze wydaje się na dziecko? Wygłaszam tyradę? Jakież to niestosowne. Z zakłopotaniem rozglądam się po biurze i z ulgą się przekonuję, że czyniłam to tylko w myślach.

Odbieram kilka telefonów, odpisuję na najpilniejsze e-maile - od ludzi na wyższych stanowiskach i tych, którzy przebywają w innych strefach czasowych - po czym wracam do rynków. Akcje producentów substancji chemicznych, BASF AG i Bayer AG, wczoraj podskoczyły, gdy tymczasem ropa staniała po raz pierwszy od trzech dni. To dobrze, taką właśnie miałam nadzieję. Indeks Dow Jones Stoxx 600 wzrósł o 0,4 procent do 297,44, a razem z nim zyskała cała osiemnastka podstawowych grup przemysłowych, z wyjątkiem indeksu ropy i gazu. Zgodnie z moimi przewidywaniami. Udzielałam sobie w duchu pochwały. Jestem taka dobra w tym, co robię, że niemal zapominam o tym, jak wyjątkowo ryzykowna jest moja praca. W każdym razie, jeśli w *city* jest pełno hazardzistów, to ja jestem takim, który potrafi liczyć karty i ma fotograficzną pamięć. Zawsze opuszczam kasyno z kieszeniami pełnymi żetonów.

O 9.15 na moim ekranie wyskakuje przypomnienie, odciągając moją uwagę od liczb. Wysyłam do Petera e-mail:

Auriol właśnie teraz przekracza szkolną bramę. Szkoda, że nie mogę być tam razem z nią. Kocham cię.

Prawdę powiedziawszy, nie mam tak do końca pewności, czy szkoła rozpoczyna się kwadrans przed dziewiątą czy kwadrans po, ale Pete także nie będzie tego wiedział. Nie chodzi o to, że naprawdę trzeba mi było przypomnieć, że moja córka zaczyna dzisiaj szkołę - nie chciałam jedynie, żeby pochłonoło mnie coś innego i nie pozwoliło wysłać Peterowi tego e-maila. Ten przejaw troski to dobre posunięcie. Czasami odnoszę wra-

zenie, że on uważa, że w kwestii macierzyństwa nie jestem wcale taka dobra. Co jest koszmarnie. Nie znoszę nie być w czymś dobra.

Oczywiście, że kocham moją córeczkę tak bardzo jak każda matka. Uwielbiam ją. Jest bystra, ładna i ogólnie grzeczna, z wyjątkiem tych sytuacji, kiedy jest niewyobrażalnie koszmarna. Ja jedynie nie jestem zwolenniczką przesadnie sentymentalnego okazywania uczuć. Ponieważ coś takiego jest tak naprawdę jedynie na pokaz. I nie popieram także poświęcania się. Ani pocierania noskiem o nosek. Ani ciągłego opowiadania tej samej bajki. Ani odpowiadania na niekończące się pytania zaczynające się od „dlaczego”. Ani siedzenia w kółku z innymi mamami, śpiewającymi i klaszczącymi. Ani wielu rzeczy, co do których społeczeństwo upiera się, że idą w parze z macierzyństwem.

Nie oznacza to, żeby Peter choć raz powiedział na głos, że sądzi, że brakuje mi instynktu macierzyńskiego. Nie ośmieliłby się. Wie, że gorzko by pożałował takiej uwagi. Nawet jeśli to prawda, nie należę do osób, które dobrze przyjmują krytykę. Choć rzeczywiście nieco się zirytowałam wczoraj wieczorem, kiedy wypełniałam różne szkolne formularze - informacje o alergiach, pozwolenie na zabieranie dziecka na wycieczki i tym podobne. Nie znałam nazwiska jej lekarza, doznałam więc małego napadu złości. Rzuciłam długopis na stół i rzekłam ze zniecierpliwieniem:

— Na litość boską, Lucy.

Powoli podniosłam głowę znad „Newsweeka” i oświadczyłam:

- Ty także nie znasz nazwiska lekarza.

— Ale ty jesteś jej matką.

- A ty ojcem. Spędzam w pracy tyle samo czasu co ty, często więcej. Znajomość tego typu kwestii to zadanie Ewy, nie moje.

Do Pete'a dotarło, że to koniec rozmowy. Nie jestem złą matką, mam po prostu wyjątkowe podejście do macierzyństwa.

Podnoszę głowę znad biurka i mówię głośno:

- Muszę iść do Starbucksa. Ktoś chce kawę? Jakoś nie mogę usiedzieć na miejscu, moja córeczka zaczyna dzisiaj szkołę.

- Naprawdę? Nie wiedziałem, że masz dzieci - mówi Ralph, mój szef.

Właśnie przechodził obok. Jest tutaj od niedawna - sześć tygodni temu oddelegowano go z filii w Nowym Jorku. Jestem w trakcie wyrabiania sobie opinii na jego temat. W normalnych okolicznościach szaleństwem byłoby robienie w tej pracy wielkiego problemu z bycia mamą (prośenie o wolne z powodu choroby dziecka lub coś w tym rodzaju jest równe samobójstwu), ale Ralph zachowywał się nieco zbyt przyjacielsko podczas kilku ostatnich imprez służbowych i myślę, że czas mu przypomnieć, że jestem mężatką i mam rodzinę. To jedna z niewielu okazji, kiedy bycie mamą się przydaje. Małżeństwo czy nawet macierzyństwo nie stanowi zazwyczaj jakiejś wielkiej przeszkody na drodze do romansu dla większości typków z *city*, ale że mój nowy szef jest Amerykaninem, ma podejście nieco bardziej tradycyjne i przy odrobinie szczęścia przestanie dotykać mojej ręki i talii podczas prowadzenia ze mną rozmowy. Istnieje oczywiście ryzyko, że w ogóle przestanie ze mną rozmawiać. Większość mężczyzn uważa, że w szpitalu Portland kobiety mają przeprowadzane lobotomie, a nie cesarskie cięcia.

- Edukacja to najważniejsze, co możemy dać naszym dzieciom. Do której szkoły chodzi? - pyta Mick, inny trader na moim piętrze. Nie ma dzieci, trudno mi więc sobie wyobrazić, żeby naprawdę ciekawił go ten temat, jest po prostu tak zaprogramowany, aby to do niego należało ostatnie słowo.

- Holland House w Holland Park.

- Nie znam tej szkoły.

- Nie dziwię się. Jest państwowa.

Jak nic jestem jedynym traderem w historii, który zdecydował się posłać swoje dziecko do państwowej szkoły. Publicznie uzasadniam to tak, że to społecznie odpowiedzialna decy-

zja. „Gdzie by się znalazł system edukacji państwowej, gdyby wszyscy rodzice z klasy średniej, którym wykształcenie ich dzieci leży na sercu, zabrali je z państwowych szkół?” - tak peroruję. Oczywiście, szkoły te spadłyby w rankingach na sam koniec. Istnieje całe mnóstwo dowodów na poparcie takiego punktu widzenia, i ma on swego rodzaju „lewicowy” prestiż, który jest bardzo na czasie i który nawet mi się podoba. Tak się składa, że ja uczęszczałam do jednej z najlepszych szkół niepublicznych dla dziewcząt w kraju i miałam nadzieję, że Auriol pójdzie w moje ślady. Mieli tam urocze kapelusze słomkowe, a łacina przydaje się w sytuacji, kiedy się chce utrzyć nosa nadętym „chłopakom”. Rose jednak położyła kres moim planom.

Oprócz finansowania nauki Auriol, Pete i ja z chęcią opłacilibyśmy czesne bliźniaków w jakieś szkole prywatnej, ale czy Rose w ogóle chciała o tym słyszeć? Nie i koniec. Osobiście jestem przekonana, że ona lubi wykorzystywać swój status samotnej matki. Robi, co może, żeby wyglądało to tak, jakby Pete niezbyt dobrze wywiązywał się ze swoich obowiązków, nie zapewniał wystarczająco kasy, czasu czy uwagi. Dlatego właśnie sprzedała ich rodzinny dom, mimo że spłacił za nią hipotekę. Przeprowadziła zakrojone na szeroką skalę poszukiwania, których celem było znalezienie najmniejszego domu w Holland Park (nie zrezygnowała jednak z tej dzielnicy, czyż nie?). I jeszcze te wszystkie bzdury na temat tego, że czyni plany na czas, kiedy w ogóle nie będzie miała dochodów, kiedy już chłopcy dorosną, i na temat potrzeby wykorzystania kapitału z domu jako zabezpieczenia na czarną godzinę. Bla, bla, bla. Moje pytanie brzmi: „Dlaczego nie może iść do pracy, tak jak wszyscy inni?”. Ja jestem matką i pracuję. Nie czekam, aż ktoś inny da mi zasiłek. Kurczę, już samo myślenie o tej kobiecie wystarcza, żeby zaczęła boleć mnie głowa.

Uparcie twierdziła - co było z jej strony takie głupie i tak silnie zabarwione emocjonalnie - że Pete i ja proponujemy, że będziemy płacić czesne, powodowani wyrzutami sumienia.

Bzdura! On chce dla nich jedynie tego, co najlepsze. Z tego co pamiętam, to na tym etapie dyskusji powiedziała coś obraźliwego o tym, że nie chce, żeby wyrosli na pompatycznych, skoncentrowanych na karierze cymbałów, a taka jest większość absolwentów szkół prywatnych. Nie trzeba być geniuszem, aby odgadnąć, do kogo piła. Oświadczyła, że jest przekonana, że dzieci otrzymają równie dobre wykształcenie w miejscowej szkole państwowej, i dodała, że prywatna edukacja to marnotrawienie pieniędzy i domena rodziców, którzy szarpia się na nią po to, żeby zapewnić dzieciom substytut ich czasu i uczuć. Łatwo jej tak mówić, skoro mieszka w Holland Park. Pewnie, że szkoły państwowe są tam świetne. Pete i ja mieszkaliśmy w tamtym czasie w Soho, gdzie edukację postrzega się jako kłopotliwą przerwę w prowadzeniu życia pełnego przestępstw i wandalizmu. Ale jakimś cudem Rose zyskała przewagę? Sposób, w jaki to ujęła, sprawił, że posłanie dzieci do szkoły państwowej wyglądało na czyn prawy, z kolei edukacja prywatna — jak coś zdecydowanie złego. Tak bardzo się z tym nie zgadzałam. Wydawanie pieniędzy na edukację kiedyś było uważane za działanie godne pochwały, stanowiło przywilej, owszem, ale nie powód do wstydu. Było z całą pewnością lepsze niż wydawanie pieniędzy na torebki czy zasłony. Teraz się okazuje, że jest dokładnie na odwrót.

Oczywiście, nie mogłam posłać Auriol do szkoły prywatnej, skoro Henry i Sebastian uczęszczali do „uroczej, niewielkiej szkoły państwowej tuż za rogiem”. Gdybym to zrobiła, tylko bym ułatwiła zadanie Rose. Nigdy nie byłoby końca oskarżeniom, że nierówno traktujemy dzieci. Boże, ta kobieta jest taka irytująca.

Musieliśmy się więc przeprowadzić. Jakimś cudem Peterowi udało się przekonać mnie, że przeprowadzka gdzieś bliżej Rose i chłopców to dobry pomysł. „Znacznie przyjaźniej”. A ja wcale nie jestem *a la mode*. Nie chcę być tak bardzo nowoczesna, jeśli chodzi o naszą patchworkową rodzinę. Prawdę

powiedziawszy, wolę grać rolę złej macochy - nie ciąży na niej przynajmniej irytujące oczekiwania. Nie jesteśmy jedną wielką szczęśliwą rodziną. On się z nią rozwiódł - to dowód na to, że ich związek nie przyniósł mu satysfakcji, czyż nie? Całkiem chętnie przystałabym na to, żeby nasze stosunki cechowała żywa niechęć na granicy gniewnej nienawiści. Nie mam ochoty, aby dzielił nas krok od poligamii, a tak właśnie jest, kiedy się zachowuje przyjazne stosunki z byłym partnerem.

Nie mam do końca pewności, jak do tego doszło. Byłam służbowo w Hongkongu, pracując nad dużym projektem, a kiedy wróciłam, Pete zdażył już złożyć ofertę na zakup domu niemal po sąsiedzku z Rose, spotkać się z notariuszem i prawnikiem, i jedyne, czego jeszcze nie zrobił, to nie zamówił samochodu do przeprowadzek. Dobry Boże, czy ten człowiek postradał zmysły? Nie, przyznaję, że nie czytałam szczególnie uważnie jego e-maili - byłam tam naprawdę mocno zajęta. Prawdą jest też, że kiedy sprawdziłam wiadomości, rzeczywiście znalazłam całą serię coraz bardziej rozgorączkowanych e-maili ze szczegółami domu, który nam znalazł, i zapytaniem, czy chcę, żeby poczynił kroki w kierunku jego kupna. Okej, przyznaję, że może i niezobowiązująco mruknęłam coś w rodzaju, że rozsądnie by było, gdyby Pete mieszkał niedaleko chłopców, ale wcale nie miałam tego na myśli.

Pociesza mnie fakt, że dom, który nam wybrał, jest olbrzymi. Nie tak wielki jak ten, w którym mieszkał kiedyś razem z Rose, ale nie można przecież zapominać, że teraz mamy dwie rodziny na utrzymaniu. Kiedy więc rozlokowaliśmy się już w Holland Park, raczej nie było żadnej innej sensownej alternatywy — i wszystkie dzieci chodzą teraz do tej samej szkoły. Pan Walker, dyrektor, okazał się rozkoszny. Jadł mi z ręki po jednym tylko spotkaniu. Auriol przeskoczyła całą listę oczekujących, mimo że - ściśle mówiąc - mieszkamy tuż za granicą rejonu, jaki obejmuje ta szkoła. Nie było to nic niestosownego, my jedynie wprowadziliśmy w życie zasadę premiującą rodzeństwo.

Prawdę mówiąc, w Holland Park jest całkiem fajnie. Nie tak desperacko modnie, jak w Soho, gdzie mieszkałam jako kobieta niezależna, ale skończyłam już z otwartymi do późna baremami, sklepami całodobowymi i domowym minimalizmem. Holland Park bezsprzecznie pasuje do obecnego etapu mojego życia. Nie robi się kilku kroków, nie wpadając na organiczną ciastkarnię czy dziecięce centrum jogi. I super jest to, że Connie i Luke mieszkają w Notting Hill, dosłownie rzut beretem od nas. Mimo że uchodzę za Królową Lodu, nawet ja muszę przyznać, że nie ma na tym świecie nic słodsze, niż przyglądanie się, jak Fran, córeczka Connie, bawi się z Auriol. Poza tym Auriol uwielbia swoich starszych braci, zwłaszcza Sebastiana, który jest bardzo podobny do ojca - wyrósł z etapu rudych włosów. Henry, niestety, nie - lato to dla niego ciężki okres.

Mam jedynie nadzieję, że ta szkoła spełni swoją funkcję. Jeśli nie, to jeszcze przed końcem roku szkolnego zabiorę z niej Auriol, ale jakoś trudno mi sobie wyobrazić, żebym musiała mocno się martwić. Geny Auriol są, bądź co bądź, fenomenalne - świetnie sobie ze wszystkim poradzi. Zastanawiam się, czy w szkolnych jasełkach będzie Maryją czy aniołem Gabrielem. Maryja nie mówi zbyt dużo, ale za to przez cały czas jest obecna na scenie. Z kolei anioł Gabriel ma zawsze śliczny kostium. Muszę przemyśleć tę kwestię, a później przekazać panu Walke-
rowi swoje zalecenia.

A teraz lepiej już pójść i kupić sobie podwójne espresso.

PONIEDZIAŁEK, 4 WRZEŚNIA

JOHN

„Jasna cholera! Królowa jest dziś w mieście, czy co? Skąd tutaj cały ten ruch? Z tego, co mówił Craig, zrozumiałem, że jego szkoła znajduje się w sennej, pełnej zieleni części Holland Park”. Niecały kilometr od szkoły wreszcie udaje mi się znaleźć wolne miejsce i parkuję tam swoje bmw Z4. Gdy wysiadam z samochodu, nie mogę się powstrzymać, żeby nie pogłaskać go po błotniku. Jest przepiękny. Ożeniłbym się z nim, gdyby miał ccyki. Ależ jazda. Wkrótce się przekonuję, że ten korek powodują rozgorączkowane matki siedzące za kierownicami samochodów terenowych. Słyszałem o takich kobietach. Wiecie, w radiu jakiś didżej ciągle nabija się z tej dziwacznej rasy, która jeździ terenówkami, ale nie znosi widoku błota i dostaje wysypki, gdy wyjeżdża gdzieś poza Londyn. Myślałem, że to tylko taka miejska legenda, coś takiego, jak w wypadku niektórych ludzi, którzy wierzą, że od obściskiwania się z jakąś gwiazdą dzieli ich zaledwie krok. Okazuje się, że nie jest to tylko miejska legenda, pierdoły pojawiające się na falach eteru. Takie kobiety rzeczywiście istnieją. A tak między nami, to pierdoły na falach eteru mi nie przeszkadzają. Jestem prostym facetem. Godzę się z tym, że takie pierdoły stanowią znaczną część naszego życia.

Przyglądam się, jak te demoniczne matki mierzą się agresywnie wzrokiem. Wypowiadają bezgłośnie „pieprz się!” do kierowców, którzy wjeżdżają na upatrzone przez nich miejsce

parkingowe, a kiedy wysiadają z tych swoich czołgów, uśmiechają się, machają do siebie i zaczynają rozprawiać o dziennej telewizji. Niewiarygodne. Ale jaja.

Natychmiast przeczesuję spojrzeniem tłum kobiet tłoczących się przed szkolną bramą. Niestety, jest niedostatek niezłych mamusiek. Oglądam *Gotowe na wszystko*, spodziewałem się całego mnóstwa kobiet potrzebujących porządnego i natychmiastowego zajęcia się nimi. Kobiet, które będą rzucać we mnie majtkami, jakbym był Tomem Jonesem, gdy tylko się do nich uśmiechnę. Rozglądam się: nic się nie dzieje. Wszystkie te kobiety wyglądają jak matki. W gruncie rzeczy nie jest to coś zaskakującego, gdyż wszystkie są matkami. Stoimy przy szkolnej bramie, czekając na pojawienie się ich zasmarkanego potomstwa. Po prostu myślałem, może miałem nadzieję na coś nieco bardziej... Cóż, Kate Moss jest mamą, prawda? I Liz Hurley, i ta Kate... jak jej tam, ta aktorka. Chętnie bym się nimi zajął. Nie można winić człowieka za to, że ma nadzieję.

Przeciskam się przez tłum dzieciaków wylewających się jak lawa ze szkoły. Czuję się jak ryba płynąca pod prąd. Ich małe ruchliwe ciała mają razem całkiem potężną siłę. Nieczęsto mam okazję przebywać w pobliżu dzieci. Moja siostra ma dwoje - dziewczynki - i są w miarę fajne. Są ze mną spokrewnione, a nie można tego nazwać kiepskim życiowym startem. Kiedy się z nimi widzę podczas Bożego Narodzenia, urodzin i innych uroczystości rodzinnych, wydają się w porządku, nieco rozpieszczone, nieco wymagające, nie mój świat, ale ogólnie okej.

Nie były obecne podczas ostatniego rodzinnego spędu na pogrzebie wujka Ronny'ego. Moja siostra stała się wzorcową przedstawicielką klasy średniej i za nic nie przyprowadziłaby dzieci na wystawienie zwłok, na wypadek gdyby miało to zapoczątkować jakiś głęboko zakorzeniony psychologiczny problem mogący się ujawniać w przyszłości. Wiecie, że na przykład dziewczynki mogłyby się załamywać i wybuchać niekontrolowanym szlochom za każdym razem, kiedy zobaczą kieliszek

sherry czy kanapkę z jajkiem z odkrojoną skórką albo inne tego rodzaju brednie? Oświadczyłem jej, że kiedy my byliśmy mali, to - z tego co pamiętam - właściwie co miesiąc braliśmy udział w pogrzebie i jakoś nam to nie wyrządziło żadnej krzywdy. Nie zostawiło to we mnie żadnego niezdrowego śladu. W Liverpoolu wiedzą, jak wyprawić dobry pogrzeb - należały one do najlepszych imprez mojego dzieciństwa. Niemniej jednak nie winię jakoś specjalnie mojej siostry. Zaskarbienie sobie szacunku klasy średniej to żmudna praca. Jedna gafa i całe lata zajęć z baletu oraz jedzenia razowego chleba diabli biorą. Poza tym sam się zastanawiam nad częściową zmianą image'u. Podobają mi się możliwości, jakie to oferuje.

Uderza mnie to, że olbrzymia gromada dzieciaków, tak jak w tym wypadku, wytwarza niewyobrażalną ilość hałasu (czego się można spodziewać) i wydziela dziwny zapach (co stanowi dla mnie zaskoczenie). To nie jest ten skwęcący wewnątrzności cholerny smród, jaki towarzyszy pieluchom czy wymiotom. Chryste, wystarczy przejść się jakąś główną ulicą, żeby poczuć te dziecięce zbrodnie przeciwko ludzkości. Powinno istnieć prawo zakazujące czegoś takiego. Co się dzieje z tymi matkami? Wraz z pojawieniem się bachora tracą węch razem z wyczuciem stylu? Matka Natura musi przemyśleć swój plan. Ale te wybiegające ze szkoły dzieci nie śmierdzą wymiocinami, gównem czy choćby siuškami - czuć od nich kurz, błoto, farby i dziecięcy pot. Mieszanka ta byłaby paskudna, tyle że pachną także wolnością, co nieco neutralizuje resztę. W ich włosach można wyczuć jesienny wiatr.

Przeciskam się obok dzieci i wchodzę do szkoły, która wydaje się zupełnie różna, a mimo to taka sama jak ta, do której chodziłem przed trzydziestu laty. Moja miejscowa szkoła podstawowa była betonowym klockiem z prefabrykatów z lat siedemdziesiątych. W porównaniu z nią ta szkoła jest staruszką, wybudowaną w 1908 roku, co wryto nad drzwiami. Ta szkoła ma oddzielne wejścia dla chłopców i dziewcząt, prawdziwe

drewniane podłogi i w ogóle. Moja miała parkiet na korytarzu i linoleum w klasach, co ośmielę się stwierdzić, wtedy uchodziło za szczyt nowoczesności. Mieliśmy czarne tablice i tablice ogłoszeń, teraz dzieciaki mają białe tablice i zawieszane u góry projektory. Zapuszczam żurawia do klas i dostrzegam, że małe krzesła i stoliki są takie same, podobnie jak brudny dywan w rogu pomieszczenia, gdzie wierzące się tyłki są zmuszane do siedzenia w miejscu na czas opowieści zaczynającej się od: „Za górami, za lasami”, a kończącej się: „I żyli długo i szczęśliwie”. Co za bzdurami karminy dzisiejszą młodzież, czyż nie?

Mijam kolejne korytarze, mając nadzieję natknąć się na gabinet dyrektora, kiedy zaczepia mnie jakaś kobieta w średnim wieku, która apodyktycznym tonem pyta mnie, co robię w tej szkole i kim jestem. Tylko kilku sekund potrzebuję, żeby ją zupełnie rozbroić. Wyjaśniam, że jestem najlepszym przyjacielem Craiga Walkera.

- Pana Walkera, dyrektora? - upewnia się.

- Dla pani może być panem Walkerem, dyrektorem, pan-no... - zawieszam głos.

- Właściwie to pani, pani Foster.

Uśmiecha się przy tym kokieteryjnie. Obrzucam ją spojrzeniem pełnym niedowierzania i mrużę coś o tym, że wszystkie najpiękniejsze kobiety są rozchwytywane pierwsze. Udaję, że mówię to do siebie, ale oczywiście dopilnowuję tego, żeby mnie słyszała. Od razu chcę wyjaśnić, że nie żywię absolutnie żadnych zamiarów względem nieładnej pani Foster, nie potrafię się jednak oprzeć temu, żeby z nią trochę nie poplirtować. Z taką łatwością sprawiam przyjemność kobietom, że wręcz uznają to za swój obowiązek. Każdą jedną, nieważne, jak brzydką, można urobić pochlebstwami i przekonać, że jest darem bożym dla rodu męskiego. A to podobno mężczyźni są arogancy.

- Może i dla pani jest panem Walkerem, ale dla mnie zawsze będzie Wheeliem Walkerem. Nie jest to fakt ogólnie znany, ale wasz pan Walker był królem motocykli na naszym osiedlu.

Kiedy byliśmy chłopakami, to Wheelie Walker był naprawdę zadziwiający.

Nigdy nie zaszkodzi trochę podkolorować, jeśli chodzi o kumpli. Kobiety także to lubią, postrzegają jako wielkoduszność. Prawda jest taka, że Craig był znany jako Weedie Walker albo Weeie Walker i cholernie się bał jeździć na motocyklu, wspinać po drzewach, chodzić w tango i ogólnie wszystkich innych rzeczy, którymi zajmują się chłopacy. Ale nikomu się nie przysłużę, kiedy to powiem na głos. Chryste, nie chcę, żeby pani Foster pomyślała sobie, że trzymam z durniami.

- Pierwsze drzwi na lewo za aulą. Jeśli dotrze pan do sali muzycznej, będzie to oznaczać, że poszedł pan za daleko. Proszę się śmiało do mnie zgłosić, jeśli zgubi się pan albo okaże się, że mogę w czymś panu pomóc.

Uśmiecha się nieśmiało. To nie jest prowokacja. Wiem, że kobiety pokroju pani Foster (powyżej trzydziestego piątego roku życia, nigdy jakoś szczególnie ponętna, ciężko pracujący mąż, za którego jest wdzięczna) nie należą do takich, które składają niestosowne propozycje obcym mężczyznom spotkanym na szkolnym korytarzu, nawet jeśli ci czynią wyjątkowo miłe uwagi na temat artystycznej integralności ściennej wystawy klasy drugiej, temat: „Jesień”. Ona chce mi jedynie pomóc zupełnie niewinnie, jeśli to tylko możliwe, ponieważ mnie lubi. Kobiety zwykle mnie lubią.

Gdy otwieram drzwi gabinetu Craiga, natychmiast czuję się przytłoczony ogromną ilością papierzyśk i książek. Na wieższaku za drzwiami wisi jego marynarka ze sztruksowymi łatkami na łokciach. To takie zabawne, że wszyscy mają w sobie odrobinę pretensjonalności, nawet ci, o których można by myśleć, że są ponad takimi sprawami. Chodzi mi o to, że co stary Weedie Walker próbuje w ten sposób powiedzieć? Nie jest przecież nauczycielem akademickim snującym się po strzelistych iglicach Oksfordu, czyż nie? Jest dyrektorem niewielkiej podstawówki.

Środowisko pracy Craiga krańcowo się różni od mojego. Jego mały, zagracony, zakurzony nauczycielski gabinet jest zupełnym przeciwieństwem mojego przestronnego, dynamicznego biura dla bystrych i młodych. Tutaj wszędzie jest pełno książek i teczek, a między nimi gdzieś tam fotografie różnych klas, mnóstwo dzieciaków wyglądających jak spod kalki, szczerzących się do aparatu. Jego wielkie biurko wygląda tak, jakby je zamówiono w jednym z tych bezsensownych małych katalogów, które są dołączane do niedzielnych gazet. Zastanawiam się, czy w komplecie nie było pudełek do kaset wideo, które mają wyglądać jak arcydzieła literatury. Zresztą i tak nie widać zbyt dużo tej ordynarnej sztucznej skóry, ponieważ biurko pokrywa warstwa dokumentów, długopisów, ołówków, pieczętek, gumek recepturek, spinaczy, temperówek i tak dalej. Czy ten człowiek nie słyszał o erze cyfrowej?

W mojej firmie doradczej nikt nie ma przydzielonego biurka czy choćby szuflady, nie mówiąc już o całym gabinecie. Tego rodzaju posiadanie jest postrzegane jako ogłupiające - my mamy tak zwane gorące biurka. Oznacza to, że jesteśmy zmuszeni do noszenia ze sobą laptopów, komórek i BlackBerry, jakby były naszą drugą skórą. Ogólna zasada jest taka, że kiedy rano zjawiasz się w pracy, udajesz się najpierw do recepcji (całych akrow granitu i szkła), a stamtąd jesteś kierowany do jednego z wolnych biurek. W zamyśle szefostwa ma to zapobiec tworzeniu się klik, wspomóc integrację personelu i dysymilację pomysłów i jakieś tam inne bzdury - zapomniałem. Jeśli mam być szczerzy, jest to nieco upierdliwe. W życiu każdego mężczyzny nadchodzi czas, kiedy potrzeba położenia gdzieś swojego kapelusza staje się nadrzędna. Muszę przyznać, że gabinet Weediego Walkera, mimo panującego w nim chaosu, ma pewien urok.

- Stary!

Stoję z rozłożonymi szeroko ramionami, a na mojej twarzy widnieje pełen entuzjazmu uśmiech. Craig podnosi głowę znad jakichś dokumentów i uśmiecha się do mnie. Na początku jest

niepewny, nieco nieśmiały, ale po chwili ma już uśmiech od ucha do ucha. Prawdę mówiąc, to ma całkiem fajny uśmiech i z nim nie wygląda na takiego durnia.

Craig wstaje, podchodzi do mnie i wyciąga rękę. Ściskam ją mocno i zatapiam go w uścisku. Nieważne, mógł sobie być Weediem czy Weeiem, ale był moim kumplem. Nadal nim jest. To dobry facet. Lepszy niż ja, co nie stanowi dla mnie problemu. Prawie każdy, kogo znam, jest bardziej pryncypialny ode mnie, ale pociesza mnie fakt, że niewielu jest równie szczęśliwych jak ja. Te dwa fakty są ściśle ze sobą związane.

Ostatni raz Craig i ja widzieliśmy się sześć miesięcy temu. W świecie chłopaków coś takiego nie stanowi absolutnie żadnego problemu. Gdyby dwie dziewczyny, przyjaźniące się ze sobą od podstawówki, nie widziały się przez pół roku, przysięgam, że pojawiłoby się całe mnóstwo wzajemnych żali, oskarżeń i wyrzutów. Obie czułyby się opuszczone lub urażone. Bycie dziewczyną musi być główniane, z całym tym emocjonalnym bagażem non stop. Tymczasem bycie facetem jest super. Wyższe zarobki, taka sama ilość pracy, żadnego porodu, żadnych szklanych sufitów, żadnej potrzeby pisania liścików z podziękowaniami. Bomba.

- Fajny gabinet, stary. Ale poważny brak napalonych mamusiek pod szkołą. A po to przecież tutaj przyjechałem.

- John, jeśli się spodziewałeś napalonych mamusiek, powinieneś mieć za kumpla gościa, który jest dyrektorem w jednej z tych pretensjonalnych szkół, na przykład w Chelsea, najlepiej w szkole, gdzie się płaci czesne. Tamte matki mają czas i wystarczająco dużo kasy, żeby dbać o wygląd. Tutaj głównym punktem odniesienia są dzieci i widzę, że matki bardziej przejmują się ubiorem i stopniami swoich pociech niż własną garderobą i ilością spożywanych kalorii - oświadcza sztywno Craig.

Koniec wykładu, teraz więc ja zabieram głos.

- Wielka zawodowa czarna dziura, stary. Jesteś przecież singlem. Powinieneś być znaleźć sobie robotę w szkole prywatnej i wtedy miałybyś okazję co pewien czas bzyknąć jakąś nia-

nią. Założę się, że te tutaj - kiwam głową w stronę okna - każą mężom harować jak woły, a i tak nie stać ich na nianię. Tak czy inaczej, jestem rozczarowany. Sądziłem, że chociaż na kilka kobiet warto będzie rzucić okiem. To niemożliwe, żeby wszystkie były leniwymi krowami.

— John, proszę cię. - Craig układa dolną wargę w tę spieszoną prostą linię, kiedy jest urażony albo zdenerwowany. Łatwo go rozgryźć, a jeszcze łatwiej podrażnić się z nim. - Nie powinno się myśleć o matkach moich uczniów w ten sposób.

— Nic dziwnego, że wciąż nie masz kobiety - mruczę. - To są kobiety, stary. W jaki inny sposób chcesz o nich myśleć? Chyba że w ogóle o nich nie myślisz. Ty cioto.

Craig nie jest homoseksualistą, ale jako heteroseksualni kumple mamy obowiązek raz na jakiś czas, nie za często, czynić złośliwe aluzje. Przynajmniej ja gram według takich zasad.

Craig wzdycha ciężko. Już od tak dawna go rozczarowuję, że można by pomyśleć, iż się do tego przyzwyczaił. Ale on jest nauczycielem, prawda? Zawsze jest przekonany, że mógłbym bardziej się postarać. Być może mógłbym, gdybym tylko wystarczająco mocno tego chciał. Nie jestem totalnym kobieciarzem. Choć właściwie to jestem. Ale naprawdę myślę także o innych kwestiach i potrafię rozmawiać o czymś innym. Chodzi po prostu o to, że kiedy jesteśmy razem, wchodzimy w te role, okej? Craig to ten uczciwy, a ja jestem wesołek i niezły numer. Przystał być prawiczkim, kiedy miał dwadzieścia jeden lat. Dwadzieścia jeden. Kurwa, ludzie, możecie dać temu wiarę? A chodziliśmy do szkoły, w której niejedna dziewczyna dałaby się przelecieć za paczkę chipsów i podwiezienie rowerem do domu. Niemniej jednak Craig nigdy nie dostrzegał okazji, nawet kiedy ta głośno waliła do drzwi, i dlatego właśnie nasze role napisano już dawno, dawno temu.

- Idziemy, proszę pana. Bierz swój płaszcz. Mnóstwo pubów serwuje piwo w tej właśnie chwili. Mamy w końcu obowiązek do wypełnienia.

Pozwalam Craigowi zaprowadzić mnie do miejscowej knajpy — nędznego pubu, niewystarczająco starego, żeby mógł mieć swój czar, i niewystarczająco nowego, żeby był trendy. W porządku. Nie przeszkadza mi to. Nie spodziewałem się, że wybierze jeden z miliona modnych barów w Notting Hill, mimo że w większości tych miejsc roi się od napalonych lasek. Podczas gdy ja posiadam radar w tego typu kwestiach, Craig jest zupełnie nieświadomy, może nawet zniesmaczony. Ale w tym pubie serwują piwo z beczki, spełnia więc swoją funkcję. Kiedy się spotykamy, Craig zazwyczaj przyjeżdża do miasta i to ja wybieram miejsce. Ma to sens, ponieważ ja kończę pracę znacznie później niż on (gotuje się we mnie, kiedy myślę o jego wakacjach, ale w nim się pewnie gotuje, kiedy myśli o moich zarobkach), poza tym nasz wspólny kumpel, trzeci bok naszego trójkąta zaufania i tym podobne, Tom, pracuje w Wapping, wspólne spotkanie w mieście to zatem sensowne rozwiązanie. Ale dziś wieczorem Tom do nas nie dołączy, choć to on jest powodem naszego wyjścia do pubu.

- Nie mogę uwierzyć, że Tom się żeni - mówię, wpatrując się w swój kufel. Ponuro kręcę głową.

- Cóż, spotyka się z Jenny już od pięciu lat, razem mieszkają, kupili do spółki mieszkanie, trudno powiedzieć, że stało się to nagle - stwierdza Craig. Pije kawę, twierdzi, że jest za wcześnie na alkohol.

- Wiem, ale, stary, małżeństwo? To poważna sprawa.

- Ty to zrobiłeś.

- Zgadza się, a on powinien uczyć się na moich błędach. To duże zobowiązanie.

Craig się śmieje.

- Jak to możliwe, że wymawiasz słowo „zobowiązanie” z taką pogardą, jaką większość z nas rezerwuje dla, cóż, tego słowa na „z”, które rymuje się ze słowem „szmira”.

Zaczynam się śmiać.

- Ty naprawdę nie jesteś w stanie wypowiedzieć tego słowa, co, stary?

- Nie mam ochoty ani potrzeby — odpowiada spokojnie Craig. Następnie pyta: - Nie lubisz Jenny?

- Laska jest całkiem w porządku. Ma głowę na karku. Może jest trochę apodyktyczna. - Krzywię się, kiedy myślę o tych różnych okazjach, kiedy sztorcowała mnie za to, że Tom wrócił do domu nawalony po wieczorze z chłopakami. A czy to moja wina? - Niezłe nogi i w ogóle, ale on żeni się z nią. Po prostu nie widzę sensu w zapuszczaniu się aż tak daleko.

- I wcale mnie nie dziwi, że nie widzisz - mówi Craig. Nie bardzo podoba mi się jego ton, jest niemal pogardliwy. Ciul. Kumpel. Ale ciul. Craig kontynuuje: - Tak czy inaczej, żeni się z nią za dziesięć tygodni, możemy więc dać spokój temu teatralnemu zdumieniu i publicznemu uzalaniu się, a zamiast tego skupić się na wieczorze kawalerskim? W końcu po to się dzisiaj spotkaliśmy.

- Chyba tak. Zamówię tylko następny kufel. Tym razem napijesz się ze mną, co?

Kiedy wracam, Craig zdążył przekształcić ten pub w coś w rodzaju sztabu generalnego, takiego, jaki się widuje w starych, czarno-białych filmach. Położył na stole listę osób do zaproszenia, łącznie z adresami zamieszkania, adresami e-mailowymi i najbardziej aktualnymi numerami kontaktowymi (komórka, praca, dom). Sporządził także listę z potencjalnymi miejscami, gdzie można urządzić wieczór kawalerski, i jeszcze jedną, na której spisał wszystko, co mu przyszło do głowy na temat rozrywek. Zauważam, że wiele miejsc jest już wykreślonych. Gniewnymi czerwonymi literami napisał: ZA PÓŹNO. Słowa te zdają się ożywać i krzyczą na mnie oskarżycielsko. Wielkie czerwone litery wprost emanują paniką, a im bliżej końca listy, tym stają się większe i towarzyszy im coraz większa liczba wykrzykników. Wiem, że dlatego właśnie Craig został w to wszystko zaangażowany.

Tom zaręczył się sześć miesięcy temu i od razu poprosił mnie, żebym został jego drużbą. Oczywiście, zgodziłem się

- czyż bycie drużbą nie gwarantuje bzykanka z druhną albo i z dwiema? Ale pomijając kupno fajnych spinek do mankietów, jakie założę w ten wielki dzień, nie poczyniłem wielkich przygotowań. Jenny trochę się na mnie wkurzyła. Oświadczyła, że jestem na etapie wypierania. Nieprawda, po prostu mi się nie chce. Płacą mi, żebym przez cały dzień organizował, sporządzał wykresy, obliczał ryzyko, podejmował trudne decyzje i tak dalej. Nie mam ochoty robić tego w swoim wolnym czasie. Jenny uparła się więc, że Craig powinien zostać drugim drużbą. Jego talent organizacyjny, powaga i solidność stanowiły *yin* dla mojego *yang*. Mnie to pasuje. Im więcej osób, tym weselej. Jak już mówiłem, małostkowa zazdrość i świat pełen wyimaginowanych afrontów to domena wyłącznie dziewczyn.

- Widzę to, stary, tak, że powinniśmy podzielić się obowiązkami. Ty wybierasz miejsce, ja dostarczę alkohol. Ty sporządzasz listę facetów, których sądzisz, że powinniśmy zaprosić, a ja do nich zadzwonię.

Na twarzy Craiga maluje się ulga. Poprawia okulary na nosie.

- Może tak być. Jak myślisz, czym powinniśmy się zająć w sobotę po południu? Łucznictwem?

- Paintball.

- Zatrzymamy się w jakimś hotelu na wsi?

- W pensjonacie, wtedy mamy więcej kasy na gorzałkę.

- Absolutnie żadnych striptizerek. Jenny postawiła sprawę jasno. Nigdy by mi tego nie wybaczyła.

- Oczywiście, Craig, stary — mówię uspokajającym tonem i notuję w myślach, żeby załatwić striptizerkę. Tom nigdy by mi nie wybaczył, gdybym tego nie zrobił.

Z mozołem omawiamy szczegóły weekendu kawalerskiego, ustalamy miejsce, menu, listę gości i rozrywki towarzyszące. Decydujemy się na paintball w ciągu dnia i degustację win wieczorem - to oczywiście propozycja Craiga. „Degustacja win” brzmi nieco staromodnie, ale może będzie wesoło, poza tym zgodziłem się, ponieważ on wyraził zgodę na pójście później do

klubu nocnego. Po jakiejś godzinie weekend kawalerski Toma nabiera kształtu. Wklepuję do mojego BlackBerry listę rzeczy do zrobienia, którą dyktuje mi Craig, a następnie się odprężam. W duchu wydaję westchnienie ulgi. Jestem zadowolony z siebie. Jestem pewien, że Tom nie będzie rozczarowany.

- Dobra robota, Craig, stary. Nie zrobiłbym tego wszystkiego bez ciebie.

- Och, żaden problem - odpowiada, rumieniając się przy tym.

Nie ma wprawy, jeśli chodzi o przyjmowanie komplementów, nie otrzymuje ich wystarczająco często.

- Powaga, stary, sporo się przy tym narobiłeś. Te wszystkie listy i w ogóle. Jesteś porządnym facetem.

- Nie mogłem zostawić tego tobie. Mogłem?

- Raczej nie - przyznaję.

- Odpowiedzialność brzmi dla ciebie tylko trochę mniej obraźliwie niż zobowiązanie, prawda?

- Spokojnie, stary. Ostre słowa. - Śmieję się, popijam piwo i zaciągam się papierosem.

- Ale prawdziwe. - Nagle na twarzy Craiga pojawia się przerażenie. - Co z przemową?

- Przemową? - Zgrywam naiwniaka.

Prawda jest taka, że choć jestem szczerze wdzięczny Craigo wi za to, że wyciągnął mnie z dołka, wprowadzając do weekendu kawalerskiego nieco organizacji, mam szczerą ochotę wygłosić mowę drużby. Chodzi o to, że jestem zabawny.

- Chodzi o to, że jesteś zabawny - mówi Craig.

- To znaczy?

- Cóż, ja jestem raczej poważny niż zabawny.

- Ciotki z przyjemnością posłuchają tego, co masz do powiedzenia — odpowiadam lekko.

- Tak i najpewniej dostaną zawału, kiedy usłyszą to, co ty masz do powiedzenia, ale reszcie gości prawdopodobnie bardziej spodoba się twoja mowa niż moja.

To jedna z wielu zalet Craiga. Jest przyzwoity. Pewnie wie, że mam straszną ochotę na tę mowę. Niemniej jednak rozpychanie się łokciami nie byłoby miłe.

- Moglibyśmy ją podzielić - proponuję.

- Dobry pomysł. Ja przeczytam telegramy i kartki, a ty możesz się zająć żartowaniem.

- Umowa stoi - zgadzam się od razu.

Ale nim mamy możliwość stuknąć się kuflami, Craig dodaje:

- Będę, oczywiście, musiał zobaczyć tę mowę, zanim ją wygłosisz. Żadnych przekleństw, żadnych uwag na temat byłych panienek Toma i pod żadnym pozorem nie wspomnisz o tym razie, kiedy Jenny się nawaliła i próbowała się z tobą obściskować. To było dawno temu.

- Okej, możesz mi zaufać - uśmiecham się szeroko.

- Nie, John, nie mogę. Nawet ty sobie nie ufasz - oświadcza Craig. I mówiąc to, nie uśmiecha się już. Zabawny człowiek.

LUCY

Wkładałam wiele wysiłku w to, żeby wrócić dziś wcześniej do domu. Mówię szefowi, że mam spotkanie na mieście, i odrzucam dwie propozycje wyjścia do restauracji, z których jedna pochodzi od klienta - nie płaci za mój czas dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale kupił sobie moją duszę. Zazwyczaj przynajmniej raz w tygodniu chodzimy razem na kolację. Ten człowiek to nudziarz. Zna cztery dowcipy, które opowiada na zmianę, i to, niestety, raczej często. Pali cygara, które lubiłam do czasu zajścia w ciążę z Auriol, a od tamtej pory zapach ich dymu wywołuje u mnie mdłości. Ostro sobie popija i wieczór w jego towarzystwie nieuchronnie kończy się tak, że muszę ciągnąć jego wielkie cielsko do taksówki. Niemniej jednak częścią mojej pracy jest udawana zażyłość z tym człowiekiem, tak żeby nie przestawał powierzać mojej firmie setek tysięcy fontów do inwestycji. Kiedy więc wypowiada te swoje przewidywalne puenty, ja najczęściej oddaję się prywatnym i ważnym rozmyślaniom.

Myślę o tym, jak Pete i ja zabraliśmy rok temu w kwietniu Auriol do Disney Worldu w Tokio. To oczywiście, że nie podobał mi się pomysł wyjazdu do Paryża (zbyt niepewna pogoda) ani Ameryki (zbyt wyraźny cellulit), ale uznałam, że jeśli odbędziemy Disneya w Tokio i zahaczymy dodatkowo o kilka świątyń i kwitnące drzewa wiśni, wycieczka będzie znośna. Znośność

była moim punktem odniesienia, a że cierpieliśmy na chwilowy brak niani, były to pierwsze wakacje, na które wyjechaliśmy bez dodatkowej pomocy. Brak niani nie był czymś zaplanowanym (kolejna odeszła niespodziewanie i z niewyjaśnionych przyczyn), nie mieliśmy więc w rezerwie przewodnika po klubach dla dzieci. Prawdę powiedziawszy, myślałam nawet, żeby cały ten wyjazd odwołać. I spotkała mnie niespodzianka. Naprawdę spędziłam fantastyczny tydzień w Tokio z Petem i Auriol. Kto by bowiem pomyślał, że wyjazd dokądkolwiek z czteroletnim dzieckiem może być taki fajny? Z całą pewnością nie ja. Ale to właśnie myśli o chichoczącej histerycznie Auriol na widok Potwornych Dziewczyn i krzywiącej się, gdy po raz pierwszy spróbowała *sushi*, pomaga mi przetrwać nużące kolacje ze współpracownikami i z klientami.

W porze lunchu wysłałam Julię, moją asystentkę, żeby kupiła tuzin baloników z helem dla Auriol, z pracy muszę więc wracać taksówką. Gdy otwieram drzwi do domu, uderza mnie natychmiast zapach czegoś mięsnego, najpewniej jakiejś zapiekanki. Ze znajdującej się w suterenie kuchni dobiegają dźwięki Radia 4 i paplaniny Auriol. To dobry znak. W przeszłości zdarzało się niejednokrotnie, że po powrocie do domu pierwszego dnia nowej niani ta witała mnie w płaszczu i wręczała wypowiedzenie. Nie chodzi o to, że Auriol jest koszmarnym dzieckiem, tylko że niektóre z tych młodych dziewcząt nie mają wystarczającego doświadczenia, żeby poradzić sobie z jej twórczym temperamentem.

- Niespodzianka! - wołam.

Auriol wbiega susami po schodach i obejmuje mnie ramionami w pasie. Próbuję powstrzymać ją przed dotykaniem rękami mojej spódnicy (Emilio Pucci), ale czyniąc to, wypuszczam balony, które wznoszą się do góry schodami i zatrzymują piętro wyżej. Eva, Auriol i ja wpatrujemy się w podskakującą masę różowych balonów. Zastygam na chwilę i zastanawiam się, czy okaże się to problemem. Często mam mętlik w głowie, jeśli chodzi o Auriol, i nie mam pojęcia, jak ona na coś zarea-

guje. Zdumiewa mnie fakt, że potrafię przewidzieć z największą dokładnością wahnięcia na światowych rynkach, słynę ze świetnej oceny charakterów większości poznawanych ludzi ale jeśli jednak chodzi o dzieci ogólnie, a Auriol szczególnie — jestem zbita z pantałyku. Przecież one są takie irracjonalne i nierozsądne. Takie uczuciowe i zmienne.

Balony wiszą przekornie w powietrzu, Eva przejmuje inicjatywę i wybucha śmiechem, Auriol piszczy z podekscytowaniem, ja zaś wzruszam ramionami. Tym razem udało się uniknąć kryzysu, nie nastąpiła scena. Wspaniale.

- Jak było w szkole? - pytam.

Próbuję kucnąć, ponieważ czytałam, że dzieci lubią, jak rozmawia się z nimi, mając głowę na poziomie ich oczu. Księżna Diana zawsze tak robiła i świetnie dogadywała się z dziećmi. Na nieszczęście moja spódnica jest zbyt obcisła, na nogach zaś mam zabójcze szpilki Sergio Rossi, nie ma więc mowy, żeby mi się udało. Prowadzę Auriol z powrotem do kuchni. Po drodze odbija się od ścian i trajkocze o nowej nauczycielce, pannie Gibson, Gibbon czy jakoś tak, i o tym, że Fran jest w jej klasie. Każę jej zostać z **Ewą** i udaję się do sypialni, żeby się przebrać.

Potrzebuję mniej więcej kwadransa, aby zdecydować, w co się ubrać, ponieważ przeciwstawiam się wizerunkowi leniwej mamy, który, niestety, jest szeroko rozpowszechniony. Nigdy mnie nie widziano w poplamionej wymiocinami czy jedzeniem beżowej bluzie czy workowatych legginsach. Moje roczne wydatki na pralnię chemiczną są tak duże, że mogłabym sobie w to miejsce kupić mały samochód, ale trzeba zachować odpowiedni standard. Kiedy wracam do kuchni, widzę, że Auriol zdążyła już zjeść kolację. Jestem rozczarowana.

- Wróciłam wcześniej do domu, żeby cię zabrać do restauracji - burczę. - Chciałam uczcić twój pierwszy dzień szkoły.

W zamyśle ma to być reprimenda dla Ewy - z powodu nieczytania w moich myślach czy choćby niedopasowania kolacji do mojego rozkładu dnia.

- Dla Auriol to nie jest wcześnie - odpowiada Eva. - Było już po szóstej, gdy pani wróciła. Po całym dniu w szkole jest głodna już o czwartej. Zrobiłam tyle zapiekanki z wołowiną, że wystarczy także dla pani i pana Phillipsa. Wyłącznie organiczne składniki, zgodnie z pani zaleceniami.

- Och, rzadko jem czerwone mięso - mruczę, przełykając irytację.

W tej chwili wystarczy mi irytacja i porządne suplementy witaminowe. Jestem wystrojona i nie mam dokąd iść. Przysiadam na ławie obok Auriol i próbuję ją czymś zająć. Ją jednak bardziej interesuje telewizor, który zastąpił Radio 4 i dudni teraz w narożniku pomieszczenia. Podążam za jej spojrzeniem. Jakaś piękna dwudziestolatka, ubrana tak, jakby właśnie zeszyła z planu teledysku, wpada do basenu z sosem budyniowym. Kiedy udaje jej się wydostać z basenu, miliony kulek Coco Pops spadają z nieba i przywierają do niej. Przez cały czas dziewczyna woła: „Fuj!” i „Ohyda!”, z paskudnym akcentem z okolic Birmingham. W żadnym wypadku nie jest to program odpowiedni dla mojego dziecka.

- Nie pochwalam oglądania telewizji podczas posiłków - oświadczam Evie.

- Po co w takim razie mają państwo telewizor w kuchni i jadalni?

Myślę, że jest raczej naprawdę ciekawa niż po prostu bezczelna, poza tym po rozmowach z dwudziestoma dwiema potencjalnymi nianiami nie mam ochoty kłócić się na tak wczesnym etapie, wierzę jej więc na słowo.

- Peter i ja musimy mieć aktualne informacje na temat rynków. Oglądamy wyłącznie kanały informacyjne.

Prawda jest taka, że w weekendy pozwalam Auriol oglądać całkiem sporo telewizji, ale nie płacę niani 3 fontów za godzinę powyżej standardowej stawki, żeby cieszyła się tym samym przywilejem.

- NIEPRAWDA! - woła Auriol.

Obie udajemy, że jej nie słyszymy, i Eva wyłącza telewizor. Auriol wybucha płaczem i lamentuje, że to niesprawiedliwe. Eva mówi, że jest zmęczona, to znaczy, że Auriol jest zmęczona, i zabiera ją na górę, żeby ją wykapać.

Kiedy po czterdziestu pięciu minutach wracają powiedzieć „dobranoc”, Auriol wygląda znacznie spokojniej i ładniej. Ma na sobie jasnoniebieską piżamkę z Mini Boden. Wygląda tak słodko, że ma się ochotę ją schrupać. Mogłaby zostać dziecięcą modelką, tyle że ja jestem zadeklarowaną przeciwniczką czegoś takiego. Wątpię, żebym wyglądała w tej chwili równie anielsko. W jednej dłoni trzymam papierosa, a w drugiej kieliszek z szampanem.

- Nie powinnaś palić - oświadcza Auriol. - Umrzesz, a prędzej będziesz wyglądać staro i brzydko.

— Rób tak, jak mówię, i nie bierz ze mnie przykładu, Auriol - instruuję ją.

Nie powinienam palić i zazwyczaj staram się tego nie robić przy Auriol. Ale palenie mnie odpręża i wyglądam przy tym seksownie. Odchylam palec pod odpowiednim kątem i mężczyźni często mi mówią, że mam bardzo eleganckie dłonie. Kiedy się zaciągam, moje usta stają się dwa razy większe, gdy tymczasem u innych praktycznie znikają. Trudno się rozstać z nałogiem, z którym wygląda się tak kusząco.

- Rose mówi, że nie powinnaś też pić. Mówi, że marnie skończysz.

Auriol powtarza to zdanie tonem, sugerującym, że nie do końca rozumie, co mówi.

— Pobożne życzenie - mruczę.

Gaszę papierosa i pociągam łyk szampana. Naprawdę będę musiała porozmawiać z Peterem. Robię, co w mojej mocy, żeby do minimum ograniczać kontakty Auriol z Rose, ale czasami oczywiście do nich dochodzi. Kiedy miała okazję indoktrynować moją córkę swoimi purytańskimi przekonaniem? Ostatnie, czego mi trzeba, to Auriol w roli mojego strażnika. Chcę, żeby moje dziecko było supermodne i wyluzowane.

- Chodź i daj mi buziaka na dobranoc.

Auriol przytula się do mnie i czuję zapach jej czystych włosów. Nieoczekiwanie w gardle tworzy mi się duża gęła.

- Poczytasz mi? — pyta.

- Ale to ja wybiorę bajkę - odpowiadam.

Auriol śmieje się i zabieram ją do łóżka, wspaniałomyślnie oświadczając Evie, że może iść do domu dziesięć minut wcześniej. Zadowolony pracownik to dobry pracownik.

5

NIEDZIELA, 10 WRZEŚNIA

ROSE

Deszczowa niedziela. Dzięki Bogu, że chłopcy są ze mną, ponieważ w takie dni bez nich naprawdę trudno jest mi znaleźć sobie miejsce. Rano zadzwoniłam do Petera i powiedziałam mu, że są zbyt zmęczeni powrotem do szkoły, żeby grać dzisiaj w piłkę czy choćby go odwiedzić.

- Jasna cholera, Rose! Przecież nie zaczęli dopiero co chodzić do zerówki. Szkoła to dla nich nic nowego. Myślałam, że według ciebie to dobry pomysł, żeby ich zapisać w niedzielne poranki na treningi. Zgodziłaś się.

- Snują się po domu, są bladzi ze zmęczenia - argumentowałam.

- Nudzą się. Potrzebują wyjść na świeże powietrze i trochę poszaleć. Za bardzo się z nimi cackasz, Rose.

Mija kilka pełnych napięcia i milczenia minut, zanim Peter przyjmuje do wiadomości, że nie zmienię zdania. Wzdycha.

- Co w takim razie będą robić?

- Nie będą się nudzić. Daisy, Simon oraz Connie i Luke z dziećmi przychodzą do nas na obiad.

Jestem na tyle małostkowa, żeby czerpać ogromną przyjemność z przekazania mu tej akurat wiadomości. Zastanawiam się, czy Peter tęskni czasem za tymi wyśmienitymi niedzielnymi obiadami, które robiłam, kiedy byliśmy razem. Goście pozostali ci sami, moje umiejętności kulinarne wręcz się poprawiły,

jedyne, co zniknęło, to on. Co nie znaczy, żeby mi go brakowało. Cóż, przynajmniej nie zawsze.

Connie i Luke poznali się na moim ślubie. On był mistrzem ceremonii, przyjacielem Petera od czasów szkolnych. Później Luke wprowadził do naszego towarzystwa Simona, a on ożenił się z moją siostrą. Byliśmy grupą bardzo ze sobą zżytą. Za bardzo, jak się później okazało. Lucy i Peter za bardzo się ze sobą żyli.

Niektóre kobiety twierdzą, że niczego nie przeczuwały. Kiedy mężowie wstają i ogłaszają zamiar ulotnienia się z inną, która - tak się akurat złożyło - zwróciła na siebie ich uwagę, żony są często zaszokowane. We mnie nigdy nie było takiej arogancji. Ja przeczuwałam.

Nie chodziło tylko o liczne wieczory spędzane do późna w pracy i coraz większą ilość podróży służbowych, co zdominowało nasz ostatni wspólny rok. To nie tylko rosnący brak zainteresowania i dystans między nami, dający się wyczuć w ostatnich sześciu miesiącach. Przeczuwałam to jeszcze, zanim zdążyłam stanąć przed ołtarzem. Wiedziałam, że Peter mnie zostawi niemal od razu, gdy zaczęliśmy się spotykać. Peter nie należał do mnie. Zawsze był mi jedynie pożyczony. On należał do bardziej olśniewającej, piękniejszej, zabawniejszej, mądrzejszej, wytworniejszej, silniejszej, bardziej stanowczej blondynki. Zawsze był poza moim zasięgiem.

Prawda jest taka, że kiedy się ze mną pierwszy raz umówił, byłam najbardziej zaskoczoną osobą pod słońcem. Boże, ten mężczyzna był oszałamiający. Tak bardzo przystojny, czarujący i zdecydowany. Wszyscy go lubili. Każda dziewczyna pragnęła zostać przez niego zauważona, każdy facet pragnął być jego najlepszym kumplem. Nawet jego przełożeni podlizywali mu się. Niektórych ludzi po prostu otacza blask - i Peter do nich należał.

Kiedy po raz pierwszy zaprosił mnie na randkę, sądziłam, że to jakiś żart albo zakład. W żadnym razie nie byłam jakimś

koszmarnym monstrum. Od zawsze cieszyłam się niezgorszym powodzeniem, głównie jednak spotykałam się z miłymi facetami - takimi, którzy byli nieco nieporadni albo przyszczaci, ale uczciwi i serdeczni.

Peter i ja poznaliśmy się w pracy. Skończyłam księgowość i znalazłam świetną pracę w dziale księgowości pewnego banku kupieckiego. Peter, który jest rok ode mnie starszy, piastował znacznie bardziej prestiżowe stanowisko: był traderem. Prawdę powiedziawszy, jeśli wierzyć biurowym plotkom, był traderem przez duże „T”. Uważano, że ma w sobie to coś — sprawiał, że głowy i pieniądze się obracały. Pewnie dlatego, że był taki zajęty i rozchwytywany, często spóźniał się z dostarczeniem wykazu swoich wydatków. Ale pewnego razu tak bardzo był spóźniony z dokumentami, że wyglądało na to, że sam będzie musiał później wystąpić o zwrot kosztów. Zjawił się więc bezpośrednio w księgowości, żeby to załatwić. Dużo się uśmiechał i gawędził ze mną, ale zakładałam, że włączył swój urok po to, że bym wyciągnęła go z tarapatów. W przeciwnym razie byłby do tyłu o prawie tysiąc funtów.

Gdy już udało nam się rozwiązać problem gotówki, a kwestia wydatków służbowych powróciła na dawne tory, Peter zapytał mnie, czy znam jakieś dobre miejsce, gdzie można kupić kanapkę na lunch. Nie miałam pojęcia, dlaczego mnie o to pyta - bądź co bądź pracował tam dłużej ode mnie - i uznałam, że to dlatego, że wyglądam jak dziewczyna, która lubi jeść. Wy tłumaczyłam mu, jak trafić do najbliższych delikatesów. Wy słuchał mnie uważnie i sądziłam, że sobie pójdzie. Zaczęłam się rumienić, kiedy on ociągał się z odejściem od mojego biurka i wymruczał coś o tym, że niedaleko jest sushi bar, gdyby się okazało, że te kanapki nie bardzo mu odpowiadają.

- Tak naprawdę bardziej mnie interesuje przekonanie cię, że-
byś do mnie dołączyła, niż samo menu - rzekł, uśmiechając się.

Gapiłam się na niego. Tępym wzrokiem. Pełna niepokoju, czy przypadkiem czegoś źle nie zrozumiałam. Musiałam dobrze

wyglądać w tamtej garsonce, nie ma innego wyjaśnienia. Nadal ją mam, choć brak już okazji, żeby ją nosić. Zjedliśmy więc po kanapce, po pracy poszliśmy na drinka, a jeszcze później na kolację. Nie przestaliśmy jeść i pić przez następnych jedenaście lat. Jeść, pić i kochać się. Ponieważ tak, oczywiście, na początku było całe mnóstwo seksu.

Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. Szczypałam się. Dosłownie. Na rękach miałam małe siniaki. Peter, grecki bóg, niezłe ciacho i ogólnie dobry facet, wybrał mnie. Mnie! Mógł spotykać się z każdą, a on wybrał mnie. Każdy dzień uważałam za dar i czerpałam, ile się dało, z posiadania takiego fantastycznego chłopaka. Nie mogłam się doczekać, żeby móc się nim popisywać. Zaciągnęłam go do domu, przedefilowałam z nim przed wszystkimi koleżankami i zabrałam, żeby poznał Daisy, która wtedy jeszcze studiowała. Tam, oczywiście, poznał Lucy. Cóż za ironia losu, że to właśnie ja ich sobie przedstawiłam. Jak się można było spodziewać, ogólnie wszystkim przypadł do gustu. Mama, tata, Daisy, moi przyjaciele, przyjaciele Daisy - wszyscy go lubili, a najbardziej lubiłam go ja. Tak bardzo, że w ogóle nie słuchałam delikatnych i wcale nie takich delikatnych przestróg Daisy, że grozi mi przecenianie jego wartości, a niedocenianie własnej.

Czasami, jeśli rzeczywiście sama spędzam deszczową niedzielę, zadręczam samą siebie. Doprowadziłam to do perfekcji. Po tym, jak już uporam się ze wszystkimi pracami domowymi, prasowaniem i tym podobnym, siadam i zastanawiam się, czy od razu się w niej zakochał, w chwili gdy uściśniły sobie dłonie. Na pewno mu się przynajmniej spodobała, jest przecież mężczyzną. Boże, czasami mnie także się podobała, jest w końcu fantastyczna. To znaczy - z wyglądu. Uważam, oczywiście, że na wielu innych płaszczyznach jest do niczego. Był zbyt wielkim dżentelmenem, żeby z miejsca się mnie pozbyć? Albo się zastanawiam, czy zaczął o niej marzyć po tym, jak zjawiła się na naszym ślubie, bez osoby towarzyszącej, ale za to w ogrom-

nych rozmiarów kapeluszu. Miała liliową suknię i zawładnęła wyobraźnią wszystkich gości. I pewne było, że przyćmiła pannę młodą. Czy też stało się to później, kiedy urodziłam bliźniaki i mieliśmy zbyt zapuchnięte oczy z braku snu, żeby dobrze się widzieć nawzajem? Nigdy nie zapytałam. Chyba nie bardzo chcę poznać odpowiedź. Jak już powiedziałam, nigdy się nie spodziewałam, że zatrzymam go przy sobie na zawsze. Lubię wierzyć w to, że był mój przez sześć lat spotykania się ze sobą i pięć lat małżeństwa. Nie chcę słyszeć, że wcale nie tak długo był mój.

Peter zostawił mnie, kiedy chłopcy mieli piętnaście miesięcy. Chyba wtedy skończyło się moje szczęście. Został odwołany. Przywrócono naturalny porządek rzeczy. Moja runda okazała się dłuższa, niż się wcześniej spodziewałam. Moim błędem było to, że stałam się zbyt pewna siebie, pozwalając sobie czasami wierzyć, że może to się dzieje naprawdę, że może mam go na zawsze. Nigdy nie powinnam była zapomnieć o tym, o czym byłam przekonana na początku: że w końcu i tak będzie z Lucy. Może nie z Lucy Hewitt-Jones, ale z kimś jej pokroju. Zupełnie różnym ode mnie.

Obiad okazuje się sukcesem. Chłopcom jakoś udaje się oderwać od game boyów, przyjść i rozmawiać (tak jakby) z naszymi gośćmi. Dzieci Connie są zbyt małe i mają niewłaściwą płęć, żeby zainteresować sobą Henry'ego i Sebastiana. Connie i ja żartujemy sobie, jak to wszystko się zmieni, kiedy będą nastolatkami. Fran ma cztery lata, a Flora osiemnaście miesięcy. Sposób, w jaki Luke wciąż dotyka Connie, głaszcze ją po udzie, ściska dłoń i tak dalej, sprawia, że w ogóle by mnie zdziwiło, gdyby wkrótce ogłosili wszem i wobec, że w drodze jest potomek numer trzy. Czasami zachowują się jak nowożeńcy, i kiedy tak czynią, czuję się wytracona z równowagi. Muszę mocno i raz po raz przełykać ślinę, żeby się powstrzymać... Nie wiem, przed czym. Powstrzymuję się od płaczu, od śmiechu, wydawania okrzyków i gratulowania im.

Wiem, dlaczego ich nieskrywane uczucie tak silnie na mnie oddziałuje. Chodzi o to, że Connie i Luke mieli problemy małżeńskie mniej więcej w tym samym czasie co Peter i ja. Connie może i jest uosobieniem małżeńskiego oddania i idealną mamą teraz, ale kiedyś miała romans. Tak samo jak Peter. Różnica jest taka, że im udało się to przezwyciężyć. Przeglądałam się im wtedy i zastanawiałam, co takiego pozwoliło im przetrwać niewierność, gdy tymczasem mój świat rozpadł się na kawałki. Przekonywałam się, że Luke nie mógł kochać Connie bardziej, niż ja kochałam Petera, to nie było po prostu możliwe. Nie trzeba było dużo czasu, żebym wydedukowała, że różnica była taka, że Connie kochała Luke'a bardziej niż Peter kochał mnie. Connie nie chciała odejść. W gruncie rzeczy to całkiem proste.

Daisy wygląda na zmęczoną i jest za chuda. Zasługuje na więcej szczęścia, niż jest jej dane. Ona i Simon są małżeństwem od sześciu lat i tajemnicą poliszynela wśród bliskich im osób jest to, że od samego miesiąca miodowego starają się o dziecko. Nie zmartwili się, kiedy pierwszy rok małżeństwa nie przyniósł żadnych rezultatów w tej materii. Prawdę mówiąc, wtedy Simon lubił sobie z tego żartować i twierdził, że taką ma ochotę na staranie się, że byłby właściwie nieco rozczarowany, gdyby im się od razu udało. Simon nie żartuje już na temat płodności - oboje w zasadzie w ogóle nie żartują.

Od Daisy wiem, że po osiemnastu miesiącach mniej lub bardziej nieustannego i wspaniałego seksu wprowadzili do swojego życia termometry i witaminy. Ucierpiała na tym, jak się można było spodziewać, jakość ich życia seksualnego. Daisy twierdzi, że atmosfera siada, jeśli natychmiast po seksie trzeba leżeć na podłodze z uniesionymi nogami. Pomijając wszystkie inne kwestie, podłogę w sypialni mają wyłożoną płytkami, jest więc zimna. Zasugerowałam, żeby kupili dywan i dalej się starali. Po kolejnych sześciu miesiącach Daisy wybrała się do lekarza, a trzy miesiące później to samo zrobił Simon.

Na tamtym etapie potrafili jeszcze żartować ze swojego kłopotliwego położenia, gdyż wciąż mieli nadzieję. Rozśmieszali nas historyjkami o tym, jak Daisy dzwoni do Simona, wywołując go z zebrań, nalegając, żeby w ciągu godziny zjawił się w domu, ponieważ „jest odpowiednia pora”. Connie i ja ćwiczyłyśmy nawet robienie zastrzyków owocom, ponieważ Simon jest nieco delikatny i nie był w stanie kłuć tyłka Daisy, co było niezbędnym elementem jednej z jej kuracji. Wtedy się z tego śmiałyśmy, ale seria badań chirurgicznych, które nie przyniosły jednoznacznego wyniku, oraz trzy lata regularnych miesięczek zgasiło całą naszą wesołość. W zeszłym miesiącu nie powiodła się druga próba zapłodnienia *in vitro*, a mnie skończyły się frazesy.

Daisy od zawsze kocha dzieci. Być może nawet bardziej niż ja. Kocham swoje dzieci i dzieci moich przyjaciół i nawet niektórych kolegów moich dzieci, ale Daisy nie jest taka wybredna. Ona kocha wszystkie dzieci. Uczy w szkole podstawowej, co było jej marzeniem, odkąd w wieku pięciu lat poznała swoją pierwszą nauczycielkę. Lubi swoją pracę i z tego co mi wiadomo, jest szanowana i lubiana zarówno przez współpracowników oraz rodziców, jak i dzieci. Serce mi się kraje za każdym razem, gdy słyszę, jak Daisy mówi komuś, że jest nauczycielką, i zawsze dodaje, że jednym z plusów tego zawodu są wakacje, które przydają się, kiedy ma się dzieci. I osoba, z którą rozmawia, zawsze kiwa entuzjastycznie głową, czasami nieświadoma tego, że Daisy tak naprawdę nie ma dzieci.

To nie wina Connie i Luke'a. Nie jest tak, że afiszują się ze swoim szczęściem. To tylko czasami tak wygląda. Podczas każdej pięknej, zdrowej ciąży Connie nie mogę się powstrzymać przed zastanawianiem się nad tym, czy jeszcze kiedykolwiek dane mi będzie uprawiać seks, nie mówiąc już o urodzeniu kolejnego dziecka ani o posiadaniu kogoś, kto jest gotowy wymasować mi stopy, kiedy jestem wykończona albo przybita po pracowitym dniu. Bóg jeden wie, o czym myśli wtedy Daisy.

Nie rozmawiamy dzisiaj o nieudanym zabiegu *in vitro* i staramy się nie poruszać kwestii związanych z pierwszym tygodniem roku szkolnego. Daisy raczej trudno by było udać zainteresowanie debatą nad tym, czy jeśli chodzi o szkolne mundurki, to lepsze są plakietki z imionami naszywane czy zaprasowywane. Tak czy inaczej, mamy o czym rozmawiać. Connie przyniosła ze sobą zdjęcia z wakacji.

- Trzy tygodnie w Devon. Szczęściarze z was, że oboje prowadzicie własną działalność i możecie sobie pozwolić na tak idylliczne wyjazdy - oświadcza Simon.

- Ty sobie także całkiem nieźle wypocząłeś w tym roku, Simes - mówi Luke. - Boże Narodzenie w Tajlandii, narty w lutym, a latem Francja. Uwierz mi, to talent fotograficzny mojej żony sprawia, że nasze wakacje wyglądają tak idyllicznie. Pomyśl sobie o brytyjskim lecie i piasku na kocu - śmieje się.

Connie daje mu żartobliwego kuksańca.

- Było idyllicznie. Okej, biwakowanie okazało się wyzwaniem może nieco zbyt ambitnym, zwłaszcza że ja nie spałam pod namiotem od czasów harcerskich, a ty nie próbowałeś tego nigdy.

- Przypomnij mi, jak długo wytrzymałaś w namiocie? - pyta Daisy.

- Jedną noc! - piszczy Connie.

Wszyscy się śmiejemy, gdyż wcześniej sporo energii włożyliśmy w to, żeby odwieść ją od pomysłu spędzenia wakacji pod namiotem — to coś zupełnie nie w jej stylu. Kładliśmy jej do głowy, że w namiotach nie ma gorącej ani nawet zimnej wody, nie mówiąc już o jacuzzi, ale ją urzekł niedzielny dodatek z nagłówkiem twierdzącym, że wakacje pod namiotem to nowe Barbados.

- Pamiętacie, jak przekonywała, że to będą oszczędne wakacje? - pyta Luke. Kiwamy zgodnie głowami. - Wydaliśmy osiemset fontów na sprzęt biwakowy, przez co ta jedna jedyna noc okazała się najdroższą w moim życiu. Co nie znaczy, żeby

mi się podobała, bo, po pierwsze, padał deszcz, a po drugie, Connie histerycznie piszczała, że wokół naszego namiotu krąży dzikie zwierzęta.

- Widziałam ich cienie - upiera się Connie, nie przestając się śmiać.

- Potem nie udało nam się dostać domku i musieliśmy zapłacić krocie za jakiś szpanerski hotel w stylu wiejskiej rezydencji, w którym roiło się od zestresowanych londyńczyków. Równie dobrze mogliśmy zostać w domu.

- Mnie się podobało - uśmiecha się Connie, zupełnie tym nieporuszona.

- Wiem, skarbie, mnie też, naprawdę. - Luke uśmiecha się do niej z uczuciem. - Nawet jeśli kierownik w moim banku doznaje hiperwentylacji.

- Ma ktoś ochotę na kawę? Niedaleko odkryłam uroczy sklepik Fair Trade. Mają tam świetną brazylijską kawę - proponuję.

- Dzięki, Rose - mówi Simon, głaszcząc się po wystającym nieco brzuchu. - Nic już nie zmieszczę. Obiad był przepyszny.

- Ja też dziękuję - odpowiada Luke, odsuwając krzesło.

- Nie dzisiaj - uśmiecha się Connie.

Huśta Florę na kolanie. Fran wymknęła się jakiś czas temu na zewnątrz z zamysłem przekonania Henry'ego i Sebastiana, żeby pozwolili jej grać z nimi w piłkę.

- Herbata? - proponuję.

- Nie, po prostu usiądź, Rose - mówi Daisy z lekką irytacją w głosie.

Ta lekka irytacja przykuwa moją uwagę. Daisy należy do niezmiennie uprzejmych i cierpliwych osób. Najwyraźniej nie-samowicie się zadreżca tym *in vitro*. Podnoszę głowę znad stołu, który akurat kończę sprzątać, i dostrzegam, że spojrzenia wszystkich są skupione na mnie.

- Rose — zaczyna Daisy, po czym urywa. Zerka na Connie, ale ją nagle pochłania zakładanie loków Flory za uszka. Simon

kaszle. — Rose — próbuje jeszcze raz Daisy. — Jestem pewna, że istnieje jakiś taktowny sposób na przeprowadzenie tej rozmowy, ale w tej akurat chwili nic takiego mi nie przychodzi do głowy, powiem więc wszystko bez ogródek. Jako twoja siostra mam taki przywilej. Pomyśl o tym w ten sposób, że wykorzystuję kartę jokera po trzydziestu kilku latach bycia dość oddaną i wrażliwą.

Nie mam pojęcia, co ona ma zamiar mi powiedzieć, ale gdy przyglądam się uważnie pozostałym trzem twarzom przy stole, jest jasne, że oni wiedzą d o k ł a d n i e , co Daisy zaraz powie, i wszyscy czują się skrępowani.

- O co chodzi, Daisy? — pytam ze spokojnym uśmiechem, który jest totalnie wymuszony i chyba nikogo nie przekonuje. Czuję, jak oblewam się szkarłatnym rumieńcem. - O Boże, nie jesteś chora, prawda? - Panika dławi mnie w gardle i zdusza słowa. — Dzieci. — Przenoszę pełne strachu spojrzenie na Connie.

- Nie, nie, nic z tych rzeczy - zapewnia współczująco Connie. Nachyla się ku mnie i ściska mi ramię.

- Nie przesadzaj, siostrzo, tylko utrudniasz - oświadcza ostrym tonem Daisy. - Chodzi o to, że rozmawialiśmy na ten temat i uważamy, że marnujesz swoje życie.

Connie gwałtownie obraca głowę w stronę Daisy i obrzuca ją gniewnym spojrzeniem, po czym idzie w ślady facetów, którzy wpatrują się w obrus. Jedynie moja siostra patrzy mi prosto w oczy — próbuje się zachowywać, jak gdyby nic się nie stało.

- Marnuję życie? - pytam z konsternacją.

- Tak, tak właśnie uważamy - odpowiada Daisy.

Wiem, że jest to dla niej trudne, i dlatego właśnie zachowuje się tak agresywnie, niemniej jednak uważam, że to, co właśnie powiedziała, jest niewybaczalne.

- „Wy”, czyli kto?

- My wszyscy. Twoi przyjaciele.

Moi „przyjaciele” nadal nie mogą się zdobyć na to, żeby na mnie spojrzeć. Wygląda na to, że moi przyjaciele to tchórze.

- Niezupełnie marnujesz - odzywa się Connie. - Tak tego bym nie nazwała. Świetnie sobie radzisz z chłopcami, musisz być z siebie taka dumna, my się po prostu zastanawialiśmy, co zrobisz później.

- Później? - Czuję osłupienie. - Chłopcy mają dopiero siedem lat, sporo czasu minie, zanim wyfruną z gniazda.

- Owszem, ale w końcu tak się stanie, Rose, i coraz mniej cię potrzebują - wtrąca Luke. - Sebastian zwierzył mi się, że nie chce już, żebyś przychodziła po niego do szkoły.

- Od kiedy wiesz, co jest najlepsze dla moich synów? Jakie masz prawo do tego, żeby aż tak się angażować?

- Cóż, jestem ich ojcem chrzestnym — odpowiada Luke.

- Chciałam po prostu, żebyś im kupował porządne prezenty na Gwiazdkę — warczę.

Do rozmowy włącza się Simon:

- Chcieliśmy jedynie porozmawiać z tobą o twojej przyszłości, Rose. Ponieważ jesteśmy twoimi przyjaciółmi i zależy nam na tobie. Nie możemy spokojnie siedzieć i przyglądać się, jak poświęcasz się chłopcom, zupełnie przy tym zaniedbując siebie. Nic innego nie robisz, tylko jesteś ich taksówkarzem.

- Nie masz znajomych ani zainteresowań poza szkołą - mówi Connie.

- Nigdy nie wydajesz pieniędzy na siebie, a jedynie bez końca inwestujesz czas i pieniądze w udoskonalanie ich i tak niemal idealnego życia - dodaje Daisy.

- Uważamy po prostu, że byłoby fajnie, gdybyś gdzieś wyszła i poznała jakichś nowych ludzi - wtrąca Luke.

- Może nawet wybrała się na kilka randek - uzupełnia Simon.

Ogarnia mnie przerażenie i wstyd, gdy uświadamiam sobie, że ta rozmowa stanowi wierzchołek góry lodowej. Wygląda na to, że ta czwórka rozsiała się wokół innego stołu, rozmawiała o mnie i litowała się nade mną, następnie zdecydowała, że jako moi „przyjaciele” mają prawo przedstawić swoje impertynenc-

kie uwagi. Czy omawiali to także z Peterem i Lucy? Sondowali, jakie jest ich zdanie na temat mojego smutnego, nędznego życia? O Boże, cóż za upokorzenie.

- Niedługo skończysz czterdzieści lat — oświadcza Daisy.

- Co o tym myślisz?

- Alternatywa dla starzenia się jest znacznie bardziej przerażająca - zauważam.

- Nie może być tak, że czymś, czego nie możesz się doczekać, jest ukazanie się na rynku nowego filmu Disneya - kontynuuje Daisy. - Ty nawet nie chodzisz do biblioteki, chyba że któryś z chłopców chce coś wypożyczyć. Rose, ty właściwie zniknęłaś - mówi na koniec.

- Na tym właśnie polega bycie matką, Daisy. Ale ty tego nie rozumiesz - odpowiadam gniewnie. Nie łagodzę nawet mojego zdania, dodając „jeszcze” czy „niestety”. Chcę zranić ją równie mocno, jak ona zraniła mnie. Patrzę, jak Daisy się wzdryga. - A teraz wybaczenie, ale myślę, że czas, byście wszyscy wyszli. Sebastian i Henry mają do odrobienia pracę domową i będzie im potrzebna moja pomoc.

Wstaję od stołu i krzyżuję ramiona na piersi.

- Nie odbieraj tego w taki sposób - mówi Connie. - Martwimy się o ciebie.

Daisy nie odzywa się ani słowem. Jest biała jak wyprane w wybielaczu prześcieradło. Simon obejmuje ją opiekuńczo i prowadzi w stronę drzwi. Luke trzyma głowę opuszczoną, ale zaczął już zbierać dziecięce zabawki, kubki i książeczki.

- Dziękuję za waszą troskę, Connie. Kiedy będę chciała, żeby ktoś mi powiedział, że moje życie jest banalne i pozbawione sensu, będę wiedziała, do kogo zadzwonić.

- My tak nie mówimy - nie daje za wygraną Connie. Bardziej wrażliwe kobiety zdążyłyby do tego czasu złamać się i błagać o przebaczenie. - To ty tak powiedziałas - dodaje, po czym udaje się w stronę drzwi.

6

NIEDZIELA, 10 WRZEŚNIA

LUCY

Cholera, musimy niedługo uprawiać seks. Od kiedy zaczęłam zwracać uwagę na częstotliwość - a raczej jej brak - w naszym seksie? Winszujemy sobie teraz, jeśli uda nam się to zrobić raz w tygodniu. Najczęściej w sobotę wieczorem, ale nawet to nie jest gwarantowane. Na przykład wczoraj do niczego nie doszło, ponieważ w telewizji puszczały niezły film. Co się porobiło? Pamiętam, jak kiedyś bzykaliśmy się jak szaleni w sali konferencyjnej w pracy, a potem znajdowaliśmy jeszcze sposób, żeby przed jego powrotem do domu wymknąć się na bardziej luksusową sesję w hotelu. Nie wierzę, że całe podekscytowanie wynikało z faktu, że Peter pozostawał w związku małżeńskim z kimś innym. Nie, to niemożliwe, żeby chodziło właśnie o to. Kiedy się pobraliśmy, również dość często uprawialiśmy seks. Szlag by trafił, czy to się zaczęło od przyjscia na świat Auriol? Wygląda na to, że tak jest ze wszystkim, co uciążliwe i problematyczne w moim życiu.

Tak między nami, nie mam rozciągniętej pochwy. Jest napięta i ciasna. I jestem pewna, że Pete nie ma powodu, żeby się uskarżać na mój wygląd - wiem, że nadal mnie pragnie w tym względzie. Tak wiele kobiet odpuszcza sobie, ale mnie wciąż się udaje ,raz w tygodniu chodzić do fryzjera, trzy razy w tygodniu na siłownię i regularnie bywać w ośrodkach SPA. Oboje mamy, rzecz jasna, napięte harmonogramy i ostatnimi czasy sprawiamy wrażenie znacznie bardziej zmęczonych, ale przerażające

jest uświadomienie sobie, że Peter może bardziej cenić sen niż przyjemną sesyjke ze mną. Próbowałam wykorzystywać jego poranną twardość, ale rzadko zdarza się coś takiego, jak poranne drgnięcie, nie mówiąc już o twardości. Próbowałam spotykać się z nim w porze lunchu w nadziei na szybki numerek, ale kończy się to tak, że chwytamy kanapkę i kawę, a nie swoje ciała. Próbowałam wieczornego masażu i nastrojowej muzyki - to była katastrofa. Po kilku minutach zasnął i rano miał czelność mi podziękować, twierdząc, że już od miesiący tak dobrze mu się nie spało. Czy obchodzi mnie jego sen? Nie. Obchodzi mnie moja zaniedbana seksualność i jego słabnące libido.

W zasadzie to dobrze, że Rose odwołała dzisiejszą wizytę chłopców. Teraz muszę jedynie pozbyć się jakoś Auriol i wykorzystać okazję, żeby nieco poświntuszyć. Siedzam ją przed telewizorem z miseczką suszonych moreli i włączam bajkę na DVD. Waham się, po czym wracam do kuchni po trochę popcornu Butterkist. Morele byłyby bez wątpienia lepsze dla jej zębów i systemu trawiennego oraz zapewniły właściwy rodzaj energii, ale raczej nie zainteresują jej na tak długo, żebym mogła się porządnie zabawić.

Udaję się do sypialni i wyszukuję jakąś seksowną bieliznę. Nie oznacza to, żeby w moich szufladach czaiły się jakieś szarości. O nie, nie ma potrzeby posiadania nieładnej bielizny, ale rzeczywiście mam kilka zestawów, które są bardziej kobiece niż seksowne, a minął już okres, gdy mogłam mieć nadzieję, że subtelna kobieca bielizna załatwi sprawę. Nie sądzę, żebym musiała już kupować figi bez kroku i strój pielęgniarce, ale czarna koronka i pas do pończoch są jak najbardziej nakazem chwili. Nie bez powodu stały się klasyką. Zakładam wysokie do kolan kozaczki od Gucciego, które mają stalowe obcasy i mnóstwo sprzączek, i narzucam na siebie trenecz Burberry. Zapina się go aż do samej szyi i wygląda nieco wojskowo, co mam nadzieję, Pete uzna za podniecające. Znajduję go w gabinecie. Drzemie, a na jego piersi leży jakiś otwarty dokument.

- A kuku - mruczę mu do ucha. - Tu kicia w butach.

Podskakuje.

- Wcale nie spałem, to tylko oczy mi odpoczywały.

Mówi jak jakiś dziadek. Odsuwając od siebie tę myśl, siadam mu okrakiem na kolanach. Delikatnie kręcę pupą, przyciskając ją do jego krocza, mając nadzieję na wywołanie namiętnej reakcji.

- Wychodzisz gdzieś? - pyta, trąc oczy i pokazując głową na mój płaszcz.

Nachylam się i go całuję.

- Właśnie wróciłam, skarbie. I jest naprawdę zimno. - Mówię to niemądrym, lekko chropawym głosem *a la* Marilyn Monroe.

- Kupiłeś może mleko? - pyta.

Pochylam się i ponownie go całuję. To długi, powolny pocałunek i coś zaczyna się we mnie budzić. To nie jest uczucie, pożądanie nie jest uczuciem.

Peter delikatnie odrywa swoje usta od moich.

- Nie mam pretensji do Ewy, wydaje się bardzo dobra, ale zabrakło nam trochę rzeczy w ten weekend. Nie wiesz, czy miała okazję podskoczyć do Waitrose? Naprawdę potrzebujemy mleka.

Kręcę pupą nieco mocniej i trenz się rozchyła, odsłaniając moje udo. Peter chyba tego nawet nie zauważa.

- W tej restauracji „Renesans” mają naprawdę dobre jedzenie, prawda? Choć muszę przyznać, że czuję się teraz trochę zbyt pełny.

W niedzielę nigdy nie jemy obiadu w domu. Prawdę powiedziawszy, jeśli tylko ja mam decydujący głos, w ogóle rzadko jadamy w domu. Naszą tradycją jest chodzenie do restauracji i w miarę możliwości wybieranie z menu czegoś, czego dotąd nie próbowaliśmy. Auriol dobrze zrobi nauczenie się, jak się zachowywać w restauracji i poznawanie wielu różnych kuchni. Nie znoszę dzieci, które jedzą tylko nuggetsy z kurczaka, i to w dodatku rękami.

Lekko gryzę ucho Petera, próbując sobie przypomnieć, co on takiego zjadł. Zamówił wątróbkę cielęcą i kaczkę, szczególnie dobre danie przed gorącą sesyjką. Powinam była zasugerować mu coś lżejszego, może kurczaka albo jakiś afrodyzjak, na przykład szparagi.

Objemuję ramionami jego szyję i zaczynam błądzić palcami po włosach. Zupełnie nie zwraca na to uwagi.

- Właśnie przeczytałem naprawdę fascynujący artykuł o parze, która kupiła pub w swojej wsi i przekształciła go w dom rodzinny. Dziwne, co? Wyobrażasz sobie, że mieszkasz w miejscowym pubie?

- W ogóle sobie nie wyobrażam pójścia do pubu, Peter. To zupełnie nie w moim stylu, prawda? - mruczę i podejmuję trud odnalezienia stref erogennych Petera. Obawiam się, że gdzieś zaginęły.

- Prawda - odpowiada. - Chyba że serwowaliby tam szampana. Tak czy inaczej, to całkiem niegłupia inwestycja. Mogą na tym naprawdę nieźle zarobić. W tej chwili jest to już warte sześćdziesiąt procent więcej od ceny, którą zapłacili.

Zupełnie na mnie nie zważa.

Siedzę mu na kolanach z rozłożonymi nogami, niemal tak, jak mnie Pan Bóg stworzył, i gryzę go w ucho. Jego dłoń opadła na moje nagie udo, które pociera, ale odnoszę wrażenie, że próbuje mnie raczej odruchowo rozgrzać niż pieścić.

- Lucy, kochanie, skoro wychodzisz, mogłabyś kupić mi też czekoladę? Po tym pysznym obiedzie mam ochotę na coś słodkiego.

- Opiera się na krześle, odrywając ode mnie, i klepie po brzuchu.

- Mleko i czekolada, i chyba nie trzeba nam nic więcej, prawda?

Uśmiecha się do mnie, wyrzucając mnie z impetem gdzieś między wściekłość, frustrację i czułość.

Schodzę mu z kolan i udaję się w stronę drzwi. Myślę, że mogłabym zrzucić płaszcz na podłogę i stanąć w pełnej krasie, to z pewnością byłaby wystarczająca aluzja, nawet dla Petera, coś mnie jednak powstrzymuje.

Czuję się upokorzona. Odrzucona. Gorzej - czuję się niewidzialna. Po raz pierwszy w życiu czuję, że nie jestem zdolna do wyartykułowania tego, na co mam ochotę. Proszenie o to, żeby się mną porządnie zajął, to o jeden krok za daleko.

Wychodzę z domu i idę szybkim krokiem do Cullen's po czekoladę i mleko, ciesząc się, że mogę uciec od tego dusznego i rozczarowującego zacisza domowego, które wykastrowało mi męża. To żadne pocieszenie, że obsługujący mnie nastolatek zdaje się wiedzieć, że pod płaszczem nie mam prawie nic. Jego wzrok zatrzymuje się na moich kozakach, a potem pożądliwie obrzuca mnie spojrzeniem od góry do dołu. Mało brakuje, żeby przytrzasnął sobie palce kasą. Podając mi resztę, upuszcza ją. Dla mnie jednak ten epizod nie jest ani trochę zabawny, lecz żałosny.

Pędzę do domu, ubieram się i resztę popołudnia spędzam przed komputerem. Kiedy sprawdzam listę rzeczy do zrobienia na niedzielny wieczór, wszystko związane z pracą mam już starannie odhaczone. Waham się przy punkcie „Czas przeznaczony dla Auriol” i zastanawiam się nad tym, czy dwadzieścia minut tłumaczenia jej menu i kolejne dziesięć spędzone na pomaganiu jej w wybieraniu płyty z filmem można tak zaklasyfikować. Ostatecznie przenoszę to na później, jako zadanie, które potrzebuje większej uwagi. Usuвам „Uprawiać seks” i nawet sobie nie zwracam głowy przenoszeniem tego punktu na następny tydzień.

PONIEDZIAŁEK, 11 WRZEŚNIA

JOHN

Fantastyczny weekend, choć były momenty, kiedy czułem się nieco jak Belzebub wodzący niewinnego na pokuszenie. Co ten Craig robił przez całe życie? W zeszłym tygodniu, kiedy wyskoczyliśmy na drinka, żeby uporać się z kwestią wieczoru kawalerskiego Toma, Craig przyznał, że jest zainteresowany. Chyba powiedział coś w rodzaju: „Nie miałbym nic przeciwko poznaniu kogoś wyjątkowego, kogoś absolutnie cudownego” lub podobne temu brednie. Jezu, za kogo on się uważa? Nawet Johnowi Lennonowi nie udało się sprawić, żeby opowiadanie kumplom takich głupot było czymś akceptowalnym. Wolę uznać, że słowa Craiga oznaczają, że ma ochotę zaliczyć panienkę. Migiem. Tej interpretacji sprzyjał częściowo fakt, że szukam nowego kozła ofiarnego. Toma pochłania teraz co innego, będę więc potrzebował kompana. Dlatego obiecałem Craigowi, że pomogę mu w poszukiwaniach.

- Naprawdę? - Wyglądał na rzeczywiście podekscytowanego, a przez grube na pół centymetra szkła w okularach przeświecała nadzieja.

- Aha, możesz się uczyć od Wielkiego Mistrza. Bezpłatnie podzielę się z tobą swoją wiedzą, wystarczy mi twoje miłe towarzystwo.

Żartowałem, ale nie tak do końca. Z Craigiem fajnie się spędza czas. Owszem, jest uczciwy i tym podobne, ale poza tym

bystry, bardzo dowcipny i świetnie zna zasady wszystkich gier, od szachów do piłki nożnej, co czyni go dobrym kompanem.

- Pierwsze, co mógłbyś zrobić, to pozbyć się tych okularów - zasugerowałem.

- Bez nich niczego bym nie widział.

- Hej, stary, to nieraz zaleta, kiedy się wybierasz na podryw. Czasami nie ma się ochoty patrzeć w kominek podczas grzebania w ogniu, jeśli wiesz, co mam na myśli. - Z miny Craiga wynioskowałem, że nie. - Spróbuj może soczewek kontaktowych albo lasera. Ja tak zrobiłem i nie mogę się tego nachwalić.

- Może. - W jego głosie było słycać powątpiewanie.

- Dziewczyny nie przystawiają się do facetów w okularach - wyjaśniłem. Wzruszył ramionami. Może się tym nie przejmuje. Może nie oczekuje, żeby dziewczyny się do niego przystawiały. Kto to wie? — Cóż, przynajmniej zmień oprawki - dodałem zachęcająco.

Prawda jest taka, że Craigowi przydałaby się całkowita zmiana stylu. Coś w rodzaju zmiany marki, tak właśnie powiedziałbym o nim w pracy, gdyby był jednym z moich projektów. Musimy pożegnać się ze starym wizerunkiem (poważny stary piernik bez poczucia stylu, humoru ani chęci przeżycia przygody) i zmienić go w niezłą partię. Na szczęście kobiety są bardzo wielkoduszne. Przyjrzą mu się i pomyślą, że to miś, nawet teraz. Pomyślą: „przyzwoita praca, niekarany, żadnych byłych żon, żadnych dzieci i brzydkiego zapachu”. Większość kobiet będzie dziękować Bogu.

Niemniej jednak przydałyby mu się jakieś nowe ciuchy i fryzura.

W sobotę Craig spotkał się ze mną i chłopakami w parku, żeby rozegrać mecz. Gram w nogę w każdy sobotni poranek, odkąd tylko nauczyłem się chodzić. Muszę mieć naprawdę dobry powód, żeby nie zjawić się na meczu, coś poważniejszego niż śmierć czy nawet bzykanko.

- Dalej, dziadku, jestem wolny, kopnij do mnie.

- Bardzo, kurwa, śmieszne! - wołam, podając piłkę.

Ten beczelny łobuz, który nazywa mnie dziadkiem, to koleś, z którym pracuję. Spoko facet. Nie nazywałby mnie dziadkiem, gdyby naprawdę uważał, że nim jestem. Całkiem niedawno powiedział mi, że podziwia moją wytrzymałość. Nie umawiałem się nawet z jego siostrą. Cha, cha.

Jestem miło zaskoczony tym, jak na boisku radzi sobie Craig. Jest w całkiem dobrej formie i nie przynosi sobie (ani mnie) wstydu. Kilka przyzwoitych podań. To tylko mecz towarzyski, staram się więc nie przesadzać z rywalizacją.

- Craig, stary, idziesz po meczu do pubu?

- Jasne, o ile mamy czas na szybkiego drinka. - Musi widzieć moją konsternację, ponieważ wyjaśnia: — Myślałem, że idziemy kupić mi jakieś nowe ciuchy.

Wygląda na zakłopotanego, zresztą tak być powinno. Na szczęście żaden z chłopaków go nie słyszał.

- Stary, rzeczywiście musimy kupić ci nowe ciuchy, ale żaden szanujący się facet nie wybiera się na zakupy w sobotę po południu. Sklepy są wtedy pełne bab.

- Sądziłem, że chcemy poznawać kobiety.

- Bo chcemy. Ale chcemy poznawać je w barach, pubach i klubach. Najlepiej, kiedy są już trochę wcięte i mają ochotę poswawolić. Nie w kolejkach do kasy w Top Shopie. Poza tym jest mecz.

- Mecz?

- Mecz piłki nożnej.

- Ale my właśnie graliśmy w nogę.

- Mecz będziemy oglądać. Na dużym ekranie, w pubie, przy kuflu piwa. Gwoli ścisłości - przy niejednym kuflu. Nie przejmuj się, pożyczę ci jakieś rzeczy na wieczór. - Na twarzy Craiga maluje się powątpiewanie. - Żaden problem.

- Według ciebie nic nim nie jest — mruczy.

Zostaliśmy w pubie do szóstej, popędziliśmy do domu, szybko się wykapaliśmy, a potem przed ósmą znowu wyszli-

śmy. Straciliśmy trochę czasu przeznaczonego na picie - mój kumpel Oscar i ja dobre czterdzieści minut przekonywaliśmy Craiga, że prawdziwi mężczyźni naprawdę chodzą w różowym. Ostatecznie i tak wybrał kolor niebieski - potrafi być prawdziwym uparciuchem.

To był szalony wieczór. Pub, bar, klub, powrót do mnie. Choć Craig popsuł trochę szyki Oscarowi, który chyba się wkurzył. Spiknęliśmy się z trzema panienkami. Wszystkie trzy były wyraźnie do wzięcia i chętne. Poznaliśmy je w barze i udały się razem z nami do klubu. Było dużo picia, flirtowania i tańców i uzgodniliśmy, że wszyscy pojedziemy do mnie, gdzie w domyśle czekał gorący ciąg dalszy, kiedy nagle Craig odmówił udania się z nami do taksówki.

- Eee, stary. Co ty sobie myślisz? Przecież wszyscy jedziemy do mnie.

Skinąłem głową w kierunku grupki za nami, czyniąc aluzję. Wiem, że nie ma odpowiedniej wprawy w tego typu kwestiach. Moja dziewczyna wisiała na mnie, ściskając mnie mocniej niż krawat od Hermesa. Panienska Oscara wykonywała tuż przed nim erotyczny taniec, polegający na wyrzucaniu bioder i kołysaniu nimi, twierdząc, że uczy go kroków, gdy tymczasem było jasne, że demonstruje nadchodzące rozkosze. A druga laska, ta, która została przeznaczona dla Craiga, czaiła się nerwowo w tle. Okej, nie była taką ślicznotką jak jej koleżanki. Miała śmieszne zęby i mogłaby ograniczyć nieco słodocze, ale miała supercycyki, a poza tym to przecież gra liczbowa, prawda? Trzy plus trzy. Wynik nie jest tak dobry, jeśli jedna osoba się wykrusza.

- Ja nie, dziękuję. Jestem zmęczony i bardziej niż wcięty - uśmiechnął się Craig. - Chyba za dużo wypiłem.

- Coś takiego nie istnieje, stary.

- Co się dzieje? Dlaczego nie wsiadamy do taksówki? - zapytała cycata.

- To był uroczy wieczór, dziękuję ci - rzekł Craig, odwracając się do niej. Wyciągnął rękę, żeby się z nią pożegnać. Wpa-

trywała się w nią urażona. — Jestem po prostu zmęczony, a jutro rano mam sporo pracy. Muszę zająć się poprawkami w programie nauczania matematyki dla klas siódmych.

- Że co? Nie możesz jechać teraz do domu. Impreza dopiero się rozkręciła. - Cycata posłała mu szeroki uśmiech. Próbowwała grać uwodzicielkę, ale jak już wspomniałem, zęby nie należały do jej mocnych stron. Ale przecież trudno oczekiwać, że pokaże mu na ulicy piersi, nie? - Bardzo by nam było smutno, gdybyś teraz nie pojechał. Zwłaszcza mnie.

Aż do tej chwili cycata nie wykazywała Craigiem jakiegoś szczególnego zainteresowania. Ale gdy zaczął ją wyraźnie spławiać, stał się natychmiast najbardziej pożądanym mężczyzną w Wielkiej Brytanii. Czemu kobiety mają taki zwyczaj?

- Zaczekaj chwilkę, dobrze, cukiereczku? - Odciągnąłem Craiga tak daleko, żeby nas nie słyszała. - Stary, to wygląda obiecująco. Dla nas wszystkich.

- Mam świadomość tego, że jest to sposobność - odparł Craig.

- Myślałem, że nie możesz się doczekać wrywania lasek.

- Nie, szukam kogoś wyjątkowego. Linda to całkiem miła dziewczyna, ale wyraźnie nie moja bratnia dusza.

Gdy Craig wypowiedział te słowa, cycata zaczęła wołać do swej koleżanki, że ma ochotę na curry albo kebab. Dostrzegłem, że ma na sobie spódnicę w lamparcie cętki. Jak mogłem wcześniej tego nie zauważyć? Oczyma wyobraźni widziałem, jak cały wieczór się rozwała.

Obok nas zatrzymała się taksówka.

- Jedziemy? - zawołał taksówkarz przez otwarte okno.

- Ja nie. On jedzie do domu - odparłem.

Poddałem się temu, co nieuchronne. Miałem już okazję się przekonać, jak uparty był Craig w kwestii różowej koszuli. Wiedziałem, że z nim nie wygram. Poza tym, jeśli kłóciłibyśmy się o to zbyt długo na zimnym nocnym powietrzu, mogłoby się to źle skończyć dla nas wszystkich: dziewczyny zaczęłyby trzeź-

wiec i na nowo odkrywać swoje rozchwiane zasady moralne i dopadłyby je wyrzuty sumienia.

- W żadnym wypadku nie mogę wziąć pierwszej taksówki - zaproponował Craig, dżentelmen do samego końca.

- Stary, muszę się tutaj zająć naprawianiem szkód. Skoro jedziesz do domu, to wsiadaj do tej cholernej taksówki i znikaj stąd. Później pogadamy.

Konsekwencje okazały się łatwe do przewidzenia. Cycata zezłościła się i uparła, że chce jechać do domu. Panienska Oscara oświadczyła, że nie może pozwolić Lindzie jechać samej. Moja laska nie wydawała się mieć w tej kwestii żadnych skrupułów, co dobrze wróżyło - lubię, gdy dziewczyna ma tak mało skrupułów, jak tylko to możliwe. Skończyło się tak, że Oscar wsiadł do taksówki razem z pozostałą dwójką, wciąż mając nadzieję, że mu się poszczęści. Być może nawet bardzo - wiem, że nadal czeka, żeby doświadczyć igraszek łóżkowych w trójkacie. Otrzymał jedynie pokaźny rachunek za taksówkę. Moja panienska, Gillian, pojechała do mnie i okazała się tak pozbawiona skrupułów, jak miałem nadzieję. Z łóżka zwlokłem się dopiero w niedzielę po południu. To dopiero wynik.

PONIEDZIAŁEK, II WRZEŚNIA

LUCY

- Przyjemny weekend, Lucy?

- Nieszczerólnie - odpowiadam z bezprecedensową szczerością. Pytanie to zadał Mick. Na piętrze transakcyjnym jest rzadko spotykanym typem, gdyż nie jest totalnym dupkiem. Pracujemy razem od mniej więcej sześciu miesięcy i przez ten czas miałam okazję widzieć u niego dowody prawdziwego poczucia humoru, a czasami nawet przebłyski inteligencji. Ziewam. - A twój?

- Zerwałem z dziewczyną, nie był więc taki zły.

- Zerwanie z kimś stanowi przynajmniej jakąś odmianę, pewną ekscytację.

- O rety, rety. Czyżby nie wszystko dobrze się układało w pałacu państwa Hewitt-Jones ukośnik Phillips? Księżniczka Lucy nie jest przypadkiem nieco znudzona?

Księżniczka to prywatna ksywa, jaką mi nadał. Wbrew jego intencjom wcale nie odbieram jej jako obraźliwej.

Chwilę wcześniej Mick podszedł do mojego biurka, a teraz siedzi na nim tak, że mimo prób skupienia się na ekranie i skrzynce odbiorczej, jedyne, na czym jestem się w stanie skupić, to jego udo. Jest ubrany w wełniany garnitur od Paula Smitha, który jest nieco bardziej swobodny od większości garniturów noszonych na piętrze transakcyjnym. Nagle ogarnia mnie niewytłumaczalna ochota, żeby pogłaskać to udo. To znaczy

- garnitur. Mam ochotę dotknąć tej wełny. Na pewno chodzi właśnie o to. Patrząc na Micka: ma zielone oczy, które są nieco podobne do moich, czyli frapujące. Ma także bardzo czarne włosy i po raz pierwszy zwracam uwagę na jego usta. Nie ekscytuję się, ponieważ się okazuje, że są raczej wąskie.

Większość asystentek ma ochotę przespać się z Mickiem. Nie mają jej jedynie te, które już to zdążyły zrobić. Co, jak rozumiem, nie stanowi odbicia jego łóżkowych umiejętności, a jedynie jest realistyczną oceną sytuacji. Mick stawia sprawę jasno — nie chce związku z kimś, kto widzi, jakie kanapki wybiera sobie na lunch. Mimo tej kwestii dotyczącej jego zaangażowania panie ustawiają się w kolejce, a każda ma nadzieję, że to właśnie ona sprawi, że Mick zmieni zdanie. Chyba rozumiem, co one w nim widzą. Kłopoty.

- Tak, jestem nieco znudzona. - Mówiąc to, patrzę mu prosto w oczy. On mnie ani trochę nie onieśmiela, ani też nie czuję do niego pociągu, najbardziej zaś klarownym sposobem na zademonstrowanie tego jest publiczne przyznanie, że szczęście domowego ogniska świeci czasami mniej jasno. Oboje jesteśmy na tyle inteligentni, żeby wiedzieć, że tak właśnie jest. Zaprzeczanie byłoby z mojej strony próbą flirtu. - Tak czy inaczej, Peter czyta we mnie jak w otwartej książce. W następny weekend najpewniej porwie mnie w jakieś fantastyczne miejsce.

- Może romantyczne chwile w Paryżu?

- Chodziło mi raczej o perwersyjne łóżkowe igraszki w Amsterdamie - odpowiadam, sprytnie wchodząc ponownie w rolę suki bez serca, której prywatnego życia strzegą siedmiocentymetrowe okiennice ze stali. - Mógłbyś przesunąć swój tyłek? Siedzisz na moim BlackBerry.

Mick posyła mi szeroki uśmiech (ładne zęby, zastanawiam się, kto jest jego ortodontą). Powoli wstaje z mojego biurka i rusza niespiesznie w kierunku swojego boksu.

- Miło się z tobą gawędziło, Księżniczko Lucy.

- Fascynująca rozmowa - odparowuję.

Zanim związałam się z Petem, przeżyłam więcej niż sporo krótkotrwałych epizodów z seksownymi i zamożnymi przystojniakami. Jednemu czy dwóm udało się okazać także interesującymi. Delikatne flirtowanie ze strony Micka nie jest dla mnie niczym nowym. Mężczyzna sprawdzający u mnie swoje szanse jest czymś równie naturalnym jak oddychanie. Nie uznaję fałszywej skromności, jest uciążliwa. Prawda jest taka, że jestem jedną z najbardziej pociągających kobiet, jaką większość mężczyzn miała okazję poznać. To coś, do czego się w końcu przyzwyczaiłam. Ma to swoje wady i zalety, choć nie znam ani jednej kobiety, która by mi uwierzyła. Problem polega na tym, że moje jasne włosy dyskwalifikują szacunek, na jaki z moimi doskonałymi wynikami na studiach i znakomitą, wyjątkową karierą zawodową mogłaby liczyć inna, mniej ładna kobieta. Musiałam cholernie ciężko pracować, żeby wyjść poza przydzieloną mi rolę biurowej laleczki. W każdym razie, nie mam co narzekać - wolałabym umrzeć, niż mieć grube łydki.

Szczerze mówiąc, flirtując ze mną, Mick posuwa się nieco za daleko. Jako biurowy Lothario jest przereklamowany, zwłaszcza przez samego siebie. Okej, jest dość bogaty, dość przystojny i dość inteligentny. To oznacza, że nie byłby po prostu wystarczająco dobrym mężczyzną, żebym się z nim umawiała. Zawsze wymagałam, aby przynajmniej jedna z tych cech była oceniana jako „wyjątkowa”. Nie oznacza to, żebym teraz w ogóle brała pod uwagę innych mężczyzn. Jestem zamężna. Mam Petera. Spędziłam dużo czasu, pragnąc Petera i czekając na Petera.

Dziwne, że moje skąpe majteczki La Perli płoną. Wysłałam Peterowi wiadomość przez Messengera, co jest bezpieczniejsze i szybsze od e-maila.

Królu seksu,

moje majteczki La Perli płoną na myśl o Tobie. Nie wracaj dzisiaj zbyt późno.

Kicia

Cóż, w majtkach mam rzeczywiście ciepło — to tylko mała, niewinne kłamstwo. Nie wierzę w to, że szczerść jest zawsze najlepszym rozwiązaniem. Po kilku sekundach otrzymuję odpowiedź.

Kiciu,

niestety, chyba będę musiał dziś zostać w pracy do późna. Udało Ci się zadzwonić do hydraulika w sprawie tego ciekącego kranu w ubikacji?

Przez chwilę się zastanawiam, czy przypadkiem nie umyka mi coś zaszyfrowanego. Czy ciekący kran ma jakieś sprośne konotacje, których pozostaję nieświadoma? Ale niestety, nie jest to żadna zaszyfrowana wiadomość - rzeczywiście potrzebny nam hydraulik. Sięgam po telefon i dzwonię do swojej asystentki, każąc jej się tym zająć. Macha do mnie zza swojego biurka, które znajduje się naprzeciwko mojego. Odbieram to jako zamierzoną krytykę, pozostaję jednak obojętna. Nie nawiązuję przyjacielskich kontaktów. Bratanie się z personelem jedynie wszystko gmatwa.

Ogólnie to nawet dobrze, że rynki wykazują dzisiaj tendencje zwyżkujące i muszę się mocno koncentrować, żeby nie popełnić żadnego błędu. Rzeczywiście koncentruję się i nie popełniam żadnego błędu, ale udaje mi się dokonać kilku świetnych transakcji i kiedy na koniec dnia wyłączam komputer, czuję, że jestem znakomita.

Do mojego biurka podchodzi Mick i pyta, czy chcę wyjść z nim i kilkorgiem innych ludzi na zasłużonego drinka. Patrząc mu w oczy, szukając tej iskry chemii, którą czułam rano. Nic. Żadnych uderzeń gorąca ani dreszczy. Całkiem mu do twarzy z cieniem popołudniowego zarostu na twarzy, ale ponownie trafił do przeznaczonej sobie szuflady, tej z napisem KOLEGA Z PRACY. Co za ulga.

- Dzięki za tę propozycję, Mick, ale chyba wcześniej dziś wyjdę. Jutro mam ważną prezentację przed wkurzonym klientem.

- Wkurzanie klientów nie jest w twoim stylu, Lucy.
- To nie ja. Odziedziczyłam ten cały bajzel.
- Po kim?

Zerkam do notatek.

- Joe Whitehead. Znasz go?

- Owszem. Kapcan. Od niedawna jest w naszej ekipie, choć nie mam pojęcia, jak udało mu się zdobyć tutaj pracę.

- Być może jest synem chrzestnym prezesa - sugeruję.

- Może. Naprawdę trudno znaleźć jakieś inne wytłumaczenie. To głupek i w dodatku najbardziej niebezpieczny typ głupka, ponieważ uważa się za geniusza.

- To oczywiste, że ten klient oczekuje teraz podlizywania się na maksa. Wychodzę do domu, ale wieczorem chcę jeszcze raz przejrzeć całą dokumentację.

- Jasna sprawa, do zobaczenia rano, Księżniczko.

To bezproblemowe pogodzenie się z moją odmową pójścia na drinka podkreśla fakt, że Mick nie ma wobec mnie żadnych poważnych zamiarów. Możliwe, że rankiem nawet nie zarejestrował tego delikatnego flirtu. Jestem dzieciątą mężatką i koleżanką z pracy - to dla niego za dużo komplikacji. Mick lubi, żeby seks był gorący, częsty i bezproblemowy.

Gdzieś głęboko czuję kłujące rozczarowanie. Jak to możliwe? Nawet go nie pragnę. Dlaczego chcę, żeby on pragnął mnie? Jakież to do mnie podobne.

Docieram do domu w porze kąpieli Auriol, ale nie wchodzę w paradę Evie — nie chcę zakłócać ich rutyny. Nalewam sobie gin z tonikiem i udaję się do sypialni, gdzie kładę się na łóżku. Nie chce mi się włączać tak od razu laptopa, biorę więc do ręki „Vogue'a” i zaczynam przerzucać strony.

Ten magazyn od dawna jest moim ulubionym. Prenumeruję go od pierwszego roku studiów. Jak zwykle zapełniają go zdjęcia dziewcząt o zapierającej dech w piersiach urodzie. Notuję sobie nazwę nowej marki bielizny, którą właśnie dostrzeżono, i adres perfumerii w Covent Garden, którą otworzyła pewna aktorka klasy A.

Auriol wpada do sypialni uzbrojona w misia i książeczkę. Jest dla mnie czymś niezwykłym, że zawsze, gdy rejestruje ją moja świadomość, jestem od nowa zachwycona jej błyskotliwością, żywiołowością i urodą. Za każdym razem zapiera mi to dech w piersiach. Nie oznacza to, że tymczasem zapominam o tym, jaka wspaniała jest moja córka, własne dziecko jest zawsze wyjątkowe. Przypomina mi niektóre modelki ze stron „Vogue'a”. Prawdopodobnie jest w wieku bardziej zbliżonym do nich niż ja. Ta myśl jest brutalna.

Czytam Auriol dwa rozdziały *Alicji w Krainie Czarów*. Ilustracje są zachwycające, a Auriol przynajmniej raz nie przerywa mi ciągle absurdalnymi pytaniami, zupełnie niezwiązanymi z tematem, na przykład „Jaki jest twój ulubiony kolor, mamusiu?” albo „Kiedy byłaś mała, to miałaś w domu jakieś zwierzę?”.

Kładę ją do łóżka tak szybko, jak się da. Kiedy światło w jej pokoju jest już zgaszone, dociera do mnie, że zapomniałam ją zapytać, co tam w szkole. Ale przecież powiedziałaaby, gdyby miała jakieś problemy, prawda?

Zamiast zjeść kolację, połykam sześć różnych witamin i piję szklankę zielonej herbaty z perzu. Smakuje paskudnie, ale mój dietetyk homeopata święcie w nią wierzy. Następnie wracam na górę, padam na łóżko i skupiam się na tej lizusowskiej prezentacji.

To musi być połączenie popisówki i uścisków dłoni. Bułka z masłem. Po jakimś czasie zerkam na zegarek. Wpół do dziesiątej. Petera jeszcze nie ma. Zastanawiam się, czy do niego nie zadzwonić i nie zapytać, kiedy wróci do domu. Może i warto nie kłaść się spać. A może wcale nie.

Tłumię ziewnięcie. Kiedyś miałam tyle energii. Słyszę z tego, że potrafię spać cztery czy pięć godzin na dobę. Twierdziłam, że wyśpię się wtedy, kiedy umrę. Nadal tak uważam. Naprawdę...

Słyszę, jak gdzieś blisko ucha piszczy mi komórka. Mam mętlik w głowie i moja pierwsza myśl jest taka, że zasnęłam przy

biurku. Próbuję się dobudzić i kiedy odbieram telefon, przypomina mi się, że nie jestem w pracy, ale w domu, we własnej sypialni. To pewnie Peter, żeby mi powiedzieć, że już wraca.

- Peter!

W moim głosie radość subtelnie miesza się z frustracją. Chcę, żeby wiedział, że jestem zadowolona, że dzwoni, ale nie chcę tak od razu odpuścić mu tego, że wraca późno do domu. Udoskonaliłam ten ton w czasach, gdy byłam jego kochanką i niezliczone wieczory czekałam na jego telefon.

- Wybacz, Księżniczko. To nie twój mąż, lecz mężczyzna twoich marzeń.

- Chciałeś powiedzieć „koszmarów”, Mick.

Pocytuję sobie za niezłe osiągnięcie to, że jestem w stanie udzielić mu riposty, mimo że jestem ledwie przytomna. Nie warto pozwalać współpracownikom wściubiać nosa w życie domowe. A skoro o tym mowa, dlaczego Mick dzwoni do mnie o - mocno się staram, żeby dojrzeć zegarek, w pokoju jest zupełnie ciemno - o 22.30?

- Jak tam twoje cyferki? - pyta.

- Dodają się - odpowiadam chłodno.

- Skończyłaś więc już tę prezentację? Położyłaś ją do łóżeczka?

- Tak.

Nie dodaję, że ja także leżę w łóżku. Jaki szanujący się trader przyznałby się do tego, że jest wykończony o 22.30? Cała reszta pewnie rozgrzewa się dopiero na imprezie.

- Wiedziałem, że poradziłaś już z nią sobie, Księżniczko, dlatego dzwonię, żeby sprawdzić, czy może nie zmienisz zdania i nie przyłączysz się do nas. Ruszamy do Notting Hill, to twoje okolice, prawda?

Owszem, ale nie jego.

- Dlaczego jedziesz aż tak daleko na zachód?

- Kilku ludzi wybiera się do Hammersmith, do tego klubu ze striptizem, Sekrety. Znasz go?

- Tak.

- Nie w moim stylu.

- Striptizerki nie są w twoim stylu? - W moim głosie sły-
chać zaskoczenie.

- Nie zrozum mnie źle, lubię je jak każdy facet. Po prostu uważam, że Sekrety to nieco tandetne miejsce w porównaniu z niektórymi klubami dla panów, do których chodzę.

- Tak. Cóż, trzeba się trzymać ustalonych standardów - żartuję. - Ale nie zadzwoniłeś przecież, żeby podzielić się ze mną swoją listą trzech najlepszych barów z laskami w mieście, prawda?

- Prawda. Twoje imię po prostu wypłynęło podczas roz-
mowy...

Naprawdę? Mam ochotę zapytać o kontekst tej rozmowy, wiem jednak, że nie mogę. Zresztą Mick i tak nie powiedziałby prawdy. Mogło być tak, że rozmawiali o giełdach i akcjach i stwierdzili, że miałam dobry dzień, albo może dyskutowali na temat klubów ze striptizem i zupełnie innych liczb. Seksizm staje się problemem jedynie wtedy, gdy się na to pozwala.

- Jak już mówiłem, pomyślałem sobie, że może miałybyś ochotę na drinka po całym ciężkim dniu pracy.

- Petera nie ma w domu. Niania już poszła, nie mam więc z kim zostawić Auriol - odpowiadam.

- Chłopcy mówili, że znajdziesz jakiś wykręt i że już w ogóle nie chodzisz na imprezy. Cóż... Nie przejmuj się. Tak naprawdę wcale cię tu nie potrzebujemy, Księżniczko. Nie chcieliśmy jedynie, żebyś wytoczyła nam proces, twierdząc, że wszystkie sprawy służbowe są załatwiane wokół stołu w barze, a nie w sali konferencyjnej, i że nie dano ci szansy, żebyś mogła się przyłączyć. Do zobaczenia jutro. - Rozłącza się.

Ten żart, jak większość jego żartów, ma swoje podłoże w podstawowym powodzie do narzekań. Przyjęło się, że wiele interesów i kontaktów jest załatwianych w barach nad butelką Bolly. Kobiety wkurzają się, że po tym, jak urodzą dzieci, te

sposobności nawiązywania kontaktów po godzinach pracy przechodzą do historii (głównie wkurzają się dlatego, że to mówi coś autorytatywnego o mężczyznach, z którymi mają dzieci, którzy, nawiasem mówiąc, są w stanie nadal brać udział w tych wieczornych nasiadówkach). Osobiście nie widzę problemu w zapłaceniu opiekunce i udaniu się bez zbędnej zwłoki czy ceregieli do najnowszego baru w stylu minimalistycznym. Tego właśnie wymaga praca i trzeba to robić. Dlatego uwaga Micka jest niesprawiedliwa. Normalnie dotrzymuję kroku tym napalonym facetom. Ostatnio wyszłam gdzieś z nimi... Waham się.

Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz spotkałam się gdzieś z kolegami z pracy w celach czysto towarzyskich. W zeszłym tygodniu musiałam na dwa dni lecieć do Berlina. W czwartek byłam na kolacji z klientem, a w piątek pracowałam do późna. Biorę terminarz i przerzucam strony. Ostatni raz zgodziłam się wyjść gdzieś z nimi sześć tygodni temu. W *city* to całe wieki.

Zwlekam się z łóżka i idę do łazienki. Ochlapuję sobie twarz wodą i zastanawiam się, czy nie pomalować ust błyszcznikiem i nie włożyć jakiegoś błyszczącego topu. Mogłabym zadzwonić do Petera i kazać mu natychmiast wrócić do domu, żebym mogła udać się razem z resztą do klubu ze striptizem.

Ponownie się waham. Jeszcze raz patrzę w lustro. Od kiedy stałam się kobietą, która zasypia zbyt wykończona, żeby zmyć makijaż? Na mojej twarzy widać dziwaczne wgniecenia tam, gdzie dotykała podczas snu wyszywanego wzoru na pościeli z egipskiej bawełny. Tusz do rzęs poukrywał się w zmarszczkach, które odchodzą od kącików moich oczu niczym odpływy wielu rzek. Zbliżam twarz do lustra. I na dodatek mam zmarszczki wokół ust. Moja skóra zaczęła się starzeć i siła grawitacji robi swoje. Lekko, pewnie niedostrzegalnie dla przeciętnego obywatela, ale gdyby miała mi się przyjrzeć kobieta w wieku dwudziestu kilku lat, wiedziałaby, że nie należę do jej przedziału wiekowego. Niedługo stanę się kobietą, o której ludzie mówią, że jest piękna jak na swoje lata.

Starannie usuwam makijaż, biorę prysznic, delikatnie wycieram się do sucha, a potem nakładam jakiś tuzin polis ubezpieczeniowych (żel napinający do biustu, balsam antycellulitowy, krem nawilżający do stóp i do rąk, krem nawilżający na szyję i coś wyjątkowego na okolice oczu). Wracam do łóżka, gaszę światło i zastanawiam się, gdzie jest Peter. Nie mogę twierdzić, że nie ma go w domu więcej niż kiedyś — jego praca jest bardzo wymagająca, zawsze taka była. Różnica tkwi w tym, że kiedy ja byłam jego kochanką, to Rose czekała w domu, a ja co wieczór towarzyszyłam mu podczas służbowych imprez. Nie nadaję się do beczynności.

Krótko po tym, jak zostaliśmy parą, Peter otrzymał fantastyczną propozycję pracy w innym banku kupieckim. Uznaliśmy, że przyjęcie tej posady jest dobrym pomysłem, nie tylko ze względu na dodatkowe pieniądze, ale także dlatego, że oboje zgodziliśmy się co do tego, że trochę przestrzeni dobrze nam zrobi. Fajnie pracowało się razem, kiedy mieszkaliśmy osobno, ale nikt nie ma ochoty być ze sobą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, prawda? Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak dużo czasu oboje spędzamy w pracy, znacznie więcej niż w domu. Pracując osobno, utraciliśmy sporo chwil wspólnej zażyłości i teraz Peter chodzi na inne imprezy, kolacje z klientami i konferencje. A ma ich wiele. Ja natomiast zostaję w domu i najbardziej ekscytującym wydarzeniem wieczoru staje się telefon od Micka.

Siadam i ponownie włączam lampkę przy łóżku. Nagle czuję się zbyt poruszona, żeby zasnąć. Kocham Petera tak bardzo, naprawdę. Bardziej niż samą siebie. Bardziej niż moje dziecko. Coś takiego zdarza się rzadziej, niż by to sobie można wyobrażać. Większość mężczyzn zakłada, że w kwestii uczuć są dla swoich partnerek numerem jeden, jednak większość matek w skrytości ducha znacznie większą miłością darzy dzieci niż swoich mężczyzn - przynajmniej do czasu, gdy te dzieci wkraczają w okres dojrzewania. Jestem oczarowana Peterem. W swoim najlepszym

wydaniu jest bystry, zabawny, interesujący, nieprzyzwoity i dla mnie niezbędny. W najgorszym i tak jest dla mnie niezbędny. Ja jestem niezbędna Auriol i na myśl o takiej odpowiedzialności skręca mnie w środku. Jestem pewna, że w jej oczach zawodzę ją pięćdziesiąt razy dziennie. Nie lubię porażek, zwłaszcza własnych. Jej miłość jest tak wielką odpowiedzialnością.

Dla zabicia czasu kartkuję swój terminarz, chcąc ustalić, kiedy Peter i ja po raz ostatni wyszliśmy gdzieś razem tylko we dwoje. Pięć tygodni temu. Często wychodzimy, ale zazwyczaj w towarzystwie innych par, kolegów z pracy albo klientów. Nie jestem pewna, kiedy nastąpiła zmiana także i w tej materii. Kiedyś z wielką pasją spędzaliśmy razem czas - teraz to nasi zabawni znajomi wypełniają luki w rozmowach prowadzonych ponad koszykiem z pieczywem. To nie tak, że jesteśmy sobą znudzeni, po prostu przez siedem wspólnych lat wysłuchaliśmy już wszystkich swoich opowieści.

O rety. Nie miałam o tym pojęcia. Dwa razy kartkuję roczny kalendarz na końcu terminarza, żeby się upewnić. Czuję dreszcze podekscytowania, które po kilku sekundach przekształca się w pełen triumf. Uczucie, w którym teraz będę mogła się już pławić zawsze. Nie jest trudno dodać dwa do dwóch. Byłam, bądź co bądź, na ich ślubie, i stałam się przyczyną rozwodu. Przysięgę małżeńską od orzeczenia o rozwodzie dzieliło pięć lat i dwa miesiące. Wychodzi na to, że cztery miesiące mniej od mojego małżeństwa z Peterem. Jestem żoną Petera dłużej, niż była nią Rose.

Jakie to ekscytujące. Jakie ważne. Czuję, jak ogarnia mnie coś w rodzaju ulgi. Peter jest moim mężem już od pięciu i pół roku, co powinno być wystarczająco długim okresem, ale od zawsze dręczył mnie niepokój, że on należy nie do mnie. Że należy do Rose. Nie wierzę w to, że są sobie przeznaczeni czy też złączeni po wsze czasy. Uważam jednak, że bycie z nim przypomina noszenie czyjegoes swetra, co nie oznacza, żebym choć raz w życiu kupiła coś w sklepie z używaną odzieżą - nawet w cza-

sach studenckich, kiedy było to modne. Nie popieram tej całej idei stylu *vintage*. Poza kwestiami higieny zawsze byłam przekonana, że pewnego dnia ktoś klepnie mnie w ramię i powie: „Przepraszam, chyba masz na sobie mój sweter. Chciałbym go z powrotem”. Mógłby mnie nawet rozebrać na ulicy, zgodnie z prawem domagając się tego, co do niego należy. Czasami tak właśnie się czuję, jeśli chodzi o Petera. Otrzymałam go z drugiej ręki i pewnego dnia, bez ostrzeżenia, ktoś (Rose) mógłby zażądać jego zwrotu. Oczywiście, że ten niepokój jest absurdalny. Zupełnie pozbawiony logiki. Ale tak właśnie jest z irracjonalnymi obawami - są niedorzeczne.

Ale Peter jest m o i m mężem dłużej niż był jej mężem. Jest teraz mój. Jest m ó j .

Mój Boże, musimy to uczcić. To coś fantastycznego. Wyłączam światło i udaję się na zasłużony odpoczynek.

WTOREK, 12 WRZEŚNIA

ROSE

Odprowadzam chłopców do szkoły i przy bramie zamieniam kilka słów z innymi mamami. Wpisuję się na środowe popołudnie na dyżur w bibliotece i łapię pana Shawa, nauczyciela wuefu. Pytam szybko o rozmiar ręcznika, jaki chłopcy mają przynieść na czwartkowe lekcje pływania.

- Jaki tylko uzna pani za stosowny, pani Phillips - odpowiada pan Shaw.

Pan Shaw pochodzi z Południowej Afryki i zbliża się do trzydziestki. Jest wysoki, opalony, ma jasne włosy i wszystkie dzieciaki go uwielbiają. Wiele matek także. Patrząc na niego i widząc człowieka, jakim chciałabym, żeby stali się kiedyś moi chłopcy: silny, uprzejmy, szczęśliwy i nieźle pojmujący zasady gry w krykieta. Boję się, że nie potrafię już na nikogo patrzeć pożądlivym okiem, i że gdyby nawet tuzin nagich greckich bogów miał o mnie walczyć, pozostałabym obojętna.

- Jestem pod dużym wrażeniem jakości dresów w tym roku - mówię.

- Cieszy mnie to, że się pani podobają - odpowiada z szerokim uśmiechem. - Przepraszam, pani Phillips, ale zaraz zacznie się lekcja, a naprawdę nie mogę się spóźnić.

- Nie, oczywiście, że nie. - Czuję się zażenowana. Co ten człowiek musi sobie o mnie myśleć? - Ja także mam mnóstwo spraw do załatwienia. Nie powinnam tak tutaj stać i sobie gawędzić - zapewniam go. - Jestem bardzo zajęta.

- Nie wątpię. A teraz naprawdę przepraszam.

Rusza szybkim krokiem w stronę sali gimnastycznej, a ja zostaję przed szkołą sama i zakłopotana.

Nagle się okazuje, że ulica jest pusta. Słychać trzask zamkniętych drzwi w samochodach matek śpieszących się do pracy albo do domu, w oddali zaś słychać dziecięce głosy. Rozbrzmiewa szkolny dzwonek i rozpoznaję głos pani Foster, wykrzykującej, że dzieci muszą się ustawić w równych szeregach. Stoję nieruchomo, aż odgłosy kroków cichną zupełnie.

Zaczynam myśleć o swoim dniu i o tym, co powinnam zrobić. Nie zmyślałam panu Shaw, rzeczywiście jestem bardzo zajęta. Mam w planach umycie okien. Muszę wpaść do Tesco i jeszcze zadzwonić do ośrodka sportowego, żeby odnowić karnety chłopców na pływanie. Sebastian chce chodzić w tym roku na tenisa, Henry zaś wykazuje nieco zainteresowania karate, będę więc musiała zrobić rozeznanie w tych kwestiach. Chcę także posiedzieć trochę w Internecie. Choć mamy dopiero wrzesień, chciałabym zacząć szukać gwiazdkowych prezentów. Urodziny chłopców przypadają w grudniu, a to zawsze gorący okres. Lepiej nie zostawiać planowania i zakupów na ostatnią chwilę.

Wzdycham.

Niespodziewanie czuję się kiepsko. Bardzo kiepsko. Mogłabym nawet użyć słowa „depresja”, a nie jest to słowo, którym szafuję. Wczoraj udało mi się znaleźć zajęcie i unikać myślenia o moich zdradzieckich tak zwanych przyjaciołach. Cały dzień spędziłam w ogrodzie - z werwą grabiąc liście i pieląc - przygotowując go do zimy. Nikt nie zadzwonił. Tak jak się spodziewałam. Daisy przez tydzień będzie się trzymać w cieniu, a potem zadzwoni do mnie, jakby nic się nie stało, bo tak już ma w zwyczaju. Możliwe, że mężczyźni zdążyli już zapomnieć, że cokolwiek zostało powiedziane, bo tak już mają w zwyczaju. Naprawianie stosunków zostanie dla Connie, ale wczoraj miała zlecenie w Northampton, nie bardzo więc mogła zadzwonić.

Zrobi to dzisiaj. Nie będę z nią rozmawiać. O nie. Co to, to nie. Nie po tej ich całej impertynencji. Nigdy więcej.

Ponownie ciężko wzdycham. Wymienienie w myślach rzeczy do załatwienia wcale mnie nie przekonało, że czeka mnie dzień pełen zajęć i pracy. Wprost przeciwnie. Mój dzień wydaje się nudny i nazbyt znajomy. Lista rzeczy do załatwienia jest desperacka i naciągana. Ni stąd, ni zowąd jestem pewna, że nie mogę spędzić ani jednej chwili więcej w supermarkecie. Znam na pamięć układ wszystkich półek i pewnie byłabym w stanie wymienić produkty, które są akurat w promocji. Okna myłam zaledwie w zeszłym tygodniu i co niezwykle, od tamtego czasu nie padało, nie potrzebują więc wcale czyszczenia. A do Bożego Narodzenia naprawdę zostało jeszcze mnóstwo czasu.

Czym ja się zatem zajmę?

Jestem zmęczona. Źle śpiam od czasu tej awantury po niedzielnym obiedzie. Jak Daisy śmiała! Jak którekolwiek z nich śmiało! Jakie to niegrzeczne! I wścibskie! Ja bym się nigdy nie ośmieliła zachować w podobny sposób. Serce po raz kolejny zaczyna mi szybciej bić. Zeszłej nocy biło tak szybko, że musiałam wstać z łóżka, przejść się po domu i wypić szklankę wody, żeby się jakoś uspokoić. Mieliby nauczkę, gdyby dopadł mnie zawał albo jakiś inny atak. Śmierć z powodu oburzenia. „Marnuję swoje życie”. Co za tupet. Co każe Daisy sądzić, że w porównaniu z moim jej życie jest takie wartościowe? Z mojego punktu widzenia jest jasne, że na ostatnie sześć lat jej życie uległo wstrzymaniu - i ona o tym wie. Może sobie twierdzić, że wszystkie te podróże, które odbywa z Simonem, i satysfakcja, jaką czerpią z pracy, coś znaczą, ale ja twierdzę, że błędą i tracą na znaczeniu w porównaniu z wychowywaniem potomstwa. Z pewnością zgadza się ze mną, w przeciwnym razie dlaczego tak bardzo by się starała, aby do tego doszło? A jeśli chodzi o Connie, cóż, odkąd zaczęła kręcić ten swój fotograficzny biznes, jest doprawdy nieznośna. Tylko dlatego, że udaje jej się godzić karierę zawodową z byciem matką, uważa się za królową

pokolenia tych, którzy chcą mieć wszystko. Nie zawsze była tak cholernie zorganizowana i przydałoby się, żeby jej ktoś o tym przypomniał. Koszmar.

Pieką mnie oczy i czuję pulsujący ból z tyłu głowy.

Właściwie to aż do niedzieli nie uważałam zachowania Connie za koszmarne. Zazwyczaj jest miła. Zawsze mnie wychwala i twierdzi, że przy mnie każda inna matka powinna się wstydzić. I aż do niedzieli bardzo mi było szkoda Daisy i Simona, ponieważ z największą radością poświęciliby swoje egzotyczne podróże, żeby otrzymać szansę zagrzebania się w piełuchach.

Ale jak mogli być wobec mnie tacy okrutni? Dlaczego zachowali się tak paskudnie?

Uzmysławiam sobie, że minęłam własny dom i z zaskoczeniem odkrywam, że stoję przed pobliskim Starbucksem. W kafejce znajduje się kilku śpieszących się pracowników biurowych, którzy w drodze na stację metra wpadli na podwójne espresso. Jest też kilka mam z małymi dziećmi. Dzieci raczkują po podłodze kafejki, na co nigdy bym nie pozwoliła, bez względu na to, jak bardzo czułabym się wykończona po nocy z małą ilością snu - to niehigieniczne. Dwoje ludzi czyta gazetę. Wyglądają na nieporuszonych, jakby czas był czymś, co można trwonić, a nie czymś, co trzeba wypełnić ani co mija w sposób niezauważalny - czego z kolei doświadczam ja.

Mogłabym do nich dołączyć? Nie jadłam śniadania. Usmażyłam dla chłopców naleśniki, ale nie miałam już czasu, żeby naszykować coś sobie. Jestem trochę głodna i po dwóch bezsennych nocach latte na pewno dobrze by mi zrobiło. Natychmiast ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Mam przecież w kuchennej szafce tę pyszną brazylijską kawę Fair Trade, mogłabym iść do domu i ją sobie zaparzyć. Siedzenie samej w kafejce wydaje się czymś ekstrawaganckim. Gdy próbuję odsunąć od siebie tę myśl, przyłapuję się na tym, że zamawiam latte i bułeczkę z cynamonem. Następnie siadam przy stoliku pod oknem.

Jest idealny dzień na suszenie ubrań, ciepły i wietrzny. Chodnik pławi się w jasnych, jesiennych promieniach słońca. Na chwilę ogarnia mnie poczucie satysfakcji, że rano przed wyjściem do szkoły udało mi się jeszcze rozwiesić pranie. Niewiele mam jest tak zorganizowanych. Gdy się opieram na szerokim fotelu, koncentruję się na rozluźnieniu ramion. Od prawie dwóch dni chodzę na rzesach.

Próbuję zacząć myśleć pozytywnie. Początek roku szkolnego roku można zaliczyć do udanych - panuje względny spokój. Z wyjątkiem narzekań Sebastiana, że nie powinnam już przychodzić po niego do szkoły (co jest absurdalne w czasach, kiedy nie można zrobić kroku, żeby nie wpaść na pedofila czy pod koła pędzącego samochodu). Chłopcy wracają ze szkoły do domu ubłoceni, spoceni i zmęczeni. Rozkładają się przed telewizorem, zjadają po kilka tostów, wypijają duże szklanki mleka, po czym wymuszam na nich zajęcie się czymś produktywnym, gdy tymczasem ja szykuję gorący posiłek.

Piątek okazał się nieco rozczarowujący. Wiele godzin poświęciłam na przygotowanie naszego corocznego jesiennego stołu przyrodniczego. Zebrałam kasztany, wydrążyłam w nich dziurki i nawlokłam na sznurki, żebyśmy mogli urządzić konkurs rozbijania kasztanów. Pozbierałam także różne rodzaje liści i orzechów, poszukałam książki o zapadaniu w sen zimowy i drugiej o traktorach, ponieważ lubię, gdy chłopcy rozumieją rzeczy, których nie dowiedzą się z kanału Loony Tunes. Udałam się do miejscowego sklepu dla plastyków i kupiłam farby w kolorze brązowym, pomarańczowym, czerwonym i rdzawym. Stół przemienił się w sanktuarium poświęcone porze mgieł i dojrzałej urodzajności. Jakoś udało mi się zdusić w sobie podekscytowanie, gdy chłopcy wcinali tosty, później zaś teatralnym gestem zaprosiłam ich do przybudówki.

- Pomyślałam sobie, że moglibyśmy pomalować te liście i poodbijać je na kartkach papieru - rzekłam.

Sebastian obrzucił mnie spojrzeniem pełnym nieskrywanej odrazy.

- Dzieci w zerówce tak robią, mamó.
- W tej książce są naprawdę świetne obrazki.

Obaj uparcie wpatrywali się w swoje stopy. Moja duma z powodu zakupów wyparowała. Było jasne, że bliźniacy nie pałają entuzjazmem wobec naszykowanego przeze mnie stołu.

- Nikt tak naprawdę nie gra w kasztany, nigdy, mamó, i nie robi się tego od czasów prehistorycznych, odkąd ty byłaś mała - stwierdził Sebastian.

W pierwszym odruchu chciałam poprawić jego pojmowanie pojęcia czasów prehistorycznych, ale dotarło do mnie, że mój syn ma rację. Nie pamiętam grania w rozbijanie kasztanów. Możliwe, że niektórzy chłopcy na moim podwórku tak się bawili, ale nigdy nie było to rozrywką tak powszechną jak gra w karty Top Trumps.

- Zawsze bawimy się w ten stół, a to nudne - dodał Henry.

Zrobiło mi się przykro. Poczułam się urażona ich zachowaniem i odczuciami. Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam sobie w myślach, że chłopcy mają siedem lat i nie są tak taktowni, jak to sobie wcześniej wyobrażałam.

Na szczęście moja potrawka z warzyw korzeniowych i faszerowane jabłka ze słodkim sosem spotkały się ze znacznie cieplejszym przyjęciem niż stół przyrodniczy. Nie wspomniałam nic chłopcom o tym, że to jedzenie jest także w temacie jesiennym. Coś mi mówiło, że miałyby to ujemny wpływ na ich apetyt.

Kiedy już skończyli odrabianie pracy domowej, wykąpali się i umyli zęby, przeczytałam im kilka opowiadań i sprawdziłam, czy mają na weekend czyste stroje do gry w piłkę. Potem zadzwoniłam do Connie na podnoszącą na duchu pogawędkę. Licytowałyśmy się, czyj dzień obfitował w większą liczbę chwil pełnych irytacji, chichocząc przy tym co nie miara. Tak było w piątek. W niedzielę Connie smagneła mnie swoim językiem. Kto by pomyślał, że coś takiego jest możliwe?

Zaczynam się zastanawiać. „Okrutna” i „nieprzyjemna” nie są słowami, których kiedykolwiek musiałam używać w od-

niesieniu do Daisy i Connie. A przynajmniej od czasów, gdy moja siostra i ja przestałyśmy się kłócić o lalki Sindy. Co one dokładnie powiedziały? Że marnują swoje życie. Pamiętam to wyraźnie mimo zmęczenia spowodowanego dwiema bezsennymi nocami. Chciałabym móc o tym zapomnieć, lecz nie jestem w stanie. To oskarżenie zakłuło mnie niczym ugryzienie komara i nie mogę się powstrzymać przed jego rozdrapywaniem. Trzeba oddać Connie sprawiedliwość - powiedziała, że świetnie sobie radzę z wychowywaniem bliźniaków. O co mnie zapytała? Co zamierzam robić później?

Kawa, jeszcze przed chwilą pyszna, teraz smakuje gorzko. Rzucam się na bułeczkę i odgryzam olbrzymi kawałek, desperacko pragnąc pozbyć się tego okropnego smaku. Bułeczka nie pomaga. Mam zbyt sucho w gardle, żeby ją przełknąć. Żuję i żuję, i żuję. Wyglądam pewnie jak wielka krowa przeżuująca trawę.

Chcieli porozmawiać ze mną o mojej przyszłości. Ich głosy wdzierają się do mojej podświadomości. Zeszłej nocy, kiedy znajdowałam się w otchłani rozpacz i rozczulania się nad sobą, byłam w stanie usunąć z ich słów troskę i współczucie. Zignorowałam zapewnienia, że oni jedynie myślą o mnie i pragną dla mnie tego, co najlepsze. W nocy łatwo było czuć gniew i oburzenie i co najważniejsze, dalej unikać tego, co sugerowali. Ale za dnia, gdy przez szyby sączą się promienie słońca, udawanie ignorancji nie okazuje się takie proste.

Nie mam przyszłości.

Pod względem finansowym jestem w miarę zabezpieczona, choć daleko mi do uznania się za bogaczkę. Po swoim odejściu Peter spłacił hipotekę za nasz dom. To był ogromny budynek. Sprzedałam go, sporą sumę zainwestowałam w systemy bezpiecznego oszczędzania, dla chłopców i dla siebie kupiłam zaś coś skromniejszego. Kiedy myślę o przyszłości, nie widzę siebie jako nędzarki z papierowym kubkiem w ręku sypiającej pod mostem. Ale co w takim razie widzę?

Mam nadzieję, że chłopcy pójdą na studia, będą się trzymać z dala od narkotyków i znajdą sobie pracę, która będzie im sprawiać przyjemność. Chciałabym zostać pewnego dnia babcią. Słowa Connie przedzierają się przez żywopłot, który starannie wyhodowałam w swojej głowie. To wypielęgnowany żywopłot, który przystrzygam i pielęgnuję - żywopłot, który stworzyłam po to, żeby chronił mnie przed nieprzyjemną rzeczywistością. Ale niczym paskudne, rozprzestrzeniające się chwasty, słowa moich przyjaciół przebijają się przez niego. „Nie masz znajomych ani zainteresowań poza szkołą”, „Uważamy po prostu, że byłoby fajnie, gdybyś gdzieś wyszła i poznała jakichś nowych ludzi”, „Może nawet wybrała się na kilka randek”.

Nie jestem głupia. Sama także miewam czasami bardzo podobne myśli. Może powinnam się postarać, wyjść gdzieś i poznać ludzi nie tylko przy szkolnej bramie. Ale jak miałabym to zrobić? Nie jest łatwo znaleźć opiekunkę, przy której chłopcy czuliby się swobodnie. Nigdy ich nie zostawiam z obcą osobą. Pewnie mogłabym czasem poprosić Daisy i Simona o to, żeby z nimi posiedzieli. Sami to regularnie proponują. Ale dokąd miałabym wyjść?

Waham się przez chwilę, po czym wracam do rozmyślań. Ja naprawdę mam różne hobby. Uwielbiam zajmować się ogrodem. Moje róże w tym roku były przepiękne, cała ulica o nich mówiła. Jestem dobrą szwaczką, sama szyję sobie zasłony. Jestem bardzo dobrą kucharką - wyhodowałam własne fałdki tłuszczu.

To spojrzenia innych ludzi, a nie sygnał telefonu uświadamiają mi, że dzwoni mój telefon komórkowy. Widzę, że to Connie. Odbieram natychmiast, mimo że wcześniej przysięgłam sobie, że będę ją ignorować.

- Przepraszamy, przepraszamy, przepraszamy. Naprawdę cię przepraszamy. Wszyscy. Bardzo mocno. Wybaczysz nam? - trajkocze. Milczę. Chcę czegoś więcej. - Staraliśmy się zrobić to, co należy. - Nie odzywam się. - Nikt nie wiedział, jak poruszyć z tobą ten temat, Rose. - Nadal cisza. - Gdyby tak bardzo nam na tobie nie zależało, nie odezwalibyśmy się ani

słowem. Moglibyśmy po prostu przez kilka kolejnych dekad co niedziela objadać cię do szczętu. To znaczy, jeśli mam być szczerą, wcale nie będzie mi tak wesoło, jeśli rzeczywiście zaczniesz się umawiać na randki. Nie zdążysz się obejrzeć, a się zakochasz i wtedy będziesz zaniedbywać przyjaciół. Będę się musiała nauczyć gotować, wiesz jednak doskonale, że unikam tego przez całe swoje dorosłe życie. Rose, nie chcieliśmy cię urazić - dodaje i słysząc, że mówi to szczerze.

Co ja mam zrobić? Bez Daisy, Simona, Connie i Luke'a moje życie jest nieciekawe. Nie ma co się dąsać. Uśmiecham się niepewnie i przerywam milczenie.

- Wiem - mruzcę. - Ale nie znoszę, gdy wszyscy uważają mnie za jakąś ofiarę tylko z tego powodu, że jestem sama. Tak naprawdę z ulgą przyjmuję to, że w pobliżu nie kręci się żaden facet, który mniej lub bardziej regularnie wścieka się i gubi kluczyki od samochodu. Kocham swoje życie. Naprawdę.

- Tak, tak - mówi beznamiętnie Connie.

- Wiem, że nikt mi nie wierzy. Wszyscy, począwszy od mojej matki, a skończywszy na staruszku sprzedającym w pobliskim sklepiku, są przekonani, że moje problemy uległyby rozwiązaniu, gdyby tylko w moim życiu był mężczyzna. Ale mężczyźni niezbyt ładnie pachną i na ogół niezbyt ładnie się także zachowują - przekonuję.

- Tak, tak — powtarza Connie.

Nadal nie brzmi to tak, jakby w pełni się ze mną zgadzała. Wiem, że boi się po prostu popsuć dopiero co zawarty rozejm, i dlatego otwarcie mi się nie sprzeciwia. Pociągam łyk kawy, która tymczasem zdążyła zupełnie ostygnąć. Warstwa z pianką, niewypita wcześniej, zrobiła się gorzka. Gdybym była bardziej poetycka, uznałabym to za metaforę własnego życia.

- Zgadzasz się z moją mamą, prawda? - pytam z westchnieniem.

- I z facetem z pobliskiego sklepiku. — Connie odważa się roześmiać. - Nie, Rose, niekoniecznie. Nie uważam, żeby

wszystkie twoje problemy uległy rozwiązaniu, gdybyś poznała jakiegoś mężczyznę, miałabyś po prostu jeszcze jedną rzecz na głowie. Uważam, że powinnaś poznawać ludzi. Nie jedynie mężczyzn. Nawiazywać znajomości. Powinnaś rozwijać nowe zainteresowania...

- Zapisać się na jakiś kurs wieczorowy - kończę zdanie razem z nią.

- Cóż, owszem, czemu nie?

- Chciałam być dowcipna. Gdybym otrzymywała funta za każdym razem, gdy ktoś sugeruje mi kurs wieczorowy, byłabym bardzo bogata.

- Ludzie ci to sugerują, ponieważ to dobry pomysł. Zmienił moje życie.

- Tak naprawdę uważasz, że potrzeba mi po prostu kogoś, kto by się mną zajął, mam rację, Connie?

- Wszystko po kolei. Osobiście zawsze ciągnęło mnie do typów profesorskich - mogłabyś upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Wzdycham i mam nadzieję, że w jasny sposób komunikuję swoje niezadowolenie. Czuję się tyranizowana.

- A może jakaś praca na pół etatu? - sugeruje.

- Już to przerabiałam. Niełatwo znaleźć coś, co by można połączyć z opieką nad dziećmi.

- Kiedy ostatnio próbowałaś, oni byli jeszcze na etapie pieluch, teraz noszą buty piłkarskie i mają zajęcia pozalekcyjne. Możliwe, że wszystko się zmieniło.

- Co miałabym robić? - jęczę.

- Jesteś wykwalifikowaną księgową. Bardzo dobrą. Na pewno jest wielu ludzi, którzy chętnie powierzyliby ci nadzór nad swoimi księgami rachunkowymi. Mogłabyś się tym zajmować w ciągu dnia, kiedy chłopcy są w szkole.

Connie ma w zwyczaju ujmować wszystko w taki sposób, że wydaje się proste i bezproblemowe. Trochę mnie to irytuje.

- Kto by mnie zatrudnił?

- Na początek ja - odpowiada.

- Nie możesz mnie zatrudnić. Nie przyjąłabym od ciebie wynagrodzenia.

- Cóż, mogłybyśmy załatwić to za pomocą barteru. Zajmowałabym się chłopcami w czasie twoich zajęć na kursie wieczorowym.

Niemożliwe jest nie dostrzec jej dobrych intencji. W końcu zbieram się w sobie i mówię:

- Chyba powinnam być wdzięczna, że proponujesz kurs wieczorowy, a nie ekspresowe randki.

- Próbujemy wyciągnąć cię z domu, Rose. Nie prosimy cię o jakiś wyczyn godny Herkulesa.

Nie do końca mam pewność, jak to się stało, ale kiedy wychodzę z kafejki, dociera do mnie, że wyraziłam zgodę na to, żeby Daisy i Connie sporządziły plan poznania przeze mnie nowych ludzi i obiecałam, że zastanowię się nad zapisaniem się na kurs wieczorowy.

LUCY

Staram się. Bardzo się staram. W pracy biorę dzień wolny, żeby udać się do fryzjera na mycie i modelowanie, do kosmetyczki na różnego rodzaju wygładzanie, woskowanie, polerowanie i wyskubywanie, i żeby kupić nową bieliznę. Choć, prawdę powiedziawszy, bardziej to robię dla siebie niż dla niego. Nie sądzę, aby Peter wzdrygnął się na widok majteczek z falbankami z zeszłego sezonu. Nic nie wiem na temat tego, żeby wiązały się one z jakimiś traumatycznymi przeżyciami. Kupuję majteczki La Perla - maleńkie i szokująco drogie, ale czasami mniej znaczy więcej. Rezerwuję nam stół w Fifteen, ustalam z **Eva**, że zostanie dziś wieczorem z Auriol, po czym zamawiam samochód.

Zaplanowałam, że odbiorę Petera z pracy. Jeśli zaczekam na jego powrót do domu, żeby dopiero stamtąd udać się na naszą randkę, jest bardzo prawdopodobne, że któreś z nas straci impet i uzna, że lepiej nam będzie w domu - jemu przed telewizorem, a mnie w towarzystwie kolorowych czasopism. Poza tym nawet jeśli oboje będziemy mieli dostatecznie dużo energii, żeby chcieć gdzieś wyjść, istnieje ryzyko, że Auriol nie zdąży zasnąć do czasu, gdy będziemy próbowali się wymknąć. Zacznie jęczeć, zawodzić i upierać się, że *p o t r z e b u j e* nas w domu, oświadczy, że nie widziała nas „o d z a w s z e” i że za nami tęskni. Jej łyzy będą gwarancją, że nici z dobrego nastroju i zabawy. Ta dziewczyna wysłałaby z nas krew, gdyby tylko była w stanie.

Zdażyłam już zadzwonić do Susie, asystentki Petera, i wtajemniczyć ją w mój plan. Ma nie wpisywać do terminarza Petera żadnego spotkania po 17.00 i nie pozwolić mu wymknąć się do baru przed moim przyjazdem.

- Okej, Lucy, nic się nie martw. Dopilnuję, żeby czekał, ale niczego nie podejrzewał. — Susie bez problemu radzi sobie z takimi delikatnymi sprawami, ponieważ jest doskonałą asystentką. - To wasza rocznica? - Wie, że to nie nasza prawdziwa rocznica, ponieważ zaledwie sześć miesięcy temu wysłała mi ogromny bukiet.

- Coś w tym rodzaju. - Nie wyjaśniam niczego więcej.

Korporacja taksówkarska przysłała Iśniącego, niebieskoszarego mercedesa, ponieważ jestem ich dobrą klientką. Kierowcą jest Bob. Miałam już okazję z nim jeździć. Gdy wsiadam do samochodu, zauważam, że lustruje moje nogi (odsłonięte dyskretnie w podkreślającej figurę spódnicy ołówkowej) i dekolt (doskonale widoczny, gdyż moja bluzka od Anny Sui jest niemal przezroczysta). Odrywa spojrzenie od lusterka i zmusza się, żeby patrzeć na drogę. Nie jestem tym ani trochę urażona. Nie staram się aż tak, aby być ignorowaną.

Kiedy auto zatrzymuje się przed bankiem Petera, na nikim nie robi to wrażenia. Mercedesy z przyciemnianymi szybami to w *city* chleb powszedni. Każdy jest kimś albo przynajmniej przekonująco go udaje. Kiedy Peter dostrzega mnie w recepcji, jest wyraźnie uradowany. Susie zmyśliła historyjkę o kliencie, który chce z nim zamienić słówko i czeka niecierpliwie w szklanym foyer.

- Mój Boże, Lucy, spodziewałem się opieprzu ze strony jakiegoś siwowłosego klienta, a zamiast niego jesteś ty! Żadnego opieprzu! - Peter całuje mnie w usta. Nie odsuwam się ani nie mówię, że rozmaże mi makijaż czy pogniecie ubranie. Zamiast tego przyciskam się do niego, przypominając mu o swoich uczuciach. — Co to za okazja? - pyta, obrzucając mnie spojrzeniem pełnym uznania.

- Powiem ci podczas kolacji. Chodź, idziemy stąd.

- Nie mogę tak po prostu wyjść, Lucy. Muszę sprawdzić w terminarzu, powiedzieć Susie, że wychodzę, zamknąć laptopa.

Nagle sprawia wrażenie wręcz poirytowanego.

Gryzę się w język i opieram pokusie uczynienia jakiejś uwagi na temat spontaniczności, a raczej jej braku. To zabawne, że kiedy łączył nas romans, Peter nigdy nie zwracał sobie głowy zaglądaniem do terminarza ani zamykaniem laptopa. Zawsze był gotowy, żeby mi się oddać i pozwolić, żebym ja oddała się jemu. Teraz jestem jego żoną i powinnam być dla niego ważniejsza, okazuje się jednak, że jest dla mnie mniej miejsca w jego napiętym grafiku. Biorę głęboki oddech.

- Twój terminarz jest pusty. Susie tego dopilnowała. Zamknij laptopa i przechowaj go do jutra w bezpiecznym, zamkniętym na klucz miejscu.

Peter patrzy na mnie i widzę, jak jego irytacja mija. Podziwi i zadowolenie otrzymują pozwolenie na powrót. Wpatruje się we mnie w taki sposób, jakby właśnie spotkał mnie na ulicy i był pewny, że skądś mnie zna. Nie jest tylko w stanie powiedzieć skąd.

- Naprawdę pomyślałaś o wszystkim, prawda?

- Chyba tak.

Przyglądam mu się i gorąco pragnę, żebyśmy się rozłączyli i pozostali złączeni. Jak to możliwe, że czasami sprawiamy wrażenie tak bardzo od siebie oddalonych, gdy tymczasem jedyne, czego pragnę, to być jego drugą skórą? Chcę, żeby dzisiejszy wieczór okazał się idealny. Chcę, żeby dzisiejszy wieczór stał się punktem zwrotnym. Chcę zawrócić. Ponieważ boję się, że zawędrowaliśmy za daleko w niewłaściwym kierunku.

- Chodźmy. Szampan już się chłodzi.

Pociągam go delikatnie za rękaw, przypominając sobie, jak Auriol ciągnie mnie zawsze za spódnicę. Peter nie stawia oporu - pozwala, żebym poprowadziła go w kierunku naszej błogiej randki.

- Czuję się jak wagarowicz, wychodząc z pracy punkt osiemnasta trzydzieści - śmieje się.

Wszyscy wiedzą, że ciągłe spoglądanie na zegarek jest dobre dla oferem. Nasze nastroje są pogodne, wyczekujące i wesołe. Ni stąd, ni zowąd czuję, że jestem po uszy zakochana w swoim mężu, i jestem pewna, że on jest po uszy zakochany we mnie. Przypomina mi się, jak emocjonujące jest życie, kiedy dobrze się razem bawimy.

Docieramy do Fifteen. Byłam tu już dwa razy, ale zawsze służbowo. Jest znacznie fajniej siedzieć tutaj z Peterem. Rozmawiamy o różnych błahostkach, głównie o menu. Zamawiamy koktajle i namawiam Petera, żeby zdecydował się na wino, które kosztuje ponad pięćdziesiąt funtów. Koktajle zmywają z niego troski z całego dnia (i pieczenie po woskowaniu bikini ze mnie). Rozsiadamy się wygodnie, żeby delektować się fantastycznym jedzeniem.

- A więc, Lucy, cóż to za okazja? Bo z całą pewnością jakaś jest - mówi Peter, nabierając na widelec coś krwistego. Jego uchylone usta są takie seksowne.

Uśmiecham się, ale milczę. Nie zdecydowałam jeszcze, czy powiem mu, co świętujemy. Nie zdecydowałam, czy mogę mu powiedzieć.

- To nie jest jedna z naszych rocznic, prawda?

Peter uważa za zabawne to, że mamy trzy. Jedna to dzień, w którym się poznaliśmy. Druga to dzień, w którym zaczęliśmy być razem. Trzecia to dzień naszego ślubu. Nie znaczy to, że bym była przesadnie sentymentalna. Lubię po prostu prezenty.

Przyglądam się mojemu mężowi. Na jego twarzy ma-luje się odprężenie, co ostatnio zdarza się tak rzadko, że nie mogę nie zwrócić na to uwagi. Oczy to jego atut. Są żywe i inteligentne. Kiedyś były osadzone w szczupłej twarzy o wy-razistych rysach, same kości policzkowe i silnie zarysowana szczęka, ale jakiś czas temu nieco przybrał na wadze. Trochę mnie to martwi, choć wołałabym, żeby było inaczej. Staram

się nie postrzegać tego jako niegrzecznego obniżenia standardów i pogorszenia jakości naszego związku. Staram się postrzegać to raczej jako potwierdzenie naszego zadowolenia. Powtarzam sobie w myślach, że kościści ludzie są rzadko zadowoleni. Może i dążą do celu, są ambitni, piękni lub od niedawna zakochani, ale często bywają pogrążeni w depresji, cudzołożą lub biorą narkotyki. Lepiej mieć do czynienia z fałdkami tłuszczu.

To właśnie jego zewnętrzny objaw zadowolenia zachęca mnie do tego, żeby się z nim podzielić nowiną.

- Jak długo jesteśmy małżeństwem? - pytam.

Peter przeżuwa energicznie jedzenie, a ponieważ jest dobry w liczbach, potrzebuje tylko chwili, żeby udzielić odpowiedzi.

- Pięć lat, sześć miesięcy i, och!, dziesięć dni.

- Cztery miesiące dłużej niż byłeś żonaty z Rose - uśmiecham się szeroko.

Nie jestem w stanie ukryć radosnego podekscytowania. Jestem uszczęśliwiona swoim zwycięstwem.

Peter przerywa żucie. Nie wygląda ani na człowieka uszczęśliwionego, ani takiego, który poczuł ulgę. Najwyraźniej nie podziela mojego podekscytowania tym faktem.

- I to wszystko? Dlatego właśnie tu przyszliśmy? Z powodu jakiejś głupiej obsesji, jaką masz na punkcie Rose?

- Nie. To nie jest głupie. I nie jest to żadna obsesja. Ja tego nie powiedziałam. - Jest już za późno. Nie ma nawet śladu po swobodnej, wesołej atmosferze. - Dla mnie to po prostu pewien wyznacznik — jąkam.

- Jesteś moją żoną, matką mojej córki, zostawiłem dla ciebie Rose. Czy to nie wystarczy?

Nie wystarczy. Przynajmniej nie zawsze. Wiem, że powinno wystarczać. Chciałabym, żeby tak było, ale nie jest. Nie ośmielam się wypowiedzieć tego na głos. Peter patrzy na mnie gniewnie. Nie zdziwiłabym się, gdyby z jego nosa zaczął się wydobywać dym.

— Jesteś okropna, Lucy. Kiedy poczujesz, że wystarczy? Wybrałem cię. Żyję z tobą. Dla cię zostawiłem Rose i chłopców. Co muszę zrobić, żeby udowodnić, że to cię kocham?

Wiem, że uważa, że jestem zazdrosna, i uważa, że zazdrość jest niegodna mnie, niepotrzebna i śmieszna. Czymś bardziej zrozumiałym i stosownym byłoby, gdybym nią pogardzała. Tak jednak nie jest. Ja się jej boję. I jestem na nią wściekła. Jestem wściekła za to, że pierwsza poznała Petera. Że pierwsza stanęła z nim przed ołtarzem. Że pierwsza urodziła mu dzieci. Bliźnięta, na litość boską. Jak miałabym ją w tym przebić? Jestem wściekła za to, że wywiera wpływ na moje życie domowe, na wszystko, począwszy od tego, w jaki sposób spędzamy ferie bożonarodzeniowe, a skończywszy na tym, gdzie mieszkamy i do jakiej szkoły uczęszcza nasza córka. Jestem wściekła, że co niedziela muszę się zajmować dziećmi Rose. Najpewniej odwiedza w tym czasie kosmetyczkę, gdy tymczasem nade mną rytualnie znęcają się bliźniacy, bez wątplenia na jej polecenie. Nie znoszę jej i jej obecności. Żałuję, że nie mogę jej unicestwić.

Biorę głęboki oddech. To nie jest coś, co mogę czy powinnam wypowiedzieć na głos. Zamiast tego próbuję wyjaśnić, dlaczego bycie żoną Petera dłużej niż ona ma dla mnie takie znaczenie.

- Jeśli powiem „premier”, to kto ci przychodzi do głowy?
- Blair, oczywiście. Dokąd zmierzasz?

— Przez wiele lat po tym, jak Margaret Thatcher straciła rozum i stanowisko, gdy ktoś powiedział „premier”, w mojej głowie pojawiała się jej postać. Długo po Majorze i nawet po pierwszej kadencji Blaira. Minęły całe lata, nim zaczęłam myśleć w ten sposób o nim. Tak samo jest ze słowem „żona”. Za każdym razem, gdy mówisz „moja żona”, w mojej głowie pojawia się obraz Rose. Potrzebuję nanosekundy, żeby poprawić ten obraz i uświadomić sobie, że chodzi ci o mnie. Tylko nanosekundy, ale dla mnie wydaje się to wiecznością. Rozumiesz, o czym ja mówię?

Peter przygląda się ze znużeniem swojej kolacji, po czym przenosi spojrzenie na mnie i przyznaje:

- Tak.

Znam go tak dobrze. Zbyt dobrze. Coś błyska w jego oczach. Śmiertelna mieszanka żalu i rezygnacji.

- Ty masz tak samo, prawda? - pytam oskarżycielskim tonem.

- Tak - wzdycha. - Kiedy mówię „moja żona”, potrzebuję ułamek sekundy, żeby pomyśleć o tobie. To ją mam przed oczami pierwszą. Doskonale rozumiem, o czym mówisz.

Powinam przyjąć do wiadomości to jego zrozumienie, przyrzeć mu się dokładnie i przekształcić w coś, co by nas łączyło. Bóg jeden wie, jak bardzo czegoś takiego potrzebujemy. Racjonalnie rozumując, powinam być uradowana tym, że Peter tak dobrze rozumie moje demony. Być może teraz mogę mu powiedzieć, że od dnia, w którym wzięliśmy ślub, wszystko się stało dla mnie trudniejsze, nie prostsze. Powinam wyjaśnić, że życie małżeńskie to nie jest jedno wielkie święto. Że brakuje mi spontaniczności, podekscytowania i wyzwania, łączących się z byciem kochanką, i że przytłaczają mnie prozaiczne zadania łączące się z byciem żoną. Nieszczególnie obchodzi mnie to, czy wszyscy w rodzinie jedzą wystarczająco dużo warzyw i czy przed wyjściem do pracy nastawiłam pralkę. Nie podoba mi się fakt, że ta rola oznacza, że muszę się przejmować takimi pierdołami.

Sądziłam, że ślub to publiczne wyrażenie zaangażowania w związek z osobą, którą się kocha najbardziej na świecie. Sądziłam, że to takie romantyczne. To przezabawne, że ja - pragmatyczna i cyniczna Lucy - dałam się nabrać na to wielkie oszukaństwo i uwierzyłam, że dzięki małżeństwu osiągniemy wyższy poziom, gdy tymczasem jedynie pogorszyłam jakość swojego życia. Małżeństwo oznacza więcej pracy oraz poświęcenie najlepszych elementów naszego związku i siebie.

Ale bardziej druzgocącym od przyjęcia na siebie konkretnych obowiązków, jakie niesie ze sobą bycie żoną, jest to, że

odkąd jesteśmy małżeństwem, w naszym związku doszło do jakiejś nieuchwytniej zmiany. Przed ślubem czułam się niezwykle piękna, seksowna, pewna siebie i inteligentna. Byłam kobietą, która wie, czego chce, i wie, że to zdobędzie. Głupio zrobiłam, że wychodząc za Petera, dobrowolnie wkroczyłam na terytorium Rose i zdecydowałam się walczyć na jej terenie. Poważny błąd. Ona była idealną żoną. Ja byłam doskonałą kochanką. Teraz już zawsze gonię pozostałych w grze, której zasad nie znam i nie bardzo rozumiem, co jest nagrodą główną.

Mogłabym wyjaśnić to wszystko Peterowi i poprosić go o miłość i zrozumienie. Może ująłby moją dłoń i przeprowadził przez to emocjonalne pole minowe. Może wróciłby dobry nastrój, przynajmniej na dzisiejszy wieczór, a potem mój mąż zabrałby mnie do domu i kochał się ze mną. Gdyby zsuwał mi moje maleńkie majteczki, jestem przekonana, że znowu poczułabym dawną pewność siebie.

Zamiast tego rzucam w niego kieliszkiem z winem i sama opuszczam restaurację.

JOHN

To ona. Ja pierdolę! Naprawdę? Ale co ona tutaj robi? Nie mieszkała kiedyś w Balham czy Clapham, gdzieś dosyć daleko stąd? Pewnie się po prostu przeprowadziła. Wsiadam z samochodu i ruszam w stronę szkolnej bramy. Mimo mnóstwa głów podskakujących przede mną udaje mi się utrzymać spojrzenie na jej głowie. To znaczy, jeśli to rzeczywiście ona. Ma teraz proste włosy. Ale w końcu wszystkie kobiety tak się teraz czeszą.

- Greenie?

Nie odwraca się do mnie natychmiast, tylko nieruchomieje, i już wiem, że to ona. Teraz jestem dostatecznie blisko, żeby rozpoznać kształt jej ramion, co mnie zaskakuje. Nie sądziłem, że je znam. Zastanawiam się, czy poznaje mój głos. Założę się, że wie, że to ja. Prawdopodobnie zastanawia się teraz, czy chce się odwrócić i stanąć ze mną twarzą w twarz, czy też chce uciec. Powoli Greenie odwraca głowę i oto stoimy przed sobą, po tylu latach.

Wygląda oczywiście starzej, ale lepiej. Jakoś tak bardziej błyszcząco, niż to zapamiętałem. Zdrowiej.

- Tak myślałem, że to ty. Co u ciebie słyszać, Greenie?

Zapomniała języka w gębie. Tak już działałam na kobiety. Jej dłoń biegnie do włosów i zakłada pasmo za ucho. To słodkie - przejmuje się tym, jak wygląda. Minęło tyle lat, a ona nadal chce zrobić na mnie wrażenie.

Łączył mnie z tą kobietą świetny seks.

Po prostu fantastyczny.

To znaczy do czasu, kiedy zaczęła świrować.

Cholera, zapomniałem o tym zupełnie. Kiedy zobaczyłem, jak jej szczupłe ciało zmierza w stronę szkolnej bramy, jedyne, co widziałem, to szeroki, zawadiacki uśmiech. Uśmiechała się oczywiście nie do mnie, ale do jakiejś kobiety, z którą rozmawiała. Jej niebieskie oczy migotały i przypomniało mi się, jak trzymałem jej włosy, gdy ssała mi fiuta. Chciałem jedynie powiedzieć „cześć”. Przypominam sobie o tym dopiero teraz, kiedy przesywa mnie intensywnym, niemal gniewnym spojrzeniem. Wygląda jak przyparty do muru więzień, zastanawiający się, czy uciec, czy wszcząć demolkę. Pamiętam, że ta kobieta zbyt mocno mnie pragnęła. Ta kobieta pomyliła moją pogoń za seksem ze swoją pogonią za bratnią duszą. Ta kobieta uważa, że ją zdradziłem. Gdybym się zastanowił nad tym chociaż przez chwilę, w ogóle bym się do niej nie odezwał. Ale się nie zastanowiłem. Rzadko to robię, jestem mężczyzną, który najczęściej działa instynktownie. Życie jest za krótkie.

Uznaję, że jedynym wyjściem jest w takiej sytuacji wykręcenie się. Utrzymywanie, że jesteśmy jedynie dawnymi znajomymi i że nieco nas zaskoczyło to przypadkowe spotkanie.

- Proszę, proszę. Ty tutaj?

Greenie rozgląda się, wyraźnie sprawdzając, kto nas słyszy. Gruba kobieta klepie ją w ramię.

- Wszystko w porządku, Connie? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Trafiłaś w dziesiątkę, grubasko.

- W porządku, dzięki, Rose - odpowiada Greenie.

Grubaska waha się, czekając, aż Greenie nas sobie przedstawi. Nigdy nie była dobra w wykrętach. Nie bardzo wiem, jak udawało nam się utrzymywać nasz romans w tajemnicy przez tak długi czas.

- Jestem John Harding. Constance i ja znaleźliśmy się w poprzednim życiu. - Uśmiecham się promiennie i wyciągam rękę. Jestem czarujący. Wiem o tym.

Grubaska ujmuję moją dłoń i potrząsa nią z energią, tak jak to robią kobiety pozbawione seksualności.

- Rose. Miło cię poznać. - Odwraca się z powrotem do Greenie, która nadal wydaje się w stanie szoku. - Mam poszukać Fran?

W tym momencie dostrzegam, że Greenie jedną ręką trzyma tę, jak jej tam?, spacerówkę, w której siedzi jakiś dzieciak. Najwyraźniej jej.

- A cóż to za aniołek? — pytam.

To jedna z kwestii, jakie wykorzystuję w wypadku samotnych matek. Zawsze działa. Osobiście jestem wielkim fanem samotnych mam, na ogół lubią się pieprzyć jak króliki i cierpią na związkofobię (kto się na gorącym sparzy, ten na zimne dmucha i tym podobne) - dla mnie taka kobieta to ideał. Oczywiście ta kwestia działa także na Greenie.

- To Flora. Moja młodsza córka. - Uśmiecha się, gdy wypowiada imię małej, i po raz pierwszy, odkąd jej spojrzenie spoczęło na mnie, wygląda na naprawdę rozluźnioną. Następnie z roztargnieniem głaszcze główkę dziecka. Dość rozbijający widok. To śliczne dziecko. Trudno się zresztą dziwić. Wygląda tak jak jej matka. - Przyszłam tutaj po starszą. Właśnie zaczęła szkołę. Zerówkę. A ty? Jesteś...

- Jezu, nie, Greenie.

Zaprzeczam jej przypuszczeniu, że jestem tatą, który się zjawił po swoje dziecko. Na jej twarzy maluje się ulga. Zastanawiam się, czy czuje ulgę dlatego, że nie mam bachora w tej samej szkole co ona, czy też czuje ulgę dlatego, że w ogóle nie mam dzieci. Dziecko symbolizowałoby zaangażowanie względem kogoś. Zaangażowanie, którego nie byłem gotowy dać jej.

- Co więc tutaj robisz?

Nie zadaje tego pytania uprzejmie. Słysząc w nim irytację i impertynencję. Dziwne, ale mnie to ekscytuje.

- Pracuję jako konsultant dla BBC w Shepherds Bush. Choć teraz, gdy już ci o tym powiedziałem, będę musiał cię zabić.

Zerkam na Connie, żeby się przekonać, czy rozpoznała ten dawny żart. Milczy, a na jej twarzy nie ma nawet śladu uśmiechu.

- Urwałem się wcześniej, a mój kumpel, Craig Walker, pracuje tutaj, pomyślałem więc, że go złapię i wyskoczmy na piwo.

- Pan Walker to twój kolega?

Greenie nie jest już szara - jej twarz stała się tak biała, że niemal przezroczysta. Założę się, że po zmianie image'u, gra osobę porządną i ostatnie, czego teraz potrzebuje, to podstawienia nogi przez jej gorącą przeszłość. Delektuję się tą chwilą, niech trochę pocierpi - dobrze jej tak za to, że nie zachowuje się bardziej sympatycznie.

- O tak, Craig i ja znamy się od lat. Chodziliśmy razem do podstawówki. Prawdę powiedziawszy, powodem, dla którego wyskakujemy na piwo, jest wspólne planowanie weekendu kawalerskiego.

- Twojego? — Jest ciekawa, pełna nadziei czy przestraszona? Przez chwilę milczę, po czym kręcę głową.

- Byłem, zrobiłem, przeczytałem książkę, dostałem T-shirt i rozwód.

- Och, przykro mi.

Ton jej głosu przeczy słowom - sugeruje, że spełniłem jej oczekiwania, a każde z nich było równie paskudne niczym podstępna żmija.

W tej właśnie chwili do nóg Greenie przykleja się mały, jasnowłosy dzieciak.

- Mamusiu, mamusiu, mamusiu, zgadnij, co dzisiaj robiliśmy.

Greenie przykuca i uśmiecha się promiennie. Nie pozwala małej zdradzić ekscytujących wieści, zasypując ją mnóstwem

całusów. Greenie i jej dzieciak uśmiechają się, całują i gawędzą ze sobą, a ja stoję zapomniany z boku. Na ich twarzach maluje się jednocześnie zachwyt, zaskoczenie i zdumienie i obie śmieją się w tym samym czasie, gdy mała dociera do miejsca, które musi być puentą historii. Są śliczne.

Greenie napotyka moje spojrzenie i wydaje się zaskoczona tym, że nadal stoję w tym samym miejscu. Czyżby sądziła, że byłem wytworem jej wyobraźni? Obraca wózek w drugą stronę i zbiera się do odejścia.

- Przepraszam cię - mówi oficjalnym tonem. - Muszę już iść.

- To na razie - mruczę.

Kiwa głową.

- Do zobaczenia — dodaję.

Tym razem się waha, zastanawiając się nad właściwą odpowiedzią. Nasze spojrzenia krzyżują się i widzę żal. Zastanawiam się, czy żałuje tego, że nie możemy spędzić razem więcej czasu, czy też żałuje, że w ogóle się spotkaliśmy.

Przyglądam się, jak we trzy oddalają się ruchliwą, wysadzaną drzewami aleją, dopóki nie stanowią jedynie plamki w oddali.



Jak na złość, moi przyjaciele i krewni całkiem dobrze się zgrali w czasie, jeśli chodzi o próbę ponownego zaaklimatyzowania mnie w społeczeństwie. Jest połowa września i okazuje się, że są tysiące kursów, na które mogłabym się zapisać, i wszystkie rozpoczynają się za tydzień albo za dwa tygodnie. Przekonuję się także, że większość jest niedroga, ponieważ jako samotna matka jestem uprawniona do zniżki lub też, jeżeli wybiorę coś związanego ze swoim zawodem, mogę skorzystać z bezpłatnego programu „Powrót do pracy”. Dowiaduję się tego wszystkiego z kilkunastu broszur, które podrzuciły mi Connie i Daisy. Kiedy mam już pewność, że wycięto cały las, żeby zapewnić mi wszystkie możliwe prospekty, ni stąd, ni zowąd zjawia się Simon i nalega, żebyśmy przez trzy godziny siedzieli przed monitorem komputera, szukając w Internecie jeszcze bardziej odpowiednich kursów. Ciężko pracuję nad tym, aby nie czuć, że jestem do czegoś zmuszana i traktowana protekcjonalnie, i przypominam sobie, niemal co godzinę, że oni chcą dobrze.

Poszukiwania nowego hobby rozpoczynam od przejrzania najgrubszych broszur. Niektóre kursy budzą postrach, są nieistotne albo nudne. Niektóre jednak, muszę przyznać, wydają się interesujące. Mam na przykład spore braki w wiedzy ogólnej z zakresu historii i literatury. Przekonuję się, że kusi mnie trochę, żeby się zapisać na kurs zatytułowany *Czary, głód i seks:*

studium kobiet w szesnastym wieku, choćby dlatego, że to godny szacunku sposób, aby sobie przypomnieć dni, kiedy seks był częścią mojego życia, co - wydaje mi się - działo się równie dawno jak w szesnastym wieku, cha, cha!

Gra na dzwonach? Coś związanego z komputerami? Nie jestem technofobem. Nagminnie korzystam z poczty elektronicznej, robię zakupy przez Internet, sprawdzam tam opinie dotyczące sprzętu elektrycznego (a teraz szukam informacji na temat kursów wieczorowych) i jestem specjalistką od arkusza kalkulacyjnego Excel. Nie mam jednak ochoty uczyć się, jak od zera zbudować komputer, omijam więc sekcję poświęconą komputerom. Szkolenie psów? Nie. Nasz labrador jest za stary, żeby się uczyć nowych sztuczek. Ja się z nim dogaduję, a on nie ma apodyktycznej siostry, która twierdziłaby co innego. Układanie kwiatów? To akurat mogłoby się okazać całkiem przyjemne. „O” jak ogrodnictwo. Cóż, rzeczywiście lubię pracować w ogrodzie. Czytam to, co jest napisane drobnym drukiem, i okazuje się, że jestem nazbyt ambitna. Można wybrać jedną z dwóch specjalizacji: dojenie kóz albo stawianie murów bezzaprawowych. Mam skromnych rozmiarów ogród w Londynie, a nie farmę.

Sporządzam krótką listę kursów, które mnie poważnie nie martwią czy nie obrażają, i przypinam ją do tablicy w kuchni. Mam nadzieję, że zarówno ona, jak i cały pomysł wkrótce ulegną zapomnieniu i znikną pod warstwą ogłoszeń o dostawie organicznych warzyw i zaproszeń na urodziny. Dociera do mnie, że raczej tak się nie stanie, kiedy pewnego wieczoru w drzwiach mojego domu zjawia się Luke. Ma ze sobą butelkę wina i jakieś dokumenty - później się okazuje, że to formularze zgłoszeniowe. Oświadczam mu, że wygląda na to, że cały świat spiskuje przeciwko mnie.

- Dla Ciebie! - mówi z przekonaniem Luke. - Mam otworzyć to wino?

Wybrano Luke'a jako osobę, która ma największe szanse na namówienie mnie do złożenia podpisu na wykropkowanym miejscu, ponieważ tworzy on interesujące połączenie cech

(nieskończona cierpliwość, a przy tym umiejętność bycia stanowczym). To skuteczna kombinacja. Poza tym mam do niego słabość i wszyscy wiedzą, że trudno jest mi cokolwiek mu odmówić, dlatego właśnie tak często robię czekoladowy pudding z chleba i masła, jego ulubiony deser.

Luke i ja rzadko mamy okazję przebywać sam na sam i postanawiam, że przynajmniej będę się cieszyć atrakcją, jaką jest dla mnie męskie towarzystwo. Gawędzimy sobie o dzieciach. Fran podoba się w Holland House, w Dzień Czytelnika przebierze się za Głodną Gąsienicę. Opowiadam Luke'owi, jak chłopcy spierają się o różnice między wierszem a rymówką.

Kiedy już siedzimy sobie wygodnie z pełnymi kieliszkami i miską orzeszków, Luke przechodzi do sedna sprawy i zadaje mi to samo pytanie, jakie postawili mi pozostali.

- Jaki kurs wzbudza zatem twoje zainteresowanie? - Jeśli odczuwa frustrację, udaje mu się to ukryć. Ale przecież na co dzień ma do czynienia z kapryśną naturą Connie i wygląda na to, że jest szczęśliwy. - Rozumiem, że nieco zawężyłaś obszar poszukiwań. Zobaczmy, co tu mamy - mówi, rozkładając na podłodze formularze zgłoszeniowe niczym karty tarota. — Układanie kwiatów, pieczenie ciast, pierwsza pomoc, kaligrafia, studium etymologii. Właściwie to mogę ci się przyznać, że otrzymałem od Connie karteczkę z poleceniem, żeby zniechęcić cię do układania kwiatów i pieczenia ciast.

- Dlaczego? - pytam. Znam odpowiedź, ale sprawdzam prawdomówność Luke'a.

- Cóż, mam tutaj napisane, że powinienem zwrócić ci uwagę na to, że już posiadasz te umiejętności i że nie wymagałoby to od ciebie wysiłku.

- Tak naprawdę uważa, że nie poznam na tych kursach żadnych mężczyzn, a przynajmniej nie hetero, i dlatego według niej to strata czasu.

- Możliwe, że taka myśl pojawiła się w jej głowie. - Luke uśmiecha się szeroko. - A może nauka gry na jakimś instru-

mencie? - Wzruszam ramionami. - Coś chyba musi ci się podobać?

Prawda jest taka, że wszystkie te kursy napawają mnie przerażeniem. Nie sama nauka. W przeszłości byłam typem kujona, a coś takiego pozostaje w tobie na zawsze. Nie boję się uczenia się czegoś w domu ani tego, że będę musiała napisać wypracowanie i oddać je w terminie. Jestem przekonana, że będę w stanie zrozumieć i zapamiętać wszystko, czego mnie będą uczyć. Mój strach jest związany z kwestiami zasadniczymi.

Boję się znalezienia miejsca, gdzie będzie się odbywać ten kurs. Pojechanie samochodem albo metrem w jakieś nieznanne miejsce wydaje się koszmarem. Będę musiała wyjechać z domu kilka godzin wcześniej, ponieważ nie znoszę się spóźniać, a nie jestem zbyt dobra, jeśli chodzi o czytanie map. Nawet jeśli znajdę ten budynek, będę musiała poszukać właściwej klasy, a tego rodzaju miejsca słyną z korytarzy przypominających labirynty. I zakładając, że jakimś cudem uda mi się dotrzeć na czas, wtedy - co jest najgorsze ze wszystkiego - będę musiała sama tam wejść. Coś straszego.

Wszyscy będą mi się przyglądać i mierzyć wzrokiem. Oceńnią moje ubrania, moje zachowanie, moje gabaryty. Zaszeregują mnie (to proste, wyglądam jak klasyczna głupia, znudzona kura domowa), następnie zaś będą lekceważyć. Inni słuchacze będą młodszy ode mnie albo bardziej inteligentni, wysportowani czy przynajmniej pewniejsi siebie. To akurat jest pewne jak w banku. Potem będę musiała przejść gehennę przedstawiania się. Kim jestem i dlaczego się tu zjawiłam. Dobre pytania, wymagane jedynie głupie odpowiedzi. Pamiętam te okropne wstępy ze szkoleń, kiedy pracowałam w środowisku korporacyjnym. Co gorsza, jeśli prowadzący zajęcia jest „szurnięty” i chce „wyluzować”, poprosi nas o to, żebyśmy w ramach przełamania lodów wyjawili o sobie coś, czego nie wie nikt inny. Czemu miałabym mieć ochotę dzielić się z grupą zupełnie obcych mi osób czymś, co ukrywam przed najbliższymi? Nie jestem nawet pewna, czy w ogóle mam jakieś tajemnice. A już z całą pewno-

ścią nie jakieś interesujące. Kiepsko, co? Czy kogoś zainteresowałoby, że sekretem mojego przepisu na wilgotne ciasto świąteczne jest dodanie filiżanki zimnej herbaty?

Mogę zostać poproszona o udzielenie odpowiedzi na inne pytania. W klasie jest to jako tako do zniesienia. Ogólnie na każdy temat potrafię powiedzieć od siebie coś, co ma ręce i nogi. Ale odpowiadanie na pytania podczas przerwy na kawę, co prawie na pewno będzie wymagane - to dopiero koszmarne perspektywa. Ktoś, bez wątpienia jakaś energiczna blondynka, rzuci się na mnie, gdy będę wlewać mleko do kubka z neską, i zacznie mnie wypytywać o rodzinę. Już to widzę. Jej pogodnie nastawienie przejdzie test, gdy przyznam się, że jestem rozwódką. Będzie się starała coś powiedzieć, coś serdecznego, pojednawczego lub dowcipnego, zależnie od tego, jak bardzo jest miła. Będzie mi współczuć, ale i lekceważyć. Nigdy nie zostanę zaproszona na kolację, schrzanię plan rozsadzenia gości.

Opowiadam o tym wszystkim Luke'owi.

— Rozumiem — mówi tonem, który sugeruje, że rzeczywiście tak jest. Należy mu się za to uznanie, ponieważ to oczywiste, że nie rozumie. Nie ma pojęcia, jak to jest być samotną, niepewną siebie kobietą, która przedwcześnie weszła w wiek średni. - Myślę, że powinnaś zapisać się na kurs mechaniki - oświadczają.

— Co takiego?

— Przydaje się. W swoim samochodzie masz problem ze znalezieniem czegokolwiek poza stacją i światłami. Connie i Daisy dadzą ci spokój, ponieważ uznają, że na kursie mechaniki poznasz mężczyzn. A tak naprawdę jedynymi osobami, jakie spotkasz na kursie mechaniki, będą nastoletni chłopcy, którzy są często zdumiewająco nieśmiali, być może nawet bardziej niż ty, i zupełnie nieszkodliwi. Nie obraż się, Rose, ale będą myśleć o tobie w kategoriach matczynych.

— Nie obrażam się. Przynajmniej mam wprawę w byciu matką. Gdyby ktoś się do mnie przystawiał, dopiero bym miała w głowie mętlik.

Luke uśmiecha się życzliwie.

- Nastoletni chłopcy będą super. I znajdziesz tam także inne kobiety w takim samym położeniu jak ty.

- Kobiety w takim samym położeniu jak ja. - Powtarzam to zdanie, ponieważ to akurat nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy.

- Tak. Kobiety niezależne. Spójrzmy prawdzie w oczy, jakkolwiek by nie była seksistowska: na świecie nie ma wielu kobiet, które są przygotowane do zmiany koła albo sprawdzenia wody czy oleju w samochodzie, jeśli uważają, że zrobi to za nie ktoś inny. Jeśli na tym kursie pojawią się jakieś kobiety, istnieje duże prawdopodobieństwo, że będą w podobnej sytuacji co ty. Nie będą się nad tobą litować, Rose. Będą cię podziwiać. Będą cię rozumieć.

Nigdy się nie zastanawiałam nad ewentualnością, że gdzieś tam są inne samotne matki. Nigdy nie brałam udziału w zebraniach grup wsparcia, pełnych gniewnych, odzianych w ogrodniczki kobiet pijących czarną kawę. To się wydawało takie jakieś pobłażliwe. Poza tym miałam wystarczająco dużo własnego gniewu i ostatnie, czego mi było trzeba, to radzenie sobie z cudzym. W Holland House wszyscy tkwią w stosownych związkach małżeńskich - nawet drugie, trzecie czy czwarte małżeństwo wydaje się bardziej godne szacunku niż bycie samotną matką. Może Luke ma rację. Może szukałam nie tam, gdzie powinnam.

- Dobrze - mówię cicho.

- Dobrze, zrobisz to? - pyta Luke, nie będąc w stanie ukryć zaskoczenia i podekscytowania. Z całą pewnością spodziewał się dłuższej batalii.

- Tak, myślę, że to dobry pomysł. W jaki dzień jest ten kurs?

- W środy od dziewiętnastej trzydzieści do dwudziestej pierwszej. Rozpoczyna się w tym tygodniu.

- Przekaż Connie, że rezerwuję ją do opieki nad dziećmi i że zajmę się jej odliczeniami podatkowymi, jeśli przyniesie mi segregatory z paragonami i fakturami.

- To znaczy to pudełko po butach, które trzyma pod łóżkiem? - pyta Luke. - Wiesz, jaka bywa niezorganizowana.

Uśmiechamy się i nalewam nam obojgu po drugim kieliszku wina.

- Myślę, że tego potrzebuję - stwierdzam.

- Myślę, że na to zasługujesz - mówi Luke z szerokim uśmiechem. I stukamy się kieliszkami.

13

WTOREK, 19 WRZEŚNIA

JOHN

W pracy jest pewna kobieta, którą chętnie bym się zajął, gdybym nie musiał z nią pracować przez następne trzy miesiące. Prawdę powiedziawszy, w pracy jest całe mnóstwo kobiet, którymi bym się zajął, gdybym nie musiał ich już potem spotykać, ale ta, którą mam na myśli, jest wyjątkowo seksowna. Ma na imię Mandy. Podoba mi się. Podobnie jak to, że nie używa pełnego imienia Amanda, lecz pozostała przy dziecięcym zdrobnieniu, którego najpewniej używają jej mama i tato. Jest bystra, piękna i ma niecałe trzydzieści lat. Ja też jej się podobam, to oczywiste. Bez przerwy kręci się w pobliżu mojego biurka. Nie ma co do tego wątpliwości - zająłbym się nią, gdybyśmy tylko razem nie pracowali. Ale nie ma mowy. Gra idzie o zbyt wysoką stawkę i robi się problem. Tylko raz złamałem tę zasadę z - jak się domyślacie - fatalnym skutkiem.

Greenie. Connie. Co w niej takiego było, że złamałem własne zasady? Oczywiście, stare porzekadło jest prawdziwe: nigdy, ale to nigdy nie powinno się srać na własnym progu. Jeśli już czegoś mnie nauczyła, to właśnie tego. To zabawne - przez kilka lat nie poświęciłem Greenie ani jednej myśli, ale odkąd w piątek wpadłem na nią przypadkiem, myślę o niej właściwie nieustannie.

Ostatni raz przypomniałem sobie o niej chyba dwa lata temu, kiedy na niewielkiej wystawie fotograficznej natknąłem

się na jej prace. Bufonowate galerie nie są w moim stylu. Ale moja ówczesna pani lubowała się w tego rodzaju rzeczach, pokłóciliśmy się (sytuacja w normie) i uznałem, że spróbuję i zrobię razem z nią coś miłego. Dla niej. Wyjąłem więc z „Guardiana” dodatek o sztuce. Jako totalny ignorant nie miałem żadnego powodu, żeby wybrać konkretną wystawę, było ich zresztą naprawdę całe mnóstwo. Zobaczyłem reklamę wystawy fotografii wschodzących talentów, a że znajdowała się blisko stacji metra na naszej linii, zdecydowałem się właśnie na tę.

Wystawiano prace sześciu fotografów. Chyba wszyscy byli niezli, ale dopiero trzeci zestaw zdjęć naprawdę przykuł moją uwagę.

Zdjęcia wisiały pod nagłówkiem „Sypialnia”, co wystarczało dla mężczyzny mojego pokroju. Przedstawiały kobiety w różnych stadiach ubierania się i rozbierania, leżące na łóżku. Kobiety były zawsze same, ale ze zdjęć można było wyczuć, że albo właśnie się skończyły zabawiać, albo na to czekały. Drzemały, tuliły się do poduszek lub były rozbudzone i szykowały się z wyprzedzeniem, na jednym zdjęciu zaś kobieta paliła nawet fajkę, bez wątplenia tuż po stosunku. Te panie nie były modelkami. Jedna była przepiękna, ale reszta to normalne kobiety, jakie się widzi każdego dnia na ulicy, a jednak fotograf uchwycił je w taki sposób, że wszystkie wyglądały seksownie i oszałamiająco, albo przynajmniej były spokojne i zadowolone. Przejrzałem ulotkę, którą wziętem przy drzwiach, zainteresowany zdjęciami w takim stopniu, żeby zapamiętać nazwisko fotografa. Byłem gotów się założyć, że to mężczyzna, a tu niespodzianka. Constance Baker. Zdecydowała się użyć nazwiska po mężu.

Wstrząsnęło mną to. Dopuszczałem możliwość, że to jedynie zbieg okoliczności, że fotograf nazywa się tak samo, jak moja dawna kochanka, ale przecież obito mi się o uszy, że odeszła z Peterson Windlooper, żeby zająć się fotografią. W ulotce nie było zdjęcia przedstawiającego artystę, ale zamieszczono krótką notkę biograficzną, potwierdzającą, że fotograf i moja

Greenie to jedna i ta sama osoba. „I dobrze” - pomyślałem. Spróbowała i udało jej się. Zawsze twierdziła, że chce być fotografem i, a niech mnie, spróbowała i udało jej się. To dziwaczne i irracjonalne, ale poczułem się niesamowicie dumny z powodu jej osiągnięć. Jej prace były dobre. Cieszyłem się w jej imieniu. Mimo że była cholerną wariatką.

Artyści jednak często tak mają, czyż nie?

Ponownie obejrzałem fotografie. Łącznie było ich dziewięć. Każda z nich poruszająca, intymna i mocno, mocno zmysłowa. Jedna z nich wyróżniała się tym, że była najbardziej nieprzyzwoita. To znaczy - nie była to wystawa, na której pokazywano nagie postaci i ujęcia z rozłożonymi nogami, ale jedno ze zdjęć sugerowało, że modelka się masturbuje. Delikatnie, nie szaleńczo, po prostu pieści waginę pod prześcieradłem. Nie było widać jej twarzy ani górnej części ciała. Tylko zarys nóg i jedną zaplątaną w prześcieradło stopę. Ekspонат numer dziewięć nosił tytuł *Autoportret*. Kurwa! Intymność tego zdjęcia sprawiła, że przez moje ciało przeszedł dreszcz. To była Connie. Leżała odsłonięta dla każdego, kto oglądał zdjęcia. Dla mnie, żebym cieszył się w duchu. Ponieważ może i brzmi to irracjonalnie, ale uważam, że miałem coś wspólnego z tamtymi zdjęciami, prawdę powiedziawszy, sądzę, że całkiem spora moja zasługa w tym, że Greenie w końcu zajęła się fotografią.

Wiecie, kiedyś często o tym rozmawialiśmy, o jej pragnieniu zostania fotografem, i ja jej mówiłem wtedy, że może to zrobić, jeśli tylko chce. Wierzyłem w nią. Skończyło się to beznadziejnie, i w ogóle. Ale wszystkie rozstania są beznadziejne, czyż nie? Zaczęło się wspaniale. Przyglądałem się temu autoportretowi przez dziesięć minut, aż w końcu moja pani nazwała mnie zbożnikiem i zaciągnęła do pobliskiego pubu na lunch.

Od czasu do czasu ktoś z Peterson Windlooper wspomina Greenie. Kiedy zobaczy jej zdjęcia wykorzystane w reklamie lub przeczyta recenzję tej czy innej wystawy. Ale ja nie rozpamiętuję. Nie należę do osób, które mają coś takiego w zwyczaju.

Poza tym przez sześć ostatnich lat w moim życiu całkiem sporo się działo. Ożeniłem się, rozwiodłem, awansowałem, nowy samochód, nowe mieszkanie, podróże, kolejne nacięcia na kolumiejsce przy łóżku. Życie płynie dalej.

Jednak to zabawne, że jest matką. Kogoś na tyle dużego, że chodzi do szkoły. Nie małego, ślicznego dzidziusia, które można nosić w nosidełku jako modny dodatek, ale prawdziwej osoby. Greenie jest kobietą. Dziewczyna, którą znałem, zniknęła.

Dziewczyny tak właśnie robią. To nudny zwyczaj.

Dzwonię do Toma, żeby zapytać, czy ma ochotę wyskoczyć na drinka. Mówi, że nie może. On i Jenny mają się wieczorem spotkać z ich ślubnym fotografem. Nie tylko dziewczyny znikają. Wzdycham i robię mu przytyk:

- Stary, a to nie jest babska robota? Widziałeś, żebym ja się zajmował tym całym weselnym planowaniem?

- Nie, stary, ale trudno cię nazwać wzorem do naśladowania, jeśli chodzi o „żyli długo i szczęśliwie”, czyż nie?

- Pewnie nie. Ale czy jeszcze kiedyś będzie ci wolno wyjść na drinka? Bo wiesz, mężczyzna potrafi umrzeć z pragnienia.

Przez chwilę na drugim końcu linii panuje cisza. Tom wie, że jeszcze nieraz będę się z niego śmiał i mu przygadywał. Już od jakiegoś czasu nie uganiamy się razem za spódniczkami. Tom należy do tych wiernych, chwala mu za to, odkąd więc związał się z Jenny jest jedynie niewinnym i biernym obserwatorem moich numerów, ale Jenny w to nie wierzy. Ogłasza go współwinnym i jest przekonana, że kiedy wychodzimy gdzieś razem, nie robimy nic innego, tylko rwiemy laski. Prawda jest taka, że często jedynie gramy w rzutki, gadamy i sobie żartujemy. Owszem, najczęściej wracam do domu z jakąś ślicznotką, tą czy inną, ale Tom ogranicza się do okazjonalnego puszczenia oka. Taka nieszkodliwa zabawa.

Tom wyraźnie porównuje wagę przytyków, jakich dozna z mojej strony, i suszenia głowy, jakie go bez wątpienia będzie czekać, jeśli wyjdzie ze mną.

- Mógłby dołączyć do nas Craig. Opowiem ci, jakie mamy plany na weekend kawalerski - kuszę go.

- Cóż...

- Craig zabrał się za podryw. Potrzebuje osoby towarzyszącej na twoje wesele. Naszym obowiązkiem jest mu pomóc.

- Okej. Zapytam Jen, czy możemy w sobotę wyskoczyć razem na piwo - mówi wreszcie.

- Stary, nie pytaj jej, tylko powiedz.

Gdzie się podział jego szacunek dla samego siebie?

LUCY

Peterowi i mnie niezbyt dobrze się układa. To nudne, że tak dużo mojego czasu pochłaniają tego rodzaju bzdury. Skoro już muszę borykać się z widmem zmarszczek, to przynajmniej nie powinnam musieć się przejmować statusem swojego życia uczuciowego. Jestem na to za stara.

Peter i ja w ogóle nie rozmawialiśmy na temat mojego pospiesznego wyjścia z restauracji ani żadnego aspektu tego wieczoru. Z jednej strony jestem rozczarowana, że ten incydent został tak starannie zmieciony pod dywan - bądź co bądź oboje wypowiedzieliśmy monumentalne słowa, a ja uważam, że słowa wypowiedziane w gniewie, żartem czy po pijaku są bardzo często prawdziwe. Większość tego, co mówimy, gdy zachowujemy się racjonalnie, to samozachowawcze brednie. Z drugiej jednak strony, wspominam ten wieczór z dojmującym uczuciem wstydu i uważam, że najlepiej o nim zapomnieć.

Cholerna Rose!

Peter dotarł do domu czterdzieści minut po mnie. Udawałam, że śpię. Udawał, że mi wierzy. Następnego ranka ostrożnie obchodziliśmy się z daleka. Wzięliśmy prysznic, ubraliśmy się i zjedliśmy śniadanie, jakbyśmy byli po przeciwnych stronach na wczesnym etapie gry w szachy. Okrążaliśmy się, mijaliśmy i starannie unikaliśmy prawdziwych interakcji. Grzecznie zaproponowałam mu kawę. On uprzejmie ją przyjął i równie uprzej-

mie zaproponował dział finansowy ze swojej gazety. Grzecznie odmówiłam, ponieważ wiem, że nie lubi rozrywać gazety. Udał się do metra pieszo. Użyłam wymówki, żeby wyjść nieco później i nie musieć iść razem z nim. Powiedziałam, że muszę wypastować Auriol buty, ewidentna wymówka, ponieważ normalnie nie zwracam sobie głowy takimi rzeczami. To Eva dba o to, żeby nasza córka dobrze prezentowała się w szkole.

- To miło - powiedział na to Peter i pocałował mnie w czoło, po czym z kiepsko skrywaną ulgą ruszył do drzwi, chcąc wyrwać się z objęć wszechobecnego napięcia panującego w domu.

I tak jest w kółko już od tygodnia. Jesteśmy dwójkiem uprzejmych, obcych sobie osób, które razem mieszkają. Korzystamy z tych samych łazienek, pierzemy ubrania w tej samej pralce, śpimy w tym samym łóżku, jemy z tych samych talerzy, ale poczucie intymności właściwie zupełnie znikło.

Tak czy inaczej, na odsunięcie kłopotów domowych na samo dno świadomości nie ma nic lepszego niż mnóstwo pracy, ukoronowane lotem pierwszej klasy do Nowego Jorku. Mick i ja pracujemy razem nad pewną nową sprawą. Międzynarodowa spółka z siedzibą w Nowym Jorku, dbająca o rozłożenie ryzyka pracowniczych funduszy emerytalnych. Mówimy tutaj o dużych pieniądzach, ale to uczciwa i jasna propozycja. Szczerze mówiąc, uważam, że jesteśmy teamem o zbyt wysokich kwalifikacjach. Każde z nas poradziłoby sobie z tym przy pomocy jakiegoś niezłego, nowego chłopaka. Właściwie to na początku tę sprawę przydzielono Mickowi, później jednak Ralph się dowiedział, że klient wyraźnie określił, że ich spółka preferuje „etyczne podejście do biznesu”.

- A kto nie? - zażartowałam.

Ale wiedziałam, że podzielono się ze mną tą akurat informacją dlatego, że w wolnym tłumaczeniu „etyczne podejście do biznesu” oznacza, że wśród menedżerów zespołu europejskiego chcą widzieć zróżnicowanie — tego rodzaju rzeczy czę-

sto sprawiają, że spółki czują się lepiej z tym, że wykorzystują mniejszości w miejscach znacznie bardziej odległych. Wśród personelu Gordon Webster Handle nie ma niepełnosprawnej czarnoskórej lesbijki (najlepszy wybór w wypadku podejścia etycznego), jedynym więc urozmaiceniem w białej, męskiej, anglikańskiej populacji firmy jestem ja. Przynajmniej muszę usiąść, żeby się wysikać.

- Nie prosilibyśmy cię o to, ale ten żółtek z teamu Eda pracuje już nad czymś naprawdę dużym - powiedział Mick.

- Jeśli masz na myśli Ralphi, to jest Malezyjczykiem - odparłam. Wiem, że *city* to nie jest miejsce politycznie poprawne. Jestem zaszokowana odkryciem, że równie kiepsko mają się tutaj sprawy z poprawnością geograficzną. — Jestem zajęta - zaprotestowałam.

- Jeśli masz coś do zrobienia, daj to komuś, kto jest zajęty. Czyż nie tak właśnie się mówi? Co mogę zrobić, żeby cię przekonać do poświęcenia czterech roboczych dni na ten projekt plus znalezienia czasu na wycieczkę do Nowego Jorku? - Mick uśmiecha się do mnie promiennie, sugerując w ten sposób, że nie sądzi, żeby trzeba mnie było długo przekonywać. To mnie niepokoi. Dlaczego miałyby zakładać, że mam ochotę spędzać z nim czas? Czy to po prostu zwykła arogancja? - Daj spokój, Książniczko. Nigdy nic nie wiadomo, może będzie całkiem fajnie.

Zgodziłam się pomóc. Siedzenie do późna w biurze albo siedzenie w ciszy w domu. Nie można tego nazwać szczególnie trudnym wyborem. Poza tym Mick miał rację: trudno mi się do tego przyznać, ale fajnie się pracuje nad projektem do spółki z nim. Mick zagaduje klienta, a ja wgrzynam się w cyferki. Zgodnie z przewidywaniami, projekt ten zapewnia mi świetną wymówkę, żebym mogła unikać pory kąpieli Auriol i nadąsanego milczenia Petera (to niesamowite, ile razy można przeanalizować ten sam zestaw liczb), i kiedy pracuję do późnego wieczora, przekonuję się, że Mick jest bardzo zabawny (o czym

wiedziałam) i dość troskliwy (a to niespodzianka). Zawsze pamięta, żeby zamówić dla mnie pizzę wegetariańską, ponieważ pobliska pizzeria ma w swojej ofercie tylko trzy rodzaje pizzy, z których dwóch podstawę stanowi salami. Wprost nie znoszę salami. I jest bystry. Może nie przejmuje pałeczki, ale przynajmniej dotrzymuje mi kroku - wielu poznawanych przeze mnie mężczyzn zawodzi w tej kwestii. Poza tym zdarzają mu się chwile błyskotliwości, co jest ekscytujące. Kiedy przedstawiliśmy naszą robotę Ralphowi, ten uśmiechnął się szeroko i oświadczył:

- We dwoje tworzycie taki świetny team, być może najlepszy team w Gordon Webster Handle. Dlatego klient byłby szaleńcem, gdyby nie dał nam tej sprawy.

- Oni nie są szaleńcami, sir - powiedział Mick. Zawsze mówi na Ralpa „sir”, co byłoby naprawdę paskudne, gdyby nie to, że Ralph jest Amerykaninem, a w Ameryce kelnerki mówią na wieśniaków „sir”, stało się więc to niemal zuchwałe. - Tę robotę mamy już w kieszeni.

- Nie możemy sobie pozwolić na zbytnią pewność siebie, Mick. Ten klient to efektywne, międzynarodowe przedsiębiorstwo niskiego ryzyka i musimy pokazać mu to, co najlepsze. Nie możemy odpuścić.

Mick mrugnął do mnie, a kiedy tylko Ralph się oddalił, dodał:

- Przyznaj to. Ta wycieczka do Nowego Jorku to nic więcej jak wizyta kurtuazyjna. Wygramy ten projekt, pokażną premię i dobre imię.

- Oczywiście - uśmiechnęłam się szeroko. - To zwykłe ściskanie dłoni.

Oboje traktujemy ten wyjazd jako dobrą zabawę. Mick cieszy się na myśl o barach ze striptizem. Ja cieszę się na myśl o obsłudze hotelowej i Bloomingdales. I może kilku koktajlach. Mick i ja moglibyśmy wyskoczyć do Whiskey Baru w W Hotel, dowiedziałam się też niedawno o niesamowitej restauracji w centrum, która nazywa się Novel. Wszyscy tam bywają. Jest oczy-

wiecie lista oczekujących, ale ja nigdy nie miałam z nimi żadnego problemu. A potem moglibyśmy się wybrać do baru Seine, dopiero co zmieniono w nim wystrój - i zatrzymuję się.

Dokąd prowadzi ten myślowy pociąg? Nie jestem naiwna. Wiem, na jakich stacjach zatrzymuje się ten pociąg. Zaczyna się od podziwiania jego garnituru. Następnie uśmiechu, poczucia humoru, wreszcie troskliwości i przebłysków błyskotliwości. Chwilę później otwierają się rozporki, a z żyrandoli zwisa koronkowa bielizna. Biorę głęboki oddech. To się posuwa zbyt szybko i w niebezpiecznym kierunku. Zaledwie kilka tygodni temu uważałam Micka za biurowego Casanovę: banalnego i niezasługującego na prawdziwe zainteresowanie. Posyłam mu ukradkowe spojrzenie. Jest wysoki, ciemnowłosa i przystojny, w taki bardzo oczywisty sposób. Właśnie w taki sposób facet powinien być przystojny. Nie jestem fanką uduwienień. Ale to nie jest Peter. W żadnym fragmencie. To nie mój mąż. Muszę o tym pamiętać.

To prawda, razem jesteśmy dobrzy. Jesteśmy teamem. Kolegami z pracy. To wszystko. Sprzeczki, przekomarzania się, późnowieczorne rozmowy o polityce, barach i samochodach nie mają znaczenia. Mick otwarcie się ucieszył, że włączono mnie do tego projektu, choć to nieuchronnie będzie oznaczać podział jego premii, ale to jeszcze nic nie znaczy. Ostatecznie to biznesmen i wie, że połowa czegoś jest lepsza niż całość niczego, co byłoby prawdopodobnym rezultatem, gdyby Gordon Webster Handle nie spełnił wytycznych dotyczących zespołu mieszane-go. Zobaczył więc sens w posiadaniu kobiety w drużynie. Jak on to ujął? „Zawsze się znajdzie miejsce dla ładnej pani”. Nie warto zawracać sobie głowy tą z lekka flirciarską uwagą, taki po prostu ma styl bycia, i już. Niemniej jednak cieszę się z tego, że nie ma za złe mojej obecności i nie sprawia, że czuję się skrepowana, jak to czyni wielu traderów. Posunął się nawet do tego, że powiadomił Ralpa, że to mnie przyszedł do głowy zupełnie nowy sposób spojrzenia na portfolio, który z pewnością zwycięży. Potrafi być ujmujący. S t o p !

Peter. Peter. Peter. „Po prostu powtarzaj sobie jego imię” - nakazuję sobie, sadowiąc się wygodnie w fotelu w pierwszej klasie. Problem w tym, że kiedy wypowiadam jego imię, myślę o pospieszonym, suchym i bolesnym seksie, jaki uprawialiśmy dzisiejszego ranka. Oboje jesteśmy przesądni, jeśli chodzi o latanie bez uprzedniego pogodzenia się, zdobyliśmy się więc na wysiłek. „Wysiłek” jest tutaj słowem jak najbardziej na miejscu. Muszę być bardzo ostrożna. Nie dalej jak kilka minut temu Mick i ja zaśmiewaliśmy się do rozpuku z dowcipów rysunkowych w „Punchu”. Skoro ja jestem świadoma tego, że stajemy się wobec siebie nieco zbyt poufali, Mick najprawdopodobniej zdażył już sobie wyobrazić jednoczesne wielokrotne orgazmy. Wspomniałam już o tym, że jest bardzo pewny siebie. Kiedyś świetnie grałam Królową Lodu. Chyba muszę znowu wcielić się w tę postać.

- Coś do picia, proszę pani? — Uśmiechnięty steward trzyma tacę z kieliszkami szampana i szklankami świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego, ustawionymi w równych szeregach jak żołnierze.

Mick sięga nade mną i bierze dwa kieliszki szampana. Podaje mi jeden, steward zaś rusza dalej.

- Chciałam sok pomarańczowy - mówię chłodno. Peter.

- Dlaczego? Jest za darmo. I to szampan. Dlaczego miałaś pić sok pomarańczowy? — pyta rezolutnie.

Peter.

- Jestem w pracy. To godziny biurowe.

Mick prychnie kpiarsko, po czym wypija oba kieliszki szampana. Patrzę na niego ze zdumieniem.

- Co? To naprawdę małe kieliszki. Nie chciałaś swojego. Tak powiedziałaś.

Czasami łatwo zapomnieć, że Mick jest w moim wieku. Wygląda i zachowuje się jak ktoś znacznie młodszy. Zastanawiam się, czy postronny obserwator pomyślałby, że jesteśmy w tym samym wieku. Chciałabym przestać zadrezczać się kwe-

stia starzenia się, to absurdalne. Ale ostatnio nie jestem w stanie ignorować faktu, że wszystko mi opada, spowalnia albo się kurczy. I nie pomógł wczorajszy incydent u fryzjera. Trzy miesiące temu, bez żadnych wcześniejszych dyskusji ani uprzedzenia, mój fryzjer, do którego chodzę od ośmiu lat, oświadczył, że emigruje. Czuję się porzucona. Pewnie powinnam cieszyć się jego szczęściem, tym, że w końcu spotkał mężczyznę swoich marzeń (niesamowicie bogatego, niesamowicie przystojnego i niesamowicie głupiego). Stephen i jego kochanek planują skakać sobie od plaży do plaży i podążać za słońcem przez cały rok. Często przyłapuję się na tym, że zazdroszczę gejowskiemu parom, którym nie narzuca się oczekiwań dotyczących spłodzenia potomstwa. Mogą swobodnie prowadzić hedonistyczny styl życia, którego mnie tak bardzo brakuje.

Odwiedzałam Stephena z nieprzyzwoitą wręcz regularnością. Lubię mieć podcinane włosy co cztery tygodnie i lubię chodzić na mycie i modelowanie co najmniej raz w tygodniu, nierzadko częściej. Przez te wszystkie lata pełnił funkcję powiernika, balsamu na duszę i oczywiście wiarygodnego stylistycznego guru. To Stephen obiecał, że mi powie, kiedy nadejdzie pora skrócenia włosów. Odważny człowiek. Od zawsze noszę długie włosy - nie wierzę w to, że niewielka odmiana dobrze robi. Uważam, że powinno się znaleźć to, w czym ci do twarzy, i trzymać się tego. W ramach ukłonu w stronę mody co pewien czas obcinam, następnie zaś zapuszczam grzywkę, nie jestem jednak jej niewolnicą. Nigdy nie zrobiłam sobie trwałej - jestem chyba jedyną kobietą, która może oglądać się na zdjęciach z lat osiemdziesiątych, czując szacunek do samej siebie.

Niemniej jednak zawsze wiedziałam, że nadejdzie dzień, kiedy będę musiała obciąć włosy. Mam świetną figurę i fantastyczne ubrania, z tyłu więc można mnie wziąć za nastolatkę. Długie włosy przez pewien okres pomagają w utrzymywaniu tej iluzji, później jednak stają się absurdalne. Ale skąd będę wiedziała, że już nadszedł ten moment? Czy będę mieć w sobie

dostatecznie dużo samoświadomości, żeby dotarło do mnie, że moje długie loki to już raczej symbol starej wiedźmy niż pięknej księżniczki? Nie byłam tego taka pewna. Stephen zebrał się więc na odwagę i zgodził przyjąć na siebie rolę osoby, która mi powie, że nadeszła pora na wielkie cięcie. Aż tak mnie kochał.

Bez niego drastycznie spadają moje szanse na godne wejście w wiek średni.

Od jego wyjazdu unikałam obcinania włosów, ograniczając się do regularnego mycia i modelowania. Nie sądziłam, żeby w całym Londynie znalazł się fryzjer, który mógłby dorównać Stephenowi. Po trzech miesiącach stało się jednak jasne, że jej polityki nie da się prowadzić bez końca. Mam rozdwojone końcówki, na litość boską!

Jego obowiązki, a przynajmniej nożyczki, przejął Shaun. Znam go przelotnie od kilku lat, odkąd zaczął praktykę w salonie Stephena. Tak sobie pomyślałam, że będzie miał podobną technikę i świetne przeszkolenie. Ale się okazało, że Stephen i Shaun chodzili do zupełnie różnych szkół wdzienku.

- Lucy, czas na zmianę, nie sądzisz? Ten styl jest dla dzieciaków - oświadczył w chwili, gdy zawiązał pelerynkę wokół mojej szyi.

Byłam zbyt zdumiona, żeby mu odpowiedzieć. Na początku. W milczeniu przetrwiałam fakt, że Shaun oświadczył właśnie, że jestem za stara na długie włosy. Czy z tego właśnie powodu Stephen uciekł z Marco? Czy to możliwe, że nie jest tak odważny, za jakiego go uważałam? Shaun zinterpretował moje zaszokowane milczenie jako zgodę i zabrał się za obcinanie.

Bez słowa się przyglądałam, jak blond pukle spadają mi na kolana.

Dotknęłam palcem lśniących kosmyków, już teraz pragnąc, żeby można je było przykleić z powrotem, wiedziałam jednak, że to niemożliwe. Ich czas minął.

Obcięcie jest... w porządku. Nie mogę się doszukać wad, a próbowałam. Jest szykowne, kształtne, eleganckie, krótkie.

Dałam napiwek Shaunowi, ponieważ gdybym tego nie zrobiła, wyczułby mój sprzeciw, to zaś, czemu się sprzeciwiam, pozostaje poza jego kontrolą.

Udałam się spieszenie do domu, otworzyłam drzwi i pobiegłam na górę, nie pozwalając, żeby zobaczyły mnie Eva lub Auriol. Zamknęłam się w sypialni i dopiero wtedy odważyłam spojrzeć w lustro. Nie rozpoznałam siebie. Wyglądałam jak zupełnie inna osoba. Wyglądałam starzej, nie da się tego ukryć. Jestem starsza. Dziś rano dostrzegłam żyłki na udach. Co to takiego? Początek żyłaków? Nadal wyglądam świetnie, kiedy jestem „zrobiona”, ale zauważyłam, że potrzebuję coraz więcej czasu, żeby się „zrobić”. Mam więcej kremów do nakładania, idea samego podkładu już dawno odeszła w zapomnienie.

Steward przechodzi z następną tacą drinków i malutkich misek z soczewicą i orzeszkami ziemnymi. Mick sięga nade mną i pewnie częstuje się dwoma kolejnymi kieliszkami szampana i dwiema miseczkami. Tym razem niczego mi nie proponuje.

- Czy mogłabym prosić wodę? - pytam stewarda.

Mick pokazuje na magazyn pokładowy.

- Czytam o nowojorskich SPA. Dla mnie to jeden wielki kant — stwierdza.

Prawdę mówiąc, przeczytałam opisy zabiegów z zainteresowaniem i uznałam, że wdychanie czystego tlenu jest właśnie tym, czego moja skóra potrzebuje do walki ze stagnacją, opadaniem i szarością. Wzruszam ramionami.

- Cóż, są wystarczająco dobre dla Gwyneth P., Kate Moss i innych. Czy też one właśnie są przynajmniej wymienione jako stałe klientki SPA. Oczywiście, mogą woleć gorące kamienie, układane na nogach i plecach.

Gdy to mówię, uśmiecham się. Nie jest łatwo wierzyć w te zabiegi, jeśli się je zbyt agresywnie rozbiera na części. Nie jest też łatwo grać przy Micku Królową Śniegu.

- Ale, Lucy, ty nie potrzebujesz tego całego szajsu - oświadcza Mick, oddając mi magazyn. - Jesteś piękna.

Podobno istnieje dowód na to, że w powietrzu człowiek czuje się ogólnie bardziej seksowny i uczuciowy. Latanie uwalnia pewne endorfiny, chyba te, z którymi ma się do czynienia podczas jedzenia czekolady, wykonywania ćwiczeń czy uprawiania seksu. Nie pamiętam dokładnie naukowych szczegółów, ale myślę, że właśnie to tłumaczy tę szaloną liczbę ludzi, którzy dołączają do klubu miłośników podniebnego seksu Mile High Club. Coś dziwnego musi się dzieć z mózgiem każdego, kto ma ochotę bzykać się w ciasnych i śmierdzących toaletach. Zwłaszcza że wejście i wyjście z toalety razem z partnerem w taki sposób, żeby nie zauważył tego personel, wymaga precyzyjnego planowania. Wiem z doświadczenia. Peterowi i mnie udało się to dwa razy. Zanim, oczywiście, zostałam panią Phillips.

To musi być kwestia wysokości, prawda? To ona jest powodem, dla którego chwila, kiedy Mick powiedział, że jestem piękna, była taka cudowna. Wysokość. Biorę od niego szampana i stukamy się kieliszkami. Uśmiecha się do mnie promiennie. Nigdy nie należałam do kobiet, które się okłamują, jeśli chodzi o mężczyzn. Wiem, kiedy mnie pragną- p r a g n ą, a kiedy tylko pragną mojej obecności. W przeszłości większość mężczyzn podchodziła pod tę pierwszą kategorię — jedynie garstka przyznawała, że jestem poza ich zasięgiem i decydowała się na drugą kategorię, ponieważ bycie moim przyjacielem czy choćby współpracownikiem to całkiem dobre drugie miejsce. Odkąd jednak wyszłam za mąż i zostałam matką wraz ze wszystkim, co się z tym wiąże, odczytywanie męskiego pożądania przekształciło się w bardziej zagadkowy i ryzykowny proces. Możliwe, że się mylę, ale jeśli jest inaczej, twierdzą, że coraz więcej poznawanych przeze mnie mężczyzn wybiera kategorię B. Ciekawe, do której mam zakwalifikować Micka?

Przyjęcie szampana było czynem impulsywnym i bez wątplenia wysyła niewłaściwy sygnał. Choć rzeczywiście, jest przepyszny. A tak w ogóle, to jaki sygnał pragnę wysłać? Zachowuję

się jedynie przyjacielsko. Dolecimy po południu. Nie mamy nic do roboty aż do jutra. Nie muszę trzeźwo myśleć.

Muszę?

- A tak przy okazji, to fajna fryzura, Księżniczko. Bardzo ładna.

Nie muszę.

ROSE

Luke miał rację, jeśli chodzi o ten kurs. Z Lukiem zresztą tak to już często bywa. Kurs konserwacji samochodu był strefą niemal zupełnie pozbawioną mężczyzn, i bardzo dobrze. Było kilku młodych chłopaków, nastolatków, których rodzice uczynili uczestnictwem w tym kursie warunkiem otrzymania samochodu, a pozostałe osoby to kobiety takie jak ja.

Samotne, odpowiedzialne i zdenerwowane.

Kiedy wróciłam do domu, chłopcy leżeli już w łóżkach, a Connie uśmiechała się wyczekująco. Opóźniłam to, co nieuchronne, pytając ją, czy chłopcy byli grzeczni. Umyli zęby? Dokończyli odrabianie pracy domowej? Connie odpowiedziała twierdząco na wszystkie te pytania.

- I o wpół do dziewiątej smacznie już spali. To była łatwizna. Ale teraz opowiedz mi o kursie.

- W tym tygodniu nauczyliśmy się zmieniać koło i na pewno bardzo nam się to przyda.

- To dobrze, a jacy byli pozostali ludzie? Poznałaś kogoś podobnie myślącego? — Connie się stara, żeby brzmiało to nie-dbale, ale jej nie wychodzi. Żadna z nas nie wierzy, że ona pragnie, żebym wzbogacała swoją wiedzę i umiejętności. Chce, żebym znalazła sobie chłopaka.

Postanowiłam podrażnić się z nią przez chwilę.

- Dwoóm osobom dałam swój numer telefonu, a z jedną umówiłam się nawet na kawę — oświadczyłam jej z szerokim uśmiechem.

- Mów dalej! — zapiszczała z podekscytowaniem.

- Cóż, Susanne jest fryzjerką, rozwiedziona od ośmiu lat. Ma trzy córki. A Helen pracuje w dziale sprzedaży reklam w branżowym wykazie firm i instytucji Yellow Pages. Ma stałego partnera, ale on dużo pracuje z dala od domu, a że jest bezdzietna, ma sporo wolnego czasu.

- Kobiety? - W głosie Connie słychać kiepsko skrywane oburzenie.

- Tak - odpowiedziałam spokojnie. — Nowe przyjaciółki. Potencjalne. Czy nie o to właśnie w tym wszystkim chodzi?

- Cóż, owszem - przyznała niechętnie. - Ale nie było tam żadnych mężczyzn?

- Nie.

- Żadnych-ż a d n y c h ?

- Kilku chłopców i prowadzący kurs - odparłam zgodnie z prawdą.

- Jaki on jest?

- Żonaty.

Connie wyszła ode mnie dość przybita, a niepotrzebnie, ponieważ to był świetny wieczór. Fajnie było nauczyć się czegoś nowego i poznać innych ludzi. Możliwe, że ta kampania Connie i Daisy ma jednak swoje zalety.

Powinłam była dostrzec ponurą determinację w jej pożegnaniu się ze mną. Szaleństwem z mojej strony było sądzić, że uzna niewielkie poszerzenie się kręgu moich znajomych za zwycięstwo.

Teraz zatem pora na randkę. O niebiosa! Jak ja się dałam na coś takiego namówić? Nie, nie namówić - zmusić. Byłam męczona kazaniem, straszona i nakłaniana pochlebstwami. Powinno istnieć prawo chroniące ludzi mojego pokroju przed takimi ludźmi jak Daisy i Connie.

- Mówiłyście, że celem jest poznanie przeze mnie nowych ludzi - argumentowałam.

- Bo jest - odparła Daisy.

- Mówiłyście, że wcale nie chodzi o znalezienie faceta.

Daisy i Connie wymieniły pełne skruchy spojrzenia. Wszystkie wiemy, co jest ich głównym i najważniejszym celem.

- Zapisałam się na kurs wieczorowy, zgodnie z waszymi sugestiami, i poznałam tam nowych ludzi. Dlaczego muszę iść na tę randkę?

- Nie traktuj tego jak randki - powiedziała Daisy - a jedynie jak urozmaicanie życia towarzyskiego w taki sam sposób, w jaki to robisz, idąc na kawę z Helen.

- Tyle że ja nie znam tego człowieka.

- Staramy się temu zaradzić.

- I to nie jest kawa, ale drink, być może również posiłek.

- Tak.

- I odbywa się to wieczorem.

- Tak, ale w poniedziałek wieczorem, co właściwie nie jest wieczorem. Już bardziej popołudniem. - Wpatruję się w nią ze zdumieniem. - Rose, traktuj to po prostu tak, jakbyś wyświadczała mu przysługę.

- Nie chcę wyświadczać mu przysługi.

- Uważam, że w dalszym ciągu nie opuściłaś swoich stref bezpieczeństwa - orzeka Connie.

- Kto raz był konsultantem, już zawsze nim będzie - mruknęłam pod nosem.

Po kilku dniach nieustannego raczenia mnie przemowami zrozumiałam, że one nie dadzą za wygraną i że prościej już będzie przebrnąć przez tę cholerną randkę. Oczywiście, że będzie okropnie, ale zaczęłam postrzegać tę randkę w takich samych kategoriach, w jakich widzę wizytę u dentysty, coś, co nie jest przyjemne, ale trwa tylko określony czas.

Mam więc randkę z Kevinem Morrowem. Szwagrem koleżanki Connie. Na to mi przyszło - randka w ciemno. Sama jej

koncepcja jest mi zupełnie obca, mimo to w głębi duszy wiedziałam, że pewnego dnia znajdę się w takiej właśnie sytuacji. Kevin — pytam was - czy jego imię wskazuje na boga seksu, mężczyznę czarującego, bratnią duszę czy choćby duszę towarzystwa? Nie. Zmierzam ku swojemu przeznaczeniu niczym kobieta skazana na śmierć. Spodziewam się równie dobrej zabawy.

Zaskakuje mnie to, że mając prawie czterdzieści lat, przejmuję się tymi samymi kwestiami randkowymi jak wtedy, gdy miałam lat dwadzieścia. Dołączając jest świadomość, jak niewielki dokonał się we mnie postęp. Nie mogę otwarcie nie lubić tego człowieka, ponieważ go nie poznałam, ale z tego samego powodu nie mogę go lubić. Kiedy byłam nastolatką i nieco później, często umawiałam się z facetami, których nawet nie byłam pewna, czy lubię. Zazwyczaj było tak, że spotykałam się z chłopakami, których moje przyjaciółki uważały za „słodkich”, albo moja mama za odpowiednich. Peter był jedynym, z którym się spotykałam dlatego, że na jego widok serce zaczynało mi szybciej bić.

Na dodatek po tylu latach przekonuję się, że nadal denerwuję się tym, że skończą się nam tematy do rozmowy. Pozostałe niepokoje z przeszłości to fakt, że wołałabym zostać w domu (gdyż są fajne programy do obejrzenia w telewizji) i — oczywiście - że mój tyłek wydaje się we wszystkim wielki. Przed rozwodem moja garderoba była jedną wielką katastrofą, a upływ czasu w niczym tu nie pomógł. Connie starała się być miłą. Daisy, jako siostra, była bezlitosna.

- Patrz, całkiem fajne. To jedna z tych dżersejowych sukienek, prawda? Wraca moda z lat osiemdziesiątych - rzekła Connie.

- Jest taka niemodna, a nawet kiedy była modna, i tak musiała być paskudna — oświadczyła z rozpaczą w głosie Daisy.

- Nie kupiłam jej w latach osiemdziesiątych! - warknęłam.

Złapałam sukienkę i wcisnęłam ją na sam tył szafy, żeby przypadkiem nie zobaczyły metki, ujawniającej, że ta suknia jest

tak naprawdę ciężowa. Prawdopodobnie ostatni raz kupiłam sobie coś do ubrania w czasie, kiedy byłam w ciąży.

Wnikliwa analiza zawartości mojej szafy i diagnoza - „straszne braki” - doprowadziły, oczywiście, do obowiązkowej wyprawy na zakupy. Dziewczyny ciągnęły mnie od sklepu do sklepu, w których sprzeczałyśmy się na temat tego, co mi pasuje, a co nie. Connie robi zakupy w modnych sklepach, których oferta jest skierowana do kobiet o rozmiarze lalki Barbie i do których boję się choćby wejść. Gust Daisy jest bardziej zbliżony do mojego, a ona rozumie problem rudych włosów, ale nie rozumie problemu zupełnego braku pewności siebie i motywacji do kupowania ciuchów. Nie mam ochoty iść na tę randkę, jak więc miałabym się ekscytować tym, w co się na nią ubiorę?

- Jak chcesz wyglądać, Rose? Seksownie? Powściągliwie? Olśniewająco?

Patrzyłam na Connie i milczałam. Wcale nie unikałam w ten sposób udzielenia odpowiedzi, lecz jej po prostu nie znałam. Kim ja jestem? Mamą bliźniaków. Co chcę powiedzieć o sobie? Bardzo mało, z wyjątkiem może tego, że mogłabym założyć jeden z tych znaków, jakie wiszą na hotelowych drzwiach: „Nie przeszkadzać”.

Żadna z nas nie była szczególnie zachwycona owocami naszego sklepowego maratonu. Kremowa wełniana sukienka trąci kompromisem. Według Connie jest bezkształtna, ale przynajmniej nie odsłania zbyt dużo ciała ani nie czuję się w niej jak stara baba udająca młodkę. W wielu ubraniach, które mierzyłam, czułam się jak oszust - przeciwieństwo dziewczynki przebiegającej się w ciuchy swojej matki. Nie wyglądałam uroczo, lecz nie na miejscu i nieco absurdalnie. Connie zaakceptowała sukienkę po dodaniu do niej błyszczącej apaszki i butów na wysokim obcasie, Daisy zaś dlatego, że bolały ją nogi i nie zniosłaby, gdybyśmy weszły do „choćby jeszcze jednego cholernego sklepu”.

Staram się zachowywać pozory. Zgodnie z dyktatem Daisy byłam u fryzjera. Nie mam swojego stałego fryzjera. Do salonu

chodzę tak rzadko, że się zdarza, że tymczasem zdąży się zmienić cały personel. „Zaopiekowała się mną” (powiedzmy...) wyglądająca gburowato nastolatka, patrząca na moje włosy z rozpaczą. Zbyt krótko je obcięła, upierała się, że potrzebuję „podniesienia”, a potem pomalowała je na zabawny kasztanowy kolor i miała czelność skasować za tę przyjemność 150 funtów. Do kąpieli użyłam pachnących olejków, które Connie kupiła mi w zeszłym roku na Gwiazdkę. Nie pamiętam marki, ale były zapakowane w jedną z tych wytwornych papierowych torebek, muszą więc być dobrej jakości. Potraktowałam ciało balsamem nawilżającym (co nie znaczy, żebym się spodziewała, że moje ciało będzie dotykane). Mam na sobie obciskające majtki, które są niczym pas cnoty. Mój nowy strój jest pięknie odprasowany i leży na łóżku, czekając na mnie. Wpatruję się w niego i wiem, że wszystko jest nie tak.

Ta sukienka jest bezbarwna. Powinnam była kupić ten jaśniejszy kardigan w Monsoon.

Kevin i ja mamy się spotkać w pubie w mojej okolicy, Lamb and Flag. Rozmowa telefoniczna, podczas której to uzgodniliśmy, była krótka i zdawkowa. Nie zwracaliśmy sobie głowy pytaniem o znaki zodiaku czy ulubione kolory. Nie żartowaliśmy o zabraniu ze sobą egzemplarza „Timesa” czy goździka.

Milcząca umowa jest taka, że jeśli wszystko pójdzie między nami dobrze, to możemy iść na pizzę do pobliskiej włoskiej restauracji, jeśli nie — wyjdę po jednym drinku i żadne z nas nie zmarnuje ani zbyt dużo pieniędzy, ani czasu. Czuję ulgę, że przynajmniej parametry tej randki są mi znajome. Jeśli wierzyć temu, co mówią w telewizji, pierwsze randki stanowią obecnie wyzwanie dla wyobraźni, co często kończy się totalnym upokorzeniem, nie zaś osiągnięciem celu, polegającego na lepszym poznaniu drugiej osoby. Jestem bardziej skłonna tolerować Keviną, ponieważ nie zaproponował kręgli, łyżew, paintballu czy pójścia do nowej galerii, gdzie musiałabym wypowiadać się na temat tego, czy niepościelone łóżko to według mnie sztuka. Nie

mam energii emocjonalnej, nie mówiąc o fizycznej, żeby robić coś bardziej wymagającego niż jedzenie pizzy i prowadzenie rozmowy towarzyskiej. Zresztą nawet to będzie wymagać ode mnie ponadludzkiego wysiłku.

Moment, w którym wchodzę do pubu, jest chyba najgorszy. Mam przynajmniej taką nadzieję. Nieznośna jest myśl, że dzisiejszego wieczoru mogłabym się czuć jeszcze bardziej nie-szczęśliwa, samotna czy bezradna. Ustaliliśmy, że spotkamy się o ósmej. Wybrałam taką godzinę, jeśli bowiem ten wieczór okaże się totalną katastrofą, położenie się do łóżka (w pojedynkę) przed wpół do dziesiątą jest niemal godne szacunku. Gdybyśmy spotkali się o siódmej i wszystko poszło nie tak, byłabym w łóżku (sama) przed wpół do dziewiątą. A to już każdy uznałby za całkowite fiasko.

Nie widzę go. A może widzę, ale jeszcze o tym nie wiem. Pub jest dość zatłoczony - wypełniają go głównie wesołe grupy ludzi, z których wszyscy zdają się żyć pełnią życia. Niemniej jednak przerywają rozmowy i przyglądają mi się z nieskrywaną ciekawością. Czuję tak wielkie zażenowanie, że jestem pewna, że nad moją głową wisi wielki billboard, ogłaszający, że zjawiłam się tutaj na randkę w ciemno. Ostrożnie i tak dyskretnie, jak to tylko możliwe, przeczesuję spojrzeniem pub. Mam nadzieję, że go zidentyfikuję, dokonam oceny, a jeśli konieczne - porzucę, zanim on w ogóle zdąży mnie dostrzec. Byłoby straszne, gdybym pojawiła się pierwsza i musiała na niego czekać. A jeśli w ogóle nie przyjdzie? Totalne upokorzenie. Ruszam w stronę baru, starając się wyglądać pewnie i swobodnie. Zamawiam sok pomarańczowy (trzeźwość umysłu jest niezbędna, a jeśli on się nie zjawi, przynajmniej nie będę wyglądać jak samotna pijaczka). Biorę głęboki oddech, zbieram się na odwagę, po czym rozglądam po pubie.

Z tłumu wyławiam trzech mężczyzn, którzy najwyraźniej są sami. Jeden to pryszczaty chłopak koło dwudziestki. Opiera się o krawędź baru i musi być niezłe wstawiony, choć pije tylko

małe piwo z limetą. Dobry Boże, Connie by mi czegoś takiego nie zrobiła, prawda? Nie jestem panią Robinson, a każdy chłopak szalony w takim stopniu, żeby chcieć zostać młodym kochasiem, byłby mocno mną rozczarowany. Ale to nie może być on - Connie mówiła, że Kevin zbliża się do czterdziestki.

Jest jeszcze jeden facet. Żyłasty, wyglądający na wrednego koleś, pijący samotnie w kacie. Wygląda jak aktor, któremu się nie powiodło, ktoś, kto nigdy nie zagrał nawet epizodu w *The Bill*. Potrzeba tylko chwili, żeby rozgryźć, że ten facet jest koszmarnie rozczarowany światem. Ma wąskie usta, gniewne, czujne, błyszczące oczy i zaniedbany wygląd. To nie może być Kevin. Nie przychodzi mi do głowy nikt, z kim mogłoby mnie mniej łączyć, a jestem pewna, że Connie mówiła, że mamy ze sobą dużo wspólnego.

Trzeci i ostatni samotny mężczyzna to krępy, spocony facet siedzący przy stoliku niedaleko kominka. Przyglądam się, jak z kieszeni spodni wyjmuje chusteczkę. Wydmuchuje w nią nos, potem zaś ociera czoło. Urocze. To musi być Kevin. Wybrał stolik blisko ognia, ponieważ uznał, że to najbardziej romantyczna rzecz, jaką można zrobić podczas randki w ciemno. Nie przyszło mu do głowy, że wieczór jest ciepły, a bliskość ognia lub być może zdenerwowanie, sprawia, że zacznie się obficie pocić. Niezbyt przyjemny widok podczas randki w ciemno. Potrzebuję tylko chwili, żeby zrozumieć, co Connie musiała mieć na myśli, kiedy rzekła, że mamy wiele ze sobą wspólnego. Jego brzuch wylewa się ponad paskiem od spodni. Marynarka obciska mu ramiona, ale nie dlatego, że ma rozbudowane mięśnie, lecz z powodu miłości do słodyczy i piwa. Czuję wobec niego coś zbliżonego do współczucia, co mnie uspokaja. Lepszy pulchny facet, którego celem jest sprawienie przyjemności niż ten chmurny aktorzyzna w kacie, którego ego jest bez wątpienia odwrotnie proporcjonalne do jego zawodowych osiągnięć. Ośmielona - a co mi tam! — zeskakuję ze stołka barowego, zabieram sok pomarańczowy i ruszam w stronę kominka.

- Ty jesteś z pewnością Kevin - mówię z pogodnym uśmiechem.

W tej akurat chwili ni stąd, ni zowąd pojawia się ładna brunetka. Rzuca się na „Kevina”. Całują się z entuzjazmem i zadowoleniem. Wnioskuje z tego, że spotykają się od jakiś sześciu miesięcy. Wystarczająco długo, żeby czuć się swobodnie, wystarczająco krótko, żeby nadal mieć często ochotę na seks. Mruczę pod nosem, że muszę pożyczyć popielniczkę, mimo że nie palę. Ale ta para i tak mnie nie słucha, dzięki Bogu, zbyt pochłonięta sobą, by zwracać uwagę na jakąś dziwną babę. Chwytam ze stołu popielniczkę i przez chwilę się zastanawiam, czy powinnam wrócić na stołek barowy, czy po prostu wyjść. Ta cała randka w ciemno to absurdalny pomysł. Założę się, że Kevin mnie wystawi, a nawet jeśli rzeczywiście się zjawi, na pewno w ogóle nie będzie mi odpowiadał. Spójrzmy prawdzie w oczy, jak może mi odpowiadać? Przecież ja wcale nie chcę chłopaka.

- Tutaj, paniusiu. To ja jestem twoim mężczyzną.

Że co? Odwracam się i widzę, że te słowa pochodzą z ust tego nieprzyjemnie wyglądającego egoisty. Na jego twarzy maluje się rozbawienie - najwyraźniej przyglądał się mojemu przedstawieniu z rzekomym „Kevinem”. Gapię się na niego, choć wiem, że to niegrzeczne.

- Ty jesteś Kevin?

To imię do niego nie pasuje. Osobiście bym powiedziała, że ma imię Hugh albo Lance.

- Nie cieszysz się?

Śmieje się do siebie. Siedzi rozwalony na krześle i nawet nie raczy się wyprostować. Posyła ostre spojrzenie przysadzistemu „Kevinowi” i na jego twarzy maluje się pogarda. Jest chudy i z tego też powodu uważa się za lepszego od tego drugiego. Z miejsca gardzi przysadzistym „Kevinem”, a więc musi pogardzać także i mną, ponieważ mimo obciskającej bielizny z M & S i tak jest oczywiste, że nigdy nie należałam do osób smukłych. Nie lubię go za to, że mnie osądza. Nie lubię go za to, że nie

widzi, że ten drugi „Kevin” musi mieć w sobie coś cudownego. Do jego ust, bądź co bądź, jest przyklejona ładna brunetka. To nie on ma randkę w ciemno. Wiem z całą pewnością, że nie ma takiej możliwości, żebym kiedykolwiek polubiła tego gniewnego, krytycznego, chudego Kevina. To nie mój typ. Zaledwie kilka chwil trwa to stwierdzenie *status quo*. Zastanawiam się, po jakim czasie będę mogła z godnością stąd wyjść.

- Skoro już jesteś na nogach, to dla mnie piwo.

Zagryzam wargę, żeby nie wymusić na nim dodania „proszę”, tak jak to czynię z bliźniakami. Idę w stronę baru, dodając po drodze do listy jego wad niegrzeczność i skąpstwo.

JOHN

Jenny nie pozwoliła Tomowi spotkać się z Craigiem i ze mną podczas weekendu, ale udało nam się to dzisiaj, ponieważ ona pracuje do późna czy coś tam, i spuściła go ze smyczy, pod warunkiem jednak, że przed północą wróci do domu.

- Czemu, stary? Co się dzieje później? Zmieniasz się w dynię? - pytam.

Tom wzrusza ramionami, ale nie odpowiada. Wie, że jest pantoflarzem i jedynym godnym sposobem poradzenia sobie z tą sytuacją jest zachowanie milczenia i nadzieja, że nie będę się nad nim znęcał zbyt długo.

- Musi być świetna w łóżku, Craig. Żeby wynagrodzić tę utratę niezależności, szacunku do samego siebie i innych dupczek.

Rzuca mi gniewne spojrzenie, po czym próbuje zmienić temat.

- Gdzie Craig?

- Jakieś zebranie w szkole. Chyba Komitetu Rodzicielskiego czy jakoś tak.

- Ekstra mu płacą za zostawanie po godzinach?

- Nie sądzę - wzruszam ramionami.

- W takim razie, co on sobie myśli?

- Skąd mam wiedzieć? Zamówić po drugiej kolejce?

Kiedy wracam do stolika widzę, że dotarł i Craig.

- Byłeś u fryzjera, stary - stwierdzam. - Całkiem nieźle. Craig dotyka dłonią włosów i rumieni się jak dziewczyna.
- Dzięki, John. Poszedłem do tego salonu, który mi poleciał.

- Spokojnie, stary. - Udaję, że rozglądam się ukradkiem po pubie. - Ludzie pomyślą, że jesteście ciotami.

- Rzeczywiście jesteście ze sobą coraz bliżej - mówi ze śmiechem Tom.

- Dumny byłbym, mając Craiga za żonę. Jest schludny, ma porządną pracę, jest dobry dla mamy i taty.

- Odwal się, John - śmieje się Craig.

Fajnie jest tak się z siebie podśmiewać. Prawda jest taka, że Tom, Craig i ja zastłonilibyśmy się nawzajem przed kulą, gdyby zaszła taka potrzeba, choć trzeba przyznać, że to mało prawdopodobne. Krótko mówiąc: dobrzy z nas kumple. Właściwie to nawet świetni. Znamy się naprawdę porządnie, tak jak to bywa tylko z przyjaciółmi z dawnych czasów. Nie musimy sobie nawzajem imponować; czasami możemy gdzieś razem wyjść i nawet nie musimy ze sobą rozmawiać, żeby zaliczyć wieczór do udanych. Ci chłopcy wiedzą, skąd pochodzę, zresztą ich pochodzenie jest takie samo. Wiedzą, dokąd zmierzam, i jak mi się udało zająć tak daleko. Tak samo jak ja pieli się z trudem po szczeblach kariery. Czasami wstydę się tego, skąd pochodzę, ale najczęściej wstydę się, że się tego wstydę. Dobra, porządna klasa robotnicza, moja rodzina. Pochodzę z mieszkania, gdzie były kiepskie tapety, tania nylonowa pościel, gówniane żarcie z puszek, ale nieźli ludzie.

Chłopcy to rozumieją. Nie można tego powiedzieć o wielu ludziach.

Connie rozumiała.

Jeżu! Co ta kobieta znowu robi w mojej głowie? Wyrzucam ją z myśli, proponując, że pójdę do baru po drinka dla Craiga.

Przy barze nawiązuję kontakt wzrokowy z pewną ślicznotką. Mówię barmanowi, że zapłacę za jej kolejkę. Kiedy ten przekazuje ślicznotce, że uregulowałem jej rachunek, dziewczyna,

zgodnie z przewidywaniami, jest mile zaskoczona i uśmiecha się szeroko. Nie zawracam sobie głowy odzywaniem się do niej na tak wczesnym etapie wieczoru. Kupując jej drinka, określiłem swoje zainteresowanie i przyciągnąłem jej uwagę - mogę sobie pozwolić na to, żeby spędzić trochę czasu z kumplami, a dopiero potem ruszyć na łowy. Czekanie dobrze paniom robi.

Kiedy wracam na swoje miejsce, Craig zanudza właśnie Toma szczegółami zebrania, któremu niedawno przewodniczył. Tom jest dostatecznie przyzwoitym gościem, że udaje mu się nie wyglądać na znudzonego, i nawet w odpowiednich momentach zadaje pytania, podejmując się godnego pochwały wysiłku wyglądania na naprawdę zainteresowanego.

- Te matki są niesamowite - rozpląwa się w zachwytach Craig. - Tak oddane szkole i edukacji swoich dzieci. Zebraliśmy prawie dwa tysiące funtów podczas letniego kiermaszu na koniec zeszłego semestru. Fantastycznie, nie? W zasadzie to właśnie dlatego odbyło się dzisiejsze zebranie. Chcieliśmy zdecydować, na co przeznaczyć te pieniądze.

- Nie przemawia do mnie to całe kwestowanie, komitety i reszta - mówi Tom. - Za moich czasów matki chodziły do szkoły dwa razy w roku, w dzień sportu i podczas jasełek. Jeśli częściej, to dlatego, że coś przeskrobałeś i czekało cię trzepnięcie w ucho.

- Kto jest w tym komitecie? - pytam.

- Kilku nauczycieli, jeden rodzic z każdej klasy, miejscowy pastor i od czasu do czasu jakiś biznesmen.

Craig poprawia na nosie okulary i się uśmiecha. Jest mu miło, że się zainteresowałem.

- Przypomnij mi, jak się nazywa grupa tych małych dzieci?

- Klasa pierwsza.

- Nie, nie te, jeszcze wcześniej. Najmłodsze?

- Najmłodsze chodzą do zerówki.

- Jest w tym komitecie rodzic reprezentujący zerówkę?

- Staram się, żeby zabrzmiało to niedbale, ale to nie jest zwykłe pytanie.

- Tak. Jeden z każdego rocznika. Czemu pytasz?
- Kto jest z tego rocznika?
- Pani Finch. Czemu pytasz?
- Tak sobie. - Szukam w myślach pomysłu na zmianę tematu. - Macie ochotę zagrać w rzutki albo karty?
- Czemu chciałeś wiedzieć, kto jest w komitecie? - draży Craig.

- Podoba ci się jedna z matek? - pyta Tom. Wyczuwa pisemno nosem.

- Nieszczególnie, lamentował ostatnio, że kiepsko u mnie z niezłymi mamuškami - oświadcza Craig.

Ignoruję ich. Mam taki plan, żeby ich ignorować, ale to trudne, ponieważ obaj patrzą na mnie wyczekująco.

- To nic wielkiego. Po prostu pewnego dnia, kiedy się spotykaliśmy, Craig, wpadłem na kogoś, kogo kiedyś znałem. I tyle.

- Dawna dupcia? - pyta Tom.

- Dawne dzieje - potwierdzam.

- Jezu, John. Czy jest na tym świecie miejsce, dokąd możemy się wybrać bez obawy trafienia na pamiątki z twojej przeszłości? - Uśmiecha się szeroko. Podoba mu się robienie ze mnie młodego cwaniaczka. — Jak dawne są więc te dawne dzieje?

Waham się. W mojej głowie pojawia się zdenerwowana twarz Connie. Nie chciałyby, aby dyrektor jej dzieci wiedział, że zadawała się ze mną w czasie, gdy była mężatką. Czuję dziwną chęć, żeby ją chronić.

- Cóż, ma dziecko, które ma ze cztery lata. To musi więc znaczyć, że mieliśmy krótki romans osiem albo dziewięć lat temu - kłamię. - Zanim związała się z facetem, który jest teraz jej mężem.

Ta wersja wydarzeń jest w pewnym sensie prawdziwa. Connie była zamężna, kiedy ją poznałem, ale tak naprawdę związała się ze swoim mężem długo po tym, jak mu przysięgała w kościele.

- Kto to taki? Znam ją? - pyta Tom.

- Ja chyba nie chcę wiedzieć - stwierdza Craig. - Trudno mi będzie ścisnąć dłoń tej kobiety podczas wywiadówki, wiedząc, że coś ją z tobą łączyło.

- Znałem ją jako Constance Green. Nie wiem, jak się nazywa po mężu - kłamię, ponownie chcąc ją chronić.

Tom natychmiast rozpoznaje jej nazwisko.

- Greenie? Tak właśnie na nią mówiłeś, nie? — Widzę, jak intensywnie myśli, starając się przypomnieć sobie szczegóły. Unosi brwi, gdy fakty zaczynają wskakiwać na swoje miejsce. Bez wątpienia przypomniał sobie, że ten romans nie trwał tak dawno, jak powiedziałem, i że była już wtedy mężatką. - Czy ona nie była... - Posyłam mu ostrzegawcze spojrzenie. Tom dostrzega je i decyduje się na inne dokończenie pytania. - Czy ona nie była szalona?

- Na moim punkcie. Pewnie tak, to w końcu tylko kobieta - żartuję.

- Została fotografem, prawda?

- Zgadza się.

- Musisz mieć na myśli panią Baker - wtrąca Craig. - Uroczą kobietą. Wspaniała rodzina. Jej mąż to naprawdę świetny facet.

- To miło - stwierdzam.

- Złamałeś jej serce? - Craig wygląda, jakby miał mnie dość.

- Kto wie, stary? Złamałem jej silną wolę i zasady. W tamtym czasie tylko na tym mi zależało.

Na twarzy Craiga maluje się irytacja. Ciekawe, czy powie mi, że Greenie była dla mnie zbyt dobra. Często mówi tak o kobietach, z którymi się umawiam czy które bzykam. Mówił to wielokrotnie o tej, z którą się ożeniłem.

- Słuchaj, nie rozdziewczyłem jej, jeśli tak właśnie sądzisz.

- Próbuję się bronić. - Większość kobiet chce, żeby pierwsza randka odbyła się w kawiarni, a pierwszy seks w pozycji kla-

sycznej, to bezpieczne i wygodne. Connie była tego typu kobietą, która wolała koktajlbary i zwanie z zyrandoli. Uwierzył mi, dobrze się dobraliśmy.

- Nie mogę sobie wyobrazić, żeby pani Baker taka była - oświadcza Craig.

Rumieni się, a ja czuję, że właśnie powiedziałem dziecku, że Święty Mikołaj nie istnieje.

- Cóż, taka była. - Pociągam łyk piwa.

- Zgadza się, była - potwierdza Tom. Uśmiecha się szeroko.

- O Boże, nie mów, że ty też?

Czasami bywało tak, że Tom przejmował panienki po mnie.

- Nie, nie chodzi mi o to, że wiem to z własnego doświadczenia. Po prostu John mi wtedy o niej trochę opowiadał.

Jak to już zawsze bywa ze mną i Tomem, znał wszystkie brudne szczegóły. Wiedział, że poznałem Greenie w pracy. Od samego początku była dziwnym połączeniem sprzeczności. Z jednej strony pruderyjna, porządna i nieustannie protestująca: „Jestem mężatką, zostaw mnie w spokoju”. Z drugiej strony wyznawała jednak, że ma na to wielką ochotę. Było fajnie, dopóki wszystko się kręciło. Tom wie, że bzykaliśmy się w parku, na biurku, w moim mieszkaniu i w hotelowych pokojach. Opowiedziałem mu o tym wszystkim. Możliwe, że wie nawet, że przez jakiś czas uważałem ją za fascynującą, choć tego akurat nigdy mu nie powiedziałem. Jesteśmy jednak dobrymi kumplami i możliwe, że się tego domyślił. Tom przygląda mi się teraz uważnie. Czuję się tym skrępowany.

- Gorąco tutaj czy tylko mnie? — pytam.

- Tylko tobie - odpowiada Craig.

- Greenie była twoją ostatnią panienką przed poślubieniem Andrei, prawda? - pyta Tom.

- Nie, stary, bzyknałem mnóstwo panienek między Greenie a Andream.

- Tak, bzykałeś je, ale Greenie była ostatnią, która... No wiesz...

Rzeczywiście, wiem, ale nie spodziewam się, żeby mnie o to zapytał. Ufam, że jego północne pochodzenie i chromosom Y każą mu się zamknąć.

- Czy była tą-jedyną-która-uciekła? - pyta Craig.

Nie jest w stanie ukryć swojego podekscytowania. Ten nasz Craig to taki stary romantyk. Wierzy w te wszystkie bzdury o „tej jedynej” i „tym jedynym”, w które wierzą dziewczyny. Jest taki niewinny.

Śmieję się do kufła.

- Stary, pod koniec to ja ją odpychałem od siebie.

- Dlaczego? - Wygląda na rozzarowanego.

- To wszystko zrobiło się zbyt emocjonalne.

Tu jest naprawdę gorąco. Drapię się po uchu i zdejmuję marynarkę. Tom, drań jeden, nic nie mówi, ale nie spuszcza ze mnie wzroku.

- Kochałeś ją? - pyta Craig.

Ponownie wybucham śmiechem, co oznacza, że pluję piwem po stole. To nieco krępujące. I co za strata piwa. Jaki kumpel zadaje tak cholernie głupie pytanie?

- Miłość? Miłość? - pytam z niedowierzaniem. - Nigdy mi to nawet przez myśl nie przemknęło.

- Rozumiem - mówi. Nie mam pojęcia, co takiego uważa, że rozumie. - A ona ciebie kochała?

- To nie była tego rodzaju znajomość - mruczę. - A teraz wybaczenie, panowie, choć przyjemnie przechadza się Ścieżką Wspomnień, mam bardzo świeży trop, za którym muszę podążyć do baru.

Oddalam się niespiesznie w stronę ślicznotki, której wcześniej kupiłem drinka. Siedzi w grupie chichoczących koleżanek.

- Drogie panie, myślę, że powinnyście wiedzieć, że obecnie jestem oficjalnie singlem, ale nie mówcie o tym mojej dziewczynie. - Puszczam oko.

Trzy panienki wybuchają niepohamowanym śmiechem, jedna przewraca oczami, piąta zaś jest zbyt wstawiona, żeby mnie słyszeć. Przyciągam sobie krzesło. Myślę, że są spore szanse na to, że będzie to mój szczęśliwy wieczór.

WTOREK, 26 WRZEŚNIA

LUCY

Dzwonię do Connie, żeby nakłonić ją do zjedzenia ze mną obiadu. Przed urodzeniem dzieci regularnie wychodziłyśmy razem na kolacje. Stawiałyśmy sobie za punkt honoru, żeby jadać w restauracjach recenzowanych w „Evening Standard”, jeszcze zanim farba drukarska zdążyła porządnie wyschnąć. Często fundowałyśmy sobie szampana, *ostrygi, foie gras* czy trufle. W tamtych czasach miałyśmy dużo gotówki i wolnego czasu. Obecnie Connie coraz częściej znajduje wymówkę, żeby nie szastać pieniędzmi. Nie zarabia tyle, ile zarabiała kiedyś. Poza tym Luke często pracuje do późna i niesłuchanie trudno jest jej znaleźć opiekunkę, na której można polegać. W duchu zaczęłam nazywać Connie „Panną Nawalaczką”, a kiedy wpisuję jej imię do terminarza, robię to ołówkiem - osiem razy na dziesięć i tak się nie spotykamy. Tym razem zaskakuje mnie, natychmiast wyrażając zgodę na obiad.

Wyczuła w moim głosie zaniepokojenie?

Spotykamy się w niesamowicie modnej i nowej w stylu restauracji hinduskiej w Westbourne Grove. Kuchnia jest rewelacyjna, a turkusowo-srebrny wystrój współgra z moją karnacją. Tylko trochę żartuję - nawet w czasie kryzysu niedobrze jest obniżać standardy.

Connie ściska mnie na powitanie i daje soczystego buziaka w policzek. Normalnie wyswobodziłabym się z jej objęć i po-

zwoliła jedynie na całusa w powietrzu, tak jak to się powinno robić, ale dzisiaj jej ciepło działa na mnie kojąco.

- I jak było w Nowym Jorku? — pyta z szerokim uśmiechem.

- Męcząco - odpowiadam automatycznie. — Padałam z nóg. Klient okazał się bardzo wymagający. Nie odpuścił nam. - To samo powiedziałam Peterowi. Kładę na stoliku małą brązową torebkę z Bloomingdales. - Kupiłam ci coś.

Connie zagląda do torebki i widać, że jest zachwycona znajdującymi się w środku kosmetykami do makijażu Mac. Przez kilka minut zasypuje mnie podziękowaniami, po czym pyta podejrzliwie:

- Ale skoro byłaś taka zajęta, jak to możliwe, że znalazłaś czas na zakupy?

Kiwam na kelnera i przed udzieleniem jej odpowiedzi zamawiam wino.

- Kłamałam. Było świetnie. Prawie w ogóle nie pracowaliśmy - wyznaję pospiesznie. - Przylecieliśmy w czwartek po południu. Do późna siedzieliśmy w PM Lounge. Już dawno nie byłam w takim superbarze. Znasz go?

Connie kręci głową. Oczywiście, że nie, jesteśmy teraz matkami - żadna z nas nie wie, co jest na czasie, a co nie. Zgubiłabym się w Nowym Jorku, gdyby nie Mick.

- To takie miejsce w stylu katedry z wysoko podwieszonymi sufitami ze świetlikami. Warte obejrzenia. - Nie wygląda na zainteresowaną. - Następnego dnia spotkaliśmy się przy śniadaniu z klientem i przed dziesiątą trzydzieści kontrakt był już podpisany.

- My?

- Mick Harrison, on też tam był. Nie wspomniałam ci o tym?

- Nie. — Connie pociąga łyk wody i przegląda menu, po czym pyta: - Dlaczego więc zostaliście tam na cały weekend?

- Cóż, wcześniej spodziewaliśmy się nieco dłuższego procesu ściskania dłoni z klientem, zaopatrzyliśmy się więc w bilety

na ważny mecz piłki nożnej na sobotnie popołudnie. Pomyśleliśmy, że szkoda by je było zmarnować.

- Nie lubisz piłki nożnej.

- Ja nie, ale Mick tak. I wcześniej udało nam się dokonać rezerwacji w Bungalow 8 na niedzielny brunch. Nie mogłam pozwolić, żeby coś takiego się zmarnowało. Pomyślałam sobie, że czemu nie? - Connie milczy. Podła sztuczka, ponieważ wie, że wtedy ja zacznę mówić. — Potrzebowałam po prostu odrobiny czasu dla siebie. - Wzruszam ramionami. — Nie miałam się przecież po co spieszyć do domu.

- Do swojej rodziny.

Zwalczam pokusę roześmiania się w głos.

- Peter i Auriol zawsze świetnie sobie radzą beze mnie. Poza tym byli u nas bliźniacy. Przy nich zawsze się czuję jak piąte koło o wozu.

Składamy zamówienie i pojawia się wino. Niemal słyszę trybiki obracające się w głowie Connie. To dobrze. Cieszę się. Chcę, żeby wysunęła wobec mnie zarzuty i wzięła mnie w krzyżowy ogień pytań.

Z namysłem sący wino, po chwili pyta:

- Czy między tobą a Peterem wszystko okej?

- Nie. Nie bardzo.

Dawniej nie byłam osobą, która mogła pozwolić sobie na zwierzenia. Nie jest to luksus dostępny dla kochanek, zwłaszcza że akurat w moim wypadku było tak, że sypiałam z mężem przyjaciółki Connie. Ale teraz jestem żoną - mam jak najbardziej prawo narzekać, gderać i wystawiać cierpliwość przyjaciółki na próbę. Może powinnam o tym rozmawiać z Peterem. Tak bym zrobiła, tyle że nie potrafię. Albo on nie będzie chciał. Albo nie potrafi. Nieważne.

Zaczynam małą konkretnie:

- Nie do końca jest tak, jak się spodziewałam.

- Co nie jest?

- Małżeństwo.

Connie wciąga gwałtownie powietrze. Posyłam jej ostrzegawcze spojrzenie. Dobry Boże, przecież nie ja pierwsza to odkrywam. Zamyka usta, a ja kontynuuję:

- Małżeństwo sprawia, że czuję się taka... - chcę powiedzieć, że stara, ale nie jestem w stanie wyrzucić z siebie tego słowa. Próbuję ugryźć to inaczej. - Życie małżeńskie jest takie... - Nie chcę powiedzieć, że nudne. Pete'a nie można nazwać nudnym. Zazwyczaj jestem elokwentna, ale muszę sobie poradzić z nieprecyzyjnym wyjaśnieniem. - Ja po prostu nie spodziewałam się, jak mało seksowne jest mieszkanie z kimś. - Uśmiecham się szeroko i próbuję obrócić to w żart. - Niekończące się pranie skarpetek.

- Nie robisz prania. Eva się tym zajmuje.

- Ale muszę dopilnowywać całego cyklu, prawda? Cyklu za cyklem gotowania, prania i sprzątanania.

Wiem, że Connie tym nie przekonuję. Mój domowy personel jest proporcjonalny do liczby ludzi królowej. Mam Evę, sprzątaczkę, ogrodnika, nie wspominając o panu złotej rączce, który zjawia się wtedy, gdy zachodzi taka potrzeba, i o pani, która specjalizuje się w polerowaniu sreber. Dociera do mnie, że nie wyrażam się jasno.

- Był pewien... incydent. - Nie przyznaję się do kłótni. To brzmi tak wulgarnie, tak emocjonalnie. - Jestem żoną Petera od pięciu i pół roku. Mężem Rose był krócej, a mimo to ja nadal zajmuję drugie miejsce.

- Cóż, przed ślubem chodzili ze sobą przez sześć lat, Lucy.

Obrzucam Connie ostrym spojrzeniem, ale nie komentuję bezpośrednio jej stwierdzenia.

- Byłam taka uradowana, kiedy uświadomiłam sobie, że nasze małżeństwo trwa dłużej od ich. Jak dla mnie dzień ten był świętem narodowym - na ulicy powinny powiewać chorągiewki, a ludzie mieć dzień wolny od pracy. Ale kiedy wspomniałam o tym Pete'owi, on właściwie oskarżył mnie o to, że jestem niedojrzała, i powiedział, że życie i miłość to nie współ-

zawodnictwo. Guzik prawda! Wszystko jest współzawodnictwem, zwłaszcza życie, a już na pewno miłość.

Dociera do mnie, że mimo werbalnej biegunki nie mówię całej prawdy. Nie mówię Connie o tym, że wybiegłam wzburzona z restauracji. Zaczynam postrzegać ten epizod jako czyn nierozważny. Milknę i patrzę na przyjaciółkę. Emanuje z niej troska i współczucie. Irracjonalnie mam ochotę wyłupić te jej małe, smutne oczy. Nie chcę jej współczucia. Nie chcę niczyjego współczucia. Czego więc chcę?

- Kiedy wyjeżdżałam do Nowego Jorku, Peter i ja prawie w ogóle się do siebie nie odzywaliśmy, gdy tymczasem...

- Ten cały Mick ma gadane.

Wzdrygam się lekko, słysząc to nieco dosadne określenie, ale muszę przyznać, że jest całkiem trafne. Mick jest gadatliwy, zabawny i zawsze ma na podorędziu dyskretne komplementy.

- Czy odrobina zabawy to zbrodnia? — pytam ostro.
- W Nowym Jorku czułam się swobodnie i beztrosko. Nie spieszyłam się z powrotem do rutyny, gdzie każdy dzień jest taki sam jak poprzedni.

- Jak konkretnie wyglądają twoje dni, Lucy?

- Niekończąca się praca w biurze, następnie powrót do domu, do plastikowych zabawek i dojmującego milczenia.

- Masz romans z tym Mickiem? - pyta.

Patrzy prosto na mnie, odważny ruch. Większości zabrakłoby odwagi, żeby wystrzelić tak bezpośredni pocisk. Przyjaźnimy się od zawsze. Nie zaszokowałoby nas już nic, co by powiedziała ta druga osoba. Niemniej jednak wiele rzeczy mogłoby zasmucić.

- Nie.

Connie oddycha z ulgą.

W Nowym Jorku było fantastycznie. Już sama Piąta Aleja gwarantowała uśmiech na mojej twarzy. I zgodnie z przewidywaniami, Mick okazał się dobrym towarzyszem - świetnym towarzyszem, nie da się temu zaprzeczyć. Był zabawny, czaru-

jacy i flirtowałam z nim, ale bardzo, bardzo ostrożnie — niemal niedostrzegalnie - on zaś w zamian prawił mi komplementy. Nie pozwoliłam, żeby przekształciło się to w coś poważniejszego. Zostawiłam go w spokoju. Tak właśnie trzeba robić, kiedy ma się męża. Odrzucać inne sposobności.

Seks i związki od zawsze traktowałam niezwykle chłodno. Z wyjątkiem Petera, każdego mężczyznę, który pojawiał się w moim życiu, traktowałam jak przedmiot. Coś, co mogę kupić lub sprzedać i używać według uznania. Życie staje się proste, kiedy się zaakceptuje fakt, że wygląd, pieniądze, inteligencja i seks to jedynie elementy handlu wymiennego, służące do stworzenia obopólnie satysfakcjonujących związków. Peter zmienił moją opinię. Udało mu się sprawić, że uwierzyłam w miłość, zaangażowanie, szacunek, namiętność i lojalność. Tę całą magię. Wbrew sobie byłam zachwycona. Przynajmniej przez kilka lat. Ale już od pewnego czasu nie ma zbyt wiele magii, prawda? Być może Peter wprowadził jedynie bardzo złożony zestaw przedmiotów.

Gdy ponad Atlantykiem zmierzałam w stronę połyskujących wieżowców, w mojej głowie pojawiła się taka ewentualność, że Mickowi uda się ściągnąć mnie na moją dawną ścieżkę i sprawić, że powrócę do dawnego sposobu myślenia. Dawniej, gdy nie otrzymywałam w domu wystarczająco seksu i uwagi, zarówno w kategoriach jakościowych, jak i ilościowych, czułam się najzupełniej usprawiedliwiona tym, że szukam ich gdzie indziej. W Nowym Jorku tak się jednak nie stało. Nie chciałam, żeby doszło do czegoś między Mickiem i mną. Okazał się nikim więcej jak świetnym kumplem w podróży. Głośne westchnienie ulgi.

A zaraz po nim westchnienie pełne frustracji.

Ponieważ skoro Peter nie sprawia już, że czuję się fantastycznie, a nie chcę, żeby czynił to ktoś inny, czy oznacza to, że skończyły się czasy, gdy tak się czułam? To już naprawdę koniec?

Na stół wjeżdżają przystawki. Smażona czerwona dynia wygląda zachwycająco. Obawiam się, że żadna z nas nie skomplementuje szefa kuchni tak, jak na to zasługuje. Odsuwam swój talerz.

Connie nie bierze nawet do rąk sztuczków. W milczeniu czekamy, aż kelner skończy się przy nas krzątać. Nawet nie pamiętam, co zamówiłam jako danie główne. Raczej nie ma to znaczenia.

- Dzięki Mickowi po raz pierwszy od dawna czułam się dziewczęco, czułam się pożądana. - Gdy słyszę, jak wypowiadam na głos te słowa, wiem, że jestem beznadziejna, jestem banalna. - Ale to uczucie było tylko przelotne. Wystarczająco wiele przeżyłam, żeby nie traktować tej relacji jak coś poważniejszego niż dodanie sobie pewności siebie. Spędzanie z nim czasu jest tym samym, co wizyta w SPA i ożywczy zabieg kosmetyczny. Nie martw się, Con, nie zamierzam wdawać się w romans z Mickiem. Flirtowanie, schlebianie i nonszalancja przy wyjątkowo wytrawnych martini były na swój sposób odurzające, ale naprawdę nie jestem zainteresowana. Był chwilą rozrywki. Zabawką.

- Jesteś za stara na zabawki - mówi zrędliwie.

- Bardzo ci dziękuję - mruczę. - Właśnie z powodu tego, jak bardzo boli ta prawda, czułam potrzebę flirtowania z Mickiem. Czy ty tego nie rozumiesz?

Najwyraźniej nie. Connie wpatruje się we mnie z nieskrywanym zdumieniem.

- Martwisz się tym, że się starzejesz?

- Nie. - W myślach jednak odpowiadam: „Tak”.

- Ale, Lucy, jesteś taka piękna, zwłaszcza jak na...

- Swój wiek. - Patrzę na nią gniewnie, ale nie dziabię jej widelcem, co dowodzi, że potrafię zachowywać się dojrzałe.

- Starzenie się to zaszczyt - mówi sztywno.

- Akurat. Dla mnie to bardziej kara. Dlaczego teraz wszyscy takie znaczenie przywiązują do dojrzałości? Nie rozumiem tego. Podobała mi się hedonistyczna kultura, kiedy młodość była cechą niezbędną.

- Każdy musi w końcu dorosnąć, Lucy. Nawet ty. Poślubiłaś Petera Phillipa, nie Piotrusia Pana. Masz trzydzieści siedem lat.

Nie rozumiem, dlaczego musi to mówić na głos. Rozglądam się ukradkiem po restauracji, modląc się, żeby nikt jej nie słyszał.

- Oboje musicie teraz zaakceptować swoje zobowiązania
- mówi Connie z nieznośnym samozadowoleniem.

- Nic mi nie mów o zobowiązaniach. W pracy mam codziennie do czynienia z setkami tysięcy funtów. Mam zobowiązania wobec megakonglomeracji i zagranicznych rządów
- oświadczam cierpko.

- Ale to zobowiązanie totalnie egoistyczne. Twoja kariera jest jak gotowanie czy kąpanie się. Zaspokaja ona twoje potrzeby.

- O jakie zobowiązania chodzi ci w takim razie?

- Auriol.

Patrzę się na nią tępo. Auriol? Co ona ma wspólnego z Mickiem?

- Mając romans, wystawiasz ją na ogromne ryzyko. Na pewno to widzisz.

- Tak, rzeczywiście widzę. - Auriol zawsze mi psuje zabawę. Gryzę i łykam jedzenie, szybko i gniewnie. - To takie nieznośne, że to od Auriol i wszystkich związanych z nią spraw musiałam odpocząć, a to właśnie jej twarz wdarła się do mojej świadomości w PM Lounge i Bungalow 8. Jej albo Petera. Oni są powodem, dla którego nawet mi się nie śni, żeby mieć romans. Ale są także powodem tego, że potrzebuję trochę przestrzeni.

- Co masz na myśli, mówiąc „wszystkie związane z nią sprawy”? - pyta wnikliwie Connie.

- Mówiłaś już o tym, zobowiązania. Niekończące się dowożenie na różne zajęcia pozalekcyjne. Ciągła uwaga, jaką trzeba poświęcać kwestii odżywiania dziecka. Kiedy wreszcie wymyślą coś do jedzenia, co jest wolne od sztucznych barwników i aromatów, glutenu, ma małą zawartość cukru i sodu, ale jest jednocześnie smaczne? Odpowiadanie na wyrwane z kontekstu pytania to nuda. Tak jak i czytanie książeczek z obrazkami i nudnych, przesadnie moralizatorskich bajek. Krótko mówiąc, jestem wykończona ciągłym myśleniem, które nieodzownie łączy się z byciem rodzicem.

- Ale całkiem sporą liczbą tych spraw zajmuje się Eva, prawda? - zauważa całkiem trafnie Connie.

- Co czyni mnie nieudacznikiem.

- Według czyich standardów?

- Rose - wzdycham.

W tym właśnie tkwi sedno sprawy. W końcu powiedziałam to głośno. O tym właśnie chcę teraz porozmawiać. Czy Connie wda się ze mną w dyskusję? Kiedy udało mi się zdobyć Petera, straciłam zażyłość, jaka łączyła mnie dawniej z Connie. Oczywiście że związek z nim musiał kosztować, ale czy nie jest tak ze wszystkim? Ale teraz akurat potrzebuję tego, żeby Con dołożyła swoją porcję pretensji. Tylko dzisiaj. Może na to nie zasługuję, ale jestem w potrzebie.

- Czy jest jakiś inny standard rodzicielstwa? Rose, złota medalistka, wyjątkowa matka rodu. Ona ustawia poprzeczkę, nieprawdaż? - pytam ostro.

- Och - mówi Connie.

- Rzeczywiście „och”.

Przez chwilę milczy, po czym w końcu przyznaje:

- Wiem, co masz na myśli. - Muzyka dla moich uszu. - Ale wy dwie bardzo się od siebie różnicie. Od kiedy przejmujesz się tym, co robi Rose? - Dłużej niż Connie byłaby to sobie w stanie wyobrazić, ale nie przyznaję się do tego, zachowuję milczenie.

- Okej, prawda jest więc taka, że pracujesz tak ciężko, iż zlecasz innym przygotowanie przyjęcia urodzinowego swojej córki. To jeszcze nie takie straszne. Choć z drugiej strony uważam, że gdybyś tylko mogła, to jej urodzenie też byś komuś zleciła.

- A to już jest straszne, prawda? - pytam zgryźliwie.

- Rose z kolei nie interesuje absolutnie nic poza chłopcami. Coś takiego też nie jest zdrowe. Kto by pomyślał, że okaże się tą, która zachowuje równowagę?

Uśmiecha się szeroko. Nie podzielam jej radości. Jej spostrzeżenia są słuszne.

- Connie, uważasz, że jestem koszmarną matką?

- Nie. Masz po prostu własny, niepowtarzalny styl.

Uśmiechamy się do siebie. Znowu przyjaciółki. Nie jesteśmy w stanie rozwiązać mojego dylematu. Obie to wiemy, a ja wiedziałam o tym, jeszcze zanim w ogóle zaczęłyśmy rozmawiać i podgryzać pełnoziarniste bułeczki. Musiałam się po prostu wygadać.

- Próboweś rozmawiać z Peterem? - pyta Connie.

- Odkąd jesteśmy małżeństwem, nie - odpowiadam żartobliwie, po czym posyłam jej spojrzenie, które sygnalizuje, że uważam ten temat za zamknięty.

Próbujemy rozmawiać o czymś innym. Pytam Connie, czy szykują się jej jakieś ciekawe zlecenia, ale jej odpowiedzi są krótkie i zdawkowe. Nie pragnę usilnie poznać szczegółów dotyczących pierwszych kilku tygodni Fran w szkole czy poszerzającego się słownictwa Flory. Connie nie pyta mnie nawet, gdzie kupiłam swoją nową torebkę — zazwyczaj wykazuje odpowiednie zainteresowanie tego typu szczegółami. Kiedy zamawiamy deser, rozmowa zupełnie przestaje się kleić i zaczynam się zastanawiać, czy wcześniej przypadkiem nie przesadziłam ze szczerością. Później odkrywam przyczynę jej nieobecnego spojrzenia. Wygląda na to, że ona też ma się z czego zwierzać. Czeka aż do deseru. Ona zamówiła gotowane gruszki polane alkoholem i bitą śmietaną oraz cappuccino. Ja zaś raczę się podwójnym espresso i papierosem.

- Zgadnij, kogo spotkałam przed szkołą? - pyta.

- To oczywiście, że nie mam pojęcia, kto się kręci pod szkolną bramą, Connie. I wcale nie mam na to ochoty.

- Byłabyś zaskoczona. Tam jest naprawdę fajnie. Mamy są przemiłe. W każdym razie nigdy nie zgadniesz.

- Nie, już ci to powiedziałam.

- Johna Hardinga.

- Że co?

W przeszłości słyszałam Connie wypowiadającą to imię nad stolikami wielu restauracji. Słyszałam, jak wyśpiewuje radośnie jego imię, albo wykrzykuje je w cierpieniu, które naprawdę wy-

dawało się nie do zniesienia. Ostatni raz słyszałam je sześć lat temu i do głowy mi nie przyszło, że je jeszcze usłyszę. I wcale tego nie pragnęłam.

- Johna Hardinga, byłego kochanka, tę kanalię i tego drania?

- Właśnie tego.

- Co on tam robił? Ma w tej szkole dzieci? Och. Mój Boże!

- Nie. Przyjaźni się z dyrektorem.

- Z panem Walkerem? Przecież zupełnie do siebie nie pasują. - Pan Walker jest uroczy. Pan Harding to szczur. - Co więc sobie pomyślałaś, kiedy go spotkałaś? Twoja pierwsza myśl.

Connie się rumieni.

- Cieszyłam się, że byłam u fryzjera i wyprostowałam włosy. Żałowałam, że nie pomalowałam rzęs.

Rozumiem.

- Rozmawiałaś z nim?

- Tak.

- A czy on był...

- Taki sam.

- Teraz rozumiem, dlaczego uważasz, że pod szkołą jest fajnie - żartuję.

- Nie ma się z czego śmiać - mówi Connie z irytacją. - To już wiesz, dlaczego byłam taka surowa, jeśli chodzi o ciebie i Micka. Nie chcę, żebyś popełniła moje błędy.

Postanawiam przejść od razu do sedna sprawy.

- Masz więc zamiar się z nim przespać?

- Jezus, Lucy, za kogo mnie bierzesz? - Wygląda na oburzoną.

- Znamy już precedens - stwierdzam.

Poza tym ja się nie obraziłam, kiedy ona podejrzewała mnie o najgorsze.

W pierwszym roku jej małżeństwa Connie połączył z tym człowiekiem przelotny romans. Uczyniła mnie wtedy swoim

spowiednikiem. Nie znała nikogo innego, kto powstrzymałby się z wydawaniem osądów, zdecydowała się więc wyznać każdy niezdrowy szczegół mnie. Do dziś nie wie jednak, że i tak osądzałam tę sytuację, a jedynie powstrzymywałam się od głośnego wyrażania swojej opinii. Connie była przekonana, że ten romans jest czymś monumentalnym, że to doniosły element jej dojrzałości. Wierzyła, że John Harding to spektakularny roman-tyk, który został zesłany skądś tam wyłącznie w celu dokonania zmiany w jej życiu. Jako jej najlepsza przyjaciółka i osoba wta-jemniczona w ich każdą rozmowę i niuans, uważam, że w tym romansie kluczową rolę grała kwestia zakazanego seksu.

Connie oblewa się szkarłatnym rumieńcem - prawdopodobnie przypomina jej się to samo co mnie.

- To było całą wieczność temu, przed dziećmi, przed fo-tografią. Boże, nie pamiętam nawet osoby, jaką wtedy byłam. Z całą pewnością nie utożsamiam się z nią. Od tamtej pory wszyscy dorośliśmy - mówi szczerze.

- Sądziłam, że dopiero co ustaliliśmy, że ja nie. I nie spo-dziewam się, żeby uczynił to John Harding. To nie ten typ. Bę-dziesz musiała bardzo uważać, Connie.

- I ty też, Lucy. Ty też.

ŚRODA, 27 WRZEŚNIA

ROSE

- I co? Opowiadaj.

Connie rzuca się na moją sofę i uśmiecha wyczekująco. Daisy siedzi na poduszce wypełnionej plastikowymi kuleczkami i patrzy na mnie z taką samą radością.

- Jest bardzo, ale to bardzo mało do opowiadania - odpowiadam lodowatym tonem, puszczając w obieg talerz z ciastkami.

Wiem, że nie postępuję zgodnie z zasadami. Minęło co prawda wiele lat, odkąd któraś z nas biegała na randki, ale wciąż je pamiętam. Powinam teraz otworzyć butelkę wina i uraczyć je całym mnóstwem mocno intymnych szczegółów. Błyszczące oczy Connie i Daisy mówią mi, że nie zadowolą się niczym innym. Ale niesamowicie trudno jest afiszować się ze swoimi nadziejami i tym, co ci siedzi w duszy, w celach rozrywkowych, zwłaszcza że nie postarałam się nawet o wino, ponieważ to przesłuchanie odbywa się w środowe popołudnie. Daisy powinna w tej chwili zajmować się układaniem planu lekcji, Connie trzyma jednocześnie kubek gorącej herbaty i wierzącego się malucha - znalazły czas w swoich napiętych grafikach, żeby poświęcić mi swoją uwagę - a jednak czuję się strasznie skrępowana tą spowiedniczą sytuacją.

- Szczegóły! - wołają zgodnie.

Totalnie bez wdzięku poddaję się temu, co nieuchronne.

- Co chcecie wiedzieć?

- Niezły? - pyta Connie.
- Nie mój typ, ale myślę, że niektóre kobiety uznałyby go za atrakcyjnego - przyznaję ostrożnie.

- Jest zabawny? - pyta Daisy.
- Nie, chyba że w taki dziwny sposób.

Ich to nie zniechęca.

- W jakim sensie „dziwny”?

- Satyryczne poczucie humoru, balansujące na krawędzi złośliwości. Błędne przekonanie, że będę zainteresowana *Władcą Pierścieni* — wszystkim, począwszy od kolekcji plastikowych zabawek, a skończywszy na cięciach reżyserskich — i zupełny brak zainteresowania czymkolwiek oprócz samego siebie. Ani razu nie zapytał o nic, co ma związek ze mną.

- Jest nieśmiały - upiera się Connie.

- Arogancki i egoistyczny - odparowuję.

- Jak długo tam byliście?

- Wypiliśmy po dwa drinki.

- Cóż, dobrze, że nie wyszłaś po pierwszym, tak jak się odgrażałaś - kwituje moja siostra, wieczna optymistka.

Rozprawiam się z tą odrobiną nadziei.

- Czekałam, żeby się przekonać, czy kupi mi drinka, ponieważ to ja postawiłam pierwszą kolejkę.

- Kupił? — pyta Connie.

- Nie.

Zgodnie wzdychamy. Żadna z nas nie jest w stanie wybaczyć mężczyźnie skąpstwa.

- Dużo mówił o swojej byłej dziewczynie, niemal tak dużo, jak o Grimleyu i Gandorze. Obecnie nie pracuje i myśli o zmianie branży. Nie chce już być agentem ubezpieczeniowym, pragnie napisać powieść, choć w ogóle nie czyta współczesnej prozy i uważa ją za chłam. Oszczędza pieniądze, żeby kupić sobie quada, niedawno więc wprowadził się z powrotem do swojej matki, która przyrządza najlepszą na świecie niedzielną pieczeń.

Dziewczyny wyglądają na załamane. Pierwsza odzyskuje zapach Connie.

- Cóż, nie oczekiwaliśmy wcale, że się zakochasz od razu na pierwszej randce. Musimy po prostu ciągnąć to dalej.

Patrzę na nią błagalnie. Bardzo bym chciała, żeby dała sobie spokój. I tak nie byłam przekonana, czy rzeczywiście chce kogoś poznać. Connie nie przyjmuje do wiadomości mojego niemego błagania.

- Uważam, że musimy podejść do tego w bardziej naukowy sposób. Myślałaś o internetowych randkach? — pyta.

- Nigdy - odpowiadam zgodnie z prawdą.

- Ale to oczywisty następny krok - twierdzi uparcie. - Dużo bardziej kontrolowany. Przed podjęciem jakichkolwiek działań oglądasz zdjęcie faceta i możesz sprawdzić jego zainteresowania. Nie będziesz musiała marnować wieczoru po to, żeby odkryć jego zamiłowanie do quadów i kompleks Edypa. - Connie zawsze potrafi sprawić, że jej pomysły wydają się dobre, nawet gdy jest dokładnie na odwrót. - Masz dostęp do Internetu?

Kusi mnie, żeby zaprzeczyć.

- Ma — odpowiada w moim imieniu Daisy. - Podłączyła go, żeby chłopcy mieli pomoc podczas odrabiania pracy domowej.

Zdrajczyń.

Connie ma w głowie listę stron, które chce mi pokazać, widać, że się przygotowała. Na początku odczuwam przypływ ekscytacji i optymizmu, kiedy na stronie głównej pojawia się kilka par uśmiechających się do siebie z uczuciem. Może i fajnie byłoby kogoś poznać. Pary jedzą homary w restauracji oświetlonej świecami, inne są zarumienione z wysiłku i stoją przed domkami narciarskimi, jeszcze inne urządzają piknik na środku łąki pełnej maków. Wymiękłaby nawet kobieta znacznie twardsza ode mnie. Ta chwilowa iluzja znika jednak, gdy rozpoznaję jedno ze zdjęć.

- Hej, czy to właśnie nie to zdjęcie widnieje w tej reklamie optyka, tej, którą oklejają teraz boki autobusów? Musi pochodzić z bazy zdjęć.

Connie ignoruje mnie i zaczyna czytać na głos.

- *Znajdź swojego idealnego partnera, wybierz z ponad dwóch milionów singli.*

Nie uważam tej statystyki za podnoszącą na duchu. Tyłu samotnych ludzi. Co nie znaczy, żebym ja była samotna. Moje życie jest wypełnione po brzegi. Ale ci ludzie rzeczywiście muszą być samotni, skoro są gotowi, wystawić się na publiczną sprzedaż (i pośmiewisko). Poza tym nie lubię tłumów, a dwa miliony to nieźle zatłoczony rynek.

- Dobra, zaczynamy polowanie. Jesteś kobietą szukającą...

Pospiesznie zabieram Connie myszkę i klikam w przycisk SZUKAM MĘŻCZYZNY.

- W przedziale wiekowym?

- Od czterdziestu do czterdziestu pięciu — sugeruje Daisy.

- Zbyt wąski przedział - cmoka Connie.

Zaznacza 30-50. Znowu sięgam po myszkę i klikam 35-45.

- Nie chcę emeryta. Skończyłoby się to tak, że po wyfrunięciu chłopców z gniazda ja zajmowałabym się polerowaniem jego balkoniku.

- Cel poznania?

- Przyjaźń - oświadczam stanowczo.

- I romans - ripostują Daisy i Connie.

Pozwalam im zaznaczyć odpowiednie okienka. Zawężamy poszukiwania pod względem geograficznym, a następnie klikamy w pasek z napisem SZUKAM MIŁOŚCI.

Mija kilka sekund i pojawia się czerwone serce, niemal zakrywające ekran, które oznajmia:

Twoje poszukiwania MĘŻCZYZNY w wieku 35-45 LAT w promieniu 200 KIŁOMETRÓW od LONDYNU przyniosły wynik: 489 OFERT.

- O rety - mówi Connie. - Ale duży wybór.

Tylko osiem ofert zawiera zdjęcia. Na jednym z nich jest Austin Powers, więc się nie liczy. Facet przyznaje, że ma metr pięćdziesiąt dwa wzrostu, określa swoje włosy jako „rzadkie”, a budowę jako „krępą”. Myślę o Peterze, wysokim, ciemnowłosym i przystojnym, i robi mi się smutno.

Connie przechodzi do kolejnego kandydata.

- Jest fantastyczny - oświadcza z zachwytem.

Trzeba przyznać, że kandydat numer dwa rzeczywiście bardzo dobrze się prezentuje. Dochodzę do wniosku, że musi być nudny albo niewypłacalny, w przeciwnym razie po co miałyby korzystać z takiej metody znalezienia partnerki? Czytam jego profil.

Parę słów o mnie: podróże, towarzyski, jedzenie na mieście, rodzina i przyj, ważni, każd. dnia joga, siłownia przed pracą, praca własny rachunek media, chętnie na miasto albo w domu, kino, teatr (sztuki + musical). Zimą narty/snowboard, latem superpływanie/plaże (St. John, W-y Dziew. St. Zjedn.), tenis. Zadów, z życia. Chcę dzielić. Bym zapomniał - lubię pić wino i uczyć się o nim.

Chwilę trwa, zanim rozszyfrowuję jego skróty myślowe i koszmarną gramatykę. Pierwsza moja myśl jest po chwili taka, że mu nie wierzę. Moim problemem jest to, że nie pamiętam, żebym miała tak dużo czasu dla siebie, trudno jest mi więc pogodzić się z tym, że ktoś inny może mieć wystarczającą ilość czasu wolnego, żeby być takim interesującym. Nie wgryzam się w ten profil. Szczerze mówiąc, każdy mężczyzna, który bywa codziennie na siłowni, cofnie się z przerażeniem na widok mojego ciała, które nie odwiedza tego przybytku nawet raz do roku. Uważam się za szczęściarę, jeśli udaje mi się wykrzesać tyle „czasu dla mnie”, żeby codziennie bywać w toalecie. Connie najwyraźniej dochodzi do takiego samego wniosku, ponieważ pokazuje na zdjęcie faceta numer trzy.

- A ten?

Nie wygląda na mordercę. Właściwie gdyby rzeczywiście dokonał takiej zbrodni, zidentyfikowanie go podczas okazania

byłoby niemożliwe, ponieważ wygląda jak dwie trzecie męskiej populacji: sto siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu, krótkie, brązowe, nieco przerzedzające się włosy, mocno zbudowany, ale nie otyły, piwne oczy. Nie jest ani wyjątkowo przystojny, ani szczególnie brzydki. Jest nijaki. Prawie że niewidzialny. Rozumiem, dlaczego moja przyjaciółka uważa, że moglibyśmy do siebie pasować.

Czytam jego profil.

- Twierdzi, że w poprzednim życiu mógł być orłem przednim albo Krzysztofem Kolumbem.

- Gdy tymczasem w tym życiu jest palantem - kwituje Daisy.

Czuję ulgę, że jej także przeszkadza jego przerośnięte ego. Facet zupełnie nie wygląda na kogoś, kto mógłby odkrywać kontynenty.

Connie przeczesuje całe mnóstwo portali randkowych. Odrzucam te, w których rejestracja jest bezpłatna (kandydatom brakuje zaangażowania). Odrzucam strony, które nie zawierają zdjęć (kandydatom brakuje pewności siebie). I odrzucam te, które nie weryfikują tożsamości (kandydatom brakuje uczciwości). Connie nie ustaje w poszukiwaniach i znajduje taką stronę, która wymaga wniesienia opłaty, zawiera dużą liczbę szczegółowych profili kandydatów, których tożsamość została sprawdzona i którzy zamieścili swoje zdjęcia.

Następnie wykluczam wszystkich, którzy czytali *Harry'ego Pottera*.

- Ale przecież ty to czytałaś - zauważa Daisy. Sprawia wrażenie nieco znużonej.

- Owszem, chłopcom. To książka dla dzieci. Żaden z tych kandydatów nie ma dzieci, wychodzi więc na to, że sami muszą być dziećmi.

Wykluczam wszystkich, którzy czytali *Zapiski z małej wyspy* Billa Brysona.

- Ale tobie też się ona podobała - argumentuje Connie.

- Znajduje się na dziewięćdziesięciu procentach list. Chcę kogoś myślącego nieco bardziej niezależnie.

Connie zaczyna czytać szybko profile kandydatów:

- Szaleje na punkcie sportu, triadonu, Ironmana i tak dalej.

- Następny - przerywam jej.

- W poprzednim życiu byłby Paulem McCartneyem.

- Paul McCartney jeszcze żyje. Nie można być reinkarnacją kogoś, kto jeszcze żyje. Następny.

- *Językiem ojczystym odpowiedniej kandydatki powinien być angielski, i powinna być biała.*

Wszystkie jesteśmy oburzone tym brakiem tolerancji i oświadczamy chórem:

- Następny.

- *Jestem w połowie Irlandczykiem, jeśli więc pochodzisz z Zielonej Wyspy, to by nie było źle.*

- Następny! - wołam.

- Dlaczego? - pyta Daisy. - Mama jest Irlandką. Pasujesz do tego profilu. Czytaj dalej, Connie.

- *I jesteś niezależna, ale nie skupiona na karierze zawodowej.*

- Brzmi seksistowsko - mruczę. - Następny.

- *Ważne, żebyś nie paliła, ponieważ to paskudny nałóg. Jeśli się nie zgadzasz, w takim razie nie pasujesz do mnie. — Zgadzam się, więc zachowuję milczenie. - *Dziwaczne kolczyki na ciele i tatuaże także odpadają!**

Nie mam żadnych, ale kusi mnie, żeby pobiec i zrobić sobie całe mnóstwo. Sutek, pępek, brew, wargę i język, a zaraz potem zabrać się za tatuaże.

- Powinien szanować wolność ekspresji. Następny.

Dość długo kontynuujemy w podobnym duchu. Zaczynam czyścić adidasów chłopców, gdy tymczasem Connie czyta na głos profile, a Daisy ocenia, czy się nadają. Przerywam im, żeby uwypuklać oczywiste wady kandydatów. Ciekawe, kiedy się w końcu zmęczą.

- Ten jest idealny! - piszczy nagle Connie. - Posłuchajcie.
Kandydatka musi posiadać głębię charakteru.
- Odhaczone - mówi Daisy.
- **Musisz być towarzyska i lubić rozrywkę.**
- Odhaczone.
- **Rodzina i przyjaciele są dla ciebie ważni, ponieważ ja mam dobre relacje z moją rodziną wielopokoleniową, przyjaciółmi z dzieciństwa, studiów i tak dalej.**

- Odhaczone.
- **Mogłabyś znać dwa języki.**
- Rose zna trzy! — woła z podekscytowaniem Daisy. - Więc podwójne odhaczenie.

Connie kontynuuje czytanie tej litanii żądań.

- **Ważne jest dobre zdrowie ogólne.**
- Chce chudej dziewczyny - odszyfrowuję to dla nich.
- **Lubisz swoją pracę lub masz coś, czym się pasjonujesz.**
- Pasjonuje mnie bycie mamą. Ale jakoś nie bardzo chce mi się wierzyć, że to akurat zda egzamin. Szuka kobiety, która ma niesamowicie intratną pracę chałupniczą lub robi wspaniałą karierę w **city**. — Wzbiera we mnie gniew wywołany jego arogancją.

- Mogłybyśmy umieścić go na naszej liście - proponuje Daisy.

- Nie. Nawet gdyby miał być ostatnim mężczyzną na Ziemi.

- Dobrze, że zaludnianie planety nie zależy od ciebie - stwierdza Connie.

- Jest totalnie nieodpowiedni.

- Czemu? Pasujesz do prawie wszystkich punktów! - mówi błagalnie Daisy.

- Jest zbyt wymagający.

- Pozna swój swojego - mruczy pod nosem Connie.

- Co masz przez to na myśli? - Ona prawie zawsze ma coś na myśli, tyle że nie zawsze mówi o tym na głos.

- Cóż, zastanawiam się tylko, czy nie powinnaś się nieco bardziej otworzyć. Traktujesz ich bardzo lekceważąco.

- Jestem po prostu dobra w oddzielaniu ziarna od plew. Opiekunka kosztuje od czterdziestu funtów w górę za wieczór. Nie mam zamiaru chodzić na niezliczoną liczbę bezcelowych randek. Nie stać mnie na to.

- Ale planujesz chodzić od czasu do czasu, prawda? Poza tym ciągle ci powtarzam, że posiedzę z dziećmiakami - stwierdza rozsądnie Daisy. Jak to jest, że czasami czyjeś rozsądne podejście jest równie irytujące jak gniew czy brak rozsądku? — Słuchaj, może ten nie jest tak do końca super, ale mamy tutaj całe mnóstwo facetów do wyboru - dodaje z cierpliwym uśmiechem.
- Żaden z nich ci się nie podoba?

- Nie. Nie podoba i nie przychodzi mi do głowy, kto mógłby. - Czuję się żałosna i do niczego. - Musicie już iść - mówię w końcu.

Biorę się za zbieranie kubków. Widzą, że nie żartuję, i Daisy bierze swoją torbę i płaszcz, Connie zaś zakłada Florze kurteczkę. Wyprawiam je bezceremonialnie ze swojego domu, zbywając obietnicą rychłego spotkania, po czym zatrzaskuję drzwi. Odwracam się, opieram o nie, po czym osuwam na podłogę.

To jest zbyt straszne.

Jak to możliwe, że Peter wychodzi z naszego związku bez szwanku, dorabiając się pięknej, nowej żony, fantastycznego domu i kolejnego dziecka? Ja zaś zostałam, aby stać w miejscu. I jestem samotna. Nie czułam się tak, nim Connie i Daisy nie rozpoczęły tej swojej kampanii. Teraz za każdym razem, gdy patrzę w lustro, widzę to co one. Żałosny, beznadziejny przypadek. Czytanie profili innych singli nie pomogło mi uwierzyć we wspaniałą, wielką społeczność, czekającą tylko, żebym pojawiła się na scenie - wyzwoliło to we mnie dojmujące uczucie smutku i poczucie niższości. Wracam powoli do salonu. Śpiesząc się do wyjścia, Connie nie wyłączyła komputera. Zwalczam w sobie chęć rzucenia kubkiem z kawą w ekran. Jaki by to miało sens?

Musiałabym posprzątać rozbite kawałki i pościierać fusy. Musiałabym kupić drugi komputer.

Nie ma nikogo, kto by się mną opiekował, jestem tylko ja. Cóż za paskudna myśl. Osuwam się na fotel przed komputerem, ciepły jeszcze po Connie, i próbuję powstrzymać łzy.

Twarz na ekranie należy do Chrisa z południowo-zachodniego Londynu. Chris oświadcza mi, że:

Byłoby dobrze, gdybyś miała ochotę robić to co ja - wyjść do restauracji, do kina, spacerować za miastem, zwiedzać rezydencje, siedzieć w domu i oglądać film na DVD, jeździć po Zjednoczonym Królestwie i Irlandii, przy dobrej pogodzie grillować z przyjaciółmi, latem chodzić do ogródków piwnych, wybrać się na wycieczkę na wybrzeże.

W mojej głowie rozlega się kliknięcie - oczywiście, że mam ochotę robić to wszystko, z Chrisem czy jakimś innym mężczyzną. Kto nie lubi kina, spacerów, ogródków piwnych i wycieczek na wybrzeże? Chyba tylko jakiś szaleniec. Ale słowa na ekranie nie wydają się prawdziwe. Ten facet może być żonaty i szukać po prostu zajęć ponadprogramowych. A nawet jeśli mówi prawdę, jak mam uczynić wycieczki na wybrzeże moją rzeczywistością? Nie wiem, czy Chris jest wart wysiłku ani czy ja jestem do niego zdolna.

Dlaczego tu jestem?- pyta samego siebie Chris. Dobre pytanie.

Niedawne odwiedziny u dwuletniego chrześniaka i jego rodziców pomogły mi w podjęciu decyzji, że pora poznać kogoś wyjątkowego. Nie znajduję teraz wspólnego języka ze znajomymi, którzy wszyscy mają żony, mężów i dzieci. Mnie za bardzo zajmowała praca i podróżowanie po świecie, żeby się ustatkować. Próba wkroczenia do świata singli, jaką było wieczorne wyjście na miasto, sprawiła, że poczułem, że musi być lepszy sposób niż przekrzykiwanie muzyki w zadymionych, ciemnych barach — mam nadzieję, że to właśnie nim jest.

Cóż, zgadzam się z nim w tej kwestii.

Parę słów o mnie -jestem szczęściarzem, bo mam świetną rodzinę i przyjaciół - i szeroki wachlarz zainteresowań: uwielbiam poznawać nowe miejsca — nieważne, czy są to kraje, restauracje czy miejsca w Zjednoczonym Królestwie i Londynie, ale chętnie również zostaję w domu, żeby obejrzeć dobry film i napić się wina. Nie lubię snobizmu czy wyniosłości pod żadną postacią, cenię zaś uczciwość, lojalność, poczucie humoru i dociekliwość.

To zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Na pewno.

Jeśli pasujesz do tego opisu, bardzo chciałbym cię poznać!

Dom lśni. Kiedyś przeczytałam na magnesie na lodówkę, że czysty dom jest oznaką zmarnowanego życia, i myślę, że ten związły slogan może i jest prawdziwy: mój kosz z rzeczami do prasowania i życie są puste.

Chłopcy biorą, następnie biorą, a potem biorąjeszcze więcej. Dają, ale są niczym okrutni dyktatorzy - dają na chybił trafił i niespodziewanie i przez kilka cennych chwil pozwalają ci się pławić w ich miłości, żeby zaraz później znowu zacząć żądać. Kiedy jednak odejdą, zostanę z niczym. Co to za życie?

Do diaska! „Co mam do stracenia?" Otrzeźwiający pytanie. Klikam ODPOWIEDZ i wypełniam formularz zwrotny.

JOHN

Natychmiast ją dostrzegam. Jest ubrana w długi skórzany płaszcz i kozaki. Szkoda, że są na płaskim obcasie, ale jak na szkolną bramę to i tak niezły widok. Gawędzi właśnie wesoło z grupką innych matek i z roztargnieniem popycha i przyciąga do siebie wózek swojego młodszego dzieciaka. Mała jest ubrana w strój wróżki i bawi się maskotką królikiem.

Tworzą atrakcyjny obrazek.

Gdy się zbliżam, jej dzieciak upuszcza królika, który zatrzymuje się metr od wózka. Żadna z matek tego nie zauważa. Oto szansa dla mnie. Schylam się i podnoszę maskotkę, otrzępuję ją i teatralnym gestem podaję małej.

Rozmowy, oczywiście, ucichły i teraz spojrzenia wszystkich spoczywają na mnie. Greenie mruczy pod nosem podziękowanie, ale nie można go nazwać serdecznym i płynącym z głębi serca.

- Nie przedstawiś nam swojego znajomego? - pyta jedna z kobiet.

Nie licząc Greenie, jest ona najbardziej atrakcyjna w tej grupie. Uśmiecha się do mnie promiennie, co jest być może błędem, ponieważ zęby ma krzywe i nieco żółtawe. Ma jednak całkiem niezłe ciało. Jest ubrana w dres i widać, że jest miłośniczką siłowni. Przyzwoita fryzura i kolor włosów - ogólnie wygląda bogato i zadbanie, ale i tak nie można jej nazwać pięk-

nością. Greenie jest także umalowana, ale nawet bez makijażu biłaby tę drugą matkę na głowę.

- To mój dawny znajomy z pracy, John Harding - mówi Greenie bez szczególnego entuzjazmu.

Pozostałe kobiety podają mi dłonie — są wyraźnie bardziej skore do rozmowy niż Greenie. Przedstawiają mi się, mówiąc, czyimi są matkami.

- Mama Teda, druga klasa.

- Mamusia Clary, pierwsza klasa.

- Jake i Josh, zerówka i druga klasa.

- Pan Harding nie jest tatą - odzywa się Greenie. Możliwe, że sądzi, że „panowanie” nas dystansuje. Mnie osobiście taka formalność podnieca i walczę ze wzrodem. - To kolega pana Walkera. Zgadza się?

Connie jak na razie ani razu nie spojrzała mi w oczy. Kieruje swoje pytanie do mojego prawego ramienia. Uznaję to za dobry objaw. Myślała o mnie. Panie są podekscytowane tym, że Craig prowadzi jakieś życie poza murami tej szkoły, i zaczynają zasypywać mnie pytaniami o to, czy ma dziewczynę. Stwierdzają, że z pewnością niejedną historię miałbym im do opowiedzenia. Nie mam szansy na to, żeby się rozkręcić, ponieważ rozmowa przyjmuje inny obrót.

- Patrzcie, wychodzą - mówi mamusia Clary, pierwsza klasa.

Connie macha do swojej córki, zupełnie mnie ignorując. Nachylam się do jej ucha i szepczę:

- Spotkasz się ze mną?

- Nie. - Wydaje się zaszokowana.

- Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Spóźniłeś się o sześć lat - warczy.

Tym razem odwraca się do mnie przodem. Mam świadomość tego, że cały ogrom jej wściekłości tylko czeka, żeby się uwolnić. Widzę, że trzyma swój niepokój pod kontrolą. Nawet to mnie podnieca. Naprawdę ślicznie wygląda.

- Nie przyjmuję odpowiedzi odmownej - oświadczam jej.
- Zdaję sobie sprawę z tego, że słyszysz ją ode mnie po raz pierwszy, ale mądrze będzie ją przyjąć.

Pochyla się, żeby pocałować swojego dzieciaka. Podoba mi się jej poczucie humoru. Nawet w obecności małej, kręcącej się jej koło nóg, i tych wszystkich mamusiowatych kumpelek mogących nas usłyszeć, nie mogła się oprzeć ciętej riposicie. Zawsze to w niej lubiłem. Uśmiecham się, ale to jej nie rozmiękcza.

- Mówię poważnie. Chciałabym, żebyś przestał się tutaj kręcić. Jeśli robisz to z myślą o mnie, to zapomnij. Nie chcę cię w swoim życiu. Odejdź - mówi stanowczo.

Z tymi słowami Connie zaczyna się oddalać, pchając przed sobą wózek. Jej starsza córeczka wygląda na nieco zaskoczoną i ledwie daje radę dotrzymać mamie kroku. Ruszam za nimi.

- Wiele rzeczy nie zostało powiedzianych.

Jestem zmuszony, żeby iść obok niej w podskokach, co wygląda trochę żałośnie, ale kobiety czasami lecą na zasapaną desperację. Może zadziałać.

- Zbyt dużo zostało powiedziane - mruczy ponuro.

A może i nie.

Próbuję innej taktyki.

- Nic wielkiego. Jedynie szybki drink w imię dawnych czasów. — Zatrzymuje się nagle i sędzę, że ją zaintrygowałem, ale po chwili dociera do mnie, że jedynie próbuje przejść na drugą stronę ulicy. Postępuje aż do przesady zgodnie z zasadami ruchu drogowego. - Równie dobrze możesz się zgodzić, ponieważ nie mam zamiaru odejść i inne mamy zaczną plotkować, jeśli nie przestanę pojawiać się pod szkołą.

Patrzy na mnie gniewnie.

- Dlaczego taki uparty jesteś tylko we wczesnym etapie gry, a taki chłodny na końcu?

- Aha, a więc znowu gramy.

Nie umiem ukryć satysfakcji z powodu tego niewielkiego zwycięstwa.

Connie oblewa się rumieńcem - może jest to zakłopotanie, może gniew. Tak czy inaczej, do twarzy jej z nim.

- Z całą pewnością nie. Nigdy nie będziemy już grać. Odejdź.

- Nie.

- Proszę.

- Nie.

- Jesteś prześladowcą.

- To nieprawda.

Greenie rozgląda się po ulicy. Wokół widać całe mnóstwo mam, niań, a nawet jednego tatę, zapędzających swoje dzieci do samochodów albo wracających do domu pieszo i próbujących popędzić pociechy. Dzieciaki nieustannie wiercą się i wyrywają. Kurtki wiszą na ich małych ciałach, a kilkoro potyka się o własne szaliki. Już samo patrzenie na coś takiego wyczerpuje. Greenie szuka chyba kogoś, kto by ją uratował albo przynajmniej pomógł w podjęciu decyzji co dalej. Nie ma jednak nikogo takiego.

- Jestem bardzo uparty - przypominam jej. - Tylko jeden drink. Cóż złego może uczynić?

- Nic - odpowiada, patrząc na mnie z wyraźnym lekceważeniem. - Tym razem jestem poza twoim zasięgiem.

Żadne z nas jej nie wierzy. Connie słucha, gdy podaję jej adres pubu.

ROSE

Kiedy usłyszałam przez telefon głos Chrisa, moja pierwsza myśl była taka, że wydaje się młodszy, niż się spodziewałam. Nie miałam odwagi zapytać go, ile dokładnie ma lat. Sprawdziłam jeszcze raz jego profil, ale tam także nie było tej informacji. Sądząc po głosie, był miły, uprzejmy i dobrze wykształcony. Wydaje mi się, że pochodzi z jakiegoś hrabstwa wokół Londynu, ale w dzisiejszych czasach niełatwo jest wyczuć czyjeś pochodzenie. Chłopcy ze szkół prywatnych pragną ćwiczyć akcent ulicy, ludzie z północy używają wzorcowej wymowy brytyjskiej. Rozmawialiśmy o pogodzie (co jest jak najbardziej zrozumiałe, mamy w końcu piękną i ciepłąjesień) i próbowaliśmy uzgodnić jakieś odpowiednie miejsce na spotkanie.

Nie zaproponował, że zabierze mnie do kina czy na przedstawienie, nie była to już pora grillowania z przyjaciółmi, a poza tym i tak zawsze się czuję potem głodna. Zarówno spacer poza miastem, zwiedzanie rezydencji, jak i zaszczyt się w domu i oglądanie filmu na DVD wymagało większego zaangażowania i intymności, której na tym etapie żadne z nas nie było gotowe dać - tak samo zwiedzanie Zjednoczonego Królestwa i Irlandii. W końcu ustaliliśmy, że spotkamy się w restauracji. W Internecie widziałam zdjęcie Chrisa, tym razem nie podejść więc do niewłaściwego mężczyzny. Chris zapytał, czy nie przysłałabym mu jakiegoś mojego aktualnego zdjęcia, i wyraziłam

zgode, choć wcale nie miałam zamiaru tego robić. Nie byłam przygotowana na to, żeby zrezygnować z przewagi.

Zdecydowaliśmy się na restaurację tajską w Notting Hill. Proponował hinduską, ale nie chciałam się zrobić czerwona i pocić w najmniej odpowiedniej chwili. Zjawiam się z dziesięciominutowym spóźnieniem i natychmiast go dostrzegam. Siedzi w kacie, na stole przed nim leży książka, ale jej nie czyta. Śmiało ruszam w jego stronę.

- Wyglądasz dokładnie jak na zdjęciu - odzywam się.

Chris przez chwilę sprawia wrażenie skonsternowanego. Niepewnego tego, gdzie się znajduje lub z jakiego powodu. Po chwili przypomina sobie o dobrym wychowaniu i wstaje. Raczej się chwieje, niż podskakuje jak sprężyna. Widać, że w celu ukojenia przedrandkowych nerwów wypił już drinka czy dwa.

- To dobrze? - pyta.

- Jak najbardziej.

Jest wysoki, jasnowłosy, a reszta cech jest raczej przeciętna. Ma szeroki, swobodny uśmiech, który chętnie eksponuje. To wszystko, czego wymagam. A nawet więcej.

- Nie dostałem od ciebie zdjęcia - mówię.

- To dobrze? - pytam żartobliwie.

Nie odpowiada, ale zakładam, że powodem jest to, że kelner krząta się koło nas, biorąc ode mnie płaszcz, zachęcając nas do zajęcia miejsc i opowiadając o specjalnościach dnia - a nie to, że czuje się zgorzony. Jestem dosyć zadowolona ze swojego dzisiejszego wyglądu. Nie wyglądam jak supermodelka, nigdy nią nie będę, ale zaszalałam i kupiłam ten jasnoczerwony kardigan w Monsoon i jest on całkiem ładny. Kelner robi się coraz bardziej wzburzony tym, że jeszcze nie zajęliśmy miejsc. W tajskich restauracjach zawsze panuje idealny ład i porządek. My go burzymy.

Chris potrząsa pustą karafką wina, zamawiając w ten sposób drugą. Musiał zjawić się sporo przed czasem. Następnie odsyła kelnera, mówiąc, że potrzebujemy trochę czasu, zanim

złożymy zamówienie. Prawdę powiedziawszy, wolałabym zamówić od razu. Prawie nic dziś nie jadłam. Naprawdę zjadały mnie pierwszorandkowe nerwy, co niesamowicie cieszyło Daisy i Connie. Choć nadal waham się co do tego, czy chcę ponownie się w to wszystko angażować, lepiej się czułam z myślą, że idę na randkę z Chrisem, niż to było w wypadku Kevina. Przynajmniej to ja się na to zdecydowałam. Zjawia się wino i kelner nalewa dwie pełne szklanki. Są one takie same jak te, których jako mała dziewczynka używałam w szkole, co bez wątpienia jest obecnie trendy, a ja po prostu się nie znam. Brakuje mi tradycyjnych kieliszków z delikatną nóżką. Chris wychyla swoją szklankę, zanim zdąży zaproponować wzniesienie toastu.

Tak.

Chris zaczyna mówić. Jest zabawny, ale nie jakoś wyjątkowo. Jego anegdoty obracają się głównie wokół niezwyklej grupy przyjaciół, którzy rzeczywiście wydają się wspaniali. Z tego, co udaje mi się ustalić, każdy z nich jest dowcipny, wysportowany i odnoszący sukcesy. Opowiada historie, w których ukazuje siebie w sposób prześmiewczy, co jest urocze i w tym wypadku potwierdza pewność siebie. Pamięta nawet o tym, żeby co jakiś czas zadać mi jakieś pytanie i na ogół czeka na odpowiedź. Muszę przyznać, że jest całkiem przyjemnie. Chris jest zabawny i czarujący. Choć może nieco zbzikowany. Ale po jakimś czasie nie jestem w stanie ignorować faktu, że niektóre z jego opowieści nie bardzo do siebie pasują. Nie mam pewności co do chronologii wydarzeń czy też imion jego „najlepszych przyjaciół” - nigdy dwa razy nie pojawia się to samo imię. Poza tym Chris twierdzi, że mieszkał w wielu krajach. Gdyby tak rzeczywiście było, musiałby mieć co najmniej dziewięćdziesiątkę na karku.

Myślę o pustym koszu na rzeczy do prasowania i mówię sobie w myślach, że mam to gdzieś. Może więc i nieco nagina prawdę — ta radosna twórczość ma bez wątpienia coś wspólnego z tym, że jest już nieźle wstawiony. Jest zabawny, a zawsze

pozwalam czarującym ludziom na więcej poufałości, niż nakażywałyby rozsądek. Po czterdziestu pięciu minutach jestem jednak już tak głodna, że orchidea w wazonie na stole zaczyna mi się jawić jako kusząca przystawka.

- Złożymy zamówienie? - proponuję. - Patrzę na to, co jedzą inni, i wszystko wygląda bardzo apetycznie.

- Możemy.

Chris nie wydaje się podzielać mojej ochoty na skonsuowanie kolacji, choć widać, że ma słabość do kieliszka. Prosi o jeszcze jedną karafkę, żartując, że są takie jakieś małe (nie są), następnie składa zamówienie w imieniu nas obojga. Nie mam w zwyczaju się sprzeciwiać, gdy ktoś tak robi, jeśli tylko zna daną restaurację lepiej ode mnie i chce polecić coś konkretnego. Zachowanie Chrisa sugeruje jednak, że wybrał nasze dania niedbale. Poprosił o dwie pierwsze przystawki wymienione w menu i dwa pierwsze dania główne. Kelner proponuje kilka dań towarzyszących. Chris bez namysłu zgadza się i po raz kolejny go odgania. Chciałabym sądzić, że to dlatego, że chce przebywać ze mną sam na sam, ale jestem realistką.

Pojawia się wyjątkowa przerwa w rozmowie, wykorzystuję ją więc, żeby zapytać:

- Czym się zajmujesz, Chris?

- Zajmuję?

- Zarabiasz na życie.

- Och. Tym i owym - odpowiada niejasno.

Nie należę do osób, które na pierwszej randce żądają potwierdzenia, że się zarabia 75 tysięcy funtów, ale wolałabym, żeby Chris był nieco bardziej konkretny.

- Gdzie się zajmujesz tym i owym?

- W biurze.

- Tak. - Nie mam pewności, w jaki sposób drażyć ten temat, nie wydając się przy tym niegrzeczna.

- Zajmuję się ustalaniem kolejności świateł w sygnalizacjach — mówi Chris.

Nalewa sobie kolejną szklanę wina. Moja jest jeszcze pełna.

— Jesteś więc urbanistą. Pracujesz dla rady miejskiej?

— Na to wygląda - odpowiada, wzruszając ramionami i uśmiechając się szeroko.

Jego wyluzowanie zdaje się nieco nie pasować do starannie stworzonego profilu. Zastanawiam się, czy nie pomógł mu go napisać któryś z jego dowcipnych przyjaciół. To nie ma znaczenia, pamiętam jednak, że twierdził, że powodami, dla których nie spotkał do tej pory „właściwej pani”, są praca i podróże, co sugeruje nieco poważniejsze podejście do pracy zawodowej od tego, które prezentuje w tej chwili. Ale może po prostu przeniosłam na jego profil swoje wyobrażenia. Chris mnie nie okłamał. Kiwa głową w kierunku mojej pełnej szklanki i mówi:

— Zdrówko.

Ten temat rozmowy wyraźnie go nudzi, próbuję więc innej taktyki.

— Otrzymałeś dużo odpowiedzi na swoją ofertę internetową? - pytam śmiało.

— Całkiem sporo. Jesteś trzecią osobą, z którą się spotykam, Rose.

— Jak mi idzie? — pytam, chichocząc.

Żartując sobie, ostatnie, czego się spodziewam, to poważna odpowiedź. Po pierwsze, przez cały wieczór Chris nie zachowywał się poważnie, a po drugie, kto by tak naprawdę chciał wiedzieć, które zajmuje miejsce w tego typu widowisku? Chris jednak bierze moje pytanie na poważnie.

— Dobrze ci idzie, Rose. Jesteś trochę spięta, ale to nerwy, nie? Nic, z czym nie poradziłobyś sobie kilka szklaneczek. — Zaczyna do mnie docierać, że według Chrisa kilka szklaneczek poradziłoby sobie dosłownie ze wszystkim, począwszy od zwykłego przeziębienia, a skończywszy na psychotycznych skłonnościach zbrodniczych. - Założę się, że moglibyśmy się nieźle razem zabawić. Hej? Masz na to chęć, co nie? Widzę to. Jestem dobry

w rozszyfrowywaniu ludzi i ty pod tą całą maską wydajesz się osobą, która lubi sobie poswawolić.

Mam ochotę rozeźmiać się w głos. Jeszcze nigdy nikt mnie aż tak błędnie nie ocenił. Mogłabym się obrazić i w innych okolicznościach tak właśnie bym uczyniła, ale to beztrioskie nastawienie Chrisa do życia dawało niezwykle poczucie swobody i uznaje, że nie jestem w stanie się na niego gniewać.

Chris polewa wino i zaczyna zabawiać mnie historyjkami o swoich ostatnich wakacjach w Kanadzie. Coraz trudniej jest mi się w tym wszystkim połapać. Nie jestem już pewna, czy Chris był w Kanadzie w zeszłym miesiącu, czy w zeszłym roku. Ani czy wybrał się tam z przyjaciółmi, czy udał w odwiedziny do rodziny. Wypowiadane przez niego słowa zlewają się ze sobą, a kiedy pojawia się jedzenie, większość ryżu zamiast w ustach ląduje na jego kolanach. Przypomina mi to jedzenie razem z bliźniakami.

W końcu Chris uznaje, że koordynowanie rozmowy, jedzenia i alkoholu to dla niego za dużo. Ma problemy ze skupieniem się - czy to na ciągu myślowym, czy daniu głównym. Poddaje się.

- Opowiedz mi o sobie, Rose - mówi z kolejnym czarującym uśmiechem.

Dociera do mnie, że tak naprawdę nie ma znaczenia, co mówię. Tego faceta tylko krok dzieli od zapadnięcia w śpiączkę, co wcale nie czyni go kiepskim towarzyszem. Choć pijany, nie jest agresywny, obleśny ani niezadowolony. Jest raczej senny. Wygląda to tak, jakby powieki miał z ołowiu. Wyzwała we mnie macierzyńskie uczucia. Wiem też, że nasz związek w obecnej formie zmierza donikąd. Nie planuję ponownego spotkania z Chrisem. Choć tak sobie myślę, że gdyby rzeczywiście do tego doszło, moglibyśmy spędzić kolejny doskonale przyjemny wieczór, być może nawet taki sam doskonale przyjemny wieczór, gdyż on raczej nie będzie wiele pamiętał z dzisiejszego, i moglibyśmy przeżyć to wszystko jeszcze raz i tak samo. Nie stało

się nic złego. Ale także nie nastąpił jakiś szczególny postęp. Ten wieczór, czy jego powtórka, nie odciąga mnie zbyt daleko od pustego kosza na rzeczy do prasowania.

A nie o to w tym wszystkim chodzi? Postęp. Czy dzisiejszego wieczoru nie powinniśmy się ciut lepiej poznać? To oczywiste, że tak się nie stanie. Chris nie zdradza zbyt wiele na swój temat, a ja gdybym nawet otworzyła przed nim całą swoją duszę, w ogóle by niczego nie zapamiętał i jutro równie dobrze mógłby mnie minąć na ulicy i w ogóle mnie sobie nie przypomnieć. Jest całkiem fajnym facetem - na tyle fajnym, by jego przyjaciele zadali sobie trud napisania przekonującego profilu i umieszczenia go w Internecie, próbując w ten sposób znaleźć mu kogoś, kto by się nim zaopiekował. Ale to pijak, a więc w żadnym wypadku ktoś, kogo chciałabym zaprosić do życia mojego albo moich chłopców.

- Dalej, Rose. Nie bądź tajemnicza. Opowiedz mi wszystko o sobie.

Chris ma na brodzie odrobinę zielonego sosu curry. Trochę mnie to rozprasza.

Wszystko o sobie.

- Jestem rozwiedziona. Mam dwóch chłopców, bliźniaków, mają siedem lat, właściwie to w grudniu skończą osiem. Mąż mnie zostawił, kiedy mieli piętnaście miesięcy.

Zazwyczaj mówię, że mój mąż i ja rozstaliśmy się, kiedy chłopcy mieli... To znacznie bardziej ugrzeczniona wersja. Nie rzuca tak bardzo winy na Petera. Ale teraz rezygnuję z tego. Chris jest zbyt pijany, żeby dostrzec różnicę.

- Musiało ci być ciężko — bełkocze.

To szablonowa odpowiedź, ponieważ wszyscy wiedzą, że nie jest to wymarzona sytuacja. Zazwyczaj kwituję to tak, że często coś takiego jest najlepszym wyjściem i że wszyscy świetnie się w tym odnajdujemy, mamy ze sobą doskonałe relacje i tak dalej. Dzisiejszego wieczoru nie zawracam sobie tym głowy.

- Tak - przyznaję. - Było. Nadal jest.

- Znalazł sobie inną?

Chris zadaje to pytanie w sposób sugerujący, że w ogóle nie obchodzi go odpowiedź. Bez wątpienia miał okazję umawiać się w przeszłości z rozwódkami i zna scenariusz. Dla mnie jego obojętność jest dziwnie zachęcająca - mniej groźna od docieklewej szczerości kobiet, które kiedyś zapraszały mnie do siebie na kawę i wymachiwały pudełkiem chusteczek. Zwierzanie się im uważałam za pewną przesadę. Za bardzo się tym przejmowały.

- Owszem, znalazł.

- Oczywiście.

- Była moją bliską znajomą. Choć nigdy tak naprawdę jej nie lubiłam.

Chris pije, gdy czynię tę uwagę, i rozpryskuje wokół wino, wybuchając śmiechem.

- Ach ta kobieca przyjaźń. Rozumiem.

Mam na tyle przyzwoitości, żeby się uśmiechnąć i spróbować mu to wyjaśnić.

- Właściwie była przyjaciółką mojej siostry. Członkinią naszej grupy. Jadała w naszym domu obiad w Boże Narodzenie, ale zawsze mnie onieśmielała. Zresztą nie tylko mnie. Jest piękna, bogata, ustosunkowana i inteligentna.

- Ale paskuda - mruczy Chris.

Uśmiecham się, że jest dostatecznie wielkoduszny, żeby zażartować. Większość mężczyzn poprosiłaby o jej numer telefonu.

- Kiedy już sobie postanowiła, że chce go mieć, to pewnie było nieuniknione. Jedynie kwestia czasu.

- Całą winę zrzucaś na nią.

- Nie, jego też winię. Uważam go za tchórzliwego, oportunistycznego, egoistycznego skurczybyka.

Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam. To tak bardzo godzi w utartą linię postępowania. Kiedy Peter mnie zostawił, wszyscy byli na niego źli. Nie mogłam znieść tego wszystkie-

go, co o nim wygadywali. Usprawiedliwiałam go. Mówiłam, że lepiej mu będzie z kimś takim jak Lucy i że ja do niego nie pasowałam. Zawsze starałam się być sprawiedliwa i miła. Ale, Boże, to takie trudne. Wyrażanie się o nim obraźliwie stanowi dla mnie całkiem przyjemną odmianę.

- Ataki na moje poczucie godności nie ustały wraz z jego odejściem. Potem musiałam przetrzymać ich wystawny ślub. W kościele! Powtórkę tych samych przysięg! Potem dali swojej córce na imię Auriol. Możesz w to uwierzyć?

- Okropne imię - mruczy Chris.

- Śliczne!

- Och, tak. W czym w takim razie tkwił problem?

- To było moje imię! Imię, które Peter i ja wybraliśmy dla naszej córki, gdybym ją kiedyś miała urodzić. Wszystko się we mnie gotowało. Od czasu rozvodu było tyle okazji, kiedy myślałam, że wybuchnę z gniewu.

- Powiedziałaś im więc, że nie podoba ci się to, tak?

- Nie. Przypomniała mi się ta bajka Ezopa o słońcu i wietrze, spierających się, kto jest silniejszy. Kwestia ta uległa rozstrzygnięciu, kiedy wiatr nie był w stanie zdmuchnąć peleryny z upartego wędrowca, gdy tymczasem słońce zaświeciło i człowiek ten natychmiast zdjął szaty.

- Eee, sorki, kogo ty próbowałaś rozebrać?

Chris stara się słuchać, ale nie jest łatwo mu wszystko zrozumieć. Taki jest skutek wypicia większej części trzech litrów wina. Nic nie szkodzi, jest po prostu taką publicznością, jakiej mi teraz potrzeba.

- Słyszałam tę bajkę, jak byłam mała, i jakoś zapadła mi w pamięć. Może i przydałby mi się od czasu do czasu porządny podmuch. Nie okazałam swojego gniewu, uśmiechnęłam się jedynie do byłego męża, który teraz posiadał intymną wiedzę na temat ginekologicznej anatomii innej kobiety, i powiedziałam: „Śliczne imię”. Kusiło mnie, żeby dodać: „Zawsze mi się podobało”, ponieważ Lucy już by dobrze wiedziała, co to

znaczy. Bądź co bądź jest kobietą. Ale ugryzłam się w język. Dolać winka?

Chris okazuje się idealnym słuchaczem. Nie przeszkadza mu, że przeskakuję z jednej historii do drugiej, ani że wyzwala to we mnie frustrację, tęsknotę czy że zaczynam się roztkliwiać. Podejrzewam, że dzieje się tak dlatego, że jako pijak jest przyzwyczajony do huśtawek nastrojów i uczuć. Przez większą część wieczoru opowiadam o Peterze i Lucy. Opowiadam o tym, jak wielką żywię do nich urazę. Jak bardzo się czuję zdradzona. Wykorzystana. Dociera do mnie, że łamię złotą randkową zasadę, ciskając gromy na swojego byłego męża, ale mam to gdzieś. Choć raz znajduję w sobie odwagę, żeby zlekceważyć obowiązujące normy.

O wpół do dwunastej wychodzimy chwiejnym krokiem z restauracji. Chris jest w takim stanie, że ledwie pamięta swój adres, nie mówiąc o zaproszeniu mnie do siebie na „kawę”. Pasuje mi to, gdyż i tak bym odmówiła. Pomagam mu wsiąść do taksówki, uśmiecham się czule i macham na pożegnanie. Udaje mu się niezdarne mi odmachać, po czym odpływa w niebyt. Zatrzymuję drugą taksówkę i sadowiąc się wygodnie, oceniam w myślach miniony wieczór. Daję sześć punktów na dziesięć, może nawet siedem. Moja randka z Kevinem w ogóle nie zdobyła żadnego punktu. Dzisiejszy wieczór stanowił jakiś postęp. Wychodząc z restauracji, czułam się dziesięć kilo lżejsza. Cudownie było mówić swobodnie, szczerze i bez konieczności przerywania. Z Connie i Daisy nigdy nie byłam w stanie rozmawiać tak szczerze, ponieważ mój ból zbyt mocno by je zasmucał.

Podobało mi się swobodne wyrażanie własnych myśli. Muszę polecić Susanne randkę z Chrisem. Jest znacznie tańsza niż wizyta u terapeuty.

JOHN

Na spotkanie z nią wybieram środę, gdyż z tym dniem nie wiąże się żadne ciśnienie. Czwartki i piątki to typowe dni randkowe. W poniedziałki i we wtorki nadrabia się zaległości w pracy lub spotyka z kimś zupełnie obojętnym. Środy pozostają neutralne.

Zjawiam się w samą porę. Założę się, że się spóźni, ale jeśli zjawi się przede mną, natychmiast się odwróci. Wiem, że się pojawi. Raz, na samym początku, uciekła ode mnie. Później zawsze już biegła w moją stronę.

Przyglądam jej się, jak wchodzi do pubu. Ma na sobie ponownie skórzany płaszcz, ale tym razem założyła buty na wysokim obcasie. Grzeczna dziewczynka. Jest umalowana i wygląda fantastycznie. Unosząc podbródek, przeczesuje spojrzeniem salę - kiedy mnie dostrzeża, marszczy lekko brwi, ale rusza prosto w moim kierunku.

- Jezu, Greenie, ze wszystkich barów na świecie - mówię, nachylając się, żeby pocałować ją w policzek.

Przez chwilę mam wrażenie, że się odsunie, nie czyni tego jednak.

- Błędnie zacytowałeś.

— Nie zawracam sobie głowy szczegółami.

— Nigdy tego nie robiłeś.

To świetnie, że od razu wracamy do słownych przepychanek. Myślę, że jej umysł podobał mi się równie mocno jak cia-

ło. To znaczy - zanim zamieniła się w psycholkę. Wtedy interesowały mnie już tylko jej cycki.

- Ale nasze przypadkowe spotkanie pod szkołą wygląda jak scena z filmu, prawda? - stwierdzam. - Jednego z tych wielkich, dawnych, czarno-białych filmów, w którym losy bohaterów nieustannie się ze sobą przeplatają. Jakby było im to pisane, byli sobie przeznaczeni czy coś w tym rodzaju. - Wygląda na sceptyczną, a przynajmniej nieufną. Rozgrzewam się w tym temacie. - To przeznaczenie, Greenie, że Craig jest dyrektorem szkoły twojego dziecka.

- Albo paskudny zbieg okoliczności i potworna niedogodność. Zależy to pewnie od punktu widzenia.

- Nie bądź taka. Mieliśmy się ponownie spotkać i już. - Zawsze wierzyła w przeznaczenie. Mimo jej chłodnych słów widzę, jak w duchu walczy ze sobą. Zdejmuje płaszcz i siada na stołku barowym obok mnie. - Nadal wierzysz w przeznaczenie, prawda, mała? Kiedyś mocno wierzyłaś.

- Ktoś kiedyś powiedział: „Przeszłość jest jak obcy kraj, dziwne panują w niej obyczaje”.

Connie zamawia sok pomarańczowy i pyta, czego ja się napiję. Zamawiam kufel piwa i whisky na popitkę, ale upieram się, że to ja zapłacę. Wolałbym, żeby także zamówiła coś z procentami. Liczyłem na to. Jej nowa pewność siebie jest niepokojąca. Jezu, mam nadzieję, że nie przekształciła się w osobę, która zupełnie nie tyka alkoholu. Owszem, lubię wyzwania, ale to akurat byłoby zniechęcające.

- Greenie, muszę to powiedzieć, i nie odbieraj tego w niewłaściwy sposób, ale wyglądasz seksownie, mała.

Nachylam się i pozwalam, żeby moje kolano otarło się o jej. Czuję iskrę seksualnego napięcia, co podnosi mnie na duchu, gdyż wierzę, że tego rodzaju rzeczy zawsze działają w obie strony.

Connie wygląda na skрэpowaną. Schodzi ze stołka i odsuwa go kilka centymetrów od mojego. Widzę, co chce przez to powiedzieć. Nawet Stevie Wonder byłby to w stanie zobaczyć.

- Nie jestem Greenie. Jestem Constance Baker - oświadczasz sztywno. - Zresztą byłam nią nawet wtedy, gdy się poznaliśmy.

- Nie, dla mnie zawsze byłaś Greenie i zawsze będziesz.

To nie jest prawdą. Często myślę o niej jako o Connie albo nawet Constance, ale rzadko tak na nią mówiłem. To zabawne, jak wtedy używanie naszych imion wydawało się czymś nazbyt intymnym, mając na uwadze inne łączące nas rzeczy.

- Mógłbyś nazywać mnie Connie? Wszyscy tak robią.

- Ale ja to nie wszyscy, mała.

Patrzy na mnie chłodno. Przyglądam się uważnie jej twarzy i próbuję rozpoznać, czy to, co na niej widzę, to niechęć. Albo gniew? Albo rozczarowanie? Wszystkie te uczucia można brać pod uwagę.

- Masz rację, jesteś nikim - mówi.

- Nie, kochanie, jestem twoim kimś i oboje świetnie o tym wiemy - uśmiecham się nieporuszony.

Wygląda na oburzoną.

- Nie wiem, dlaczego w ogóle tutaj przyszedłam - warczy.

- Ależ wiesz. - Mrugam do niej.

- Nie wiem — odparowuje stanowczo.

- A gdzie indziej miałybyś być?

To pytanie daje Greenie wybór. Może zinterpretować je na czysto podstawowym poziomie - zwykłe pytanie dotyczące jej napiętego planu dnia - i przełamać to oczywiste napięcie między nami. Albo może zdecydować, że jest to pytanie bardziej metafizyczne. Gdzież indziej powinna być Greenie, jak nie przy swoim Hardiem? Jeśli będzie miała ochotę na flirt, wybierze tę drugą opcję.

- Jest milion spraw, którymi powinnam się zajmować. Wystawianie faktur, oglądanie *The Bill*, prasowanie.

Dobra, skoro tak chce to rozgrywać, nie będę naciskał. Przerywam jej, nim do swojej listy doda cerowanie skarpetek.

- Och tak, jesteś teraz matką. Jak ci się to wszystko układa? Co masz? Dziewczynkę i chłopca? Parkę?

- Dwie dziewczynki. Poznałeś je, nie pamiętasz? — Pewnie, że pamiętam, chcę jedynie okazać brak zainteresowania.
- Możliwe, że wkrótce zaczniemy się starać o trzecie dziecko
- dodaje.

Kobiety zaszyfrowują w tego rodzaju wypowiedzi wiadomość: „Jesteśmy szczęśliwi. Mój mąż i ja mamy udane życie seksualne. Odwal się”. Nie zawsze jest to prawda.

- A niech mnie, Greenie. Jaki masz plan? Sama jedna chcesz zaludnić zachodni Londyn?

Wygląda jednak dobrze, macierzyństwo jej służy.

Connie ma teraz szczuplejszą twarz niż przed laty. U niektórych kobiet z wiekiem tak się dzieje. Jej skóra jest niemal przezroczysta, wygląda bardzo delikatnie. Czas się jej nie ima i tak dalej. To prawdziwa Kleopatra, z wiekiem coraz bardziej olśniewająca. Kiedyś była pewną siebie flirtującą, i wtedy to właśnie dzięki temu trudno jej się było oprzeć. Teraz ma więcej głębi. Jest spełniona - i to widać na jej twarzy. Ma w sobie coś dziwnie fascynującego. Godzinami mógłbym się jej przyglądać.

- Pozwól, że kupię ci coś porządnego do picia, Connie. Butelkę szampana. W imię dawnych czasów.

Wpatruje się w swój sok pomarańczowy z czymś bliskim rozpacy, a z całą pewnością znudzeniem - jest to mina, która kiedyś często pojawiała się na jej twarzy.

- Niech ci będzie. Wypiję kieliszek. Ale nie w imię dawnych czasów. Zrobię to, żeby uczcić fakt, że właśnie nazwałeś mnie Connie.

Ignoruję jej uwagę o kieliszku i zamawiam całą butelkę. Kiedyś była znana jako „Greenowa Szampana Królowa”. Nie umie się oprzeć szampanowi. Prawdę mówiąc, Connie jest raczej beznadziejna w zbytnim opieraniu się czemukolwiek.

Pociąga łyk szampana, a potem rusza z kopyta. Galopuje tak, że ledwie jestem w stanie za nią nadążyć. Zaczyna opowiadać o macierzyństwie, gdyż wzięła moje obojętne pytanie za prawdziwą ciekawość. Opowiada o fotografii. Informuje

mnie o tym, co słychać u kilku jej kumpli, tych, których znałem w naszych dawnych czasach. Od czasu do czasu wspomina o mężu, w sposób zupełnie naturalny, jakby nie pamiętała, że parę lat temu wspólnie przyprawialiśmy mu rogi. Nie pyta mnie absolutnie o nic. Czyżby naprawdę była mną tak mało zainteresowana?

Kiedyś troszkę się jej bałem. Możecie to sobie wyobrazić? Ja się bałem? Problem tkwił w tym, że widziałem ją dokładnie taką, jaka była. Zbyt podobna do mnie. Zbyt dzika i egoistyczna. Wykorzystała mnie w takim samym stopniu, w jakim ja wykorzystałem ją, choć nigdy by się do tego nie przyznała. Kłóci się to z jej romantyczną wizją samej siebie. Pragnąłem posiadać jej jędrny tyłeczek i niewielkie cycuszki. Tak jak mam ochotę posiadać większość jędrnych tyłeczków i niewielkich cycuszków, jakie napotykam na swojej drodze - to nic nie znaczy, tak już jestem zaprogramowany. Ona pragnęła, żeby coś ożywiło jej życie jako członka klasy średniej. Początek jej małżeństwa był ogłupiający i chciała wstrząsnąć mężem palantem, który przestał ją dostrzegać. Często sobie myślałem, że to jedyne, czym dla niej byłem: wielką żółtą kartką ostrzegawczą pokazaną mężowi.

I owszem, nieźle się razem bawiliśmy. Była zabawna, w taki inteligentny sposób, a to naprawdę potrafi podniecić. I Jezu, jejku!, była naprawdę wyjątkowa w tej swojej radosnej pewności co do tego, żeby w łóżku robić dosłownie wszystko. Czy też, gwoli ścisłości, poza łóżkiem. Była znacznie bardziej odważna niż ja. Ochoczo opadała na kolana w bocznej alejce, gdy tylko wyraziłem cień ochoty na spuszczenie spodni. Zazwyczaj nie mam aż tyle ikry na tego rodzaju zabawy, chyba że jestem pijany. Ale wtedy często byliśmy pijani. Problem w tym, że jestem ofiarą slumsowej pruderii. Klasa robotnicza starej daty ma dość surowe zasady w kwestii seksu w miejscach publicznych i tego typu rzeczy. Nie ryzykujemy w taki sposób. Wolimy to robić we własnych czterech ścianach. Tylko najgorsi prostytutki i zboczeńcy pieprzą się w barach na Ibizie. Ale Connie nie jest

zboczona. Nigdy nie była. To nie było obleśne, lecz konieczne. Instynktowne. Zwierzęce.

Ale czy kiedykolwiek mnie kochała? Wciąż do tego wracam. Cholerny Craig. Wcześniej nigdy o tym nie myślałem. Nie tak naprawdę. Który facet tak robi? Ale teraz nie umiem wyrzucić tego pytania z głowy. I chcę wiedzieć. Chcę wiedzieć, czy Connie w ogóle mnie kochała. Muszę wiedzieć. O co w tym, kurwa, chodzi?

To nie ma znaczenia. Naprawdę. Jaka to różnica, czy kiedyś oddała mi zarówno swoje ciało, jak i duszę? Otrzymałem przecież kartę wstępu do jej wilgotnej i chętnej cipki, prawda? Ale ostatnio przytłapuję się na zastanawianiu, czy potrafiłbym poskromić kobietę taką jak ona. Tego właśnie bez przerwy próbują (z marnym skutkiem) kobiety, czyż nie? Znajdują sobie złego chłopca, zakochują się w nim (ponieważ jest z samej natury rzeczy zły), a potem bez końca przekonują same siebie, że są w stanie wybić mu z głowy wszelkie zło i zamienić w ugrzecznioną ciotę. Wiem dobrze, że całe mnóstwo pańienek próbowało ze mną tej gry, włączając w to byłą żonę. Zawsze uważałem, że coś takiego to głupota największa z możliwych. Zawsze odczuwałem litość i pogardę wobec ich bluszczowego, gównianego pragnienia normalności i ustatkowania się, ale teraz odkrywam, że rozumiem to wszystko nieco bardziej.

Connie to inteligentna kobieta, twórcza, ognista, trudna do zaspokojenia, a teraz widzę, jak emanuje z niej zadowolenie i autentyczne, cholerne szczęście, i zastanawiam się, czy potrafiłbym to jej kiedyś zapewnić. Potrafiłbym sprawić, żeby dała sobie spokój z flirtowaniem i podejmowaniem ryzyka, tak jak uczynił to Luke? Zawsze w myślach nazywam go durniem. Ale może jest lepszym człowiekiem. Może wybrała jego.

To ja rzuciłem Connie. Chcę, żeby uwzględniono to w naszej historii. Była kobietą bluszczem, uzależnioną ode mnie i popapraną. Zbyt popapraną, dlatego właśnie musiałem powiedzieć „dość”. Pewnego wieczoru zadzwoniła do mnie osiem

razy. Powiedziałem, że się z nią spotkam, kazałem jej przyjechać do mnie, a ona nie mogła znaleźć mojego mieszkania, czy coś w tym rodzaju. Nigdy nie zapisała sobie adresu i nigdy nie zjawiała się u mnie trzeźwa. Jezu, jakie ta wariatka zostawiała mi wiadomości na poczcie głosowej. W jednej oskarżyła mnie, że czekając na nią, bzykam się z inną, jakbym akurat miał na coś takiego wystarczająco energii! W następnej wiadomości bliska była łez. W kolejnej krzyczała histerycznie, że nie ucieknę przed nią, nalegając, żebym do niej oddzwonił i powiedział, gdzie jest to mieszkanie. W ósmej wiadomości zmieniła taktykę i oświadczyła chłodno, że choć jestem dobry w łóżku, to wcale nie aż tak bardzo (co jest kłamstwem) i że nie ma ochoty jeździć cały wieczór po wschodnim Londynie, próbując mnie znaleźć.

Głupia krowa.

Udało jej się odbyć ze mną regularną kłótnię, przejść przez całe spektrum emocji, choć ja ani razu nie odebrałem telefonu.

Bywało też jednak tak, że wysyłałem jej esemesy, zalotne, żartobliwe lub prosząc o spotkanie, na które w ogóle nie odpowiadała. Stoicki spokój czy bzik? Cienka linia.

Przeprowadzaliśmy poważne rozmowy. Niektóre ze słów, które mi powiedziała, zostaną ze mną już na zawsze. Były takie celne. Ujmowały całą istotę mnie, zdarzało się więc, że uważałem, że Connie zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. Nawet ja sam. Wyglądało to tak, jakby potrafiła dokopać się do moich najgłębiej skrywanych lęków, najsilniejszych namiętności, chwil, w których czuję przemożną dumę, i tych, w których nie wiem, gdzie się podziać ze wstydu.

Czułem, że ktoś mnie zna. I lubi.

A innym razem nie wiedziała na mój temat zupełnie nic.

Po mniej więcej godzinie jej nieustannej gadaniny i moich okazjonalnych wtrąceń, kiedy dorzucam coś na temat zmian w moim życiu, zauważam, że wypiliśmy całą butelkę szampiana. Równie dobrze mogę to zrobić od razu.

— Byłaś we mnie zakochana, Connie? — pytam.

Natychmiast odsuwa się ode mnie i robi taką minę, jakbym właśnie ją opluł.

Przez cały tydzień zastanawiałem się, w jakie to ująć słowa. Myślałem, żeby zapytać: „Kochałaś mnie?“, ale odrzuciłem to jako zbyt ogólne. Wtedy bez problemu mogłaby mnie uraczyć standardową odpowiedzią: „Kochałam cię, ale nie byłam w tobie zakochana”. Olbrzymia luka, która głównie znaczy. Wiem, że sam tak oświadczyłem więcej niż jeden raz. Mogłem zapytać: „Byłaś kiedykolwiek we mnie zakochana?”. Ale to akurat brzmi nieco rozpaczliwie. Albo stwierdzenie: „Wiem, że byłaś we mnie zakochana”. Zbyt aroganckie, i nie zmusza do udzielenia odpowiedzi. Connie wzdycha. Na jej twarzy maluje się strach (kogo się boi, mnie, siebie, Luke'a?) i żalu (tak wiele żalu, od czego by zacząć?), ale jeśli przyjrzeć się uważniej, widnieje tam także chęć udzielenia odpowiedzi. Czekala sześć lat, żebym zadał jej to pytanie? Prawdopodobnie.

Nigdy nie poruszaliśmy tematu miłości. Rozmawialiśmy o seksie, pożądaniu, doświadczeniu, filmach, rodzinach, marzeniach, wszystkich tych tematach, jakich używa się w ramach technik pocieszania, podtrzymywania rozmowy i unikania w ciągu całego życia, a szczególnie wtedy, gdy leży się w łóżkach obcych osób. Zaplątani w prześcieradła i spoceni wołaliśmy: „pieprz mnie”, „posuwaj mnie”, „o rany, jak dobrze”. Ale nigdy nie wypowiedzieliśmy na głos tego naprawdę paskudnego, sześcioliterowego słowa. Miłość.

Connie unika mojego spojrzenia. Ludzie często mówią, że kłamcy nie patrzą rozmówcy w oczy. W towarzystwie, w którym się obracam, to mówienie prawdy często zawstydzają najbardziej.

- Przyjaciele uważają, że byłam ogarnięta pożądaniem
- mówi.

Jej głos brzmi obco, zbyt płytko oddycha.

- Nigdy nie należałaś do osób uginających się pod presją otoczenia - zauważam, jednocześnie drażąc głębiej ten temat

i chwając jej niezależny charakter. Connie jest próżna i reaguje tak, jak miałem nadzieję.

- To prawda.

- Więc?

Czeka i czeka. Jakiś milion lat, w końcu mówi:

- Tak. Byłam w tobie zakochana.

Nie unika już mojego spojrzenia. Słowa zostały wypowiedziane. Prawda ujawniona. Wpatruje się teraz we mnie, rzucając mi wyzwanie. Czeka na moją reakcję. Nie odzywam się ani słowem, dlatego kontynuuje:

- Byłam w tobie mocno zakochana przez bardzo krótki okres. Doświadczyłam tego wszystkiego. Nie mogłam ani spać, ani jeść, ani pracować. — Mówi to bardzo powoli. Normalnie mówi zbyt szybko, połykając słowa. Ale chce to powiedzieć tak wyraźnie, jak to tylko jest możliwe. Jej klatka piersiowa podnosi się i opada. - Byłeś moją pierwszą myślą po przebudzeniu, ostatnią przed zaśnięciem, wypełniałeś sobą wszystkie chwile mojego życia i marzenia. Przez krótki czas zrobiłabym dla ciebie dosłownie wszystko, być może łącznie z zostawieniem męża. - Wierzę jej. - Wcześniej mówiłeś o przeznaczeniu, John, i masz rację, rzeczywiście w nie wierzę. To właśnie ono sprawiło, że wkroczyłeś w moje życie. Zmieniłeś wszystko. Obudziłeś mnie. Do czasu Paryża chodziłam we śnie. Żyłam połowicznie. Nie dostrzegając, co mam. Nie wiedząc, czego pragnę.

Miałem już okazję słyszeć coś takiego, ale nigdy z tych ust, i gdy przyglądam im się (różowym, pełnym i wilgotnym), mój penis porusza się, niemal drży. A jednak dziwniejsze jest to, że coś mnie ściska w piersi. Zastanawiam się, czy powinienem ją pocałować. Patrzę, jak jej usta poruszają się. Kusząco. Szyderczo? Co ona teraz mówi?

- Ale to było wtedy, a teraz jest teraz. Doszczętnie zniszczyłeś to, co czułam. Nie jestem już w tobie zakochana i nigdy więcej nie będę.

Obdarza mnie spojrzeniem osoby, której dusza jest nieskomplikowana. Gdzie się podziało jej udręczenie? Kiedy udało jej się wszystko rozgryźć? Kiedy powściągnęła pragnienia i znalazła odpowiedzi? Dlaczego ze mną tak się jeszcze nie stało? Zaczyna mnie zalewać fala ekscytacji. Zaczyna od stóp i wznosi się coraz wyżej, coraz silniejsza, tak że kiedy dociera do klatki piersiowej, czuję się nią odurzony.

Patrzę, jak Connie bierze swoją torebkę. Wyciąga z portfela kilka banknotów i kładzie na barze, upierając się, że to ona stawia szampana. Wychodzi z baru różnym krokiem kobiety wolnej. Uważa, że właśnie zamknęła pewien rozdział. W końcu miała okazję powiedzieć to, co siedziało w niej od lat. Sądzi, że nastąpił remis. Jest tak wspaniałomyślna, że cieszy się, że powiedziała mi komplement, ja zaś jestem nieco bliżej jej poznania i zrozumienia. Kobiety myślą w taki właśnie, zagmatwany sposób. I jest uszczęśliwiona, że to się w końcu skończyło.

Ale Connie się myli.

Przyznając, że była we mnie zakochana, wcale nie zatrzasnęła drzwi i ich nie zaryglowała, co było jej zamiarem. Zamiast tego zostawiła je uchylone. Sposobność przemyka do środka niczym zdeterminowany karaluch.

Skoro kiedyś była we mnie zakochana, może tak być ponownie. A teraz, po raz pierwszy od bardzo dawna, wiem, czego chcę. Czego potrzebuję. Co muszę mieć. Connie.

LUCY

- Powinniśmy jechać na wakacje — oświadcza Peter.

Właśnie za to go kocham. Tak dobrze mnie zna. Jest zawsze przy mnie. Nie krok przede mną. Wakacje są tym, czego teraz potrzebujemy najbardziej.

- Sami - mówię.

Próbuję sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni wyjechaliśmy gdzieś sami, to znaczy rzeczywiście sami, bez niań i Auriol, ani bliźniaków czy choćby BlackBerry. Peter wszedł do łazienki i teraz spryskuje twarz wodą, żeby zmyć całodzienny kurz. Nie słyszał mnie.

- Auriol będzie zachwycona - mówi.

Pieprzyć to, czym Auriol będzie zachwycona. Auriol będzie zachwycona, zostając w domu z **Eva**, jeśli zaopatrzymy ją w wystarczającą liczbę płyt DVD i słodyczy. Ale tego akurat nie mogę powiedzieć Peterowi, próbuję więc innej taktyki.

- Pamiętasz Malediwy? — wołam w stronę łazienki.

- O Boże, tak, pięknie tam było. Malediwy są boskie.

Pojechaliśmy tam rok przed przyjściem na świat Auriol. Zatrzymaliśmy się w hotelu Banyan Tree. Było tam pięknie, swobodnie i wyrafinowanie. Przez całe wakacje paradowałam właściwie tylko w majtkach od bikini. Było to w czasach, kiedy cellulit należał jeszcze do tych problemów, którymi musiały się martwić jedynie inne kobiety.

Peter wyłania się z łazienki, siada na skraju łóżka i zdejmuję skarpetki, po czym zabiera się za obcinanie paznokci. Nie znoszę, gdy robi to w sypialni. Poświęciłam naprawdę dużo czasu i wysiłku, żeby stworzyć tę oazę miłości, ale żadna liczba pluszowych narzut w kolorze czekolady, orzechowy parkiet czy niebieskoszare lakierowane szafki nic nie wskórają, gdy nadejnie się na kawałek obciętego paznokcia. Coś takiego bez wątpienia studzi miłosne zapędy. Przed ślubem nigdy nie widziałam, jak obcina paznokcie. Albo węża sobie pachy. Czy drapie się po jajkach albo szuka łupiezu. Trzymał się pewnych standardów. Odsuwam ten wyjątkowo irytujący tok myślowy na samo dno świadomości i próbuję się skoncentrować na załatwieniu sobie takich wakacji, jakich pragnę. Za wszelką cenę muszę wywinąć się od spędzenia tygodnia *en familie* w Center Pares — ferii *all inclusive* — będącego dla klasy średniej odpowiednikiem Butlins.

Klękam za nim na łóżku i obejmuję za szyję. Mam na sobie komplet bielizny Agent Provocateur i krótki jedwabny szlafroczeek - nie mógł tego nie dostrzec. A jeśli nie, to z całą pewnością tak się stanie, kiedy w skrzynce pocztowej znajdzie wyciąg z karty kredytowej.

- Na Malediwach było tak gorąco, że właściwie nie musiałam niczego pakować — szepczę mu do ucha.

Peter myśli przez chwilę, po czym jego twarzy zakwita powoli uśmiech. Połknął przynętę i ruszył na spacer Ścieżką Wspomnień. Nie mam wątpliwości, że przypomina mu się teraz, jak rozwiązywał zębami sznureczki moich majtek, gdy kochaliśmy się na prywatnej plaży znajdującej się na tyłach naszego apartamentu. Mężczyźni są bardzo prości.

Zaczynam podgryzać go w ucho. Gdy przypominam sobie jego pocałunki, niemal słyszę fale rozbijające się o brzeg. Wtedy ich intensywność była jeszcze zróżnicowana, z marzycielskich pospiesznie przechodziły w diaboliczne. Obecnie całowanie pozostaje raczej neutralne - czasami muszę przypomnieć Petero-

wi o używaniu języka. I nie przejmowaliśmy się tym, że piasek dostanie nam się nie tam, gdzie trzeba, że ktoś nas zobaczy albo że pogryzą nas komary. W tamtych czasach niczym się zbytnio nie przejmowaliśmy. Jeśli zamknę teraz oczy, prawie czuję jego uważne pieszczoty, dreszczyk ekscytacji. Na Malediwach kochaliśmy się na plaży, w hotelowym pokoju i na werandzie. Naprawdę się do tego przykładaliśmy.

Dobrze pamiętam, jak Peter pewnie i umiejętnie przenosił mnie z jednej pozycji do drugiej, a ja czułam się krucha i hołubiona, gdy tymczasem jego czyniło to pełnym wigoru i silnym - banał, ale za to wyborny. Oczywiście, wtedy był silniejszy, brzuch mu w ogóle nie wystawał. W tamtych czasach zdejmował T-shirt przez głowę jednym szybkim, wywiczonym ruchem. Obecnie woli najpierw zgasić światło, poza tym często sypia w piżamie.

Boże, podnieca mnie sama myśl o tym, jak to kiedyś było. Wspomnienie Petera i tego, jak się wtedy zachowywał. Chciałabym, żeby dał sobie spokój z obcinaniem paznokci i po prostu odwrócił się do mnie i ujął moje piersi w spokojny i pewny siebie sposób, tak jak kiedyś. Nie kazałabym mu nawet umyć rąk, mimo że dotykał stóp. Pragnę jedynie, żeby jego palce znowu błądziły po moim ciele, znalazły najgorętsze miejsce między nogami i wsunęły się do środka, na nowo mnie rozpalając.

Zaczynam całować go po szyi. Chrzanić wakacje, później możemy o tym pogadać. Teraz potrzebny jest mi Peter. Mój Peter, ten, który przewiduje, gdzie mam ochotę zostać dotknięta za chwilę, i wie, z jakim to robić natężeniem. Pragnę, żeby sprawił, że zacznę jęczeć, stękać i mruzcęć.

Nagle Peter całuje mnie w usta. Naprawdę całuje. Mocno, wyczuwając moją niecierpliwość i fakt, że w tym akurat wypadku pragnę poczuć, że jestem mu podległa. Popycha mnie na łóżko i siada na mnie okrakiem. Rozsuwa szlafroczek i odsuwa się, żeby podziwiać widok.

— Jesteś taka seksowna - mruzczy.

W końcu to do niego dotarło. Owszem, jestem. Lepiej, żeby o tym pamiętał, i nie chodzi mi wcale o raz na dwa tygodnie. Przyciągam jego głowę i zaczynam go znowu całować. Delikatnie żuję wargi i wsuwam między nie język. Czuję twardość penisa. Jest wyraźnie napalony. Kusi mnie, by prosić go o to, żeby mnie natychmiast ostro zerznął. Tak bardzo pragnę poczuć go znowu w sobie, minęło zdecydowanie za dużo czasu, ale powstrzymuję się. Opóźniam to, by zwiększyć pragnienie jego i moje. Chcę czuć, że jestem pożądana. Pożądać, a potem się pieprzyć.

Jego pocałunki palą moje usta - każdy kolejny rozprawia się z wzajemnymi urazami i napięciem. Czuję, jak poddaję się chwili, i jest to cudowne. Zamykam oczy i myśli, rozsuwam zaś nogi. Czuję, jak mięśnie się rozciągają, gotowe, by pchać, ciągnąć i podsycać pożądanie. Czuję własną wilgoć. Pachnie fantastycznie. Odwagą i młodością. Pachnie jak szanse i nasza przeszłość i przyszłość.

Peter liże, gładzi i w końcu wchodzi z dokładnie taką siłą, że ja dyszę, czuję wdzięczność, jestem bezsilna i jednocześnie pełna mocy. Seks, praktykowany w odpowiedni sposób, potrafi być najbardziej złożoną sprzecznością, zagadką dnia codziennego. Poruszamy się ostro i szybko, a potem zmieniany bieg, żeby delektować się pragnieniem. Przyciskam swoje ciało do jego. Niczym małpka oplątam go ciasno nogami w pasie. Turlamy się po łóżku, raz po raz. Nasze nogi i ręce są splecione razem, gdy tulimy się mocno i chwytamy, desperacko pragnąc konsumować się nawzajem, pożerać i zaspokajać. Pot spływa po jego plecach i wślizguje między pośladki, przez co jego skóra wygląda niczym lśniący drogocenny skarb, tak dobrze mi znany. Przesuwam językiem po strużce potu. Dochodzę, a potem jeszcze raz. I z każdą cudowną falą rozkoszy tygodnie frustracji ulegają zapomnieniu, a rozdźwięk między nami zanika.

Peter wydaje z siebie jęk, po czym zsuwa się ze mnie.

Widzicie, nadal potrafimy to robić stylowo i wymownie.

Szkoda, że taka jest właśnie moja pierwsza myśl.

Peter uśmiecha się do mnie promiennie. Próbuję się skupić, a nie jest to coś, co przychodzi mi łatwo po intensywnym orgazmie.

— Mam więc zarezerwować dla nas wszystkich wyjazd?

- Tak - zgadzam się z szerokim uśmiechem.

Mężczyźni są tacy prości.

ROSE

Na szkolnym korytarzu jak zwykle hulają przeciągi i panuje paskudny ziąb. Zebrało się tutaj sześć matek - gdy rozmawiamy ze sobą, z naszych ust wydostaje się para. Lyn Finch żartuje, że wyglądamy jak stado smoków. My, przedstawicielki klas wchodzące w skład Komitetu Rodzicielskiego, zawsze zjawiamy się wcześniej niż członkowie zarządu. Zapewne nasi biznesmeni i proboszcz mają ważniejsze sprawy na głowie albo przynajmniej lubią sprawiać takie wrażenie. Większość przedstawicielek to typ matek, które nie mogły lub nie chciały pójść do pracy i już nie pamiętają, jak to jest, gdy coś może być uważane za ważniejsze od tych zebrań i wszystkiego, co sobą reprezentują.

Pan Walker, chwiała mu za to, zawsze się stara przybyć punktualnie, woli bowiem w komitecie dzielić los mam niż pozostałych mężczyzn. Wszystkie za nim przepadamy z tego względu - oraz z wielu innych powodów. Dzisiaj, kiedy pojawia się na zimnym korytarzu, zacierając dłonie, żeby się rozgrzać, ledwie go rozpoznaję. Obciął włosy. Nowa fryzura ma swój styl i jest mu w niej zdecydowanie do twarzy, gdy tymczasem wcześniej jego włosy pełniły bardziej funkcję użytkową - kapelusz miał się na czym trzymać.

- Pan Walker ma nowe ciuchy - szepcze Lyn Finch.

Pozbył się starej marynarki z łątami na łokciach i brązowych sztruksów. Ma na sobie spodnie z French Connection i koszulę Teda Bakera.

- Na pewno ma dziewczynę - dodaje.

- Czemu tak uważasz? — pytam.

Czuję irytację. Jak to możliwe, że pan Walker jak gdyby nigdy nic znajduje sobie nową dziewczynę, podczas gdy ja odnoszę na tym polu same porażki? Mężczyznom żyje się łatwiej. To fakt.

- Cóż, jest całkiem słodki, prawda? Bardzo miły, śliczny uśmiech. Tak sobie myślę, że wiele kobiet uznałoby go za niezłą partię, tyle że dotąd tragicznie się ubierał, jak ktoś, kto kolekcjonuje modele samolotów. Jakaś bystra młoda kobieta dostrzegła w nim potencjał i uświadomiła mu, że szata jednak zdobi człowieka. Jedyne, co musiała uczynić, to nakłonić go do wizyty w sklepach na High Street w Kensington.

Nie podoba mi się tok rozumowania Lyn Finch. Dziewczyna pana Walkera nie powinna starać się go zmienić - i bez tego jest uroczy. Dlaczego ludzie muszą wszystko zmieniać? Fryzury? Ubrania? Stan cywilny? Dlaczego nie wolno im zostawiać tego w stanie niezmiennym?

- Tylko mnie jest zimno, czy rzeczywiście nie jest tutaj najcieplej? - pyta pan Walker.

- Jest trochę chłodno - potwierdzam.

- Ile on ma, według ciebie, lat? - szepcze mi do ucha Lyn.

- Nie wiem, trzydzieści trzy, najwyżej trzydzieści pięć.

- Zawsze mówi jak jakiś dziadek. „Tylko mnie jest zimno, czy rzeczywiście nie jest tutaj najcieplej?” - przedrzeźnia. - Założę się, że to tego typu człowiek, który przed pojechaniem dokądkolwiek, zawsze pyta o parking i prawdopodobnie ma wiatę.

Ja zawsze przed pojechaniem dokądkolwiek pytam o parking i mam wiatę, nie rozumiem więc, o co chodzi Lyn.

- Proszysz, pan Jones i pan Watkinson kazali mi panie przeprosić. Tak sobie myślę, że skoro ich nie ma, to może zmieścimy się w moim gabinecie? Jest tam znacznie cieplej — mówi pan Walker.

— Czyżby źle się pan wyrażał o gabarytach tych dżentelmenów? - pyta Lyn. Nie może się powstrzymać, żeby się z nim nie podrażnić.

Uważam, że powinna traktować pana Walkera z większym szacunkiem. Jest młody, zgoda, ale to przecież dyrektor szkoły. Poza tym w tej nowej fryzurze w końcu wygląda bardziej męsko. Nie chodzi o to, że ta fryzura go postarzyła - raczej wydobyła na światło dzienne nową osobowość, która najpewniej istniała, tyle że kryła się pod obcięciem na misce *circa* 1979.

Z osobowością czy nie, pan Walker oblewa się rumieńcem.

— Nie, nie, oczywiście, że nie.

Członkowie zarządu są wyjątkowo grubzi. Wyglądają jak postaci z powieści Charlesa Dickensa - takie, które za bardzo małe pieniądze prowadzą sierocińce i przeżerają zyski.

— Podczas tych zebrań proszę, żeby mówiono na mnie Craig. Pan Walker brzmi tak bardzo oficjalnie.

— Dobra, Craig - śmieje się Lyn. — Możesz nazywać mnie panią Finch.

Biedny pan Walker. Ponownie się rumieni, ale prowadzi nas wszystkim korytarzem w stronę swojego gabinetu z czymś zbliżonym do ponurej determinacji. Rzeczywiście jest młody jak na piastowanie takiego stanowiska. Kiedy go na nie powołano, kilku rodziców zaczęło go testować. Kwestionowali jego decyzje dotyczące wszystkiego, począwszy od mundurków, przez zmiany w planie lekcji, aż do kształtu nagrody w dniu sportu. Panowało ogólne przekonanie, że musi pokazać, że jest w stanie utrzymać rodziców w ryzach, ponieważ w przeciwnym razie jak można od niego oczekiwać, że poradzi sobie z pyskującymi dziećmi? Ciężko i smutno było się temu przyglądać, aż w końcu stało się jasne, że jakimś cudem pan Walker całkiem dobrze daje sobie ze wszystkim radę. I teraz rodzice za nim przepadają i są z niego dumni.

Gabinet dyrektorski stanowi znacznie przyjemniejsze miejsce na zebranie szkolnego zarządu, choć pod nieobecność

członków zewnętrznych powinno się tak naprawdę nazywać zebraniem Komitetu Rodzicielskiego. Dzisiaj mamy omówić kwestię tego, czy należy wprowadzić w szkole gorące obiady - jest to problem, który wymaga uwagi członków zarządu, ale leży na sercu rodziców, z komitetu i nie tylko. Tak więc nie zanoszę się na to, żeby dzisiaj go rozwiązano, co nas nie powstrzymuje przed jego omówieniem.

- Pytanie jest takie, czy stać nas na poniesienie znacznych kosztów, jakich wymaga zatrudnienie firmy cateringowej z zewnątrz.

- Jakoś musimy znaleźć na to fundusze. Korzyści płynące z faktu, że dzieci zjedzą w taki sposób gorący posiłek, są naprawdę nieocenione - oświadcza Lesley Downes, matka Joego, druga klasa.

- A ich matki nie będą codziennie stawały przed wyzwaniem, co by tu kreatywnego włożyć do pudełka na lunch - stwierdza Lyn. — Popieram wszystko, co pozwala mi oszczędzić pracy.

- Tak, ale kiedy to ty przygotujesz im lunch, wiesz przynajmniej, co jedzą. Szkolne posiłki mają taką kiepską prasę i o ile nie uda nam się nakłonić Jamiego Olivera, żeby codziennie wpadał do Holland House i sprawdzał wartość odżywczą, niewiele nas będzie ufać jakości jedzenia przygotowywanego przez firmę cateringową - zauważam.

- To prawda, nie podoba mi się pomysł, żeby moi Katie i Tim jedli kurze pazury i jaja - stwierdza Wendy Pickering.

Czuję się zakłopotana. Dlaczego Wendy Pickering zawsze musi obniżać poziom dyskusji? Nie uważam, żeby istniała potrzeba używania takiego języka, zwłaszcza w towarzystwie dyrektora szkoły. Poczuję się tym skrępowany.

- Nie, Wendy, oczywiście, że nie. Nikt z nas nie chce, żeby dzieci jadły jaja, gdyż posłużą się tym jako wymówką, by później je sobie robić — odpowiada z szerokim uśmiechem pan Walker.

Wendy też się uśmiecha. Uważa go za nieco nadętego i nadal testuje. Wydaje mi się, że właśnie zdał.

- Dobrze, pod nieobecność członków zarządu nie możemy definitywnie rozwiązać tego problemu. Ale to ważna kwestia i uważam, że nie powinniśmy odpuścić. Według mnie, powinniśmy pozwolić kilku firmom cateringowym przedstawić nam swoją ofertę. Powiedzmy trzem czy czterem? Moglibyśmy je poprosić, żeby zaprezentowały nam jadłospis i kosztorys, a jeśli jakaś oferta nas zainteresuje, spotkamy się i przetestujemy jedzenie.

- Proponujesz, że zabierzesz nas, sześć kobiet, na lunch?

- śmieje się Wendy. - Ale będzie gadanie. Już widzę nagłówek w gazecie: **ORGIE W HOLLAND HOUSE, UGANIAJĄCY SIĘ ZA SPÓDNICZKAMI DYREKTOR PRZYŁAPANY NA DAWANIU KLAPSÓW MATKOM, KTÓRE PODCZAS POSIŁKU KŁADĄ ŁOKCIE NA STOLE.**

Nie, teraz to już przesadziła.

- Sześć kobiet, proboszcz, poczciwy pan Watkinson i pan Jones - śmieje się pan Walker. - A niech gadają. Jak coś wydrukują, to ich pozwiemy.

- Uważam, że powinniśmy postąpić zgodnie z sugestią pana Walkera. Kto nie ryzykuje, ten nie ma - mówię.

Próbuję skierować zebranie z powrotem na bardziej oficjalny tor. Wygląda na to, że brak osób z zewnątrz ma zdecydowanie ujemny wpływ na jego przebieg, a ja nie lubię, gdy coś jest byle jakie.

Przechodzimy do tematów pokazu fajerwerków i przyjęcia bożonarodzeniowego. Impreza z fajerwerkami jest już zapięta na ostatni guzik, gdyż zajmuje się nią niezwykle sprawna podkomisja (ja w niej jestem). Dzisiaj musimy jedynie przedstawić harmonogram, w którym wyszczególniono obowiązki każdej z mam. Z kolei przyjęcie bożonarodzeniowe to jeden wielki chaos - nie jest załatwione: ani miejsce, ani didżej, ani firma cateringowa czy choćby wypożyczenie naczyń. Wywołuje to we mnie panikę

i uważam, że powinniśmy byli się tym zająć od razu pierwszego dnia roku szkolnego. Wszystkie przyzwoite miejsca są już bez wątplenia zarezerwowane, a mimo to niemożliwością okazuje się przekonanie komitetu do konieczności szybkiego podjęcia decyzji.

- A może zorganizujemy je w szkole? Pozwoli to zaoszczędzić na wynajmie i dzięki temu wydać nieco więcej na jedzenie i napoje.

- Nie możemy dostać licencji na serwowanie alkoholu na terenie szkoły, już to przerabialiśmy - zauważam.

- Powinniśmy wynająć jakąś salę - proponuje Lyn Finch.

- Sale są takie bezosobowe. Poczuję się znowu jak nastolatka na dyskotecce w miejscowym klubie dla młodzieży — mówi Lesley Downes, udając, że wzdryga się z przerażeniem.

- Nie wiem, czy to byłoby takie złe. Nawet bym chciała, żeby ktoś próbował włożyć mi rękę w stanik i żebym się wstawiła ćwiartką jabłecznika - oświadcza Wendy Pickering. — Obecnie trzeba do tego znacznie więcej.

Jak to możliwe, że tę kobietę wybrano na przedstawicielkę klasy? Kaszlę, zakłopotana w imieniu pana Walkera, ale on uśmiecha się szeroko. Zna się na żartach.

- A restauracja?

- Sporo kosztuje i nikt nie jest nigdy zadowolony ze sposobu podziału rachunku.

- A może urządziliśmy to przyjęcie w którymś z naszych domów?

- Cóż, czyj dom jest wystarczająco duży?

Dom Lucy mógłby się nadać, ale do przyznania tego na głos mogłoby mnie skłonić jedynie wrywanie paznokci. Za nic nie pozwolę, żeby stała się gospodynią przyjęcia. Ostatnie, czego pragnę, to tego, żeby w szkole zasłynęła ze szczodrości i wspólniałości. A na pewno poszłaby na całość i potraktowała to szkolne przyjęcie tak, jakby uczestniczyła w nim sama królowa, po to tylko, żeby zrobić mi na złość.

Debata na temat wyboru miejsca ciągnie się przez czterdzieści minut. Za każdym razem, gdy wstępnie godzimy się na jakieś miejsce, jedna z nas wynajduje argument przeciwko.

- Kiedy ostatni raz tam byłam, zatrzymałam się ich jedzeniem.

- Nie mają licencji na otwarcie do późna.

- Wolałabym miejsce, gdzie można potańczyć.

- Ubikacje są brudne.

- A może wynajęlibyśmy górę pubu Statek? Wiecie, tego na Lottfield Road - proponuję. - Jedzenie mają całkiem dobre, a ceny przyzwoite. Jest tam niewielki parkiet do tańca. Moglibyśmy trochę zaszaleć. I sami kupowalibyśmy sobie drinki, tak że każdy by decydował, ile wyda pieniędzy.

To, że jest to całkiem dobry pomysł, dociera do mnie, kiedy żadna z mam nie odzywa się ani słowem. Wszystkie z pewnością się zastanawiają, do czego by się tu przyczepić (co często stanowi znacznie lepszą zabawę niż szukanie rozwiązania), ale nie im nie przychodzi do głowy.

- Uznaję to milczenie za zgodę - odzywa się pan Walker.

- Świetnie. Doskonały pomysł, pani Phillips.

Niesamowicie cieszy mnie to, że pan Walker mnie pochwalił. Musi mieć to związek z czasami, kiedy byłam kujonem i żyłam dla pochwał z ust nauczycieli. Czuję się jednak nieco urażona tym, że nazwał mnie panią Phillips. Nie Rose. Na Wendy mówi Wendy, a na Lyn - Lyn. Tymczasem rozmawiając ze mną, zachowuje względy formalne. Uważa mnie za jakieś stare próchno, któremu należy się szacunek i tytułowanie po nazwisku? Jest to bardzo irytujące.

Przechodzimy do ustalania, kto powinien zarezerwować pub, wynająć didżeja i powiadomić rodziców i na tym zebranie się kończy. Lyn i Lesley wychodzą pospiesznie, ponieważ w czwartki wieczorem mają zajęcia pilates. Wendy Pickering mówi, że musi lecieć, gdyż chce jeszcze zahaczyć o Tesco. Dwie pozostałe mamy wybierają się do kina - dostały wychodne na

cały wieczór. Pytają, czy nie mam ochoty iść razem z nimi, ale ja nie chcę wykorzystywać Daisy.

Pan Walker i ja zostajemy sami, żeby pozmywać kubki i odnieść krzesła do klas, z których je sobie pożyczyliśmy.

- Miło z pani strony, że została pani, żeby pomóc, pani Phillips.

- Nie ma sprawy. Mam wolną chwilę, a w towarzystwie pracuje się przyjemniej.

Ostrożnie odstawiam kubki do szafki w pokoju nauczycielskim. Choć porządnie je umyłam i tak są całe poplamione po latach picia z nich herbaty. Należało by je zamoczyć w sterczadencie.

- Podczas zebrania miała pani naprawdę świetne pomysły. Chwilami odnosiłem wrażenie, że do końca semestru będziemy się zastanawiać nad wyborem miejsca na to przyjęcie.

Uśmiecham się.

- W mojej głowie też pojawiła się taka myśl.

- Dziękuję także za wspieranie mnie podczas dyskusji o szkolnych posiłkach. Doceniam pani pomoc.

- Nie ma sprawy.

- Zawsze tyle pani pomaga, pani Phillips. Gdybym mógł dla pani uczynić coś w zamian, proszę mi śmiało dać znać.

Patrzę na tego uśmiechniętego, młodego człowieka. Jest po szóstej i ze zdziwieniem dostrzegam na jego brodzie cień zarostu. W tym świetle wygląda męsko i surowo. Nieco mnie to zaskakuje, ponieważ w głowie mam utrwalony jego chłopięcy wizerunek.

- Mógłby pan coś dla mnie zrobić.

- Co takiego?

- Mógłby przestać mnie pan nazywać panią Phillips.

- Ale pani nazywa mnie panem Walkerem, mimo że proszę, żeby mówiono na mnie Craig.

Oblewa się rumieńcem. Biedny człowiek - bycie mężczyzną, który się rumieni musi być straszne, zwłaszcza kiedy każde-

go ranka staje się twarzą w twarz z dwustoma pięćdziesięcioma dziećmi. Choć z odrobiną koloru całkiem mu do twarzy. Ładnie podkreśla błyszczące niebieskie oczy. Ciekawe, jak wygląda z opalenizną. Nie pamiętam. Na pewno po lecie bywał opalony, tyle że nigdy nie zwracałam na to uwagi.

- Okej, będę mówić na ciebie Craig, jeśli ty będziesz nazywał mnie Rose.

- Z przyjemnością. Śliczne imię. Zawsze mi się podobało.

- Tak miała na imię twoja mama?

- Nie. - Craig wygląda na skonsternowanego.

Śmieję się.

- Przepraszam. Chyba popadam w paranoję. Wczoraj zatrzymała mnie drogówka, ponieważ miałam zepsute jedno światło stopu. Młodszy policjant był na wskroś grzeczny i czarujący. Wyraźnie mnie polubił. Uznałam, że na pewno przypominałam mu jego mamę.

- Prawdopodobnie spodobałaś mu się, Rose. - Tym razem to ja się oblewam rumieńcem. Craig zauważa to i widać, że jest zażenowany. — Wybacz. Nie powinienem tak mówić. To nie moja sprawa. Najwyraźniej zbyt wiele czasu spędzam w towarzystwie Wendy Pickering. - Próbuje żartować, ale jego policzki pozostają szkarłatne. - Chodziło mi jedynie o to, że jeśli jakiś facet jest dla ciebie miły, niekoniecznie musi to oznaczać, że przypominasz mu jego matkę.

Craig odwraca się i zaczyna zbierać papiery, które ma porzucane na biurku. Wie, że zachował się ciut nazbyt poufale i denerwuje się tym, że mnie uraził.

- Prawdę powiedziawszy, niedawno umówiłam się z młodszym mężczyzną.

Odważnie wydobywam ten fakt na światło dzienne, chcąc mu pokazać, że nie czuję się urażona. Oboje jesteśmy w końcu dorośli. Szkolny dzwonek odezwał się dawno temu, możemy więc chyba odbyć dorosłą rozmowę po godzinach?

- Naprawdę? Fajnie było?

- Nie bardzo. Kevin dużo przeklinał i był dla mnie nie-
miły. Gdybym miała ochotę na coś takiego, mogłabym po-
 prostu pojeździć rowerem w godzinach szczytu. — Craig się
 śmieje, a dla mnie jest to wystarczająca zachęta do przekrocze-
 nia moich normalnie bezwzględnych granic. - To była randka
 w ciemno. Następnie spotkałam się z alkoholikiem, którego
 poznałam przez Internet. To pomysł moich przyjaciół. Mar-
 twią się o mnie.

I słusznie. Wygląda na to, że postradałam zmysły. Co, u li-
 cha, nakłoniło mnie do powiedzenia czegoś takiego panu Wal-
 kerowi - Craigowi? Nie chcę, żeby sobie pomyślał, że jestem
 matką, która desperacko surfuje po necie w poszukiwaniu sek-
 su, jak jakiś pornograficzny nałogowiec.

- Rozumiem.

Kiwa głową i widzę w nim coś takiego, co sugeruje, że
 wcale go nie zaszokowałam i że rzeczywiście rozumie. Ale jak
 to możliwe? Jest mężczyzną, w dodatku młodym. Właśnie so-
 bie znalazł nową dziewczynę. Mało prawdopodobne, żeby jego
 przyjaciele się o niego martwili.

- Wygląda na to, że jeśli jakiś trzydziestokilkuletni męż-
 czyzna mieszka w Londynie i jest singlem, nie dzieje się tak bez
 powodu. Za bardzo lubi zaglądać do kieliszka albo jest psycho-
 tyczną, nudną ofiarą losu czy dziwakiem lub stanowi połączenie
 wszystkich powyższych cech — oświadczam.

- Och, tak - mówi Craig. Z niewiadomego powodu zno-
 wu się czerwieni.

- Ale na swój sposób jest to lepsze od siedzenia samej
 w domu.

- Właśnie.

- I przekonałam się, że obecność obcych osób działa wy-
 zwalająco. - Mam nadzieję, że to wyjaśnia moją werbalną nie-
 powściągliwość.

- Naprawdę?

- Lepiej już pójdę, moja siostra siedzi teraz z chłopcami.

- Tak, tak, nie mogę cię zatrzymywać. Miło się z tobą rozmawiało, Rose.

Uśmiecham się i opuszczam gabinet. W przeszłości miałam okazję bywać w wielu dyrektorskich gabinetach, gdzie otrzymałam odznaczenia i dyplomy, co zawsze przyprawiało o dreszczyk emocji, ale jeszcze nigdy nie wychodziłam, czując się tak bardzo spektakularna jak dzisiejszego wieczoru.

Dziwna sprawa.

ROSE

- Dokąd idziesz?

Henry stoi w drzwiach mojej sypialni. Nadal nie jest ubrany w piżamę, choć od kąpieli minęło już ponad czterdzieści minut i w tym czasie kilkanaście razy zdążyłam powtórzyć, żeby ją założył. Ma na sobie części różnych kostiumów: buty Woody'ego (Szeryfa, nie reżysera), spodnie Buzza, górę od policyjnego munduru, kapotę budowlaną, a do tego maskę Dartha Vadera wsadzoną zawadiacko na czubek głowy. Wygląda jak kandydat do zespołu składającego hołd Village People.

Choć pytanie sprawia wrażenie niewinnego, wiem, że przepełnia je uraza i gniew, zamiast więc udzielić bezpośredniej odpowiedzi, decyduję się na przystąpienie do ataku.

- Dlaczego nie jesteś jeszcze w piżamie? Robi się późno.

Henry z kolei postanawia zignorować moje pytanie i wraca do swojego. Zauważyłam, że nasza rodzina godzinami potrafi się komunikować w taki właśnie sposób.

— Z n o w u wychodzisz? - Mówi to zupełnie jak mój ojciec i z przerażającym podobieństwem przewraca oczami. - Ciebie ciągle nie ma w domu.

Wiesza się całym ciężarem na klamce. Mówię mu, żeby tego nie robił, i zastanawiam się nad linią obrony.

To nieprawda, że ciągle nie ma mnie w domu, choć od zapisa-
nia się na kurs wieczorowy moje życie towarzyskie to rzeczywiście

istny młyn. W ciągu dwudziestu jeden dni spędziłam poza domem siedem wieczorów. Trzy razy byłam na zajęciach, dwa razy zostając dłużej, żeby pójść na kawę z Susanne i Helen, dwa razy miałam zebranie Komitetu Rodzicielskiego i byłam na dwóch randkach. Dzisiaj mam trzecią. Mam się spotkać z Ianem. To jedyna z osiemnastu osób, które odpowiedziały na mój anons w Internecie, którą byłam gotowa brać na poważnie. Szesnastu facetów napisało, żeby mi powiedzieć: „Zacznij żyć”, choć nie zawsze używając takich grzecznych określeń, jeden zasugerował, że potrzebny mi seks (najlepiej z nim, w środy między czternastą a piętnastą), ostatnia odpowiedź była od Iana, który napisał, że także interesują go antyki.

Owszem, w miniony weekend zdobyłam się na podjęcie stanowczych kroków i zamieściłam swój profil na tej stronie internetowej, którą znalazła Connie. Jaki był jej adres? www.tytakzemozeszsznalezczmiloscjeslibedzieszdostatecznieintensywnieszuka.com, czy coś w tym rodzaju. Connie twierdziła stanowczo, że to kolejny logiczny krok po tym, jak odpowiedziałam na ogłoszenie Chrisa. Daisy wyraziła opinię, że randka z Chrisem tak naprawdę okazała się dla mnie użyteczna. Luke dodał rozsądnie, że jeśli zamieszczę profil, to ja będę sprawować nad wszystkim kontrolę. Simon mruknął, że i tak nie muszę przecież nikomu odpisywać. To właśnie argument Simona przeważał szalę.

Stworzenie profilu okazało się niezwykle trudne. Chris wyjawiał mi, że wielką sztuką było dla niego ujęcie kolei swojego życia w kilku akapitach, że mną jest jednak dokładnie na odwrót. Bardzo się staram, żeby skleić choć kilka wersów. Przekształciło się to, oczywiście, w wysiłek zbiorowy, ucierpiało więc na tym moje poczucie godności.

- Uważam, że można cię uznać za trzydziestopięciolatkę, co właściwie oznacza tuż po trzydziestce, powinnaś więc zaznaczyć pole „dwadzieścia pięć — trzydzieści lat” — oświadczyła Connie, jednym kłamliwym kliknięciem zabierając z mojego życia więcej niż dekadę.

Daisy się obruszyła.

- Myślę, że powinna napisać prawdę. Jakiego rodzaju związek może połączyć ją z kimś, jeśli zacznie się od oszustwa?

- Nie będzie żadnego związku, jeśli się przyzna do czterdziestki - mruknęła złowroźnie Connie. - A już na pewno nie z jakimś seksownym facetem. Powiedziała, że nie chce myć nikogo na łóżku i spacerować po Bournemouth z wózkiem inwalidzkim, prawda?

- Powiedziała. Nie zapomniałas przypadkiem o tym, że ja też tu jestem? - zauważyłam. - Wiecie co, nie mam nic przeciwko odjęciu sobie kilku lat, jeśli ma mi to pomóc - dodaję, zaskakując tym siebie i resztę.

- Będziesz przyciągać tylko płytkich mężczyzn - rzuciła ostrzegawczo Daisy.

Nie wierzę, żeby istnieli tacy, którzy nie są płytki, nie zrobiło to więc na mnie większego wrażenia.

- Okej, co więc chcesz powiedzieć o sobie? — zapytała Con. Zgorzkniała z Holland Park to najtrafniejsza odpowiedź, ale uznałam, że nie o to jej chodzi. Milczałam więc. - Dobrze, czego w takim razie szukasz w wymarzonej mężczyźnie?

- Nie chcę kobieciarza.

- Żaden raczej się do tego nie przyzna - stwierdził Luke.

- Nie chcę ani pijaka, ani palacza, ani aktora. - Connie zaczęła pisać. - Nie chcę, żeby miał zbyt wiele bagażu, żadnych dzieci ani rozwodów. Nie chcę żadnej ambiwalencji co do orientacji seksualnej. Bardzo nie chcę stać się kołem ratunkowym dla ukrywającego się homoseksualisty, który nie umie powiedzieć rodzicom prawdy.

- Oglądasz za dużo telewizji — orzekła Daisy.

- Nie chcę nikogo z alergiami pokarmowymi, to nudne. Nie chcę kogoś, kto nadal mieszka z rodzicami. Nie chcę...

- Jesteś pewna, że lista „nie chcę tego i tamtego” to najlepszy sposób? - zapytał Luke.

- Wszyscy mężczyźni w swoich profilach dość jasno określili to, czego nie chcą - odparłam. - Nie chcę kogoś, kto mieszka daleko, nie znoszę związków na odległość. Nie chcę...

Przerwał mi Simon:

- Czy nie powinnaś w tym profilu przedstawić przede wszystkim siebie?

- Ależ ona to robi - stwierdziła posępnie Daisy. - Dlaczego po prostu nie skrócisz tego i nie napiszesz: „nietolerancyjna, krytyczna trzydziestokilkulatka szuka nierealnego ideału”?

— To takie paskudne z twojej strony — odparowałam, ale dość beznamyślnie, ponieważ trafiła w dziesiątkę, a ja nie mam w zwyczaju kłócić się, kiedy się z czymś zgadzam. Zostawiam to mężczyznom.

Simon, Connie i Luke wyglądali na nieco zaskoczonych i bez wątplenia się zastanawiali, czy zaraz się nie rozpęta wojna, ale Daisy to moja siostra i miałyśmy okazję mówić sobie znacznie gorsze rzeczy. Możecie wierzyć lub nie, ale wiem, że ma dobre intencje.

— Być może pomogłoby nam przeczytanie kilku innych kobiecych profili, zobaczylibyśmy, na czym stoi konkurencja - zaproponowała Connie.

Wydawało się, że to dobry pomysł, ale o Boże, profile kobiet były po prostu rozdzierające. W przeciwieństwie do mężczyzn, których w większości cechowała obraźliwa arogancja, byli przesadnie wymagający i chełpliwi, profile kobiet były niedoświadczające siebie, wzruszające, desperackie. Wszystkie kobiety dołączały zdjęcie. Mamy wystarczająco inteligencji, żeby wiedzieć, że żaden facet nie spojrzy dwa razy na profil, w którym go nie ma. Poza tym lepiej poinformować o kilku dodatkowych kilogramach czy puszących się włosach, niż widzieć na ich twarzach rozczarowanie, gdy rzeczywiście dojdzie do spotkania. Kobiety miały najróżniejsze figury i gabaryty. Wiele z nich było bardzo ładnych, wszystkie zaś atrakcyjne, bardziej atrakcyjne od mężczyzn na tej stronie. Przeciętny wiek to trzydzieści dwa lata. Jakoś specjalnie się tym nie przejęłam, ponieważ czułam, że wiele z tych kobiet zostało zmuszonych do gry w cyferki - większość wyglądała, jakby kiedyś tańczyła do piosenek Nicka Kershawa

i Paula Younga. Uznałam, że zaniżają sobie wiek średnio o cztery lata. Każda kobieta bez wyjątku napisała, że jest pogodna i szuka uczciwości. Ich niestrudzone polowanie na tę akurat cechę sugerowało, że występuje ona w przyrodzie rzadziej od czarnych diamentów.

Można je było podzielić na dwa różniące się od siebie typy. Nerwowe, nieśmiałe kobiety, które miały wygląd potulnych baranków (utrzymywały, że są towarzyskie i dowcipne), oraz te, które za bardzo się starały - przybierały na wespół prowokacyjne lub zwariowane pozy (te akurat twierdziły, że są inteligentne i szczerze). Żadna z kobiet nie wydawała się dostatecznie pewna siebie, żeby powiedzieć, jaka jest naprawdę. Niezależnie od rodzaju zdjęcia wszystkie utrzymywały, że są szczęśliwe, co dla mnie było mało prawdopodobne.

W pięcioro w milczeniu czytaliśmy profile.

- Nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz, Rose - odezwała się Connie.

Było widać, że krępuje ją stawianie mnie w jednym rzędzie z ich pełnymi nadziei, lecz beznadziejnymi przypadkami. Wypowiedzenie na głos tego, co wszyscy wiemy - że jestem właśnie taka jak one — było czymś niezwykle bolesnym.

- Chcę - odparłam.

I nagle ogarnęła mnie pewność, że rzeczywiście chcę zamieścić swój profil.

- Naprawdę? - zapytała Daisy, nie zwracając sobie głowy ukrywaniem niedowierzania.

- Tak. — Nie rozwinęłam tematu.

To nie tak, że w nagły i tajemniczy sposób zapragnęłam znaleźć sobie przez tę stronę mężczyznę (czy też w jakikolwiek inny sposób, gdyby już przyszło co do czego), ale poczułam palącą potrzebę, żeby okazać solidarność z tymi kobietami. Te odważne i pełne optymizmu, cudowne, żywiołowe kobiety, które nadal wierzą w uczciwość i niestrudzenie poszukują miłości, zasłużyły na moje wsparcie. Postanowiłam umieścić na stronie profil

zawierający tylko i wyłącznie prawdę i zobaczyć, co się stanie. Zdawałam sobie, oczywiście, sprawę z tego, że profil zawierający tylko i wyłącznie prawdę o mnie najprawdopodobniej nikogo nie zainteresuje, ale oddam w ten sposób przysługę innym kobietom. Nawet ta wyglądająca na płaczkę pani z Wiltshire - która raczej nietrafnie opisała siebie jako „zabawną, przyzwoitą i dobrą” — w porównaniu ze mną wyglądała kusząco.

- Dlaczego zawsze nas zostawiasz? - pyta Henry.

Choć jest to uwaga mijająca się z prawdą i niesprawiedliwa, i tak robi mi się przykro.

Kucam obok niego i kradnę mu szybkiego buziaka. Otwarte okazywanie uczuć przez chłopców jest obecnie mocno ograniczone. Dorastają i oddalają się ode mnie, czy mi się to podoba, czy nie. Muszę to zaakceptować i już.

- Kochanie, mamusia prawie w ogóle nie wychodzi. W ciągu ostatnich siedmiu lat właściwie nigdy, i dlatego właśnie ci się wydaje, jakby ostatnio często to robiła, ale kiedy porównasz to z tym, jak często wy wychodzicie na zajęcia sportowe albo do kolegów, okaże się, że to wcale nie jest często.

Wracam na krzesło przed toaletką, zastanawiając się, ile powinnam nałożyć makijażu. Czy jeśli zdecyduję się pójść na spotkanie, pomalowawszy wyłącznie usta, będzie wyglądać to tak, jakbym była bardzo pewna siebie, czy po prostu leniwa i pozbawiona szacunku do samej siebie? To właśnie jest randkowy horror - nie jest proste, wszystko ma znaczenie i swoją wagę, nawet to, ile nałożę warstw szminki. Ostrożnie maluję usta jasną szminką i tuszuję rzęsy. Wystarczy. Odwracam się do Henry'ego, mając nadzieję, że mi powie, że ładnie wyglądam, jak to czasami czyni. Wpatruje się we mnie gniewnie, wciąż się dąsając, że niedługo go zostawię.

Otwieram szeroko ramiona, zapraszając Henry'ego do przytulanki. Przez chwilę się waha, po czym kapituluje i rzuca się na mnie całym swoim małym ciałkiem. Początkowo chciałam go po prostu pocieszyć, ale kiedy tuli się do mnie i na szyi

czuję jego oddech, ogarnia mnie spokój. Zastanawiam się, czy w ogóle powinnam sobie zwracać głowę tą randką. Czy warta jest tego, żeby psuć humor chłopcom? Tego, by ciągnąć tu Daisy z północnego Londynu? Warta jest szukania rajstop bez żadnych oczek? Mogłabym przecież chodzić na randki za jakieś dziesięć lat, kiedy chłopcy byliby już dorośli. Tym sposobem trafiłabym na rynek wdowców, godny szacunku i znacznie lepszy niż rynek zmęczonych rozwodników.

- Nie idź - szepcze Henry. - Będę za tobą tęsknić.
- Ale ciocia Daisy przyjedzie, by się wami opiekować.
- Wiem, ale chcę, żebyś to ty się mną opiekowała.

Przypomina mi się scenariusz sprzed pięciu lat, kiedy po raz pierwszy spróbowałam wyrwać się z domu. W tamtych czasach bliźniacy nie wysławiali się tak jasno, ale wyraźnie potrafili zakomunikować swoje pragnienie tego, żebym przebywała z nimi dwadzieścia cztery godziny na dobę, wrzeszcząc na całe gardło, kiedy tylko zostawiałam ich z opiekunką. Gdy byłam na tyle głupia, by pomknąć w stronę drzwi, czepiali się skraju mojej spódnicy niczym pijawki. Byli tacy nieokiełznani i wymagający, że zamiast ich zostawiać i wytrącać z równowagi, zaczęłam ustępować, jeszcze zanim doszło do wojny, odwołując spotkania właściwie w tej samej chwili, w której się na nie umówiłam. Prawda jest taka, że podobało mi się to, że jestem komuś potrzebna. A przez to, że Peter tak cholernie jasno dał mi do zrozumienia, że jestem ostatnią rzeczą na tym świecie, jakiej potrzebuje, przylepność chłopców była dla mnie czymś cudownym. Ale dziecko ma się na całe życie, a nie tylko na Boże Narodzenie.

- Dobrze, kochanie. Mamusia zostanie z tobą i Sebastianem. Nie martw się - mówię w końcu.
- Naprawdę? — Henry natychmiast się rozpromienia.
- I możemy oglądać Pop TV? Pro-o-o-oszę!

Kiwam głową, wzdycham i biorę do ręki telefon, łan wydaje się umiarkowanie rozczarowany, kiedy mu wyjaśniam, że

mam problem z opiekunką. Wspomina, że nie mógł się doczekać, żeby mi pokazać swoje staroświeckie stalówki do piór i stare roczniki Niedźwiadka Ruperta. Nie jestem w stanie znieść gniewu czy irytacji Daisy, mówię jej więc, że to łan odwołał spotkanie. Jest mocno rozczarowana, a choć chłopcy i ja spędzamy bardzo przyjemny wieczór, grając w okręty i składając modele Meccano, nic nie mogę poradzić na to, że mnie także jest trochę szkoda.

WTOREK, 10 PAŹDZIERNIKA

JOHN

Zjawiam się pod szkołą przed ósmą, co samo w sobie jest cholernie paskudną porą, ale staje się jeszcze paskudniejsze, kiedy ma się dzień urlopu. Normalnie mam taką zasadę, że w dni wolne wyleguję się w łóżku co najmniej do południa. Ale nie jestem pewien, o której godzinie dzieciaki rozpoczynają naukę w szkole, szkolna brama jest jednak jedyną moją formą kontaktu z Connie, zdobywam się więc na wysiłek. Byłoby prościej, gdybym mógł do niej po prostu zadzwonić, ale nie zachowałem jej numeru. Nie pamiętam nawet, kiedy go usunąłem. Na końcu była dla mnie aż tak mało ważna. To zabawne, z jaką niedbałością traktujemy swoją przeszłość. Myślę o setkach numerów telefonów, jakie miałem okazję otrzymać, i o tym, jak sam rozdawałem swój numer, a jednak do mojej książki z adresami trafiło jedynie kilkunastu znajomych. Na Boże Narodzenie nie wysyłałam nawet dziesięciu kartek.

Siedzę w samochodzie i przyglądam się, jak udręczone matki pojawiają się i znikają. Niektórym udaje się zachować pozory - uśmiechają się promiennie i machają do siebie. Kilka sprawia wrażenie ponurych, ale pełnych determinacji, gdy ciągną za sobą niechętnie dzieci do szkoły. Inne wściekają się i krzyczą na swoje dzieci, żeby szybciej: szły, podniosły torbę, podniosły rękawiczki, stawiały nogi albo żeby przestały bić rodzeństwo. Dwie matki wydają się nieco zaniepokojone, gdy ich pociecha

znika im z pola widzenia. Zdecydowana większość wygląda jednak tak, jakby marzył im się całonocny sen. Dziękuję Bogu za to, że jestem mężczyzną.

To znaczy... pewnego dnia będę chciał wejść w ten cały interes z posiadaniem dzieci. Jezu, można powiedzieć, że moim obowiązkiem jest przekazanie tych fantastycznych genów. Był czas, kiedy myślałem, że mogę mieć dziecko z Andrea, tak się jednak nie stało — i bardzo dobrze. Connie z całą pewnością uważa, że moim przeznaczeniem jest bycie niedzielnym ojcem, ale ja nie tego chcę. Pewnego dnia, kiedy będę gotowy na dziecko, zostanę ojcem i będę nim zawsze.

Wreszcie dostrzegam Connie. Czekam na właściwy moment. Pozwalam jej zaprowadzić córeczkę do szkoły, a kiedy wychodzi na ulicę, wysiadam z samochodu i stoję jej na drodze.

- Cześć - uśmiecham się promiennie.

Na jej twarzy maluje się konsternacja, jakby przez chwilę nie wiedziała, kim jestem.

- Witaj - odpowiada oschle.

- Gdzie maluch?

- Flora we wtorki i w środy jest w żłobku, żebyśmy mogła pracować.

Uśmiech losu. Wcześniej się zastanawiałem, jak wkalkulować w to wszystko dzieciaka.

- Masz ochotę na kawę?

- Nie. - Connie zaczyna się oddalać.

To się zaczyna stawać częścią naszego rytuału i nie czuję się tym ani odrobinę speszony. Powiedzieliśmy sobie nawzajem wszystko, co było trzeba, prawda? Nie, nieprawda, nie powiedzieliśmy nawet połowy, ale tego akurat ona nie wie. Zostało mi dwadzieścia minut parkowania, po czym będę musiał odjechać. Wiem, że jestem w stanie nakłonić ją do wypicia ze mną kawy w dziesięć minut. Może nawet pięć.

- A co powiesz na rogalik? Założę się, że nie jadłaś śniadania. Śpiesząca się mama i w ogóle.

- Ha!

Z ust Connie wydobywa się okrzyk, który zaskakuje nas oboje.

— Co takiego? - pytam.

Zatrzymuje się.

- Wiesz, jak bardzo kiedyś pragnęłam, żebyś powiedział coś w tym rodzaju? Żebyś zaprosił mnie na kawę. Powiedział coś, c o k o l w i e k, co by znaczyło, że interesuje cię rozmowa, a nie tylko bzykanie.

Taka właśnie jest Connie - zupełnie nie potrafi zachować spokoju i nie odkrywać kart. Jest taka uczuciowa, żywiołowa, niektórzy być może powiedzieliby, że nieprzewidywalna. Powodzenie mojego planu zależy właśnie od tej cechy jej charakteru.

Otwieram ramiona w geście rozjemczym i wzruszam po chłopięcemu ramionami. To dobrze wygląda, robiłem tak niezliczoną ilość razy i zawsze odnosiło to zamierzony skutek, nawet w wypadku znacznie większych wykroczeń niż opieszałość w kwestii wystosowania zaproszenia na śniadanie.

- Cóż, podobno kto czeka, ten się doczeka.

Marszczy brwi. Ponownie zaczyna iść, ale tym razem robi to wolniej i z mniejszym zdecydowaniem.

— Jadłam śniadanie, dziękuję. Nigdy nie wychodzę bez niego z domu, bez względu na to jak bardzo się spieszę. Luke dopilnowuje zawsze, żebym coś zjadła, ponieważ wie, że w przeciwnym wypadku wychodzi ze mnie jędra.

Dociera do mnie, że próbuje mi coś w ten sposób powiedzieć. Nie znam jej tak dobrze, jak znają męż. Nie wiem czegoś, o czym powinienem wiedzieć, albo zapomniałem coś, o czym mi powiedziała jakiś milion lat temu, bla, bla, bla. Babskie gadanie. To nieistotne. Dodaje mi otuchy fakt, że Connie jest gotowa na kłótnię ze mną - wskazuje to na poziom zaangażowania, który mogę wykorzystać.

— Cóż, kiedyś nie jadałaś śniadań.

To zdanie, z pozoru niewinne, ma oczywiście wybuchowy podtekst.

Twarz Connie staje się szkarłatna.

- Zawsze się spieszyłam, żeby opuścić to twoje niechlujne mieszkanie - twierdzi nieprzekonująco.

- Sprzedałem je. Kupiłem nowe w Marlow. Ładne. Nie śmierdzi w nim - śmieję się. - Zatrudniłem nawet jedną z tych dekoratorek wnętrz, żeby się nim zajęła.

- To takie marnotrawstwo pieniędzy - mówi zgryźliwie. — Sam nie miałeś żadnych fajnych pomysłów?

- Nie bardzo.

Posyła mi uważne spojrzenie. Jakimś cudem wyczuła, że uprawiałem seks z dekoratorką. Dziwna sprawa. Udaję, że nie zauważam napięcia.

- Jest w nim mnóstwo przestrzeni. Znajduje się nad rzeką - dodaję lekko.

Przekaz jest następujący: jestem dorosły, jestem wypłacalny. Nie proszę o to, żeby za mnie wyszła, chcę dać jedynie do zrozumienia, że jestem tego typu mężczyzną, z którym kobiety pragną stanąć przed ołtarzem.

- Doskwierają ci powodzie?

Widzicie, to takie typowe u kobiet. Utrzymuje, że mnie nie nawidzi, chce, żebym zniknął z jej życia, natychmiast, a mimo to jest dostatecznie mocno zainteresowana, żeby chcieć wiedzieć, czy nie zalewa mi chałupy.

- Nie, mam te wszystkie mierniki antypowodziowe tam gdzie trzeba.

Wiadomość: jestem odpowiedzialną, dorosłą osobą. Do-ciera ona do niej. Widzę, że nieco się rozluźnia.

- Daleko masz do pracy - stwierdza.

- Jeżdżę po całym kraju. Tak naprawdę nie ma znaczenia to, gdzie mieszkam. W tej chwili firma opłaca mi mieszkanie tuż przy High Street Kensington, bo akurat wykonuję robotę dla BBC.

- Fajnie.

- Owszem.

Ta domowa gadanina zrobiła swoje. Connie na chwilę zapomniała, że się mnie boi, i zmniejszyła się jej czujność.

- Jak więc będzie z kawą? - pytam.

Wcześniej zdążyłem zgromadzić informacje. Nie chciałem przepuścić tej okazji, zabierając ją do pozbawionej polotu kafejki sieciowej, gdzie pilibyśmy mdłą kawę. W Notting Hill znajduje się przekonujący „paryski” bar, który zawsze był fajny, ale niedawno odkryli go modni czarusie mediów, którzy mieszkają w okolicy, teraz więc roi się w nim od pismaków pracujących dla brukowców. Choć dziś rano nie ma tu żadnych paparazich (za wcześnie), to miejsce cechuje pewna klasa, artystyczny zbytek, który wiem, że spodoba się Connie.

Plus jest taki, że kafejka ta udaje, że znajduje się w artystycznym, lewobrzeżnym Paryżu. I o to właśnie chodzi. Connie i ja przespaliśmy się po raz pierwszy w Paryżu. Kiedyś spędziliśmy tam magiczną noc i dzień. Chryste, skoro ja to pamiętam, to ona z całą pewnością. Prawdopodobnie wie, co wtedy jedliśmy i w co byłem ubrany.

- Ładne miejsce - mówi, rozglądając się po kafejce. Znajdują się w niej małe szklane stoliki, wiklinowe krzesła i reklamujemy gorącej czekolady.

- Warto było jechać?

Równie dobrze mogliśmy przyjść tutaj pieszo, ale chciałem, żeby poczuła zapach skórzanego wnętrza mojego samochodu. Kobiety twierdzą, że samochody nie robią na nich wrażenia - może to i prawda, ale wiem, że nowa skóra to niezawodny afrodyzjak. Kto nie lubi zapachu bogactwa?

Siadamy i Connie bawi się menu. Całe wieki czekamy, zanim w końcu zjawi się kelner, żeby przyjąć zamówienie. To Francuz i jego myśli błądzą wokół spraw znacznie donioślejszych niż obsługa klientów. Proszę o rogalik, jogurt, świeży sok i gorącą czekoladę - chcę przeciągnąć ten posiłek. Connie zamawia czarną kawę.

- Mają tutaj długo otwarte. Mogę ci zamówić kieliszek szampana - proponuję.

- Oszalałeś chyba, nie ma nawet dziewiątej.

- Mógłby to być kieliszek rocznicowy, żeby uczcić, czy też upamiętnić albo po prostu, wiesz, przypomnieć okazję.

- Jaką okazję? - Wygląda na speszoną.

- W tym miesiącu mija osiem lat od naszego poznania.

- Wcale nie, bo siedem. - Słyszę w jej głosie zniecierpliwienie.

- Wiedziałem.

- W zeszłym miesiącu.

- We Francji zegarki chodzą inaczej.

- O godzinę, nie cały miesiąc.

- Och, nie dziel włosa na czworo, Con.

Wzdycha i przez chwilę wygląda na znużoną.

- Słuchaj, powinniśmy zmienić temat, ta cała rozmowa jest zupełnie niestosowna. Mogę siedzieć tutaj z tobą wyłącznie jako przyjaciółka. Nie, no wiesz...

- Jako była kochanka.

Krzywi się.

- Oferuję ci przyjaźń.

- A ja ją przyjmuję.

Podaje jej rękę, żebyśmy mogli uściskiem dłoni przypieczętować umowę, której i tak nie mam zamiaru dotrzymać. Connie jednak nie wyciąga swojej, a jedynie kiwa głową, gdyż w ten sposób nie musi mnie dotyczyć. Rozgląda się po kafejce. Może szuka natchnienia albo wyjścia.

- Nie powinieneś być teraz w pracy?

- Jestem na wagarach.

- Jakież to dojrzałe.

- Wszystko jest absolutnie zgodne z prawem, podpisałem wniosek urlopowy i w ogóle - zapewniam ją.

Connie marszczy brwi. Nie jestem pewien, co ją bardziej rozczarowuje: wiara w to, że się nie zmieniłem, czy też dowody

na to, że jednak tak. Nadąsany kelner stawia na stoliku moją czekoladę i kawę Connie - trochę się wylewa.

- Jest autentyczny - uśmiecha się Connie, odprężając się nieco.

- Cholernie lubię Paryż, to nadal moje ulubione miasto — stwierdzam.

- Bzdury - mówi ze śmiechem. - Tylko tak mówisz. Gdybyśmy... no wiesz... w Bognor Regis, siedziałbyś tu teraz i opowiadał, że to twoje ulubione miasto.

- Paryż naprawdę nim jest - upieram się, ale ja także się śmieję. Cieszę się, że potrafi mnie przejrzeć. Byłbym rozczarowany, gdyby się okazało, że jej intelekt z upływem lat uległ przytępieniu.

- Cóż, moje ulubione miasto to Las Vegas - oświadcza.

- To mnie zaskoczyłaś. Nie pomyślałbym, że spodoba ci się ta cała tandeta i blichtr. Nie jest to trochę płytkie?

- Jest takie, jakim się chce, żeby było. Podoba mi się wolność, jaką to miasto sobą reprezentuje. Luke i ja odnowiliśmy tam nasze przysięgi małżeńskie. To było niesamowicie romantyczne.

Rzuca mi spojrzenie spod rzęs. Czego ona oczekuje? Gratulacji? Jej pierwszy zestaw przysięg został wypowiedziany w obecności paru setek najbliższych, ale gównowo znaczył, jak przyszło co do czego. Chyba sobie nie wyobraża, że onieśmieli mnie krótki bieg wspomnieniowy w Nevadzie. Przez chwilę milczę, po czym podnoszę stawkę.

- Wspomniałaś więc Lukeowi o tym, że na mnie wpadłaś?

W jednej sekundzie jej twarz przybiera odcień intensywnej czerwieni. Wstyd rumieni jej szyję i dekolt. I proszę. Rozmowa z byłym kochankiem czy kochanką, zwłaszcza takim, który był gotowy popełnić dla ciebie akt niewierności, charakteryzuje się tym, że w kwestii tego typu nie jesteście się w stanie nawzajem okłamać. Oboje wiecie, jak głęboko ta druga osoba jest w stanie zanurkować. Byliście tam razem. Zdzieraliście z siebie ubrania,

żeby kąpać się we wzajemnej amoralności. Ona łamała standardy i obietnice, ja łamałem serca i rozsądek. Drapaliśmy, rzucaliśmy się na siebie i opluwaliśmy. Jest coś podnoszącego na duchu w upadnięciu wraz z kimś tak nisko, że aż się dotknie dna - przynajmniej oboje wiecie, że nie da się już spaść niżej. Wiecie o sobie wszystko, co najgorsze. Możliwe, że to jedyne, co o sobie wiecie.

Kręci ledwie zauważalnie głową.

- Powinnaś uważać, Connie. Grzech zaniedbania bywa bardzo niebezpieczny.

- Nie chciałam go niepotrzebnie denerwować - odpowiada sztywno i mało przekonująco.

- Nigdy nie chciałaś.

Obrzuca mnie gniewnym spojrzeniem.

- Nie musimy przysparzać mu bólu.

Nie musimy, ale będziemy. Wiecie, my nie jesteśmy zbyt fajnymi ludźmi. Nie wypowiadam tych słów na głos. Rzuciła-by się do ucieczki. Nie jest już taka odważna jak kiedyś. Taki jest właśnie skutek macierzyństwa. Temat ten w cywilizowany sposób kończy pojawienie się na stole mojego śniadania. Zabieram się za jedzenie, Connie zaś wsypuje sobie do kawy dużo cukru.

Nie wierzę w miłość. Cóż, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Wierzę w chemię. Ludzie robią głupstwa z powodu chemii, nie miłości, ale to nie brzmi tak dobrze, sami więc siebie oszukują. Chemia między nami jest namacalna. Niemal można jej dotknąć, powąchać ją, posmakować. Connie bawi się włosami i ustami, być może podświadomie, być może świadomie. Kto wie? Kogo to obchodzi? Skutek, zamierzony czy nie, jest taki, że mam rozszalały wzwód - jak za dawnych czasów. Moje żarty skrzą się humorem. Ona śmieje się perliście. Moje oczy błyszcżą. Za każdym razem w nie zagląda. Kiedy mrugam do niej, czyni gwałtowny wdech. Prawda jest taka, że fajnie nam razem. Dogadujemy się. Oboje jesteśmy towarzyscy, zmotywo-

wani, ekscytujący i nieprzyzwoici. Poza tym łączy nas wspólna sekretna przeszłość, a nie ma nic bardziej uwodzicielskiego niż nieprzyzwoity sekret, zwłaszcza twój własny.

Gawędzimy swobodnie podczas śniadania. Nie następują krępujące przerwy w rozmowie. Oboje uważamy, żeby nie wnikać zbyt głęboko. Nie rozmawiamy o niczym bardziej osobistym od horoskopów, za to bardzo nowocześnie odnawiamy znajomość, pytając, kto jest naszym ulubionym uczestnikiem najnowszych telewizyjnych *reality show* i dlaczego. Śmiejemy się z niedawnego skandalu z zamianą żon wśród sław. Wymieniamy się poglądami na temat tego, które ze znanych gwiazd filmowych wciąż ukrywają swój homoseksualizm. Jest między nami wyraźne ciepło, którego nie wyczuwałem tamtego wieczoru w barze ani przy szkolnej bramie. Podoba mi się nasza poufałość. Jest jednocześnie odprężająca i ekscytująca.

Kiedy kończę śniadanie, otwieram paczkę papierosów i częstuję ją.

- Nie, dzięki, nie palę.
- Kiedyś paliłaś.
- Niezupełnie, jedynie przy tobie, żeby modnie wyglądać.

Poczyniwszy to wyzwanie, Connie odrzuca do tyłu głowę i wybucha głośnym śmiechem, zwracając na siebie uwagę wszystkich obecnych w kafejce osób. Jej śmiech jest naprawdę niesamowity.

- Jakie to było głupie, prawda? - pyta. Nie jestem zachwycony tym, że według niej próba zrobienia na mnie wrażenia to pomysł najgłupszy z możliwych. Czuję wdzięczność, kiedy pyta: — Co więc zrobisz z resztą swojego jednodniowego urlopu?

- Spędzam go z tobą - odpowiadam spokojnie.

Zaciągam się papierosem i czekam na jej odpowiedź.

- Nie ma mowy. Chyba zwariowałeś. - Byłbym rozczarowany, gdyby natychmiast uległa. - Nie mogę spędzić z tobą dnia.

Patrzy na mnie, błagając wzrokiem o zrozumienie. Założę się, że ma nadzieję na to, że dam sobie spokój z tym i z nią.

Chce, żebym przestał ją kusić, ale chyba nie oczekuje z mojej strony współczucia. Z pewnością wie, że to nie w moim stylu.

- Nie możesz czy nie chcesz? — pytam.

Założę się, że jej cipka cała drży.

- Czy to ważne? Jest jakaś różnica?

- Pewnie, że jest.

- Dlaczego miałabym chcieć spędzić z tobą dzień?

- Nie można mi się oprzeć.

Ty nie możesz. Zwłaszcza ty.

Waha się. Bierze do ręki torebkę i zaczyna się bawić paskiem. Zastanawia się. Sygnalizuję kelnerowi, żeby przyniósł mi rachunek. Zostawiam na stole pieniądze wraz z nazbyt hojnym napiwkiem i prowadzę ją do mojego samochodu.

LUCY

Nie podoba mi się to, że mój spędzany na wychodnym wieczór z Connie podupał w takim stopniu, że teraz oznacza tyle, że muszę zawlec swój tyłek do jej domu, gdzie możemy wypić butelkę wina, gdy tymczasem ona jednym uchem słucha naszej rozmowy, a drugim elektronicznej niani. Następnie, gdy zjemy już takie sobie jedzenie na wynos, dzwonię po taksówkę i jadę do domu. Trudno to nazwać wieczorem pełnym splendoru, prawda? Ale chyba mam szczęście, że „Panna Nawalaczka” w ogóle znajduje dla mnie czas. Jaką mam alternatywę? Zdecydowanie odrzucam pomysł spędzenia wieczoru w domu razem z Peterem. W tej chwili jestem na niego niesamowicie wściekła — więcej niebawem. Mick wyjechał służbowo do Brukseli. Gdyby był na miejscu, chyba w końcu przyjąłbym jego propozycję wyjścia po pracy na drinka.

Connie mieszkała kiedyś z mężem w całkiem przestronnym szeregowcu w Clapham, ale sprzedali go, gdy Fran była mała i przeprowadzili się do Notting Hill. Zadecydowało o tym wiele czynników. Z całą pewnością Luke i Connie, jako odnoszący sukcesy architekt i obiecująca pani fotograf, byli przekonani, że Notting Hill jest nieco bardziej „na czasie” niż Clapham - oboje w sposób godny podziwu znają znaczenie odpowiedniego wizerunku. Poza tym Connie pragnęła być bliżej Rose, ale akurat do tego to mi się nigdy nie przyzna. Nie jestem pewna, czy Connie

mieszkania w pobliżu Rose nie uważała za swego rodzaju pokutę (to było krótko po tym, jak wyszedł na jaw jej tandetny, choć ekscytujący romans, i podjęła wtedy kilka przypadkowych decyzji), czy też uznała, że Rose stanie się niezawodną opiekunką do dziecka. Nie wyobrażam sobie, żeby rzeczywiście tak bardzo lubiła jej towarzystwo, by spakować manatki i przenieść się gdzie indziej. Tak więc teraz mieszkają w pięknym i eleganckim, mimo to nieszczerólnie dużym szeregowcu na granicy Notting Hill i Holland Park.

- Zmieszałam mocne martini - oświadcza, otwierając mi drzwi. — Co się dzieje?

W chwilach takich jak ta wiem, dlaczego przyjaźnimy się przez połowę naszego życia.

Zadzwoiłam do niej rano. Pełna wściekłości wyplułam z siebie tylko tyle, że pojęła, że jestem wkurzona na Petera. Connie wie, że w pracy o sprawach prywatnych mogę rozmawiać najwyżej szeptem, nalegała więc, żebym prosto z biura przyjechała do niej.

Rzucam na bok płaszcz, właściwie nie zwracając uwagi na to, gdzie ląduje.

- Musi chodzić o coś poważnego, to w końcu płaszcz od Rolanda Moureta - komentuje Connie.

Udaję się za nią do salonu i z ulgą przyjmuję fakt, że jej obie obgryzaczki nóg leżą już w łóżkach.

- Peter zarezerwował nam wyjazd.
- Fantastycznie! Chciałaś gdzieś wyjechać.
- Z Auriol i chłopcami, na całą przerwę semestralną.

Connie zachowuje neutralny wyraz twarzy, czekając, aż zasunę bombę. Czy ona tego nie łąpie? Właśnie to zrobiłam.

- Nie możesz sobie załatwić urlopu? - pyta grzecznie.
- Nie chcę, cholera, brać urlopu po to, żeby wyjechać z Auriol i chłopcami - warczę w odpowiedzi. Bardzo się staram, żeby nie podnieść głosu.

- Ale sądziłam, że marzy ci się jakiś wyjazd.

- To prawda, dla mnie i Petera, samych. Sądziłam, że jasno mu to dałam do zrozumienia. On twierdzi, że wyraźnie mnie zapytał, czy ma zarezerwować wyjazd dla wszystkich, i że ja się zgodziłam.

- A zapytał?

- Możliwe. To było tuż po seksie. Cała byłam otumaniona po orgazmie. Uwierz mi, Connie, nie jestem już z tym stanem tak za pan brat jak kiedyś. Może coś mi się pomyliło. Może nie koncentrowałam się na tym, co on mówi.

Connie rechocze. Patrzę się na nią gniewnie.

- Co w tym takiego zabawnego?

- Czy to nie należy przypadkiem do tradycyjnych kobiecych sztuczek? Fantastyczny seks, a zaraz po nim prośba, która wcześniej wydawała się nedorzeczna, żeby mieć zagwarantowaną pożądaną odpowiedź.

- Tak, Connie, tak właśnie jest - mówię ze zniecierpliwieniem. - Myślę, że to właśnie najbardziej mnie irytuje. Sądziłam, że tamtego wieczoru to ja robię coś takiego.

Opowiadam jej ze szczegółami o rzezonym wieczorze. Connie niemal zwija się na dywanie ze śmiechu, rozbawiona komizmem sytuacji. Cieszę się, że mogę dostarczyć jej rozrywki.

- Daj spokój, Lucy. Nie jest tak źle. Gdzie dokonał rezerwacji?

- Center Parcs.

Connie zaraz chyba pęknie ze śmiechu. Patrzę się na nią gniewnie przez kilka dobrych chwil, odczuwając coraz większą irytację. Connie i Luke dwa razy byli na wakacjach w Center Parcs. Za każdym razem pytali Petera i mnie, czy byśmy do nich nie dołączyli, ja zaś jasno im dałam do zrozumienia, że prędzej odgrzyzę własną rękę, niż tam pojedę. Connie oba wyjazdy niesamowicie się podobały, co stanowi kolejny dowód na to, że nigdy się nie zna nikogo tak do końca.

- Naprawdę nie przychodzi mi do głowy nic gorszego - oświadczam jej.

- Prawdę mówiąc, jest tam całkiem fajnie. - Nie wyglądam na przekonaną. - Nie martw się, Rose prawdopodobnie nie zgodzi się na to, żebyście zabrali chłopców na cały tydzień.

- Właśnie, że się zgodziła. Myślałam, że odmówi, a tu masz ci los. Chodzi na randki, możesz w to uwierzyć? I próbuje znaleźć dorywczą pracę przy rozliczaniu VAT-u czy czegoś w tym rodzaju. Powiedziała, że przyda jej się czas tylko dla niej i że pora, żeby Peter brał bardziej czynny udział w wychowywaniu chłopców. Jędza.

Connie dostrzega jedynie zabawną stronę tego wszystkiego. Próbuje podnieść mnie na duchu.

- Daj spokój, Lucy. Dobrze zrobi tobie i Auriol, że spędzicie ze sobą trochę czasu. A chłopcy to dobre dzieci. Założę się, że ci się tam spodoba.

- Czy ty mnie słyszałaś? Zarezerwował nam pobyt w Center Parc. Butlins dla nowoczesnych rodzin. Po prostu nie mogę tego zrobić.

- Zabierzesz Evę?

- Nie mogę. Zarezerwowała sobie lot do domu. Zgodziłam się na to we wrześniu, jeszcze zanim zaczęła u nas pracować. Jeśli każe jej przełożyć podróż do Polski i jechać z nami, to odejdzie.

- Będzie dobrze — mówi Connie.

Ściska mi dłoń, po czym wstaje, żeby ponownie napełnić nam kieliszki.

Nie będzie dobrze. Jestem niezmiernie rozczarowana Connie. Sądziłam, że zrozumie, jak nedorzecznie zachowuje się Peter.

- Nie chcę bawić się przez tydzień w szczęśliwą rodzinę. Jestem całkowicie pozbawiona instynktu macierzyńskiego.

- Ale jesteś matką. Dlaczego ją urodziłaś?

- Bo tego się oczekuje.

- Kiedyś nie poddawałaś się presji oczekiwań innych ludzi.

- Społeczeństwo, moja rodzina, Peter, wszyscy oczekiwali, że będę miała dziecko. Nawet ty. Poza tym musiałam wyrównać pewne sprawy.

Connie wzdycha z przesadą.

- Znowu chodzi o Rose?

- Nie. Tak. Jak to jest, Connie, że ja nadal z nią konkuruję?

- Nie mam zielonego pojęcia, Lucy. Słuchaj, wiem, że ostatnio nie jesteś, cóż... — Nie może znaleźć właściwych słów, a może nie śmie. - Nie jesteś ostatnio sobą. I czujesz się nieco... - Ponownie urywa. - Przyszła mi do głowy pewna myśl. Zastanawialiście się może nad drugim dzieckiem? Dzieci pomagają zatrzymać młodość.

Patrzę się na nią ze zdumieniem. Próbuję jej właśnie powiedzieć, z jak wielkim trudem daję sobie radę z dziećmi, które już są obecne w moim życiu. Auriol ukradła mi młodość. Jak Connie może sugerować coś tak absurdalnego i niestosownego, jak urodzenie drugiego dziecka?

- Nie. Peter i ja szczerze wierzymy w to, że światowe zasoby są już wystarczająco nadwerżone. Społeczeństwo zachodnie jest takim zachłannym konsumentem, bierzemy znacznie więcej, niż chcemy czy możemy oddać. Wystarczy, że pomyślę o wysypiskach z gnijącymi jednorazowymi pieluchami, i nie jestem w stanie zmusić się do poczęcia. Ludzie powinni być bardziej uświadomieni.

Kręcę ze smutkiem głową. Connie mierzy mnie spojrzeniem pełnym wyrzutu. Nie ma pewności, jak poważnie powinna traktować moją odpowiedź. Bierze garść orzechów i gryzie je w milczeniu. Irytuje mnie. Wygląda jak chomik. Connie zawiodła mnie, zmieniła się, uparła się, żeby co pięć minut wyskakiwało z niej dziecko, i uparła się, że jej się to podoba. Straciłam ją. Nie mam swojego miejsca, zawsze tak było. Nigdy nie miałam bliższej przyjaciółki niż Connie, a jednak ona mnie nie rozumie. I co z tego? Wcale mi nie zależy na tym, żeby gdzieś

przynależć. Jestem kobietą bardzo niezależną. Nie samotną, nie nietowarzyską, po prostu niezależną.

Może w tej chwili czuję się nieco samotna - na przemian samotna i rozgniewana. Wybieram gniew, nie jest tak żałosny. Akurat teraz Connie jest najbliższej mnie w sensie fizycznym i psychicznym, naskakuję więc na nią.

- Wy wszystkie macie to świętoszkowate podejście.

- Że co?

- Podejście, które mają matki więcej niż jednego dziecka. Nie jestem świętoszkowata, kiedy widzę bezdzietną kobietę, zazdrozczę jej albo jest mi jej szkoda, zależnie od tego, jak wygląda mój dzień z Auriol, ale matki kilkorga dzieci są takie świętoszkowate. Ledwie zdążyłam urodzić Auriol, a ludzie zaczęli mnie pytać, kiedy postaramy się o kolejne dziecko. Na świętego nigdy.

Connie patrzy na mnie ze smutkiem. O co w tym, do cholery, chodzi? Jak to możliwe, że nasze drogi aż tak się rozeszły?

W poniedziałek Mick wraca do pracy. Porozmawiam z nim o krętackich sztuczkiach Petera i niesprawiedliwości tego, że muszę wykorzystać swój cenny urlop na tygodniowy pobyt w Center Parcs. Już on mnie doskonale zrozumie.

Connie rzuca się z powrotem na sofę. Zauważam, że szara koźła skóra jest cała w cętki od plam różnego pochodzenia. Widać, że Connie odpuściła sobie. Kiedyś miała fanatyczny stosunek do utrzymywania swoich mebli Conran w stanie idealnym. Nawet mi się to w niej podobało.

- Ja też mam zakręcony tydzień - oświadcza.

Mając na uwadze jej brak zrozumienia mojego problemu, kusi mnie, żeby być niechętną do współpracy i nie okazać uprzejmego zainteresowania. Wychowano mnie jednak na osobę z nienagannymi manierami i zawsze można mnie przejrzeć, kiedy jestem zmuszona do odrzucenia tych zasad.

- Naprawdę? Jak to?

Connie wstaje i zamyka drzwi do pokoju.

- Znowu widziałam się z Johnem Hardingiem - szepcze.

- Naprawdę? Jak to? - powtarzam z kamienną twarzą.
- Zjawił się pod szkołą. Wziął w pracy dzień wolnego, żeby spędzić go ze mną.

- Cóż, okazuje się, że zawsze musi być ten pierwszy raz.
- Przerażające jest to, że dotarło do mnie, że zaczęłam się malować, kiedy odprowadzam Fran do szkoły albo ją z niej odbieram. Na wypadek, gdybym miała go tam spotkać.

- O rety.

- Właśnie.

Wpatruję się w nią ze zdumieniem, gdy mówi mi, że nie poszła do swego studio (wynajmowanego za ciężkie pieniądze na dwa dni w tygodniu), aby popracować nad zdjęciami, a zamiast tego spędziła dzień w jego towarzystwie. Nie mogę uwierzyć, że znowu chce obrać tę drogę prowadzącą donikąd.

- Fajnie było?

- Tak — odpowiada z szerokim uśmiechem.

- Tak fajnie, jak kiedyś? - pytam.

Czyni pauzę dla lepszego efektu, a potem ponownie się uśmiecha.

- Nie.

Co za ulga.

Jej uśmiech jest triumfujący. Jest z siebie niesamowicie zadowolona.

- Coś się zmieniło. Ja się zmieniłam. Jestem starsza i mądrzejsza. On jest, oczywiście, nadal niezwykle przystojny. Zabawny, bystry, ekscentryczny, ale nie ma już w nim tego, co sprawiało dawniej, że nie można mu było odmówić.

- Jakież to smutne.

Patrzy mi prosto w oczy i kiwa głową.

- Tak, w pewnym sensie tak. Fakt, że oparłam mu się absolutnie bez żadnego problemu, wyraźnie wskazuje na to, że się starzeję. Chodzi mi o to, że brak notorycznego gonienia za destrukcyjną fantazją bardziej sygnalizuje to, że zbliżam się do wieku średniego niż zmarszczki i cellulit — mówi ze śmiechem.

- Connie! Wcale nie zbliżasz się do wieku średniego. Na litość boską! - Jestem na nią okropnie zła. Skoro Connie zbliża się do wieku średniego, to ja też. — Masz trzydzieści sześć lat - przypominam jej. - Wiek średni to pięćdziesiątka.

- Znasz wielu ludzi, którzy dociągają do setki? - pyta z szerokim uśmiechem. Dlaczego tak mało ją to przejmuje? — W każdym razie ważne jest to, że wszystko mu wyjaśniłam. Sposób, w jaki to wtedy zakończyliśmy, był taki... niedokończony. Dobrze się poczułam z tym, że dałam mu jasno do zrozumienia, że go nie chcę.

Patrzę się na nią ze zdumieniem.

- Powiedziałaś mu to?

- Jasno i wyraźnie.

- Nie było między wami żadnego napięcia seksualnego?

- On próbował flirtować. Ja w odpowiedzi raczyłam go opowieściami o Florze i Fran. Najczęściej opisywałam te mniej olśniewające aspekty macierzyństwa. Wiesz, niepokój związany z wyborem szczepionek, dostaniem się do wybranej przez siebie szkoły, uczenie korzystania z toalety. Sama znasz te problemy.

Unoszę rękę, sygnalizując tym Connie, że powinna się przymknąć. Nie, nie znam tego rodzaju problemów. Nawet gdybym znała, nigdy nie przysłoby mi do głowy, żeby je omawiać na forum publicznym, a już na pewno nie z byłym kochankiem. Wzdycham dość przygnębiona. Kiedyś Connie miała takie same przekonania jak ja. Straciłam tamtą Connie. Odeszła. Lubię Luke'a. Żywię wobec niego ogromny szacunek i mimo zmiany osobowości Connie nadal uważam ją za swoją najlepszą przyjaciółkę, szczerze się więc cieszę, że zupełnie nie pociąga jej były kochanek. Życie będzie dzięki temu prostsze dla wszystkich, a ja nie zostanę zmuszona do ponownego przyjęcia na siebie raczej uciążliwej roli spowiednika, jest zatem dobrze.

Ale...

Jak powiedziała Connie, nic nie pokazuje tak wyraźnie, że się naprawdę dorosło, niż pozbycie się destrukcyjnego nawy-

ku, zwłaszcza obsesji seksualnej, która może zagrozić stabilności twojego małżeństwa i rodziny. Zostawiła mnie w tyle. Kiedyś to ja zawsze byłam z przodu.

W mojej głowie pojawia się pewna myśl. Ciekawe, czy mnie nie okłamuje. Może w tajemnicy bzykała się z nim tak, że aż była cała obolała, a teraz to ukrywa. Z jednej strony byłoby to okropne, z drugiej jednak miałyby moją pełną aprobatę. Naprawdę nie chcę się zbliżyć do wieku średniego.

- Ale spędziłaś z nim cały dzień? - pytam.

- Tak.

- Dlaczego?

- Chciałam poznać odpowiedzi na pytania, z których zadaniem czekałam sześć lat.

- Poznałaś je?

- Nie, oczywiście, że nie. Kiedy zaczynałam się zbliżać do jakiegoś potencjalnie trudnego tematu, John zamykał się w sobie. W końcu rzekł: „Nie chcesz zadawać mi tych pytań, mała. Nie spodoba ci się odpowiedzi”.

Connie cienkim głosem przedrzeźnia Johna. Ten facet jej się naprawdę nie podoba. Jest gotowa, żeby się z niego śmiać. Coś takiego jest bardziej ostateczne niż nienawidzenie go.

—Wygląda na to, że niektórzy ludzie naprawdę nie są w stanie dorosnąć - mówi z westchnieniem.

Po raz pierwszy rozumiem, co takiego jest dla niej atrakcyjne w Johnie Hardingu, facecie, który nigdy nie dorośnie. Hurra, takich mężczyzn lubię. Tylko żartuję. Tak jakby.

Connie proponuje, żebyśmy zamówiły sobie jakieś jedzenie na wynos, ale dziękuję. Wymawiam się tym, że muszę dziś wieczorem jeszcze trochę popracować. Biorę płaszcz i ruszam w stronę drzwi tak szybko, jak to możliwe, nie zachowując się jednocześnie otwarcie niegrzecznie. Dzisiejszego wieczoru spora część łączącej nas zażyłości przepadła. Boję się, że Connie i ja nie kroczy my już tą samą ścieżką, i ze smutku zbiera mi się na mdłości. Nie wyobrażam sobie, żeby nasze ścieżki miały się po-

nownie ze sobą zejść. Nie czerpię tej samej przyjemności co ona z obowiązków domowych zagrających nam życie. Nigdy nie przejmie się tym, ile pieniędzy zarobiłam dla spółki X w ciągu tylko jednego dnia. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek się tym przejmowała. Muszę jechać do domu, żeby w milczeniu odprawić za nas żałobę.

CZWARTEK, 19 PAŹDZIERNIKA

ROSE

Nauka wymiany świec i tym podobne okazała się bardzo przydatna, ale - zgodnie z przewidywaniami Luke'a - najlepsze w tym kursie było to, że poznałam Susanne i Helen. Helen jest pewna siebie, pogodna i rozmowna. Zdziwiłam się, kiedy się dowiedziałam, że jest trzy lata starsza ode mnie, gdyż sprawia wrażenie, jakby miała co najmniej osiem lat mniej. Dobrze się ubiera i prowadzi życie towarzyskie, co może być zwodnicze. Jedną z jej najsympatyczniejszych cech jest to, że zakłada, że jestem taka jak ona. To komplement. Helen wyznaje przekonanie, że mam takie same prawo jak każda inna kobieta do tego, żeby wyjść do kina albo modnej, nowej restauracji. Często proponuje, żebyśmy wyskoczyły na drinka albo na jakiś film. Pewnego razu przyjmę w końcu jej zaproszenie - jedyną łyżką dziegciu w beczce miodu jest to, że Helen wyskakuje z zaproszeniami w ostatniej chwili. Dzwoni do mnie o siódmej i pyta, czy miałabym ochotę spotkać się z nią o ósmej. Próbowałam jej tłumaczyć, że nie można tak szybko załatwić opiekunki do dzieci i rzucić wszystkiego w jednej chwili - ale do niej to nie dociera. Jak na razie nasze relacje towarzyskie ograniczają się więc do kawy po zajęciach, i zawsze jest niesamowicie sympatycznie, dlatego nie narzekam.

Susanne i ja mamy więcej ze sobą wspólnego, choć jest starsza ode mnie o blisko dziesięć lat. Jej córki mają osiemnaście,

szesnaście i dziewięć lat. Najmłodsza — Chloe — okazała się zaskoczeniem i nieoficjalną kroplą, która przepełniła miarę zwaną małżeństwem Susanne. Absolutnie nie żałuje tego, że Chloe przysłała na świat, wręcz przeciwnie - twierdzi, że to najlepsze, co jej się kiedykolwiek przytrafiło: otrzymała nowe życie w momencie, gdy czuła, że dotychczasowe pograża się w stagnacji. Jest zdania, że strata mężczyzny, dla którego trzecia córka to jedynie kłopot w wypadku planów emerytalnych, to żadna strata. Od ośmiu lat jest rozwódką i całkiem jej z tym dobrze.

Susanne jest właścicielką niewielkiego zakładu fryzjerskiego mieszczącego się na małej uliczce tuż przy Queensway. Dużo pracuje i całkiem nieźle sobie radzi. Ma troje pracowników, wliczając w to dziewczynę dorabiającą w soboty, i grono stałych klientek, które przychodzą do niej od wielu lat. Najbardziej zajęтым dniami jest wtorek, ponieważ ma wtedy promocję dla emerytów - strzyżenie i modelowanie (co nazywa kompletem) za pół ceny. A kiedy się pokaże legitymację seniora, dorzuca jeszcze herbatę i ciastko. Susanne zawsze się śmieje. Kiedy jej o tym powiedziałam, spojrzała na mnie tak, jakbym była nienormalna.

- A czemu nie miałabym się śmiać? - zapytała. - Jestem kobietą, która ma w życiu prawdziwe szczęście.

I rzeczywiście tak jest, ponieważ ona mocno w to wierzy.

Tego ranka Susanne życzliwie zaproponowała, że ułoży mi włosy na dzisiejszą randkę. Z poczuciem humoru gasi moje oczekiwania w kwestii ilości chromu, skóry i czarnego marmuru w jej salonie. Ponieważ jej włosy są zawsze nienagannie obcięte i błyszczące tak bardzo, że wygląda, jakby miała aureolę, jestem pewna, że obejdę się bez onieśmielającego wystroju i personelu (co normalnie stanowi nieodłączną część wizyty u fryzjera).

- Kogo więc mamy dziś po południu? - pyta Susanne.

- Dziś po południu idę na herbatę z facetem, który nazywa się... - Milknę i szybko sięgam po terminarz. - David Clark.

Susanne zrywa boki ze śmiechu.

- Zapomniałaś jego imienia - oświadcza oskarżycielskim tonem.

- Tylko nazwiska.

Zakładam nylonową pelerynkę. Pachnie czystością, mimo że widać na niej plamy po rozjaśniaczu. Udaję się za Susanne do zlewu. Wyposażenie tego zakładu jest staromodne i tanie. Na klientki nie czekają tu egzemplarze „Vogue'a”, choć można sobie przejrzeć tańsze tygodniki z pozaginаныmi rogami, a nawet rozwiązać krzyżówki z ostatniej strony. Herbata jest mocna, gorąca i podawana w kubkach nie do kompletu, żaden jednak nie jest wyszczerbiony. Krzesło przy umywalce nie rozkłada się na płasko, umywalka zaś nie ma poduszki pod kark. Ale Susanne kładzie mi pod szyję kilka warstw ręczników, chcąc, żeby mi było wygodnie, i sprawdza temperaturę wody przed skierowaniem strumienia na moje włosy, tak że ani nie marznę, ani nie ulegam poparzeniu. Najważniejsze jednak jest to, że Susanne nie czuje się w obowiązku, żeby rytualnie mnie upokarzać, uparcie twierdząc, że moje włosy są rzadkie lub strasznie porozdwajane. Zamiast tego zaczyna mi robić masaż głowy, który jest po prostu boski.

- Tracisz rachubę, nic dziwnego, że masz mędik w głowie.

- Nie było ich wcale tak wielu, naprawdę - bronię się.

- Dziewczyno, ja cię nie krytykuję. Cieszę się, że przez ciebie mogę realizować swoje romantyczne wizje. Gdybym była dziesięć lat młodsza, siedziałabym w Internecie i robiła to samo.

- Przecież w twoim wieku także możesz się umawiać na randki - mówię. - Choć trzeba przyznać, że zalotnicy internetowi to bezlitosna rasa. Cieszę się, że zamieściłam anons w „Time Out” - dodaję.

Susanne śmieje się głośno.

- Możesz uwierzyć, że żyjemy w czasach, kiedy zamieszczenie osobistego anonsu jest traktowane jako podejście tradycyjne?

- Nie - wzdycham. - Nie mogę.

Obie pamiętamy czasy, kiedy tylko nieudacznicy uważali, że muszą się sprzedać przez zamieszczenie anonsu w prasie. Normalni ludzie poznawali swoich partnerów normalnymi sposobami - na imprezie lub przez wspólnych znajomych - ale ten świat odszedł w niebyt. Teraz za nieudaczników uważa się tych, którzy nie szukają aktywnie partnera za pomocą randek w ciemno, anonsów towarzyskich, Internetu czy tak zwanych szybkich randek. Nadal chciałabym kogoś poznać w staroświecki sposób. Wiecie - spojrzenie na siebie w pomieszczeniu pełnym ludzi i miłość od pierwszego wejrzenia. Albo przynajmniej poznać kogoś, polubić go, szanować i powoli się w nim zakochać. Właśnie coś takiego by mi odpowiadało.

- Cóż, musisz jedynie zachować ostrożność - mówi ostrzegawczo Susanne.

Nie chodzi jej o seks bez zabezpieczenia. Obie wiemy, że ma na myśli to, że powinnam uważać, z kim się umawiam. Seks, ha! Mimo licznych randek seks nadal pozostaje dla mnie mglistym i odległym wspomnieniem. Nie mam ochoty niczego przyspieszać, a nawet gdyby tak było, to nie poznałam nikogo, kto choćby trochę pociągałby mnie w taki sposób. Szczytem kontaktu fizycznego było kilka cmoknięć na odległość, a nawet one wydawały mi się nachalne.

- Jestem ostrożna. Umawiam się tylko popołudniami i tylko w miejscach publicznych. Zawsze mówię komuś, dokąd się wybieram, i nie piję alkoholu. Przestrzegam wszystkich zalecanych zasad.

- I mimo to udaje ci się dobrze bawić? - pyta Susanne, ponownie się śmiejąc. Wyciera mi włosy, a potem nakłada solidną porcję odżywki. - Spotykacie się więc na podwieczorku. Czy podwieczorek to jakaś nowa moda, czy twój partner ma ochotę na tanią randkę?

- Mnie to odpowiada, ponieważ nie koliduje z planem dnia chłopców. Dzisiaj bliźniaki mają po szkole kółko muzycz-

ne. Mogę iść na randkę, a potem o piątej zjawić się pod szkołą, tak że nawet nie będą o niczym wiedzieć.

- Powiedz mi, jak to możliwe, że ci faceci są dostępni w takich godzinach? Żaden z nich nie pracuje?

- Wielu rzeczywiście nie. A przynajmniej nie mają, jak to się mówi, odpowiedniej pracy.

Zauważyłam, że zdają się przyciągać do siebie mężczyzn, którzy mają ochotę, żeby się nimi w jakimś stopniu opiekowano, finansowo, emocjonalnie czy praktycznie. Jeden facet zaproponował, żebyśmy spotkali się w sklepie Marks & Spencer, gdzie mogłabym mu pomóc w wyborze koszuli! Dochodzę do wniosku, że mój profil, albo moje zdjęcie, wyjawia, że jestem pierwszorzędną mamusią. A każdy szuka mamusi.

- Jak ci poszło z tym łanem?

- Był bardzo wytrwały, co poczytałam na jego korzyść. Kiedy odwołałam poniedziałkowe spotkanie, nie spodziewałam się, że jeszcze się do mnie odezwie. Ale następnego ranka zadzwonił i nalegał, żebyśmy spotkali się tego dnia na lunchu.

- To dobry znak.

- Też tak myślałam, ale kiedy doszło do spotkania, okazało się, że nigdy nie miałam do czynienia z osobą równie śmiertelnie nudną. Straszne było to, że po lunchu uściśnął mi rękę i oświadczył, że uważa, że mamy wiele ze sobą wspólnego i że powinniśmy to powtórzyć. Jeśli mam wiele wspólnego z człowiekiem, który kolekcjonuje zabytkowe stalówki do piór i stare roczniki Niedźwiadka Ruperta, to znaczy, że źle ze mną.

- Ale, Rose, ty kolekcjonujesz znaczki. Niektórzy by powiedzieli, że to wcale nie różni się aż tak bardzo od zbierania roczników.

- Cóż, nie mieliby racji.

- I zbierasz naczynia stołowe z lat pięćdziesiątych.

- Dobrze, już dobrze, koniec rozmowy. Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć, potrzebuję nowego hobby. - Susanne ponownie wybucha gromkim śmiechem. Uśmiecham się do

niej. Nie można się na nią gniewać, gdy ma się świadomość, że ona wcale nie ma zamiaru cię obrazić. - Całkiem dobrze mi idzie, jeśli chodzi o liczbę, a sama różnorodność jest dość ekscytująca. W swoim czasie nieszczęśliwie często chodziłam na randki i nie spodziewałam się, że to ulegnie zmianie. Poznawanie nowych ludzi jest interesujące, ale obawiam się, że z żadnym z tych facetów nie mam ochoty spotkać się ponownie.

- A ten, z którym byłaś na lunchu w niedzielę?

- Jonathan. Był bardzo czarujący i... - szukam właściwego słowa - ...wyćwiczony. Pracował w jednej z tych firm, które przeprowadzają szkolenia w korporacjach. Mówił do mnie tak, jakby prowadził seminarium - całe mnóstwo gestów zwycięstwa i spektakularnych frazesów. „Świat czeka na ciebie, Rosie” i „Masz tylko jedno życie”.

- To akurat nawet mi się podoba - stwierdza Susanne.

- W takich oklepanych frazesach jest sporo prawdy.

- Dam ci jego numer, jak chcesz.

Podczas spotkania z nim nie mogłam się powstrzymać od zastanawiania się na ilu pierwszych randkach musiał już być, skoro jest tak wyćwiczony.

- Cóż, nigdy nic nie wiadomo, Rose. David Clark może się okazać „tym jedynym”.

- Owszem - przyznaję, choć ani przez chwilę w to nie wierzę.

Czasami się zastanawiam, jak długo jeszcze będę musiała udawać, że szukam mężczyzny idealnego dla mnie, zanim Connie i Daisy zaakceptują w końcu to, że ktoś taki po prostu nie istnieje.

- W najgorszym wypadku będziesz mieć śliczne włosy, kiedy odbierzesz chłopców z kółka muzycznego - stwierdza Susanne. - To twój telefon?

- Halo, z tej strony Craig. - Przez chwilę czuję konsternację. Nie przypominam sobie, żeby jakiś Craig przysłał mi

e-mailem lub pocztą odpowiedź na mój anons. Mężczyzna na drugim końcu linii kaszle, po czym dodaje: - Pan Walker.

- O rety, tak! Craig jak pan Walker Craig - trajkoczę. - Z chłopcami wszystko w porządku? - pytam od razu z niepoko-
jem.

- Tak, jak najbardziej. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem, Rose. Nic z tych rzeczy. Dzwonię w sprawie osobistej.

- Och. - Opieram się wygodnie na fotelu Susanne.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że zostało bardzo mało czasu i że to może przesada, ale rzuciłem dziś rano okiem na naszą aulę i obawiam się, że muszę przyznać, że choć dożynkowa wystawa, jaką przygotowały dzieci, ma pewien prawdziwy urok, to jednak moglibyśmy zrobić coś więcej w kwestii dekoracji na jutrzejszą ceremonię. Normalnie nie miałyby to znaczenia, tyle że zjawia się ludzie z miejscowej gazety, żeby zobaczyć, jak nasze dzieci przekazują dary dla Armii Zbawienia - mówi.

Zastanawiam się, czy pan Walker nie biegał, wydaje się, jakby miał problem ze złapaniem tchu. Śpieszący się mężczyzna to rzadkość. Jestem pod wrażeniem.

- Z chęcią pomogę. O czym myślałeś?

- Przypomniała mi się ta piękna kwiatowa ekspozycja, jaką zrobiłaś na pianino podczas koncertu orkiestry latem, i tak sobie pomyślałem, czy nie mogłabyś przygotować czegoś odświeżnego z kolb kukurydzy i jabłek.

- Ale co?

- Coś takiego, jak jest w sklepach.

Craig nie wyraża się tak do końca jasno, ale rozumiem, co ma na myśli. Też widziałam te artystyczne ekspozycje z traw, zieleni, owoców i warzyw, które zastąpiły kwiaty. Chyba mogłabym spróbować. Moja dłoń wędruje ku szyi i uświadamiam sobie, że się rumienię. Pomyśleć, że pan Walker - Craig - dyrektor zauważył moje kwiatowe dekoracje. Bardzo mnie to cieszy.

- Chętnie coś przygotuję, ale najpierw będziemy musieli kupić kilka rzeczy, wstążki i tym podobne.

Craig oddycha już normalnie. Do jego głosu ponownie zakrada się autorytet. Pasuje mu to.

- Bez obaw. Jeśli chodzi o wstążki, to możemy urządzić najazd na zapasy pani Kelly, rodzice zaś byli bardzo hojni, świeżych produktów mamy więc aż nadto.

Wyobrażam sobie. Mimo pisemnej prośby o to, żeby każde dziecko przyniosło jeden produkt dla Armii Zbawienia w celu uczczenia dożynek, przyglądałam się przez cały tydzień, jak dzieci - włączając w to moje - przynoszą ich tyle, że wystarczyłyby dla króla.

- Kiedy mam przyjść?

- Nie pasowałyby ci może po szkole? Wiem, że bliźniacy mają wtedy zajęcia muzyczne. W ciągu dnia aula jest wykorzystywana do lekcji wuefu, podczas lunchu i zajęć kółka teatralnego.

Zdaję sobie sprawę z ograniczonej ilości miejsca w Holland House, ale także z tego, że o 15.00 David Clark („może-to-ten-jedyny”) oczekuje mnie w Kawiarni u Nory, gdzie sprzedają najsmaczniejsze ciasto czekoladowo-pomarańczowe w całym zachodnim Londynie, a może i nawet w Europie Zachodniej. Nie lubię w ostatniej chwili odwoływać spotkania, to niegrzeczne. A jednak ogarnia mnie fala podekscytowania, kiedy myślę o spotkaniu z panem Walkerem, Craigiem. Jest takim bezproblemowym kompanem, bardzo interesującym i sympatycznym. Należy do tych ludzi, których uśmiech działa kojąco na stres i zmartwienia odbiorcy. Chcę mu pomóc. Poza tym robiłabym to dla chłopców. Może nie bezpośrednio, ale z całą pewnością dla nich. Wpada mi do głowy pewne rozwiązanie.

- Mogłabym przyjść wieczorem, gdybyś załatwił mi klucze do szkoły. Poproszę siostrę, żeby posiedziała z chłopcami.

- Myślałem, że też ci pomogę. Nie mam nic do roboty dziś wieczorem i nigdy bym nie pozwolił, żebyś pracowała sama. Artysta ze mnie żaden, ale mogę przynajmniej potrzy-
mać drabinę.

- Świetnie. — Uśmiecham się sama do siebie. Tak się zastanawiam, czy nie powinnam ogolić nóg. Bo jeśli Craig będzie trzymał drabinę, to nie chcę, żeby sobie pomyślał, że jestem włochatą siostrą człowieka śniegu. Choć wątpię, żeby podczas trzymania tej drabiny spojrzął na moje nogi, jest na coś takiego zbyt dobrze wychowany. - Siódma trzydzieści może być? - pytam.

- Jesteśmy umówieni — odpowiada.

- Umówieni — powtarzam automatycznie.

- Cóż, to znaczy po prostu się spotkamy - dodaje oficjalnie.

- Spotkamy.

Kiedy się rozłączam, widzę, że Susanne przygląda mi się, a na jej twarzy gości uśmiech od ucha do ucha.

- Kto to był? - pyta.

- Dyrektor szkoły chłopców.

- Chyba zartujesz. Nie mówiłaś, że jest przystojny.

- Nie jest... Cóż, jest. Ale dlaczego tak sądzisz?

- Rumieniłaś się, chichotałaś i ciągle dotykałaś włosów. To jasne, że jesteś na niego napalona.

- Na pana Walkera? Nie opowiadaj głupstw.

Daisy zgadza się zostać z chłopcami, choć wykazuje znacznie mniejszy entuzjazm, kiedy robi to po to, żebym ja mogła dekorować szkolną aulę słomianymi kukłami i cebulą, niż kiedy umawiam się na randki.

Gdy docieram do szkoły, zauważam, że Craig zdążył zabrać się już za robotę. Podzielił wielkie sterty jedzenia. Pociął na kawałki brązowe i zielone wstążki. Jego starania są nieco przypadkowe, ale pełne dobrych intencji. Tworzymy niezły team. Szybko układam owoce i warzywa, dla lepszego efektu przeplatając je słomą- i wstążkami. Craig rzeczywiście nie ma talentu artystycznego, nie zgrywał skromnego. Ale świetnie sobie radzi z młotkiem i całkiem sprawnie idzie mu wieszanie moich girland.

Na początku nasza rozmowa jest raczej sztywne. Craig skupia się na dzieciach.

- Kto opiekuje się dzisiaj chłopcami?
- Moja siostra. Dużo mi pomaga.

Craig wygląda na zadowolonego, gdy to słyszy, ale poważnie, dodając:

- Mimo to na pewno nie jest ci łatwo radzić sobie ze wszystkim w pojedynkę.

Od czasu mojej „terapeutycznej randki” z Chrisem jestem bardziej szczerą w tym temacie, niemniej jednak czuję skrępowanie, omawiając swój statut samotnej matki z dyrektorem szkoły. Oczywiście, zna naszą sytuację, ale nie chcę być niedyskretna. Lucy i Peter są także rodzicami w tej szkole. Odpowiadam tak zwięźle, jak to możliwe.

- Nie zawsze. Czy możesz podać mi ten kraciasty materiał?

- Ale na pewno z czasem staje się łatwiej, gdy dzieci dorastają - ciągnie temat.

Zastanawiam się, czy powinnam przyznać mu rację i poprzestać na tym. To, bądź co bądź, najprostsza i najbardziej uprzejma opcja. Ale może Craiga rzeczywiście interesuje, jak to jest być samotną mamą. A przynajmniej - jak to jest w moim wypadku. Ta myśl dodaje mi otuchy.

- Wiesz, niekiedy mi się wydaje, że z czasem robi się coraz trudniej.

- Jak to?

- Kiedy Peter odszedł, miałam trzydzieści trzy lata i wszystko wydawało się możliwe. Trzydzieści trzy to jeszcze młodość.

Wzdrygam się w duchu. Co mnie, u licha, podkusiło, żeby ujawnić Craigowi swój wiek? A zresztą to i tak nie ma znaczenia. Mało prawdopodobne, żeby sądził, że mam mniej niż trzydzieści dziewięć lat. Mało prawdopodobne, aby jakkolwiek uwagę poświęcał kwestii mojego wieku. Czuję się zakłopotana i robię to co zawsze w takich sytuacjach, to znaczy plotę, co mi ślina na język przyniesie, jeszcze bardziej się pograżając:

- To właśnie twój wiek, prawda?

- Mam trzydzieści pięć lat.

- Naprawdę? Cóż, jesteś młody. W każdym razie powiedziałaś sobie, że jeśli będę się wystarczająco kolorowo ubierać, dam sobie jakoś radę z upokorzeniem i samotnością i przeżyję. Właściwie to zacznę rozkwitać. Ale wraz z upływem czasu moja pewność siebie zaczęła słabnąć.

Milknę i czekam, żeby się przekonać, czy Craig rzeczywiście mnie słucha. Udowadnia, że tak.

- Co według ciebie miało wpływ na obniżenie pewności siebie?

- Nie jestem pewna, kombinacja różnych czynników. Kiepskie randki, nieudane próby znalezienia pracy. Nie chodziło mi o jakąś niesamowitą karierę, chciałam jedynie mieć coś, co wyciągnęłoby mnie z domu. Głównie starałam się o pracę na pół etatu w księgowości, którą mogłabym wykonywać z zamkniętymi oczami, ale za każdym razem, gdy miałam rozmowę kwalifikacyjną, nadciągał kataklizm.

- Pod jaką postacią?

- Opiekunka wystawiała mnie do wiatru. Albo samochód się psuł. Albo uciekał mi autobus. A jeśli udawało mi się dotrzeć na rozmowę, zawsze byłam spóźniona i miałam trudności z koncentracją, gdy rozmowa się przedłużała. Zaczynałam się zastanawiać, czy moja mama nie rozmrozi przypadkiem potrawek z zamrażalnika. Poza tym dodałam dwa do dwóch i okazało się, że koszt wynajęcia opieki do dzieci przewyższa dochód, jaki byłabym w stanie osiągnąć. Poddałam się więc.

- Nie myślałaś o tym, żeby wrócić do pracy teraz, gdy chłopcy cały dzień spędzają w szkole?

- Zawsze sądziłam, że mniej więcej w tym czasie poszukam jakiegoś zatrudnienia, ale chłopcy kończą lekcje o wpół do czwartej, a jedna trzecia roku to wakacje - jaki pracodawca wychodzi naprzeciw takim godzinom? Prawie żaden. Zastanawiałam się nad sprzedażą bezpośrednią. Przekonałam się jed-

nak, że jestem dosłownym przeciwieństwem osoby, która potrafi sprzedać Eskimosom śnieżki. Nie potrafiłabym im sprzedać nawet skór renifera przerobionych na zgrabne kurteczki. Zdążyliby już sobie załatwić innego dostawcę.

Craig się śmieje, co przyjmuję z ulgą. Nie chcę, żeby wyglądało to tak, jakbym się nad sobą roztkliwiała czy użalała.

- Poza tym lubię być z dziećmi. Za bardzo bym za nimi tęskniła, gdybym wróciła do pracy. Przebywanie blisko swoich dzieci to przywilej i wydaje mi się, że dobrze sobie radzę. Sebastian potrzebował dużo dodatkowej pomocy w czytaniu, gdy był w zerówce - czy niania przejmowałaby się aż tak, żeby siedzieć z nim i godzinami powtarzać wymowę samogłosek? Może tak, a może nie.

- Cóż, wykonałaś kawał dobrej roboty. Wyrośli na świetnych chłopców.

Jestem taka podekscytowana komplementem Craiga, że niemal odcinam sobie palec nożyczkami o zaokrąglonych końcach, co samo w sobie byłoby nie lada wyczynem. Jestem łasa na pochwały, a już najbardziej te, które dotyczą moich dzieci.

Transformacja auli zajmuje nam dwie godziny. Okazuje się, że mam talent do tego rodzaju dekoracji - lata przygotowywania jesiennego stołu nie poszły na marne. Wynik jest oszałamiający. Craig i ja gratulujemy sobie bez końca.

- Dzięki tobie to miejsce wygląda niesamowicie, Rose. Dasz się zaprosić na coś do picia w ramach podziękowania?
- pyta Craig.

Tak mnie tym zaskakuje, że dosłownie czynię krok w tył. Zauważa to i oblewa się intensywnym rumieńcem.

- Masz na myśli kawę?

- Cóż, tak, jeśli masz ochotę. Albo kieliszek wina, jeśli to zniesiesz — mówi z nieśmiałym uśmiechem.

- Nie musisz być teraz gdzieś?

- Nie - odpowiada zdecydowanie.

Nie wiem, co zrobić. Bez wątplenia już dawno nie poznałam tak sympatycznego mężczyzny, jakim jest Craig. Jest

znacznie lepszym towarzyszem od wszystkich, z którymi się umawiałam w ciągu ostatniego miesiąca. Naprawdę miałabym ochotę spędzić trochę czasu na rozmowie z nim. A kieliszek wina w dorosłym miejscu, takim jak winiarnia, brzmi zachęcająco, znacznie bardziej niż randka w M & S.

Ale.

W mojej głowie pojawia się natychmiast mnóstwo zastrzeżeń. Craig nie umawia się ze mną na randkę. Jest po prostu uprzejmy. Drink jest w ramach podziękowania za pracę, jaką wykonałam. Uważa, że jest moim dłużnikiem. Nie wolno mi dać się ponieść emocjom. Craig jest młody i przystojny - ja zbliżam się do wieku, kiedy dobrze wychowani chłopcy będą się zastanawiać, czy nie ustąpić mi miejsca w zatłoczonym metrze.

Pan Walker jest dyrektorem szkoły moich dzieci, nie mogę ryzykować, że się upiję i wygłupię w jego obecności. Nie oznacza to, żebym słynęła z upijania się i wygłupów, ale czy nie byłby to straszny pierwszy raz? Poza tym, choć w szkolnej auli rozmawiało nam się całkiem przyjemnie, to czy będziemy w stanie zachować tę serdeczną atmosferę poza znajomym otoczeniem? Nie chciałabym go zanudzić. I czy jego dziewczyna nie będzie na niego czekać? Pewnie aż się pali do tego, żeby do niej wrócić, i założę się, że odlicza sekundy do jego powrotu. Nie mogę pozwolić na to, by znalazł się w tarapatkach tylko dlatego, że uważa, że jest mi winien drinka.

Choć była taka chwila, a może były i dwie chwile, kiedy Craig i ja gawędziliśmy o tym i tamtym, i pozwoliłam sobie zapomnieć, kim jestem i kim on jest, oddając się przyjemności wyobrażania sobie, że to randka.

To głupie, wiem.

Beznadziejnie żałosne.

Najprawdopodobniej zbyt często spotykam się z Connie, Królową Romantycznych Fantazji. Jej pranie mózgu powoli zaczyna przynosić rezultaty i przytąpuję się czasami na myśleniu, że może, ale to może istnieje ktoś mi przeznaczony. Nie

jest nim David Clark, to pewne. Podwieczorkowa randka okazała się koszmarem. Ten człowiek był taki napuszony. Zachowywał się tak, jakby przeprowadzał ze mną rozmowę kwalifikacyjną. Przez półtorej godziny rozbierał na czynniki pierwsze moje romantyczne CV, i wychodzi na to, że niestety mam spore braki. Na końcu się uparł, żebyśmy podzielili się rachunkiem, on jednak zapłacił czterdzieści pensów mniej, ponieważ wypił herbatę, a ja kawę. To nie może być ścieżka wiodąca ku prawdziwej miłości.

Szkoda, że na mój anons nie odpowiedział ktoś taki jak Craig. Ktoś miły i liczący się z innymi. Ktoś myślący i dający do myślenia. Wyrzucam te bzdury z myśli.

- Nie, dziękuję. Lepiej nie. Moja siostra wspominała coś o tym, że musi jeszcze gdzieś iść dziś wieczorem. Muszę więc wracać do domu.

Z jego twarzy znika uśmiech. To z pewnością wina kiepskiego oświetlenia, ale przez ułamek sekundy wydaje mi się, że wygląda na rzeczywiście rozczarowanego. Co jest, oczywiście, absurdalne. Na pewno czuje ulgę, nie rozczarowanie. Złożył uprzejmą propozycję, ale ma wreszcie święty spokój.

Zakładamy płaszcze i wszystkie inne rzeczy niezbędne do ochrony przed jesienną aurą, po czym ruszamy w stronę wyjścia.

Craig zamyka za nami drzwi i mówi:

- Miałem cię zapytać, jak ci idzie to internetowe randkowanie. Poznałaś już kogoś wyjątkowego?

- Zdecydowana większość posiada wyjątkowe potrzeby, ale chyba nie to miałaś na myśli? - odpowiadam żartobliwie.

Odwraca się przodem do mnie i nieruchomieje. Otacza nas wieczorna ciemność i Londyn sprawia wrażenie wyjątkowo spokojnego. Czy Craig czeka, żebyśmy rozwinęła ten temat? Szkoda.

- Robi się ze mnie zawodowiec. Albo przynajmniej przyzwyczajam się do tego, że czuję się jak jędza, kiedy przeglądam czyjś starannie stworzony profil - wyznaję.

- Co sprawia, że odrzucasz danego faceta?

- Odrzucam śmiałków, którzy mi piszą, że w innym życiu byli kotem czy drzewem. Oczywiście, odrzucam sporą liczbę tych, którzy wyglądają mi na seryjnych morderców. Odrzuciłam pewnego faceta, ponieważ twierdził, że czyta Dostojewskiego, Tołstoja, Haruki Murakami, Jose Saramago, Dona DeLillo, Orhana Pamuka i Marqueza.

- Nie lubisz żadnego z tych pisarzy?

- Owszem, tych, których czytałam, ale ten facet jest albo pustelnikiem, albo chorobliwym kłamcą. Ominęłam także profil pewnego faceta, ponieważ twierdził, że jest „panem przeciętnym” szukającym kogoś wyjątkowego, kogo mógłby rozpieszczać.

- Dlaczego? - Craig wygląda na zaskoczonego.

- Trąciło mi to kłamstwem. Nikt tak naprawdę nie uważa siebie za przeciętnego, prawda? I nie podobała mi się myśl, że wymachuje marchewką. Nie zaleca się do kobiet, kusząc je kupowaniem różnych rzeczy. Przynajmniej nie do wszystkich.

- Craig kiwa głową i nie nazywa mnie wybredną ani krytyczną, tak jak to mają w zwyczaju Daisy i Connie. Niemniej jednak chcę mu wyjaśnić, dlaczego tak się zachowuję. - Chodzi o to, że przeżyłam już swoje z mężczyzną, który nie okazał się tym jedynym, i nie chcę marnować więcej czasu, niż to konieczne.

- Racja - przyznaje Craig.

Jestem mu wdzięczna za to wsparcie.

- To jest jak pole minowe. Pewnego dnia przeczytałam artykuł, który podawał, że jedna trzecia osób umawiających się przez Internet kłamie na temat stanu cywilnego.

Craig wciąga gwałtownie powietrze. Dla niego, tak jak i dla mnie, nieuczciwość jest czymś szokującym i przygnębiającym. Connie skomentowała to jedynie tak: „Tylko tyłu? Myślałam, że pięćdziesiąt procent”, Daisy zaś zasugerowała, żebym zwracała baczność uwagę na opaleniznę na serdecznym palcu.

Uśmiecham się szeroko do Craiga.

- Mimo to byłam na kilku randkach, ale z żadnej nic nie wyszło.

- Dlaczego więc nadal próbujesz, Rose?

- Nie wiem. Chyba jestem cierpiętnicą.

- Uważam, że jesteś osobą pełną nadziei i prawdziwą romantyczką - oświadcza.

Pławię się w przyjemności płynącej z tego, że ktoś ma o mnie aż tak dobre zdanie.

- Poszłam za ciosem. Na próbę umieściłam także anons towarzyski w „Time Out”. Raczej nie zrodzi to żadnych owoców, ale przynajmniej moi przyjaciele są zadowoleni.

Mój Boże, co ja wyprawiam? Dlaczego przyznaję się do takich rzeczy dyrektorowi szkoły moich synów? Z Craigiem bardzo łatwo się rozmawia i nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby go okłamać, ale czy muszę być aż tak wylewna? W programie Jerry'ego Springera widywałam już bardziej dyskretnych ludzi. Biedny Craig wygląda na skonsternowanego moimi wyrzuceniami. Gdyby mógł pomachać teraz transparentem z napisem ZBYT DUŻO INFORMACJI, jestem pewna, że tak właśnie by zrobił.

- Informuj mnie na bieżąco o tym, jak ci idzie - mruczy.

- Myślę, że coś takiego mogłoby być niestosowne, Craig.

- Tylko wtedy, gdybyś się upierała przy zdawaniu szczegółowych relacji podczas szkolnych zebrań. Ale może mogliśmy wyskoczyć na drinka przy jakiejś innej okazji. Jestem ci to winien.

- Jesteś zbyt zajęty - mówię lekko.

Jest lekki przymrozek. Tupię nogami, mając nadzieję, że to mnie rozgrzeje.

- Bardzo bym chciał. Oddałabyś mi w ten sposób przysługę. Ja też próbuję poznać kogoś wyjątkowego. Mogłabyś mnie odpowiednio nakierować. Poradzić, które strony internetowe są najlepsze, jak się postępuje podczas randek w ciemno i tak dalej.

Jest singlem. Craig jest singlem. Mam ochotę się uśmiechnąć. I zaśmiać w głos. I chwycić go za ramię i przyjąć zaproszenie na kieliszek wina.

Hola, czekaj, kowbojko! A co cię to obchodzi? Nawet jeśli nie ma dziewczyny, to czy robi to jakąś różnicę? Jest dyrektorem szkoły moich chłopców, nie mężczyzną. Cóż, oczywiście, że jest mężczyzną, ale nie jest mężczyzną w takim sensie, w jakim są nimi mężczyźni poznani przez Internet. Po pierwsze, słucha. I nie śmierdzi potem. Ale, i to naprawdę duże ale, nie zmienia to faktu, że jest dyrektorem szkoły chłopców, a co za tym idzie - w żadnym wypadku odpowiedni czy dostępny. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle pomyślałam o nim w taki sposób, choćby przez nanosekundę.

- Nie mogłabym w taki sposób ingerować w twoje życie intymne.

Dlaczego używam zwrotów typu „życie intymne”? Nikt tak nie mówi, z wyjątkiem mojej matki.

- Och, naprawdę, to żaden problem. Cokolwiek byś nie powiedziała i tak byłoby delikatne w porównaniu z moimi kumplami. Chyba nie jestem w stanie znieść kolejnego sobotniego wieczoru, podczas którego idziemy razem na podryw.

Śmieję się, gdy widzę jego minę, kiedy używa określenia „na podryw” - wygląda po prostu na przerażonego. Żałuję, że wymyśliłam takie przekonujące kłamstwo dotyczące Daisy i konieczności jej zwolnienia. Naprawdę chciałabym spędzić nieco więcej czasu z Craigiem.

Nieprawda. To absurdalny pomysł.

I cudowny. Absurdalnie cudowny. Cudownie absurdalny.

Pewnie, że nie połączy nas nic więcej jak przyjaźń. O ile rzeczywiście spędzimy ze sobą trochę czasu. Co nie oznacza, żebym się tego spodziewała.

Nadal toczę ze sobą wewnętrzną walkę, gdy trzy godziny później siedzę umieszczona wygodnie w łóżku z kubkiem gorącej czekolady. Zawsze nagradzam się gorącą czekoladą po wyjątko-

wo przyjemnym dniu. Ostatnie, o czym myślę przed zaśnięciem, to Craig, a potem zapadam w sen i także śnię o nim.

W moim śnie daje mi klapsy. Budzę się zbyt zawstydzona, żeby spojrzeć na siebie w lustrze w łazience.

PIĄTEK, 20 PAŹDZIERNIKA

JOHN

Nietrudno było zwabić ją do łóżka. Gdy tylko zobaczyłem ją pod szkołą, kilka tygodni temu, wiedziałem, że nie będzie stanowić zbyt wielkiego wyzwania. Istnieje typ kobiet, które lubią dobrze się bawić zawsze i wszędzie tam, gdzie się tylko da. Oczywiście, musiały się pojawić obowiązkowe protesty dotyczące męża i dzieci. To dla współczesnej kobiety próba zachowania przyzwoitości - przypominają mężczyźnie, że mają rodzinę, a chwilę potem same rzeczoną rodzinę wyrzucają z pamięci.

Od strony technicznej seks był w porządku. Jak już wspominałem, dobrze się trzyma, jak na swój wiek, była pełna entuzjazmu, pewna siebie i doświadczona. Udaliśmy się do mojego mieszkania, tego, które wynajmuje mi firma. Była nim zachwycona. Mieści się w ogromnym georgiańskim szeregowcu w szanowanej dzielnicy. Biała fasada, oryginalne drewniane podłogi, wysokie sufity i duże, otwierane pionowo okna tworzą całkiem romantyczny klimat. A tego właśnie szukała — odrobiny jednorazowego romantyzmu. Tak jest w wypadku większości kobiet. Mnie zaś pasowało zabranie jej tutaj, ponieważ nie mam żadnych problemów z kwestią prywatności. Niektórzy faceci wolą nie sprowadzać kobiet do własnej chałupy: zazwyczaj chodzi o higienę (jej brak) i zaangażowanie (jego brak). Ale ja nie uważałem, że warto wydawać kasę na hotel. Ten numerek nie znaczył dla mnie aż tak dużo. Nie miałem też ochoty na to,

żeby posuwać ją w jej rodzinnym domu. Nawet mnie potrafi ogarnąć niemoc, gdy na nocnych szafkach stoją ślubne i szkolne fotografie. Biedne, niewinne dzieci uśmiechające się do matki, która oplata nogami szyję obcego mężczyzny. Tak nie powinno być. Zabrałem ją więc do siebie.

Naszemu spotkaniu towarzyszyła aura pośpiechu i niedbałości. Gdy weszliśmy do mieszkania, zaproponowałem kawę, ale powiedziała, że nie teraz, że napije się później. Poszedłem do kibla, a kiedy stamtąd wyszedłem, ona stała już w sypialni, mając na sobie jedynie majtki i stanik, i starannie składała swój dres. Rozpięła stanik i odwróciła się do mnie, zapewniając mi niczym nieprzesłonięty widok na swoje chirurgicznie powiększone, bardzo ładne kule.

Naprawdę się postarałem. Gdyby miało się to roznieść, chcę, żeby mój występ był oceniany na piątkę z plusem. Z całą pewnością była usatysfakcjonowana. Ale to było trochę jednostronne, jeśli wicie, o co mi chodzi. Ujmę to w ten sposób: raczej brała niż dawała. Z pewnością zbyt przejmowała się tym, żeby nie zepsuć sobie fryzury, jeszcze by mąż coś zauważył. W każdym razie nie narzekam, seks to seks, a nie ma czegoś takiego jak zły seks, przynajmniej nie według mnie.

Wzięła prysznic, później stanęliśmy w kuchni i szybko wypiliśmy po kawie. Niegrzeczne wydawało się nie prowadzić jakiejś rozmowy.

- Zakładam, że już coś takiego robiłaś? - zapytałem.

- Raz czy dwa. Mój mąż często wyjeżdża służbowo i wyszłam za niego, kiedy byłam bardzo młoda. On nigdy nie był bardzo młody. - Przystałem z nogi na nogę, czując się nieswojo. Nie znoszę, kiedy zaczynają mi opowiadać historie swojego życia. Jak mogą w ogóle sądzić, że mnie to zainteresuje? Dostrzegła moje skrępowanie i dodała: - Nie próbuję się usprawiedliwiać ani nie szukam współczucia. Przedstawiam jedynie fakty. Staremu capowi zachciało się ślicznotki, więc ją dostał. Z pewnością wiedział, że po dwunastu latach tak to się skończy.

Na swój sposób naprawdę go kocham. I oczywiście, są jeszcze dzieci. Mamy umowę. Niepisaną. I oboje o niej wiemy.

- Cóż, jeśli dzięki temu jesteś szczęśliwa — powiedziałem, zapalając papierosa.

Przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, po czym zmieniła temat.

- Byłam dość zaskoczona, kiedy poprosiłeś o mój numer. Sądziłam, że kręcisz się pod szkołą po to, żeby zwrócić na siebie uwagę Constance Baker.

Wstrząsnęło mną, gdy usłyszałem, jak Dianę wypowieda jej imię.

- Naprawdę?

W takich sytuacjach zawsze najlepiej mówić tak mało, jak to możliwe. Nawet wypieranie się sprawia, że wyglądasz jak winowajca. Przyciągnąłem do siebie Dianę i obdarzyłem ją długim, powolnym pocałunkiem. Spełnił swój cel, czyli ją uciszył.

Gdy się już ubrała, zapytała mnie:

- Chcesz to jeszcze kiedyś powtórzyć?

- Oczywiście, mała.

Gdy tylko zatrzasnęły się za nią drzwi, wykasowałem jej numer z telefonu. Zazwyczaj nie należę do osób, które odrzucają potencjalne możliwości, a Dianę dała mi jasno do zrozumienia, że jest chętna na seks bez żadnych zobowiązań, czyli taki, jaki lubię najbardziej. Zazwyczaj.

Ale kiedy ją posuwałem, przytrafiło mi się coś niesamowicie dziwnego. Zacząłem postrzegać ten akt jako obowiązkowe bzykanko, takie, jakie się skutecznie ze stałą dziewczyną, tylko po to, żeby udowodnić jej, że się ją kocha, w momencie, kiedy najpewniej już tak nie jest. Nie było w nim elektryczności, jaką powinien się cechować seks z kimś nowym. Dziwne, ale po prostu nie byłem w stanie wykrzesać z siebie wymaganego entuzjazmu. I chyba jego brak przyniósł mi odpowiedź na pewne pytanie. Odpowiedź, jaką miałem nadzieję uzyskać dzięki pieprzeniu się z zamężną matką.

Nie uganiem się za Connie tylko dlatego, że jest zamężną matką.

Wiem, że dziwnie to brzmi, ale rzeczywiście się nad tym zastanawiałem. To bzykanko było swego rodzaju eksperymentem. Czy to kwestia bycia mamą mnie podnieca? Niedostępność? Czy chodzi po prostu o Connie? Pomyślałem więc, że spróbuję z inną mamą. Eksperyment przyniósł rozstrzygającą odpowiedź. Uganiem się za Connie, ponieważ pragnę Connie.

Minęło dziesięć dni, odkąd spędziliśmy razem cały dzień. Dzień, który zaplanowałem ze strategiczną precyzją, a który ona w kilka chwil zepsuła. Nie jestem przyzwyczajony do oporu z jej strony, ale co dziwne, jej zdecydowany sprzeciw jedynie umacnia moje postanowienie i jeszcze bardziej jej pragnę. Zjedliśmy razem śniadanie, po czym ona zgodziła się urwać z pracy i dobrze bawić. Na razie wszystko szło dobrze. Zaproponowałem wycieczkę do Brighton. Wcześniej dokonałem nawet rezerwacji w hotelu Pelirocco. To zabawne, że niecałe dwa tygodnie temu taka popołudniowa sesyjka nie wydawała się czymś niedorzecznym. Teraz jest ona równie prawdopodobna jak wyprawa na księżyc. Myślałem, że wyrwanie Connie z miasta bardzo dobrze zadziała. Łatwiej zapomnieć o odpowiedzialności na obcym terenie, ale ona na to nie poszła, upierając się, że musi zostać w Londynie. Oświadczyła, że nie może ryzykować tego, że utkniemy gdzieś w korkach, ponieważ jej mała byłaby zrozpaczona, gdyby spóźniła się po nią. Nie zniechęciło mnie to - spodziewałem się pewnej dozy oporu.

Musiałem się wtedy szybko zastanowić. Chciałem zabrać ją tak daleko od jej terenu, żeby zapomniała na kilka godzin o świętym Luke'u. Musiałem uważać, żeby nie wybrać miejsca zbyt znamiennego, na przykład takiego, w którym już razem byliśmy. Najlepiej zacząć tworzenie wspomnień od nowa, niż ryzykować, że powrócą dawne problemy. Miałem z tym trochę kłopotu, przyznaję, ponieważ nie pamiętałam dokładnie, gdzie

kiedyś razem bywaliśmy. Nasz cały związek rozmywa się w całym mnóstwie szemranych pubów i uliczek.

Zdecydowaliśmy się więc na Tate Modern. Jestem absolutnie pewien tego, że nigdy razem nie byliśmy w galerii, a ona powiedziała, że znajduje się tam instalacja, którą ma ochotę obejrzyć.

- Tym sposobem nie będę miała wyrzutów sumienia z powodu wagarów. Obejrzenie tej instalacji to też swoista praca - tak to skomentowała.

Jej potrzeba usprawiedliwiania spędzanego ze mną czasu była irytująca, ale wziętem głęboki oddech i uznałem, że tego się można było spodziewać. Chyba zużyłem już jej pokłady dzikiego oddania się. Roztrwoniłem je.

Fajnie było. Tego akurat nie byłem w stanie zaplanować ani liczyć na to, a jedynie mieć nadzieję - i jakoś do tego doszło. Zaskoczyło między nami. Nadal jest obecna ta iskra. Wiem, że ona także jest jej świadoma. Przyprawia mnie to o dreszcyk emocji. Ją myślę, że martwi.

Świetnie się razem bawiliśmy. To informacja oficjalna. Był pogodny, rzeński dzień. Niebo było błękitne, w rzece zaś odbijało się zimowe słońce, sprawiając, że mulista Tamiza wyglądała niczym srebrzysta wstążka. Cały dzień spacerowaliśmy i rozmawialiśmy. O niczym poważnym, żadne z nas nie miało na to ochoty, ale rozmowa toczyła się nieustannie. Nie było ani jednej chwili krępującego milczenia. Podobało jej się to. Wiem, że tak właśnie było.

Ale zero akcji. Nasze ręce zderzały się raz na jakiś czas i parę razy musiałem się nachylić nad nią, żeby otworzyć drzwi czy podać sól, i kiedy dochodziło do takiego przypadkowego kontaktu, oboje byliśmy go bardziej niż świadomi. Ja czułem lekkie drżenie penisa, Connie wzdrygała się i odskakiwała ode mnie, jakby ją popieścił prąd.

Odwiozłem ją z powrotem do Holland Park o 15.15, żeby mogła odebrać dziecko ze szkoły. Powiedziała mi, że świetnie

się bawiła, po czym wyskoczyła z samochodu, desperacko pragnąc uniknąć zakłopotania towarzyszącego pożegnaniu. Jak to bowiem teraz zrobić? Pochodzimy z północy i choć przyzwyczailiśmy się do cmokających na odległość południowców, nie możemy zachowywać się wobec siebie tak sztucznie. Jesteśmy ludźmi w stylu „wszystko albo nic”. Obcałowywanie się na całego albo sięgnięcie po klamkę. To Connie dokonała wyboru.

Dlaczego więc o niej myślę? Czy jestem aż tak niedojrzały, że skoro kobieta mówi „nie”, to tym bardziej jej pragnę? Pewnie tak. Uciekłem się do swojego zwyczajowego działania. Rozrywka. Ale nic to nie dało. Seks z Diane był jak posuwanie worka z kartoflami. Straciłem żądzę? Kurwa, to dopiero byłaby katastrofa! Dla mnie i rodu niewieściego.

Ponieważ moja ochota na kobiety na dobre zmalała, spędzam obecnie dużo czasu w towarzystwie Craiga. To dobrze, gdyż jego żałosne poczynania z kobietami sprawiają, że czuję się bardziej jak Casanova, którym wiem, że jestem. Connie doprowadziła do tego, że czuję się, jakbym miał seksapil Homera Simpsona.

Mimo własnych zmartwień staram się nie pozwolić Craigowi grzęznąć dalej. Poza udzieleniem stosownych instrukcji w kwestii ubioru, tego, czego należy słuchać, gdzie bywać i daniem adresu porządnego fryzjera, trwam przy jego boku - raz za razem - gdy próbuje załatwić sobie bzykanko. Wyciągam go ze sobą w prawie każdy sobotni wieczór. Przedstawiłem całemu mnóstwu uroczych dziewcząt, wychwalałem go pod niebiosa, połem wszystkich alkoholem, a następnie zostawiałem Craiga samego z różnymi panienkami. Wynik za każdym razem ten sam. To zdumiewające. Nawet kiedy laska jest wyraźnie zainteresowana, właściwie wieszka się na nim, on i tak wsadza ją do taksówki, później zaś jedzie do domu sam. Nie mam pojęcia, co jeszcze mógłbym zrobić poza wmuszeniem w niego viagry, rozebraniem jego i zainteresowanej panienki, a potem wyłączeniem światła w nadziei, że potknie się i przypadkowo na nią upadnie i ją dziabnie.

Zapraszam go na piwo, żebyśmy mogli przedyskutować ten problem. To inteligentny facet — z pewnością wie, że ma kłopoty, i założę się, że także ma świadomość tego, w jaki sposób je rozwiązać. Wybieram pub z wiszącymi na zewnątrz zachęcającymi kulistymi latarniami. Atmosfera w środku jest kolorowa, ciepła i przyjacielska - to tego rodzaju miejsce, w którym ludzie puszczaają farbę.

Zaczynam subtelnie.

- Jeśli jesteś ciotą, stary, mnie to nie przeszkadza.

Craig uśmiecha się do mnie szeroko.

- Dobrze wiedzieć, John, dziękuję ci, ale jestem hetero.

- Naprawdę? - Pociągam duży łyk piwa. - Nie można jednak powiedzieć, żebyś otrzymywał dużo, czyż nie? — pytam.

- Nie, według twoich standardów pewnie nie. Ale w moim wypadku jest inaczej.

Mówiąc to, patrzy mi prosto w oczy. Wyczuwam wyzwanie.

- Jak to? - pytam.

- Cóż, końcówką twojej gry jest seks - odpowiada spokojnie.

- A twojej nie? - Bardzo się staram, żeby w moim głosie nie słychać było niedowierzania.

- Byłeś żonaty, John, i jest jasne, że sparzyłeś się na gorącym i teraz na zimne dmuchasz. Tobie nie zależy na jakiegokolwiek emocjonalnej złożoności w związku, dla mnie jest ona natomiast obowiązkowa.

Patrzę gniewnie na Craiga i walczę z ochotą, żeby go walczyć. Po cholerę miesza Andreę do tej rozmowy? Co ma na myśli, mówiąc, że nie zależy mi na emocjonalnej złożoności? Gdyby wiedział o Connie, wiedziałby też, że obecnie uganiam się za ucieleśnieniem emocjonalnej złożoności. A zresztą nie rozmawiamy tutaj teraz o mnie, ale o nim.

Craig kontynuuje:

- Jesteś świeżo po rozwodzie i widać, że potrzebujesz udowodnić... cóż... coś sobie... czy innym. Bóg jeden wie, komu.

- Wie, że znajduje się na grząskim gruncie, i w jego głosie po-
brzmiewa niepewność. Śpieszy, żeby mnie uspokoić. - Nie
nam, stary. Jeśli uganiaś się za tymi wszystkimi spódniczka-
mi po to, żeby udowodnić coś Tomowi i mnie, w takim razie
naprawdę nie musisz. Wiemy, że jesteś „mężczyzną przez duże
m” i w ogóle.

- O czym ty, do kurwy nędzy, mówisz? - pytam gniewnie.

Cieszę się, że znamy się dostatecznie długo, że nie muszę
skrywać irytacji.

Blednie, gdy słyszy, jak przeklinam. Nie lubi niecenzural-
nych słów.

- Mówię jedynie, że jeśli chcesz się trochę wyluzować, to
w porządku. Nie musisz sypiać z kimś nowym co tydzień, tyl-
ko po to, żeby... No wiesz.

Nie, nie wiem. Ale wypowiedzenie tych słów na głos oznacza-
łoby, że omawiamy moje życie seksualne, a wcale tak nie jest. To
jego życiem seksualnym się zajmujemy, czy raczej jego brakiem.

- Nie rozmawiamy teraz o mnie, stary.

Biorę do ręki podkładkę pod piwo i zaczynam stukać nią
w stolik.

- Cóż, trochę tak. Ja jedynie robiłem porównanie. Próbu-
ję ci powiedzieć, że choć rozumiem, co robisz i dlaczego, mu-
sisz się zachowywać tak a nie inaczej, to ja do tego podchodzę
w zupełnie inny sposób.

Znudziła mnie podkładka. Wyciągam z kieszeni monetę
i ćwiczę przekładanie jej między palcami - to fajna sztuczka,
którą widziałem w jakimś filmie.

- Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz, stary. Tak między nami
- i to jedyne, co mam do powiedzenia w tej kwestii - nie zachowuję
się teraz ani odrobinę inaczej niż kiedyś, zanim się ożeniłem.

- Ani gdy byliście małżeństwem - dodaje Craig.

Aha. A więc wykorzystuje po prostu tę okazję, żeby mi do-
łożyć. Craig zawsze zakładał, że w trakcie małżeństwa uganiałem
się za spódniczkami i że to było powodem jego rozpadu. Więk-

szość ludzi tak właśnie uważa. Wzdycham i zastanawiam się, czy warto wyjaśniać, że nic nigdy nie jest wyłącznie czarne i białe. Uznaję, że nie. Nigdy z nikim nie rozmawiałem o moim małżeństwie z Andream i nie widzę powodu, żeby robić to teraz.

- Stary, rozmawiamy teraz o tobie. Czy mam rozumieć, że szukasz kobiety, z którą mógłbyś się ożenić, i że jakimś cudem, w swojej naiwnej wierze w to, na jakiej zasadzie funkcjonuje świat, uważasz, że oboje musicie wejść do waszego małżeńskiego łóża, pozostając dla siebie tajemnicą?

Ogólnie unikam bycia sarkastycznym wobec Craiga - jest zbyt porządnym gościem, żeby naśmiewać się z niego, ale teraz naprawdę mnie wkurzył.

- Nie, nie jestem głupi ani aż tak naiwny, jak myślisz. Zdaję sobie sprawę z tego, że jeśli poznam kogoś wyjątkowego, będę chciał... no wiesz... bardzo.

- Bzykać się z nią.

- Tak, kochać się. Nie mam po prostu ochoty na seks z kimś, na kim mi nie zależy.

- Z czasem może ci zacząć zależeć.

Nawet ze mną tak bywa.

- Całkiem możliwe, ale ty się spodziewasz, że będę się z nimi bzykał tuż po tym, jak uścisnąłem im ręce na powitanie i nawet nie znam nazwisk. To po prostu nie w moim stylu.

Mógłbym być cholera i oświadczyć szyderczo, że on w ogóle nie ma stylu, zamiast tego jednak biorę głęboki oddech i przetrawiam jego słowa. To wcale nie takie głupie. Lepsze poznanie kobiety, a dopiero potem bzykanko nigdy nie było dla mnie czymś niezbędnym, co bym zalecał innym, ale z drugiej strony — taka sytuacja ma rzeczywiście zalety, zwłaszcza dla kogoś pokroju Craiga. Patrząc wstecz, widzę, że seks z Dianą był całkowitą stratą czasu. Bywało gorzej, ale nigdy aż tak bez znaczenia.

Craig wygląda na zdenerwowanego - nie chce mnie urazić, a jest jedną z niewielu osób na tym świecie, które wiedzą, że nie mam skóry nosorożca.

- To nie tak, że nie jestem ci wdzięczny za twoje starania, stary. Jestem - upiera się. - Kojarzysz tę dziewczynę, którą w zeszłą sobotę zagadnąłeś w moim imieniu?

- Nie przypominam sobie.

- Josie.

- Miała pieprzyk, o, tutaj? - Pokazuję na górą wargę.

- Tak, to ona. Cóż, spotkałem się z nią. Byliśmy na drinku.

- Dobra robota, stary. Pieprzyki bywają naprawdę seksowne.

Craig wpatruje się we mnie tak, jakbym zupełnie nie łapał, o co mu biega, po czym kontynuuje:

- Byłem także na lunchu z tą studentką-barmanką, z którą kilka tygodni temu rozmawialiśmy w Hind.

- Poważnie?

- Pamiętasz ją?

- Nie, ale założę się, że była niezła. — Jestem z niego dumny. — Nie mogę uwierzyć, że mi o tym nie powiedziałaś. Tajemniczy z siebie człowiek.

Żartobliwie uderzam Craiga w ramię. Brawo. To mnie naprawdę podniosło na duchu. Dało mi poczucie celu. Zaczynałem już myśleć, że tylko marnuję czas z Craigem, a to mi się nie podobało. I bez tego marnuję wystarczająco dużo czasu.

- Była urocza. Trochę za dużo opowiadała o swoim byłym chłopaku i jest ciut dla mnie za młoda, żebym chciał ponownie się z nią umówić, ale to był bardzo przyjemny lunch - stwierdza Craig.

- I o to chodzi. Kto nie ryzykuje, ten nie ma. - Choć oświadczyłem ci, że bym ją przeleciał. Kobiety tuż po rozpadzie związku to łatwy cel, a jemu przecież potrzebna jest praktyka. - Mam nadzieję, że każdy płacił za siebie, stary.

- Nie, ja zapłaciłem.

- Ale mówiłeś, że nie chcesz się już z nią spotkać.

- Powiedziałem także, że to był uroczy lunch.

Frajer.

ŚRODA, 25 PAŹDZIERNIKA

LUCY

Jestem bez prawa głosu. Zostałam przegłosowana przez Petera, Auriol, Sebastiana i Henry'ego. Nigdy nie sądziłam, że dożyję dnia, w którym mężczyzna i grupka dzieciaków staną się bardziej hałaśliwi, tryskający energią i pełnią życia ode mnie. Jedziemy do Center Parcs.

Zawsze byłam wdzięczna losowi za to, że przyszedłam na świat jako kobieta. Piękna, błyskotliwa, bogata kobieta, która mieszka w zachodnim świecie, nie ma zbyt wielu powodów do narzekania. Miałam wyrafinowanych, interesujących przyjaciół, z którymi mogłam rozmawiać, przystojnych mężczyzn, którzy się do mnie łąsili, a na długie podróże pociągami - własne rewelacyjne myśli, które zapewniały mi rozrywkę. Miałam wszystko, a konieczność noszenia butów, które kaleczyły mi stopy, wydawała się niewygórowaną ceną za przywileje i podniecające doświadczenia łączące się z byciem kobietą. Zawsze było mi szkoda mężczyzn, ponieważ są tacy nazbyt... uproszczeni. Ich rozmowy telefoniczne kończą się po trzydziestu sekundach, kupują bieliznę w trójkpakach po 5 funtów. Ale nagle się okazuje, że żyję w świecie, w którym to oni mają przewagę. Teraz widzę, że bycie mężczyzną ma całe mnóstwo zalet. Jest nią na przykład kwestia „mniej pracy, więcej kasy”, a także to, że nigdy nie muszą się poniżać i prosić o pomoc w otworzeniu słoika z dżemem, ale to zaledwie wierzchołek góry lodowej.

Wygląda na to, że wyjazd dla pięciu osób wymaga planowania z istic wojskową precyzją i - jeśli mam być szczerą - przydałaby mi się do pomocy cała armia. Urlop Evy rozpoczął się w czwartek i okazuje się, że piątek to dzień prania, kiedy więc w sobotę rano zabieram się za pakowanie, odkrywam, że niewiele rzeczy Auriol jest czystych, a żadne nie są wyprasowane. Uciekam się do wyciągnięcia źle dopasowanych (czy co gorsza - brzydkich) ubrań z głębi szafy i wybieram rzeczy z kosza na pranie, wacham je i spryskuję perfumami w desperackiej próbie ich odświeżenia. Jakoś udaje mi się zgromadzić wystarczającą liczbę rzeczy na cały tydzień - zakładając, że Auriol postara się trzymać z dala od błoda i farbek, jakoś damy sobie radę. Mimo że moja garderoba pęka w szwach, przekonuję się, że mam bardzo mało ubrań, które można by określić jako sportowe i w związku z tym nadające się na ten wyjazd. Niemniej jednak nie żałuję tego, że nie posiadam nylonów. W końcu udaje mi się znaleźć dwie pary dżinsów Diesel i bluzy z kapturem Roxy, które noszę podczas jazdy na nartach. I tak nie ma to znaczenia - ostatnio Peter rzadko zauważa, co mam na sobie, a ja będę się po prostu trzymać z dala od luster.

Podczas gdy ja biegam po domu, gorączkowo próbując znaleźć czyste i odpowiednie ubrania dla nas wszystkich, Peter postanawia udać się do kiosku i kupić gazetę. Następnie rozsiada się w salonie i zabiera za czytanie. Rose pojawia się razem z chłopcami punktualnie o 10.00. Podaje mi dwie porządnie spakowane walizki.

- Zapakowałam zapasowe ubrania na każdy dzień. Pewnie przesadzam, ale o tej porze roku bywa dużo błota i chłopcy się cali zabrudzą, zresztą Auriol pewnie też. - Szlag by trafił. - Poza tym lepiej mieć za dużo niż za mało. Zapakowałam im kąpielówki, okulary i ręczniki. Prawdopodobnie dają tam ręczniki, ale Henry ma alergię na niektóre proszki, dla niego włożyłam więc także pościel. - Biorę od niej dwie walizki, gdy tymczasem chłopcy przebiegają obok, ledwie się ze mną witając. - A tutaj są

ich śpiwory, gdyby Peterowi zachciało się spać pod gwiazdami. Kiedyś lubił biwakowanie. Ta torba jest pełna gier, kredek, papieru, ulubionych zabawek i tak dalej. - Biorę śpiwory i wielki plecak i zastanawiam się, jak to wszystko zmieścimy w samochodzie. Niczym Paul Daniels, nie wiadomo skąd Rose wyciąga następną torbę. - Tutaj są zapasowe adidasy, kalosze, klapki na basen i trapery. Myślę, że o niczym nie zapomniałam.

Woła chłopców, którzy natychmiast się zjawiają. Ja muszę ich wołać minimum pięć razy, zanim choćby mrukną w odpowiedzi. Tulą się do niej i obsypują mnóstwem pocałunków. Instruuje ich, że muszą słuchać tatusia (żadnej wzmianki o słuchaniu mnie). Zapewniają, że tak właśnie będzie. Rose odwraca się do wyjścia.

- Nie spakowałam żadnych przekąsek do samochodu, ponieważ byłam pewna, że ty się tym zajmiesz - mówi.

Cholera! Przekąski do samochodu. Piątek, oprócz tego, że jest dniem prania, musi być także dniem zakupów, ponieważ szafka w kuchni i lodówka świecą pustkami. Wysłałam Petera ponownie do kiosku, żeby kupił jakieś przekąski - mruczy coś pod nosem i pyta, czemu mu o tym nie powiedziałam, kiedy wcześniej szedł po gazetę. Nie mówię, że zapasy jedzenia nie przyszły mi do głowy, zanim nie wspomniała o nich Rose. Ja nie zajmuję się jedzeniem, dlatego właśnie wymyślono witaminy w tabletkach i restauracje. Opieram się pokusie wygłoszenia uwagi, że o ile mi wiadomo, nie istnieje prawo zabraniające mu niezależnego pomyślenia o kupnie przekąsek. Wraca z kieszeniami pełnymi słodczy, czipsów i czekolady - zanim dotrzemy na miejsce, dzieci będą skakać pod sam dach. Mógł przecież pomyśleć o tym, żeby kupić choć jedną paczkę rodzynek czy jabłko.

Nie mogę oskarżyć kurortu o to, że nie spełnia zawartych w reklamach obietnic. Center Parc to idealne miejsce dla ludzi z dziećmi i z tego właśnie powodu przyciąga mnóstwo ludzi z dziećmi. Jest potwornie. Auriol i chłopcy bardzo grzecznie się

zachowują, co napełnia mnie jednocześnie ulgą i przerażeniem. Gdzie bym nie poszła, czuję woreczki na pieluchy, ohydny, syntetyczny, kwiatowy zapach, któremu nie udaje się maskować wstrętnego odoru dziecięcych odchodów, i słyszę krzyki i płacze, gdy złośliwe, niesforne dzieci pastwią się nad swoimi rodzicami czy rodzeństwem. Trafiam na kobiety, którym życie wypełniają tylko i wyłącznie ich pastwiące się dzieci, dlatego też zachwycają się dostępnością lekcji salsy czy spacerami na łonie przyrody. To takie przygnębiające. Jest tutaj SPA, ale szybko się przekonuję, że wszystko jest już pozajmowane na całutki tydzień. Każda godzina została zabrana przez matki, które nie pracują i nie mają problemu z wykonywaniem prywatnych telefonów między 8.00 a 18.30. Żadna kwota w brązowej kopercie nie jest w stanie przekonać recepcjonistki, żeby „znalazła” mi miejsce na jakiś zabieg. Bez SPA jestem pozbawiona drogi ucieczki.

Poczytałabym coś, ale to by oznaczało, że muszę siedzieć w domku. Chyba cierpię na możliwą do zdiagnozowania alergię na wzornictwo azteckie, zwłaszcza gdy jest tego za dużo (sofa, poduszki i ściany) skupione na niewielkiej przestrzeni - czuję zbliżającą się migrenę. Odnoszę się podejrzliwie do każdej restauracji w kurorcie, ponieważ broszury reklamowe opisują je jako „eleganckie” i „wyrafinowane”, gość otrzymuje też zapewnienie, że dostępne są wysokie krzesełka i klamerki do torebek. Wiem, że będzie to po prostu bar sałatkowy w stylu „zjedz tyle, ile jesteś w stanie”.

Zapisuję dzieci na tyle zajęć, ile się da. Obozy dziecięce to prawdziwe olśnienie. Zapisując Auriol na jazdę konną, pływanie i lekcje tenisa, chłopcom zaś załatwiając jazdę quadami, ścianki wspinaczkowe i naukę chodzenia na szczudłach, jestem w stanie zapewnić sobie czas wolny od dzieci i jednocześnie uważać się za dobrą matkę. Będę mogła wrócić do Londynu i piąć z zachwytu, jak to dzieciom podobało się poznawanie nowych umiejętności, i Rose nie będzie się miała do czego przyczepić. Choć to dopiero trzeci dzień, dzieci mają średnio trzy rodzaje

zajęć dziennie (gwarantuje to wieczorne wyczerpanie — chrzanić koszty), jutro rano skończą się więc możliwości wyboru.

Peter sugeruje rodzinną partyjkę golfa.

- Dzieci poniszczą trawę. Najpierw potrzebują lekcji - przekonuję.

- Prywatne lekcje dla całej trójki będą kosztować majątek. My możemy je uczyć — proponuje raczej mało realistycznie.

Kręcę głową.

- Możemy wynająć łódkę i popływać na jeziorze.

- W październiku? Nie sędzę.

- Cóż, moglibyśmy się wybrać na wycieczkę. W ruchu będzie nam ciepło.

Nie biorę tej jego propozycji dostatecznie poważnie, żeby zaszczyścić ją odpowiedzią. Nie uznaję traperów i nie stanie się tak, dopóki nie zaczniesz ich produkować Jimmy Choo.

W końcu Peter i ja zostajemy sami, choć oznacza to, że jesteśmy sami w domku w Center Parcs, któremu brakuje, niestety, stylu i przestrzeni. Rozglądam się po tym aneksie kuchennym z sosnowymi szafkami i miniaturową lodówką - dwa grzechy w moim prywatnym kodeksie. Sofa rozkłada się i zgodnie z przewidywaniami niewygodnie się na niej zarówno śpi, jak i robi cokolwiek innego. Nie mogę siedzieć przy stole, laminat odkleja się na brzegach i nie mogę się powstrzymać, żeby za niego nie pociągać. Krążę po pokoju i patrzę, jak deszcz spływa po szybach. Wzdycham. Peter mnie ignoruje. Ponownie wzdycham - tym razem w tak wymowny i dosadny sposób, że jego gazeta zaczyna drżeć.

- Coś się stało?

Zadaje to pytanie tonem, który mnie przekonuje, że mojego męża zupełnie nie obchodzi to, czy coś jest rzeczywiście nie tak. Niemniej jednak decyduję się uznać jego pytanie za szczerze.

- Ten wyjazd nie wyraża mojej osobowości - oświadczam.

- Będziesz musiała to rozwinąć. Jestem tylko facetem.

— Popatrz, sosnowe drzwi.

Pokazuję na przeszkadzające mi sprzęty. Uważam, że kwestia ta nie wymaga wyjaśnienia. Jak mogę być szczęśliwa pośród takiej brzydoty?

— Co jest z nimi nie tak? — pyta Peter.

W chwilach takich jak ta rozumiem, jak to się stało, że kiedyś ożenił się z Rose.

— Nic, gdybyśmy byli na wakacjach w drewnianej chacie w Kanadzie, ale przecież nie jesteśmy. Poza tym to nie jest nawet prawdziwe drewno, tylko jakiś plastik albo pomalowana płyta pilśniowa. Te drzwi nie mówią „ja”.

— Jakiego rodzaju drzwi mówiłyby „rozpuszczona jędra”?
- pyta Peter.

Mam ochotę go zabić. Zastanawiam się, czy nie zatłuc go na śmierć swoim kuferkiem z kosmetykami. Zamiast tego decyduję się na powolne tortury. Broń, którą wybieram, to mój język.

— Tęsknię za życiem, w którym wakacje spędzałam w Sandersonie w LA albo w Chiva-Som w Tajlandii. W miejscach, do których jeździłam, gdy byłam singlem. Brakuje mi tego życia. Nie znoszę tego, że teraz oczekuje się ode mnie, że będę wdzięczna za Center Parcs z nędzną śródziemnomorską kafejką z widokiem na jezioro - to niezupełnie to samo co taras na dachu z widokiem na LA, prawda?

Oboje wiemy, że chodzi mi nie tylko o wakacje. Brakuje mi mojego apartamentu w Soho i tak naprawdę nie przepadam za tym ogłupiającym, dorosłym domem w Holland Park. Może i jest stylowy, ale czyj to styl? Na pewno nie mój. Nie lubię naszego wielkiego, rodzinnego samochodu, nawet jeśli jest to bmw X5. Podobał mi się mój mercedes SLK. Czasami żałuję, że przestałam prowadzić życie singla. Żałuję, że wyszłam za Petera. Żałuję, że nie pozostałam kochanką. Co ma się dobrego z poślubienia mężczyzny, z którym ma się romans? Oznacza to po prostu, że koniec z otrzymywaniem kwiatów. Co też takiego mówiła zawsze moja mama o mężczyźnie żeniącym się ze swoją

kochanką? Już wiem, mówiła, że w ten sposób tworzy się wakat. Czy to kolejna kwestia, którą powinnam się przejmować? Czy za jakiś czas pojawi się kolejna kochanka? A może jest już jakaś? Psiakrew, przypomina mi się Rose. O zgrozo. Czy przypominam ją Peterowi?

- Uprawiaj ze mną seks, Lucy.

Hm... Doprawdy rzadko się zdarza, żeby wystosowywał do mnie tego rodzaju prośbę w środku popołudnia. Ale nie mam ochoty rozmazać się ani potargać. Dopiero co przez godzinę malowałam się i układałam włosy.

- Nie znoszę, kiedy nazywasz to seksem - odpowiadam niechętnie. Gram na zwłokę.

- Kochaj się ze mną.

Patrzę na niego gniewnie. Kiedy ostatni raz uprawialiśmy seks, skończyło się tak, że wyraziłam zgodę na ten wyjazd. Czy mogę ponownie ryzykować? Jeszcze się okaże, że zgodziłam się na kupno przyczepy kempingowej i spędzenie tygodnia w Krajinie Jezior. Poza tym nie znoszę, gdy Peter prosi mnie o seks. Skoro mnie pragnie, to dlaczego po prostu mnie nie weźmie i nie załatwi tego po męsku?

- Kocham cię, Lucy.

Z tymi słowami odsuwa na bok gazetę. Od początku naszej wymiany zdań dopiero teraz widzę jego twarz. Rozbrajająco przystojną twarz, ale nie dają się zmiękczyć.

- Hej, czy to nie tytuł starego programu telewizyjnego?

- Nie, tamto to *Kocham Lucy*. Sam dodałem „cię”. Taka nutka osobista, wyróżniająca moje uczucie od uczuć milionów amatorów sitcomów z lat pięćdziesiątych.

Ja też go kocham, ale nie mogę mu teraz tego powiedzieć. Nie zrobię tego. Ani nie będę się z nim kochać.

- Muszę zadzwonić do biura.

Biorę komórkę, torebkę i papierosy i wychodzę z domku.

Rozmowa z Mickiem poprawia mi nastrój. Nie pyta mnie o wyjazd, co świadczy o jego takcie — wie doskonale, jak wielką

pałałam do niego niechęcią, poza tym nie lubimy poruszać przykrych tematów. Najczęściej unikamy rozmów o rodzinach (zgadzamy się, że bywają męczące) i jego dziewczynach (mówi mi, że są denerwujące) - ograniczamy się do rozmawiania o pracy, podróżach, restauracjach i barach. To cudownie dorosłe tematy. Wcześniej błagałam Ralpha, żeby zamiast podpisania mojego wniosku urlopowego przydzielił mi jakiś pilny projekt albo wysłał w podróż służbową, ale on uparł się, że to świetny pomysł, żebym spędziła trochę czasu z rodziną. Łatwo mu mówić. Prawdopodobnie nigdy nie musiał mieć do czynienia z ludźmi, dla których najzabawniejsze rzeczy na świecie to poduszki-pierdziawki.

Pytam Micka o wieści z biura. Brakuje mi ich. Center Parc przyprawia mnie o klaustrofobię, ale czuję się tutaj także osamotniona. Tęsknię za przepychankami w zatłoczonym metrze (jestem aż tak zdesperowana) i rywalizowaniem na rynkach z innymi traderami. Mick mówi mi, że otrzymaliśmy potwierdzenie załatwienia tego kontaktu w Nowym Jorku i że załuje, że nie możemy tego razem świętować. Gdy mi to mówi, mam tak wielką ochotę świętować z Mickiem, że aż boli. Dociera do mnie, że tutaj mogę liczyć jedynie na kieliszek ciepłego Asti Spumante w hałaśliwym rodzinnym barze.

- Głowa do góry, Księżniczko! Zabawimy się po twoim powrocie do cywilizacji - mówi Mick.

- Możliwe, że tylko dzięki tej myśli przetrwam ten tydzień - odpowiadam.

- Ralph przebąkuje coś o tym, żeby się szarpnąć i urządzić imprezę dla całej firmy, żeby to uczcić.

- To pewnie kwestia odliczeń podatkowych. Założę się, że musi wydać sporo kasy na szkolenia motywacyjne pracowników.

-A może po prostu chce wynagrodzić teamy za nasze ostatnie fantastyczne dokonania. Jesteś taka sceptyczna.

- A co to, u licha, za różnica, dlaczego urządza imprezę, ważne jest to, że zdmuchnę kurz z mojej kiecki.

Albo będę miała pretekst, żeby kupić nową.

- Pisziesz się na nią?

- Tak.

- Założę się, że w ostatniej chwili się wycofasz.

- Chcesz, żebym z tobą imprezowała? - Nie mogę się po-
wstrzymać i we flirtierski sposób zachowuję na końcu zdania
intonację wznoszącą.

- Zawsze, Księżniczko.

I wtedy musi dość nagle zakończyć rozmowę, ponieważ na
rynkach amerykańskich dzieje się coś godnego uwagi. Bardzo
bym chciała wiedzieć co.

Kiedy wracam do domku, zauważam, że dzieci zdążyły się
już pojawić po całym dniu różnych zajęć. Wygląda to tak, jak-
by domek się skurczył i ta odrobina wolnej przestrzeni jest te-
raz zajęta przez kurtki i ubłocone buty. Chłopcy toczą ze sobą
pojedynek. Henry używa jako broni mopa, a Sebastian szczot-
ki. Uderzają mocno bronią o broń i ledwie unikają poobcina-
nia sobie nawzajem głów czy choćby zerwania brzydkich fi-
ranek. Mimo że według mojego prywatnego kodeksu żadnej
z tych sytuacji nie można by określić mianem katastrofy, czuję
się w obowiązku, żeby wrzasnąć na nich i kazać im się uspokoić.
Ignorują mnie. Auriol płacze. Prawdę powiedziawszy, płacz
sugeruje poziom umiaru, którego ona nie posiada. Auriol szło-
cha i zawodzi z udręczeniem charakteryzującym włoską mam-
mę, która się właśnie dowiedziała, że jej pierworodny ożenił się
z miejscową dziwką. Pytam ją, dlaczego płacze. Okazuje się, że
przyczyną jest to, że czuje się opuszczona. Trzeba zaznaczyć, że
Peter nadal czyta gazetę.

Cierpię w milczeniu przez dwie kolejki gry w spadające
małpki, kilka rozdań kart (co komplikuje fakt, że Auriol ma
problemy z przyswajaniem zasad) i grę w awanturę arabską,
której nie dane jest nam dokończyć, gdyż Sebastian przewraca
planszę do góry nogami, kiedy musi zrobić najdłuższego węża.
Mówię dzieciom, że wszystkie mają się wykapać, i że powin-

niśmy szykować się do wyjścia na kolację. Nagle ta koszmarna restauracja, która serwuje jako deser lody Vienetta, wydaje się niezwykle kusząca. Odwracam się do Petera, żeby kazać mu dopilnować kąpeli, ale widzę, że tymczasem zdażył gdzieś zniknąć. Dzieci mi mówią, że godzinę temu wyszedł do baru, a ja po prostu tego nie zauważyłam.

Pierwsza do wanny wchodzi Auriol, ponieważ wszyscy zgadzają się co do tego, że to ona będzie potrzebować najwięcej czasu, żeby wybrać strój na wieczór. Co jest zdumiewające, kiedy weźmie się pod uwagę fakt, że przywiozłam ograniczoną liczbę rzeczy, chłopcy zaś mają ze sobą całą szafę.

Auriol wyłania się ze swojego pokoju w różowej sztrukturalnej spódniczce i pomarańczowej bluzie, na nogach ma zaś kolorowe rajstopy w paski. Na bluzie wyhaftowano kilkanaście żółtych stokrotek i mimo gryzących się kolorów Auriol wygląda bosko. Pasuje jej właściwie każdy zestaw ubrań - odziedziczyła to po rodzinie z mojej strony.

- Nie widziałam jeszcze tej bluzy - mówię.
- Sebastian i Henry mi ją dali.

Rose od czasu do czasu to robi - kupuje nieoczekiwany prezent dla Auriol. Oczywiście, wszyscy to postrzegają jako kolejny objaw jej wielkoduszności - ja dostrzegam w tym krytykę. Czy ona wiedziała, że nie będę mieć wystarczającej liczby czystych rzeczy na cały tydzień? Na twarz przywołuję uśmiech, który omija moje oczy, i mówię:

- Jak to ładnie ze strony Rose. Musimy napisać kartkę z podziękowaniem.

- Lucy.
- Mów na mnie mama, Auriol.
- Chłopcy nie mówią.
- Bo nie jestem ich mamą. Jest nią Rose. Wiesz przecież

o tym.

Staram się, żeby w moim głosie nie było słychać zniecierpliwienia, ale naprawdę! Przerabialiśmy to już jakieś sto razy.

Wstrzymuję oddech i czekam, aż powie, że żałuje, że Rose nie jest jej mamą, co byłoby kolejnym logicznym krokiem w tej rozmowie, ale zamiast tego Auriol mówi:

- Mamo, uczeszysz mnie w warkocz francuski?

Odkładam gazetę i się zastanawiam. Czytam właśnie interesujący artykuł. Ale ona rzeczywiście wygląda uroczo w takiej fryzurze, a poza tym nie powiedziała mi, że wolałaby, aby to Rose była jej matką, czego się spodziewałam.

Nigdy tego nie zrobiła.

Na ogół sprawia wrażenie dość ze mnie zadowolonej, mimo moich oczywistych niedoskonałości. Nagle okazuje się to dla mnie bardzo ważne. Jej akceptacja stoi w opozycji do moich poglądów. Biorę do ręki szczotkę i zaczynam czesać jej jedwabiste jasne włoski. Ich gładkość pod moją ręką wydaje się kojąca.

- Dobrze się tutaj bawisz, mamusiu?

- Wolałabym, żebyśmy byli teraz w jakimś bardziej słonecznym miejscu — odpowiadam.

Nie będę jej okłamywać, ale nie chcę psuć tej chwili, wyjaśniając swoje prawdziwe myśli na temat tego piekła na ziemi.

- Myślisz, że to właśnie martwi tatusia?

- Co masz przez to na myśli?

- Nie jestem pewna, czy dobrze się bawi, choć jest tutaj basen i trzy restauracje.

Kręci głową w bezgranicznym zdumieniu.

Auriol wyraźnie nie rozumie, dlaczego jej rodzice się upierają, żeby wszystko komplikować. Ja też nie. Martwi mnie to, że czterolatka potrafi rozpoznać niezadowolonego męża mimo spędzania w towarzystwie rodziców zaledwie kilku krótkich godzin dziennie. Zreasumuję. Jak na razie posprzeczaaliśmy się w kwestii zakwaterowania: ja twierdzę stanowczo, że jest za ciasno, zwłaszcza mając na uwadze wydawane przez nas pieniądze - Peter opisuje to miejsce jako przestronne. Chyba go porąbało. Nie ma co liczyć na choćby odrobinę seksu, skoro muszę egzystować w tak koszmarnych warunkach. Darliśmy

koty o jedzenie: ja uważam, że jest nijakie i pełno w nim dodatków, Peter twierdzi, że jest idealne dla dzieci. Pokłóciliśmy się z powodu pogody: zgadzamy się, że jest paskudna, ale Peter wyznaje przekonanie, że czymś niedorzecznym z mojej strony było spodziewanie się czegoś innego. Wymieniliśmy ostre słowa na temat poziomu higieny w przebieralniach: według mnie jest on absolutnie przerażający i mam zamiar napisać o tym do kierownictwa, Peter wyznaje zasadę, że to co nas nie zabije, to nas wzmocni. Przerywam myślowe wyliczanki, gdyż wszystkie te nieporozumienia wystąpiły jeszcze przed sobotnią kolacją. Atmosfera jest znacznie mniej wesoła niż podczas niejednego pogrzebu, w którym brałam udział.

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Julii, mojej asystentki. Mogłabym kazać jej do mnie zadzwonić z informacją o nagłej sytuacji wymagającej mojego natychmiastowego powrotu do Londynu. Na pewno byłoby lepiej, gdybym znalazła się z dala stąd, z dala od Petera. Nie ma sensu zostawać i pozwalać, żeby nasze wzajemne pretensje przybierały na sile. Wzdycham i akceptuję sytuację, która wydaje się porażką.

PIĄTEK, 27 PAŹDZIERNIKA

JOHN

Craiga nieczęsto można określić mianem wesołka, ale dzisiajszego wieczoru jest wyjątkowo zamknięty w sobie. Wydaje się czymś strapiiony i nie interesują go nawet moje bardzo zabawne żarty - sam muszę krztusić się ze śmiechu. Zastanawiam się, czy powinienem go zapytać, co mu leży na sercu. Wiem, że gdyby sytuacja była odwrotna, on by mnie na pewno o to zapytał, ale odrzucam ten pomysł jako nieco zbyt delikatny i robię, co w mojej mocy, żeby ożywić go na swój niezrównany sposób: naśmiewam się z jego nowych butów, oświadczam mu, że zachowuje się jak nudny dureń i pokazuję dwie kobiety przy barze, które przez cały wieczór mierzą mnie spojrzeniem. Żadna z tych rzeczy nie wywołuje najmniejszych reakcji.

- Stary, moglibyśmy im przynajmniej powiedzieć „cześć”, wyglądałoby to przyjacielsko - błagam.

Nie mówię mu tego, ale chętnie bym się zabawił.

- Nie będą mną zainteresowane - odpowiada ponuro.

Nie jestem w stanie z nim wygrać. Jeśli pokazuję seksowną laskę, która ma nieco bardziej ropuchowatą koleżankę, Craig się obraża, ponieważ słusznie zakłada, że zarezerwowałem tę seksowną dla siebie, i uważa, że sugeruję, że on nie jest w stanie poderwać piękności. Jeśli pokazuję mu dwie śliczne panie, robi się nieśmiały i mówi mi, że to nie jego liga. Jeśli mam być szczery, to zaczyna mnie trochę nudzić to samozwańcze zadanie,

polegające na próbie znalezienia dziewczyny dla Craiga. Jego proces selekcji pozostaje dla mnie zupełną zagadką. Chodzi o to, że gdyby dał mi jasne wytyczne, mógłbym rozwiązać jego problem, on tego jednak nie zrobił. Nie powiedział, czy ma ochotę na blondynkę czy brunetkę, czy podobają mu się kobiety o krągłych kształtach czy androgyniczne. Nie przedstawił mi nawet listy tego, czego należy unikać (na przykład kobiet, które żują gumę, chodzą z koleżanką do toalety albo nigdy nie mają przy sobie gotówki). Nawet tego rodzaju grymasy mogłyby stanowić jakiś początek. Craig utrzymuje, że kobieta, której szuka, będzie mieć coś trudnego do określenia, i że on to rozpozna.

Bzdety, jeśli mam być szczerzy.

- Nie możemy po prostu wypić w spokoju drinka?
-pyta.

Już, już mam powiedzieć, że nie, zdecydowanie nie, ale chwilę zastanawiam się nad tym pytaniem. W zasadzie spokojny wieczór byłby całkiem w porządku. Również nie jestem pewien, czy chcę dzisiaj z kimś się urwać. Nie z kimkolwiek.

Kurczę, nie twierdzę, że chcę się urwać z kimś, okej? Konkretnym i ważnym kimś? O rany! Cholerna, cholerna Connie. Jak to u diabła możliwe, że wszystko zaczęło się od początku? Pierwszy raz był już wystarczająco nieznośny.

- Dobra, stary - zgadzam się. - Może być spokojny wieczór.

Widać, że mu ulżyło.

Udaję się do baru, żeby kupić nam coś do picia. Zamawiam mu nawet sok pomarańczowy, o który prosi, i nie myślę, żeby zaprawić go alkoholem. Kiedy wracam do naszego stolika, widzę, że choć jest smutasem, jeśli chodzi o zagadywanie lasek przy barze, Craig nie wygląda na przygnębionego. Jest czymś pochłonięty, to prawda, ale nie roni łez do swojego kufła - prawdę mówiąc, wydaje się radosny, ożywiony i podekscytowany.

- Co się dzieje? - pytam wreszcie.

- Nic.

Craig oblewa się rumieńcem, co na nieszczęście dla niego, wyraźnie wskazuje na to, że coś z całą pewnością się dzieje. Stawiam na to, że chodzi o dziewczynę. Gdyby przejmował się pracą, powiedziałby mi o tym. Nie ma oporów przez zanudzeniem mnie szkolnymi historiami. Teraz jednak zachowuje się wstydliwie, a więc musi być w to zamieszana jakaś dama. Wypada, żeby puścił farbę.

— Możesz mi powiedzieć. - Uśmiecham się, pragnąc, żeby mi zaufał.

— Raczej nie mogę.

- Jestem uosobieniem dyskrecji.

— Nie, jesteś jak syrena przeciwmgielna.

— Zrozumiem.

— Bądź realistą.

— Stary, czuję się urażony. - Staram się wyglądać na mocno zranionego. Właściwie to troszkę jestem. Nie jestem przecież zupełnym kaleką emocjonalnym. Może będę w stanie zrozumieć. - Kim ona jest?

Ustępuje mi trochę, ponieważ łatwo się daje naciągnąć i nie może znieść myśli, że ktoś uraził, nawet takiego bezwartościowego drania jak ja.

— Dla mnie nikim, na razie. Ale tak sobie myślę, że jest maleńka szansa na to, że może być dla mnie kimś wyjątkowym i na razie nie chcę mówić ci niczego.

— Myślisz, że zapeszę?

— Nie, ale to zniszczysz.

— Bzykałeś się z nią?

- Nie!

— Obmacywałeś?

- Nie.

— Byłeś gdzieś z nią?

- Nie.

— Cóż, stary, wychodzi więc na to, że nie za bardzo jest o czym opowiadać, czyż nie? — Craig patrzy na mnie gniewnie.

Pociągam łyk piwa, po czym zmuszam go do pokazania kart.

- Och, już rozumiem. Jest mężatką.

- Nie! - Niemal zachłystuje się sokiem pomarańczowym i oburzeniem.

- Ale niedostępna, zgadza się?

- Coś w tym rodzaju.

- Dała ci kosza?

- Nie, to nie tak.

- Dlaczego nie?

- Dlatego.

- Dlatego?

Czekam, ale Craig ma opory przed udzieleniem wyjaśnień. Powoli i bardzo długo sączę piwo, aż w końcu pęka.

- Nie dała mi kosza, ponieważ nie określiłem jasno swoich uczuć. Nie zrozumiałbyś tego. To nic konkretnego. To kobieta, którą znam już jakiś czas i od dawna podziwiam. Niedawno zaświatało mi po prostu, że może jest jakaś szansa. Wiesz? Że może jest ona otwarta na... Cóż, że może nie uzna za zupełnie niedorzeczny pomysł, że my... Och, ale to niemożliwe.

Staram się nie śmiać z faktu, że mój kumpel zachowuje się jak nastolatka.

- Dlaczego to niemożliwe?

- To jedna z mam ze szkoły. Samotna matka - dodaje pośpiesznie. - Ale jeśli źle to odbieram i ona nie, no wiesz...

- Nie podobasz się jej?

Craig dzieli włos na czworo.

- Jeśli ona nie zareaguje życzliwie, wtedy wyjdę na totalnego idiotę. Nieprofesjonalnego totalnego idiotę.

Craig wypija do dna sok pomarańczowy, próbując ukryć tym fakt, że znowu się rumieni. Nie jestem pewien, czy powodem szkarłatu na twarzy jest ożywienie, frustracja czy zakłopotanie. Wiem, że się spodziewa, że zacznę z niego szydzić, ale nie mogę. W tej jego nieśmiałej wędrówce przez życie jest coś ujmującego. Szkoda, że ja nie jestem taki prostoduszny.

Ponownie siedzimy w milczeniu. Ja obejmuję dłońmi swój kufel, a Craig pustą szklankę. Nagle uderza mnie fakt, że to cholernie smutne, że dwa takie byczki jak my nie mogą sobie zapewnić przyzwoitej akcji. To znaczy naprawdę przyzwoitej. To oczywiste, że otrzymuję całkiem sporo seksu, tyle, ile mam ochotę. Ale jakimś cudem samo w sobie stało się to problemem. Bzykanko nie jest dla mnie, w przeciwieństwie do Craiga, kwestią problematyczną. Nie brużdżą mi surowe zasady moralne. Każda dziurka to cel. Problem jest taki, że ostatnio zauważyłem, że w chwili, gdy kobieta staje się dostępna, podekscytowanie gaśnie. Dreszczyk emocji towarzyszy gonieniu, a teraz żadna już nie ucieka. To znaczy: prawie żadna.

Kto by pomyślał, że istnieje coś takiego jak zbyt dużo ochoczych pań? Cóż, Andrea, moja była żona, chyba mi to kilka razy powiedziała. Możliwe, że Connie także. Ale kto by pomyślał, że ja sam uznaję, że może być coś takiego, jak zbyt dużo uroczych dam?

I jeszcze kwestia Craiga: orbituje na tym samym rynku co ja, ale nie może niczego zdobyć. Jest całkiem przystojny w taki chłopięcy sposób. Wystarczy raz na niego spojrzeć i już wiadomo, że w żadnym z jego otworów nie pojawiło się nigdy nic nielegalnego ani obcego. Z nowymi ubraniami i fryzurą jest bardzo atrakcyjny. I - Boże, miej go w swojej opiece, oto sedno sprawy — jest przyzwoity. Wiecie, to przecież powinno się liczyć. Gdyby ten świat miał choć odrobinę sensu, Craigowi powinno iść lepiej ode mnie. Zasługuje na to, ale oczywiście tak się nie dzieje. A powodem jest to, że brak mu pewności siebie.

Kobiety są surowe i nie dostrzegają nic oprócz jego okularów i obsesyjnego zainteresowania pudełkami do zapalek Royal Doulton. Nie potrafią wybaczyć faktu, że w jego kolekcji płyt swoje miejsce mają Elton John i Diana Ross. Chryste, o czym ja mówię? To przecież jego kolekcja płyt. Kobiety widzą jego zakłopotanie i sądzą, że będzie się szarpał z zapięciem ich stani-

ka. Obserwują, jak starannie przeżuwa jedzenie, i zakładają, że brakuje mu istotnych żądy. Oceniają, lekceważą i odrzucają. Brakuje im jego przyzwoitości, jego inteligencji i jego troskliwości. Są tak cholernie głupie - lubią drani. Wolą mężczyzn takich jak ja od mężczyzn takich jak Craig. To jest właśnie najlepszy dowód na to, że kobiety są popieprzone.

Sądziłem, że to będzie całkiem proste - kobiety zawsze się uskarżają na brak przyzwoitych facetów, ale wcale nie mają na myśli przyzwoitości. Obserwuję to raz za razem przez kilka ostatnich tygodni. Kobiety przyjmują stawiane przez Craiga drinki, ale nie rozmowę. Posyłają mu oschłe spojrzenie, kiedy prosi je do tańca. Miażdżą go chichotem pełnym samozadowolenia, kiedy proponuje, że razem pojedą taksówką. I z każdym szyderczym uśmiechkiem, obojętnym wzruszeniem ramion, niegrzeczną odmową widzę, jak rodząca się pewnośc siebie Craiga maleje. Całkowicie się już poddał. Robiłem, co w mojej mocy. Próbowałem zapoznać go ze sposobami traktowania kobiet (bądź dla nich niedobry, a będą ci jadły z ręki), ale zaczyna do mnie docierać, że w wypadku Craiga to się nigdy nie uda.

Patrzę na niego i jego dobroć przypuszcza na mnie szturm. Z jednej strony okropnie jest znajdować się tak blisko autentycznej dobroci, jeśli samemu jest się dupkiem, ale z drugiej - jest to podnoszące na duchu i wzbudza w tobie chęć zrobienia czegoś przyzwoitego.

- Ale co, jeśli rzeczywiście cię lubi? - pytam.

Craig milczy. Całkiem możliwe, że taka ewentualność w zasadzie nie przyszła mu do tej pory do głowy. To naprawdę żałosne. Nie daję za wygraną.

- Jaka ona jest?

Żaden facet nie jest w stanie oprzeć się mówieniu o przedmiocie swego pożądanja. Nawet ja, a już z całą pewnościamię Craig.

- Jest troskliwa, uczciwa, szczerza i praktyczna.

Bardzo się chciałbym dowiedzieć, czy jest ślicznotką, ale wiem, że to akurat nie ma dla Craiga znaczenia - możliwe, że w ogóle nie zwrócił na to uwagi.

- Wydaje się idealna, stary.

Mówię to powoli i wyraźnie, tak żeby Craig wiedział, że nie robię sobie jaj ani nie próbuję mu wciskać kitu.

- Tak myślisz?

Craig podnosi na mnie wzrok i uśmiecha się z nadzieją. Na jego twarzy widnieje wyczekiwanie. Dziwię się, że mimo wszystko liczy się z moją opinią, ale jednocześnie cieszy mnie to.

- Jest w twoim guście. Myślę, że powinieś spróbować. A może zaprosisz ją na wesele Toma? Zobaczy cię w eleganckim garniturze. Kobiety to uwielbiają.

- Może. Myślałem, żeby spróbować i najpierw spędzić z nią trochę więcej czasu jako przyjaciel, wiesz? W ogóle się nie spieszyć. Sporo już w życiu przeszła i nie chcę jej teraz wystraszyć.

Myśl o tym, że Craig mógłby kogoś lub coś wystraszyć wydaje się wysoce nieprawdopodobna, ale kiwam głową, klepię go w plecy i mówię:

- Całkiem dobry plan, stary. Powodzenia. Informuj mnie na bieżąco.

Po czym ogarnia mnie przecucie, że moje lekcje miłości udzielane Craigowi dobiegły końca.

WTOREK, 31 PAŹDZIERNIKA

LUCY

Ani Halloween, ani wieczór 5 listopada nie obronią się podczas uważnej inspekcji strażników moralności. Pierwsze święto wywodzi się z pogańskich zabobonów, opierających się na założeniu, że duchy, upiory i potwory są jakimś cudem zabawne, a nie makabryczne i przerażające. Podczas drugiego świętuje się natomiast okrutne tortury człowieka, który jedynie korzystał ze swojego demokratycznego prawa do zgłoszenia protestu, choć trzeba przyznać, że uczynił to dość dramatycznie. Osobiście mogłabym się obejść bez obu tych tradycji. Auriol podskakuje jednak z podekscytowania na myśl o czekających na nią w tym tygodniu atrakcjach.

Eva przyszykowała jej niesamowicie słodki kostium. Auriol ma na sobie fioletowo-czarne rajstopy i fioletowo-pomarańczową suknię czarownicy. Jest wyszywana cekinami i tiulem i bardziej wygląda na suknię wróżki niż wiedźmy. Moim zadaniem było kupienie kapelusza czarownicy. Widziałam piękne w sklepie z kartkami w centrum, niedaleko mojej pracy. Miały astronomiczną cenę 45 funtów. Widać, że ich producent był nastawiony na rodziców ubogich w czas, bogatych zaś w gotówkę. Wykonano je jednak z filcu i ręcznie naszyto jedwabne gwiazdy i półksiężycy. Znalazłam je kilka tygodni temu i szczegółowo opisałam Evie i Auriol. Kapelusze z papieru sprzedawane w większości marketów zostały natychmiast odrzucone. Auriol zapagnęła tego

z wykonanymi ręcznie naszyciami. Podoba mi się to, że moja córka umie rozpoznać jakość, i obiecałam kupić jej taki kapelusz. Tyle tylko, że zapomniałam. Zapominałam każdego dnia od końca września, mimo częstego przypominania. Tłumaczyłam, że jestem bardzo zajęta w pracy, że zawsze tak jest. Dzisiaj miałam ostatnią szansę, gdyż dziś jest Halloween. Gdy rano wychodziłam z domu, Eva przypomniała mi, jak ważny jest to zakup. Obiecałam, że zajmę się tym podczas przerwy na lunch. Ale Mick zaproponował, żebyśmy zajrzeli do nowej restauracji serwującej sushi, i kapelusz wyleciał mi z głowy.

Auriol była nie tyle rozczarowana, ile wściekła — bywają chwile, kiedy widzę w niej siebie. Nie wybaczyła mi tego, że porzuciłam ją w tym potwornym Center Parcs, mimo że zostałam tam aż do czwartkowego obiadu. Gniewnie rzuciła się na kanapę i oświadczyła mi bez ogródek, że jestem beznadziejną mamą, że nigdy nie zrobiłam nic dobrze i że po co coś obiecywać, skoro nie dotrzymuje się potem słowa. Moje przemyślenia i obserwacje były podobne, nawet się więc nie broniłam. Zamiast tego zostawiłam ją Evie, sama zaś poszłam na górę, aby się przebrać. Żałuję teraz, że zaproponowałam, żeby urządzić u nas to koszmarnie przyjęcie z okazji Halloween. Zrobiłam tak tylko dlatego, że właśnie tego rodzaju rzeczy Peter oczekuje od matek. Cholerna Rose znowu stworzyła niewykonalne precedensy.

Udaję się do swojego pokoju, biorę prysznic, po czym zakładam rozpinany sweterek Missoni, dżinsy DKNY i kozaczki Westwood. Kiedy zaś schodzę na dół, kryzys zdążył już zostać zażegnany. Eva zrobiła naprędce kapelusz z tektury i poprzyklejała do niego złote gwiazdki. Dobrze, że zawsze ma na podorędziu wypełniony po brzegi karton z różnego rodzaju przyborami i materiałami. Kapelusz jest całkiem oryginalny i uroczy. Czy domowe rękodzieło nie jest przypadkiem w tym roku ostatnim krzykiem mody? Connie była bardzo podekscytowana, kiedy na zeszlą Gwiazdkę otrzymała zestaw do samodzielnego zrobienia szalika z M & S.

Stół wygląda wspaniale. Eva, Peter i Auriol wydrążyli całe mnóstwo dyń. Co najmniej dziesięć znajduje się na zewnątrz, w pobliżu drzwi, a dziesięć kolejnych pomysłowo porozstawiali w kuchni. Eva naszykowała zupę dyniową i placek nadziewany dynią. Zrobiła też fioletową galaretkę z ukrytymi w środku zielonymi galaretowatymi robakami i małe czekoladowe torciki w kształcie kocich pyszczków. Oprócz tego przygotowała wielką kadź całkiem mocnego ponczu (stosownie do moich instrukcji). W pretensjonalnej cukierni tuż za rogiem zamówiłam dwa tuziny uroczych okrągłych ciasteczek czarownic. Zostały dostarczone w wielkim wiklinowym koszu i choć 120 funtów wydaje się nieco wygórowaną ceną za dwadzieścia cztery ciastka, Auriol jest nimi oczarowana. Wybacza mi moją krótką pamięć w kwestii kapelusza i dlatego uważam te ciastka za bezcenne. Ostatnie na co mam ochotę, to żeby żaliła się ojcu na moje niedociągnięcia, których on i tak jest aż nadto świadomy.

Mam nieodparte wrażenie, że Peter nie kupił bajeczki o moim nagłym wezwaniu do biura. Wyczuwam jego dezaprobatę, rosnącą niebezpiecznie. To bardzo ważne, żeby dzisiejsze przyjęcie się udało. Choć nie żałuję decyzji o urwaniu się z Center Parcs, wiem, że muszę odzyskać nieco przewagi nad Peterem. Wszystkie moje dawne sztuczki zakładały udział skąpych majteczek. Ta myśl jest równie dziwaczna jak mój udział w przyjęciu charytatywnym Komitetu Rodzicielskiego. Przy odrobinie szczęścia dzisiejsza impreza zostanie uznana za akt pojednania.

Trzy lub cztery dziewczynki docierają razem ze swoimi matkami. Nie bardzo pamiętam imiona zarówno dziewczynek, jak i ich mam. Dziewczynki wyglądają tak samo. To dzieci naszych czasów - ładne, ale nadąsane i wymagające. Matki są takie same, na początku udręczone, dopiero gdy uwalniają się od dzieci z ich twarzy znika napięcie i nie mogą się doczekać kawy bez towarzystwa dzieci. Żadna z nas nigdy nie sądziła, że coś takiego stanie się rarytasem.

Eva zgodziła się zostać, żeby pomóc podczas przyjęcia. Płacę jej podwójną stawkę. Zaprosiła dwie przyjaciółki nianie, a każda zjawiła się z trójką dodatkowych dzieci. Eva informuje mnie, że jej przyjaciółkom także będę musiała zapłacić za ich profesjonalne usługi. Upiera się, że bez nich sobie nie poradzi. Mam ochotę zauważyć, że bez nich byłoby znacznie mniej dzieci do pilnowania, ale nie mogę ryzykować. Jeśli się obrazi i pójdzie do domu, będę musiała odwołać to przyjęcie. Zamiast tego wpuszczam trzy nianie i trzy miliony dzieci do pokoju zabaw, gdzie Eva uczciwie na siebie zarabia, organizując zabawę w upiorne krzeselka do wynajęcia, która jest taka sama jak zabawa w tradycyjne krzeselka, tyle że dzieci podczas bieganina i czekania na zajęcie miejsc dodatkowo wyją.

Peter zjawia się mniej więcej w tym samym czasie co Connie, Luke i dziewczynki. Dociera do mnie, żeby aby to zrobić, musiał wyjść z pracy o 16.30. Jestem mu wdzięczna za to, że się postarał, i wiem, że nie było to łatwe - ja wyszłam z pracy o 15.30 i aby to było możliwe, musiałam zrobić szefowi laskę. Żartuję. Ale rzeczywiście musiałam obiecać, że jutro rano znajdę się w biurze przed szóstą.

- Mój Boże, stół wygląda fantastycznie! - wykrzykuje Connie. — I te ciastka! Są niesamowite.

Niestety, Connie nie pokazuje na te w wiklinowym koszyku, ale na kocie pyszczki, które Fran i Auriol zaczęły już pochłaniać.

— Nie mogę przypisać wszystkich zasług sobie - mówię, co wcale nie jest kłamstwem, a poza tym można odnieść wrażenie, że być może mogłabym to zrobić, tyle że jestem skromna. Biorę się za nalewanie dorosłym ponczu. - Czy to dzwonek? Sądzicie, że to już dzieci po słodycze?

Ogarnia mnie lekka irytacja. Nie miałam czasu, żeby poukładać słodycze na dyniowej tacy, którą kupiłam przed rokiem w tym celu. Dlaczego nie miewam już czasu, żeby zrobić coś porządnie i elegancko?

- To nie dzieci po cukierki! - woła Peter z korytarza. - To tylko bliźniacy.

- Bliźniacy?

Nie zapraszałam ich. W zeszłym tygodniu naoglądałam się ich tak dużo, że wystarczy mi na całe życie.

Peter sprowadza chłopców na dół do kuchni. Henry jest przebrany za czarnoksiężnika, Sebastian zaś za diabła. Pasuje mu to. Widzę natychmiast, że ich kostiumy zostały uszyte ręcznie i na pewno nie przez *au pair*- oni nie mają *au pair*. To dzieło Rose. O Boże, on chyba nie zaprosił także jej?

Kiedy przebywamy razem w zamkniętym pomieszczeniu, zawsze panuje atmosfera skrępowania, zwłaszcza gdy towarzyszą nam wspólni znajomi. Luke i Connie są przesadnie mili dla Rose, żeby nie czuła się zdradzona, że nadał przyjaźnią się ze mną, co ja traktuję jako irytujące i niepotrzebne po tylu latach. Obejmują ją i oświadczają, że świetnie wygląda. Nieco mnie to przyprawia o mdłości, ale muszę przyznać, choć z bólem, że rzeczywiście wygląda całkiem do rzeczy. Zasluga nowej fryzury i nowych ubrań. Schudła? Czyżby miała makijaż?

- Nie mogę zostać - mówi Rose. Nie słyszałam, żeby ktoś ją o to poprosił. - To bardzo miłe z waszej strony, że zaprosiliście chłopców w środku tygodnia — dodaje.

Specjalnie to mówi. Nie uważa, żeby Peter widywał się z nimi wystarczająco często, mając na uwadze to, że mieszkamy tak blisko siebie, mimo że zaledwie w zeszłym tygodniu zabraliśmy ich na całotygodniowe ferie. Nigdy nie otrzymujemy podziękowania za to, co rzeczywiście robimy. Jedyne słowa krytyki, gdy czasami coś nie wyjdzie.

Uśmiecham się szeroko.

- Zawsze są tu mile widziani. To przecież także ich dom - mówię to celowo, żeby ją zirytować.

- Nieprawda.

Po raz pierwszy Rose patrzy bezpośrednio na mnie. Zazwyczaj woli unikać kontaktu wzrokowego. Nie bardzo jestem

pewna dlaczego. Nie posiadam takiej mocy, żeby zamienić ją w kamień. Uwierzcie mi, gdyby tak było, zdążyłaby się już o tym przekonać.

Luke bierze ze stołu kosz z ciastkami i częstuje ją.

- Nie, dziękuję. Nie przepadam za kupnymi ciastami - mówi. Skąd ta diablica wie, że kupiono je w sklepie? - Poza tym trochę się spieszę.

- Na pewno wybierasz się w jakieś ciekawe miejsce — kwituję. Po czym dodaję pod nosem: - Bądź co bądź mamy dziś Halloween.

Słyszysz mnie, co według mnie wcale nie jest takie złe. Ale z pełnego złości spojrzenia, jakie posyła w moim kierunku Peter, wnioskuję, że on także słyszał moje słowa, a to akurat jest złe. Bardziej cieszyłabym się swoim zwycięstwem, gdybym się tylko czuła jak zwycięzca.

- Prawdę powiedziawszy, mam randkę — oświadcza Rose, potem niczym wiedźma, którą z całą pewnością jest, obraca się na pięcie i znika.

Razem ze sobą zabiera całkiem sporo imprezowego nastroju.

Dzieciaki opychają się ciastkami i gazowanymi napojami i oczywiście robią się przez to nadpobudliwe. Nawet nie próbuję nakłonić Auriol, żeby piła tylko wodę. Nie mam energii na tę batalię, a poza tym Connie nie będzie rozsiewać plotek na temat mojej porażki. Dzieci krzyczą i szaleją, jak się można było spodziewać, dorośli są natomiast bardziej powściągliwi. Zjadamy zupę i placek nadziewany dynią, które są przepyszne - Eva otrzymuje należną porcję komplementów, ale atmosfera pozostaje napięta. Choć całkiem nieźle nam idzie opróżnianie kadzi z ponczem, żadne z nas nie sprawia wrażenia wesołego. To zadziwiające, że Rose potrafi popsuć imprezę nawet wtedy, gdy nie jest na niej obecna.

Connie i ja uciekamy z rozgrzanego domu, proponując, że przejdziemy się z dziećmi do dwóch czy trzech najbliższych

domów po cukierki. Zostawiamy Luke'a z Florą i Petera z torbą lizaków (kupione w Harrodsie, dostarczone do mojego biura przez kuriera). Nie zawracałam sobie głowy wykładaniem ich na tacę. Nie ma sensu, wszyscy wiedzą, że nie jestem idealna.

Gdy zatraskują się za nami drzwi, dzieci biegną przed siebie, a następnie skręcają na ścieżkę prowadzącą do drzwi naszych sąsiadów.

- Ale mamy ubaw - mówię do Connie.

- Cóż, nie zapewniłaś temu wieczorowi miłego początku, czyż nie? - zauważa z zabójczą szczerością, zarezerwowaną dla najlepszej przyjaciółki. - Dlaczego nie możesz być bardziej miła dla Rose? Nigdy nie zrobiła niczego, żeby cię urazić.

- Czyżby?

- Owszem, Lucy. Jest urocza. Wszyscy o tym wiedzą.

I dlatego właśnie nie mogę być dla niej bardziej miła.

- Mogłabyś chociaż spróbować być uprzejma. Peter by to docenił. Dlaczego tak to komplikujesz?

- Czasami nie można się po prostu oprzeć, Connie. Sama dobrze o tym wiesz - odpowiadam.

Kiepsko się czuję po tej reprimendzie Connie i co gorsza, wiem, że kiedy wszyscy goście opuszczą nasz dom, będę musiała wysłuchać kolejnej z ust Petera.

- Z kim więc ma randkę?

- Chyba z facetem o imieniu Rob.

- Gdzie go poznała? W klubie filatelistycznym?

- Nie.

- Zamieściła anons? - pytam złośliwie.

Cóż, Connie nie może przecież oczekiwać, że uwierzę w to, że po sześciu latach posuchy mężczyźni nagle sami z siebie zaczęli wydeptywać ścieżkę do jej drzwi.

- Dlaczego cię to obchodzi, Lucy? - pyta Connie.

I z tonu jej głosu wnioskuję, że nie usłyszę od niej już nic więcej na ten temat. Jest bardzo lojalna wobec Rose. Czuję się taka samotna.

Jest już po dziesiątej, kiedy udaje nam się zagonić Auriol i chłopców do łóżek. Są nabuzowani słodyczami, a ja nie mam wystarczająco energii, żeby je hamować, kiedy więc dostrzegam, że Henry chowa pod poduszką pudełko Smarties, mówię jedynie:

- Nie zapomnij o umyciu zębów.

Zamykam drzwi, biorę głęboki oddech i idę poszukać Petera. Równie dobrze mogę od razu wypić piwo, którego narwarzyłam.

Siedzi w swoim gabinecie, w dłoni trzyma szklaneczkę whisky i ma zamknięte oczy. Stojąc w drzwiach, przyglądam mu się i ściska mnie w klatce piersiowej z miłości. Nadal go ubóstwiam. Mimo że ostatnimi czasy coraz częściej jesteśmy na siebie źli i mimo że wiem, że zaraz mnie zruga, nadal go uwielbiam. Zawsze tak było. Zawsze będzie. Dlaczego więc to wszystko nie jest prostsze?

- Wiem, że tu jesteś - mówi, nie otwierając oczu.

- Nie mogę temu zaprzeczyć.

- Dobrze się bawiłaś? — pyta. Mówi to w sposób beznamiętny.

- Nie bardzo.

- Tak myślałem.

- A ty?

- Nie.

- W każdym razie dzieciom chyba się podobało, a o to przecież chodziło - mówię z wymuszoną jowialnością.

- Tak, myślę, że im się podobało. Choć chłopcy nie są już małymi dziećmi. Niedługo wychwycą twoje antagonizmy wobec swojej matki, chyba że znajdziesz jakiś sposób na to, żeby je powściągnąć. Zresztą tak samo będzie z Auriol. Nie można cię było dzisiaj nazwać uosobieniem wielkoduszności, prawda?

Milczę. Nie znoszę, kiedy Peter zachowuje się jak nauczyciel, mój ojciec czy Bóg. Zwłaszcza kiedy ma rację.

- Dlaczego nie możesz być dla niej miłsza? — pyta.

Ile czasu to będzie trwać?

- To nic osobistego. Już takie mam poczucie humoru - kłamię. - Wiesz przecież, że bywam złośliwa.

- To prawda — potwierdza.

Jak mogę mu powiedzieć, że powodem, dla którego trudno jest mi być miłą dla Rose, jest to, że wydaje mi się, że ona zawsze mnie osądza i dostrzega wszystkie niedociągnięcia. Wysysa ze mnie pewność siebie i tylko ona jedna na całej ziemi potrafi to czynić w takim stopniu. Wszystko, co ma z nią związek, potępia mnie. Jej płaskie praktyczne buty udzielają ostrej reprymendy moim sandałkom od Manolo Blahnika. Jej nieokiełznane włosy ganią moją staranną fryzurę - równie dobrze może nosić na szyi kartkę z napisem, że wydawanie 250 funtów miesięcznie na pasemka to grzech śmiertelny. Jej samodzielnie przyrządzane, organiczne posiłki oświadczają, że dania gotowe, do których czasami muszę się uciekać, są właściwie trujące. Poza tym wszyscy są mili dla Rose. Moja życzliwość jest jej całkowicie zbędna.

- Biedna Lucy - mówi Peter.

W jego głosie słysząc prawdziwą troskę i odrobinę smutku. On wie, dlaczego nie umiem być dla niej miłą. Muszę nadal czynić te drwiące uwagi na temat jej wagi i nużąco nudnego charakteru, na wypadek gdyby zapomniał. Peter kiedyś kochał tę kobietę. To możliwe, żeby dawne uczucie wróciło. Nie mam wątpliwości co do tego, że gdyby cała sytuacja uległa odwróceniu, Rose byłaby dla mnie miłą. I to także mnie irytuje. Nie jestem tak dobrym człowiekiem jak ona.

Przytulam się do Petera. Otwiera oczy i przygląda mi się. Intensywność tego spojrzenia jest nieco przytłaczająca. Wsuwa mi pasmo włosów za ucho i pyta:

- Czego się tak boisz, Lucy?

- Ja? Niczego. Ja nigdy się nie boję - odpowiadam automatycznie.

- Pytam poważnie. Czego się boisz? - nie daje za wygraną.

Przed poznaniem Petera bałam się niewiele rzeczy na tym świecie, właściwie nie bałam się niczego. Ale teraz doskwiera-

ją mi różnego rodzaju obawy. Boję się tego, jak bardzo go kocham, i boję się, że on nie kocha mnie tak bardzo jak ja jego, czy tak bardzo, jak wtedy gdy mnie poznał, czy też tak bardzo, jak kochał Rose. Ale najbardziej ze wszystkiego boję się tego, że mogłabym przestać go kochać. Gdybym go kiedyś przestała kochać, życie na tym świecie nie miałyby już żadnego celu, żadnego sensu. Milczymy przez kilka minut. Peter delikatnie gładzi mnie po plecach i nadal patrzy mi prosto w oczy. Nie poprawiałam makijażu od rana. I kiedy wczoraj się ważyłam, okazało się, że jestem o kilogram cięższa niż podczas mojego ostatniego kontaktu z wagą. Ciekawe, czy Peterowi wydają się cięższa. Zdrętwieje mu noga przez to, że siedzę mu na kolanach?

- Płaczesz — mówi.

Naprawdę? Jaki wstyd.

- Peter, proszę, nie przestawaj mnie kochać - wyrzucam z siebie, odpowiadając na jego pytanie, choć nie wprost. - Nawet kiedy jestem okropna.

- Nie przestanę. Będziemy razem na zawsze, Lucy. Wiesz o tym.

Ale coś takiego powiedział już pewnie kiedyś Rose, prawda? Gadanie nic nie kosztuje. Peter widzi chyba, że nie jestem tym przekonana, ponieważ dodaje:

- Zawsze będę cię kochał, mimo że jesteś najbardziej złośliwą jędzą w mieście i na to nie zasługujesz.

Mówiąc to, uśmiecha się od ucha do ucha - to ten jego szeroki, seksowny, zazwyczaj nieodparty uśmiech. Wiem, że próbuje żartować. Tak właśnie kiedyś sama na siebie mówiłam. Ale teraz uważam, że jego uwagi są w najwyższym stopniu obraźliwe. Chętnie gołymi rękami urwałabym mu głowę albo odgryzła jaja i splunęła mu nimi w oko. Potrzebuję całego mnóstwa samokontroli, żeby wstać i odejść, nie kopiąc go przy tym.

- Jutro muszę bardzo wcześnie wstać. Chyba lepiej będzie, jak prześlpię się w gościnnym. Nie chcę ci przeszkadzać - mówię spokojnie.

- Och, nie bądź taka - mówi.

Przejrzałam, oczywiście, moją ewidentną wymówkę, co zresztą było moim zamiarem. Chcę go odrzucić, ale nie bezpośrednio. To skomplikowane.

- Nie jestem taka - odpowiadam.

Wychodzę z godnością.

- A buziak na dobranoc? - woła za mną.

Udaję, że nie słyszę. Gdybym go pocałowała, a on użyłby języka, nie jestem pewna, czy oparłabym się pokusie odgryzienia go, później zaś połknięcia. Powinien rozważyć takie konsekwencje przed wypowiedzeniem tych nierozważnych uwag.

SOBOTA, 4 LISTOPADA

J O H N

- Jestem pewien, że to nie w waszym stylu - powiedział Craig. Nie umiał dobrze sprzedać swojej propozycji nawet wtedy, gdy próbował nas skusić. - Macie pewnie jakieś fajniejsze miejsca, gdzie możecie się wybrać w ten wieczór, ale przydałoby mi się kilka dodatkowych par rąk, gdybyście oczywiście mogli poświęcić swój czas.

Tom wzruszył ramionami i oświadczył, że zapyta Jenny, ale wydaje mu się, że nie będzie problemu i że oboje się zjawią.

- Na mnie też możesz liczyć - rzekłem natychmiast.

- Naprawdę? - Craig nie potrafił ukryć zdziwienia.

- Jasne, stary. Uwielbiam wieczór fajerwerków, zawsze tak było.

Uwielbiam zapach hot dogów i bułeczek z cebulą, uwielbiam pijane dzieciaki wygłupiające się na rozklekotanych karuzelach, które wyrastają dosłownie znikąd. Uwielbiam zapach spalenizny. To ekscytujący wieczór, niebezpieczny i kolorowy.

- Nasza szkolna noc piątego listopada to względnie małe przedsięwzięcie. Kilka miejscowych szkół dzieli razem boisko i zazwyczaj robimy zrzutkę, żeby urządzić pokaz fajerwerków. Będzie też trochę festynowych atrakcji, ale nic w rodzaju diabelskiego młyna czy rollercoastera.

- Rozumiem. Raczej strącanie kokosów i łowienie kaczki na wędkę - powiedziałem.

- Tak.

- Brzmi super.

Tom mrugnął do mnie chytrze znad swojego kufla. On nie zapomniał o Connie. W przeciwieństwie do Craiga, którego myśli są bardziej niewinne.

Gdy idziemy na szkolne boisko, nie mogę zaprzeczyć, że przepełnia mnie uczucie podekscytowania i wyczekiwania, i wcale nie chodzi o fajerwerki. Jest paskudnie zimno i mży, zgodnie zresztą z tradycją. Jest dopiero szósta, ale fajerwerki należące do tych mniej cierpliwych co jakiś czas rozświetlają niebo, po czym znikają. Gdy byłem mały, uważałem, że fajerwerki to małe zaklęcia, okruchy magii eksplodujące w powietrzu, i teraz odnośzę podobne wrażenie.

Tłum, jak się można było spodziewać, składa się głównie z rodzin. Zaczynam go przeczesywać spojrzeniem w poszukiwaniu jej twarzy. Są tutaj tatusiowie z dziećmi na barana. Dziadkowie, którzy narzekają na ceny neonowych czułek i czarodziejskich różdżek, którymi straganiarze kuszą dzieci. Jest tu całkiem sporo nastolatków. Dziewczęta są poubierane niestosownie do pory roku w krótkie spódniczki i koszulki z dużymi dekoltami - nie zapinają płaszczy bez względu na to, jak bardzo ich mamy suszą im głowy. Chłopcy popalają na boku, dzielą się puszką czy dwiema i głośno przeklinają. Skądś to znam.

Jenny, Tom i ja meldujemy się u Craiga. Jego szkoła nie wyróżnia się niczym szczególnie doniosłym, zresztą na jego prośbę. Przez kilka miesięcy pracował za kulisami, ale nie chciał odpalić pierwszej petardy. Jego personel jest odpowiedzialny za stragany z jabłkami w polewie na patyku, rozsianymi po całym boisku.

Poprosiwszy nas wcześniej o pomoc, teraz się upiera, że wszystko jest pod kontrolą. Trudno w to uwierzyć, ponieważ wygląda na udręczonego, a kiedy tylko odwróci się tyłem, dzieciaki podwędzają jabłką. Tom, Jen i ja ustaliśmy, że spotkamy się

później i dla zabicia czasu idziemy do miniaturowego wesołego miasteczka. Kręci nam się w głowie po przejażdżce na karuzeli, a potem ja udowadniam, że jestem mistrzem w grach automatycznych i na strzelnicy — okazuje się, że moja młodość nie poszła na marne.

Przez cały czas rozglądam się za Connie i w końcu dostrzegam ją, stojącą w kolejce po herbatę.

- Pójdę i przyniosę nam po kubku. A was, gruchające gołąbki, zostawiam na chwilę samych - mówię do Toma i Jen, po czym szybko znikam w tłumie ludzi, zanim zdążą zaproponować, że pójdą ze mną. - Witaj, Connie. - Staję w kolejce tuż za nią.

- Co ty tutaj robisz, John?

W jej głosie słyszę w równym stopniu irytację, co panikę. Jestem tym zaskoczony, ponieważ po naszym wspólnie spędzonym dniu rozstaliśmy się w całkiem przyjaznej atmosferze. Connie ma na głowie neonowe czułki, na których widok się uśmiecham. Czasami jest taka niemodna, że niemal zatacza koło i ponownie staje się modna.

- Fajnie wyglądasz - mówię, uśmiechając się szeroko.

Nie jest w nastroju do żartów - obrzuca mnie gniewnym spojrzeniem, po czym ściąga je z głowy.

- Fran chciała, żebym je założyła. — Nie pozwoli sobie na odwrócenie uwagi. - Co ty tu robisz?

- Jestem tutaj razem z Tomem, moim kumplem, i jego dziewczyną, właściwie to powinienem powiedzieć narzeczoną, inaczej dostanę opieprz. Przyszliśmy wspierać Craiga. To dla niego dość ważna impreza.

- Owszem, jest taka dla wszystkich ze szkoły, dyrektora, nauczycieli, dzieci i rodziców — syczy, rzucając ukradkowe spojrzenia na boki.

- Pomyślałem, że będziesz tutaj.

Nie ma sensu kłamać. Jestem tu dla niej.

Teraz dopiero wygląda na wściekłą.

- Lulce też tutaj jest. - Jej! Nie brałem tego pod uwagę.
- Jeśli cię zobaczy...

Nie kończy zdania, ponieważ oboje wiemy, jakie mogą być konsekwencje.

Próbuję odwrócić jej uwagę.

- Byłaś w wesołym miasteczku?

- Nie.

- Nawet żeby złowić kaczkę?

- Jest tam teraz Luke razem z dziewczynkami.

- Próbowałaś hot dogów?

- Zwykle ich unikam, są zagrożeniem dla zdrowia.

- Kupiłaś watę cukrową?

- Nie.

- Ale przecież ją lubisz.

Nie mam pojęcia, czy lubi watę cukrową czy nie. Strzelałem. Connie wygląda na wykończoną. Mam nadzieję, że jest zmęczona stawianiem mi oporu.

- Jak to możliwe, że pamiętasz takie rzeczy? To niesprawiedliwe. To niesprawiedliwe, że tutaj jesteś.

Connie wpatruje się w swoje buty. Trawa została rozdeptana, a ona jest w butach na wysokim obcasie, które pokrywa warstwa zaskorupiałego błota. Cieszy mnie to jej nieodpowiednie obuwie. Nie jest wcale taka superrozsądna, choć bardzo by chciała, żebym w to uwierzył.

Dotarliśmy do początku kolejki.

- Mogę ci kupić herbatę?

- Mam pieniądze.

Ignoruję ją i składam zamówienie.

- Dwa najładniejsze styropianowe kubki, stary.

Pryszczaty nastolatek, który zawiaduje stoiskiem, parzy mi rękę, podając herbatę. Podaję jeden kubek Connie. Waha się.

- Daj spokój, Con, jest strasznie zimno. Będzie smakować jak kocie siki, ale przynajmniej możesz otoczyć kubek palcami i trochę się ogrzać.

Rzuca spojrzenie przez ramię i w końcu bierze ode mnie kubek. Następnie pozwala, żebym wlał do niego nieco whisky z mojej piersiówki.

- Nie pozwól, żeby przyłapała cię na tym jakaś członkini Komitetu Rodzicielskiego - chichocze, rozluźniając się lekko po zaledwie jednym łyku. Ma taką słabą głowę, jeśli chodzi o alkohol.

- Niezła frekwencja - mówię, patrząc na tłum gromadzący się wokół ogniska.

- Tak, ale nie widziałam twojej szczególnej przyjaciółki, Dianę.

Patrzę przed siebie i zastanawiam się nad tą sytuacją. Ach, więc Dianę to plotkara. Wiedziałem, że ma długi język, co było nawet przydatne, kiedy robiła mi laskę, ale teraz może się to okazać niedogodnością. Najwyraźniej opowiedziała innym o naszym epizodzie. Może i nie jest to czymś takim złym, przynajmniej wzmogło zainteresowanie Connie i zapoczątkowało temat seksu. Seks jest czymś, do czego żadne z nas nie nawiązywało od czasu naszego ponownego spotkania. Przed laty łączył nas najbardziej jednoznaczny związek z możliwych. Teraz udaję, że seks interesuje mnie w równym stopniu co wysterylizowanego psa, ale prawda jest taka, że gdy tylko patrzę na Connie, wyobrażam ją sobie z rozłożonymi nogami lub otwartymi szeroko ustami.

- To prawda? Uprawiałeś seks z Dianą?

- Tak.

- Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś? - pyta ostro.

Connie zagryza górną wargę, kiedy jest zła. Cholera, ten numerek ze szkolną mamuszką może ją ode mnie odrzucić. Zazdrość jest przydatna, rozczarowanie — nie. Odciągam ją od tłumy ludzi i przyczepy kempingowej z herbatą i prowadzę w stronę drzew rosnących wokół boiska. Idzie za mną bez żadnego oporu. Nakrycie jej w moim towarzystwie nie leży w jej interesie.

- Sądziłam, że mieliśmy być przyjaciółmi - mówi.
- Jesteśmy.
- Sypianie z kimś tuż pod moim nosem trudno nazwać przyjacielskim zachowaniem, prawda?
- Skoro jesteśmy tylko przyjaciółmi, jakie znaczenie ma to, z kim sypiam?
- Próboweś wzbudzić we mnie zazdrość?
- Nie, nawet mi to nie przyszło do głowy, choć bardzo się cieszę, że tak się stało.
- Wcale nie jestem zazdrosna! - woła głośno, trochę jak afektowana dama z pantomimy. - Próboweś mnie upokorzyć? Chodziło ci o to, żebym jakoś zareagowała?
- Nie. To nie miało nic wspólnego z tobą.
- Ona ci się podoba?

W głosie Connie słyszę panikę i może nawet łzy. Odwracam się do niej i przygważdżam ją całą intensywnością swojego spojrzenia.

- Kiedy mówię, że nie miało to nic wspólnego z tobą, nie wyrażam się tak do końca precyzyjnie. Musiałem uprawiać z nią seks po to, żeby zrozumieć coś mającego związek ze mną, ale w pewien sposób chodziło o ciebie. - Cała zamieniła się w słuch.
- Musiałem się przekonać, czy to ciebie pragnę, czy też wyzwania, jakim jest zamężna matka.

Odwraca wzrok. Zaniemówiła. Po raz pierwszy. Taki jest właśnie problem ze szczerością - niewielu ludzi jest sobie w stanie z nią poradzić. Deszcz pada między nami, tworząc mgielną zasłonę. Patrzę, jak Connie przetrawia to, co właśnie powiedziałam.

Wreszcie zbiera się na odwagę.

- I?
- I chodzi o ciebie. Pragnę tylko ciebie.

Wzdycha i długo milczy. W końcu patrzy mi prosto w oczy i mówi:

- Tylko to sobie wmawiasz. To nie jest coś realnego.

- Nie zgadzam się. - Wytrzymuję jej spojrzenie. Muszę zmusić nas oboje do stawienia temu czoła. — Bylibyśmy niczym wigilia milenium.

- Straciłeś mnie.

- Zbyt dużo oczekiwań, zbyt dużo nadziei.

- A więc oczekujesz mnie.

- Tego nie powiedziałem.

- I masz nadzieję.

Connie kręci głową, próbując rozwiać mętlik, który w niej siedzi. Nigdy do tego nie dojdzie.

- Czy ciebie podnieca to, że burzysz mój spokój?

- Och, Greenie.

Zastanawiam się, czy powinienem jej powiedzieć, że kiedyś nie była dla mnie kimś wyjątkowym, każda spódniczka była wyzwaniem i niczym więcej, włączając w to ją. Ale teraz stawka jest znacznie wyższa i owszem, podnieca mnie uganianie się za nią i jej kuszenie. Ale najbardziej podniecające byłoby zdobycie jej. Być może nawet zatrzymanie. Kiedy to się stało? Jak u licha do tego doszło? Jestem kłusownikiem, który zmienił się w leśniczego. To cholerna katastrofa.

Pokaz fajerwerków zaraz się zacznie, ludzie zbliżają się więc do ogrodzonego terenu. Zebrał się całkiem spory tłum. Connie przeczesuje go wzrokiem, prawdopodobnie szukając swojej rodziny, ale nie odchodzi ode mnie. Gra niewielka orkiestra dęta, która trąci amatorszczyzną, ludzie wnoszą jednak zachęcające okrzyki. Anglicy są dobrzy w popieraniu miernoty. Następnie muzyka z wesołego miasteczka, krzyczące brzdące, głośne nastolatki i tandetna muzyka cichną, my zaś czekamy na pierwsze fajerwerki.

Szzuuu. Dzieciaki podskakują, po czym dochodzą do siebie - rozlegają się oklaski i skrzępowane, mało entuzjastyczne okrzyki, gdy niebo na chwilę rozświetlają race i fontanny, które rozchodzą się promieniście i znikają, oraz race, które wzbijają się w powietrze i wystrzelują. To magia.

- Dianę była dobra w łóżku?

Connie wie, że to pytanie jest poniżej jej godności, ale nie może się powstrzymać. Kocham jej słabość i kruchość. Jej włosy pokręciły się w deszczu i wygląda właściwie tak jak wcześniej. Kiedy wcześniej? Próbuję sobie przypomnieć i w końcu mnie oświeca. O Boże, za pierwszym razem. W parku, nieważne jakim. Przypomina mi się pierwszy raz, gdy uprawialiśmy seks. Poważna sprawa.

- Nie - zapewniam ją.

Oboje przyglądamy się fajerwerkom. Fajnie tak stać razem.

Pamiętam tamten pierwszy raz w parku. Connie sturlała się ze mnie i oświadczyła, że to było superpieprzenie. To ona nadawała ton. Powiedziała, że nie chce się zakochać, a ja jedynie podążyłem jej śladem. Owszem, było mi tak wygodnie. Prawdopodobnie nie chciałem się wiązać, ale gdyby ona tego nie powiedziała... Gdyby nie nazwała tego pieprzeniem. Może wszystko potoczyłoby się inaczej, prawda? Ponieważ istnieje taka chwila, kiedy dokonujemy wyboru. Zawsze tak jest. A ona postanowiła zdeptać taką możliwość. Później możliwe, że chciała ode mnie więcej, ale było już za późno. Ta pierwsza chwila, kiedy ze mnie zeszła, okazała się podstawową.

Wokół nas eksplodują fajerwerki. Czarne niebo ożywa błękitem, różem, bielą i czerwienią. Kolory nikną i zostaje po nich dym, który leniwie przekształca się w nicość. Ludzie stają się bardziej odważni i entuzjastycznymi okrzykami wyrażają swój zachwyt.

- Nigdy o tym nie rozmawiamy - odzywa się Connie.

Mówi to, po czym pozwala słowom frunąć razem z dymem prosto w ciemność. Nie mogę mieć co do tego pewności, ale wyczuwam, że ona także myślała o naszym pierwszym razie. Udaję nieświadomość.

- Co masz na myśli?

- Nigdy nie rozmawiamy o nas. O tym, co ja zrobiłam. Co my zrobiliśmy. Jaka byłam okrutna i straszna. Ani jak

bardzo to było ekscytujące. Ani nawet jakie to było smutne. - Wzruszam ramionami. Cóż mogę powiedzieć? - Nie wiem, co ty czułeś w stosunku do tego. Ty nie wiesz, co czułeś w stosunku do tego. Nie uważasz, że to trochę dziwne?

Mówi na nas „to”, ponieważ jest łatwiej, kiedy czyni się coś bezosobowym. Nie musi mi tego mówić.

- Tamtego tygodnia spędziliśmy ze sobą wiele godzin i rozmawialiśmy o Big Brotherze, płytkach w twojej łazience, najlepszym miejscu, gdzie można zjeść węgorza w galarecie, a ja nie znoszę węgorza w galarecie, ale nie rozmawialiśmy o Andrei, Luke'u, ani o tobie czy o mnie.

Ani o miłości.

Oczywiście, że nie. Ja może i bym to zrobił, gdybyśmy wyładowali w łóżku. Może i udałoby mi się wtedy odpowiedzieć na niektóre z jej pytań, wypełnić luki. Ja też o tym myślałem i też mam własny zestaw pytań.

Na przykład czy mogliśmy się w sobie zakochać? Czy mogłem ożenić się z nią, a nie z Andrea? Tak, jasne, nie byłoby to takie proste. Ale co jest? Musiałyby najpierw zostawić świętego Luke'a i całą resztę, ale istniała taka możliwość, prawda? Na pewnym etapie byłem pewien, że tak. Czy mógł istnieć świat, w którym stalibyśmy razem, mieli dwójkę wspólnych dzieci i oglądali fajerwerki? Podobałby mi się taki świat?

Czy ona myśli o tym samym co ja?

Najlepsze zostawiają na koniec, wiązanek kolorowych rac, fontanny i obracające się koła, które sprawiają, że niebo wygląda na pełne gwiazd mimo że dominują chmury i deszcz. Lubię tanią rozrywkę i nie mam nic przeciwko iluzjom. Po boisku przetacza się fala oklasków i okrzyków.

— Chyba musimy porozmawiać — mówi Connie.

Mówi, jakby oddychała z trudem. Była zdenerwowana. Wpatruje się w mnie. Jej usta są kuszące.

Przysuwam się bliżej. Ciut bliżej. I jeszcze trochę. Nasze usta dzielą zaledwie centymetry. Czekam. To ona będzie mu-

siała przyjść do mnie. To ona będzie musiała zdecydować kiedy, ponieważ jeśli ja źle to odczytam, to nigdy mi tego nie wybaczy. To jednorazowa gra.

- No, no, no. Wyglądacie na bardzo sobie bliskich. Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadzam.

Connie i ja odskakujemy od siebie i stajemy twarzą w twarz z Dianą. Nie waham się. Gładko odwracam się, nachylam i całuję Dianę w policzek. Robię to tak płynnie, że każdy mógłby uwierzyć w to, że to właśnie w tym kierunku zmierzałem. Gdyby musiał w to uwierzyć.

- W niczym nam nie przeszkadzasz - oświadcza Connie.
- Jest cały twój.

Odwraca się i odchodzi, natychmiast rozpływając się w tłumie.

Już po fajerwerkach. Kurwa. Odwracam się do Dianę.

- Dobrze się bawisz?

- Nieszczególnie. Błotniste boiska to niezupełnie mój styl, ale kto wie? Noc jest młoda - mówi z uśmiechem.

Naprawdę potrzebna jej wizyta u dobrego dentysty.

SOBOTA, 4 LISTOPADA

ROSE

Fajerwerki udały się wspaniale. Nie było w tym wieczorze nic z amatorszczyzny. Craig i dyrektorzy pozostałych szkół muszą być z siebie naprawdę zadowoleni. Zdecydowana większość usatysfakcjonowanych ludzi zbiera się teraz do wyjścia. Kilku nastolatków wraca do wesołego miasteczka.

Dyżur na straganie z jabłkami w polewie miałam już wcześniej, teraz więc jestem wolna, żeby się bawić razem z bliźniakami, Daisy i Simonem, Connie, Lukiem i dziewczynkami. Connie i Luke przyprowadzili ze sobą także Auriol, co mi nie przeszkadza. Wolę ją niż przypadkowe spotkanie z Lucy i Peterem. Choć ich pojawienie się tutaj razem z Auriol jest czymś mało prawdopodobnym, gdyż szkolne ognisko nie znajduje się na liście pomysłów Lucy czy Petera na spędzenie sobotniego wieczoru. Ich strata. Kupuję wszystkim dzieciom watę cukrową i podaję teatralnym gestem.

— A co z zawartością cukru? — pyta Daisy.

Trochę się ze mną drażni, zwykle bowiem jestem bardzo surowa, jeśli chodzi o nawyki żywieniowe dzieci. Moją siostrę zawsze to bawi, ponieważ my wychowałyśmy się na diecie złożonej z różnych słodczy i według niej nie wyrządziło nam to żadnej krzywdy - to znaczy poza próchnicą i moim dożywotnim członkostwem w klubie Strażników Wagi.

Uśmiecham się do niej szeroko.

- To wieczór fajerwerków, nawet ja rozumiem, że przysmaki są wręcz wskazane.

- Wygląda na to, że jesteś w bardzo dobrym nastroju.

- Rzeczywiście.

- To umawianie się na randki naprawdę dobrze ci robi, prawda? — mówi i bierze mnie pod rękę. Jest uradowana.

Prawdę mówiąc nie, ale czemu mam psuć jej humor? Powód, dla którego jestem dzisiaj taka szczęśliwa, to fakt, że otacza mnie rodzina i przyjaciele i że robię coś, co robią tradycyjne rodziny. Jak normalna, nie rozwiedziona matka. Umawianie się na randki jest w głównej mierze czymś, co czynię, żeby moi przyjaciele i rodzina nie załamywali nade mną rąk.

Unikam odpowiedzi na jej pytanie.

- Tam jest pan Walker, dyrektor. Chyba pójde mu pogratulować takiego udanego wieczoru. Nie zgubcie się gdzieś.

- Okej, będziemy się kręcić wokół ogniska. Luke i Simon mają chyba ochotę spróbować prażonych pianek żelowych.

Gdy Craig widzi, że zbliżam się do niego, uśmiecha się promiennie.

- Witaj, Rose. Dobrze się bawisz?

- Bardzo.

- Jesteś tutaj z rodziną?

- Tak i z kilkorgiem przyjaciół, wieczór wszystkim bardzo się podoba.

- To cudownie.

Uśmiech Craiga jest taki szeroki, że niemal bolesny. Boję się, że jego skóra może się naderwać. Rzadko trafia się na osobę, którą tak bardzo cieszy sprawianie przyjemności innym. Jego uśmiech jest zaraźliwy.

- Jak tam wpływy kasowe?

- Doskonale nam poszło, Rose. Właściwie to udało nam się sprzedać prawie wszystko. Myślałem właśnie, żeby zamknąć nasz kramik i poszukać przyjaciół.

- Tak, powinienesz zrobić sobie resztę wieczoru wolną. Trochę się zabawić - mówię z entuzjazmem. — Jeśli chcesz, mogłabym ci przedstawić moją siostrę.

Ta propozycja wypływa się z moich ust, zanim mam okazję zastanowić się nad swoimi słowami. Niechcący postawiłam Craiga w niezręcznej sytuacji. Najpewniej miał ochotę dołączyć do swoich kumpli. A teraz dobre wychowanie nakazuje mi spędzenie czasu ze mną. Oblewam się rumieńcem. Craig wygląda na nieporuszonego — prawdę powiedziawszy, jest tak uprzejmy, że udaje mu się sprawiać wrażenie ucieszonego. Natychmiast przystaje na moją propozycję.

Pozostawia stragan z jabłkami pod opieką Wendy Pickering - według mnie to nie najlepszy pomysł, ale Craig nie wygląda na zbytnio zaniepokojonego - i razem udajemy się na poszukiwanie mojej grupy.

- Nauczyciele wuefu nie będą zbyt zadowoleni z zdeptanego boiska - mówię, gdy ramię w ramię przeprawiamy się przez błoto.

- Pana Shawa rzadko coś gniewa - odpowiada Craig.

- To prawda, jest przemiły - stwierdzam.

Craig posyła mi pytające spojrzenie. Najpewniej wie o tym, że pan Shaw to obiekt kobiecych westchnień, i nie chcę, żeby niewłaściwie mnie zrozumiał. Całkiem prawdopodobne, że pan Walker uważa mnie za swego rodzaju nimfomankę po moich niestosownych wynurzeniach na temat randek internetowych. Muszę wyjaśnić, że pan Shaw nie podoba mi się, nawet jeśli ponownie zabrzmi to nazbyt poufale.

- Taka szkoda, że jest blondynem, ja wolę mężczyzn z ciemnymi włosami - dodaję, a potem patrzę się na gęste czarne włosy Craiga.

Zaczynam się czerwienić. Co ja u licha sobie myślę? Flirtuję z dyrektorem szkoły. Czy Daisy dolewała mi alkohol do gorącej czekolady?

Zdaję sobie sprawę ze wszystkich powodów, dla których Craig jest nieodpowiedni jako obiekt mojego, powiedzmy, uczucia czy zainteresowania. Ale gdybym kiedyś miała obdarzyć uczuciem jakiegoś mężczyznę, byłby to ktoś taki jak pan Walker. Nie, tak naprawdę byłby to Craig. Wiem, że to dyrektor chłopców i że związek z nim byłby straszny z tryliomiliarda powodów (jak by powiedział Henry). Gdyby nam nie wyszło, musiałabym zabrać chłopców z Holland House i zapisać do nowej szkoły. Chłopcy byłiby z tego powodu zrozpaczeni, a gdyby nam się udało, konsekwencje dla nich byłyby równie przykre. Są bardzo zawstydzeni, gdy jakiś nauczyciel skinie nam głową w Tesco - gdyby musieli oglądać Craiga jedzącego w naszej kuchni płatki na śniadanie... Nic, tylko od razu zapisać ich na terapię. Poza tym on jest ode mnie młodszy. I przecież ani razu nie dał mi do zrozumienia, że jego zainteresowanie mną jest czymś więcej niż platonicznym. Chce, żebym mu pomogła znaleźć kogoś przez Internet, widzi we mnie po prostu kupidyna. Kiedy już się zarejestruje na jakimś portalu, założę się, że nie będzie się mógł opędzić od kobiet - jest przystojny, bardzo interesujący, przyzwoity, serdeczny. Lubię rozmawiać z Craigiem.

Och, okej, przyznaję - podoba mi się.

Przez szesnaście ostatnich nocy miewam sny erotyczne z Craigiem w roli głównej. Ja! Sny erotyczne! Byłam taka pewna, że moje libido skurczyło się i zamieniło w proch. Wygląda na to, że znajdowało się jedynie w stanie uśpienia. Odkąd się dowiedziałam, że nikogo nie ma, zaczęłam widzieć w nim kogoś innego niż dyrektora szkoły. Kogoś zupełnie innego. W zeszłą sobotę śniło mi się, że urządzaliśmy sobie piknik w alpejskich górach (co samo w sobie jest przecież niewinne). W jednej chwili podziwiałam widoki, w następnej leżałam nago na trawie, a on jadł truskawki prosto z mojego ciała. Musiałam się obudzić. To takie niestosowne, żeby mieć tego rodzaju myśli, choćby nieświadomie. Tym, co poruszyło mnie najbardziej, było to, że

nadal nosiłam rozmiar czterdzieści cztery, nawet we śnie, i nie przeszkadzało to ani Craigowi, ani mnie.

We wtorek śniło mi się, że oboje znajdujemy się w klasie i omawiamy szkolne zadania chłopców (ze szczególnym uwzględnieniem tematu związanego z kosmosem, którym Sebastian tak się obecnie ekscytuje). W jednej chwili siedzimy na tych idiotycznych krzeselkach, zaprojektowanych dla maluchów, a w drugiej turlamy się po wykładzinie w kąciku bajek, zupełnie nady. W rzeczywistości siedzenie na tych krzeselkach to jedna z rzeczy, których boję się najbardziej i główny powód, dla którego odczuwam lęk przed wywiadówkami. Po pierwsze, gdy opadam na jedno z tych krzeseł, zawsze się boję, że się pode mną załamie. Po drugie, jak już na nim siedzę, nie ma sposobu na wydostanie się. Nawet Houdini miałby problem. Kiedy wstaję, krzeselko zawsze pozostaje przytwierdzone do mojego tyłka i muszę wycofywać się z klasy tyłem. Ale w moim śnie nie było ani śladu potencjalnego zakłopotania i upokorzenia. Czułam się swobodnie.

W środę śniłam o tym, że nady chodzimy po drzewach. W czwartek śniło mi się, że nady pływamy w lagunie. Widzicie motyw przewodni? Zeszłej nocy nawet nie kłopotąłam się już budzeniem się. Uznałam, że owszem, te sny są niestosowne, ale co z tego? Nikt o nich wie - zachowuję swoje niemądre fantazje dla siebie. Równie dobrze mogę się nimi cieszyć, a są naprawdę bardzo, ale to bardzo przyjemne.

Patrzę na Craiga. Maleńkie krople mżawki osiadły na jego płaszczu, okularach i włosach. Ale zamiast wilgotno i ponuro, wygląda to opalizujące. Przygląda mi się z lekkim rozbawieniem i zagadkowym uśmiechem. Nie wierzę, żeby się ze mnie śmiał - on nie jest z tych, którzy tak robią. W towarzystwie Craiga zawsze się czuję bardzo bezpieczna i zadowolona, co potwierdzają moje nagie sny. Zamykam te niestosowne myśli w wielkiej skrzyni, po czym oczami wyobraźni widzę, jak zakopuję ją piętnaście metrów pod ziemią. Zastanawiam się nad jakimś neutralnym tematem.

- Ależ piękną mieliśmy wczoraj pogodę, prawda? Kto by pomyślał, że dzisiaj będzie tak zimno. Uwielbiam pogodne, jesiennie dni, takie jak wczoraj, a ty?

- To mój ulubiony rodzaj pogody - przyznaje Craig.

- Skosiłam trawę. Mam nadzieję, że to już ostatni raz przed zimą. Choć to praca, którą raczej lubię, zwłaszcza kiedy jest ładna pogoda.

- Nic nie może się równać z zapachem świeżego powietrza zmieszanego z wonią dopiero co skoszonej trawy, prawda? - pyta.

- Zgadza się, rozkoszny zapach. Dzięki niemu znowu czuję się młoda. Głupia myśl, choć tego akurat złudzenia nie odpycham od siebie zbyt szybko. - Craig się uśmiecha, ale na pewno nie do końca mnie rozumie, on jest przecież jeszcze młody. - Iluzje, od czasu do czasu, to cudowna sprawa, prawda? - dodaje.

Uśmiecham się do siebie. Gdyby tylko wiedział.

Dostrzegam swoją rodzinę i przyspieszam kroku, jak zawsze śpiesząc się do nich wszystkich. Choć jednak ja jestem zachwycona, oni nie wydają się równie zadowoleni na widok Craiga i mnie. Chłopcy są zażenowani tym, że przyprowadziłam tu pana dyrektora i przez chwilę albo dwie obrzucają mnie gniewnymi spojrzeniami. Na szczęście Auriol i Fran są zbyt małe, żeby je to onieśmielało, i szybko udaje im się zachęcić chłopców do skoncentrowania się na zimnych ogniach. Connie także sprawia wrażenie zmieszanej obecnością Craiga. To pewnie syndrom „nowej mamy w szkole”. Za wszelką cenę będzie się starała wyrzucić właściwe wrażenie (zainteresowany, aktywny rodzic, ale nie za mocno naciskający). Jest wyjątkowo milcząca i przez cały czas trzyma Luke'a za rękę. Daisy widzi w Craigu jedynie kolegę po fachu i kogoś, z kim można porozmawiać o planach nauczania, dzięki temu nie próbuje z niego wydobyć, czy ma wobec mnie jakieś plany. Piszemy w powietrzu nasze imiona za pomocą zimnych ogni, zaglądamy do gabinetu luster

i próbujemy swoich sił w strącaniu z gałęzi kokosów. Czas mija zdecydowanie za szybko - Connie i Luke mówią, że muszą zabrać dziewczynki do domu, Daisy zaś proponuje, że zaprowadzi chłopców i położy ich do łóżek, żebym ja mogła spokojnie zostać i pomóc przy sprzątanii. Craig i ja rozmontowujemy razem stragany, by można je było bez problemu zapakować do vana. Trzeba zaznaczyć, że większość członkiń komitetu urwała się już do domu, wymigując się w ten sposób od pracy.

- Byłem gotów się założyć, że do sprzątanii zostaniemy ty i ja - komentuje to Craig.

Uśmiecha się przy tym i nie sprawia wrażenia, żeby mu to jakoś specjalnie przeszkadzało, choć nos ma czerwony z zimna i nie ma rękawiczek, ręce ma więc na pewno zgrabiące od mrozu.

- Przynajmniej mamy pewność, że sprzęt wróci do wypożyczalni czysty i w dobrym stanie. Zwrócą nam bez problemu kaucję - mówię.

- Jesteś bardzo sumienna, prawda, Rose?

- Tak, zawsze taka byłem. Jesteśmy tacy, jacy przychodzimy na świat, nie sądzisz?

- Nie jestem tego taki pewien. Brzmi to dość fatalistycznie. Wierzę w wolność wyboru. Nie sądzisz, że sami dokonujemy własnych wyborów?

- Tak, ale najczęściej nieświadomie — śmieję się. — Jestem typem kujona i kropka, nic nie jestem w stanie z tym zrobić. Tak już jestem zaprogramowana. W szkole zawsze wzbudzałam podziw nauczycieli.

- Nie wątpię.

- Aby nie zrazić do siebie kolegów z klasy, czasami rzucałam jakieś pytanie, i choć nie sypiałam z chłopcami po to, żeby im się przypochlebić, pozwalałam im od siebie spisywać pracę domową.

- Bardzo rozsądne podejście - śmieje się Craig. - Ja byłem dokładnie taki sam. Cóż, to znaczy nie brałem pod uwagę sy-

piania z chłopcami po to, żeby im się przypochlebić - żartuje i się rumieni. - Po prostu trzymałem się z luzackimi chłopakami i odrabiałem za nich pracę domową. Jestem pierwszym w mojej rodzinie, który poszedł na studia.

- Ja też, wątpliwy zaszczyt. Rodzice tacy dumni...

- Wykładowcy tacy obojętni.

Śmiejemy się ze wspólnych doświadczeń. Nie wiem, czy to przez unoszący się w powietrzu dym (który jest dziwnie odurzający), czy też przekonanie, rzeczywiste bądź wyimaginowane, że Craig mnie rozumie, ale dodaję:

- Czasami żałuję, że nie mogę od nowa napisać swojej młodości. - Craig wygląda na zaniepokojonego. Śpieszę, żeby go uspokoić. - Nie mówię o najważniejszych życiowych decyzjach. I tak wyszłabym za Petera i urodziła bliźniaki, ale pewne rzeczy zrobiłabym nieco inaczej.

- Na przykład co?

- Byłabym bardziej wyluzowana, mniej chętna, żeby zadowolnić innych. Istnieje co najmniej pół tuzina ważnych okazji, kiedy inaczej bym się ubrała, włączając w to dzień mojego ślubu. Bardziej bym się przyłożyła do nauki pływania.

Craig wczuwa się w temat rozmowy.

- Ja udawałbym w szkole zainteresowanie piłką nożną. Oszczędziłoby mi to mnóstwa ciężkich przeżyć.

- Powiedziałabym Philowi Hawoodowi, że go kocham.

- Kim jest Phil Hawood?

- Mój szkolny ukochany. Był rzadko spotykanym człowiekiem, który od najwcześniejszych lat wiedział, czego chce od życia. Pragnął się ustatkować, założyć rodzinę, być szczęśliwym. Nie byłam dla niego wystarczająco porządną dziewczyną. Byłam zbyt niedojrzała, żeby docenić jego dalekowzroczność.

- Co się z nim stało?

- Ustatkował się z inną, założył rodzinę i jest szczęśliwy - mówię lekko, wruszając ramionami.

- Och.

- Cóż, istnieją pewni mężczyźni, w których się łatwo można zakochać, a kobieta, w której się oni zakochują, raczej nie ma znaczenia.

Craig chichocze.

- Szkoda, że nie jestem jednym z takich mężczyzn.

- W każdym razie, Phil Hawood był moją nadzieją podczas mojego rozvodu. Nie oznacza to, że myślałam, że go spotkam, oderwę od żony i rodziny i tym podobne głupstwa, rozumiesz - wiem, kiedy jest już po ptakach. Chodziło po prostu o to, że świadomość, że dawno temu ktoś bardzo mnie kochał, była naprawdę podnosząca na duchu. Czymś rozsądnym wydawała się wiara w to, że pewnego dnia ktoś znowu mnie w ten sposób pokocha.

- Jestem przekonany, że tak właśnie będzie, Rose - mówi Craig z pokrępiającym uśmiechem.

Uśmiecham się do niego.

- Och, mam nadzieję, ponieważ jeśli moja siostra postawi na swoim, wykończę się podczas poszukiwań.

Craig zerka na zegarek.

- Kurczę.

Rozgląda się po boisku.

- Co się stało?

- Chciałem, żebyś poznała moich przyjaciół, i wydaje mi się, że zdążyli już sobie pójść. Zwinęli się pewnie do jakiegoś pubu.

Uśmiecham się niczym nastolatka, uszczęśliwiona tym, że Craig chciał mnie przedstawić swoim przyjaciołom.

- Szczególnie chciałem, żebyś poznała Toma i Jen. Chodzi o to, że w następny weekend jest ich ślub i tak sobie pomyślałem... - Craig urywa w połowie zdania i spogląda w niebo. Podążam za jego spojrzeniem. Czyżby na niebie pojawił się jakiś zabłąkany fajerwerk? Niczego nie widzę. - I tak sobie pomyślałem, czy nie miałybyś ochoty iść tam razem ze mną? Na wesele. Jestem drużbą, wiesz, i nie mam osoby towarzyszą-

cej. Myślę, że to będzie śliczny ślub. Ceremonia ma się odbyć w szesnastowiecznej kaplicy w samym sercu *city*. Piękny budynek, bardzo interesujący pod względem architektonicznym, a przyjęcie odbywa się w...

- Tak.

- Słucham?

- Tak, chętnie z tobą pójdę - mówię z szerokim uśmiechem.

- To dobrze, nie byłem pewien...

- O której godzinie?

- Przyjadę po ciebie o dziesiątej.

- Kapelusze?

- Słucham?

- Jakie obowiązują stroje?

- Tak, chyba kapelusze. Ja będę w garniturze.

- Wspaniale. W takim razie jesteśmy umówieni.

- Umówieni - potwierdza Craig.

Mogę wymieni ć tysiąc powodów, dla których spotkanie się z dyrektorem szkoły moich chłopców to kiepski pomysł, i wszystkie będą racjonalne, rozsądne i logiczne. Ale kontrargument, dla którego powinnam się z nim spotykać, jest przytłaczający.

Craig jest cudowny.

Fajerwerki rzeczywiście są magiczne.

CZWARTEK, 9 LISTOPADA

LUCY

- A więc, Lucy, jaką masz dzisiaj wymówkę?

- Wymówkę?

Uśmiecham się promiennie do Micka i udaję, że nie załapałam, o co mu chodzi.

- Cóż, jest raczej mało prawdopodobne, żebyś zaszczyliła nas swoją obecnością na oszałamiającym przyjęciu firmowym, mimo że będzie tam darmowy szampan i że odbywa się ono w och-tak-bardzo-modnym barze Wasp. Zastanawiałem się więc po prostu, jaką wymówką masz zamiar nas uraczyć. Problem z opiekunką do dziecka? Ból głowy? Zmęczenie?

- Idę — odpowiadam z uśmiechem.

Nie potrafi ukryć zaskoczenia.

- Idziesz?

- Jak najbardziej. Powiedziałam przecież, że tak zrobię, prawda? Poza tym zdecydowana większość zysków, które świętuje Ralph, pochodzi ode mnie. Zasłużyłam na kieliszek szampana.

- Muszę zaprotestować przeciwko tej zdecydowanej większości.

Przyglądam się Mickowi, po czym ustępuję.

- Zgoda. Ty też zrobiłeś swoje. Ale najważniejsze jest to, że idę.

- Dobra wiadomość - odpowiada Mick z tym swoim zuchwiałym uśmiechem.

Potrzebuję jakiejś odmiany i choć nie mam przez to na myśli szybkiego numerku w schowku z materiałami biurowymi, robienia ksero własnego tyłka, pijackiego obrażania swojego szefa czy innych tradycyjnych wygłupów charakteryzujących imprezy firmowe, nie jestem w stanie spędzić kolejnego wieczoru sama w tym domu w Holland Park. Kiedy mówię sama, mam na myśli siebie i Auriol, ale bycie z dzieckiem jest jak bycie samemu, tyle że trzeba, niestety, bawić się w rodeo. Peter jest ostatnio wyjątkowo zajęty. Próbuję nie popadać w paranoję - zwalczam w sobie myśl, że mój mąż mnie unika. Spędza poza domem każdy wieczór od czasu tego koszmarnego przyjęcia z okazji Halloween. Jak na złość przed chwilą do mnie zadzwonił, żeby mi powiedzieć, że jego dzisiejsza kolacja została odwołana i że jest teraz wolny. Poprosił, żebym odpuściła sobie tę imprezę firmową. zaproponował nawet, żebyśmy wybrali się do Nobu, mojej ulubionej restauracji. Choć mnie kusiło, czułam, że nie mogę się zgodzić na jego propozycję. Nie chcę zmienić się w jedną z tych kobiet, które są na każde zawołanie swoich mężczyzn. Takie zachowanie wcale nie przysłużyło się Rose, prawda?

- Cieszę się, że idziesz, będziemy się mogli powygłupiać na parkiecie - mówi Mick z uśmiechem.

- Nie wygłupiam się na parkiecie - przypominam mu.

- Tylko dzieciaki starają się zachowywać *cool*, Księżniczko.

Mick rzuca tę uwagę z nonszalancją, ale mam wrażenie, jakby mnie uderzył. Mruga do mnie i odchodzi.

Jestem za stara na to, żeby zachowywać się *cool*. Uważa, że jestem stara, tak powiedział. Właściwie zasugerował, żebym zaczęła na imprezach tańczyć to muzyki Agadoo. Wszystko się we mnie gotuje.

Moje spojrzenie przyciąga pudełko z sześcioma butelkami szampana, ukryte pod moim biurkiem - podziękowanie od klienta za dziesiątki tysięcy funtów, jakie pomogłam jego spółce zarobić w tym roku. Otrzymałam je w zeszłym tygodniu

i schowałam tutaj, później zaś zupełnie o tym zapomniałam. Przydałoby mi się nieco bąbelków. Jest dopiero 16.00, ale atmosfera jest wyjątkowo rozluźniona. Wielu traderów nie wróciło jeszcze z przerwy na lunch, a większość asystentek ostatnią godzinę przesiedziało w toalecie, przymierzając nowe ciuchy. Inne spędziły całe popołudnie u fryzjera - zależy to od ich stażu pracy. Przyjmuje się, że przyjęcie firmowe w listopadzie oznacza początek zabawy bożonarodzeniowej. Właśnie się rozpoczął sezon łowiecki. Większość osobistych asystentek w *city* znosi całoroczną arogancję i koszarne godziny pracy tylko dlatego, że ich dalekosiężny plan to poślubienie swojego szefa. Przyjęcie firmowe to bardzo ryzykowna sprawa dla siedzących w domu żon i całe mnóstwo sposobności dla kolejnej grupy błyskotliwych młodych piękności.

Moja asystentka, Julia, nie jest ani u fryzjera, ani nie szykuje się w toalecie. Ona nie chce mnie poślubić. Prawdę mówiąc, rzadko ma ochotę w ogóle na mnie patrzeć - miała pecha, kiedy w kadrach przydzielano stanowiska. Wiele wymagam od mojego teamu, ale nie aż tak wiele, jak od siebie, niemniej jednak myślę, że wolałaby pracować dla jakiegoś grubasa. Jest to jednak impreza będąca wyrazem wdzięczności dla personelu, a Julia jest rzeczywiście kompetentna — zasługuje na podziękowanie. Każę jej wyciągnąć kieliszki do szampana, a sama otwieram jedną z butelek.

- Julia, wiesz, potrafisz być naprawdę zabawna.

Otoczam ramieniem szyję Julii. Obu nam chodzenie na wysokich obcasach sprawia nieco więcej kłopotu niż zazwyczaj. Potykając się, idziemy korytarzem w stronę windy. Na szczęście jesteśmy już spóźnione na imprezę i nie został tutaj nikt, kto byłby świadkiem tego, co wyrabiamy. Naprawdę nie wiem, co się stało z czasem, tak świetnie się bawiłyśmy. Na piętrze przebywa jedynie Vic, Portorykańczyk, który odkurza dywany. Daję mu trzy pozostałe butelki szampana, ponieważ nie chce mi się

ich zabierać do domu. Ostrzegam Julię, że jeśli komuś o tym powie, to ją zwolnię. Nie mogę dopuścić do tego, żeby inni spekulowali na temat mojego czułego punktu.

- Ty też potrafisz być miła i zabawna, Lucy. Jak to możliwe, że do tej pory tego nie zauważyłam? - Julia zaczyna chichotać.
- Zwykle uważam, że jesteś taka przerażająca. A tak naprawdę jesteś kochana.

Mimo że wypiliśmy więcej niż butelkę szampana na łebka i jestem już nieźle wstawiona, nie urwałam się z choinki. Nie jestem kochana. Choć jeśli Julia będzie szczęśliwsza, przychodząc do pracy i myśląc, że być może nie jestem pierwszorzędną suką, kimże ja jestem, żeby pozbawiać ją złudzeń? Nie my pierwsze odkrywamy, że kilka butelek Bolly potrafi stworzyć przekonującą, choć krótkotrwałą przyjaźń. Poza tym obie dowiadujemy się na swój temat nowych rzeczy. Julia rzeczywiście jest przezabawna. Potrafi sparodiować praktycznie każdego z piętra transakcyjnego.

- Twoje parodie są naprawdę, naprawdę dowcipne i naprawdę, naprawdę wesołe i naprawdę, naprawdę kąśliwe. - Mój Boże, chyba płacze mi się język. Katastrofa, upiłam się. Z całą pewnością. Nie potrafię się wysłowić. Chyba powiedziałam „naprawdę” jakiś milion razy w tym ostatnim zdaniu, a naprawdę są inne słowa, których mogłam użyć, naprawdę robiących wrażenie, na przykład... „wyjątkowo”. To dopiero naprawdę, naprawdę dobre słowo. - Sparodiuj mnie.

- Nie umiem, Lucy - odpowiada Julia.

- Kłamczucha.

Wybucha śmiechem, gdy wreszcie udaje nam się wtoczyć do windy. Opieram się o ścianę, Julia zaś próbuje trafić w guzik, który pozwoli nam zjechać na dół i do czekającej na nas taksówki. Chyba ma problem z odpowiednim wycelowaniem.

- Zwolniłabyś mnie, gdybyś zobaczyła, jak cię parodiuje - śmieje się.

- W takim razie musisz być niezła - kwituję.

Obie skręcamy się ponownie ze śmiechu, Julia wie jednak, że dziś wieczorem może i zachowuję się przyjaźnie, ale rano będę już trzeźwa. I dlatego nie jest mi dane zobaczyć parodię mnie.

Zajeżdżamy przed Wasp około 21.00. Nie mogę uwierzyć, że to miejsce jest otwarte już od sześciu miesięcy, a ja jeszcze nie miałam okazji tutaj być. Pamiętam czasy, kiedy bywałam na imprezie inauguracyjnej każdego modnego baru i pysznej restauracji w Londynie. Byłam osobą, którą felietoniści spodziewali się i pragnęli oglądać.

Ściany i podłoga są wyłożone lustrami, bez przerwy potykam się więc o siebie. Idę po omacku tak dyskretnie, jak to możliwe, dopóki nie znajdę jakiegoś miejsca do siedzenia. Nie ma tutaj pojedynczych krzesel, a jedynie wielkie skórzane kozetki wielkości czterech złączonych ze sobą ław. Ludzie leżą na nich, rozmawiają, palą, piją i śmieją się. Rozpoznaję większość twarzy, ale krępuje mnie leżenie obok kolegów z pracy. Mam taką zasadę, że nie przesadzam z brataniem się. Jednak po wychyleniu kieliszka tego, co podaje mi Julia, uznaję, że lepiej usiądę, bo inaczej mogę się przewrócić.

Powinna była zjeść lunch. Nie mam już takiej głowy do szampana jak kiedyś. Pamiętam czasy, kiedy kilka butelek szampana traktowałam jako popitkę do wielu kolejek koktajli cosmopolitan, i mimo to czułam się względnie trzeźwa. Ja się nie upijam. A przynajmniej nie robiłam tego kiedyś. Lubię mieć nad wszystkim kontrolę.

To kolejny objaw cholernego starzenia się, prawda? Nie jestem już w stanie panować nad piciem. Niedługo dojdzie do tego osteoporoza, przesuszona skóra, obwisłe piersi, niekontrolowanie czynności fizjologicznych, posiłki dostarczane przez opiekę społeczną. Czy jeszcze kiedyś doświadczę przyjemności płynącej z tego, że jakiś nieznajomy przyciągnie moje spojrzenie i przytrzyma je nieco dłużej niż konieczne? Prawdą jest, że przez ostatnie pięć lat, odkąd urodziłam Auriol, nie uważam,

żebym żyła prawdziwie i na pełen gwizdek. To takie pół-życie. Krok bliżej ku nicości, ku śmierci. Mniej podróżuję. Mniej jem poza domem. Omijają mnie awanse i premie. Rzadko miewam orgazm. Jestem ciągle zmęczona. Ludzie przekonują, że macierzyństwo niewyobrażalnie poszerza horyzonty, ale mnie się to nie przytrafiło. Macierzyństwo zakuło mnie w kajdany.

Powinnam jechać do domu. Nie chcę, żeby inni widzieli, jak bełkoczę, ślinię się czy odpływam. W Gordon Webster Handle jestem w dość wyjątkowej sytuacji, gdyż właściwie każdego z moich współpracowników widziałam w stanie upojenia alkoholowego i zachowującego się żałośnie, natomiast nikt nie widział mnie zachowującej się inaczej niż z godnością.

Nigdy.

Nawet Peter.

Oczywiście, czasem lekko się wstawię razem z nim. Słyszeliśmy z tego, że do kolacji wypijaliśmy dwie butelki wina, ale teraz czuję się zupełnie inaczej. Nie wstawiona, a raczej uwalona. Nie oznacza to wcale, że to, co czuję, jest tak do końca nieprzyjemne. Bardziej nieznanne, a co za tym idzie - nieco niepokojące.

- Śmiało, Lucy! - woła Julia, jakby posiadała zdolność czytania w moich myślach.

Leży obok mnie na czerwonej skórzanej kozetce i wpatruje się w sufit. Unoszę głowę. Na suficie są wyświetlani fantastyczni, niesamowicie piękni klubowicze. Ponieważ podłoga i ściany są wyłożone lustrami, czymś niemal niemożliwym staje się rozpoznanie, co znajduje się u góry, a co na dole. Rzeczywistość zaczyna się unosić i płynąć razem z czymś bardziej odrealnionym i nieco łatwiejszym do przyjmowania: iluzją. Ciekawe, co robi teraz Peter. Prawdopodobnie siedzi z nogami w górze. Na brzuchu trzyma pilota i butelkę piwa. Nogi ma położone na ławie, choć ciągle mu powtarzam, żeby tego nie robił.

Kładę się na plecach i patrzę, jak obrazy nade mną drżą i trzepoczą. Julia podaje mi papierosa i się zaciągam. Po raz

pierwszy od kilku miesięcy zaczynam się choć trochę odprężyć.

- Hej, patrz, Lucy. Ralph obściskuje się z asystentką Micka - mówi Julia.

Próbuję usiąść, okazuje się jednak, że wymagałoby to ode mnie zbyt wiele wysiłku. Wierzę jej więc na słowo.

- Myślałam, że to ja mu się podobam - mówię.

- Jemu podoba się każda. Nie jest w ogóle wybredny - odpowiada. Ach tak. - Próbował tego ze mną, kiedy pewnego wieczoru pracowałam do późna. Bardzo niezdarna próba. Jeśli mam być szczerą, to strasznie krępująca. A ty? Kiedy się do ciebie dobierał?

- Cóż, tak naprawdę to nigdy - przyznaję. - Zajmuję zbyt wysokie stanowisko, żeby mógł ryzykować - dodaję.

- Tak — mówi Julia, ale nie sprawia wrażenia przekonanej.

Myślałam, że podobam się Ralphowi. Odkąd do nas dołączył, traktowałam go nieco ozięble, ponieważ byłam przekonana, że gdyby zaczął się do mnie przystawiać, zniszczyłoby to nasze relacje zawodowe, ale wygląda na to, że niepotrzebnie się tym przejmowałam. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że jest mało wybredny. Zwykle potrafię coś takiego wychwycić. Nie oznacza to, że choć trochę mi się podobał, ale. Cóż. Tak sobie tylko myślałam.

Wydaje mi się, jakby wieczór odtwarzano na zepsutym sprzęcie wideo. W jednej chwili wszystko się dzieje z podwójną prędkością i życie przemyka w serii tętniących energią, chaotycznych obrazów, hałasu i pikantnych zapachów. W następnej zaś wszystko zwalnia i wydaje mi się, że tańczący ludzie wyglądają tak, jak ci goście na materiale filmowym relacjonującym lądowanie na księżycu. Serwowane jest sushi, ale mnie się nie chce wstać - przyjmuję jednak dwa, a może nawet trzy koktajle w zabawnych kolorach od pięknych dziewczyn, które chcą zostać pisarkami. Większa część drinków trafia do mojej buzi.

Hałas wokół mnie jest ogłuszający, śmiech i lubieżność objają się o siebie. Skromni ludzie, którzy zazwyczaj ograniczają

się do kieliszka przyzwoitego porto po obiedzie, nagle wychyla-
ją do dna fluorescencyjne koktajle i zachęcają się nawzajem do
wzięcia udziału w konkursie break dance. Toalety są już pełne
szlochających dziewcząt, próbujących zmyć strumienie tuszu
do rzęs, widać też grupki facetów z księgowości, którzy mają
na głowach papierowe czapeczki i zgrywają „szurniętych”. Ich
desperacki pokaz zabawy przypomina mi prezenterów progra-
mów, które lubi oglądać Auriol.

Nagle staję się świadoma obecności kogoś, kto siedzi na
kozetce obok mnie. Ja nadal leżę i nie mogę wyrzesać z siebie
na tyle energii, żeby się odwrócić i sprawdzić, kto to taki. To
nie Julia - jakiś czas temu zniknęła, żeby obściskiwać się z jed-
nym z traderów. Ta dziewczyna jest jednak troskliwa — zosta-
wiła mnie razem z dwoma drinkami, żebym nie musiała wsta-
wać i iść do baru.

- Hejka, Księżniczko.

- Mick! - uśmiecham się do niego promiennie. - Położ
się na plecach, o tak - instruuję go. - To niesamowite. Popatrz
tylko, co jest na suficie.

Nie widać już na nim seksownych klubowiczów, pokazu-
jących, co potrafią - zastąpił je montaż fantastycznych scenek
ulicznych. W jednej chwili jestem w Wenecji, potem w Miami,
a jeszcze później w Barcelonie.

- Usiądź, Księżniczko - mówi Mick. - Chwyta mnie de-
likatnie za ramiona i podciąga do pozycji siedzącej. Wiszę bez-
władnie i w ogóle mu nie pomagam. - Czy ktoś zaprawiał two-
je drinki? - pyta.

- Nie-e-e-e-e-e. Sama to zrobiłam - odpowiadam bełko-
tliwie i uśmiecham się. - Od trzech dni prawie nic nie jadłam.
A dzisiaj wypięłam całe mnóstwo. Tu jest cudownie.

Rozkładałam szeroko ramiona, żeby zilustrować swój za-
chwył. Nic nie wylewa się z mojej szklanki, ponieważ jest pu-
sta. Rozglądam się za następną.

- Dlaczego nie jesz?

- Nie chcę utyć.

Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam. Nigdy w całym moim życiu nie przyznałam się do stosowania diety, choć jestem na niej, odkąd weszłam w wiek dojrzewania. Nie postrzegam już sposobu, w jaki jem, czy raczej nie jem, jako diety, jest to po prostu rozsądne. W ogóle nie jem żywności przetworzonej, tłuszczów nasyconych, czipsów, frytek, słodczy, ciast i lodów. To szczerza prawda, że chwila przyjemności w ustach to później miesiąc odkładania się tłuszczu na biodrach. Także alkohol uważam za nazbyt tuczący i odkąd skończyłam trzydzieści trzy lata, kiedy to dostrzegłam u siebie znaczne spowolnienie metabolizmu, znacznie ograniczyłam jego spożycie. Łamanie własnych zasad to głupota. Nawet gdy moja podświadomość notuje to stwierdzenie, pociągam duży łyk szampana. Dlaczego bardziej się tym nie przejmuję?

- Jeszcze cię nie widziałem takiej pijanej, Lucy.

- Bo jeszcze nigdy nie byłam taka pijana, Mick. Podoba ci się moja sukienka?

- Słucham?

- Moja sukienka. Jest nowa. Myślisz, że mi pasuje?

Ni stąd, ni zowąd potrzebuję usłyszeć komplement właśnie z ust Micka, i potrzebuję tego t e r a z .

- Bardzo ładna.

- Naprawdę?

- Jest super - mówi.

Nawet mając nieźle w czubie, zauważam brak entuzjazmu w jego głosie. Od czasu Nowego Jorku Micka i mnie łączy relacja, która jest nacechowana przyjaznymi żarcikami, bardziej przyjacielska niż przed wyjazdem i mniej kokieteryjna. Oczywiście, bardzo się cieszę, że mam kumpla, i przyznaję, że ten związek nie mógł zabrnąć w jakimkolwiek innym kierunku, jestem przecież mężatką, ale...

Ale. W głębi duszy, ale tak naprawdę głęboko, uważam, że ta nowa, bezpieczna relacja jest ociupinkę nudna. Wybiera-

jąc opcję „wyłącznie dobrzy przyjaciele”, wyraziłam zgodę na przywdzianie czapki niewidki. Dlaczego wszystkie dorosłe decyzje muszą być takie nudne? Co zrobić? Co zrobić? Nie jestem przyzwyczajona do relacji z mężczyznami, o ile nie są one seksualne. W moim życiu nie ma takiego precedensu jak przyjaciel mężczyzna. Dawniej miewałam kochanków, wielbicieli, byłych i mężczyzn, z którymi flirtowałam, i te relacje były fajne.

- Patrz, patrz, w górę! - Zaskakuję Micka i dzięki temu udaje mi się pchnąć go na plecy na tę wielką kozetkę. Kładę się obok niego. Nasze ramiona stykają się ze sobą i wspólnie oglądamy migające nad nami obrazy. - Widzisz, to Nowy Jork. - Uśmiecham się do niego promiennie. - Cudownie się bawiłam w Nowym Jorku - dodaję, starając się, żeby zabrzmiało to niedbale. - A ty?

Mick się uśmiecha.

- Fajnie było, Księżniczko.

- Ani razu tak się nie upiłam w Nowym Jorku - oświadczam.

Jestem świadoma tego, że mój głos przypomina nieco głos Auriol, kiedy opowiada mi o jakimś swoim osiągnięciu, z którego jest szczególnie dumna, na przykład poukładanie maskotek według wielkości.

- Nie, Lucy, nie upiłam.

- Ciekawe, co by się stało, gdybym to zrobiła.

Mick wzrusza ramionami i siada. Robi to płynnie i zdecydowanie, co stanowi dowód na to, że ma świetnie wyćwiczone mięśnie brzucha.

- Wstawaj, przyniosę ci dużą szklankę wody i przestaniesz pić.

To stanowi dowód na to, że w ogóle mnie nie zna.

Hałas, nieustanny hałas, roznosi się po sali na pełny regulator. Ludzie krzyczą, rozmawiają, śmieją się, śpiewają. Nikt nie słucha. Muzyka dudni, a brzęk butelek uderzających o brzegi kieliszków brzmi niczym refren z *Jingle Bells*. Mimo to prawie

śpię, kiedy chwilę, a może dziesięć minut później wraca Mick. Razem z nim pojawia się butelka wody i Joe Whitehead. Od czasu, gdy poznałam Joego we wrześniu, moje pierwsze wrażenie z nim związane (że jest niekompetentnym wrzodem na tyłku) tylko się umocniło. Jest pryszczaty, wiecznie spocony i obleśny. Wszystko to mogłabym mu wybaczyć, gdyby tylko był dobry w tym, co robi, ale nie jest. Jestem zbyt pijana, żeby zachowywać się wobec niego uprzejmie. Kiedy pyta mnie, czy dobrze się bawię, odpowiadam bezgłośnie:

- Nie słyszę, muzyka jest taka głośna.

Następnie kieruję uwagę ponownie na Micka.

Jak na złość, Mick nie chce położyć się z powrotem na kozetce, z kolei Joe nie ma przed tym żadnych oporów. Porusza rękami i nogami w górę i w dół jak ktoś, kto robi orła na śniegu. Dostrzegam, że cała reszta wyniosła się z naszej kozetki - wygnał ich zapach jego potu.

- Uwielbiam dotyk skóry na ciele! - woła, łypiąc okiem. Idiota.

Mick nalega, żebym pozostała w pozycji siedzącej i wypija wodę, którą mi przyniósł. Sączę ją niechętnie. Nie jestem pewna, czy chcę wytrzeźwieć. Jako pijana całkiem dobrze się bawię, a ostatnio rzadko mi się to zdarza. Co prawda z nikim na tym przyjęciu tak właściwie nie porozmawiałam. Nie miałam szansy na to, żeby nawiązywać kontakty czy zrobić wrażenie, i jest jasne, że teraz nie jestem w odpowiednim stanie, by coś takiego czynić. Ani razu nie zatańczyłam, ani nawet nie zajrzałam na taras, który podobno jest ogrzewany i rozciąga się z niego fantastyczny widok na Londyn. Być może nie wykorzystuję optymalnie swojej nocy wolności, ale dobrze się bawię i nie chcę być trzeźwa. Gdy tylko Mick odwraca głowę, pociągamy ukradkiem łyk ze szklanki, którą mam akurat najbliżej. Ponieważ koszty tego wieczoru pokrywa firma, na stołach jest pełno niedokończonych, porzuconych drinków. Tym sposobem mieszam wódkę, gin, szampana, piwo i wino. Gra koktajlowa

w rosyjską ruletkę: z każdym łykiem zastanawiam się, czy to ten, który sprawi, że odpłynę.

Przysuwam się bliżej Micka.

- Co sądzisz o dzieciach? - pytam go.

Patrzy na mnie z lekkim zdziwieniem, ale godzi się na chaotyczną naturę naszej dzisiejszej rozmowy.

- Lubię je, ale nie byłbym w stanie zjeść całego dzieciaka naraz - odpowiada żartem i się uśmiecha.

Nie wiadomo skąd do moich uszu dobiega wybuch śmiechu. Jest szaleńczy i niewspółmierny do żartu. O Boże, to przecież ja się śmieję.

- Nie rozumiem dzieci - zwierzam mu się. - Mam córkę, nie wiem, co z nią robić. - To facet, nie pyta więc, co mam przez to na myśli. Mam to gdzieś, jego milczenie stanowi dla mnie wystarczającą zachętę. — Te wszystkie niekończące się wizyty w zoo, umawianie spotkań z koleżankami i jeszcze te zapachy. - Mick blednie, dlatego nie wdaję się w szczegóły na temat odrażających woni, które dzieci z mniejszą lub większą częstotliwością emitują od chwili, gdy przychodzą na świat. - Nie znam własnej córki. Nie znam osoby, którą stworzyłam.

Nagle uderzają mnie prawda i smutek zawarte w tym zdaniu. Boję się, że zaraz zacznę ryczeć. Cholerny alkohol. Milion razy widziałam, jak coś takiego przytrafia się innym ludziom, jak u diabła, mogłam doprowadzić się do takiego stanu? Postanawiam zmienić temat.

Rozglądam się po sali. Wygląda na to, że wszyscy są teraz tak pijani, żeby uwolnić się od obowiązku prowadzenia uprzejmych rozmów czy nawet przyjaznych pogawędek zarezerwowanych dla bliższych kolegów - całe pomieszczenie emanuje niczym nieograniczonym, bezczelnym rozluźnieniem. Pamiętam tę ekscytującą lekkomyślność z dawnych lat i podoba mi się ona. Czuję się super.

Zbliżam usta do ucha Micka, z pewnością czuje na nim mój oddech. Widzę, jak podnoszą się włoski na jego karku. Za-

stanawiam się, czy to jedyna część jego anatomii, która zaczyna stawać na baczność. Jedną ręką oplatom jego szyję, drugą zaś kładę mu na udzie.

— I jeszcze mam męża i nie wiem, co robić także z nim - wyznaję mu szeptem. - On chyba już nie wie, co robić ze mną. Zapomniał.

Pozwalam, żeby słowa te wisiały między nami. Mick nie patrzy na mnie, lecz wzrok ma utkwiony przed siebie - jego bezruch stanowi dowód na to, że poświęca mi całą swoją uwagę. Reszta pomieszczenia, jeszcze sekundę temu tak hałaśliwa i przejmująca, teraz znika. Świat milczy, podczas gdy ja czekam na reakcję Micka. Wiem, co zrobiłam - otworzyłam puszkę Pandory. Chcę, żeby do jego głowy zakradły się różne myśli. Niestosowne, niebezpieczne myśli. Chcę, by Mick wyczuł moje niezadowolenie, i chcę, by przystąpił do działania. Co więcej, potrzebuję tego. Wygląda dzisiaj bardzo seksownie, poza tym jest tutaj, prawda? Dostępny. Prawda? A ja naprawdę potrzebuję tego, żeby mnie pożądan.

Wydaje się, jakbym przez całe lata świetlne pozwalała Mickowi w pełni zdać sobie sprawę z sytuacji. Jestem pijana bardziej niż kiedykolwiek wcześniej i wyrażam frustrację z powodu życia rodzinnego, siedzę obok niego na wielkiej skórzanym kozetce - jeśli ma to kiedykolwiek nastąpić, w takim razie teraz jest pora na podniesienie stawki.

— W Nowym Jorku ani razu nie mówiłaś niczego w tym stylu - mówi w końcu ostrożnie.

Prawdę mówiąc, spodziewałam się, że zaproponuje, byśmy przenieśli się jakieś bardziej ustronne miejsce, odpowiadam więc bez namysłu i zgodnie z prawdą:

— W Nowym Jorku ani razu nie byłam aż tak pijana, Mick.

Szybko odwraca się do mnie.

— Uwodzenie pijanych kobiet to nie w moim stylu, Książniczko. Dzięki za propozycję i w ogóle. - Z tymi słowami wstaje,

po czym woła do Joego: - Stary, muszę lecieć. Dopilnuj, żeby Lucy piła dużo wody, a najpóźniej za godzinę wsadź ją do tak-sówki. Ona także musi jechać do domu.

- Się robi, kapitanie - odpowiada Joe, przykładając palce do czoła w geście salutowania.

Następnie Mick opuszcza salę, nie posyłając w moim kierunku ani jednego spojrzenia.

Poszedł. Czuję się głupio, jestem zła i zniesmaczona. Zniesmaczona z powodu jego i siebie. Nie mogę uwierzyć, że właśnie podałam mu siebie na tacy, a on odmówił. O d m ó w i ł. W Nowym Jorku miał na to ochotę. Jestem tego pewna. Co złego wydarzyło się między tamtym wyjazdem a dzisiejszym wieczorem? Jestem aż taka odpychająca? Taka rozpadająca się? Z całą pewnością poszedł poszukać sobie kobiety, której ciało ma jeszcze dziecięcą pulchność i która nie ma pojęcia, co to takiego Spandau Ballet.

Joe siada.

— Pieprzyć wodę. Za kogo on się uważa?

Chwilę trwa, zanim dociera do mnie, co on mówi. Czuję się zagubiona i pozbawiona własnego miejsca na ziemi. Peter mnie nie pragnie. Coraz trudniej przychodzi mu powrót wieczorem do domu, a kiedy już to czyni, jedyne, co robimy, to się kłócimy. Auriol pragnie mnie aż za bardzo, a ja nie radzę sobie z byciem matką. Connie mnie nie rozumie - uwielbia to całe macierzyństwo. Cholerna, cholerna Rose. Założę się, że siedzi teraz w domu i piecze czekoladowe ciasto i placki z owocami. Chowam głowę w dłoniach i walczę ze łzami. Moje dłonie wydają się sękaty i poszarzałe. Może to tylko oświetlenie w klubie, ale nie sądzę. Jestem stara. Mick mnie nie chciał. Mam mętlik w głowie i czuję zażenowanie. Nawet ten cholerny, niewybredny Ralph mnie nie chciał. Jestem skończona. Już po mnie.

Joe siada obok mnie. Nie zauważyłam nawet, jak odszedł, ale wygląda na to, że był w barze. Stawia na stole srebrne wiaderko. Wystaje z niego butelka Crystalu.

- Mick bywa takim apodyktycznym palantem. Sama kontrolujesz swoje picie, prawda, Lucy?

- Najczęściej tak - bełkoczę w odpowiedzi.

- Ten bezczelny drań nie ma prawa mówić ci, kiedy powinnaś przestać pić.

- Nie ma prawa - przyznaję. Kręcę głową i gdy to czynię, czuję, jak mózg obija mi się boleśnie o czaszkę. Chyba zbiera mi się na wymioty. - Niedobrze mi - mamroczę.

- Najlepszym lekarstwem na to, Lucy, jest kolejny drink — radzi mi Joe.

- Naprawdę?

- Zawsze.

Szampan dociera do mojego gardła, lodowaty, uzależniający płyn. Tysiąc oszałamiających bąbelków tańczy gorączkowo na moim języku i przez chwilę rzeczywiście czuję się lepiej. Unoszę kieliszek po dolewkę i uśmiecham się do tego osła Joego.

CZWARTEK, 9 LISTOPADA

J O H N

Już pojutrze wielki dzień Toma. Od czasu weekendu kawalerskiego (niezwykle udanego) pod koniec października całkiem ostro sobie popijałem i myślę, że moja wątroba może wyglądem przypominać zmielone podroby, postanawiam więc dać sobie dzisiaj spokój z alkoholem. O wpół do szóstej całkiem dobrym pomysłem wydawało się spędzenie wieczoru w domu, obejrzenie filmu na DVD, wykąpanie się, obcięcie paznokci u stóp, następnie zaś pójście do wyra przed północą. Ale teraz jest siódma i nudzę się jak mops.

Czasami muszę się zastanawiać nad charakterem swojej pracy. Płacą mi krocie, wystarczająco, żeby było mnie stać na piękny dom, ale pracuję o każdej możliwej porze i głównie w miejscach, które wymagają kłopotliwych dojazdów z mojego pięknego domu - kończy się to więc tak, że mieszkam gdzie indziej. Jak już mówiłem, to mieszkanie służbowe jest całkiem niezłe, ale to jednak nie prawdziwy dom. I czasami tęsknię za swoimi wygodami, takimi jak wielka lodówka, wieża, kablówka i Andrea. Niekoniecznie za Andrea jako taką, ale wiecie, za towarzystwem drugiej osoby.

W moim pustym mieszkaniu rozlega się sygnał telefonu i tak się z tego cieszę, że odbieram, nie sprawdzając najpierw na wyświetlaczu, kto dzwoni.

- Dlaczego ty i Andrea się rozstaliście?

- Witaj, Connie. Co u ciebie?

Nie odpowiada na moje powitanie, lecz czeka na odpowiedź. Wiedziałem, że to pytanie się w końcu pojawi. Wkurzały ją moje techniki robienia uników. Chce porozmawiać o tych ważnych sprawach. Może jest ciekawa. Albo próżna. Albo ma mętlik w głowie. A może rozmowa jest jej sposobem na legalne bzykanie się i nie zgodzi się na jedno bez drugiego. Nie wiem, ale to pierwszy raz od pięciu lat, gdy zadzwoniła do mnie, i nie widzę żadnego powodu, żeby trzymać ją w niewiedzy.

- Andrea miała romans.

- Nie!

Słyszę, jak gwałtownie wciąga powietrze i wyobrażam sobie jej twarz, która jest jednym wielkim zdumieniem. To naprawdę słodkie. Myślę, że mogła na to zareagować samozadowoleniem lub zachwytem. Ale słyszę, że jest rzeczywiście zaszokowana. Możliwe, że Connie to jedna z niewielu osób na tym świecie, które naprawdę uważają, że niewierność w stosunku do mnie to coś nie do pomyślenia. Czy ona byłaby mi wierna? Gdybyśmy wtedy zostali razem, czy by nam się udało?

- Zakładałam... - Connie urywa.

- Zakładałaś, że to ja zrobiłem skok w bok - uzupełniam usługę.

Podchodzę niespiesznie do okna i wyglądam na High Street Kensington. Ulice są pełne wieczornych zakupowiczów, którzy gorączkują się tak, jakby to była Wigilia, a nie dopiero początek listopada. Nie mogę powiedzieć, żebym czekał z utęsknieniem na święta.

- Cóż, tak. Dlaczego miała romans?

To pytanie pozwala uwierzyć mi w to, że Connie byłaby mi wierna, gdybyśmy wiedli to inne życie, to, w którym nie tylko zdobyłbym dziewczynę, ale pragnąłbym jej w odpowiednim czasie i dlatego bym się jej trzymał. Mocno.

- Sądziła, że ją zdradzam.

- A zdradzałeś?

- Nie, ale powiedziała, że przez całe życie zachowywałem się tak, że teraz nikt już nie potrafi mi uwierzyć.

Connie nie zaprzecza, choćby z grzeczności.

- Andrea wiedziała o tobie i... - urywam.

- I wszystkich innych - warczy.

Podnosi mnie na duchu to, że ona nadal wkurza się z powodu tych innych.

- Nie o wszystkich, ale o kilku owszem - przynaję. Nawet Connie nie wie o wszystkich. - Choć przyrzekłem jej, że po ślubie będę jej wierny, tak naprawdę nie wierzyła, że jestem do tego zdolny. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego miałbym chcieć się zmienić.

- Całkiem dobrze ją rozumiem.

- Ja też, ale ja naprawdę mówiłem poważnie. I byłem jej wierny. Ludzie się zmieniają. Ty się zmieniłaś.

Connie przez chwilę milczy. Do tej chwili oboje mocno się staraliśmy udawać, że wierzymy w to, że nasz związek jest najzupełniej niewinny. Ona udaje, że jesteśmy jedynie przyjaciółmi. Nie jesteśmy. Ja udaję, że wierzę, że ona mi się oprze. Nie oprze.

- To był koszmar. Wystarczyło, że zamieniłem kilka słów z inną kobietą, a Andrea wpadała w szał. Ciągłe mnie przepytowała. Dokąd idę? Z kim? Kiedy wrócę? Zaczęła pojawiać się w różnych miejscach, żeby się przekonać, czy rzeczywiście gram w piłkę, tak jak jej mówiłem, czy też gram na boku. Oboje nas to unieszczęśliwiało.

- Ale skoro Andrea sprawdzała cię, a ty nie robiłeś niczego złego, co kazało jej myśleć, że jest inaczej?

- Uważała, że nasz seks stracił tempo.

- Naprawdę?

Connie jest wyraźnie uszczęśliwiona, po czym pospiesznie zmienia ton głosu na bardziej odpowiedni, coś zbliżonego do współczucia. Mruczy coś niby ze zdumieniem, ale ja nie daję się zwieść. Nic nie jest w stanie poradzić na to, że niesamowicie ucieszyło ją to wyznanie. Jest bardzo ambitna.

- Ale ja uważam, że tak po prostu się dzieje, prawda? Z czasem stałoby się tak z tobą i ze mną.

Długo, długo milczy, aż w końcu mówi:

- Nigdy się tego nie dowiemy.

- Cóż, ja uważam, że tak się dzieje. W długotrwałych związkach seks raz jest lepszy, raz gorszy. Nieustannie się zmienia i ewoluuje. Nie jest możliwe, żeby przez cały czas był taki, jak podczas pierwszych kilku tygodni. Wszyscy umarlibyśmy z wyczerpania.

Connie wciąga powietrze. Ponownie jest zaszokowana, możliwe, że moim poczuciem realizmu. Próbuje jej to wytłumaczyć.

- Kochałem ją, naprawdę. Ale po ślubie nie potrafiłem być sprośny i natarczywy przez cały czas. Czy to w ogóle możliwe?

- Connie mnie teraz wkurza. Milczy, co jak na nią jest nie lada wyczynem. - Nie zgadzasz się ze mną? Co? O co ci chodzi?

- Mój Boże, uważam, że to najbardziej dojrzała rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam z twoich ust.

- Nie traktuj mnie protekcyjnie, Connie.

- Przepraszam, przepraszam. - Niemal słyszę, jak obracają się trybiki w jej głowie, a może to po prostu hałas na ulicy pod moim oknem. - Przepraszam, jeśli to zabrzmiało protekcyjnie. I naprawdę mi przykro z powodu Andrei. Szkoda, że wam się nie udało. - Kaszle.

- Cóż. Tak to już bywa. Widocznie nie byliśmy sobie pisani.

Ciekawe, jak Connie teraz wygląda. Gdzie siedzi? Co robi? Zagryza wargę, jest zirytowana, rozczarowana czy wygląda wyzywająco? Zastanawia się? Co jeszcze chce czy musi wiedzieć, zanim do mnie przyjdzie? Prawdopodobnie chce, żebym jej powiedział, że jest tą jedyną. Że zawsze nią była i że Andrea i ja byliśmy z góry skazani na porażkę, ponieważ nie potrafiłem wyrzucić z myśli jej, Connie. Mógłbym jej to powiedzieć. Nie byłoby to prawdą, ale pewnie zadziałałoby. Przysuwa się bliżej

mnie. To znaczy - w sensie mentalnym. Czuję to. Piła ze mną szampana, nie mówiąc o tym mężczyźnie. Zdecydowała się urwać z pracy, żeby być ze mną. Zdecydowała się oglądać fajerwerki ze mną, nie z Lukiem.

- Andrei jest lepiej z jej nowym facetem. Jest dla niej dobry. Zasługuje na to - mówię, wruszając ramionami.

Współczucie Connie mogłoby teraz przesądzić sprawę. Wychwyci cień żalu, chęć pozostania na uboczu, i będzie chciała przypomnieć mi, że jestem bogiem. Przynajmniej w jej oczach.

- Gdzie jesteś? - pytam.

- W Dieslu na High Street Ken - odpowiada.

To nie jest zbieg okoliczności. Connie myśli o mnie, znajduje się na tej samej ulicy, nie tak daleko ode mnie. Ponownie zakradam się do jej myśli. To może być moja chwila.

- Jadłaś coś? - pytam.

- Nie.

- Możemy razem zjeść.

- Gdzie?

- W jakimś lokalu albo u mnie, dla mnie bez różnicy. Ty zdecyduj.

- Okej. W lokalu. Spotkajmy się w Café Rouge na Church Street. Wiesz, gdzie to jest? Lubię to miejsce. Mój znajomy pracuje tam jako menedżer. To do zobaczenia za dziesięć minut.

Po czym się rozłącza.

A niech mnie. Zadziałało.

Przeglądam się w lustrze. Mogę iść. Nie ucieszyła mnie wiadomość, że menedżer to jej znajomy. To może podziałać hamująco. Choć Connie lubi ryzyko, jakoś nie wyobrażam sobie, żeby bzykała się ze mną na oczach kumpla, ale nie mam wątpliwości co do tego, że wieczór zaczyna wyglądać obiecująco. Obcinanie paznokci u nóg czy posuwanie Connie przy murku w bocznej alejce jak za dawnych czasów? Trudno to nazwać łamigłówką. Będę to jednak musiał ostrożnie rozegrać. Za bar-

dzo jej pragnę, a ostatnio zbyt otwarcie. Do pewnego stopnia to zadziałało, przyciągnęło ją aż tutaj, ale Connie nie przepada za otwartym okazywaniem uczuć. Z doświadczenia wiem, że najbardziej lubi, kiedy mężczyźni traktują ją jak śmieć. To właśnie ją podnieca. Możliwe, że będę musiał tak trochę dzisiaj się pobawić. Wiem, jakich użyję sztuczek.

Porozmawiam z nią o ważnych sprawach. Odpowiem na jej kolejne pytania. Odpowiem nawet zgodnie z prawdą. Co mi tam! Nie można jej zaszokować - i to właśnie zawsze mi się w niej podobało. Opowiem jej, co dzięki niej ostatnio czuję. Jak dużo o niej myślałem. Może nawet zaryzykuję i porównam to z dawnymi czasami, kiedy po naszym pierwszym czy drugim razie prawie w ogóle o niej nie myślałem. Będę się przysuwiał coraz bliżej, a potem odsunę od niej. W jej oczach będzie błyszczeć konsternacja. I dobrze. Będzie sądziła, że wycofuję się z szacunku do jej życzenia, żebyśmy byli jedynie przyjaciółmi. Będzie jednocześnie rozczarowana i uradowana. Ale będzie się czuła bezpieczna i sprawująca kontrolę. Jeśli mi się poszczęści i jeśli właściwie to oceniam, będzie także odczuwać lekki żal i zaciekawienie. To ona do mnie przyjdzie. To tylko kwestia czasu. Odrobina konsternacji wzmacnia napięcie i wszystko intensyfikuje. Może jej powiem, że ma rację i że powinienem zostawić ją w spokoju. Będę jej patrzył prosto w oczy podczas tej krótkiej przemowy i...

Ponownie rozlega się sygnał telefonu.

Szlag by trafił! Mam nadzieję, że Connie nie ogarnęły wątpliwości i nie dzwoni, żeby mi powiedzieć, że jednak nie może się spotkać. Odbieram.

- Cześć, to ja.

„Ja” - czyli Andrea.

PIĄTEK, 10 LISTOPADA

LUCY

Zeszłej nocy też spałam w pokoju gościnnym. Do domu dotarłam dopiero o czwartej nad ranem i nie chciałam budzić Petera ani niepokoić Auriol. Rano ignorowałam wszystkie głosy nawołujące mnie do pobudki i chowałam głowę pod poduszką, dopóki nie usłyszałam, że Peter wychodzi do pracy, a Eva i Auriol do szkoły. Dopiero kiedy w oddali ucichły ich kroki, odważyłam się ruszyć.

Natychmiast załały mnie fale mdłości. Zanim zwymiotowałam, zdążyłam dotrzeć do łazienki, ale do muszli klozetowej już, niestety, nie. Moja spokojna, minimalistyczna łazienka od Philippe'a Starka z nastrojowym oświetleniem i mozaikowymi płytkami ze szkła weneckiego w jednej chwili przekształciła się w coś wystarczająco paskudnego, żeby mogło się to pojawić w filmie Tarantino. Trzęsąc się i szlochając, ostrożnie powycierałam resztki imprezowych ekscesów, które ubrudziły podłogę w łazience i moje życie.

Wzięłam prysznic, ale nie udało mi się zmyć ze swojego ciała woni wczorajszego przewinienia. Próbowaliśmy wypić szklankę herbaty z perzu, ale jej wygląd był podejrzenie zbliżony do tego, co niedawno zwróciłam na podłogę w łazience, nie udało mi się więc wmusić w siebie więcej niż jednego łyka. Zamiast tego zjadłam pospiesznie trzy tosty i wypiałam trzy duże kubki mocnej czarnej kawy. Wyliczyłam, że Eva spędzi w supermar-

kecie najprawdopodobniej półtorej godziny, ale co będzie, jeśli zmieni plany i zjawi się w domu, żeby wstawić białe pranie? Nie mogłam ryzykować tego, że na nią wpadnę. Nie miałam ochoty już nigdy nikogo widzieć. Wysłałam Julii esemesa, że biorę dzień urlopu - wiedziałam, że prośenie Ralpa o wolne z powodu choroby wywołałoby zaciekawienie i zapoczątkowało lawinę pytań - a tego akurat chciałam uniknąć. Chwyciłam płaszcz, torebkę i okulary przeciwsłoneczne i wyszłam z domu.

Jest szary, ponury dzień i okulary są zbędne, ale muszę się za nimi skryć. Jak mogłam zrobić coś tak głupiego? Przez całe życie miałam pełną kontrolę nad sobą i swoim otoczeniem, a moje działania zawsze cechowały rozsądek i inteligencja. Nigdy nie podjęłam żadnej głupiej decyzji pod wpływem impulsu i nie drzemie we mnie gen autodestrukcji, ale teraz spieprzyłam sprawę.

Wszystko.

Całe swoje życie.

Nie. Nie może tak się stać. Nie pozwolę na to. Ważne jest to, żeby nie wpaść w panikę. Postanawiam jechać metrem. Zazwyczaj stronie od transportu publicznego, ale dzisiaj czuję, że pasuje on do sytuacji. Siedzę, z porów mojej skóry emanuje alkohol, a otaczają mnie inni bezmyślni nieudacznicy z miasta Londyn i całkiem dobrze pasują do tego miejsca.

Niewiele uwagi poświęcam temu, gdzie wysiadam, i z zaskoczeniem się przekonuję, że znajduję się na Bond Street. Zaczęło padać, a ja nie zabrałam z domu parasolki. Ze wszystkich stron atakuje mnie mżawka, sugerując w ten sposób, że nawet bogowie deszczu wiedzą o moim odrażającym uczynku.

Przez cały ranek włóczę się po Londynie, odczuwając skruczę i jednocześnie się buntując. Mówię sobie, że to Peter mnie ku temu pchnął. Nie miałam wyboru. Od miesięcy mnie ignorował. Ale nawet ja sobie nie wierzę. Wiem, że zawsze mam wybór i nikt mnie nigdy do niczego nie popycha. Czuję się strasznie. Czuję się tania. Wykorzystana i skończona. Napraw-

dc zrozpaczona, zrujnowana i zdruzgotana, niczym jakaś dziewiętnastowieczna bohaterka, w co nigdy nie wierzyłam, że jest możliwe. Aż do teraz.

Z niewiadomych powodów, z nieuchronnością, którą uważałam za wyłączną domenę nie znających innych miejsc turystów, odkrywam nagle, że idę Oxford Street w stronę Tottenham Court Road. W najlepszym razie brzydka część miasta, a dzisiaj na pewno nie jest on najlepszy. Niektórzy są zdania, że ta część miasta reprezentuje londyński wigor, dreszczyk emocji i upadek. Ja widzę jedynie upadek. Bezdomnych, pijaków, biednych i przepracowanych ludzi. Jest tutaj rzeczywiście przynębiająco i zupełnie inaczej niż na eleganckich, błyszczących ulicach *city* czy bogatych, pełnych zieleni ulicach Holland Park, w których to miejscach przebywam najczęściej. Dzielnica ta jest zbyt jasno podświetlona agresywnymi, jarmarcznymi neonami, które pozakrywały wcześniejszą wspaniałość i majestatyczność. Myślę, że to moja podświadomość mnie karze, zmuszając do oglądania takiej ohydy. Wygrywa świadomość - instykt samozachowawczy. Jeszcze tylko kilka kroków i można uciec od tych potworności i poszukać szykownych, pełnych życia części miasta, które są mi bardziej znane. Skręcam w prawo i pospiesznie idę w kierunku cudownie okazałego bulwaru, jakim jest Regent Street. Duża liczba modnych sklepów z całą pewnością poprawi mi nastrój.

Odkrywam, że Londyn jest serią scenek, które stanowią tło dla epizodów z mojego życia. Niczym podczas przeglądania starych pamiętników, natrafiam na schody, pewien sklep, pomnik, gdzie rozgrywały się konkretne wydarzenia w moim życiu.

Dostrzegam sklep z antykami na Bond Street, gdzie kupiłam prezent ślubny dla Petera i Rose. Waza ta stoi na parapecie w naszej toalecie na dole. Nie było to coś, co Rose miała ochotę zatrzymać, kiedy dokonywali podziału majątku - bez względu na jej cenę, dla niej była bezwartościowa. Ja też jej nie znoszę.

Następnie kątem oka łapię Vintage House, gdzie kiedyś kupiłam Peterowi butelkę przedniej whisky za ponad 400 fun-

tów. Pamiętam, że jego reakcją było połączenie zadowolenia z powodu mojej lekkomyślności, dumy z tego, że jestem tak niezależna, i zażenowania, że wydałam tyle pieniędzy na whisky, której jakości nie będzie on w stanie docenić. W każdym razie, tamtego popołudnia uprawialiśmy fantastyczny seks. Zdumiewające. Gdzież ulotniła się ta lekkomyślność?

Mijam sklep „Wszystko Dla Leworęcznych”, w którym kiedyś zaśmiewaliśmy się do rozpuku. Peter kupił mi zegar dla leworęcznych, mimo że jestem praworęczna. Powiesiłam go sobie w kuchni i uważałam, że jest jak najbardziej odpowiedni, gdyż czas wydawał się płynąć wstecz, strasznie się zaś dłużył, gdy byłam daleko od Petera. Teraz zegar ten leży chyba w szafie w pokoju gościnnym.

Następnie zatrzymuję się przed Sotherańs na Sackville Street, najstarszym czynnym antykwariatem w Wielkiej Brytanii. To miejsce przypomina mi Connie. Inną od tej pewnej siebie kobiety, jaką jest obecnie. Biedną, zdesperowaną Connie, która była uwikłana w beznadziejny romans. Jakiś milion lat temu poprosiła mnie, żebym pomogła jej znaleźć pewien tomik poezji dla jej kochanka. Z tamtych czasów pamiętam jej niespokojną energię i destrukcyjną determinację. Nie wyobrażam sobie, żeby Connie mogła być teraz niewierna. To pomysł równie absurdalny jak - cóż, jak moja niewierność. Tak dobrze pamiętam ten dzień zakupów z Connie, ponieważ wieczorem spotkałam się z Peterem i on mi wtedy obiecał, że zostawi dla mnie Rose.

Wędruję Conduit Street, następnie zaś New Bond Street. Nie zatrzymuję się, żeby popatrzeć na piękne designerskie ubrania, przekonuję się jednak, że właśnie zatoczyłam koło i wracam powoli wzdłuż Piccadilly w stronę Leicester Square. Cholerna podświadomość znowu ciągnie mnie do brzydoty, której tak pragnę uniknąć.

Podnoszę głowę i widzę lwy na Piccadilly i wiem, że od dzisiaj będę je utożsamiać ze swoją zdradą. Wreszcie wchodzę do National Portrait Gallery.

W grudniu 1999 roku Peter i ja spotkaliśmy się w Wigilię na schodach przed National Portrait Gallery, żeby ukradkiem wymienić się prezentami. Kupił mi diamentowe kolczyki. Nie pamiętam, co mu wtedy kupiłam, ale wiem, że nie było to nic kosztownego. Celowo wybrałam coś małego, ponieważ się spodziewałam, że jego prezent będzie symboliczny i nie chciałam wprawiać go w zakłopotanie. Urodziny i Boże Narodzenie to dla kochanek niełatwe okazje. Na jego urodziny uciekłam się do kupienia sobie ślicznej bielizny i zarezerwowania nam pokoju w spokojnym hotelu. Odosobniony, dyskretny prezent. W tamto Boże Narodzenie rozpieścił mnie swoim prezentem, ja zaś poczułam, że zachowałam się niewłaściwie i niestosownie, ponieważ błędnie oceniłam sytuację. Nie doceniłam jego i siebie. Próbowałam wyjaśnić, że trudno jest kupić żonatemu kochankowi prezent, który byłby jednocześnie znaczący, ale nie przyciągał uwagi żony - nawet whisky trzeba było pić w moim mieszkaniu. Kochanki, które kupują krawaty i spinki do mankietów, to kocury obsikujące nowe terytorium. Chcą, aby żona się o nich dowiedziała, co się wydaje szczególnie paskudne podczas Bożego Narodzenia. Miałam niewiele skrupułów, jeśli chodzi o nasz związek, tak bardzo go pragnęłam, ale miałam dostatecznie dużo klasy, żeby nie wymuszać konfrontacji podczas tych świąt dobrej woli.

Pierwszy dzień świąt spędziliśmy tak naprawdę razem, w jego domu z Rose. Byłam jednym z ich wielu gości. Te straszne dni dwulicowości były koszmarnie krępujące. Dzielenie się nie jest czymś, z czego jest się dumnym. Wtedy jedyne, czego pragnęłam, to mieć Petera wyłącznie dla siebie. Kiedy więc to wszystko tak bardzo się skomplikowało? Dlaczego ja wszystko skomplikowałam?

Pragnęłam go od tak dawna. Od dnia, w którym spoczęło na nim moje spojrzenie, kiedy przyjechał razem z Rose odwiedzić Daisy na uczelni. Wszyscy byliśmy wtedy dziećmi. Jak mogłam być taka głupia i narazić na szwank wszystko, na co pracowałam od tylu lat? Jestem cholernym głupcem.

We wnętrzu galerii czuję się odrobinę lepiej. Po pierwsze, jest tu sucho, po drugie, uwielbiam te czyste, białe rzędy, wyraźne oznaczenia i porządną sklepik z upominkami. Tak wiele galerii ma beznadziejne sklepiki. National Portrait Gallery to moja ulubiona galeria w Londynie. Lubię patrzeć ważnym ludziom prosto w oczy. Lubię oglądać władzę, piękno i seks. Przez kilka sekund próbuję wypierać się własnej okropności, patrząc w oczy dyktatorom, ministrom i królom. To wyczerpujące, udaję się więc pospiesznie do kawiarni. Potrzebuję płynów na kaca. Ale co wpłynie kojąco na moją udręczoną duszę?

Otoczona przez delikatny brzęk porcelany i ściszone głosy zainteresowanych gości galerii, próbuję pojąć, co się wydarzyło ubiegłej nocy. Moją świadomość atakują przypadkowe, lecz obciążające obrazy. Mocno się staram poukładać wydarzenia, ale nie udaje mi się ich zrozumieć ani w sensie emocjonalnym, ani chronologicznym. Jego oddech śmierdział nieświeżym jedzeniem. Przydałoby mu się golenie. Jego zarost drapał mi szyję i twarz. Miał grube palce. Palce, które ciągnęły za moje pończochy, robiąc w nich oczka. Szorstkim gestem ocieram usta. Nadal czuję na nich jego natarczywe i niewprawne pocałunki. Pragnę je odciąć. Odpycham na bok te obrazy. Nie mogę znieść myśli o nich. Zostawiam herbatę. Muszę się czymś zająć.

Moją uwagę przyciąga czasowa wystawa fotografii dawnych gwiazd kina. Żyjemy w kulturze, którą ekscytują zdjęcia upadłych idoli. Nic nie cieszy nas tak bardzo, jak pijana gwiazda seriali lądująca w rynsztoku, niedoszła gwiazda pop pokazująca krocze podczas nieeleganckiego wysiadania z taksówki czy artysty, którym z nosa wychodzi kokaina. Ale dzisiaj nie jestem w stanie znieść niedoskonałości innych ludzi - moje są wystarczająco odrażające. Uznaję, że portrety wielkich gwiazd, ludzi, którzy posiadali styl, aurę tajemniczości i charyzmę, tacy jak Lauren Bacali, David Niven i Virginia McKenna, podziwiają na mnie bardziej kojąco.

Kac sprawia, że kiepsko mi idzie odczytywanie podstawowych oznaczeń, i wsiałam do windy, która nie zatrzymuje się na półpiętrze, gdzie znajduje się wystawa, lecz wiezie mnie bezpośrednio do Galerii Tudorów.

Moją pierwszą myślą jest, jak się stąd wydostać. Na pierwszy rzut oka nie widać żadnej windy zjeżdżającej na dół ani schodów. Zaczynam wpadać w panikę. Czyste ściany zdają się na mnie napierać i w jednej chwili znika ta otwarta przestrzeń, którą się tak rozkoszowałam. Muszę się stąd wydostać. Natychmiast. Bez chwili zwłoki. Nie chcę, żeby ci nieżyjący ludzie wpatrywali się we mnie. Czuję niepokój i atmosferę potępienia, gdy te srogie postaci z przesywającymi spojrzeniami zdają się podśmiewać z mojej głupoty. Mojej nielejalności.

Opieram się o ścianę, żeby opanować nieco zawroty głowy i płytki, spanikowany oddech. Próbuję robić długie, głębokie wdychy. „Weź się w garść, Lucy!” Na piętrze nie ma nikogo oprócz czterech poważnie wyglądających japońskich uczennic, które grzecznie ignorują mój rosnący niepokój.

Ponownie patrzę na znajome portrety, żeby odkryć to, co sądziłam, że już wiem. To technika, którą często stosuję w pracy. Najbardziej niebezpieczny traderzy to ci, którzy sądzą, że widzieli już wszystko i przestają porządnie patrzeć. Ja zawsze jestem bardziej ostrożna i uważna. Zawsze patrzę na wszystko od nowa i pod innym kątem.

Podobno portret jest dobry wtedy, kiedy spojrzenie modela śledzi oglądającego po całym pomieszczeniu. W takim wypadku portrety Tudorów powinno się uznawać za arcydzieła, ponieważ zaczynam wierzyć, że wszyscy modele są żywi i się we mnie wpatrują. Stoję przez jakiś czas przed portretem Henryka VIII, zapewne najsłynniejszego Tudora - do jego infamii z pewnością przyczyniają się liczne małżeństwa. Oczywiście Henryka VIII to srogie, wąskie szparki, raczej zimne i odpychające. Wygląda, jakby się ze mnie naśmiewał, jakby wiedział, co za brudny sekret chowam w swojej głowie i kogo zeszedł nocy wpuściłam między swoje uda.

Cóż, pozna swój swojego.

Przyglądam się po kolei portretom jego żon. Żon, które zdradzał, ścinał, z którymi się rozwodził i które odprawiał. W tamtych czasach były także zdradzające żony, nadal są. I gdzie ten postęp? Myślę o Jane Seymour - ulgą musiała być dla niej śmierć podczas porodu niż pozostawanie żoną tego starego, przerażającego sukinsyna. Przeżyła go Katarzyna Parr, tyle że zmarła rok później, wydając na świat syna kolejnego męża. Wzdycham. Naprawdę potrzebuję większej ilości płynów. Już, już mam wyjść z galerii, kiedy moje spojrzenie przyciąga portret Anny Boleyn. Została uchwycona w przelotnym momencie chwały. Jest zadowolona z siebie i ma ładną głowę, którą przyszło jej stracić. Przeżyłam ślinę. Biedna Anna, jej los zawsze do mnie przemawiał.

Przez chwilę szukam portretu Katarzyny Aragońskiej, pierwszej królowej. Podobno była roztropna i dobra. Nie jest moją ulubienicą, choć w swoim czasie cieszyła się wielką popularnością. Zawsze uważałam, że ma zbyt wiele wspólnego z Rose, żebym mogła wykrzesać z siebie wystarczająco energii, by ją polubić. Ale nagle i dość nieoczekiwanie zaczyna mi jej być żal. Zamknięcie w wieży to straszny los. Bądź co bądź jej jedynym przewinieniem było to, że zbyt mocno kochała i nie była w stanie dać syna dotkniętemu chorobami wenerycznymi mężowi. Kręcę głową i uznaję, że chyba nadal jestem pijana, skoro zachowuję się tak sentymentalnie. Idę dalej.

Hałaśliwi uczniowie odrywają moją uwagę od portretu Henryka VIII, na którym z łoża śmierci wskazuje na swojego syna. Ten potężny człowiek w swojej ostatniej godzinie wydaje się taki mały. Bał się śmierci po dokonaniu tych wszystkich zabójstw? Warto było? Zwycięstwa, porażki, śluby, błędy? Z perspektywy czasu nasze życie wydaje się takie nic nieznaczące. Skoro potężny władca, odpowiedzialny za kraje, armie, wojny, potworności, a nawet nową wiarę, okazał się na końcu chorym człowiekiem w koszuli nocnej, w takim razie jaka jest nadzieja dla reszty ludzkości?

Dzieci są przemoczone. Najwyraźniej zdążyło się mocno rozpadać. Z kolei w galerii jest gorąco, dlatego ich kurtki i plecaki w jaskrawych kolorach zaczynają parować. Hałaśliwie formują pełną energii gąsienicę, przesuającą się przed rzędami obrazów. Nagle jest tu zbyt dużo ciał, prawdziwych, wirtualnych i tych należących do duchów.

Rzucam ostatnie spojrzenie umierającemu królowi. I wtedy dociera do mnie coś, czego wcześniej nie zaobserwowałam. Rozważam taką ewentualność, że Henryk VIII może i wcale nie umarł, zastanawiając się, po co to wszystko było. A jeśli odszedł, mając pewność, a b s o l u t n ą p e w n o ś ć , że jego syn i być może nawet jego córki to bezsprzecznie wszystko? To możliwe. Prawdopodobne. Możliwe, że umarł, święcie wierząc w to, że jego nienasycone pragnienie spółdzenia spadkobiercy i zapewnienia mu ochrony nie było szalone, lecz miało sens. Mały i chorowity książę może i był nieudolny i nie zapisał się wielkimi zgłoskami w historii Anglii, ale dla Henryka był bogiem. Prawdopodobnie właśnie dzięki temu nie zwariował.

Wielką ulgą musi być wiara w coś z tak wielką pewnością. W Holland Park nie ścina się obecnie żadnych głów, ale z drugiej strony - wiara jest także czymś rzadkim w tej dzielnicy. W co ja wierzę? W siebie? Aż do wczoraj twierdziłabym stanowczo, że tak, tak, tak, ale teraz widzę, że jestem niedoskonała. W Petera? Także do wczoraj przekonywałabym, że jest powodem mojego istnienia, ale jak to możliwe, skoro przez cały czas na siebie warczymy i utyskujemy? Nie wierzę w Boga, ale muszę wierzyć w coś więcej niż karty Visa i buty od znanych projektantów. „Vogue” nie może być wiecznie moją biblią.

Auriol?

Posyłam ukradkowe spojrzenie w kierunku grupy hałaśliwych, przemoczonych dzieci i choć raz nie wywołują we mnie uczucia irytacji. Przyglądam się z otwartą ciekawością, jak bawią się, szturchają i popychają nawzajem. Ale nie widzę w nich źródła nieładu i mojej irytacji. Zamiast tego zaskakuje mnie ich

energia, głośny śmiech, ich szczerą sympatię i antypatię, i uważam, że są cudowne. Każde jedno dziecko. Wspaniałe.

Maluch z plecakiem Power Ranger i kataram ma ładne oczy. Dziewczynka, która wciąż drapie się po głowie, sprawia wrażenie troskliwej. Chłopcy, kłócący się o to, czy wolą być królami Henrykami, czy królami Jerzymi, wydają się bystrzy. Ale nagle dociera do mnie, że bez względu na to, jak ładne mają oczy, jak bardzo są troskliwe i bystre, nie są one dziećmi, które mają dla mnie odpowiedzi. Nie są to dzieci, za które odpowiadam. W podziękowaniu przesyłam szybkiego całusa portretowi Henryka i pędzę w stronę drzwi.

Chcę do mojej córki. Chcę być z Auriol.

SOBOTA, II LISTOPADA

ROSE

Uwielbiam śluby. Uwielbiam wszystko, co się z nimi wiąże, począwszy od tych ślicznych baletek noszonych przez drużyny, a na koszmarnych zespołach grających na przyjęciu utwory Abby kończąc. Uwielbiam moment, w którym panna młoda pojawia się w drzwiach kościoła, otulona warstwami halek i welonem. Uwielbiam fakt, że zawsze wywołuje to u zgromadzonych w kościele zbiorowe westchnienie. Uwielbiam patrzeć na kobiety w kapeluszach i mężczyzn we frakach. Uwielbiam stukot obcasów na wydeptanych płytkach, gdy panie śpieszą, żeby zająć swoje miejsca. Uwielbiam konfetti, szampana i nawet majonezową sałatkę z kurczaka, ponieważ to wszystko podkreśla coś wspaniałego. Podkreśla moment niezwykłych możliwości i optymizmu.

Możliwości dominujących nad prawdopodobieństwem, przynajmniej w ten jeden dzień.

Ostatnio nie mam, niestety, okazji brać udziału w zbyt wielu ślubach. Chociaż więc dzisiejsza uroczystość jest dla mnie trochę dziwaczna, ponieważ nie znam ani panny młodej, ani pana młodego, bardzo się cieszę, że jestem jej częścią. Specjalnie na tę okazję odkurzyłam swój stary kapelusz i szarpnęłam się na nową sukienkę. Tym razem nie zabrałam na zakupy ani Daisy, ani Connie. Uznałam, że zakupy w pojedynkę mogą się okazać równie, a nawet bardziej owocne.

Kupiłam ciemnoczerwoną suknię do kolan i szalik. Szalik owinęłam wokół swojego czarnego kapelusza i dołożyłam do tego marynarkę od starej garsonki. Tak się akurat składa, że to właśnie ją miałam na sobie, kiedy Peter poprosił mnie po raz pierwszy, żebym zjadła razem z nim kanapkę. Przynajmniej ta garsonka przetrwała i trzeba przyznać, że nadal świetnie się prezentuje. Wczoraj uznałam, że moje stare czarne czółenka jednak nie pasują i kupiłam wysokie do kolan skórzane kozaczki na zabójczych obcasach. Jeszcze nigdy w życiu nie wydałam tylu pieniędzy na obuwie, ale Connie zapewniła mnie, że są warte każdego pensa. Zeszłej nocy jak zwykle śniły mi się igraszki z Craigiem, a w tym śnie miałam na sobie jedynie te kozaki, jestem więc zmuszona przyznać jej rację.

Na początku się obawiałam, że skoro Craig jest drużbą, to będę musiała siedzieć w ławce sama, zbywając pytania, skąd znam szczęśliwą parę młodą. Ale Craig wyjaśnił mi, że on jest raczej główną osobą rozsadzającą gości i że to jego niski kolega, ten, którego poznałam pod szkołą, jest prawdziwym drużbą. Podczas ceremonii siedzieliśmy więc razem i nikt nie oświadczył, że jestem oszustką i że powinnam wyjść. Uroczystość była piękna. Młoda para trafiła we właściwą nutkę zwykłego szacunku i wyraźnej euforii.

Niestety, nie jest to pogodny jesienny dzień, na jaki zasługują. Kiedy wychodzimy z kościoła, chodniki zalewa deszcz i zdjęcia są robione z nieprzyzwoitym wręcz pośpiechem, gdyż wszystkich gości zachęca się do tego, żeby najszybciej, jak to możliwe, udali się na przyjęcie. Plan jest taki: wypić ogromne ilości szampana i dzięki temu zapomnieć o niepogodzie.

Gdy przechodzimy przez podwójne szklane drzwi, witają nas setki świec. Świece na stołach, świece w świecznikach, świece na kompozycjach kwiatowych, świecie na barze i wielkie, grube świece, wysokie na metr, stojące na podłodze. Całą salę spowija marzycielska, tęskna poświata. Jest cudownie.

- Pięknie, prawda? - mówię.

- Tak, pięknie, choć bardzo niepraktycznie - odpowiada Craig. Wygląda na zaniepokojonego. - Powinni się ograniczyć do małych świeczek w szklanych świecznikach.

- Cieszysz się z powodu swoich przyjaciół?

- Niesamowicie się cieszę z powodu ich obojga. Cóż może być lepszego niż znalezienie kogoś, kogo kocha się tak bardzo, że chce się z nim spędzić resztę życia?

Uśmiecham się szeroko. Jestem oczarowana. Craig może i ma obiekcje co do liczby świec z powodu przepisów bhp, ale jest romantyczny w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Jest po prostu praktyczny, tak jak i ja. Wcześniej się bałam, że Craig i ja możemy się denerwować w swoim towarzystwie. Bałam się tego, że poza znajomym terenem rozmowa nie będzie się kleić, tak się jednak nie dzieje. Nie ma ani jednego krępującego momentu. Craig nie ujawnia żadnego paskudnego czy irytującego nawyku (jak drapanie się, pociąganie nosem czy dłubanie), który sprawiłby, że miałabym ochotę od niego uciec. Nie okazuje się faszystą, nałogowcem czy malwersantem. Nie jest agresywny, nieśmiały ani nudny. Jest wprost przeciwnie: im dłużej go znam, tym mocniej podziwiam.

Jest niezwykle sumiennym rozsadzającym. Upewnia się, czy wszystkim gościom jest wygodnie i czy towarzystwo się miesza. Pomaga w odczytywaniu planu rozsadzenia gości i znalezieniu szatni. Zauważa, kiedy kelnerzy nieco się ociągają z ponownym napełnianiem kieliszków, i zażęgnuje kryzys, kiedy kuzynka Jen odkrywa, że ma taką samą suknię jak ciotka Toma. Oświadcza paniom, że są spełnieniem fantazji obecnych tutaj mężczyzn, dotyczących pięknych bliźniaczek. Jego zachowanie jest kokietyryjne, pewne siebie, a mimo to wzbudza szacunek. Obie kobiety miękną.

- Poznają cię od zupełnie innej strony, Casanovo - mówię ze śmiechem, gdy siadamy na swoich miejscach.

- Zazwyczaj nie jestem aż tak pewny siebie, Rose - odpowiada Craig. Patrzy mi prosto w oczy i dodaje: - To dzie-

ki temu, że jesteś przy mnie. Czuję się bosko. Ty sprawiasz, że czuję się lepszy od osoby, którą jestem na co dzień. Niegazowana czy gazowana?

Wplata do naszej rozmowy niesamowity komplement i błahę pytanie dotyczące tego, jaką wolę wodę, w taki sposób, jakby oba zdania miały równorzędne znaczenie. Skutek jest taki, że podskakuję z radości i ledwie jestem w stanie mruknąć, że niegazowaną.

Przyjęcie jest cudowne. Wina jest w bród, zespół ani trochę nie fałszuje, nie gra też za głośno, jedzenie zaś nie jest zimne, co często się zdarza, kiedy trzeba nakarmić sto pięćdziesiąt osób. Rozbawia nas występ mima i magika. Craig troszczy się o mnie, ale nie przesadnie. Prawi komplementy mojej sukienki, ale nie w sposób obleśny. Dba o to, żeby mój kieliszek był pełny, ale nie odnoszę wrażenia, by próbował mnie upić. Pyta, kto opiekuje się chłopcami, ale nie pozwala, aby rozmowa zбочyła na tematy szkolne.

Dość niezwykle jest to, że młoda para zdecydowała się na urządzenie wieczorku tanecznego przed wygłoszeniem przemów i podaniem deseru. Dzięki temu starsi członkowie rodziny mają szansę powirować na parkiecie, zanim na dobre rozbrzmi muzyka dyskotekowa. Uważam ten pomysł za naprawdę świetny, a moja aprobata staje się jeszcze większa, kiedy Craig prosi mnie do tańca.

- Nie umiem tańczyć walca - wyznaję.

- Ja też nie. Ale to przecież nic trudnego, prawda? Ciocia Toma, Madge, daje sobie radę z balkonikiem.

Uznaję, że miło będzie wtulić się w ramiona Craiga, zgadzam się więc.

Szuramy po parkiecie i nieustannie mruczymy pod nosem: „Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy” - wątpię, żeby ktokolwiek dał się nabrać. Po kilku chwilach decydujemy się na wspólne kołysanie się i rezultat wcale nie jest groteskowy. Cudownie jest być ponownie przytulaną. Nie jestem pewna, kiedy po raz ostatni

jakiś mężczyzna położył celowo dłonie na moim ciele. Czy to możliwe, że minęło aż sześć lat? Ta myśl przyprawia o mdłości, o ile się nie jest oczywiście zakonnica. Craig ma duże dłonie i trzyma je zdecydowanie tam, gdzie powinna się znajdować moja talia. Nie wydaje się ani trochę zakłopotany moimi krągłościami i wałeczkami, nie dobija mnie również, mówiąc coś oczywistego, na przykład: „Uwielbiam twoje okrągłe kształty”. Akceptuje moją figurę, sprawiając wrażenie, jakby w ogóle się nad tym nie zastanawiał, a ja dzięki jego akceptacji czuję się spokojna, odprężona i swobodna. Pozwalam swojemu ciału przysunąć się nieco bliżej jego.

- Dobrze się bawisz, Rose?

- A musisz pytać? Uśmiecham się od chwili, gdy rano po mnie przyjechałeś. To cudowny dzień.

- Tak się cieszę. Bardzo chciałbym być częścią tego, co czyni cię szczęśliwą.

Wpatruję się zaskoczona w Craiga, nie mając pewności, jaka reakcja byłaby najlepsza. Czy to rzeczywiście prawda? Czy on właśnie mówi, że chce zrobić to znowu, może nawet więcej niż raz? Chyba tak. Pozwalam tej myśli wślizgnąć się do swojej świadomości i analizuję ją. Ani trochę nie przeraża mnie ten pomysł. Lubię Craiga - bardzo.

Po raz pierwszy czujemy się nieco zakłopotani, ale to zakłopotanie jest ekscytujące. To nie jest zażenowanie dwóch obcych sobie osób - to konsternacja dwojga kochanków, którzy werbalnie i fizycznie okrążają się nawzajem, niepewni co do kolejnego ruchu, mający desperacką nadzieję, że on nastąpi. Craig kaszle i zmienia temat.

- Opowiedz mi o sobie, Rose.

- Nie ma zbyt wiele do opowiadania - stwierdzam.

Wie, że jestem rozwiedzioną matką bliźniaków, co jeszcze mogę dodać?

- Nie wierzę. Na pewno twoja przeszłość skrywa ekscytujące wydarzenia, o których chcesz mi opowiedzieć, żeby wyrzucić

na mnie wrażenie - mówi z szerokim uśmiechem. - I z całą pewnością posiadasz ekscytujące plany na przyszłość, bez względu na to, jak głęboko je skrywasz.

Czuję się mile połączona tym, że uważa, że mogłam kiedyś uczynić coś, cokolwiek, ekscytującego i godnego uwagi, choć nie sądzę, żeby miał rację co do mojej przyszłości. Naprawdę nie mam sekretnych, porywających planów. Po raz pierwszy żałuję, że ich nie mam, choćby po to, by zaimponować Craigowi.

Zaczynam niepewnie, trochę jak nasz taniec.

— Studiowałam matematykę na uniwersytecie w Bristolu. Dyplom udało mi się zaliczyć na czwórkę, choć tak naprawdę byłam raczej trójkowa. Rezygnowałam z wielu randek i imprez i spędzałam długie godziny w bibliotece. Po skończeniu studiów wybrałam pracę w księgowości, co było dla mnie raczej oczywistym wyborem, i jeśli mam być szczerą, byłam w tym całkiem dobra. To znaczy wcale nie twierdzą, że jestem nudna - dodaję pospiesznie.

- Wiem, że nie jesteś nudna, Rose - zapewnia mnie Craig.

Obok nas przepływa starsza para. Chyba tańczą fokstrota. Wyglądają cudownie elegancko, mimo że mają co najmniej osiemdziesiąt lat, a ich twarze są pomarszczone niczym wczorajsza pościel. Staruszkowie wpatrują się w siebie, w ich oczach zaś widać to samo - podziw i oddanie. Obserwuję ich zafascynowana i czuję ściskanie w klatce piersiowej. Ta para jest świadoma tylko siebie, zupełnie nie dostrzega nikogo ani nic innego. I kiedy przesuwają się po pożłobionym drewnianym parkiecie, zastanawiam się, ile romansów miało swój początek na tej właśnie podłodze, ile kobiet przepływało po niej z nadzieją i ilu mężczyzn tańczyło z uczuciem dumy. I zastanawiam się, czy zbyt dużo przypadkiem nie wypiłam.

Przez sześć lat chowałam serce za niezniszczalną barykadą, która odpycha wszelkiego rodzaju zażyłość. Zaakceptowałam swoje życie takim, jakie jest, i nauczyłam się kochać je za to, co mam, nie pozwalając sobie na tęsknotę za czymś więcej. Nie by-

łoby to rozsądne. Więcej zawsze na końcu oznacza mniej. Przez to, że kochałam Petera bardziej, niż sądziłam, że jest to możliwe, na końcu czułam się gorszym, mniej ważnym człowiekiem. Nie chciałam ryzykować ponownego przeżywania takich katuszy, bałam się bowiem, że moje kruche serce ich nie przetrwa, nie przeżyje kolejnego podobnego rozczarowania. Rozsypałabym się na kawałki i jaką pociechę mieliby wtedy ze mnie chłopcy? Chłopcy, zawsze trzeba myśleć o nich. Dzięki Bogu.

A poza tym życie pełne dzieci, przepisów, przyjaciół i rodziny to jest pełne życie i nie mogę narzekać.

Ale gdy przyglądam się wpatrzonym w siebie starym kochankom, nagle nie jestem już w stanie ignorować faktu, że moje życie jest pełne, ale nie po sam brzeg, a to istotna różnica. Moje życie nie jest takie żywiołowe, bujne i płynne, jak bym sobie tego życzyła. Wiem, czego w nim brakuje. Zawsze wiedziałam - a jedynie nie chciałam tego przyznać. Nie wierzę w to, że kobiecie potrzebny jest mężczyzna, żeby jej życie było pełne i spełnione, ale rzeczywiście przyznaję, że posiadanie bratniej duszy jest niczym róg obfitości. Obrzucam spojrzeniem Craiga i zastanawiam się, jak głęboką i silną możliwość może on sobą przedstawiać. Żaden z moich niedawnych randkowych partnerów nie wzbudził we mnie iskry zainteresowania, ale teraz czuję nieoczekiwane fale gorąca. Myśl o tej przyjemnej możliwości sprawia, że serce podskakuje mi w piersi. Robię się wyjątkowo odważna i niemal stepuję, przeskakując z jednej nogi na drugą w tym niewprawnym, choć entuzjastycznym tańcu.

- Chodzi po prostu o to, że ludzie uważają księgowych za nudnych, a w rzeczywistości wcale tak nie jest. Jestem gadatliwa i wiem, jak się upić, choć nie jest to coś, co bym ostatnio doprowadzała do perfekcji. Raz nawet zdarzyło mi się wystąpić w barze karaoke.

- Co zaśpiewałaś? - pyta Craig z uśmiechem.
- Eee. *Like a Virgin* - przyznaję.
- Już to sobie wyobrażam.

Uśmiech Craiga staje się jeszcze szerszy, ale ma na tyle przyzwoitości, żeby nie śmiać się w głoś.

- A ty brałaś kiedyś udział w karaoke? - pytam wyzywająco.

- Często. *My Wdy, Go West, Let Me Entertain You*. Mam całkiem spory repertuar. Karaoke to świetna zabawa. Powinno się ją przepisywać na receptę.

Jestem podekscytowana tym, jak wiele muszę się jeszcze dowiedzieć o Craigu. Powiedzenie: „Cicha woda brzegi rwie” może się okazać prawdziwe w jego wypadku — i myśl ta jest elektryzująca.

- Co masz więc na myśli, kiedy mówisz, że księgowość była oczywistym wyborem? - draży temat.

- Cóż, jestem dobra w analizie. Uważam, że ludzie powinni płacić należne podatki. Nie lubię łamania prawa. Ani zasad, diet czy serc, skoro już o tym mowa. Lepiej mi wychodzi bycie dobrą niż złą.

- W czym jeszcze jesteś dobra, Rose? - Craig robi delikatny obrót.

Zastanawiam się chwilę nad odpowiedzią.

-Jestem dobra w ogrodnictwie, poprawianiu ludziom nastroju, robieniu dżemu. - Wiem, że nie brzmi to imponująco, ale jest przynajmniej szczerze. Wzdycham i przyznaję: - Jestem typowym przykładem miłej dziewczyny. Czy też byłam nim, zanim...

- Zanim?

- Zanim się nie rozwiodłam.

- Czy Peter jest miły?

-Jest szykowny, co w tamtym czasie było najbliższe słowu „miły”, co byłam w stanie przyznać.

Craig się śmieje.

- Chciałabyś odpocząć?

Poważnie? Chciałabym zostać w jego ramionach do czasu, gdy Cadbury's wymyśli przepis na pozbawione kalorii czeko-

ładki Dairy Milk, ale rozumiem, że wymagana odpowiedź to „tak, chciałabym usiąść i trochę odpocząć”. Puszczą mnie, a ja czuję się natychmiast osamotniona. Późnym wieczorem czasami wślizguję się do pokoju chłopców i stojąc w drzwiach, patrzę, jak śpią. Czerpię niewyobrażalną ilość otuchy i radości z tego sekretnego, nocnego obserwowania ich oddechu. Sprowadzenie życia na tę planetę to prawdziwy zaszczyt i potrafię spędzać całe godziny, ciesząc się, że mnie także spotkał. Zawsze ciężko jest mi zamknąć drzwi i wrócić do swojego pokoju. Podobne uczucie ogarnia mnie, kiedy Craig puszcza moją dłoń i wraca z parkietu na nasze miejsca. Nie chcę pozwolić mu odejść.

Muszę jakoś zapełnić tę tymczasową pustkę, otwieram więc buzię. O czym to ja mówiłam? Ach tak, Peter.

- Nabrałam go. A może byłam po prostu głupia.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - pyta Craig.

Godne podziwu jest to, że nie uchyla się od rozmowy na drażliwy temat, jakim jest mój były mąż.

- Peter sądził, że udało mu się zdobyć miłą dziewczynę. Sądził, że jestem miła.

- Bo jesteś, Rose. Zakładam więc, że twierdzisz, że on sądził, że jesteś tylko miłą. Nie widział innych twoich cech.

Craig nalewa nam obu wino i stukamy się kieliszkami.

- Właśnie — mruczę.

- Czy on nie widział tego, że najciekawsza twoja cecha, ten wielki, świetnie skrywany sekret, który się czai pod twoim posłuszeństwem, szczerością i zasadami etycznymi dotyczącymi pracy, to serce, które bije z zawrotną szybkością, głowa, która jest pełna marzeń i nadziei, oraz niesamowity optymizm i ogromna radość życia? Ty wcale nie jesteś nudna, Rose.

Nie wiem, co powiedzieć. Wpatruję się w Craiga i jestem zdumiona. Nie tylko tym, że jeszcze nigdy nie wyglądał tak olśniewająco, władczo i dorośle, ale dlatego, że chcę wiedzieć, jak on to wszystko odgadł. Chyba nawet moja siostra nie wie, że myślę o sobie w taki właśnie sposób. Skąd Craig o tym wie?

Wygląda na to, że potrafi także czytać w moich myślach, ponieważ odpowiada na moje nie wypowiedziane na głos pytanie.

- Gdyby ktoś zadał sobie wystarczająco trudu, żeby zajrzeć nieco głębiej, odkryłby Rose, która jest wesołkiem, Rose, która jest idealistką, Rose, która wierzy w prawdziwą i wieczną miłość. Rose, która w głębi duszy i słusznie wierzy w to, że jest kimś wyjątkowym. Tak wyjątkowym, że nigdy nie czuła potrzeby afiszowania się z tą swoją wyjątkowością, inteligencją czy głębią, do czego tak wielu zwykłych śmiertelników ma skłonność.

Uświadamiam sobie, że kieliszek Craiga jest pusty, co może tłumaczyć jego hałaśliwe komplementy. Ale czy to tłumaczy jego przenikliwość? Od jak dawna ten człowiek myśli o mnie? Czy czyni jakąś aluzję, że zgadza się ze mną? Connie z całą pewnością krzyknęłaby: „prześladowca” i uciekła jak najdalej od niego, ale ja jestem zachwycona. Craig wypowiedział na głos to, co ledwie się ośmielałam przyznać sama przed sobą.

- Myślę, że nie potrzebowałaś owacji z zewnątrz dlatego, że chciałaś, żeby to Peter dostrzegł twoje talenty i mocne strony - oświadcza Craig.

Patrzę na niego z rezerwą. Jak dużo chcę mu powiedzieć o Peterze? Jest przecież rodzicem w szkole, którą kieruje Craig. Czy uprzedzanie do niego Craiga jest z mojej strony *fain*? Z drugiej jednak strony, jeśli Craig ma zostać moim przyjacielem, nie może ode mnie oczekiwać, że dzień i noc będę śpiewać pieśni pochwalne ku czci Petera.

- Peter nie dostrzegał żadnych moich talentów, cóż, może jedynie robienie dżemów. Kiedy próbowałam mu pokazać, że jestem kimś więcej niż sprawną i solidną żoną, on nie chciał tego widzieć. Pasje to nie jego działka. On lubi chłód. Czuł, że go nabrałam nabrać. Sądził, że ożenił się z sympatyczną, miłą kobietą, która nie będzie sprawiać żadnych kłopotów, tak samo jak jego ojciec ożenił się z sympatyczną kobietą i cieszył się życiem wolnym od sprzeczek, hałasu i silnych emocji. Ale okazało się, że jest ze mną więcej kłopotu, niż to wcześniej za-

kładał. Kiedy urodzili się chłopcy, oczekiwałam od niego więcej, niż on był gotowy dać. A poza tym wtedy zdążył już się zakochać w Lucy.

- Nie było więc tak, że koniec nastąpił wtedy, gdy zostawił cię dla innej kobiety?

- Niezupełnie, choć ta akurat historia krępuje mnie stosunkowo najmniej. Pojawiła się inna kobieta i on wtedy rzeczywiście odszedł.

- Małżeństwo było już wtedy skończone?

- Prawda leży gdzieś pośrodku.

Craig kiwa głową, jakby rozumiał złożoność i niuanse małżeństwa, które pozostawało martwe od wielu lat. Myślę, że to z jego strony niemożliwe, ale doceniam, że przynajmniej próbuje.

- Prowadzimy rozmowę, jaka powinna nastąpić za sześć miesięcy, a nie podczas pierwszej randki - zauważam.

Zastanawiam się, czy nie powinnam być bardziej powściągliwa.

- Tak właśnie działają śluby. Sprawiają, a przynajmniej powinny, że myśli się o ważnych sprawach.

- O czym będziemy rozmawiać za sześć miesięcy?

Czynię tę żartobliwą uwagę w nadziei na przerwanie tego przytłaczającego napięcia. Nie biorę pod uwagi tego, że moje pytanie może się wydać nachalne.

- Pewnie będziemy wybierać tapety - odpowiada Craig. Chyba nie uważa, że mu się narzucam.

Zastanawiam się, czy jego uwaga powinna mnie przerazić, bardzo przerazić czy może zachwycić, niesamowicie zachwycić. Gdyby chodziło o innych mężczyzn, to pocieszałabym się i zadreślała przekonaniem, że to była spontaniczna i pozbawiona znaczenia uwaga. Ale wiem, że Craig nie wygłasza uwag spontanicznych i pozbawionych znaczenia.

Pociągam kolejny łyk wina i zauważam na głos:

- Zaraz czas na przemowę. Ty ją wygłaszasz?

- Ja jedynie odczytuję telegramy. John jest facetem od zabawiania gości.

Przeczesuję spojrzeniem salę i mój wzrok zatrzymuje się na Johnie - powinien siedzieć przy głównym stole, siedzi jednak sam na uboczu.

- Nie wygląda mi on teraz na wesołka - stwierdzam.

Spojrzenie Craiga pada za moim. John siedzi rozwalony na krześle i głowę ma prawie leżącą na stole. Jego zmęczona postawa stoi w opozycji do pozostałych gości. Wszyscy inni wydają się ożywieni i radośni.

- O Boże, musiał za dużo wypić. Tak się zdarza, kiedy się czymś przejmuje. Jen go zamorduje, jeśli sknoci przemowę. Mogę cię na chwilę przeprosić?

Ten minikryzys nastąpił w samą porę. Przyda mi się kilka minut na przemyślenia. Craig odchodzi od naszego stołu i kieruje się ku przygarbionemu Johnowi. Przyglądam się, jak delikatnie potrząsa przyjacielem. Wymieniają kilka zdań, po czym Craig nalewa Johnowi szklanek wody. Sądzę, że ta akcja ratunkowa może trochę potrwać, odwracam się więc do mężczyzny, który siedzi po mojej drugiej stronie, i rozpoczynam rozmowę.

SOBOTA, II LISTOPADA

J O H N

Nos Craiga niemal styka się z moim. Chciałbym, żeby przestał mną potrząsać. Jeśli tego nie zrobi, mogę zwymiotować, a on nie ma ochoty na rzygi na twarzy, bez względu na to jak dobrymi jesteśmy kumplami. Wypiłem dostatecznie dużo, żeby puścić pawia. Kurwa, nie wypiłem wystarczająco dużo. Nie można wypić wystarczająco dużo. Muszę pić dalej i dalej, i dalej, i dalej, i...

- John, wypij trochę wody. - Craig stanowczo wypycha mi szklanekę w dłoń. Próbuje ją uchwycić, ale wyslizguje mi się z palców. Podnosi ją do moich ust. - Stary, jeszcze nigdy nie widziałem cię tak nawalonego.

Nie bardzo wiem, czy to, co słychać w głosie Craiga, to podziw czy szok. Mój język wydaje się za duży i mam wielki problem z przesunięciem go w kierunku potrzebnym do udzielenia odpowiedzi. Tak się z pewnością czują ludzie z alergią na orzechy. Biedaczyska. Patrzę na Craiga. Próbuje przekazać mu, że nic mi nie będzie, a przemowa i wszystko inne, cóż, też nic im nie będzie. Tyle że wątpię, żebym go jakoś szczególnie uspokoił, mając na uwadze to, że obecnie w ogóle nie jestem w stanie mówić.

- Dajmiiipareminut. Cholerniegłupiaporą naszymowy. Poobiecie. Nikt niejes szezwy.

Craig cmoka z niezadowoleniem i przystawia mi szklanekę do ust, żebym napił się wody. Jestem mu wdzięczny i zbyt na-

walony, by przejmować się tym, że z pewnością wyglądamy jak para ciot albo pacjent specjalnej troski i pielęgniarz.

- Sorki.

A potem wszystko ogarnia ciemność.

Kiedy wraca mi świadomość, siedzę na krześle w kiblu. Obok mnie stoi Craig - trzyma rękę na moim ramieniu, zapewne po to, żebym nie przechylił się w przód i nie wyłożył na płytki. Ciekawe, czy udało mi się tutaj doczołgać samemu, czy też musiał mnie wciągnąć.

- Musiałem coś niedobrego zjeść - mamroczę.

Craig cmoka. Jest to cmokanie niezwykle wymowne, pełne dezaprobaty i rozpaczy.

- Wypij to.

Tym razem udaje mi się chwycić szklanekę, a nawet przełykać wodę, nie wylewając przy tym zbyt dużo na garnitur. Gdy tylko kończę, Craig wodą z kranu ponownie napełnia szklanekę i podaje mi ją.

- Zrobi mi się niedobrze, jak wypiję tak szybko tyle wody.

- Craig pokazuje na podłogę. Buty i spodnie nas obu są opryskane wymiocinami. - Zakładam, że to moje?

- Dobrze zakładasz.

- Przykro mi, stary.

- I słusznie.

Puszczenie pawia, choć nie przysłużyło się naszym błyszczącym butom, mnie zdecydowanie pomogło. Chwiejąc się, wstaję z krzesła i choć pomieszczenie się kołysze, nie dzieje się to z zawrotną prędkością, co nastąpiło wtedy, kiedy siedziałem przy stole w sali balowej. To wytworna impreza, kible nie są więc paskudne, ale zawsze można sobie znaleźć przyjemniejsze towarzystwo niż pisuary. Chcę stąd wyjść. Spryskuję sobie chłodną wodą twarz, po czym ja i Craig wychodzimy.

Toalety wychodzą na wyłożony wykładziną hol. Wykładzina jest czerwona i wzorzysta, miejscami nieco wytarta, ale dostrzegłoby się to tylko wtedy, gdyby ugięło się pod cięża-

rem wstydu i upierało przy wpatrywaniu się w podłogę, a nie w oczy swojego kumpla. Zmuszam się do podniesienia głowy i zauważam, że mają tu oszałamiające żyrandole, będące echem elegancji, hołdem oddanym bardziej eleganckim i wyrafinowanym epokom. Kpią sobie ze mnie. Jestem zbyt ordynarny, by się tu znajdować. A przynajmniej w takim stanie. Kurwa, jestem drużbą Toma. Oczekuje ode mnie, że wygłoszę mowę.

—John, jesteś drużbą Toma. Oczekuje od ciebie, że wygłosisz mowę - oświadcza Craig.

Marszczy brwi. Normalnie powściągliwy, tym razem nie stara się nawet ukryć faktu, że jest wkurzony.

- Wiem, stary.

- Ja nie mogę tego zrobić. - W jego głosie słychać panikę.
- Niczego sobie nie przygotowałem.

- Wiem, stary. Nie martw się, nic mi nie będzie. Już gorzej ze mną bywało.

Widać, że Craigiem targają wątpliwości.

- Ile wypiełeś?

Nie potrafię dokładnie powiedzieć. Zacząłem już rano. Kilka kufelków przed ceremonią, razem z Tomem, żeby uspokoić jego nerwy. A on podarował mi piersiówkę z moimi inicjałami, w celu upamiętnienia tego dnia. Lekka przesada, gdyby mnie ktoś pytał, ale Jen w jednym z tych swoich babskich magazynów o ślubach przeczytała, że tak się właśnie powinno robić, i zażyczyła sobie, żeby Tom dał mi jakiś prezent, dał więc, a jak. Okazał się całkiem użyteczny. Wlaliśmy do niej whisky i łyknąłem jej sobie, kiedy czekaliśmy, aż fotograf skończy te swoje „ptaszek leci!”. Psiakrew, trwało to całe wieki. Wynik był taki, że w piersiówce zabrakło whisky. I potem piłem równo od początku przyjęcia. Albo może i nierówno. Chyba poszło kilka butelek. Bo normalnie nie pijam zbyt dużo wina, jestem amatorem zboża, nie winogron. Przysałem się do kieliszka, kiedy wniesiono wołowinę. Mieszanie alkoholi to poważny błąd.

- Powinieneś przyprowadzić osobę towarzyszącą - mówi Craig. — Wtedy tak byś się nie nawalił.

- Ale to akurat nie zwiększyłoby moich szans na poderwanie drухen, czyż nie? - żartuję.

- Jedna drухna jest mężatką, druga lesbijką, a pozostałe cztery to przedszkolaki. I tak nie miałbyś żadnej szansy — kwituje zgryźliwie Craig.

- Wiem, stary, tylko sobie żartuję.

- Myślałem, że przyjdiesz z kimś. Mnie molestowałeś o to już od dawna.

- Tak, cóż. - Nie chcę tego komentować, próbuję więc odwrócić jego uwagę. - Ta twoja Rose wygląda na całkiem zadowoloną. Wpadłeś po uszy, stary.

Craig uśmiecha się i kiwa głową.

- Jest urocza. Wszystko świetnie się układa.

- To dobrze. - Daję mu lekkiego kuksańca w ramię. Nie mogę się powstrzymać. Ja jestem nieźle wstawiony, u mojego kumpla zanosi się zaś na złamanie ślubów czystości. To wzruszająca chwila. Kiedy poruszam głową, dociera do mnie gryzący smród wymiocin. - Och, sorki, stary. Masz trochę... - pokazuję na plamy - na klapie.

Craig rzuca mi gniewne spojrzenie i udaje się z powrotem do łazienki. Nie może przecież wrócić do swojej pani, pachnąc *eau de rzygi* - to by zdecydowanie ostudziło miłosne zapędy. Siadam na krześle i zapalam papierosa. Nie śpieszy mi się z powrotem na salę, równie dobrze mogę więc poczekać na Craiga, nawet jeśli jego wyłonieniu się z toalety w wilgotnym garniturze będzie towarzyszyć opieprz, a już na pewno ostre, potępiające spojrzenia.

- Tu jesteś, Hardie. Wszędzie cię szukałem.

- Och, Tom. Cześć. - Jestem pewien, że moja postawa sugeruje, że ja nie szukałem go wcale. Tom jest na szczęście zbyt podekscytowany, żeby zwracać na mnie większą uwagę. - Czekam właśnie na Craiga.

Macham ręką w kierunku kibli. Tom nie siada. Właściwie podskakuje w miejscu.

- Niezła impreza, nie? Dobrze się bawisz, co? - pyta.

- Fantastycznie, stary. Najlepsze wesele, na jakim byłem - zapewniam.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Inna odpowiedź nie wchodzi przecież w grę. Prawda jest taka, że bawię się beznadziejnie i nawet ja widzę, że Jen trochę poniosło. Wesele Jordan i Petera Andre było ciche i kameralne w porównaniu z tym, co tutaj się dzieje.

- Prawdopodobnie z wyjątkiem twojego - mówi. - Bo choć między Andrea a tobą się nie ułożyło, z pewnością masz miłe wspomnienia, związane z, wiesz, początkami.

Gdy Tom czyni tę osobistą uwagę, przestaje podskakiwać. Tak bardzo zwalnia, że wygląda jak parodia kogoś, kto się porusza w zwolnionym tempie. Nie wie, jak się zachowywać w wypadku tak osobistych i delikatnych kwestii. A kto wie?

Muszę mu pomóc. To w końcu jego dzień. Nie chcę, żeby czuł się odpowiedzialny za to, że ja mam doła.

- Tak, wszystko się świetnie poukładało, stary. Mówiłem ci, że zaciążyła?

- Nie.

- Aha, zadzwoniła do mnie pewnego wieczoru, żeby się podzielić szczęśliwą nowiną. Z tym nowym facetem. I fajnie, nie?

- Nie przeszkadza ci to, stary?

- Coś ty. Nie nadaję się do czegoś takiego, nie jestem gotowy na to całe gówno. - Myślę o tym, co właśnie powiedziałem, i naprawdę tak uważam, dosłownie i w przenośni. Pieluchy, fuj! Tom wygląda na spiętego i widzę, że mam obowiązek przenieść rozmowę na bardziej neutralny grunt, na którym obaj będziemy się czuli swobodnie. - Masz jednak rację, stary, moje wesele to było naprawdę monumentalne wydarzenie. Pamiętasz, jak oglądaliśmy ten ważny mecz?

- Jezu, tak! - Tom, wierny kibic Liverpoolu, nie może się oprzeć ponownemu przeżyciu tamtej chwili. Natychmiast wraca mu dobry humor. - Kiepsko to wyglądało, gdy dzięki Freddiemu Ljungbergowi Arsenal prowadził. Zaczynałem już myśleć, że Stadion Milenijny w Cardiff jest pechowy.

- Tak, ale dramatyczna kontra Owena w ostatnich minutach meczu dała zwycięstwo Liverpoolowi! - Wyrzucam piłę w powietrze.

- Dobrze się stało, Hardie, przegrana zepsułaby wesele, zwłaszcza że tyle się natrudziłeś, żeby wynająć na przyjęcie płaski ekran.

Siedzimy przez chwilę w pełnym szacunku milczeniu i być może spędzilibyśmy tak cały wieczór, gdyby z toalety nie wyłonił się Craig.

- Czas już na przemowy? - pyta.

- Jezus. Kurwa! Dlatego właśnie Jen mnie po was wysłała. Chodźcie, chłopcy!

SOBOTA, II LISTOPADA

ROSE

Odwracam się do sąsiada po lewej stronie.

- Witam, nazywam się Rose Phillips. Jak się masz?

Wyciągam rękę. Facet patrzy na nią leniwie. Ma problemy ze skupieniem się, ponieważ widać, że sporo wypił. Nie mogę się jednak obrażać z tego powodu - ignorowałam go przez większą część dnia, ponieważ interesował mnie wyłącznie Craig. Po chwili znaczącego wahania ujmuje moją dłoń i potrząsa nią niemrawo. Ma lepką rękę.

- Phillips, tak? To ci dopiero. Jestem Joe Whitehead.

- Panna młoda czy pan młody?

- Nie jestem żadnym z nich, skarbie. - Joe Whitehead zaczyna się śmiać, wyraźnie zachwycony własnym żartem. — Jestem dalekim kuzynem panny młodej. Nie widziałem jej, odkąd skończyłem sześć lat. Ale nie mam w zwyczaju odmawiać, gdy rozdają darmowe drinki.

Ponownie zaczyna chichotać i nie jestem pewna, czy mogę go brać na poważnie.

- Jenny to urocza dziewczyna - stwierdzam, uciekając się do ogólnie przyjętej weselnej gadki szmatki.

- Ja ci dopiero mogę opowiedzieć o uroczej dziewczynie - mówi, łypiąc okiem.

Wzdycham w duchu, gdy dociera do mnie, że Joe Whitehead zaraz zacznie mnie zaznajamiać z historią swoich romansów.

Naprawdę guzik mnie to obchodzi. Moje niedawne zaangażowanie się w świat randek nauczyło mnie wystarczająco, żebym potrafiła zwietrzyć odrzuconych. Joe Whitehead jest jedną z takich osób. Zbyt dużo pije, raczej nie przyprowadził osoby towarzyszącej i chce rozmawiać z kimś zupełnie obcym o innej dziewczynie. Choć ogólnie lubię zachowywać się miło, prawda jest taka, że w tej akurat chwili mam gdzieś tragiczne historie miłosne Joego Whiteheada. Błądzą z głową w chmurach i nie chcę, żeby ściągnięto mnie na ziemię. Czuję się podekscytowana, uszczęśliwiona, doceniona, wdzięczna i zachwycona. Macham do kelnera i proszę o dolewkę kawy, i gdy biorę jej łyk i zagryzam czekoladką z nadzieniem miętowym, mam wrażenie, jakbym spożywała pokarm przeznaczony dla bogów. Moje zmysły są wyostrzone. Wszystko nagle wydaje się bardziej wyraźne i jasne. Przepęlnia mnie oczekiwanie. I niespodziewanie moja przyszłość (a przynajmniej ta najbliższa) wydaje się oszałamiająca. Ostatnie, na co mam ochotę, to wysłuchiwanie smutnej opowieści. Przykro mi, może to i nieco egoistyczne, ale taka jest prawda.

- Lada chwila rozpoczną się przemowy — mówię, odbierając mu w ten sposób okazję do zwierzeń.

Niewątpliwie jest to uzależnione od stopnia trzeźwości Johna. Widziałam, jak kilka chwil temu Craig praktycznie wyniósł go z sali.

- Wygląda na to, że twój facet cię porzucił. - Joe uważa swoją uwagę za nadzwyczaj zabawną. Śmieje się jak hiena. Ja zachowuję milczenie. — Wy też dopiero co się ze sobą spiknęliście, nie?

- Znamy się od dawna, ale owszem, to nasza pierwsza randka.

Czuję do siebie niechęć z powodu tego, że wyjawiałam to temu ordynarnemu nieznanemu, nie miałam takiego zamiaru, ale dobre maniery nie pozwalają mi kłamać.

- To widać. Bardzo się o ciebie troszczy. To nigdy nie trwa długo.

Wyłączam się. Cynizm i złośliwość nie należą do dań, które mam ochotę wybierać z dzisiejszego menu.

Mama Jenny i druhnny wyglądają na wzburzone - stoją wokół panny młodej i wszystkie coś mówią. Wygląda mi to na jakiś mały weselny kryzys. Może ma związek z nietrzeźwością Johna, a może chodzi o coś innego. Mimo to Jen stoi pośrodku tych paplających kobiet i wydaje się nieporuszona. Craig zabawiał mnie opowieściami o tym, jak Jen organizowała to wesele z wojskową precyzją i despotycznym brakiem tolerancji. Według jego słów, przez ostatnie sześć miesięcy nieustannie rządziła się, wrzeszczała, wściekała się i płakała - normalne zachowanie panny młodej. A jednak teraz stoi w tym wirze emocji i zachowuje spokój.

Jeśli pojawił się jakiś kryzys, uznaje, że w gruncie rzeczy to nic wielkiego i raczej nie zauważy go żaden z gości oprócz matki pana młodego. Nagle w ogóle nie przejmuje się tym, że ksiądz wyłamał się z ustalonego wcześniej porządku uroczystości, i nie martwi jej to, że tata Toma uparł się, żeby założyć krzyczące spinki do mankietów w kształcie serc.

Jest pogodna. Uświadomiła sobie pełnię konsekwencji dnia swojego ślubu. Otaczają ją miłość, zaangażowanie i lojalność, i dzięki tym uczuciom jest chroniona i izolowana przed utrapieniami i problemami świata, przynajmniej na pewien czas.

Rozumiem ją. Nasze spojrzenia krzyżują się i uśmiecham się promiennie. Jenny odpowiada mi w taki sam sposób.

- Ona jest także panią Phillips. Czy to nie dziwne?

Ta uwaga pochodzi z ust Joego jak mu tam. Nawija coś do mnie, odkąd mu się przedstawiłam, ale ja nie usłyszałam ani jednego słowa z tego, co mówi. W ogóle nie zauważył mojego braku udziału. Ten człowiek to połączenie chorobliwości i arogancji. Ustaliłam to już po pierwszych kilku zdaniach, jakże zamieniliśmy ze sobą. Ale teraz widzę, że zachowuję się naprawdę niegrzecznie. To przecież ja pierwsza się do niego odezwałam. Poza tym możliwe, że jestem nadmiernie krytyczna.

Daisy i Connie tak uważają. Może powinnam dać temu mężczyźnie szansę poprawy, tak jak się robi z winem, pozostawiając je, żeby dojrzało. Po spędzeniu takiego cudownego dnia z Craigiem moje pokłady tolerancji są bardzo obfite.

- Przepraszam, co takiego mówiłeś?

- Opowiadałem o najbardziej fantastycznym bzykanku na tej planecie.

Zaszokowana, nie wiem, jak zareagować. Co każe mu sądzić, że o czymś takim można rozmawiać z zupełnie obcą osobą?

- Mówiłem, że to zabawny zbieg okoliczności. Ma takie samo nazwisko, jak ty. Jest także panią Phillips. I co ty na to?

Na pewno nie jak na lato. Wpatruję się gniewnie w tego wstrętnego Joego i degraduję moje pierwsze wrażenie (prostaciki) do pełnego potępienia (haniebnie ordynarny).

- Co nie znaczy, żeby nazywała siebie panią Phillips. Jest na to zbyt niezależna. Wiesz, robi karierę.

Uśmiecha się do mnie szeroko, a mnie ogarnia aż nazbyt znajome uczucie, że nie spełniam wymagań. Nie znoszę tej drugiej pani Phillips, mimo że jej nie znam. Biorę głęboki oddech i myślę o Craigu. Nie chcę, żeby cudowność naszego dnia została splamiona żałosnymi historiami tego człowieka. Próbuję się uwolnić.

- Przepraszam, ale muszę...

- Fizycznie zupełnie jej nie przypominasz - oświadcza Joe, niegrzecznie mi się przyglądając. - Ona jest... - Mierzy mnie spojrzeniem od góry do dołu i ledwie udaje mu się zdusić parsknięcie, które błądzi w kąciakach jego ust. Ma wystarczająco rozum, żeby się przymknąć. Z pewnością miał zamiar powiedzieć, że ta druga pani Phillips, ta c u d z o ł o ż n a pani Phillips, nie musi nosić majtek obciskających. Jej kolana z pewnością nie są posiniaczone, kiedy uwalnia swoje piersi ze stanika, nie trzęsą się i nie rozchodzą dziwnie na boki, prawdopodobnie sterczą dumnie sutkami do przodu. Przeczesałem spojrzeniem salę, mając nadzieję dostrzec gdzieś Craiga.

- Jest cholernie olśniewająca. I diabelnie inteligentna. Choć, wiesz... Nieważne. Moja kobieta nie musi być błyskotliwa, lecz giętka. - Zaczyna krztusić się ze śmiechu i opróżnia kieliszek czerwonego wina. - Poważnie, to była najlepsza noc w moim życiu. Myślę, że także sprzedałem jej sztuczkę albo dwie. I jestem przekonany, że wkrótce będzie się dobijać do moich drzwi, błagając o więcej.

Zycie jest zdecydowanie zbyt krótkie na to, żebym musiała znosić coś takiego. Zaczynam zbierać myśli i torebkę i szykuję się do odejścia od stołu. Poczekam na Craiga gdzie indziej. Mam to gdzieś, czy wydam się źle wychowana - ten człowiek jest absolutnie nie do wytrzymania.

- Jestem przekonana, że pan i ta druga pani Phillips będziecie razem bardzo szczęśliwi, panie Whitehouse.

Nie jestem pewna, czy tak właśnie brzmi jego nazwisko, ale mnie nie poprawia. Właściwie to guzik mnie to obchodzi. Odsuwam krzesło i wstaję.

- Nie nazywaj jej panią Phillips, bardziej pasuje do niej jej panieńskie nazwisko. Tak zresztą woli, żeby ją nazywano. Lucy Hewitt-Jones, ma więcej klasy.

Sala wiruje. Moje nogi, normalnie zdrowe i silne, zawodzą mnie. Opadam z powrotem na krzesło.

- Lucy Hewitt-Jones? Blondynka, długie nogi? - Żałuję, że nie mogę dodać „bezmyślna”.

- Znasz ją? - Twarz Joego jest zarumieniona z podekscytowania.

- Pracuje w Gordon Webster Handle?

Muszę mieć pewność, że nie nastąpiła jakaś pomyłka. Ale to oczywiste, że nie. Hewitt-Jones to nie jest zbyt często spotykane nazwisko.

- Tak - uśmiecha się Joe. Czy też raczej łypie na mnie okiem. - Ja też. Tam właśnie się poznaliśmy. A skąd ty ją znasz?

Strasznie dzwoni mi w uszach. Patrzę, jak usta Joego jak-mu-tam poruszają się, ale nie słyszę wydobywających się

z nich słów. Nagle robi mi się lodowato zimno, a w moim brzuchu jest rozgrywany mecz bokserski.

- Jest żoną mojego męża, to znaczy mojego byłego męża.
- Wygląda na wstrząśniętego. Arogancja opada z niego w ciągu jednej sekundy. Opuszczam wzrok, jakbym się częściowo spodziewała zobaczyć jego arogancję leżącą w kałuży na podłodze. Zawstydzoną i śmierdzącą jak mocz małego dziecka, które nie zdążyło dotrzeć do ubikacji. Ale dorosłych „wypadków” nigdy nie da się tak łatwo wykryć. Żadne z nas nie wie, co teraz powiedzieć. - Przepraszam.

Chwieję się na krześle, próbując odnaleźć swoje stopy. Poruszam się niesamowicie wolno, ponieważ wiem, że gdybym próbowała się teraz spieszyć, na pewno potknęłabym się albo zemdłała. Co byłoby aktem niewybaczalnym. Bardzo powoli zbieram torebkę i żakiet. Moje palce zrobiły się całe miękkie i zawodzą mnie, gdy próbuję energicznie zapiąć guziki żakietu. Gdy wychodzę z sali, głosy krzyczących dzieci i trzaski uruchamianego mikrofonu przesywają moje ciało niczym strzały. Kiedy już znikam z pola widzenia gości, zaczynam biec. Ściany korytarzy napierają na mnie, gdy uciekam niczym zdesperowany przestępca z miejsca zbrodni.

PONIEDZIAŁEK, 20 LISTOPADA

LUCY

Dzień mojego objawienia w National Portrait Gallery nie potoczył się tak, jak to sobie wyobrażałam. Zaczyna do mnie docierać, że stanowi to podstawową konsekwencję wiązania się z dziećmi. Rzeczy rzadko dzieją się tak, jak to się sobie wyobraża. Wybiegłam z galerii, gorączkowo próbując zatrzymać taksówkę. Nadal padał deszcz, było ich więc jak na lekarstwo. Jeszcze nigdy w życiu nie starałam się zatrzymać taksówki, zazwyczaj to one ryzykują karambol, żeby mnie zabrać. Ale w końcu jeszcze nigdy w życiu nie zachowywałam się gorączkowo - jestem przekonana, że oba te fakty są skorelowane ze sobą. Taksówkarze najpewniej trzymają się z dala od tych, którzy wyglądają na zdesperowanych. Wreszcie pobiegłam w stronę metra i zniosłam tę udrękę po raz drugi tego samego dnia. Ze stacji metra udałam się szybko do domu i otworzyłam zamaszystym gestem drzwi. Przywitała mnie tylko dość mocno zdeprymowana Eva. Auriol była jeszcze w szkole. Minęła dopiero 14.30 - dla mnie coś osobliwego: wydawało mi się, jakby ten dzień trwał już cały miesiąc.

Wypaliłam papierosa, napiłam się czarnej kawy i przemierzałam nerwowo kuchnię, gdy nagle wpadł mi do głowy pomysł, żeby zajrzeć do Connie. Mogłybyśmy razem iść do szkoły po dzieci. Dzięki temu zabiłabym trochę czasu, a w jej towarzystwie istniało mniejsze prawdopodobieństwo, że naruszę jakąś niewidzialną (nie-mniej jednak bardzo ważną) szkolną etykietę, której nie znałam.

Connie bardzo się ucieszyła na mój widok i uradowała ją moja decyzja, że chcę spróbować nawiązać więź z Auriol.

- Potrzebuję jej. Muszę wiedzieć, że istnieje jakiś powód i postęp, i sens - tłumaczyłam Connie.

Nie powiedziałam jej, że Auriol jest mi potrzebna także po to, żeby związać mnie bardziej z Peterem, i nie wspomniałam, dlaczego mój kac jest taki straszny i haniebny.

Connie przez dużą część czasu jest raczej marzycielska i niepraktyczna. Częściej niż przeciętna osoba dorosła pozwala sobie na myśli typu „dlaczego tutaj jesteśmy”. Jej uporczywe dążenie do tego, żeby pozostać wieczną studentką, jest najczęściej irytujące, ale dzisiaj stanowi dla mnie pociechę.

Connie cieszyła się, że idę razem z nią pod szkołę. Kiedy już się tam znalazłyśmy, stałam się przedmiotem większego zainteresowania, niż bym sobie tego życzyła. Połowa mam robiła wielkie halo z przedstawiania się i mówienia, jak to miło mnie w k o ń c u poznać, druga połowa ostentacyjnie mnie ignorowała. W ich oczach zawiodłam, nie poświęcając się na ołtarzu macierzyństwa. Próbowałam się do nich uśmiechać i przekazywać, że od dziś przyrzekam to czynić, ale byłam spięta i wydaje mi się, że mój słaby uśmiech bardziej przypominał wrogi grymas.

Auriol była zachwycona, kiedy zobaczyła mnie pod szkołą, i kiedy już zapewniłam ją, że nie, Eva nie jest chora, odprężyła się i ujęła moją dłoń.

- Chodź zobacz moją klasę, mamusi - nalegała.

- Mogłybyśmy iść do Connie i pobawić się z Fran, jeśli chcesz - zaproponowałam.

Miałam wielką ochotę uciec od budynku szkolnego tak szybko, jak tylko się da. To nie było miejsce dla mnie.

- Nie. Chcę, żebyś zobaczyła mój rysunek fajerwerków. Wisi na ścianie. Powiedziałaś, że zrobimy to, co ja będę chciała.

Naprawdę? Czy w ciągu tych kilku sekund, kiedy wpadła w moje ramiona, aja się przywitałam i bełkotałam coś tam jeszcze, zdążyłam się już zrzec całej władzy? Pożegnaliśmy się z Connie

i jej dziewczynkami, po czym pozwoliłam Auriol, żeby trzymając się za rękaw mojego płaszcza, zaciągnęła mnie do swojej klasy.

Oczywiście, widziałam już tę klasę, zanim Auriol została przyjęta do tej szkoły. Wiedziałam, czego się spodziewać. Małe stoliki i krzesła, nieład, na ścianie nagryzmołone obrazki, nieczytelne pismo dumnie pokazywane tak, jakby to była starożytna kaligrafia, klocki lego na podłodze i ta obskurna mata w kącie, gdzie dzieci słuchają bajek. Gdy weszłam do klasy, panna Gibbon, nauczycielka Auriol, podeszła spiesźnie do mnie z wyciągniętą ręką i szerokim uśmiechem.

- Czy możemy się tutaj trochę rozejrzeć? - zapytałam, czując nagłe skrępowanie.

Było mi nieswojo, nie wiedziałam, co wolno i czego się oczekuje.

- Cudownie panią widzieć, pani Phillips. Większość mam zdażyła już zaliczyć nieoficjalne zwiedzanie. Dzieci bardzo lubią, gdy ich rodzice się angażują i wiedzą, co udało im się osiągnąć podczas pierwszych kilku miesięcy.

Młoda nauczycielka oblała się rumieńcem od razu, gdy słowa te wydostały się z jej ust. Nie miała zamiaru oskarżać mnie o lekceważenie, niemniej jednak tak właśnie zrobiła.

- Ten jest mój - oświadczyła Auriol, dumnie pokazując na wieszak na kurtki. Na ścianie nad nim było przyklejone jej zdjęcie takiej wielkości, jak do paszportu. Nie widziałam wcześniej tego zdjęcia. Przyjrzałam mu się uważnie. - Eva zabrała mnie do takiego pudełka, żeby je zrobić - wyjaśniła Auriol.

Wyglądała na nim na zdenerwowaną. Jej uśmiech był wymuszony i krzywy.

- Kiedy? - zapytałam.

- Dzień przed rozpoczęciem szkoły. Wtedy nie wiedziałam, czy będę lubić szkołę. Ale teraz wiem - powiedziała Auriol, tłumacząc swoją niewesołą minę. Panna Gibbon, która czaiła się gdzieś w tle i kiepsko udawała, że nie podsłuchuje, uśmiechnęła się z zadowoleniem. — Chodź.

Auriol oprowadzała mnie po klasie. Z dumą pokazała mi swoją tacę, swoje rysunki, które uznano za wystarczająco dobre, żeby mogły wisieć na ścianie, książeczki do czytania, tekturki, wagi, miarki kuchenne i szafkę z gramami. Niektóre z tych rzeczy wyglądały znajomo, ponieważ był to ten sam sprzęt, jakiego używano w szkołach, kiedy ja byłam mała. Reszta była nowa i zadziwiająca. Czułam się tak, jak matka Petera, kiedy pierwszy raz weszła do salonu sprzedającego telefony komórkowe. Wspaniały ten cały sprzęt, ale do czego się go tak naprawdę używa?

- Mam dwadzieścia słów - oświadczyła Auriol triumfująco, ale ja nie miałam pojęcia, o czym ona mówi. Pokazała mi na przytwierdzony do ściany plakat. Wypisano na nim proste słowa: „ja”, „jestem”, „ty”, „był” i tak dalej. Kładła swój mały paluszek pod każdym ze słów i czytała mi na głos: - *Jesli, w, co, i.*

Nie przerywałam jej i kiedy skończyła, rzekłam:

- To dwadzieścia cztery słowa, masz dwadzieścia cztery słowa, więcej, niż myślałaś - uśmiechnęłam się.

Uśmiechnęła się do mnie z dumą.

- Umiem czytać całe książki. - Pobiegła do kącika bibliotecznego i wzięła stamtąd jedną książkę. - To jest mama. To jest tata. To jest pies. To jest kot.

Kładąc paluszek pod każdym czytany słowem, uważnie przebrnęła przez całą prostą książeczkę. Oczywiście, słyszałam już wcześniej jej próby, ponieważ często czytała z Eva, ale nie miałam pojęcia, że jest aż tak zaawansowana. O pierwszeństwo walczyły we mnie zawstydenie i duma. Dzisiejsze popołudnie pokazało mi, że jest to taki konflikt, z jakim możliwe, że będę musiała przez jakiś czas się zmagać. Zawstydenie z powodu wszystkich tych rzeczy, jakie przegapiłam, duma z tego, co udało jej się osiągnąć, mimo że właściwie była przeze mnie zaniedbywana.

Wiedziałam, że jest bystra.

- Auriol jest bardzo dobra z czytania - powiedziała panna Gibbon. — Jedna z najlepszych w klasie.

- Widzę to - odparłam.

A potem musiałam wyciągnąć Auriol z klasy, zanim jeszcze bardziej zostaną obnażona.

Zabrałam ją do kawiarni na podwieczorek. Nie poszliśmy do domu, żebym mogła się przebrać, ponieważ umierała z głodu i zgodziłyśmy się, że czytanie to „praca wywołująca głód”.

Następnego dnia Peter, Auriol i ja poszliśmy do kina i pozwoliłam jej siedzieć mi na kolanach podczas tych rzekomo przerażających fragmentów, mimo że moja koszula strasznie się pogniotła, a film był kreskówką Disneya i obie wiedziałyśmy, że tak naprawdę nie bała się ani odrobinę.

W niedzielę jak zwykle zjawili się u nas bliźniacy i wszyscy pojechaliśmy do Kensington Gardens na rolki, co było już czymś niezwykłym. Nie mogę powiedzieć, żebym dobrze się bawiła. Sebastian cztery razy mnie przewrócił i mam prawie stuprocentową pewność, że żadna z tych kolizji nie była przypadkowa, ale Peter i Auriol cali promienieli szczęściem, mimo mżawki i zimna. Gdy wieczorem zanurzyłam się w wannie z gorącą wodą, obejrzałam podrapane kolana i dłonie, po moich policzkach spłynęły wielkie łzy. Otarłam je ze zniecierpliwieniem. Powiedziałam sobie, że płaczę z powodu poniesionych obrażeń, czy choćby dlatego, że opuszczając dzisiaj w pośpiechu dom, zapomniałam o rękawiczkach, moje palce piekły mnie więc z zimna przez cały dzień, a teraz wyglądały równie atrakcyjnie jak na wpół rozmrożone paluszki rybne, te najpośledniejszego gatunku. Okropnie byłoby myśleć, że te łzy to łzy żalu z powodu moich czynów albo żalu z powodu zaprzepaszczonego czasu czy przerażenia, że wyjdzie na jaw, jaka naprawdę jestem. Choć każda z tych rzeczy wystarczyłaby, aby doprowadzić mnie do płaczu.

Okazało się, że idylliczne scenki, które opisałam powyżej, wcale nie są reprezentatywne. Wraz z upływem tygodnia Auriol zamiast bardziej, stała się mniej skłonna do współpracy. Nowość, jaką stanowiło moje pojawianie się pod szkołą, nieprzyzwyczajenie szybko się opatrzyła i trzeciego dnia moja córka zapytała mnie:

- Nie powinnaś zarabiać teraz pieniędzy? Gdzie jest Eva?
Eva wie, że we wtorki chodzę do biblioteki.

Wcześniej sobie wyobrażałam, że w chwili, gdy uznam, że jestem gotowa, żeby wziąć w objęcia swoją córkę, życie rodzinne i wszystko, co się z tym łączy, zostanie powitana z otwartymi ramionami, dosłownie i w przenośni. Myliłam się. Dla Auriol moje nagłe nią zainteresowanie jest dość klaustrofobiczne. Zachowywała się jak kłótniwa nastolatka, kiedy zaproponowałam, żebyśmy ograniczyły liczbę zaproszeń do domów koleżanek, jakie przyjmuje tygodniowo. Ale po szkole jest taka zmęczona, że naprawdę uważam, że potrzebuje trochę oddechu. W środę zapytałam ją, gdzie usłyszała słowo „pierdziel”. Poinformowała mnie, że to nie moja sprawa, a potem oświadczyła, że jestem jedyną, jedyną, ale to jedyną mamą, która nie pozwala na przyjęcia z nocowaniem i dlatego mnie nienawidzi.

Nie znamy się nawzajem. Jest tak, jak podejrzewałam, tyle że jeszcze gorzej. Wiedziałam, że tak naprawdę nie rozumiem charakteru swojej córki, ale nie sądziłam, że jest on aż tak bardzo skomplikowany. Auriol ma cztery lata, na litość boską, nie zdawałam sobie sprawy z tego, że miała wystarczająco dużo czasu, żeby rozwinąć w sobie tajemnicze i nieuchwytnie zawiłości. Przez dziesięć ostatnich dni bardzo się starałam znaleźć z nią wspólny język, ale mi nie wychodzi, ponieważ nie znam imion jej koleżanek ani ulubionych programów w telewizji, nie wiem, jakie bajki na dobranoc zdążyła już poznać. Mam świadomość tego, że zabawa z nią byłaby „czymś dobrym”, ale nie mam cierpliwości na nawlekanie koralików, wyprawianie wyimaginowanych podwieczorków dla jej maskotek czy ubieranie i rozbieranie lalek Barbie, a wszystko to tak, jakbyśmy tkwiły w koszmarze z *Dnia świstaka*. Zamiast tego próbuję ją zachęcić do grania w *Connect 4* oraz w kółko i krzyżyk. Po początkowych obiekcjach wczoraj Auriol wyraziła zgodę i okazuje się, że ma bardzo logiczny umysł. Zdradziłam jej mój sekret w wypadku obu gier, który polega na tym, żeby starać się zaczynać pierw-

sza i zawsze zajmować pozycję w środku. Może nie jest to najbardziej filantropijna matczyna rada, ale zawsze stanowi jakiś początek, a Auriol naprawdę podobało się wygrywanie.

Wychodzi na to, że jesteśmy bardzo do siebie podobne, z czego, oczywiście, się cieszę, ale nasze podobieństwo jest także zarzewiem konfliktów. Obie jesteśmy uparte, niezależne i samowystarczalne. Mamy zdecydowane zdanie (często kolidujące ze sobą) w kwestii tego, jak i kiedy powinno się robić różne rzeczy. Nie zgadzamy się na temat tego, co Auriol powinna jeść, kiedy powinna ćwiczyć tekturki i o której godzinie kłaść się spać. Ponieważ dotąd nie poświęcałam zbyt wiele uwagi kwestii macierzyństwa, wiele złych nawyków miało się dzięki temu okazać rozwinać. Do tej pory było tak, że Auriol wyłączała swoją lampkę przy łóżku wtedy, kiedy miała na to ochotę. Jeśli tylko przebywała w swoim pokoju po tym, jak Eva położyła ją do łóżka, niewiele mnie to obchodziło. Po głębszym zastanowieniu uznałam, że w ciągu tygodnia światło powinno być wyłączone o 19.00. Moja propozycja została powitana pogardą.

— Nie jestem dzieckiem, mam - upierała się Auriol.

Ale do obu nas zaczyna docierać, że tak naprawdę to jest. Jest moim dzieckiem.

Podczas weekendów porę pójścia spać przesunęłam na 20.00, co jest dla mnie naprawdę wielkim poświęceniem. Po całym dniu zabawiania Auriol miewam ochotę wsadzić ją do łóżka już o piątej. Nie miałam pojęcia, jak trudno jest spędzać cały dzień na nakłanianiu dziecka do jedzenia owoców i warzyw, ograniczaniu czasu spędzanego przed komputerem czy telewizorem i ilości słodkich przekąsek. Często odczuwam ból w całym ciele, które w ten sposób protestuje. Padam na łóżko wykończona, ale że jestem pobudzona, często mija dużo czasu, zanim w końcu udaje mi się zasnąć.

Connie wykazuje wielkie zainteresowanie moimi postępani. Myślę, że podoba jej się to, że może służyć mi radą i wsparciem. Przez ostatni tydzień niejednokrotnie miałam ochotę ją

udusić, słysząc jej protekcyjnalne „a nie mówiłam” i „przyzwyczajasz się”. Bywają dni, kiedy mam ochotę wrzasnąć, że to ona się przyczyniła do mojego upadku. Gdyby nie poświęciła się tak bardzo macierzyństwu, wtedy wciąż miałabym kogoś, z kim mogłabym pijać koktajle, i nie wyszłabym z wprawy, i nie nawaliła się w Wasp, a potem nie czułabym się samotna i opuszczona i nie pozwoliłabym Joemu Whiteheadowi na... W tym momencie moje argumenty się rozpadają. Nie mam ochoty zrzucić na nikogo winy. To nie w moim stylu. To ja biorę odpowiedzialność za własne katastrofy. Poza tym zdaję sobie sprawę z tego, że Connie obrała naturalną ścieżkę. Kochanie swoich dzieci i zmienianie swojego życia po to, żeby dostosować je do życia istnień, które się stworzyło, jest czymś jak najbardziej należytym. Z całą pewnością tak właśnie jest, ponieważ wydaje mi się teraz właściwe. Nawet jeśli mi nie wychodzi, wydaje się właściwe.

Tak. Ponieważ w tym tygodniu przekonuję się, że nawet jeśli rzeczywiście padam na łóżko wykończona, lecz sztywna z napięcia, gdzieś w środku kryje się odrobina dumy, i wiem, że to, co próbuję osiągnąć, jest dobre. W czwartek ogarnęło mnie uczucie zadowolenia, kiedy Auriol wybrała do kąpie-li mnie, a nie Evę, uczucie to uległo zaś podwojeniu w sobotę, kiedy nagrodziła mnie uśmiechem za to, że pamiętałam jej ulubioną piosenkę Girls Aloud. Coś bardzo głęboko we mnie się poruszyło, wyparło niezadowolenie, robiąc miejsce czemuś pozytywnemu, czego jeszcze nie jestem w stanie tak do końca zidentyfikować. Ale jest to warte zachodu.

Ale w końcu nie jestem świętą i po dziesięciu dniach prób zakwalifikowania się do konkursu na matkę roku dzwonię do Connie i nalegam, żebyśmy po położeniu dzieci do łóżek wyskoczyły na drinka.

W barze zjawiam się pierwsza i zamawiam nam obu po cosmopolitanie. Kiedy krótko potem przybywa Connie, radośnie rzuca się na drinka.

- Przekonuję się, że to całe macierzyństwo często jest do dupy, ale czemu miałyby mnie to dziwić? Tego właśnie się spodziewałam. Dzisiaj Auriol znowu mi powiedziała, że mnie nie-nawidzi.

- Och, tak. Wszystkie dzieci co jakiś czas to mówią. - Jej słowom towarzyszy lekceważące machnięcie ręką, i poczucie odrzucenia, jakie dręczyło mnie od podwieczorku, znika. - W książkach piszą, że trzeba odpowiadać bzdurami w rodzaju: „A ja i tak cię kocham”.

- Naprawdę? - Jestem zaszokowana.

- Tak, ale ja najczęściej mówię: „To straszne słowo, Fran, i powinnaś się dobrze zastanowić, zanim będziesz taka niedobra dla swojej mamy. To ja cię karmię”. - Obie się śmiejemy. - Nie ma czegoś takiego jak idealna mama. Bez względu na to, co zrobię, i tak będzie winić mnie, kiedy dorośnie i wyląduje na terapii. Jak w pracy?

- W porządku. Choć prawdę mówiąc, nie. Prawdopodobnie niedługo mnie zwolnią. Chodzą słuchy, że przestałam kumać cza-czę i że jestem przebrzmiałym bohaterem.

- Bzdura. Będziesz tam pracować nawet w czasach, kiedy będziesz się zastanawiać nad wykupieniem wakacji w biurze Saga i potrzebować aparatu słuchowego do podsłuchiwania wszystkich plotek.

- Connie, proszę cię, nie zachowuj się ordynarnie.

Ale jednocześnie się śmieję i coś w moim wnętrzu ponownie się porusza. Kolejna porcja urazy odpływa, zadowolenie rośnie. Okej, może starzenie się nie jest tak do końca przerażające. Nie jest świetne, ale zawsze można skorzystać z usług chirurga plastycznego - i zastanowić się nad alternatywą starzenia się.

Nie żartuję jednak, jeśli chodzi o problemy w pracy. Tydzień to w *city* dużo czasu. W zeszłym tygodniu odrzuciłam wszystkie zaproszenia na lunch, drinki czy kolacje. Oświadczyłam, że nie mam czasu na przerwę na lunch, ponieważ chcę wychodzić z pracy tak wcześnie, żeby zdążyć poczytać Auriol, co stanowi połowę

prawdy. Druga połowa równania to moje pytanie, jak po tej imprezie firmowej mogę sobie jeszcze kiedykolwiek zaufać i utrzymywać kontakty towarzyskie ze współpracownikami? Moje odwołanie Auriol jest postrzegane w pracy jako zdrada. Dzisiaj nowy, ważny klient, którego byłam pewna, że otrzymam ja, został przydzielony Joemu Whiteheadowi. Nie można powiedzieć, że bym nie widziała ironii tej sytuacji. Czuję się pominięta, ale nie jestem w stanie udowodnić, że ten klient już, już zmierzał w stronę mojego pastwiska. Nie przyjął tego z pokorą i pomaszzerowałam do gabinetu Ralpha, gdzie zażądałam wyjaśnień. Oświadczył, że Joe ma więcej doświadczenia na tym akurat polu. Może ma.

Może.

A może plotki o moim braku rozwagi podczas imprezy przeciekły do sali posiedzeń.

A może moja kobiecość, a co za nią idzie - słabość, uległa obnażeniu, kiedy w głębi swojego serca przyznałam, że jestem matką. Sama nie wiem, co jest gorsze.

- Nadal często widzisz tego Micka? - pyta Connie.

- Nie - odpowiadam zwięźle.

Connie nie spuszcza ze mnie wzroku - czeka, żebym rozwinęła temat. Chcę, nie jestem po prostu pewna, od czego zacząć. Mick i ja unikamy się nawzajem. Nie umiem zdecydować, czy dzieje się tak dlatego, że ja w stanie upojenia alkoholowego złożyłam mu niestosowną propozycję, czy też dlatego, że on ją odrzucił. Każda alternatywa byłaby lepsza niż ewentualność, że dowiedział się o Joe. Patrę na Connie i zastanawiam się, czy poradziłyby sobie z moim przyznaniem się do uprawiania seksu z mężczyzną innym niż Peter. Zanim wyszłam za Petera, Connie ekscytowały opowieści o moich podbojach, ale nie jestem pewna, czy uznałyby pijane, żalotne cudzołóstwo ze złośliwym palantem za źródło przyjemnego podekscytowania. Co mnie opętało? Nawet gdy zadaję to pytanie, znam odpowiedź. Nie mam w zwyczaju okłamywać samej siebie. Katalizatorami i winowajcami były alkohol i samotność. Zgubny koktajl.

Uznaję, że nie mam ochoty prać brudów przy Connie. Nie powiem jej o swoim wstrętym występku. Joe nie jest ważny. Nikt nigdy nie musi się dowiedzieć. Był niczym więcej jak pobudką. Nie znaczył nic. Mówienie o nim nadałoby mu znaczenie, na które nie zasługuje. Spycham go na samo dno świadomości, tak jak czyniałam to niezliczoną liczbę razy w tym tygodniu. Gdybym zaczęła myśleć o chwili, gdy mnie pocałował, a ja poczułam gnijące, stare jedzenie w jego zębach, możliwe, że zaczęłabym wymiotować. Z ust Petera pachnie zawsze płynem do płukania Listerine i pastą Colgate. Usta Joego Whiteheada, pełne metalu i gnijącego mięsa, podziały na mnie odpychająco. Uprawialiśmy seks bez całowania. Tak samo robią prostytutki - i doskonale to rozumiem.

Milczę dostatecznie długo, że do Connie dociera, że nie jestem w nastroju na zwierzenia dotyczące Micka czy jakiegokolwiek innego aspektu mojej firmy. Przeskakuje na temat bliższy jej sercu.

- Zgłosisz się na ochotnika do pomocy w szyciu kostiumów na jasełka? - Wpatruję się w nią z przerażeniem. - Albo sprzedaży biletów? - Kręcę głową. - Podawania kawy podczas przerwy?

- Bądź realistką, Connie. Nie. Bardzo się staram, ale nie jestem materiałem na matkę z Komitetu Rodzicielskiego, i obie o tym wiemy.

- Mogłabyś być, gdybyś tylko chciała.

- To już znam prawdę. Nie spodziewaj się także, że zobaczysz mnie na tych okropnych porankach grup dziecięcych.

- Dlaczego?

- Wszystkie kobiety siedzą na swoich tłustych dupskach i przez cały ranek zajadają się ciastkami w jakiejś przygnębiającej sali. Nie mogę znieść tych koszmarnych miejsc. Zawsze tam śmierdzi dziecięcą kupą.

Connie śmieje się i zamawia nam po następnym koktajlu.

- Dla mnie butelkę wody mineralnej. Nadal mam kaca po tej imprezie firmowej.

Mój kac ma aspekt bardziej moralny niż fizyczny, ale jest bardzo rzeczywisty. Connie przygląda mi się z ciekawością, ale o nic nie pyta.

- Jak Eva przyjmuje twoje tworzenie więzi z Auriol? - pyta.

- Sądziłam, że przynajmniej ona będzie postrzegać moje starania jako coś pozytywnego. Wiem, że liczba jej obowiązków się zmniejsza, ponieważ odnoszę wrażenie, że swoich mam teraz dziesięć razy więcej. Ale zamiast cieszyć się z mojego pozytywnego wkładu, ona traktuje moje działania jako „niepotrzebną ingerencję”. Jest przekonana, że wracam z pracy wcześniej po to, żeby ją sprawdzać, a moje sugestie dotyczące organizacji dnia Auriol odbiera jako bezpośrednią krytykę.

- O rety.

- W ciągu ostatnich dziesięciu dni dwa razy składała wypowiedzenie. Nie wiem, jak sobie poradzić z tą sytuacją. Nie mam ochoty widywać mniej Auriol tylko po to, żeby udobruchać nianię.

- Więc?

- Postanowiłam zrobić to co zawsze, czyli zażegnać kryzys sypnięciem gotówki. Jak na razie udało mi się ją przekonać do pozostania u nas, obiecując zapłacić za jej karnet na siłownię i kurs prawa jazdy. Ciekawe, co nastąpi najpierw — nasze bankructwo czy jej ostateczna rezygnacja. Myślę, że mało będzie brakować.

Connie się śmieje.

- A jak tam Peter?

- Naprawdę dobrze - uśmiecham się szeroko. - Wszystko jest dobrze.

Mojemu nowemu podejściu do macierzyństwa towarzyszy pewien potencjał wzrostu. Niezwykle pozytywnym skutkiem, który zdecydowanie przeważa zniewagi w pracy i batalie z Auriol i Evą, jest to, że Peter zauważył, że się staram. Widzi, jak panuję nad sobą, kiedy Auriol nie chce mnie trzymać za rękę, i widzi, jak zagryzam wargę, gdy zachowuje się niewdzięcz-

nie. Wydaje mi się, że powoli tworzą się między nami zupełnie nowe połączenia i mam nadzieję upleść wystarczająco dużo nici wspólnej płaszczyzny i zrozumienia, żeby załatać dziury w naszym związku. Teraz widzę, że Joe Whitehead był rzeczywiście pobudką. Nie zagrożeniem. Nie problemem. Lubię sobie myśleć, że okazał się pomocny naszemu związkowi.

Jeśli w ogóle muszę o nim myśleć.

Zaczyna mi dzwonić komórka.

- Założę się, że to on - mówię, uśmiechając się do Connie. - Nie masz nic przeciwko, jeśli odbiorę?

- Proszę bardzo.

- Witaj, Lucy, z tej strony Joe.

Kurwa. Wszystko w moim środku zaczyna się topić.

- Kto? - pytam, grając na zwłokę.

Pokazuję Connie na migi, że w barze jest zbyt głośno, i wychodzę na zewnątrz. I jednocześnie modlę się, żeby ten telefon miał związek z pracą.

- Tak sobie myślałem, czy nie miałabyś ochoty na spotkanie. Moglibyśmy powtórzyć czwartkową noc - mówi Joe.

Oczami wyobraźni widzę jego poszarzałą cerę i czuję wilgotne dłonie. Wzdrygam się.

- Przykro mi, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Mam nadzieję, że mój głos brzmi spokojnie. Nie chcę dać się wciągnąć w rozmowę. Nie może być żadnej dyskusji na temat tamtej nocy. Przyznanie, że rzeczywiście nastąpiła, nadałoby jej znaczenie, którego jest zupełnie pozbawiona.

- Daj spokój, Lucy. Trochę za późno grać trudną do zdobycia.

- W nic nie gram.

Trzęsę się. Zostawiłam płaszczyznę w barze, choć byłoby mi zimno nawet wtedy, gdybym miała na sobie kombinezon narciarski.

- Jutro wybieram się na randkę. Jak się z tym czujesz?

- Nic nie czuję w związku z tą kwestią.

- Lucy, skarbie, wiem, że jesteś zazdrosna. Dlaczego tego po prostu nie powiesz? Wystarczy jedno twoje słowo, a wystawię ją do wiatru.

- Co nie byłoby trudne, ponieważ jest bez wątpienia wytworem twojej wyobraźni - warczę. Cholera. Nie da się tego nazwać postawą neutralną.

Joe się śmieje.

- Uwielbiam twoje poczucie humoru. Powinniśmy gdzieś wyjść, spędzić razem nieco więcej czasu. Tamtej nocy nie mieliśmy okazji, żeby dużo ze sobą porozmawiać, prawda? Zbyt silny zwierzęcy pociąg. - Śmieje się do siebie. Chyba zaraz zaczął krzyczeć. Jak bardzo jest on obłąkany? - Pragniesz mnie, prawda? Tylko że nie możesz tego przyznać, ponieważ jesteś mężatką.

- Skąd masz mój numer?

- Julia mi dała.

- Jeśli jeszcze kiedyś do mnie zadzwonisz, obiecuję...

- Co, Lucy? Powiesz swojemu mężowi, że dzwonił twój kochanek?

Bez ostrzeżenia łzy zaczynają drapać mnie w oczy, a na rękach pojawia się gęsia skóra.

- Nie jesteś moim kochankiem - syczę do telefonu.

- Byłem w zeszłym tygodniu.

- Byłam pijana. Byłeś pomyłką.

- To samo mówi moja matka. I też nie mówi poważnie. Podejrzewam, że jednak tak.

- Nie dzwoń do mnie więcej, nigdy.

Rozłączam się.

Gdy drzwi baru otwierają się, ze środka wypływa śmiech, brzęk szklanek i szum rozmów. Na ulicy, gdzie stoję, wszystko wydaje się bardziej przygnębiające.

ŚRODA, 22 LISTOPADA

ROSE

Od czasu afery z Lucy niewiele śpię i jem. Mam problemy z uformowaniem myśli w głowie, nie mówiąc już o wydaleniu spójnego zdania na ten wielki, zły świat. Jestem powalona. Dosłownie. Odkąd ten Joe jak-mu-tam (och, jak bardzo żałuję, że bardziej nie uważałam, kiedy mi się przedstawiał) wyjawiał swój obrzydliwy sekret, mam trudności z utrzymaniem się na nogach. Z ogromnym wysiłkiem stawiałam lewą nogę przed prawą i jakoś wygotałam się z przyjęcia na ulicę, gdzie zatrzymałam tak-sówkę. Gdy tylko dotarłam do domu, położyłam się do łóżka. Dzieci były u Petera i miały tam pozostać przez następną dobę. Próbowałam zachować spokój. Oddychać głęboko. Poukładać myśli. Ważne, żeby nie wyciągać pochopnych wniosków i nie wydawać surowych wyroków.

„Co ta zdradziecka, niszcząca rodziny nikczemna dziwka sobie myślała?”

Przepraszam, przepraszam. „Co Lucy Hewitt-Jones, *alias* pani Phillips druga, sobie myślała?”

Pozostałam pod kołdrą przez dwadzieścia cztery godziny i przetrawiałam uzyskane od Joego informacje. Brałam pod uwagę taką możliwość, że jest po prostu kłamcą - że Lucy nie miała romansu z nim bardziej niż ja. To możliwe. Był odpychającym typem. Być może miewał zboczone seksualne fantazje na jej temat, w których nie kryło się ani ziarno prawdy. Nie

był w ogóle zabawny ani szczególnie przystojny. Nie był nawet w połowie tak atrakcyjny jak Peter. Dlaczego miałyby to zrobić? Choć Lucy z całą pewnością nie brakuje wad, jedno muszę jej przyznać - ma doskonały gust. Jeśli rzeczywiście zrobiła... to z Joem, z całą pewnością obniżała swój poziom.

Ale dlaczego miałyby to zmyślić? Co by go opętało, żeby podać nazwisko współpracownika i powiedzieć, że się z nim kręci, gdyby tak nie było? Coś takiego byłoby zbyt ryzykowną sprawą, zwłaszcza w *city*, gdzie roi się od pozwów o molestowanie seksualne i zniesławienie.

A ona rzeczywiście jest notowana. Nawet przed Peterem w kartotece Lucy widniały wypadki uwodzenia mężczyzn, którzy pozostawali w związkach, i zajęć nadprogramowych, podczas gdy akurat się z kimś spotykała. Kiedyś się upierała, że monogamia jest czymś równie nienaturalnym jak styropianowy kubek z zupką w proszku.

Ale myślałam, że się zmieniała.

Czuję się jak pranie podczas programu wirowania. W jednej chwili jestem uradowana, w kolejnej zrozpaczona. W jednej chwili jestem pewna siebie, w następnej odnoszę wrażenie, jakbym się poruszała w gęstej mgle. To podłe z mojej strony, ale strasznie się cieszę, że nie wszystko się dobrze układa między Peterem i Lucy, bo przecież zasłużyli sobie na to, prawda? Od dnia, w którym spakował swoje walizki, pełni najlepszych intencji przyjaciele i rodzina zapewniali mnie, że z ich związku nie wyjdzie nic dobrego. Panuje ogólne przekonanie (choć brak na to statystycznych dowodów), że związki, które początek mają w cudzołóstwie, prędzej czy później znajdują się w takim samym paskudnym położeniu - inna obsada, na pewno, ale ostatecznie takie same kłamstwa, oszustwa i zdrady.

Ale ja nigdy nie chciałam, żeby tak się stało.

Fakt niewierności Lucy wprawia mnie w większą rozpacz i powoduje gorszy mętlik w głowie niż cokolwiek do tej pory - jest nawet gorzej niż wtedy, gdy Peter mnie zostawił. My-

siałam, że Lucy kocha Petera. Stwierdzenie, że jej miłość do niego, wybranie go sobie ze wszystkich innych mężczyzn na świecie było dla mnie koszmarną niedogodnością, to śmiechu warte niedopowiedzenie. Jej miłość do Petera była śmiertelnym ciosem dla mojego małżeństwa. Zniszczenia, jakie wywołała, były nie do opisania. Być może byłabym w stanie walczyć ze zwykłym śmiertelnikiem, ale miłość Lucy była zbyt silnym przeciwnikiem.

Przewrotnie jednak ogrom i pewność ich miłości zawsze działały na mnie dziwnie kojąco.

Owszem, to uczucie bolało. Mój Boże, ich zdrada i dwulicowość wobec mnie były czymś zabójczym. Zastanawiałam się wtedy, czy będę jeszcze kiedyś w stanie oddychać w świecie, który po jego odejściu uległ tak dramatycznej zmianie. Ale wraz z upływem kolejnych miesięcy zaczęłam odnajdywać pocieszenie w ich niezachwianej, egoistycznej pewności. Tak sobie myślałam, że skoro Lucy i Peter kochali się do tego stopnia, że on był gotowy zostawić swoje dzieci i mnie, i byli gotowi wysadzić w powietrze nasze szczęśliwe towarzystwo, zmuszając przyjaciół do zmykania do ustawionych naprzeciwko siebie okopów, to może wiedzą o czymś, co dla mnie pozostaje wielką niewiadomą.

Może wiedzieli, że „to” istnieje - „ten jedyny”, bratnia dusza, mówcie na to, jak chcecie. Może posiadli pewność, która omijała większość z nas, przez większość czasu. Wydawało mi się, że paskudny egoizm Lucy i Petera ma swoje chłodne piękno, ponieważ wierzyli, że są dla siebie nawzajem „kimś”. Tym kimś, kto czynił życie znośnym i nadawał mu znaczenie. Co wcale nie jest taką przygnębiającą myślą, jeśli się podąży tym tropem do samej konkluzji. Luke i Connie byli sobie przeznaczeni. Byli dla siebie nawzajem „kimś”. Daisy i Simon także „to” mieli. Pocieszał mnie fakt, że skoro tak właśnie jest, to może całe to moje cierpienie nie istnieje bez powodu. Czasami, kiedy miałam naprawdę bardzo dobry dzień, pograżałam

się w marzeniach i zastanawiałam, czy gdzieś tam nie czeka na mnie jeszcze „to”. W ubiegłą sobotę na weselu zaczęłam sobie nieodpowiedzialnie wyobrażać, że Craig może mieć w sobie nieco „tego”. Możliwe, że miał potencjał. Rewelacje Joego położyły oczywiście temu kres.

Lucy sypia teraz z kimś innym. Nie tylko nie jestem sobie teraz w stanie wyobrazić nic pięknego, stałego czy znaczącego, ale cały potencjał, jaki mieliśmy ja i Craig, roztrzaskał się na kawałki w chwili, gdy wybiegłam z przyjęcia, nawet się z nim nie pożegnawszy.

Lucy znowu mnie okradła.

Nienawidzę jej.

Jakoś udaje mi się funkcjonować, ale jestem zupełnie bez życia. Karmię, piorę, prasuję, sprzątam i kłócę się o mycie zębów jak zawsze, ale nie mam energii na dwu- i trzykrotne sprawdzanie pracy domowej czy gam. Chłopcy wykorzystują mój stan i w czwartek „zapomnieli” zostać w szkole na przesłuchaniach do jasełek. Obaj są uszczęśliwieni faktem, że w związku z tym przypadły im poboczne role wieśniaków. Ja od zerówki szykowałam ich do ról narratora czy jednego z królów, ale wygląda na to, że przegapiłam odpowiedni moment. Wystarczyło, że na chwilę spuściłam ich z oczu, i proszę, oto skutek. Taki już mój los. Na swój sposób dobrze się jednak stało. Ważniejsze role mogłyby wymagać prób po lekcjach, a co za tym idzie - zwiększałoby się ryzyko, że natknę się na Craiga, a było to coś, co napawa mnie przerażeniem. Kiedy odprowadzam chłopców do szkoły albo ich z niej odbieram, nie dochodzę już z nimi aż do samej bramy. Chłopcy traktują to jako reakcję na ich próbę zdobycia niezależności i są uradowani.

Na myśl o Craigu przepełnia mnie rozczarowanie i wyrzuty sumienia. Co on musi sobie o mnie myśleć? Cóż, to oczywiście, prawda? Z pewnością uważa, że jestem szalona, zupełnie niepo czytalna. Tak świetnie się bawiliśmy. Wspomnienie to jest dla mnie niczym cios, po którym nie mogę złapać tchu. Ale jakie

to ma znaczenie? Jak mogłabym zaufać ponownie jemu czy komukolwiek innemu? Ten świat jest zepsuty i cuchnący. Prawdopodobnie będę musiała wypisać dzieci z Holland House. Ale teraz nie jestem w stanie o tym myśleć. Kręci mi się w głowie od podejmowania decyzji, co mam myśleć o danej sprawie.

Sparaliżowana z powodu niezdecydowania i szoku, nie jestem pewna, jaki powinien być mój następny ruch. Czy chcę powiedzieć Peterowi o tym, co wiem o najnowszym, namiętym romansie Lucy? Na pewno czerpałabym pewną słodką satysfakcję, patrząc, jak przyjmuje tę wiadomość, tę samą, którą kiedyś on, niestety, przekazał mnie. Mogłabym ją wydać i nikt by mnie za to nie winił. Ci wielkoduszni założyliby, że w skrytości ducha jestem jak zawsze lojalna wobec byłego męża. Ci mniej wielkoduszni byłiby zachwyceni moją paskudną zemstą i upieraliby się, że Peter na to zasłużył. Ale czy chcę być osobą, która wprowadzi do jego życia całą tę zgryzotę? Czy chcę wylewać to wszystko na podłogę w jego salonie i patrzeć, jak trucizna przedostaje się do wszystkiego, co jest dla niego tak bardzo cenne? On mi coś takiego zrobił! Ale mimo to nie mam pewności.

Powinam doprowadzić do konfrontacji z Lucy? Wspaniale byłoby patrzeć, jak się wije. Pokazać jej, że wcale nie jest taka sprytna i że choć raz to ja mam przewagę. Mogłabym ją prześladować i zastraszać. Tyle że prześladowanie nie jest w moim stylu, a w jej - bycie zastraszoną. Może mi nawet powiedzieć, że Peter wie o tym, że ona uprawia seks z innymi mężczyznami. Mogli przecież mieć coś w rodzaju u m o w y . Ta myśl jest odrażająca i cofam się przed jakimkolwiek angażowaniem się w to.

Connie i Daisy wyczuwają, że nie jestem sobą. Zakładają, że dopadł mnie wirus grypy i że muszę się naprawdę kiepsko czuć, skoro nie odrzucam ich propozycji pomocy. Connie kilka razy przyprowadziła za mnie chłopców ze szkoły, a Daisy dotrzymuje mi towarzystwa w niedzielę, kiedy są u Petera. Co nie znaczy, żeby miała ze mną łatwo. Jestem tajemnicza i łatwo się roztkliwiam. Oglądamy powtórki *Domku na prerii*, jak za czasów

dzieciństwa. Jeśli zauważa, że zanim film dobiega końca, z moich oczu płyną łzy, uznaje, że to fabuła tak mnie wzruszyła.

Moje przyjaciółki zdumiewa moja gotowość przyjęcia ich pomocy, ponieważ rzadko się na coś takiego zgadzam. Nawet kiedy chłopcy byli bardzo mali, a Peter odszedł, wolałam radzić sobie sama. Lubiłam być samowystarczalna. Bliźniacy dawali mi w życiu cel i lubiłam ich towarzystwo. I chyba podobało mi się bycie cierpiętnicą, lecz do tego potrzebna jest wiara w powód, a teraz nie jestem go taka pewna.

Słyszę, jak Daisy i Connie szepczą w kuchni. Chodzi o charakter moich dolegliwości i powód, dla którego jestem taka apatyczna. Odmawiam udzielania jakichkolwiek informacji na temat tego, czy dobrze się bawiłam na weselu z Craigiem. Wcześniej planowałam podzielić się z nimi swoją radością, ale teraz wydaje się to odległe o całe lata świetlne. Jeszcze nie zdecydowałam, czy chcę się podzielić z nimi rewelacjami na temat niewierności Lucy. To delikatna sprawa: Daisy wpadnie we wściekłość i będzie mnie namawiać do natychmiastowego jej zdemaskowania. Connie będzie strasznie zdezorientowana. Lucy to jej przyjaciółka.

O mój Boże, zakładając oczywiście, że Connie nie ma pojęcia o romansie Lucy.

Możliwe, że jest jej powiernicą. Ta myśl jest paskudna, ale wcale nie niemożliwa. Connie sama w przeszłości miewała sekrety. Podobno natura ciągnie wilka do lasu. Chcę jej ufać, ale to nie takie proste. To dziwne, że występki Lucy tak gruntownie zniszczył moją wiarę w człowieka. Pozostaje dla mnie tajemnicą, dlaczego, u licha, pokładałam swoje nadzieje w Lucy. Ale kto by pomyślał, że jest ona zdolna do wyrządzenia jeszcze większych szkód, zadania jeszcze większego bólu? Czy nie istnieje jakiś limit? Zaczynam analizować każde wypowiedziane przez Connie zdanie i tak dyskretnie, jak tylko się da, wypytyuję ją, czy Lucy jest szczęśliwa w pracy i w związku z Peterem. Jest równie dyskretna jak przez ostatnich pięć lat. Delikatnie, lecz

stanowczo daje mi do zrozumienia, że krępuje ją rozmawianie o Lucy. Jej konsekwencja dodaje mi otuchy. Gdyby uparcie twierdziła, że panuje u nich domowa sielanka i zbyt mocno mnie o tym zapewniała, wtedy miałabym powód, żeby podejrzewać, że wie o romansie Lucy. Uznaję, że prawdopodobnie nic na ten temat nie wie.

Każdego wieczoru zasypiam wyniszczona całodziennym, niekończącym się analizowaniem faktów, plotek i domysłów. Najtrudniejsze do przełknięcia jest to, że gotowa byłabym się założyć, że Lucy miewa spokojny sen. Wiem z doświadczenia, że odpoczynek jest dany grzesznikom. To ci, którzy mają sumienie, przekręcają się na łóżku, nie mogąc zasnąć.

CZWARTEK, 23 LISTOPADA

J O H N

Craig dzwoni, żeby mi powiedzieć, że nie chce się spotkać w pubie. Właściwie to oświadczył, że w ogóle nie chce iść dzisiaj do pubu.

- Czemu? - Nie może mi się to pomieścić w głowie.

- Chcę pogadać.

Wszyscy chcą, prawda?

- Co takiego?

Słyszysz w moim głosie panikę i próbuje mnie uspokoić.

- Nic wielkiego. Chodzi mi jedynie o to, że w niektórych z tych pubów, do których chodzimy, nie słysząc nawet własnych myśli. Kupię kilka puszek. Zrobię spaghetti.

Craig dobrze wie, jak mnie podejść. Myślałem, że tylko Andrea wiedziała, że droga do mojego serca wiedzie przez piwo i sos bolognese. Zgadza się na jego propozycję.

Craig mieszka w niewielkim, dwupokojowym mieszkaniu w Notting Hill, dawniej komunalnym. Kupił je od razu, gdy zaczął zarabiać, w czym pomógł mu spadek po babci. To była mądra inwestycja. W całym kraju ceny nieruchomości gwałtownie poszły w górę - nauczycieli rzadko obecnie stać na kupno czegokolwiek, gdziekolwiek, a już na pewno nie w Notting Hill, gdzie ceny są po prostu kosmiczne. Po tym Filmie przez duże „F” wszystkim zachciało się tam mieszkać. Myślę, że ludzie wierzyli w to, że za sąsiadkę będą mieć Julię Roberts.

Ale to mieszkanie, choć całkiem sporo warte, to nie specjalnego. Prawie niczym się nie różni od właściwie każdego męskiego mieszkania, w którym miałem okazję być. Ściany są niebieskie, mnóstwo mebli z Ikei, kuchnia to horror z lat osiemdziesiątych, a ręczniki w łazience czuć nieco stęchlizną. Czuję się tu jak u siebie, gdyż kiedyś też tak mieszkałem, cóż, właściwie to w gorszych warunkach, dopóki się nie ożeniłem i Andrea nie wprowadziła do mojego życia drewnianych podłóg, włochatych dywanów i poduszek. Choć powróciłem do zamawiania jedzenia na wynos niemal każdego wieczoru, zachowałem jej elegancki wpływ, nie tylko dlatego że modne i (lub) wygodne mieszkanie okazuje się pomocne podczas podrywu. Mieszkanie Craiga tylko w jednym zauważalnie różni się od innych męskich mieszkań: jest w nim mnóstwo książek, zdjęć i pocztówek, czego mężczyźni zwykle unikają.

Kiedy docieram na miejsce, już na klatce schodowej czuć zapach smażonej cebuli i mięsa mielonego. Pachnie super. Craig otwiera mi drzwi i witamy się w nasz zwykły sposób.

-Jest okej.

-Jest okej.

To zarazem pytanie i odpowiedź. Nikt by nie odgadł, że jestem uradowany na jego widok, albo on na mój. Jemy we względnej ciszy. W tle leci na DVD *Łowca androidów*. To ulubiony film Craiga, zazwyczaj więc puszcza go, kiedy jest w domu. W moim domu leci *Butch Cassidy i Sundance Kid*. Kiedy pojawiają się napisy, przejmuję kontrolę nad pilotem i skaczę po kanałach, aż w końcu decyduję się na *Jackass*.

- A tak przy okazji, to dobry makaron. Dzięki.

— Nie ma sprawy.

Przyciągnąłem sobie krzesło, Craig zaś walnął się na sofę. Oglądamy *Jackass* i zaśmiewamy się do rozpuku, kiedy komuś dzieje się krzywda albo zostaje upokorzony, nie tylko ja, ale Craig także - udowadniając w ten sposób, że rzeczywiście posiada chromosom Y.

- Jak ci się podobała?

Nie mam pojęcia, o czym mówi Craig. Gdy zadaje mi to pytanie, na ekranie jest akurat Johnnie Knoxville, nie może mu więc chodzić o jakąś telewizyjną lalunię. Craig dostrzega moją konsternację.

- Rose. Jak ci się podobała? Ta dziewczyna, którą zabrałem na wesele Toma. To była ta, o której ci opowiadałem.

Choć Craig powiedział, że chce dzisiaj porozmawiać, miałem nadzieję, że nie chodzi mu o to, że chce rozmawiać-rozmawiać. Rozmawialiśmy-rozmawialiśmy w zeszłym miesiącu, nie jestem pewien, czy dobrze bym się czuł, gdyby coś takiego weszło nam w krew. Ale w końcu nie ma czegoś takiego jak darmowy obiad. Postanawiam poczęstować się kolejnym piwem - skoro mam się zaangażować we wnikliwą i poważną rozmowę, będę potrzebował odrobiny nawilżenia.

- Ten twój wyjątkowy ktoś? - pytam, szybko wracając do tematu.

- Cóż, nie sądzę. Cóż, nie. Tak. Ale.

- To znaczy?

- Uważam, że jest wyjątkowa - mówi wreszcie.

Osobiście nie przepadam za rudzielcami i uznałem, że jest nieco przy kości, ale przecież wielu mężczyzn leci właśnie na coś takiego, lubią mieć za co złapać. Craig wygląda cholernie nie-szczęśliwie, co jest dziwne. Teraz, gdy znalazł już tego swojego „wyjątkowego ktosia”, może mieć głęboki i intensywny związek i wreszcie zaliczyć panienkę - z czystym sumieniem.

- Uciekła - mówi.

- Co takiego?

- Na weselu. Tak dobrze nam szło. Czy też mnie się tak wydawało. Nie. Tak. Naprawdę tak było. Nic nie rozumiem.

Craig patrzy na mnie w taki sam sposób, jak kiedy był mały i jakiś łobuz z naszego osiedla ukradł mu pieniądze na obiad czy celowo przejechał po jego rowerze, żeby zgąć przednie koło.

Przyciszam telewizor i mówię:

— Opowiedz mi wszystko, stary.

Nie trzeba mu tego powtarzać.

— Świetnie się razem bawiliśmy, rozmawialiśmy, poznawaliśmy się lepiej. Sprawiała wrażenie bardzo zrelaksowanej i zadowolonej. Nawet tańczyliśmy.

Wiem. Przyglądałem im się w swoim pijackim zamroczeniu i owszem, z miejsca, w którym się chwiałem, było widać, że świetnie się bawią. Zdecydowanie była w niego wpatrzona. Śmiała się z jego żartów, wpatrywała się w jego oczy, cały zestaw. Szczerze mówiąc, czułem zazdrość. Nie dlatego, że ta cała Rose jest w moim typie, w żadnym razie, ale każdy mógł dostrzec, że to, co się między nimi rodziło, jest raczej wyjątkowe, używając określenia Craiga.

Było to takie szczere i bezpośrednie, że nawet ja to widziałem.

Pamiętam, że patrzyłem to na nich, to na Toma i Jen. Prawdę powiedziawszy, było to nieco, psiakrew, przygnębiające. To właśnie obiecujące początki Craiga i tej kobiety pchnęły mnie do picia bez umiaru. To znaczy ja wcale nie żałuję Craigowi tej odrobiny szczęścia. Naprawdę chcę, żeby szczęście go nie opuszczało. Tak samo w wypadku Toma i Jen. Gdybym wygrał kiedyś w totka, kupiłbym Craigowi nową chałupę i Tomowi też. Są jak bracia. Myślę, że dlatego właśnie widok ich obu, zachowujących się tak funkcjonalnie, skłonił mnie do picia. Nie jestem kretynek, jestem najprzystojniejszy z naszej trójki, trzeba więc zadać sobie pytanie, dlaczego to ja siedziałem sam, mając za towarzystwo jedynie ciotkę Madge?

Dobrze, to taka dygresja. Zmierzam do tego, że Craig i jego dziewczyna sprawiali wrażenie, jakby dobrze się ze sobą dogadywali.

— Co się stało? Nadepnałeś jej na nogę? Kobiety potrafią mieć hopla na punkcie swoich butów.

Craig nie pozwala mi rozweselić nieco wieczoru.

- Ty się stałeś, idioto. Rose dostrzegła, że jesteś w stanie katatonicznym, poszedłem więc, żeby cię otrzeźwić, co trochę potrwało.

- Przepraszam.

-A potem były przemowy. Wciąż szukałem jej wzrokiem. Na początku sądziłem, że poszła do toalety albo baru, ale nie, wyszła, zniknęła bez śladu.

- Regularny Kopciuszek.

- Myślałem, że może otrzymała telefon z domu. Ma dwóch chłopców, bliźniaków. Może coś się jednemu z nich stało. Zadzwoiłem więc na jej komórkę i zostawiłem wiadomość, ale nie oddzwoniła. Dzwoniłem do niej przez cały następny dzień. Poczuję ulgę, kiedy chłopcy pojawili się w poniedziałek rano w szkole, ale to nie Rose ich przyprowadziła, lecz jej przyjaciółka. Zadałem im kilka niezobowiązujących pytań. Chłopcy rzekli, że ich mama czuje się dobrze, ale mają dopiero siedem lat i nie podali mi żadnych szczegółów, a ja nie mogłem ich przecież wypytywać.

To prawda, ale chyba taka jest etykieta w wypadku dyrektora szkoły, rozmawiającego z dwójką chłopców o możliwości puknięcia ich matki?

- Nie mogę porozmawiać z jej przyjaciółkami, żeby się dowiedzieć, co się stało, ponieważ wszystkie są mamami z mojej szkoły i byłoby to niestosowne. Zastanawiam się, czy nie powinienem do niej zajrzeć. Ale kiedy? Nie mogę jej odwiedzić, kiedy chłopcy są w domu, ale nie mogę też wymknąć się ze szkoły, żeby załatwiać sprawy osobiste. Co myślisz? — pyta Craig.

- Myślę, że postradałeś zmysły, wiążąc się z kobietą, która ma dwóch siedmioletnich chłopców.

- Na litość boską, John.

- Okej. Przepraszam. Powiedziałaś jej, że jest gruba?

- Nie! Oczywiście, że nie. Przecież nie jest.

Craig wygląda na rozdrażnionego.

- Nie powiedziałaś jej, że „dobrze” wygląda? Ponieważ kobiety uważają, że mówiąc to, masz na myśli „gruba”.

- Naprawdę?
- Zawsze.
- Nie, chyba jej powiedziałem, że wygląda pięknie.
- Wyrzuciłeś się pozytywnie o jakiegokolwiek innej kobiecie na sali, włączając w to pannę młodą?
- Powiedziałem, że Jen wygląda na odprężoną.
- To akurat może być. Wchodziłeś jej w słowo?
- Nie.
- Nie zgadzałeś się z nią? Sugerowałeś, że kobiety głosują jedynie na polityków, którzy są seksowni? Krytykowałeś jej styl prowadzenia samochodu? Opowiadałeś o *Star Trek*?
- Nie, nie, nie. John, naprawdę nie sędzę, żebym powiedział coś, czym mógłbym ją urazić.
- Cóż, ktoś musiał to zrobić, stary. Musisz się dowiedzieć, kto i w jaki sposób.
- Myślisz, że powinienem z nią porozmawiać.
- To pomaga w związku, już ja coś wiem na ten temat.
- W takim razie ty dużo nie rozmawiasz.
- Uśmiecham się szeroko do mojego bystrego przyjaciela.
- Nie, stary, unikam tego, jak tylko mogę.
- Powinienem zająć do niej i zapytać, dlaczego uciekła?
- Tak.
- Tak myślisz?
- Tak.
- Craig prostuje się i daje mi kuksańca w ramię.
- Dobrze mieć cię przy sobie, stary. Jesteś prawdziwym kumplem.
- Możemy teraz wrócić do oglądania/tfdtftf? - pytam i ponownie pogłaśniam dźwięk.
- Craig przez cztery minuty wpatruje się w ekran, po czym mówi:
- Tom mi powiedział, że skontaktowała się z tobą Andrea, żeby ci powiedzieć, że spodziewa się dziecka z tym swoim nowym facetem.

- Powiedział ci?

- Jak się z tym czujesz?

- Cieszę się w jej imieniu. - Moje spojrzenie pozostaje przyklejone do ekranu telewizora.

- Naprawdę?

- Tak.

- Czy wy nigdy nie chcieliście mieć dzieci?

Ponownie wyciszam dźwięk. Komiczne wygłupy odbywają się teraz w ciszy. Bez okrzyków bólu, krzyków i łoskotu program coś traci. Przypomina mi się jeden ze starych filmów z Charliem Chaplinem, którego nigdy nie uważałem za jakoś szczególnie zabawnego.

- Myślę, że Andrea sądziła, że sam jestem dzieckiem.

- Trochę to nie*fair* - mówi lojalnie Craig. Po czym bardziej uczciwie dodaje: - Ale tylko trochę.

- W pewnym momencie rzeczywiście się staraliśmy, ale nie był on odpowiedni.

- Dziewczyńskie sprawy? - pyta, źle mnie rozumiejąc.

Jakoś nie mam ochoty wyjaśniać, że nie chodziło mi o jej cykl miesięczny i tego typu kwestie, ale o nasz moment. Staraliśmy się o dziecko po to tylko, żeby skleiło nasz rozpadający się już związek. Naprawdę dobrze się stało, że bogowie płodności nie zwracali wtedy na nas uwagi.

- Mogę ci zadać naprawdę osobiste pytanie?

Craig nie ma pojęcia, jaki poziom dociekliwości jest akceptowalny między facetami. Uważam to za uroczy ekscentryzm i oświeście nie mam nic przeciwko zaspokajaniu jego ciekawości.

- Wal.

- Czy Andrea była „tą jedyną”?

- Nie, stary, Cameron Diaz to „ta jedyna”. Tylko że jeszcze o tym nie wie.

- Mówię poważnie.

Nie da się zbyć. Wpatruje się we mnie z powagą. Na jego twarzy maluje się troska i prawdziwe pragnienie, żeby mnie zro-

zumieć. Nagle dociera do mnie, że całkiem możliwe, że dałem się nabrać. Oczywiście, Craig wie, że musi iść zobaczyć się z tą całą Rose, jeśli chce, aby coś z tego wyszło. Nie jest idiotą. Zapytał mnie o zdanie prawdopodobnie po to tylko, by poruszyć temat kobiet i nakłonić mnie do zwierzeń.

Patrzę na milczący ekran i mówię Craigowi, że nie wierzę w „tę jedyną”. Jest całe mnóstwo kobiet, które mogłyby uczy-
nić mnie szczęśliwym.

- Dlaczego więc tego nie czynią?

- Jestem szczęśliwy.

- Na ślubie Toma nie sprawiałeś takiego wrażenia. - To nie jest pytanie, nie muszę więc odpowiadać. Craig w pracy ma bez przerwy do czynienia z małymi dziećmi, dlatego ujmuje to inaczej: - Już dawno nie widziałem cię takiego nawalonego, stary, i zastanawiałem się, dlaczego chciałeś się upić.

- Denerwowałem się przemową.

- Nie. Byłeś nią podekscytowany.

Craig jest dostatecznie miły, żeby nie przypominać mi, że choć jakoś przebrnąłem przez mowę, nie była ona taka dobra, jak być może mogła być. Wywoływała śmiech, ale humor nie był tak błyskotliwy i wyrafinowany, jak planowałem. Nie potrafiłem odczytać swoich kartek z podpowiedziami i musiałem całkiem sporo improwizować. Ale nie ma co się przejmować, jeśli Craigowi wyjdzie z Rose, to za parę lat odkurzę swoją mowę i spróbuję raz jeszcze.

Nie odrywam spojrzenia od ekranu, wiem jednak, że Craig nadal się we mnie wpatruje z całą intensywnością zatroskanego najlepszego kumpla. Zaczyna mnie wszystko swędzieć. Poddaję się.

- Rzeczywiście ma dla mnie znaczenie to, że Andrea za-
ciażyła. Nie jestem zazdrosny - dodaję pospiesznie i odwracam się twarzą do niego, żeby mógł zobaczyć, że mówię całkowicie szczerze. - To dobra dziewczyna. Cieszę się jej szczęściem. Wi-
dać, że ruszyła z życiem do przodu, i to jest dobre. Ale zaświ-
tało mi przez to trochę w głowie, że ja nie. Od rozwodu tak
naprawdę nie posunąłem się do przodu.

- Kupiłeś ten nowy dom w Marlow.

- Tak.

Nie mogę uwierzyć, że ten jeden raz, kiedy chcę, żeby Craig zrozumiał, że nie mówię dosłownie, a w przenośni, on nic nie kuma. Chodzi mi o to, że nie posunąłem się do przodu w sensie emocjonalnym, ale prędzej dałbym sobie wydepilować włoskiem tyłek i klatę, zanim powiedział to wprost.

- W pewnym sensie czuję, że znajduję się w tym samym miejscu, co dziesięć lat temu, tyle że wtedy podczas bzykania słuchałem Oasis i Biur, a teraz Arctic Monkeys i Kaiser Chiefs. Wciąż analizuję dawne scenariusze i zastanawiam się, co mogłem zrobić inaczej, żeby zmienić rezultat.

- Z Andrea?

- Między innymi. Przeprowadzam w tej chwili coś w rodzaju eksperymentu.

- Eksperymentu?

- Tak. Pamiętasz, jak kiedyś mówiłem ci o tej kobiecie, której dzieciak chodzi do twojej szkoły?

- Pani Baker?

- Tak, Connie. W pewnym momencie wiele dla mnie znaczyła.

- A potem nie znaczyła zupełnie nic. Tak powiedziałeś.

- Tak się zastanawiam, czy przypadkiem czegoś opacznie nie zrozumiałem.

- Że co? - Craig zrywa się z sofy i zaczyna przemierzać pokój. Melodramatycznym gestem przeczesuje włosy. - Masz z nią romans?

- Nie.

- Planujesz go? Próbujesz ją uwieść?

Nie odpowiadam wprost.

- Ładnie się starzeje. Wygląda super i ma tę nową nieokreśloną aurę, coś jakby pewność siebie, której nie miała, kiedy byliśmy ze sobą.

- To się nazywa szczęście. Jest szczęśliwą mężatką. Jest matką.

Craig jest wściekły. Kiedy się naprawdę wkurzy, drga mu mały mięsień w policzku i wygląda wtedy jak prawdziwy psychol. Kiedy byliśmy mali, zachęcałem go, żeby wykorzystywał tę sztuczkę do odstraszenia prześladowców, ale on nie umie robić tego na zawołanie. Widziałem to u niego najwyżej kilkanaście razy.

- Naprawdę jej pragnę.

- Wcale nie, John. Sam nie wiesz, czego chcesz, i tylko namieszasz jej w głowie. Tak nie można.

- To duża dziewczynka, sama może za siebie decydować, czy jej namieszam w głowie czy nie - zauważam.

Craig siada na krześle, wyglądając na pokonanego. Wiem, że bardzo chce znaleźć jakiś przekonujący argument, żebym zostawił Connie w spokoju.

- Dlaczego nagle zainteresowałeś się nią po tylu latach? - pytd.

Jego głos jest zawsze cichy, ale dzisiaj ledwie go słyszę.

- Nie jestem pewien.

- Myślisz, że może chcesz w ten sposób dojść do siebie po rozwodzie? Albo dodać sobie pewności siebie? Skoro kiedyś za tobą szalała, to postrzegasz ją jako łatwy cel?

- W żadnym razie - odpowiadam z cierpkim uśmiechem.

- W takim razie wyzwanie? Lubisz wyzwania.

- Nie wiem.

Chciałbym, żeby się przymknął. Dlaczego nie sugeruje, że to być może „ta jedyna”? Zazwyczaj jest taki sentymentalny. Dlaczego się upiera, że wszelkie uczucia, jakie żywię do Connie, muszą być płytkie i mieć zboczone pobudki?

- Jest tobą zainteresowana?

- Oczywiście... - urywam.

Craig wyłapuje tę chwilę, w której łamię mi się głos.

- A jeśli nie jest tobą zainteresowana? - pyta tym swoim spokojnym, opanowanym głosem.

Trochę jestem na niego zły, że w ogóle coś takiego sugeruje. Zwykle jest stuprocentowo pewny moich umiejętności czarowania kobiet.

- Jest, a w najgorszym wypadku będzie - zapewniam go.
- To mężatka - powtarza.
- Jestem tego świadomy — mówię sucho.

Nie chcę musieć mówić Craigowi, że Connie była mężatką, kiedy się poznaliśmy, i że to okazało się niczym więcej jak początkową przeszkodą. Myślę, że te słowa zniszczyłyby jego sposób postrzegania świata.

- I wydają się naprawdę szczęśliwą parą. Nawet wyjątkową - dodaje. - Zachęciła cię w pewien sposób?

- Tak jakby - odpowiadam ostrożnie. Prawdę powiedziawszy, nasze rozmowy były pełne grzecznych, lecz stanowczych odmów, ale mimo to zachowuję w tej kwestii pewność siebie. Jestem przekonany, że z jej strony to tylko gra. - Spójrzy na wszystko z mojego punktu widzenia, prędzej czy później — twierdę.

- Mówię to tylko dlatego, że jesteś moim kumplem i jeśli ona cię nie zechce i zostaniesz odrzucony, cóż, nie chcę po prostu patrzeć, jak cierpisz.

Jestem zaszokowany. Nie podoba mi się wnikliwość Craiga ani jego współczucie czy ostrzeżenia. Kiedy myślę, że usłyszałem od niego wszystko, co jestem w stanie znieść, Craig dodaje coś jeszcze bardziej szokującego niż jego współczucie czy rady.

- Nie chcę patrzeć, jak cierpisz, z n o w u .

NIEDZIELA, 3 GRUDNIA

LUCY

- Połóż tutaj palec, Auriol. - Posłusznie przyciska mały paluszek do wstążki, a ja dzięki temu mogę zrobić kokardę na paczce. Cofam się o krok i przyglądam triumfalnie swojemu dziełu. — I co myślisz?

— Wyglądają super! - odpowiada wesoło Auriol.

Lustruje spojrzeniem dwa duże pudełka, zapakowane w niebieski papier o metalicznym połysku, prezenty dla Sebastiana i Henry'ego.

W jednym znajduje się Xbox 360, a w drugim sześć gier. Myślałam, żeby każdemu kupić po konsoli, ale Peter uznał, że byłaby to przesada i że chłopcom dobrze zrobi, gdy poćwiczą dzielenie się. Powątpiewałam w tę ich umiejętność, ale rozumiałam jego motyw. Jako dodatek kupiłam im po nowym rowerze. Mają w domu rowery, uznałam jednak, że te, które kupiłam im na urodziny (z piętnastoma przerzutkami), mogą stać u nas, żeby mogli ich używać podczas odwiedzin. Mimo jego łagodnej reprimendy, że psuję chłopców, wiedziałam, że Peter jest zachwycony moimi staraniami. Nie miałam dotąd pojęcia, że kupowanie prezentów dla dzieci to taki afrodyzjak. Ale obecnie właściwie wszystko, co robię, zdaje się doprowadzać Petera do stanu wrzenia. Wcześniej nie przyszło mi do głowy, że uważa kobietę w typie Mary Poppins za tak podniecającą. Przyłapuję się na tym, że nucę pod nosem. Urywam, patrzę na Auriol i odpowiadam jej szerokim uśmiechem.

Bez żadnego ostrzeżenia uśmiech znika z twarzy mojej córki, dobry humor pryska i nagle cała zalewa się łzami.

- Chcę konsolę!

Biorę głęboki oddech i przywołuję wszystkie swoje pokłady cierpliwości, tak obecnie często używane. Nikt nigdy nie mówił, że będzie łatwo. Ale nikt też nie mówił, że będzie aż tak trudno. Sięgam po chusteczkę i ocieram jej oczy i nos (który zawsze potrzebuje chusteczki, nawet kiedy nie jest przeziębiona - czy to coś, do czego po prostu muszę się przyzwyczaić?).

- Ale to nie twoje urodziny, skarbie - mówię rozsądnie.

- Chcę, chcę, chcę — oświadcza i tupie nogą w kuchenne płytki.

Szlochanie znika równie szybko, jak się pojawia, i w jego miejsce rodzi się burza.

Czasami nadal bardzo trudno jest mi ją lubić - kochanie jest pewnikiem, ale lubienie bywa dla mnie sprawdzianem. Aż do niedawna, gdy tylko Auriol dostawała napadu złości, stosowałam politykę natychmiastowego poddawania się. Czegokolwiek by nie żądała, znajdowałam sposób, żeby jej to zapewnić. Nie działało się tak dlatego, że świata poza nią nie widziałam i pragnęłam spełniać jej każdą zachciankę - prawda jest taka, że nie lubię scen. Jeśli mówiłam, że tak, może zjeść jeszcze jednego loda, mieć nową lalkę Barbie, telewizor w swoim pokoju czy koleżankę do zabawy, unikałam dzięki temu sceny. Kiedy mój kontakt z nią ograniczał się do siedmiu godzin tygodniowo, nie miało dla mnie w gruncie rzeczy znaczenia to, czy jest zupełnie rozpuszczona. Teraz jednak staram się wracać do domu o takiej godzinie, żeby zdążyć na kąpiel, a przynajmniej na czytanie bajki na dobranoc. Nie chodzę w soboty na siłownię, na manicure umawiam się zaś na niedzielę rano, kiedy ona ma jazdę konną. Dotąd zawsze tak ustalałam wizyty u kosmetyczki, żeby pokrywały się z przebywaniem Auriol w domu. Przy częstszych kontaktach dociera do mnie, że nie mogę pozwolić na takie napady złości, ponieważ to ja muszę później żyć z ich

konsekwencjami. Ostatnio przekonałam się kilka razy, że muszę po prostu chwycić byka za rogi i powiedzieć nie.

- Kiedy ty będziesz miała urodziny, mamusia i tatuś kupią ci to, co będziesz chciała, i zapakują w wielkie pudełko, takie jak to - oświadczam jej.

- Nie!

Przez chwilę czuję konsternację.

- Tyle że w różowym papierze - zapewniam ją.

- I?

Próbuję się zastanowić.

- I z fioletową wstążką?

- Nie. Nie. Chcę większe pudełko.

Auriol wybiega z kuchni, a ja śledzę zdalnie jej trasę, słysząc zatraskiwane po kolei drzwi. Tuż po jej dramatycznym wyjściu w kuchni pojawia się Peter. Jest bardziej pogodny.

- Witaj, kochanie, co robisz?

Odsuwam się od pięknie zapakowanych prezentów, żeby móc w pełni docenić mój wysiłek włożony w zawiązanie kokard.

- Właśnie skończyłam pakować prezenty dla chłopców - mówię z uśmiechem. - Teraz im je zaniesiesz?

- Chyba tak. Chcesz też iść?

Miesiąc temu moja odpowiedź byłaby natychmiastowa. Nie, nie chcę iść do domu Rose i nie chcę musieć oglądać, jak jej bachory chciwie otwierają prezenty. Oświadczyłabym mu, że nie interesuje mnie to, czy są zachwyceni prezentami, czy wprost przeciwnie. Rezultat był zazwyczaj ten sam - bliźniacy po chwili je porzucali i zabierali się za następną paczkę. Zawsze wzbudzało to we mnie odrazę. Poza tym żadne urodziny nie obyły się bez Rose, czyniącej aluzje do faktu, że urodziła ich własnymi siłami, i że obaj bliźniacy ważyli prawie cztery kilogramy. Nie znoszę, jak próbuje zniżać się z Peterem i nieustannie zarzuca go opowieściami z cyklu „a pamiętasz?”. Teraz jednak biorę głęboki oddech i zastanawiam się, co by tu najlepiej powiedzieć. Najlepiej dla wszystkich.

- Chciałbyś, żebym poszła? — pytam.

- Tak — odpowiada pewnie Peter.

Serce mi zamiera.

- Myślę, że Rose wolałaby, gdybym tego nie zrobiła - odpowiadam.

Jestem przekonana, że jeśli zjawię się na przyjęciu bliźniaków, ona uzna, że chcę jej po prostu zrobić na złość. Ona będzie zirytowana, ja sfrustrowana. Obie strony przegrają. Cała moja praca z ostatnich kilku tygodniu może pójść na marne z powodu jednego pochopnie wypowiedzianego zdania.

- Auriol bardzo by chciała, żebyśmy poszli tam jako rodzina - mówi Peter.

To nieczyste zagranie. Dawniej stosowałam surową politykę ograniczania czasu, jaki Auriol spędza z Rose i chłopcami. Utrzymywałam, że jedyne, czego Auriol mogłaby się od niej nauczyć, to pieczenia i haftowania, auważałam, że bez tych akurat umiejętności moja córka może się świetnie obejść. Raz, kiedy Peter był w wyjątkowo zrzędlwym nastroju, oświadczył, że może nauczyłaby się od Rose szacunku i umiejętności bycia miłą. Aluzja była oczywista i się wściekłam. Teraz przyznaję, że może nie byłoby tak źle, gdyby Rose miała jakiś wpływ na Auriol. Nigdy nie przyznałabym tego na głos, ale Sebastian i Henry nie są paskudnymi małymi gnojkami przez cały czas. Potrafią być całkiem w porządku, kiedy ona nie podburza ich przeciwko mnie.

- Okej, pójdę.

Peter wygląda na zachwyconego. Ujmuje moją twarz w dłoń i całuje mnie.

- Naprawdę jesteś cudowna.

- Wiem.

Z powodów, jakich nie pojmuję, mija czterdzieści minut, zanim w końcu wychodzimy z domu. Zauważyłam, że z dzieckiem nie można nigdzie wyjść pod wpływem chwili ani nawet sprawnie opuścić jedno miejsce, żeby w drugim zjawić się na

czas. Powoli przyjmuję to jako życiowy truizm, ale nadal czuję się z tym nieswojo. Spóźnianie się to oznaka lenistwa. Podczas gdy Peter i Auriol biegają po domu, zbierając kluczyki do samochodu i niezbędne ulubione lalki, ja wykorzystuję tych kilka wolnych minut na to, żeby zajrzeć do e-maili zalegających w mojej skrzynce. Skrócenie godzin pracy doprowadziło do zaległości w korespondencji mailowej, systematycznie więc przekopuję się przez wiadomości w domu, dodając do swojego dnia kolejne trzy lub cztery godziny, kiedy Auriol pójdzie już spać. W czwartek wydarzyło się coś nieprawdopodobnego, po prostu nie miałam na to ochoty. Zamiast tego wieczór spędziłam na kupowaniu przez Internet zabawek dla Auriol, w piątek zaś Peter i ja poszliśmy do Nobu. To było te zaległe wyjście. Wiem, że najpewniej ponad dwieście e-maili czeka na moją uwagę i nie mogę tego odłożyć na „po weekendzie”.

Natychmiast widzę e-maile od niego. Jego nazwisko wyróżnia się niczym jaskrawy strup. Joe Whitehead. Kusi mnie, żeby usunąć je bez czytania, ale zawsze istnieje niewielka szansa na to, że kontaktuje się ze mną w pewnej kwestii służbowej. Obecnie jestem w pracy już wystarczająco dyskredytowana i pomijana, ignorowanie jego maili byłoby więc zawodowym samobójstwem.

Pierwsza to okólnik przesłany do wszystkich ludzi na piętrze. Marudzi w nim, że ludzie zbierający się przy automacie ze schłodzoną wodą zbyt głośno rozmawiają i na niego działa to rozprasające Dureń. Ja nigdy nie zbliżam się do tego automatu, gdyż znajduje się tuż obok jego biurka. Z ulgą klikam USUŃ.

Drugi e-mail to jeden z tych absurdalnych łańcuszków. W tym akurat chodzi o pewność siebie i indywidualizm. Instrukcje na końcu są takie, by przesłać e-mail do dziesięciu ludzi, których podziwia się za te właśnie cechy. Widzę po liście adresatów, że Joe wysłał e-maila tylko do sześciorga ludzi, z których dwoje musi być krewnymi, ponieważ noszą to samo

nazwisko. On nie ma dziesięciu przyjaciół, nie mówiąc o dziesięciu pewnych siebie i nacechowanych indywidualizmem. Nie jestem tym wcale zaskoczona. Może miłszej osobie zrobiłoby się go żal. Ja się jedynie wstydzę, że moje nazwisko znalazło się w jego książce adresowej. Klikam USUŃ.

Trzecia wiadomość jest bardziej niepokojąca. Jestem jedynym adresatem.

Piękna Lucy, seksownie wyglądasz w tej swojej niebieskiej garsonce. Nowa? Próbujesz zrobić na mnie wrażenie?

Twój, będący pod należyтым wrażeniem, Joe

XXX

Klikam USUŃ.

Czwarta jest podobna.

Hej, laska, czybyś pracowała nad formą? Twoje nogi wyglądają bosko. Chciałbym niedługo znowu się z Tobą spocić i posiłować.

Twój, dyszący, Joe

XXX

Usuвам ją. Wiadomość piąta i szósta mają podobny charakter. Ich tematem przewodnim są moje włosy i usta. Mamy w firmie zapory ogniowe, Joe nie może więc używać żadnych wyrazów niecenzuralnych, ale wiadomości sprawiają wrażenie niebezpiecznych i groźnych. Ich liczba świadczy o desperacji. Fakt, że wysłał mi tyle e-maili, nie otrzymawszy z mojej strony żadnej odpowiedzi, którą by mógł uznać za zachętę, napełnia mnie takim samym strachem, jakby ten człowiek położył mi na biurku pistolet. Usuвам sześć kolejnych wiadomości, nawet ich nie czytając. Wątpię, żeby miały związek z pracą. Gdy klikam ODŚWIEŻ, do mojej skrzynki spływają dwie kolejne, a potem na ekranie pojawia się okienko komunikatora.

Zatrzaszukuję laptopa. Skoro Joe zna numer mojego komunikatora, musiał majstrować przy moim komputerze. Ta myśl napawa mnie przerażeniem. Rozglądam się, jakbym się częściowo spodziewała, że stoi w kuchni obok mnie. Zaobserwowałam, że w pracy ciągle się koło mnie kręci. Nie chcę nazwać go prześladowcą, ponieważ chcę wierzyć, że jest zbyt głupi, żeby zasługiwać na takie groźne miano. Ale faktem jest, że jeśli tylko udaję się do łazienki czy skorzystam z kserokopiarki, on zaraz się przy mnie zjawia. Więcej niż raz zauważyłam go w kolejce w delikatesach, gdzie kupowałam kanapki. Jest obecny w coraz większej liczbie tych samych zespołów doradczych co ja. Wmawiam sobie, że to jedynie zbieg okoliczności, i szukam sposobów na to, żeby go unikać — dzielnie walczę z pęcherzem i wysyłam Julię, by mi kupiła coś do jedzenia. Po otrzymaniu nieznośnej liczby esemesów i telefonów zgłosiłam zgubienie komórki i zmieniłam numer. Okazało się to mocno kłopotliwe, ale przynajmniej oznacza, że Joe nie może do mnie dzwonić. Unikałam jego spojrzenia, nie zgadzałam się na rozmowę i nigdy nie uważałam jego żartów za zabawne, łatwo więc było nie śmiać się z jego dowcipów. Myślałam, że w końcu to do niego dotarło. Miał swój moment. Nie będzie żadnej powtórki.

Dlaczego nie chce się odczepić?

- Wszystko w porządku, kochanie?

Podnoszę głowę i widzę, że Peter i Auriol stoją w drzwiach. Mają już założone kurtki i są gotowi do wyjścia. Oboje wyglądają pięknie i kuchnia zdaje się lśnić w ich obecności. W porównaniu z tym wiadomości Joego wydają się takie ciemne. Ogarnia mnie dojmujące uczucie wstydu.

- Tak, w porządku - mówię pośpiesznie. I zmuszam się do uśmiechu.

- Jakiś problem.w pracy?

- Nie. Dlaczego tak sądzisz?
- Ponieważ wyglądasz na zatroskaną.
Całuję Petera i odganiam ich od drzwi.
- Nic, z czym bym sobie nie poradziła - zapewniam go.

NIEDZIELA, 3 GRUDNIA

ROSE

Nie mam pojęcia, dlaczego Peter upiera się przy ciągłym torturowaniu mnie. Zastanawiam się nad istotą jego okrucieństwa, kiedy otwieram drzwi i widzę, że na przyjęcie urodzinowe bliźniaków przyprowadził Lucy. Godzę się z tym, że Auriol musi być na nim gościem, ale dlaczego Peter z uporem wszystko psuje?

Lucy, oczywiście, wygląda olśniewająco. Założyła białe spodnie i białą koszulę - na dziecięce przyjęcie! Taka impreza to przecież szaleństwo. Czy też byłoby nim dla zwykłych śmiertelników - ona najpewniej wyjdzie stąd, wyglądając nieskazitelnie. Ja mam na sobie jasnoczerwony kardigan z Monsoon i byłam dość zadowolona z rezultatu, dopóki nie otworzyłam drzwi i nie stanęłam twarzą w twarz z połączonym efektem wielu lat egocentryzmu, żelaznej silnej woli (jeśli chodzi o węglowodany czy spożycie tłuszczów nasyconych), platynowej karty American Express i setek godzin spędzonych przed lustrem. Przyglądam się Lucy bardzo uważnie i widzę, że raczej dobrze znosi swoją najnowszą zdradę. Ale zawsze było jej w niej do twarzy. Jej wygląd się nie zmienił, odkąd widziałam ją po raz ostatni, gdy tymczasem mój cały świat uległ zmianie.

Lucy wręcza chłopcom dwa wielkie pudełka. Mówi im, że te prezenty to tylko drobiazgi, a prawdziwe czekają na nich w domu i mogą je zobaczyć podczas najbliższej wizyty. Wzdragam się, gdy słyszę słowo „dom”, ale że prawdziwy dom chłopców pełen jest gości, zduszam w sobie chęć obsztorcowania jej.

Chłopcy rozrywają papier, gdy jeszcze stoimy na korytarzu. Irracjonalnie irytuje mnie ich oczywiste podekscytowanie. Powtarzam sobie w myślach, że to tylko dzieci, wiedzą, że ich tato ma gruby portfel i spodziewają się czegoś wyjątkowo „super”. Fakt, że są tak wyraźnie podekscytowani prezentami od Petera i Lucy, nie jest wcale przejawem braku lojalności z ich strony. Staram się nie obrażać o to, że moje skromniejsze, lecz bardzo przemyślane prezenty nie wywołały tak gorączkowego zainteresowania. Cieszę się, że ich pragnienie jak najszybszego otwarcia prezentów oznacza przynajmniej, że wszystko dzieje się na korytarzu i Lucy jest odebrany cały teatr z naszymi gośćmi, przyglądającymi się i doceniającymi jej hojność.

— Super, trzysta sześćdziesiątka! — krzyczy Sebastian.

— I zobacz, ile jest gier! - woła Henry.

Obaj chłopcy podskakują z radości i sami z siebie nie szczędzą zadowolonym z siebie Peterowi i Lucy podziękowań, bo „tego właśnie chcieliśmy”.

Chłopcy zabierają swoje łupy i pędzą do salonu, żeby się pochwalić kolegom. Wynajęty przeze mnie zoolog ulega zapomnieniu. Chłopcy zetknęli się z Panem Ssakiem i jego kolekcją egzotycznych zwierząt (składającą się między innymi z tarantul i pytonów) kilka miesięcy temu na przyjęciu u jednego z kolegów. Od tamtej pory wielokrotnie mnie pytali, czy Pan Ssak mógłby zabawiać gości także na ich przyjęciu. Przez cały dzień nie mówili o niczym innym i czekaliśmy, aż zjawi się ich ojciec, żeby pokaz mógł się rozpocząć. Teraz jaszczurki i gekony zostały zapomniane. Zabieram chłopcom konsolę, mrużąc, że pooglądamy to później, po przyjęciu. Jestem pewna, że Henry i Sebastian pragną teraz, żeby to przyjęcie (które od kilku miesięcy planowaliśmy w najdrobniejszych szczegółach) jak najszybciej się skończyło.

Gdy przechodzę obok Petera, mrużę:

— Każdego dnia toczę batalię o ograniczenie czasu, jaki tracą na gry i oglądanie telewizji. To mi za bardzo nie pomoże.

- To dzieci, Rose. Dzieci lubią takie właśnie rzeczy.

W przeciwieństwie do jesiennego stołu w przybudówce. Ciekawe, czy chłopcy powiedzieli mu o kasztanach. Biorę głębokimi oddech i zastanawiam się, czy to byłoby dobry moment na to, żeby zetrzeć mu z twarzy tę wyniosłą minę. Czy byłoby fajnie zobaczyć, jak Lucy cała się w sobie kurczy z upokorzenia, kiedy ogłaszam, że ma nowego kochanka, a mój mąż, były mąż, to już przebrzmiała historia. Gryzę się w język. Razem zniszczyli już wystarczająco dużo „szczególnych okazji” chłopców i moich. Z dzisiejszą tak nie będzie.

Pamiętam, że dzień trzecich urodzin bliźniaków był tym, jaki wybrał Peter, żeby mi powiedzieć, że on i Lucy spodziewają się dziecka. Auriol została poczęta podczas miesiąca miodowego. A przynajmniej tak brzmiała wersja oficjalna. Według moich wyliczeń, do jej poczęcia doszło kilka tygodni przed ślubem, co nie znaczy, żeby coś takiego miało jeszcze dla kogoś znaczenie, nawet dla mnie. Dlatego właśnie ich kłamstwo w tej właśnie kwestii uważam za żałosne. Czasami odnoszę wrażenie, że kłamstwo jest dla Petera i Lucy czymś zupełnie naturalnym i że tak naprawdę to nie są zdolni do mówienia prawdy. Wiele kobiet, które żywią sekretne obawy na temat tego, czy mogą zająć w ciążę czy nie, rezygnuje od razu z pigułek. Nie ma się czego wstydzić. Interesujące jest to, że Lucy, oczywiście, nigdy nie przyznałaby się do żadnych sekretnych obaw, ale z pewnością je miewa. Mimo wszystko jest tylko człowiekiem.

Myślę, że po prostu rozpaczliwie pragnęła mieć dziecko. Motywy budzące wątpliwość. Prawdopodobnie chciała mi pokazać, że wszystko, co miałam z Peterem, ona też może mieć. Z pewnością założyła, że piętnaście lat intensywnego odchudzania się, życia w dużym stresie, umiarkowanego i wysokiego spożycia alkoholu oraz okazjonalnego pozwalania sobie na narkotyki może mocno utrudnić jej starania, dlatego przestała brać pigułki od razu, gdy Peter zabrał swoje buty z mojej szarki pod schodami i przeniósł je do niej.

Kiedy Peter zadzwonił, żeby przekazać mi swoją dobrą wiadomość, Lucy była w szesnastym tygodniu, choć oczywiście, nic jeszcze nie było widać. Od jedenastu i pół tygodnia wiedział o zbliżającym się powiększeniu jego rodziny, a jednak uznał, że urodziny bliźniaków to optymalny czas na powiedzenie mi o tym. Chrzanić go!

Oczywiście, pogratulowałam mu. Dziecko to coś, czym się ekscytuję, bez względu na okoliczności - to w końcu nowe życie. Ale byłam poirytowana jak nie wiem co, kiedy oświadczył, że wszyscy będziemy musieli usiąść i zastanowić się nad najlepszym sposobem wprowadzenia bliźniaków w temat nowego brata albo siostry.

- Przyrodniego brata albo siostry - poprawiłam.
- Nie musisz być taka drobiazgowa - odparł.

On nigdy nie zwracał sobie głowy szczegółami. To, z kim sypiał w czasie, gdy był moim mężem, dla niego było najwyraźniej tylko szczegółem. Miałam ochotę zauważyć, że Peter nie uznał za stosowne, żeby usiąść z chłopcami czy ze mną i omówić swoją wyprowadzkę z naszego domu. Proces zniszczenia ich życia rodzinnego został przeprowadzony w milczeniu. Skąd ta nagła ochota na rozmowę? Zamiast tego westchnęłam, powiedziałam, że to przemyślę i zastanowię się, jak najlepiej podjąć ten temat — bądź co bądź troszczyłam się o to, by nie ranić uczuć chłopców. Nie chciałam, żeby czuli się odrzuceni, gdy Peter zaczyna wszystko od nowa.

Odczuwanie odrzucenia musi być wyłącznie moją domeną.

Kiedy przekazałam innym dobrą nowinę Petera, byli pełni współczucia, ale stwierdzili, że z pewnością się spodziewałam, że coś takiego nastąpi. To prawda. Wiem także, że pewnego dnia umrę, ale o tym także nie lubię myśleć.

To po prostu kolejny fakt biologiczny przemawiający na korzyść facetów, prawda? Pozwalają się poderwać, oczyścić z kurzu i zacząć wszystko od nowa z niezwykłą - właściwie to nieprzyzwoitą — łatwością. Cieszę się oczywiście z tego, że

chłopcy mieszkają ze mną i że to ja jestem za nich odpowiedzialna. Prędzej bym umarła, niż pozwoliła, żeby było inaczej. Ale czasami przemknę mi przez myśl, że Peter powinien spędzić jedną niespokojną noc z powodu tego, że Henry'emu nie za dobrze idzie dzielenie liczb wielocyfrowych (czy dostanie się kiedyś na studia?), czy noc zupełnie bezsenną, ponieważ Sebastian ma kłopoty z powodu zbyt brutalnego zachowania podczas gry w rugby (czy mam w domu początkującego oprycha?). Wydaje się czymś niesprawiedliwym, że jedyne, co jest niezbędne do założenia drugiej rodziny, to zniszczenie tej pierwszej.

Następnie Peter wybrał Boże Narodzenie, żeby przysłać mi esemesa z informacją, że dziecko, które nosi Lucy, to „zdrowa dziewczynka”, choć nie wierzę, że otrzymali wyniki badania USG tego właśnie dnia. W tym esemesie poprosił mnie także, bym „uściskała od niego chłopców”. Podczas wysyłania tych dobrych wieści i życzeń nie uznał za stosowne, żeby użyć telefonu do porozmawiania z synami. Nie określiłabym go mianem tradycjonalisty. Poprosił mnie o podpisanie papierów rozwodowych w Dniu Matki, a w każdą Wielkanoc muszę z nim toczyć batalię, żeby dzieci zostały w domu ze mną. Nie mam pewności na temat tego, czy jego działania są złośliwe czy bezmyślne. To i tak nie ma znaczenia. Na dodatek urodziny, rocznice i wakacje są popsute, ponieważ tak jak w wypadku człowieka po amputacji, boli mnie tam, gdzie kiedyś miałam kończynę.

Wszystkie dzieci obserwują teraz z przejęciem zmykające pająki i skaczące żaby, wychodzę więc z pokoju, częściowo po to, żeby zdjąć folię z kanapek, a częściowo dlatego, że od czasu tej pamiętnej rozmowy z Joem jak-mu-tam jestem ciągle zdenerwowana i irracjonalna, to zaś akurat nie jest czymś pasującym do dziecięcego przyjęcia urodzinowego.

Do jadalni wchodzi za mną Connie.

- Myślisz, że wystarczy jedzenia? - pytam ją.

Patrzy na stół.

- Tak, nawet jeśli otworzysz drzwi i zawołasz londyńskich bezdomnych. Błagam, powiedz mi, że to wszystko jest kupne.

- Oczywiście, że nie. Sama zrobiłam.

Wydaje pełen dramatyzmu jęk.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Możesz zrobić picie. Mam syrop w górnej szafce po lewej stronie, jest...

- Organiczny? - wtrąca z szerokim uśmiechem.

- Jestem bardzo przewidywalna? - pytam.

- Nie, prawdę mówiąc, Rose, to nie jesteś. - Nagle poważnieje i mam przeczucie, że Connie opuściła za mną salon, mając jakąś misję do spełnienia. - Właściwie to mi ulżyło, że przygotowałaś taką wymyślną, domowej roboty, organiczną ucztę.

- Czyżby?

Zazwyczaj delikatnie się ze mną przekomarza, jeśli chodzi o moje uczyty. Jej styl to nawpychać w dzieci tyle dodatków do żywności, ile się da, i nadzieja, że nie zwymiotują przed udaniem się do domu. Trzeba przyznać, że jej podejście do przyjęć dla dorosłych jest takie samo, tyle że zamiast Zelkami częstuje gości szampanem.

- Ostatnio w ogóle nie jesteś sobą, Rose. Martwię się o ciebie.

- Nie przejmuj się mną. Nic mi nie będzie - mówię.

Liczę papierowe talerzyki. Jeden za mało. Idę do kuchni, żeby wyjąć ten, który się zawieruszył — wiem, że kupiłam wystarczającą liczbę. Connie udaje się za mną.

- Nic ci nie będzie. Mówisz więc, że teraz coś jest nie tak.

- Tak trochę — przyznaję.

- Byłaś u lekarza?

- Nie chodzi o zdrowie.

Schylam się i zaczynam szukać czegoś w szafce, dzięki temu mogę uniknąć jej wzroku.

- Czy to ma coś wspólnego z panem Walkerem? To znaczy z Craigiem. Czy coś się stało na tym weselu?

Zastanawiam się chwilę nad jej pytaniem i postanawiam zacząć od najłatwiejszej części. Trzymam głowę w szafce i mruczę:

- Wesele było cudowne. Craig i ja świetnie się dogadywaliśmy, ale...

- Mogłabym w czymś pomóc?

Natychmiast rozpoznaję władczy ton Lucy. Pospiesznie wyciągając głowę z szafki i, oczywiście, uderzam się o nią. Wydaję okrzyk, ale próbuję ukryć lekki ból. Jak to jest, że w towarzystwie tej kobiety zawsze jestem bardziej niezdarna, brzydsza i bardziej niemądra?

- Wszystko mamy pod kontrolą - informuję ją. - Możesz iść pooglądać pokaz, jeśli chcesz.

Albo iść do piekła. Nie miałabym nic przeciwko tej drugiej opcji.

- Nie przepadam za robalami — odpowiada.

Nie to chciałam usłyszeć.

Znalazłam brakujący talerzyk, przeciskam się więc obok nich i wracam z nim do jadalni. Obie udają się za mną. Mój dom nie można nazwać dużym. Zaczynam cierpieć na paskudną klaustrofobię.

Patrzę, jak Lucy omiata pogardliwym spojrzeniem stół. Jeszcze przed chwilą jedzenie wyglądało zdrowo i apetycznie, ale pod jej spojrzeniem wydaje się nudne i skromne. Na przyjęcia Auriol - które się okazują towarzyskimi wydarzeniami - Lucy zawsze zatrudnia profesjonalną firmę cateringową.

- Osiem lat. Ledwie w to mogę uwierzyć. Tak szybko rosną. Wydaje się, jakby jeszcze kilka minut temu nosili pieluchy. Dzięki Bogu, że to już minęło, co?

Uznałabym tę uwagę za niewinną, gdyby tylko wypowiedział ją ktoś inny, nie wprawiając mnie w zakłopotanie, ale tak jak w wypadku wszystkich banalnych stwierdzeń Lucy, postrzegam ją jako obraźliwą i nieszczerą.

- Prawdę mówiąc, żałuję, że Peter nie zostawił mi więcej dzieci. Ludzie pytają, jak sobie radzę z bliźniakami. Nie umiem im wytłumaczyć, że chciałam mieć czwórkę.

Lucy i Connie wpatrują się we mnie ze zdumieniem. Jeszcze nigdy nie wypowiedziałam tej myśli na głos. Jak zareagowałyby Daisy? Ja mam dwoje dzieci, ona żadnego, jak mogłabym być taka egoistyczna? Ale prawda jest taka, że czuję się niekompletna i bardzo bym chciała nadał zmieniać pieluchy. Kiedy Peter odszedł, fantazjowałam o tym, żeby mieć z nim więcej dzieci. Nie przez seks, rzecz jasna. Nie potrafiłabym świadomie uprawiać seksu z mężczyzną po tym, jak zabawiał się z ciałem Lucy, ale rzeczywiście zastanawiałam się, czy nie poprosić go o to, żeby został dawcą spermy. Szaleństwo, wiem. Ale wtedy pomysł ten wydawał mi się całkiem rozsądny - żal i smutek wszystko gmatwa. Ani Lucy, ani Connie nie wiedzą, jak zareagować na moje wyznanie, przejmuję więc odpowiedzialność za rozmowę.

- Ale masz rację, Lucy, w moim wypadku to już minęło, prawda? Ta część mojego życia. Zdziwisz się, kiedy ci powiem, że dopiero w zeszłym tygodniu w końcu posortowałam ubranka chłopców i rozstałam się z dziecięcymi ciuszkami. W końcu musiałam siebie zapytać, po co przechowuję te śmieci.

- Możesz kogoś poznać i mieć więcej dzieci — mówi słabo Connie.

Widzę w jej oczach zażenowanie i smutek. Odpowiadam twardym spojrzeniem.

- Nieprawda. Nie teraz. Martwię się tym, że niemowlęctwo chłopców tak szybko minęło. Patrząc na maleńkie skarpetki i nie potrafię sobie wyobrazić, jak mogli nosić takie cudeńka. Nie pamiętam już tego. Ich obecne porcje jedzenia są takie same jak moje. Wyrzuciłam ostatnio osiem pojemników na lód, ponieważ dawno minęły już czasy, kiedy przecierałam jedzenie i je mroziłam.

- Za co powinnaś być wdzięczna. Ja jestem — stwierdza Lucy.

— Ale my nie jesteśmy do siebie podobne, prawda, Lucy? Myślę, że przynajmniej to mamy ustalone.

Do jadalni wchodzi Daisy. Wzrost natężenia hałasu w salonie wskazuje na to, że pokaz właśnie się skończył i dzieci są gotowe na podwieczorek. Daisy przyszła pewnie, żeby mi o tym powiedzieć. Na widok nas trzech, stojących wokół stołu z jedzeniem, staje jak wryta.

- Jak milutko. Dosłownie jak za dawnych czasów - oświadcza, posyłając Lucy gniewne spojrzenie.

Daisy nigdy nie wybaczyła swojej przyjaciółce, że ukradła mi męża. Twierdzi, że szanuje moją tolerancję w stosunku do Lucy i rozumie, że z powodu chłopców muszę być wobec niej uprzejma, ale uważa, że od niej nie jest to wymagane. Zazdrość jej tego jawnego okazywania niechęci.

W tej chwili do jadalni zaczynają wpadać dzieci. Przy szesnastu małych gościach robi się bardzo ciasno, Lucy i Connie postanawiają więc zostawić serwowanie jedzenia Daisy i mnie. Petera nigdzie nie widać, normalka. Pewnie ogląda teraz mecz w przenośnym telewizorze i zjawi się na krojenie tortu. Rzadko przegapia okazję do znalezienia się na zdjęciu.

Przyjęcie można uznać za bardzo udane. Dzieci wesoło zadają się moimi zdrowymi przysmakami i przeczą cynizmowi naszych czasów, ochoczo bawiąc się w „podaj paczkę” i „przypnij osiołkowi ogon”. Jednakże kierowanie przyjęciem, które byłoby wolne od incydentów (takich jak złamana kończyzna czy ogólna bijatyka na pięści), wymaga ogromnych nakładów energii i kiedy wręczam torebkę z upominkiem ostatniemu z małych gości, padam z nóg.

Connie, Luke i dziewczynki wychodzą od razu, ponieważ Fran nie nauczyła się jeszcze czytania i musi dzisiaj poćwiczyć. To typowe planowanie Connie, a raczej jego brak, żeby zostawiać pracę domową aż do niedzielnego wieczoru. Jakoś nie sędzę, by wiele się dało osiągnąć po przyjęciu. Daisy i Simon także szybko się zwijają. Moja siostra nie może znieść przebywania w tym

samym pomieszczeniu co Lucy i Peter dłużej, niż to absolutnie konieczne, a że Peter i chłopcy próbują właśnie jedną z gier ich nowej konsoli, jest jasne, że nieprędko skończą.

- Zostanę, jeśli jestem ci potrzebna - mówi Daisy.

Zauważam, że proponuje to w chwili, gdy wciska dłonie w rękawiczki.

- Dam sobie radę - mówię jej, całując na pożegnanie.

Słyszę, jak mruczy do Simona:

- Ależ Lucy i Peter mają tupet, oni...

Zamykam drzwi. Nie usłyszałabym niczego, czego sama nie wiem.

Jestem bardzo sumienna w kwestii recyklingu, przez chwilę się więc zastanawiam, czy papierowe talerzyki mogą zostać przetworzone, czy też zanieczyszczą cały pojemnik skrupulatnie zbieranego papieru.

Moje myśli przerywa Lucy.

- Pomóc ci w sprzątanii?

Zaskakuje mnie tym pytaniem. Dlaczego stara się być pomocna? To nie w jej stylu.

- Nie, dziękuję. Jeśli chcecie, to ty i Auriol możecie już iść do domu. Jestem pewna, że Peter niedługo skończy grać i do was dołączy.

Uświadamiam sobie, że właściwie ją eksmituję, a moje słowa znajdują się na granicy niegrzeczności. I co z tego?

- Och, nic nie szkodzi. Mogę zostać. Auriol także gra na konsoli. Uwielbia przebywać tutaj razem z chłopcami.

Mierzę Lucy podejrzliwym spojrzeniem. W co ona gra?

Bierze za dobrą monetę moje stwierdzenie, że nie potrzebuję pomocy, i siada na taborecie przy barze śniadaniowym. Już, już ma zapalić papierosa, ale ją informuję, że w tym domu się nie pali, o czym zresztą z całą pewnością wie - mogę się tylko domyślać, że moje zasady nic dla niej nie znaczą. Tańczę wokół niej, zbierając porozrzucane kawałki ciasta i zużyte serwetki, wycieram wcześniej niezauważone plamy soku i składam leżaki,

które przyniosłam z szopy. Są kobiety, które sprzątają, i takie, które robią bałagan. Tak już po prostu jest.

- Widać, że chłopcom podobało się przyjęcie. Jesteś bardzo w tym wszystkim dobra, Rose. Doskonale ci się udaje skupiać na sobie uwagę dzieci. Potrafisz ich zainteresować, ale jednocześnie utrzymać dyscyplinę. Masz do tego dryg. Naprawdę się zastanawiam, w jaki sposób to robisz.

Myślę, że to pierwszy komplement, jakim kiedykolwiek obdarzyła mnie Lucy, mimo że ja często chwalebę coś, co ma akurat na sobie, albo kolor włosów. Zdobyłam się nawet na to, by komplementować jej pierścionek zaręczynowy. Nasze spojrzenia się krzyżują. Nie jestem pewna, czy chodzi jej o to, że jestem dobra w sprzątaniu po małych chłopcach, urządzaniu przyjęć czy byciu matką, a poza tym wcale nie mam pewności, czy jej słowa były tak do końca szczerze. Ruch ręki, jakim omiotła moją kuchnię, gdy je wypowiadała, był jak zwykle elegancki, niemal majestatyczny, i dlatego też wydawał się lekceważący. Sama już nie wiem, czy ona żartuje. Możliwe. Prawdopodobnie. Od kiedy interesuje ją stymulowanie i radzenie sobie z dziećmi?

- Dyscyplina to nie jest dryg. - Udaje mi się wlać w to słowo tyle samo drwiny co przed chwilą jej. - To umiejętność i ciężka praca.

- Miewasz czasami dni, kiedy wszystko idzie nie tak, bez względu na to, jak bardzo się starasz?

O tak. Były takie czasy, kiedy chłopcy byli mniejsi, kiedy wszystkie moje próby perswazji, przekupstwa czy groźby okazywały się bezużyteczne. Kiedy dzieci zbyt często się biły, złośliwie niszczyły różne rzeczy i bez przerwy wypluwały jedzenie na stół, wtedy raz czy dwa razy przyłapałam się na tym, że tracę poczucie dystansu i godności.

Bywały chwile, kiedy się zastanawiałam, czy w ogóle się sprawdzam jako matka i czy chłopcy zachowywaliby się równie okropnie, gdyby w domu był Peter. Z nim może miałabym siłę, żeby walczyć, albo przynajmniej miałabym kogoś, do kogo na

koniec dnia mogłabym się przytulić na kanapie. Kogoś, kto pogratulowałby mi tego, że udało mi się przetrwać cały dzień.

Prędzej zjem tłuczone szkło, niż przyznam się do tego wszystkiego Lucy.

- Najczęściej próbuję ich przekonywać, choć bliźnięta to nie zawsze rozsądne stworzenia. Nie miałam wyboru: kiedy chłopcy skończyli cztery lata, zaczęli się wymykać spod mojej fizycznej kontroli, każdy ważył prawie dwadzieścia kilogramów i przekonałam się, że jedynym sposobem na to, żeby namówić ich do zrobienia czegoś czy pójścia gdzieś z nimi, jest zabieganie o ich współpracę. Nie daję klapsów i okazuje się, że częściej muszę odpoczywać niż oni, ale przynajmniej panuje tutaj spokój. Krzyk w ich wypadku nigdy nie skutkował. Są zbyt pewni mojej miłości, żeby brać mój gniew za coś więcej niż wymyślne przedstawienie. Kiedy ja ciskałam gromy, oni się śmiali, co często rozładowywało napięcie.

Innym razem po prostu mnie ignorowali, jeszcze bardziej denerwując. Nie jestem jednak na tyle wielkoduszna, żeby podzielić się tym z Lucy.

Kiedy robię przerwę, spodziewam się, że zapoczątkuje własny monolog. Lucy ma gotowe rady na wszystko. Jestem zaskoczona, kiedy zachowuje milczenie. Nie mogę uwierzyć, że Lucy jest tak mocno zainteresowana tym, co ja mam do powiedzenia. Mogę tylko przypuszczać, że Auriol zachowuje się w domu koszmarnie i Lucy wreszcie pojęła, że nie można rozwiązać problemu, zatrudniając jedną nianię po drugiej. To zabawne, ponieważ mnie Auriol zawsze się wydawała dość posłuszna - oczywiście w porównaniu z moimi chłopcami.

- Czasami próbuję wszystkiego i nic nie chce działać. Kończą mi się pomysły i nie wiem, gdzie znaleźć odpowiedzi — odzyna się Lucy.

Patrzę na nią i dostrzegam w niej coś, co w każdej innej kobiecie uznałabym za desperację lub bezbronność. Na pewno się myślę. Przyglądam się uważniej i próbuję zobaczyć frustra-

cję albo brak cierpliwości - cechy, które zdecydowanie łatwiej potrafię przypisać Lucy.

- Macierzyństwo to poważna sprawa - kontynuuję. - To niekończąca się rzeka miłości. Dzieci chcą, żądają i potrzebują każdego grama twojej energii, entuzjazmu, wyobraźni i cierpliwości. A potem, kiedy już wszystkie twoje pokłady uległy wyczerpaniu, one chcą jeszcze więcej. Cud polega na tym, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto znajdujemy w sobie więcej do dania.

Twarz Lucy zalewa smutek. Walczę z chęcią wytarcia go razem z innymi dzisiejszymi plamami. Wygląda na załamana. Bez wątpienia dociera do niej, że bez względu na to, co jeszcze powiem, jaki wyjawię jej sekret dotyczący metod utrzymywania dyscypliny u dzieci, jej brakuje surowców.

- Masz ochotę na kieliszek wina? - pytam.

Kiwa głową. Nalewam nam obu. Od czasu wesela było mi smutno i źle. Czułam się niesłusznie obarczona kolejnymi występami Lucy. Gdy patrzę, jak siedzi przy moim barze śniadaniowym i ma zepsuty humor, nagle czuję się całkiem dobrze.

- Myślisz, że istnieje jakiś sekret, prawda, Lucy? Coś, o czym jeszcze nie zdążyłaś zostać poinformowana? Ale zakładasz, że kiedy już go poznasz, całe macierzyństwo stanie się bułką z masłem. Dlatego właśnie w ogóle ze mną rozmawiasz. - Lucy nie zaprzecza. Jest zbyt beczelna. - Cóż, masz rację - dodaję.

Lucy nachyla się ku mnie. Wygląda na podekscytowaną. Desperacko pragnie poznać rozwiązanie. Jak nic sądzi, że zaraz jej powiem, że można kupować dyscyplinę w słoiku, tak jak ona kupuje drogi krem do twarzy, który ma ją ustrzec przed starością.

- Sekretem jest to, że najczęściej większość z nas lubi czuć się potrzebna w taki niepoahamowany sposób. Najczęściej większość z nas nic by nie zmieniła. Często słyszę, jak ludzie mówią, że dzieci potrafią być okrutne i okropne, co jest prawdą. Ale zazwyczaj w odpowiednich okolicznościach dzieci są kochające, zabawne, szczerze i życzliwe. I mają delikatną skórę, która wy-

daje się nieprawdopodobnie rozkoszna, kiedy tulą się do ciebie. Ogólnie rzecz biorąc, macierzyństwo mi odpowiada.

Lucy wygląda tak, jakby właśnie przeżyła coś bardzo niesmacznego - do głowy przychodzi mi zimna brukselka i zapleśniały chleb.

— Ale bywają też kiepskie dni, Lucy. Bywa, że macierzyństwo wydaje się jedynie synonimem porażki. Pamiętam, jak chłopcy mieli cztery lata, dostatecznie dużo, że mieli już swój rozum, a nie chcieli wrócić do domu z biblioteki. Wtedy nie używałam już wózka, nie przyjechaliśmy też samochodem. Nie spodziewanie lunął deszcz i nagle otaczały nas głębokie kałuże i nigdzie nie było ani śladu taksówki. Chłopcy leżeli niczym balast na mokrej ulicy i nie była ich w stanie ruszyć żadna ilość rozsądnej rozmowy, przymusu czy zachęty. Ten jeden raz musiałam się uciec do tego, żeby ich praktycznie ciągnąć po ulicy. Obaj wyli i kopali. Henry mnie gryzł, Sebastian bił. Wszyscy troje krzyczeliśmy jak obłąkani. Chłopcy zapomnieli o tym incydencie, gdy tylko wrócili do domu i otrzymali mleko i herbatniki. Ja płakałam przez całą noc.

— Zbyt mocno się wszystkim przejmujesz, Rose - oświadcza Królowa Lodu.

Posyłam jej spojrzenie, które mam nadzieję, że dobitnie jej mówi, że nie chcę jej opinii. Kontynuuję.

— Płakałam, ponieważ nienawidziłam ciebie i nienawidziłam Petera, ale najbardziej ze wszystkiego nienawidziłam siebie. Nie nienawidziłam chłopców. Nadal ich kochałam. Było mi ich szkoda, tego, że nie są w stanie należycie wyrażać swoich potrzeb. Szkoda mi było ich zmęczonych ciał. Rozumiesz, co mówię, Lucy? To nie jest proste. Macierzyństwo nie jest proste. Musisz to zaakceptować. To właśnie jest sekret. To właśnie czyni je wartym zachodu.

Siedzimy w milczeniu, słuchając tykania kuchennego zegara i efektów dźwiękowych jednej z gier, które dobiegają z jadalni. Wpatruję się w swój kieliszek z winem i zastanawiam,

czy mam prawo jej powiedzieć, że czasami jej nienawidzę. Najdziwniejsze jest to, że mało mnie to obchodzi. W końcu to Lucy przerywa milczenie.

- Uważasz, że jestem okropną matką, prawda, Rose?
- Od kiedy przejmujesz się moją opinią?
- Niektóre z rzeczy, które mi powiedziałaś, mają sens.

Ostatnio dochodzę do takich samych wniosków.

Wydaje się taka przekonana o własnej nieomyślności i zarozumiała. Nie zniosę tego ani chwili dłużej.

- Czy dzieje się to wtedy, gdy wypalasz papierosa po stosunku z Joem?

Lucy nie otrzymuje szansy udzielenia odpowiedzi, ponieważ w tej akurat chwili do kuchni wkracza Peter. On i Auriol zdążyli się już ubrać. Peter trzyma rozchylony płaszcz Lucy, żeby mogła się w niego wślizgnąć.

- Przepraszam, że przerywam pogaduszki, moje panie, ale myślę, że czas, byśmy się zbierali do domu i położyli Auriol spać. Dzięki za przyjęcie. Myślę, że wszyscy świetnie się bawili.

Nie byłabym tego taka pewna.

WTOREK, 5 GRUDNIA

J O H N

Pocziwy Craig. To najbardziej ufny człowiek na tej planecie. Kiedy mu zaproponowałem, że pójdę z nim do szkoły, żeby pomóc w przygotowaniu scenografii do szkolnych jasełek, niemal ucałował moje stopy i ani przez chwilę nie podejrzewał, że mogą mną kierować jakieś ukryte motywy.

-Jesteś pewien, John?

— Cóż, mówiłeś, że cierpisz na brak ochotników i czasu. Mój projekt dla BBC jest na ukończeniu, mogę dotrzeć do szkoły o wpół do czwartej, jeśli coś ci to coś daje.

Wzruszyłem ramionami, żeby mu pokazać, że się nie obrażę, jeśli nie przyjmie mojej propozycji.

—Zwykle rodzice bardzo chętnie poświęcają swój czas - zapewnił mnie. — Tyle że grudzień to pracowity miesiąc i choć zgłosiło się kilka osób do szycia kostiumów i malowania scenografii, nie zjawił się, niestety, nikt, kto miałby jakieś doświadczenie w pracy z piłą.

Widać, że ojcowie to leniwi dranie. Wcale ich nie winię. W normalnych okolicznościach nie zamieniłbym wieczoru w pu-bie na robienie dekoracji do jasełek, ale widziałem listę ochotników powieszoną na tablicy ogłoszeń w gabinecie Craiga. I tak sobie myślę, że może być warto.

Wiem, że Connie jest fotografem i w ogóle, ale mój Boże, jak ja żałuję, że nie miałem przy sobie aparatu, żeby sfotografować jej minę, kiedy zobaczyła mnie w szkolnej auli.

Sam bym nie wybrał lepszego momentu. Zjawiała się koło czwartej, na zewnątrz było więc już prawie ciemno, ale przez duże okna wpadało światło ulicznych latarni. Jest mokry wieczór, ja jednak nie czuję zimna, dlatego rozebrałem się do T-shirtu (dzięki czemu widać moje mięśnie). Stoję na środku w snopie światła, trzymając skrzynkę z narzędziami (co wygląda całkiem męsko), i otaczają mnie cztery mamy. Wcześniej wszystkie wymigiwały się od podniesienie czegoś cięższego niż szpulka nici, teraz jednak ubiegają się o to, żeby stać się obiecującymi cieślami.

Connie dostrzega mnie i staje jak porażona.

Wiem, że muszę jakoś odzyskać utraconą pozycję, gdyż w końcu nie dotarłem do Cafe Rouge. Ale zbyt nie martwię. Jak już wspomniałem, Connie nawet lubi, gdy się ją nieco zwodzi. Moje pojawienie się tutaj może się okazać tym, co ją przekona do powrotu do mojego łóżka.

- Ach, pani Baker! - wołam, wchodząc w słowo niedoszłym cieślom. - Słyszałem, że dobrze sobie pani radzi z piłą i młotkiem. Pomogłaby mi pani?

Connie marszczy brwi, powoli zdejmując szalik, po czym mówi:

- Raczej nie nazwałabym siebie ekspertem. Wolałabym się zająć malowaniem scenografii.

- Obawiam się, że będzie to możliwe dopiero wtedy, jak się ją zrobi - wtrąca jedna z mam. - Byłoby naprawdę super, gdyby pomogła pani panu Hardingowi.

Kobieta ta jest nieświadoma błagalnego spojrzenia Connie, co jest dziwne, ponieważ dla mnie jest ono równie łatwe do zauważenia jak zakonnica w burdelu.

Connie nie może wszczynać awantury, udaje się więc za mną na drugi koniec auli, gdzie wcześniej porozkładałem drewno i narzędzia. Strategicznie wybrałem położenie naszego obozowiska - chciałem, żeby znajdowało się możliwie najdalej od reszty pomocników. Gdy tylko odchodzimy wystarczająco daleko, Connie pyta ostro:

- Czy ty mnie próbujesz stawiać w trudnym położeniu?
- Nie, pomagam - odpowiadam szczerze.
- Od kiedy to jesteś uosobieniem życzliwości?
- Connie, to nie *fair*. Wiesz, że jeśli tylko mogę, zawsze pomagam kumplowi.

Przez chwilę wygląda na nieco zawstydzoną swoim oskarżeniem, po czym przypomina sobie o czymś.

- Cóż, mnie najwyraźniej nie zaliczasz do przyjaciół, w przeciwnym razie pojawiłbyś się w Cafe Rouge.

- Och, przepraszam cię za to. Coś mi wyskoczyło.

Przez chwilę Connie wpatruje się we mnie gniewnie, a potem chyba traci zainteresowanie kłótnią. Jej całe ciało się odpręża. Wydaje się, jakby się rozpływało. Dawniej często była spięta i sztywna z napięcia, teraz sprawia wrażenie płynnej.

- Nie przejmuj się. I tak nie byłam do końca pewna, czy się pojawisz. Nic się nie stało. Wypiłam drinka z kolegą, który jest tam menedżerem. Uznał za zabawne to, że zostałam wystawiona.

Jestem zaskoczony. Nie wiem, co mam o tym myśleć. Powiedziała o mnie swojemu koledze i żartowali razem, że została wystawiona. Najwyraźniej Connie nie postrzegą naszego spotkania jako randki. Gdyby była przekonana, że umówiliśmy się na randkę, a ja bym się nie pojawił, za żadne skarby nie wyciągnąłbym z niej tego wyznania. Odwraca się, żeby spojrzeć na leżące na podłodze drewno.

- Naprawdę jestem beznadziejna, jeśli chodzi o stolarkę. Zgłaszam się do czegoś takiego na ochotnika tylko po to, żeby grono pedagogiczne miało o mnie dobre zdanie. Ciebie także nie nazwałabym złotą rączką.

- Bo nią nie jestem, ale Craig bardzo nalegał - przyznaję.

Connie się uśmiecha. Zachowuje się naprawdę po przyjacielsku. Spodziewałem się gniewu, napięcia i oskarżeń. Nie wiem, jak się zachowywać w świetle jej rozsądnego podejścia. Zachowuje się tak rozsądnie, że można pomylić jej zachowanie z obojętnością. Ta myśl mnie studzi.

- Dobrze, w takim razie bierzmy się za to. Powinniśmy zachowywać się możliwie profesjonalnie. Nie bądź nadmiernie przyjacielski, okej? - dodaje.

- Okej.

Connie zniża głos:

- Gdybym poszła teraz do domu, inni uznaliby, że dziwnie się zachowuję.

- Całkiem możliwe.

- A że przy szkolnej bramie cieszysz się już pewną reputacją, nie chcę podsycać żadnych plotek na nasz temat. Choć patrząc wstecz, to co zrobiłeś z Dianę, gdyż zmierza to donikąd, było całkiem mistrzowskim posunięciem. Przynajmniej nie moje nazwisko łączą z tobą.

- Miałabyś coś przeciwko, gdybym chciał od Dianę czegoś więcej?

- Tyle tylko, że nie mam ochoty być tematem waszych łózkowych zwierzeń.

Posyła mi nieufne spojrzenie, po czym podnosi z podłogi duży kawałek drewna. Wymachuje nim na wszystkie strony, jakby mu się uważnie przyglądała, następnie kładzie na podłodze i obchodzi kilka razy. Dociera do mnie, że czyni to z myślą o innych mamach, które mogą nam się przyglądać. Kiedy się przekonuje, że nie są zbyt interesowane, ponownie siada i mówi:

- Naprawdę doceniam to, że otworzyłeś się przede mną, kiedy tamtego wieczoru rozmawialiśmy przez telefon. Dowiedzenie się tych rzeczy na temat twojego małżeństwa pomogło mi w nieco lepszym zrozumieniu różnych spraw.

- Jakich spraw?

- Ciebie. Dlaczego znowu cię zainteresowałam. Miałam totalny mętlik w głowie. Najpierw pojawiaasz się pod szkołą, potem ten wieczór z fajerwerkami, to wszystko zmusiło mnie do myślenia o sprawach, nad którymi od dawna się nie zastanawiałam. Ale teraz już wszystko rozumiem.

- Naprawdę?

Nie jestem pewien, czy ja sam to rozumiem. Nie mam pojęcia, w jakim kierunku ona zmierza, i nie podoba mi się moja konsternacja.

- Jestem dla ciebie połączeniem z przeszłością, prawda? Tak naprawdę w ogóle nie chodzi o mnie. Nie czujesz niczego do mnie. Chcesz jedynie przypomnieć sobie czasy, zanim twoje serce zostało złamane.

- Że co?

Chyba to wykrzyknąłem, ponieważ Connie rzuca niespokojne spojrzenie w kierunku pozostałych mam i każe mi ściszyć głos. Wpatruję się w nią zdumiony, że tak to potrafiła opacznie zrozumieć. Ponieważ tak właśnie było, prawda?

- Wszystko w porządku — szepcze. — Nie ma się czego wstydzić. Przeżyłeś rozwód, to oczywiste, że nie myślisz jasno. Wolałabym, żebyś to nie ja stała się tą kobietą, do której się zwróciłeś, żeby odtworzyć coś tak ulotnego. Nie masz pojęcia, jakie to jest dla mnie trudne, ale na swój sposób akceptuję, że to musiałam być ja, i przykro mi, że nie mogę ci pomóc w żaden inny sposób poza udowodnieniem, że to, co minęło, już nie wróci.

Connie patrzy mi w oczy. Szuka w mojej twarzy wdzięczności za jej zrozumienie, ja szukam u niej oznak, że przeszła pranie mózgu. Czy ona właśnie mówi, że uważa, że dojdę do siebie po rozpadzie związku? Rozmawiała z Craigiem. To niemożliwe, ale oboje powiedzieli mi to samo. Connie uważa, że staram się pogodzić ze stratą Andrei i rozwodem, i dlatego właśnie zwracam na nią uwagę. Connie nie uważa, że to ma związek z nią? Pierwszy raz tak się dzieje.

- Chodzi o ciebie, Connie. O nas.

- Wcale nie — uśmiecha się szeroko. — Odpowiedz mi na jedno pytanie, John. Zanim wpadłeś na mnie pod szkołą, kiedy ostatni raz o mnie myślałeś?

Nie odpowiadam. Kiwa głową i wygląda na zadowoloną z siebie - moje milczenie udowodniło, że ma rację.

- Poza tym przez ostatnie miesiące błagałam cię, żebyś usiadł ze mną i porozmawiał, ale ty nie chciałeś. Gdybyś był naprawdę zainteresowany mną, chętnie byś to zrobił. Ty natomiast unikasz rozmowy, ponieważ nie chcesz potykać się o swoją podświadomość. Nie przejmuj się, rozumiem to. Rozumiem cię.

- Mówisz tak tylko dlatego, że się zezłościłaś, że nie zjawiłem się tamtego wieczoru. To jest dla ciebie wyjście honorowe.

Kręci z powagą głową.

- W takim wypadku po prostu boisz się jak cholera tego, co do mnie czujesz. Pragniesz mnie, ale brakuje ci już odwagi. Próbujesz wywinąć się z tego gadaniem.

Connie wygląda na zasmuconą. Z powodu mnie. Jej współczucie przyprawia mnie o mdłości.

- Uważasz, że brakuje mi odwagi, żeby znowu się z tobą pieprzyć, John? - pyta szeptem. — Mylisz się. Mam odwagę. Mam ją teraz tak samo jak kiedyś. — Czyni pauzę dla lepszego efektu. - Mam odwagę, żeby się pieprzyć, ale nie zrobię tego, ponieważ nie chcę. Mam co do tego absolutną pewność. Nie chcę. Nie chcę zdradzić Luke'a i nie chcę ryzykować tego, że skrzywdzę swoją rodzinę, choćby przez nanosekundę, ale przede wszystkim to ja nie. Pragnę. Ciebie. Czy mówiłam coś innego? Choćby raz, odkąd się spotkaliśmy po latach?

Przez chwilę jestem zbyt oszołomiony, żeby się ruszyć. Mówi poważnie i przekonująco. Ale ja jej nie wierzę. Nie chcę jej wierzyć.

- Cóż, dlaczego zgodziłaś się spotkać ze mną tamtego wieczoru?

- Zastanawiałam się, czy mówiłeś kiedykolwiek panu Walkerowi o nas.

- Wie, że mieliśmy romans.

Wciąga gwałtownie powietrze i odwraca głowę, żeby spojrzeć na Craiga, który stoi zaledwie kilka metrów od nas.

- Jak mogłeś? To dyrektor szkoły mojej córki. Ty głupi...

Skórę ratuje mi Craig, ponieważ właśnie w tej chwili podchodzi do nas. Przedstawia nas pani jakiejś-tam, która jest kierowniczką jasełek, i razem omawiamy kwestie scenografii. Connie bardzo mało się odzywa. Wpatruje się w podłogę i nikomu nie patrzy w oczy. Mimo to jest tak płomiennie czerwona, że bez problemu wprowadziłaby statek do portu. Sprawy ulegają względnie szybkiemu załatwieniu i pani jakaś-tam oraz Craig zostawiają nas, żebyśmy mogli zająć się pracą.

- Tyle razy mnie zawodziłeś, John. Raz za razem. Właściwie, jeśli się nad tym dłużej zastanowić, to jedyne, co robiłeś od chwili, gdy cię poznałam.

Mimo że Connie jest wyraźnie zirytowana, jej spokój nie znikł. Jestem przyzwyczajony do Connie-burzy, tej zaś nie znam. Nie jest dzika, namiętna czy wściekła tak jak kiedyś, tuż przed tym, kiedy zgadzała się na zwierzęcy czy szaleńczy seks. Jest sfrustrowana, rozdrażniona i może nawet rozczarowana. Ton jej głosu przypomina mi moje dawne nauczycielki.

- Nie rozumiesz tego? Ta szkoła to nie jest jedynie budynek z mnóstwem klocków lego i przyklejającego się plastiku. To życie mojej córki. A życie mojej córki nie może być częścią twojej gry. Poza tym chciałam cię zapytać, jak długo masz zamiar się tutaj jeszcze kręcić. Bo jeśli długo, to będę musiała porozmawiać z Lukiem. Naprawdę nie chciałam przypominać mu twojego imienia, to będzie trudne i bolesne, ale skoro ty się tu zadomawiasz, myślę, że nie mam wyboru. Tak bardzo mi wstyd, że wciąż go ranie swoimi czynami.

To ostatnie zdanie powiedziała bardziej do siebie niż do mnie, ale to właśnie je usłyszałem najwyraźniej.

Jestem zaszokowany. W spokoju Connie jest coś znacznie bardziej ostatecznego niż w jej niegdyśiejszych krzykach i groźbach. Jest jej wstyd. Jest jej naprawdę przykro, że wymieniając moje imię, może znowu zranić Luke'a.

Zastanawiam się nad taką możliwością, że może rzeczywiście zgodziła się ze mną spotkać tamtego wieczoru nie po to, żeby

wzniecić nowy ogień, jak to sobie wyobrażałem. Rozumiem. Naprawdę rozumiem. Ona naprawdę się zmieniła. To nie jest tylko przedstawienie. Nie gra trudnej do zdobycia.

Przypominam sobie nasze wszystkie rozmowy od września i tak sobie myślę, że rzeczywiście nigdy nie miała zamiaru odnawiać naszego romansu. Może słyszałem to, co pragnąłem usłyszeć. Możliwe, że jedyne, czego pragnęła, to gwarancji ochrony swojej rodziny i przyszłości.

Wyglądałam przez okno w auli. Nadal pada deszcz i krople, które przyklejają się do szyby, są podświetlane przez latarnie. Tysiące drobinek tworzy obrazek, który mi przypomina pewne spotkanie biznesowe w Chrysler Building w Nowym Jorku. Spotkanie nie szło dobrze. Nie potrafiliśmy rozwiązać problemów naszych klientów i wielu z nas warczało na siebie nawzajem. Od wielu długich godzin siedzieliśmy za stołem konferencyjnym. Był zimny i mokry lutowy dzień i w końcu na zewnątrz zrobiło się ciemno. Klient właśnie mi zadał trudne pytanie. Chcąc zyskać na czasie, wstałem i obszedłem dokoła stół, po czym zatrzymałem się, żeby wyjrzeć przez okno. To technika, której mnie nauczono na jednym ze szkoleń poświęconych zarządzaniu. Chodzi o to, by nie mówić pierwszej rzeczy, jaka ci przyjdzie do głowy.

Pamiętam, jak po raz pierwszy zwróciłem uwagę na rozciągający się z okna widok, choć z całą pewnością tamtego dnia wyglądałem przez nie setki razy, nie mówiąc o poprzednich wizytach. Nie odpowiedziałem na pytanie klienta (ponieważ nie umiałem), ale powiedziałem coś w rodzaju: „Zawsze, gdy patrzę na panoramę jakiegoś miasta, ogarnia mnie świadomość istnienia możliwości. Tak wiele istnień ludzkich. Tak wiele możliwości”. Moja uwaga nie pozostała bez echa z powodu swojej niestosowności i może z powodu swojej prawdziwości i prostoty. Klient uznał, że powiedziałem coś głębokiego o jego biznesowych możliwościach wyboru, i był zachwycony.

Po wszystkim moi koledzy i szefgratulowali mi moich genialnych bzdur, ale ja wtedy wcale ich nie opowiadałem. Kiedy

wyrzałem przez tamto okno, rzeczywiście ogarnęło mnie poczucie istnienia możliwości, a jeśli tak się akurat złożyło, że to właśnie pragnął usłyszeć klient, w takim razie bardzo dobrze. Dla mnie ważne było jednak to, że powiedziałem, co chciałem powiedzieć. W tamtej chwili tamte słowa były prawdą.

Krople grudniowego deszczu na szkolnym oknie lśnią, przypominając mi całe mnóstwo oświetlonych okien w wieżowcach. Po raz kolejny ogarnia mnie poczucie możliwości.

Nagle już wiem, że Connie rzeczywiście dobrze mnie zna. Rozumie to, co dzieje się w mojej głowie, i rzeczywiście mamy krótki okres, który jest nasz i tylko nasz. Ale to jedyne, co mamy. Connie zatraskuje drzwi, ale to drzwi przeszłości, i czyniąc to otwiera wszystkie wrota do mojej przyszłości. Jestem jej nagle za to wdzięczny.

- Craig wie, że kiedyś byliśmy parą, ale sądzi, że to było, zanim wyszłaś za mąż. Tak przy okazji, to bardzo lubi ciebie i twoją rodzinę. Robicie dobre wrażenie. Wiem, że to dla ciebie ważne. I tak się akurat składa, że prawie skończyłem mój tutejszy projekt i dzisiaj się dowiedziałem, że zostaną przeniesione gdzie indziej. Być może do Manchesteru.

- Och — mówi Connie.

Co innego można powiedzieć.

Gdy na jej twarzy pojawia się ulga, po raz kolejny uderza mnie jej uroda. Connie jest boska. To jedno, w czym się nie oszukiwałem. Jest szczupła, ma jędrne piersi i zgrabną pupę. Macierzyństwo nie splądrowało jej ciała, jak to się dzieje z tyłoma innymi kobietami. Jej spojrzenie jest bardziej szczere, niż to zapamiętałem - mniej udęczone. Jej skóra jest... Jak to się mówi? To takie staromodne słowo. Już wiem, promienieje. Właśnie. Jest błyszcząca. Ponieważ Connie jest szczęśliwa.

Patrzę na nią i widzę możliwość. Ale to nie ona jest moja możliwością. I Andrea także nią nie jest. Już nie. Ale wiem, że czeka na mnie. Gdzieś.

- Dam sobie radę sam, jeśli chcesz się urwać - mówię. Naprawdę nie ma sensu, żeby tu stała ze mną. - Szkody, jakie

możesz wyrządzić piłą, mogą zniszczyć to dobre wrażenie, jakie wywarłaś na Craigu - żartuję.

Connie rozumie.

— Och, okej. Skoro uważasz, że sobie poradzisz. Może pójde i zobaczę, jak reszta radzi sobie z robieniem koron. Nawet ja potrafię przykleić brokat do brystolu.

Kiwam głową.

Connie odchodzi. Podchodzi niespiesznym krokiem do grupy mam na drugim końcu auli. Kucają wokół beli złotego materiału i debatują, jak najlepiej uszyć kostiumy Trzech Mędrców z jak najmniejszego kawałka. Connie nie może się oprzeć, zerka przez ramię, żeby sprawdzić, czy za nią patrzę. Patrzę. Nasze spojrzenia krzyżują się i się uśmiecham. Ona czyni to samo. I prawie ją kocham.

ŚRODA, 6 GRUDNIA

LUCY

O 7.45 siedzę już przy biurku. Sprawdzam Dow, FTSE i Nikkei. Niespiesznie przeglądam serwis agencji prasowej Bloomberg, żeby się przekonać, jak rynki radziły sobie przez noc. Wciąż myślę o tym, czy dobrze ją usłyszałam. Rzeczywiście powiedziała „Joe”, prawda? Papieros po stosunku z Joem... *Bodziec dla traderów, żeby ograniczyć zakłady o to, jak bardzo Rezerwa Federalna podniesie w tym roku stopy procentowe...* Ale skąd ona może wiedzieć? Co może łączyć Joego i Rose? Pociągam łyk kawy. *Ta zwyżka obniżyła w tym miesiącu zysk do poziomu najniższego od dziesięciu lat. W Stanach Zjednoczonych pojawiły się spekulacje...* Cholerny Londyn, wszyscy się znają. Nędzna wiocha... *bank centralny nie podwyższy kosztów pożyczkowych, o ile tylko...* ma jęzor długi jak lista wpadek językowych Busha...

- Lucy, Lucy, wszystko w porządku?

Podnoszę głowę i widzę, że nad moim biurkiem nachyla się Mick.

- Przepraszam, czytałam właśnie informacje na temat rynków.

- Sprawiałaś wrażenie, jakbyś myśлами błądziła daleko stąd.

- To fascynująca tematyka.

- Dlaczego, co się stało?

Mick, profesjonalista w każdym calu, zakłada, że na rynkach musiało wydarzyć się coś ważnego. Całkiem rozsądnie

uważa, że to jedyne, co mogłoby mnie doprowadzić do takiego stanu.

- Właściwie to nic wielkiego - wzdycham.

Wygląda na skonsternowanego. Nad jego nosem pojawia się zmarszczka.

- Wszystko w porządku, Lucy?

- Nic...

Już, już mam powiedzieć, że nic mi nie jest. Mam zamiar uraczyć go takim samym oświadczeniem, z jakiego korzystam, żeby odpierać wszystkie pytania osobiste, i które wielokrotnie wypowiadałam do Micka w ciągu minionego miesiąca. Ale w tej chwili na moim ekranie pojawia się informacja komunikatora. Od Joego.

Skarbie, nie chcę Ci się wydać wyniosły, ale przyglądam się, jak flirtujesz z Mickiem Harrisonem, i nie podoba mi się to. To ja jestem Twoim mężczyzną.

XXX

Zatrząskuję laptopa i patrzę na drugi koniec pomieszczenia, w stronę biurka Joego. Zazwyczaj unikam jego spojrzenia, choć sama właściwie bez przerwy czuję na sobie jego wzrok. Joe posyła mi uśmiech, który zapewne uważa za seksowny - jest stuprocentowo odrażający.

- Masz czas na kawę?

- Dla ciebie, Księżniczko, znajdę.

Jest tysiąc kafejek w pobliżu firmy, ale ciągnę Micka prawie kilometr od biura, ponieważ zaczynam popadać w paranoję na temat tego, kto zna kogo, kto słucha moich rozmów i komu je powtórzy. Zaczynam mieć namiastkę psychozy, jaka musiała panować w erze McCarthy'ego.

Mick czeka, aż usiądziemy w kącie najspokojniejszej, najbarziej obskurnej kafejki, jaką udaje mi się znaleźć, po czym mówi:

- Ciesz się, że uznałaś, że musimy porozmawiać.

Zaczynam wsypywać do mojego podwójnego espresso szetki cukru. Kiedy wsypuję czwartą, Mick kładzie swoją dłoń na mojej.

- Ty nie słodzisz - mówi.

Siedzimy przez jakiś czas w milczeniu. Tak wiele chcę mu powiedzieć, a jednocześnie nie chcę mówić ani słowa. Jeśli przeproszę za swoją niezdatną próbę uwiedzenia go na imprezie, będziemy musieli porozmawiać o tym, że od wielu miesięcy flirtowaliśmy ze sobą - co ja wzięłam na poważnie, on zaś nie.

Jeśli mu powiem, że Joe mnie prześladowa i uniemożliwia pracę, będę musiała się przyznać do tego, że uprawiałam z nim seks. To zbyt straszne. Zbyt poniżające. Nie wyobrażam sobie, żeby Mick nazwał mnie jeszcze kiedyś Księżniczką. Poza tym czy ja mu ufam? Może przecież pobiec prosto do biura, zabrać wszystkich facetów na lunch, żeby móc puścić w obieg plotki, i przed końcem dzisiejszego dnia moja reputacja na finansowych rynkach *city* legnie w gruzach.

Jeśli mu powiem, że była żona mojego męża mi grozi, najpewniej niedługo zacznie szantażować, będę musiała przyznać, że w moim małżeństwie źle się dzieje. Choć zapewne punkt pierwszy i drugi i tak mówią to całkiem wyraźnie.

- Lucy, chciałbym cię przeprosić za swoje zachowanie podczas tamtej imprezy firmowej. Tak sobie myślę, czy nie mogliśmy puścić tego w niepamięć. Jeśli mam być szczerzy, to dość młgłicie pamiętam tamten wieczór. Ja też byłem niezłe wstawiony. Jeśli więc jedno z nas powiedziało lub zrobiło coś, czego się wstydzi, to niepotrzebnie, ponieważ ja tego nie pamiętam.

Widać, że Mick przećwiczył tę przemowę. Tempo, z jakim ją wypowiada, sugeruje, że chce mieć za sobą te wyćwiczone przeprosiny tak szybko, jak to możliwe. W ogóle to bardzo odważne z jego strony, że to powiedział. Jestem pewna, że nie ma ochoty musieć coś powtarzać.

Uśmiecham się do niego z prawdziwą wdzięcznością. Mick nie był pijany na tej imprezie. Był trzeźwy jak świnia. Jego stwier-

dzenie, że nic nie pamięta, podważa fakt, że pamięta, że ja byłam pijana. Powiedział, że on także był pijany. Widzę jednak, że Mick sporo myślał o naszej sytuacji i uznał, że najbardziej uprzejmym wyjściem jest zamiecenie tego incydentu pod dywan. Jestem mu za to wdzięczna. To dowód na to, że jest prawdziwym przyjacielem. Uśmiecham się do niego promiennie.

- Och, Mick, oboje wiemy, że to nie ty jesteś mi winien przeprosiny. Jest dokładnie na odwrót. To ja przestałam się zupełnie kontrolować. Przepraszam za to, że postawiłam cię w niezręcznej sytuacji.

Mimo że jego przeprosiny sprawiły, że czuję się, jakbym pływała w morzu ludzkiej życzliwości, bardzo się staram, żeby nie mówić na ten temat zbyt dużo. To upokarzające.

- Byłam bardzo pijana i nie myślałam jasno. Przepraszam za to, że...

- Próbowłaś zaciągnąć mnie do łóżka.

- Mick!

Rozglądam się pospiesznie po kafejce. Uśmiecha się szeroko. Pewnie lepiej, że potrafimy się z tego śmiać.

- Dlatego właśnie czuję się urażony, Lucy. Musiałaś się najpierw upić, żeby wykonać ruch w moją stronę.

Nadal się uśmiecha, ale oboje wiemy, że w jego słowach tkwi ziarno prawdy. Nigdy bym nie próbowała uwieść Micka, gdybym się tak nie nawaliła. Fakt ten jest jednocześnie wymówką i zniewagą. To skomplikowana sytuacja. Na szczęście Mick to prosty mężczyzna i śmiechem zażegnuje potencjalne problemy w formie zranionych uczuć, rozwiązłości i złożonych konsekwencji.

- To ja powinnam obrazić się za to, że mnie odrzuciłeś - żartuję w odpowiedzi.

- Za bardzo cię lubię, żeby się z tobą bzykać. Rzadko robię to z kobietami, które rzeczywiście lubię.

I właśnie na tym komplementcie i świadectwie naszej przyjaźni postanawiamy zakończyć tę sprawę.

- A więc między nami wszystko dobrze, tak? - pyta Mick.

- Wszystko dobrze - zapewniam.

- Możesz wrócić do bycia zapieprzającą Lucy, zdobywającą ambitne kontrakty i zarabiającą dla nas wszystkich niezłe premie. Zgoda? Ponieważ jeśli mam być szczery, Lucy, to ludzie zaczynają dostrzegać, że coś nie jesteś sobą. Spojrzenie masz tak daleko od piłki, że wydaje się, jakbyś grała w zupełnie inną grę. To znaczy, szanuję to, że masz rodzinę, i wiem, że mówiłaś, że chcesz więcej czasu spędzać z Auriol. To super. Skoro jednak planujesz przebywać mniej czasu w biurze, będziesz musiała się starać pracować wydajniej, gdy już w nim jesteś.

- Jak poważne są te plotki? Pytam cię, ponieważ jesteś moim przyjacielem i uważam, że będziesz ze mną szczery.

- Przykro mi. Poważne. Któregoś dnia Ralph mnie zapytał, czy u ciebie wszystko w porządku.

Patrzmy na siebie, świadomi tego, że to już jest problem. Ralph nie powinien mieć powodu, żeby rozmawiać o mnie z innymi członkami personelu, a nawet jeśli to robi, to w takim razie dlaczego wybrał Micka? Odpowiedź jest oczywista. Wszyscy zakładają, że ze sobą sypiamy albo sypialiśmy, a teraz ze sobą zerwaliśmy. Dociera do mnie, że naraziłam na szwank reputację nas obojga.

- Przepraszam, Mick. Wszystko rozumiem.

- To nie jest tylko i wyłącznie twoja wina. Moja reputacja w tym nie pomaga - przyznaje mężnie Mick.

Sięga po swój płaszcz. Wykonał swoją robotę i ma świadomość tego, że oboje musimy wracać do pracy. Kładę rękę na jego ramieniu.

- Dobry z ciebie facet, Mick.

- Owszem, Księżniczko.

- Więc muszę ci coś powiedzieć.

Mick siada z powrotem na plastikowym krześle i sadowi się za brzydkim stołem.

- Chcesz jeszcze kawy?

Kręcę głową - jeśli coś mnie będzie rozpraszać to stracę odwagę.

- Szkoda, że ludzie plotkują na twój temat, ja jednak zasługuję na to. Rzeczywiście przespałam się z kimś.

Mick wciąga gwałtownie powietrze. Zaszokowałam go, a może rozczarowałam, a może boi się w moim imieniu.

- Między Peterem a mną nie układało się ostatnio zbyt dobrze. Cóż, wiesz o tym zresztą. Czułam się stara i zużyta.

- Zużyta?

- Zużyta przez to całe macierzyństwo i bycie żoną. Nie jestem z natury skłonna do poświęceń. Byłam znudzona i czułam się lekceważona. Znana formułka.

Mam szczęście, że usprawiedliwiam się przed Mickiem - on też jest dość egocentryczny i stara się mnie zrozumieć. Niektórych wściekłyby moje żałosne wymówki.

- Zrobiłaś więc to po to, żeby nieco się rozerwać?

- Zrobiłam to dlatego, że byłam totalnie nawalona. To była tamta impreza. Po twoim wyjściu.

- Rozumiem.

Usta Micka znikają, gdy je wciąga. Przez długą chwilę siedzi zupełnie nieruchomo i milczy. Wiem, że go zraniłam. Być może tylko jego duma jest zraniona, ale może dowód moich niewybrednych propozycji seksualnych z tamtego wieczoru jest dla niego naprawdę niesmaczny.

- Kim był ten szczęściarz? - pyta wreszcie.

W jego głosie słyszę jednocześnie irytację i ciekawość.

Po raz pierwszy nie jestem w stanie wytrzymać jego spojrzenia. Chowam twarz w dłoniach i mamroczę:

- Joe Whitehead.

- Co takiego? Czy właśnie powiedziałaś „Joe Whitehead”?

Kiwam głową i podnoszę wzrok na Micka. Równie dobrze mogę patrzeć na jego pogardę - swoją co rano oglądałam w lustrze.

- Ten upierdliwy, głupi, przebiegły dupek?

- Właśnie ten.

Mick odsuwa krzesło i przez chwilę myślę, że zaraz wybiegnie wzburzony z kawiarni niczym porzucony kochanek. Zamiast tego udaje się do baru i zamawia więcej kawy.

Głośno stawia małe filiżanki na stoliku.

- Żałuję, że to nie whisky — oświadcza. — Joe Whitehead jest ciebie tak bardzo niegodny, Lucy.

- Wygląda na to, że nie.

Mam na tyle poczucia przyzwoitości, żeby stawić czoło faktowi, że upadamy równie nisko jak ci, z którymi się zadajemy. I choć Joe ma w pracy okropną i ciągle pogarszającą się reputację nieodpowiedzialnego podlizucha, samotnika, lesera i głupca, nie uważam, żebyśmy mogła uderzyć w moralizatorski ton.

- Najlepiej zostaw to za sobą, Lucy. Po prostu zapomnij - mówi Mick.

Po jego minie widać, że sam ma ochotę pozbyć się tego ze świadomości. Rozumiem go. Niemal się wzdragam, kiedy myślę o tłustych, małych rękach Joego Whiteheada dotykających niewprawnie mojego ciała.

Seks był najgorszy, z jakim kiedykolwiek miałam do czynienia. Śmiechu warte mocowanie się, od czasu do czasu przerywane wonią starego potu i jego podnieconym dyszeniem. W kilka minut było po wszystkim. Prawie nie zdążyłam się zorientować, co się dzieje. Wcale nie sugeruję, że zostałam do czegoś zmuszona, bo tak nie było. Nie powiedziałam „nie”, ale nie powiedziałam również „tak”.

Po wyjściu Micka Joe i ja wypiliśmy w barze Wasp jeszcze kilka drinków. Joe zaproponował, żebyśmy udali się gdzieś indziej. Powiedziałam, że nie, że muszę wracać do domu. Chwiałam się i bełkotałam. Nie chciałam być oglądana w takim straszonym stanie. Joe zgodził się przynieść mi płaszcz. Długo go nie było. Kiedy w końcu wrócił, podniósł mnie z kozetki i wyprowadził z głównej sali.

- Ale my chyba źle idziemy? — wybełkotałam.

Nie byłam pewna. Lustra działały dezorientujące a poza tym ledwie byłam w stanie stać, nie mówiąc o odnajdywaniu drogi.

- Znam tylne wyjście, prowadzi na główną ulicę. Będzie łatwiej złapać taksówkę. - Wtedy Joe założył mi płaszcz na głowę. Sądził, że jest zabawny i wciąż powtarzał: - Nikt cię teraz ze mną nie widzi, Lucy, więc nie martw się.

Co nawet wtedy wydało mi się przedziwne. Wiedziała, że nie chcę być widziana w jego towarzystwie.

Nie podobał mi się płaszcz na głowie, zaczynałam odczuwać klaustrofobię. Nigdy nie lubiłam mieć zawiązanych oczu, nawet podczas dziecięcych zabaw czy w łóżku z Peterem. Lubię widzieć, co się ze mną dzieje. Chwyciłam płaszcz i próbowałam pociągnąć go na dół, ale Joe jedynie się roześmiał i trzymał go mocno na mojej głowie. Kazałam mu przestać, powiedziałam, że psuje mi fryzurę, ale nie awanturowałam się zbyt mocno, nie chciałam zwracać uwagi na nasze wyjście. Joe miał rację, nie chciałam, by ktoś mnie widział w jego towarzystwie. Trwało to jedynie jakąś minutę i kiedy zdjął mi z głowy płaszcz, nie znajdowaliśmy się na dworze, lecz w maleńkim, prywatnym pomieszczeniu.

Wiedziałam, do czego dokładnie wykorzystywano ten pokój. Pewnie tego rodzaju miejsca szukałabym razem z Mickiem, gdyby przystał na moją propozycję. To pokój, który kierownictwo wynajmuje za ciężkie pieniądze i z niezwykłą dyskrecją. Był całkiem przyzwoicie urządzony, choć w może nieco zbyt oczywisty sposób. Nie było tam luster, jak w głównej sali, lecz mnóstwo czerwonego aksamitu. Ściany wyłożone czerwonym aksamitem, czerwone aksamitne zasłony i czerwona aksamitna kozetka. Pokój wprost emanował seksem. I piekłem.

Stało tam wiaderko ze schłodzoną butelką szampana, tym razem nie Crystala, lecz zwyczajnego. Nie było kieliszków. Ustalając w pośpiechu plan swojego uwiedzenia, Joe musiał zapomnieć o tym powiedzieć. Zakładałam, że wykrzyczał instrukcje

i przekazał nad barem mnóstwo gotówki, podczas gdy odbierał nasze płaszcze.

Jęknęłam, oświadczyłam mu, że nie chcę nic więcej pić, a jedynie jechać do domu. Poprosił, żebym się odprężyła, zasugerował, że najlepiej będzie, jak się położę i trochę prześpię. Wolałam stać. Joe próbował mnie nakłonić do picia szampana prosto z butelki, ale ja zacisnęłam usta i lepkie bąbelki spłynęły po mojej brodzie i koszuli. Zaczął je zlizywać, a ja go nie powstrzymywałam.

W tamtej chwili sądziłam, że najszybszym sposobem wydobycia się stamtąd będzie poddanie się.

Mick czeka na moją odpowiedź na jego sugestię. Wyciągam z torby paczkę papierosów. Podaję mu jednego. Odmawia, ale pomaga mi zapalić mojego. Ręce mi się trzęsą i nie widzę tej cholernej zapalniczki, ponieważ w oczy szczypią mnie łzy. Mrugam wściekle oczami i biorę głęboki oddech.

- Zostawiłabym to wszystko za sobą. Tak na początku zrobiłam. Ale jest pewien problem. On tego nie zrobił.

- Zadurzył się w tobie?

- Jak było do przewidzenia. - Posyłam Mickowi uśmiech, ale jest on wymuszony. Nigdy nie czułam się gorzej. — Prawdę mówiąc, zaczął mnie tak jakby prześladować. - Próbuję się śmiać, ale tego już dla mnie za wiele. Nie jestem w stanie dłużej powstrzymać łez. Życzliwość Micka to ostateczny cios. Zaczynam szlochać. - Bez przerwy się ze mną kontaktuje, przysyła esemesy, e-maile i wysyła wiadomości przez komunikator.

- Jak mu się to udaje?

- Majstrował przy moim laptopie. Od Julii zdobył numer mojej komórki. Musiałam zmienić telefon, ale wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie do domu. Uważa, że coś nas łączy. Nie przyjmuje do wiadomości, że byłam pijana i że to był błąd. Nęka mnie, pytając, kiedy się znowu spotkamy. Mick, boję się go. Nie chcę stracić mojej rodziny czy pracy, ale z całą pewnością nie chcę musieć znowu tego z nim robić.

- Już dobrze, Księżniczko, już dobrze. - Mick przechodzi na drugą stronę stołu i klęka przy mnie. Gładzi mnie po plecach. - Zajmę się tym. Razem się tym zajmujemy. Nie martw się. Do wieczora ten sukinsyn będzie zwolniony.

Nigdy dotąd nie wierzyłam w potrzebę ani istnienie rycerza w lśniącej zbroi. Ale teraz wydaje mi się, że słyszę konia Micka galopującego w moim kierunku i ogarnia mnie niewypowiedziana wdzięczność.

Mick ustala, że zachowałam kilka jego e-maili, ale żadnych esemesów. Pokazuję mu swojego BlackBerry i wydaje się pewny, że mamy do czynienia z przypadkiem molestowania seksualnego. Twierdzi, że nie nikt nie będzie miał wątpliwości, że to Joe wpływał na moją pracę przez cały zeszły miesiąc.

- Ale ja uprawiałam z nim seks.

- I co z tego? Nie chcesz robić tego ponownie. Musi wiedzieć, że „nie” znaczy „nie”. Poza tym zachował się ohydnie z moralnego punktu widzenia. Wykorzystał cię, kiedy byłaś pijana.

- Ale to będzie takie krępujące, kiedy Ralph dowie się o tym, co zrobiłam. A poza tym nawet jeśli rzeczywiście zwolni Joego, błoto pozostanie. Będę naznaczona jako ta, która sprawia kłopoty.

Mick nie powiedział, że nie mam racji. Moja kariera w *city* przetrwa jedynie do następnego odstrzału i wtedy prawdopodobnie otrzymam sporą odprawę i także pokaże mi się drzwi. *City* nie lubi kapusiów.

- Cóż, zanim spróbujemy drogi oficjalnej, możemy, jeśli chcesz, razem doprowadzić do konfrontacji z nim.

- I powiedziec co?

- Powiedziec, że pójdziemy do Ralpha, jeśli on sam się nie zwolni. - Nie zastanawiamy się nad możliwością poproszenia Joego jedynie o to, żeby przestał mnie nękać, to wszystko zaszło już za daleko. - To nie jest kwestia jedynie niestosownego zachowania, określanego jako molestowanie współpracownika.

Te e-maile sugerują, że ten facet jest kopnięty. Potrzebna mu pomoc. Powiemy mu to. Jeśli została mu choć odrobina rozsądku czy godności, szybko się wyniesie. On także nie będzie chciał się skompromitować.

- To mogłoby się udać - przyznaję.

Po raz pierwszy od miesiąca pozwalam sobie na to, żeby czuć nadzieję. Nachylam się i ściskam Micka.

- Jesteś prawdziwym przyjacielem. Dziękuję ci.

- Nie. Prawdziwy przyjaciel przepałby się z tobą, gdy mu to zaproponowałeś, i uchronił cię przed Joem — mówi Mick z niepewnym uśmiechem.

Po tym, jak widział moje łyzy, nie jest pewien, ile żartów jestem w stanie znieść.

- Tak, wszystko przez ciebie. — Próbuję się uśmiechnąć przez łyzy. - Jednak poważnie, to ta kłapa przyniosła coś dobrego — dodaję.

- Co takiego?

- Coś się we mnie zmieniło. Dotarło do mnie, że to co mam, jest w niebezpieczeństwie. Wiem, że mam wielkie szczęście, posiadając męża, córkę, przyjaciół. - Ściskam z uczuciem dłoń Micka. Nagle ulga wywołana jego wsparciem znika.

- O cholera! Peter.

- Masz zamiar mu powiedzieć?

- Myślisz, że powinnam?

- Ja bym tego nie robił. Ale ja nigdy nie byłem żonaty, więc nie wiem.

- Była żona Petera wie o Joem - wyznaję.

- Co takiego? — Mickowi trudno uwierzyć w to, że moje życie może się okazać jeszcze bardziej tragiczne czy farsowe. Ja też nie. - Skąd?

- Nie mam pojęcia, ale wie. Uczyniła aluzję do tego, kiedy widziałyśmy się w zeszlą niedzielę. Od tamtego czasu prawie w ogóle nie śpię.

- Sądzisz, że powie twojemu mężowi?

- Nie wiem. Nie jest mi winna żadnej przysługi. O Boże, tak strasznie mi wstyd. Co ja takiego narobiłam? Widzisz, Mick, według moich reguł, uprawianie seksu z paskudnym kurdupłem było straszne, ale udało mi się to jakoś zaszufładkować w głowie. Zrobiłam coś naprawdę paskudnego. Ale to już minęło i nigdy więcej tego nie zrobię.

- Były okoliczności łagodzące, poza tym w ogóle tego nie planowałam - dodaje ofiarnie Mick.

- Właśnie. Ale konsekwencje są okropne. Zrozumiałam to, kiedy w sobotę zobaczyłam twarz Rose. Zniszczyłam jej rodzinę, ponieważ tak bardzo kochałam Petera i musiałam mieć go dla siebie. Trudno to wytłumaczyć, ale Rose patrzyła na mnie tak, jakbym zniszczyła ją po raz kolejny. Można by się spodziewać, że będzie zadowolona i pałająca chęcią zemsty, ale ona wyglądała na zdruzgotaną. Po raz pierwszy w życiu czułam się jak osoba na wskroś zła.

- Powiedziałaś, że kochałaś Petera. Nadal tak jest?

- Tak. Kocham go bardziej niż kiedykolwiek. Ale, o czym wie Rose, czasami kochanie kogoś nie wystarczy. Ona też kochała Petera, mimo to się rozstali. A ona nie zrobiła przecież niczego złego.

- Ale on kochał ciebie.

- Tak.

- Nadal kocha?

- Tak.

- Wystarczająco mocno?

- Nie wiem.

- Cóż, istnieje tylko jeden sposób na to, żeby się tego dowiedzieć.

- Kto mówi, że chcę się dowiedzieć?

- Obawiam się, że w tej kwestii nie jestem w stanie ci pomóc, Księżniczko. Praca, owszem, ale dom jest dużo bardziej...

- Osobisty?

— Po prostu dużo bardziej. Kropka.

Mick i ja wiemy, że musimy wrócić do biura. Musimy stanąć twarzą w twarz z Joem, a Ralph będzie się zastanawiał, gdzie się, do licha, podziewamy. Mick chce zapłacić, ale go powstrzymuję. Za te kawy muszę zapłacić ja. Zostawiam pieniądze na stole. Monety lądują w małych kałużach. Wygląda na to, że już nic nie potrafię dobrze zrobić.

ŚRODA, 6 GRUDNIA

R O S E

Czas płynie i nie czeka na nikogo, nie wspominając o lekko udręczonej samotnej matce, która jest piętnaście minut spóźniona na ostatnie zajęcia kursu konserwacji samochodu. Próbuję przemknąć się niezauważona na tył sali, ale prowadzący jest zbyt uprzejmy, żeby na to pozwolić, i przerywa swój wykład, aby mnie powitać i solidaryzować się ze mną w kwestii niesolidności transportu publicznego. Helen uśmiecha się do mnie szeroko, a Susanne macha ręką. Obie wyglądają nieco bardziej elegancko niż zazwyczaj, co w wypadku Helen oznacza, że wygląda, jakby właśnie zeszała ze stron kobiecego magazynu, a w wypadku Susanne - że pomalowała usta szminką. Ja mam buty na siedmiocentymetrowych obcasach (do których nie jestem przyzwyczajona, dlatego też spóźniłam się na autobus i na zajęcia). Żadna z nas nie jest odpowiednio ubrana na zabawy z silnikami, ale dzisiaj świętujemy dotrwanie do końca kursu.

Zaraz po zajęciach wybieramy się do miejscowej włoskiej restauracji i jestem bardzo podekscytowana perspektywą siedzenia z kieliszkiem chianti i talerzem pizzy. Od czasu afery z Lucy żyję głównie własnymi myślami, mając za towarzystwo jedynie konsternację i gniew. Kilkugodzinna nasiadówka i poruszanie wesołych babskich tematów to coś, czego mi teraz trzeba.

Od razu po zakończeniu zajęć Helen, Susanne i ja wynosimy się z pachnącego stęchlizną pomieszczenia. Nie jest mi przykro,

że porzucam woń oleju i krezotu. Dziękujemy prowadzącemu i kiwamy na pożegnanie głową pryszczatym chłopakom, lecz stanowczo dziękujemy za ich uprzejmą propozycję, żebyśmy udały się razem z nimi do pubu, by porozmawiać o świecach.

Powstrzymujemy się z plotkowaniem do czasu, gdy usiądziemy, złożymy zamówienie i będziemy mieć w ręce po kieliszku wina.

- Na zdrowie - mówi Susanne. - Za święta.

- Święta?! - woła z niedowierzaniem Helen. - Jak możesz myśleć już o świętach? To jeszcze kilka tygodni.

Jak ona może nie myśleć jeszcze o świętach? Widać, że Helen to jedna z tych osób, które kupują prezenty w dzień Wigilii, prawdopodobnie w supermarkecie. W naszym domu Boże Narodzenie staje się gorącym tematem zaraz po nocy 5 listopada. Chłopcy wiele razy napisali, przepisali, a później przepisali to, co wcześniej przepisali w listach do Świętego Mikołaja. Nie wierzą w niego specjalnie gorliwie. Sebastian jest chyba nawet ateistą, oświadczywszy w wieku lat sześciu, że Święty Mikołaj, Rudolf i Pani Mikołajowa nie istnieją - choć przyznał, że Biegun Północny jest prawdziwy, ale dopiero po tym, jak pokazałam mu nasz atlas świata z Readers Digest. Henry trochę bardziej się asekuruje. W grudniu od czasu do czasu nakrywa do stołu i stara się utrzymywać w swoim pokoju jako taki porządek na wypadek, gdyby rzeczywiście było ważne to, kto jest grzeczny, a kto nie. Myślę, że jest bardziej agnostykiem. Wraz ze zbliżaniem się świąt obaj jednak lubią się zabezpieczyć i piszą do Mikołaja, wyszczególniając swoje plastikowe marzenia. Przypominają nieco niepraktykujących katolików, raz w roku udających się do spowiedzi.

- Mam wrażenie, jakbym dopiero co zdjęła ten pieprzony łańcuch - jęczy Helen.

- Wiem. Czas szybko leci - przyznaję.

Pierwszy semestr w szkole jest zawsze najbardziej pracowity. Musiałam dać sobie radę z dożynkami, dniem dzinsów,

dniem postaci z książki, dopasowaniem ochraniaczy na zęby chłopców, szkolnymi zdjęciami, Halloween, nocą 5 listopada i oto nagle dwa tygodnie dzielą nas od jasełek. Dwa kostiumy wieśniaków i jestem wolna. Cóż, poza oczywiście wykonaniem gigantycznej pracy, jaka jest niezbędna, żeby Boże Narodzenie przebiegało gładko.

Daisy, Simon, mama i tata przychodzą, jak co roku, do mnie. Z jakiegoś powodu, dla mnie niewiadomego, doprowadziło to do małego spięcia z Daisy.

- Tak się zastanawiałam, czy nie moglibyśmy urządzić w tym roku świąt u mnie - rzekła na początku listopada.

- Nigdy tego nie robimy - oświadczyłam kategorycznie.

- I o to właśnie mi chodzi - mruknęła.

- Nie lubisz gotować - dodałam rozsądnie.

- Ty mogłabyś gotować u mnie.

Na jej twarzy nie malowała się zbyt duża nadzieja. Wyprawiam u siebie święta od ponad dekady. To tradycja. Dlaczego w tym roku mielibyśmy zrobić inaczej?

- Och, wolę swój piecyk. Poza tym nie ma u ciebie tyle miejsca — przekonywałam.

- Mam wolny pokój dla mamy i taty. Jest tam rozkładana kanapa, jakoś byśmy się pomieścili.

- Nie sędzę - oświadczyłam stanowczo. - Chłopcy Boże Narodzenie lubią spędzać we własnym domu.

Daisy posłała mi mordercze spojrzenie.

- Chłopcy mają to gdzieś. Chodzi o ciebie - mruknęła.

Uznałam, że lepiej zamilknąć. Nie chciałam kłótni, ale z całą pewnością nie miałam ochoty ustąpić. Żywię wobec Bożego Narodzenia dwuznaczne uczucia i udaje mi się je przeżyć tylko wtedy, jeśli postępuję zgodnie z ustalonym planem. Moim planem.

Zanim Peter mnie zostawił, kochałam Boże Narodzenie wprost bezgranicznie. Jego odejście skomplikowało to, zresztą tak jak i wszystko inne.

Jako dwudziestolatka uwielbiałam święta. Kiedy moi znajomi popadali w znużenie i postrzegali święta jedynie jako pretekst do upicia się i uprawiania seksu z nieodpowiednimi nieznanymi, dla mnie nadal był to czas magiczny. Lubiłam wybierać och-tak-bardzo-idealne prezenty. Lubiłam wieczorami wypisywać kartki świąteczne i starannie pakować prezenty w ogromne ilości papieru i wstążek. Lubiłam pełne kościoły i nie czułam urazy do chrześcijan pojawiających się raz do roku na pastercie, mimo wszystko pełnych dobrych intencji. Uwielbiałam być doskonałą gospodynią i przez cały świąteczny sezon moje drzwi pozostawały otwarte dla gości i mnóstwa przyjęć, nie tylko tego najważniejszego dnia. Byłam dumna, że potrafię przygotować pyszne, wytworne, niezrównane obiady. Mój bażant i wieprzowina z chrupiącą skórką i pieczonymi jabłkami, doprawione tymiankiem i natką pietruszki, podawane z karmelizowanymi fenkułami i pikantną czerwoną kapustą i żurawiną, to niezrównana uczta, nawet jeśli sama tak mówię.

Dopóki Peter nie odszedł.

Wtedy dostrzegłam, że nadejściu Bożego Narodzenia towarzyszą przytłaczające oczekiwania. Nagle zimno mi się robiło, gdy widziałam siedzące wokół kominka rodziny, patrzyłam, jak pary niosą do domu choinki, i wiedziałam, że w każdej szkolnej auli w całym kraju wystawia się wyciskające łzy jasełka. Moją strategią radzenia sobie z tym wszystkim było zachowywanie się tak jak do tej pory. Teraz wkładam więcej, nie mniej czasu w wybieranie przemyślanych prezentów. Pakowanie ich przybrało formę sztuki. Teraz mam dwie choinki, jedną na korytarzu, drugą w salonie. Kilka tygodni przed świętami zaczynam wypróbować przepisy na pieczeń z pasternakiem i miodem.

Mimo to podczas świąt nadal dostrzegam w swoim życiu ogromną czarną dziurę. Bez względu na to, na jak wiele chodzę kursów wieczorowych czy randek w ciemno, nieważne w ilu komitetach zasiadam i ile godzin poświęcam na czytanie dzieciom bądź też dbanie o ich zdrowie, wykształcenie czy potrzeby

emocjonalne, i tak jest ta dziura. Luka. Otchłań. W tajemnicy się przekonuję, że zaczęłam już z niecierpliwością wyglądać stycznia, kiedy wszystko powraca do normalności. Tandetny łańcuch jest chowany do pudełka, a przejadanie się i nadmierne picie postrzega się jako coś, czym rzeczywiście jest — czyli szkodliwe dla zdrowia.

Helen i Susanne zaczynają rozmawiać o pracy. Helen zaproponowano awans, ale ona waha się, czy go przyjąć. Mówi, że i tak wystarczająco mało widuje swojego partnera, Mike'a.

- Poza tym dwa miesiące temu awansował Mike, nie jest więc tak, że potrzebujemy pieniędzy - dodaje.

Wygląda na skrupowaną, ponieważ Susanne i ja wiemy, że Mike nie siedziałby w pubie z kolegami i nie zastanawiałby się razem z nimi nad tym, czy awans będzie miał ujemny wpływ na jego związek. Z całą pewnością bez chwili wahania przyjął własne miejsce parkingowe i większy gabinet. Helen nie potrzebuje nas, żeby o tym wiedzieć.

- Ja bym się zgodziła, dziewczyno. Przekonała się, jak to będzie — mówi Susanne.

Kiwam pokrępijając głową.

Susanne ma obecnie urwanie głowy w salonie. Mimo niechęci Helen do zaakceptowania faktu, że atakują święta, reszta zachodniego świata jest doskonale świadoma tego, że tuczy się właśnie gęsi, co ma bezpośrednie przełożenie na to, że włosy pań potrzebują strzyżenia, trwałej, rozjaśniania czy prostowania.

- To dla mnie najbardziej pracowity okres w roku. Jeśli okażę się nietowarzyska i nie pokażę przed styczniem, nie skreślajcie mnie - mówi z uśmiechem Susanne.

- Dobrze. Jestem pewna, że pozostaniemy w kontakcie. Wy dwie to najlepsze, co mnie spotkało na tym kursie - mówię. Wszystkie uśmiechamy się do siebie i cieszymy tą chwilą kobiecej przyjaźni. - Podobała mi się także nauka zmieniania koła, myślę, że się przyda - dodaję z uśmiechem.

Susanne trąca mnie żartobliwie łokciem, po czym pyta:

- To co dalej? - Co dalej? Dlaczego wszyscy ciągle mnie o to pytają. - Ja mam zamiar zapisać się na kurs sztuk pięknych. Znalazłam taki, który rozpoczyna się wiosną. Nie jest drogi i na początku szkicuje się żywych modeli. Może będą mieli facetów. Wtedy zobaczyłabym nagie, męskie ciało po raz pierwszy od...
- Susanne urywa i zaczyna liczyć na palcach.

- To nie dla mnie — oświadczam stanowczo. - Nigdy nie byłam dobra z plastyki i jakoś nie potrafiłam się zmusić do tego, żeby godzinami wpatrywać się w nagie ciała. Zawsze uważałam, że ciało powinno pozostawać zakryte.

Obie wybuchają śmiechem, choć wcale nie starałam się być zabawna.

- Ja może zapiszę się na zajęcia z socjologii - mówi Helen.

Obie odwracają się do mnie. Wzruszam ramionami. W ogóle o tym nie myślałam. Jedyne, o czym ostatnio myślę, to Lucy i Peter. Susanne mi odpuszcza.

- Byłaś zbyt pochłonięta chodzeniem na randki, żeby o tym pomyśleć, prawda? Jak ci idzie?

- Jeśli mam być szczerą, to zastanawiam się, kiedy mogę zaprzestać poszukiwań „pana właściwego”. Skoro i tak nie wiem, że on istnieje, moje zadanie przypomina nieco szukanie igły w stogu siana.

- Istnieje — oświadczają chórem Susanne i Helen.

Patrzę na nie ze zdumieniem. Mogę zrozumieć, że Helen wierzy w „pana właściwego”. Ma bądź co bądź Mike'a, i choć ja uważam, że zachowuje się on nieco egoistycznie, jeśli chodzi o jego karierę kontra życiową równowagę, jej zdaje się to nie przeszkadzać. Ale Susanne jest sama od większej liczby miesięcy, niż ma razem palców u rąk i nóg. Skąd czerpią swój optymizm?

- Jak poszło z tym dyrektorem szkoły? Nie widziałyśmy cię od czasu tamtego wesela. Opuściłaś tyle zajęć, a kiedy już się zjawiłaś, to uciekałaś, zanim w ogóle zdążyłyśmy porozmawiać - stwierdza Susanne.

Przyglądam się swojej pizzy i zastanawiam, jak bardzo szczerą mogę być z Helen i Susanne. Bardzo bym chciała powiedzieć komuś o tym, czego się dowiedziałam na weselu, a nie może to być Connie czy Daisy, przynajmniej do czasu, dopóki nie ustalę, co zrobić z Lucy.

- Świetnie się bawiłam — oświadczam.

- Spodobał ci się? - W głosie Helen słychać zaskoczenie.

- Bardzo - przyznaję z nieśmiałym uśmiechem. - Jest miły, troskliwy i zabawny. Poza tym świetnie wyglądał w garniturze.

- Jej! — mówią chórem.

Uśmiechają się do siebie i ochoczo zabierają za miski z dyumiącym makaronem.

- Kiedy się znowu spotykacie? - pyta Helen.

- Och, nie spotykamy. - Dziewczynom opadają widelce i szczyki. Wyjaśniam: - Cóż, na tym weselu zaczęłam rozmawiać z jednym mężczyzną przy naszym stole. Prawdę mówiąc, to był koszmarny, prawdziwy nudziarz. Nigdy nie zgadniecie, ale okazuje się, że jest kochankiem Lucy. - Helen i Susanne wpatrują się we mnie z konsternacją. - Wiecie, Lucy, która jest żoną mojego... żoną Petera. Cóż, po czymś takim nie potrafiłam myśleć o czymkolwiek innym i byłam w takim stanie, że wybiegłam z przyjęcia, nie pożegnawszy się nawet z Craigiem.

Gdy się do tego głośno przyznaję, zaczynam czuć, jak ogarnia mnie zakłopotanie, pokrywając twarz, szyję i dekolt szkarłatnym rumieńcem. Co Craig musi sobie o mnie myśleć?

- Nie rozumiem - mówi Helen. - Bardzo dobrze bawiłaś się z Craigiem?

- Cudownie.

- Ale go porzuciłaś bez słowa wyjaśnienia, ponieważ usłyszałaś jakieś plotki na temat żony swojego byłego. Biedny człowiek.

Helen i Susanne wymieniają spojrzenia pełne konsternacji. Próbuję usprawiedliwić swoje działanie:

- Ale Lucy ma romans, to bardzo poważna sprawa.

- Dlaczego? — pyta Susanne.

Uważam to pytanie za trochę mało inteligentne.

- Cóż, to karma, czyż nie? To znaczy, tak właśnie wszyscy mówili, że się stanie. Ale to straszne, że rzeczywiście tak się stało, ponieważ po co było to wszystko? Mój mąż zostawił mnie dla niej.

Uważam, że sprawa jest jasna, ale sądząc po minach moich towarzyszek - niekoniecznie tak jest.

- Ale co romans Lucy ma wspólnego z twoim? - pyta Susanne.

Odpowiadam również pytaniem:

- Czy to dla niej nie typowe, że psuje mi wszystko? Tak świetnie bawiłam się z Craigiem. Wiecie co? Po raz pierwszy od czasów Petera inny mężczyzna trzymał mnie w ramionach i podobało mi się to. Dobrze mi się z nim rozmawiało, podobały mi się jego dobre maniery, jego żarty. Ale ponieważ uciekłam wtedy w pośpiechu, Lucy zniszczyła ten potencjalny związek.

- Ona niczego ci nie zniszczyła - oświadcza Helen.

Odkłada widelec i przygląda mi się uważnie. W jej oczach widać zatroskanie.

- Ty to zrobiłaś - dodaje Susanne. - Nie musiałaś stamtąd wychodzić.

Patrzą to na jedną, to na drugą i jestem speszona ich reakcją. O czym one mówią?

- Oczywiście, że musiałam wyjść. Miałam mętlik w głowie i byłam zaszokowana.

- Mogłaś się przynajmniej pożegnać. Wyjaśnić, że musisz się nad czymś zastanowić. Nie musiałaś go porzucać - mówi rozsądnie Helen. - Pomijając wszystko inne, coś takiego jest niegrzeczne.

- Może - przyznaję z miną winowajcy.

Nie podoba mi się, że Susanne i Helen oskarżają mnie o to, że jestem źle wychowana, zwłaszcza że częściowo jestem

im skłonna przyznać rację. Z perspektywy czasu widzę, że mogłam wymyślić jakąś wymówkę na temat swojego nagłego wyjścia. Na dłuższą metę wprowadziłoby to mniej zamętu. Podczas odprowadzania chłopców do szkoły i odbierania nadal muszę chować się za drzewami, żeby unikać Craiga, choć ostatnio zauważałam, że już się nie pokazuje przy szkolnej bramie. Myślę, że on mnie także unika. Niektóre matki zaczęły utyskiwać na jego nieobecność, oskarżając o to, że jest niedostępny i wyniosły. Źle mi z tym z jego powodu. I nie zaangażowałam się w tym roku w przygotowania do jasełek. Zazwyczaj pomagam malować scenografię i na ochotnika ćwiczę teksty z dziećmi. To fajna zabawa, ale w tym roku próby nie wchodzi w grę, a szkoła. Dociera do mnie, że powinnam spróbować wytłumaczyć się chociaż przed koleżankami.

- Ale ta wiadomość o romansie Lucy jest tylko kolejnym przykładem na to, że prawdziwa miłość nie istnieje i że to całe szukanie idealnego mężczyzny jest totalnie pozbawione sensu - mruczę z urazą.

- Jak to?

- Kiedy Peter mnie zostawił, usprawiedliwiałam go, wmaiwiając sobie, że Lucy i Peter są swoimi bratnimi duszami, i to w dziwny sposób pomogło mi w pogodzeniu się z bólem.

- Lepiej by ci było, gdybyś pocięła mu garnitury - stwierdza lekko Susanne, po czym bierze duży łyk białego wina.

- Tak myślisz?

- Wydaje się to bardziej naturalne.

Nachyla się nad stolikiem i napełnia mi ponownie kieliszek.

- Pokazałaś kiedyś Peterowi, jak bardzo jesteś na niego wściekła? - pyta Helen.

Wypowiada to pytanie nonszalancko, ale napotykam jej spojrzenie i dostrzegam w nim stalową determinację. Ciekawe, dokąd to prowadzi. Zastanawiam się chwilę nad jej pytaniem.

- Nie, chyba nie. Trzeba było myśleć o chłopcach. Kłócenie się przy nich nie doprowadziłoby do niczego dobrego.

- W tym akurat się z tobą zgadzam. Ale być może porządna kłótnia, kiedy już leżeli w łóżkach albo jeszcze lepiej, spędzali noc u dziadków, cóż... mogła się okazać pomocna.

Jestem zaszokowana.

- W jaki niby sposób?

- Miałyby działanie terapeutyczne - odpowiada Helen.

- To pomaga w zostawieniu pewnych spraw za sobą - dodaje Susanne.

- Dzięki niej zrzucasz z siebie trochę ciężaru.

- Przestajesz czuć się jak popychadło.

- Pomaga ci odpuścić.

Tworzą świetny duet. Nie wiem, co powiedzieć. Moje koleżanki uważają, że potrzebna mi terapia. Uważają mnie za popychadło. Sądzą, że nie pozwoliłam przeszłości odejść, co jest absurdalne, ponieważ Peter i ja rozstaliśmy się sześć lat temu. Oczywiście, że odpuściłam. Okej, czasami zdarza mi się nazwać go swoim mężem, ale to tylko przejęzyczenie. Czasami rzeczywiście przyłapuję się na zastanawianiu, co oni robią w sobotę beze mnie. Ale to naturalne. Nie chcę go z powrotem. To tylko...

- Potrzebne ci definitywne zamknięcie związku z Peterem.

Nie jestem pewna, czy mówi to Helen czy Susanne. To nie ma znaczenia, ponieważ jest jasne, że mówią jednym głosem. Prawdę powiedziawszy, mówią podobne rzeczy, co Connie i Daisy, Luke i Simon, moja matka i facet z pobliskiego sklepu. Zastanawiam się, w jakie słowa ubrać moją oburzoną odpowiedź, ale Susanne nie daje mi czasu, żebym mogła zebrać myśli.

- Wszyscy to widzą, Rose. Taka szkoda, że marnujesz tyle czasu. - Chcę zaprotestować, ale ona rozbraja mnie komplementem. - Rose, masz tyle miłości do zaferowania. Boli mnie serce, gdy patrzę, jak to się marnuje.

- Dlatego właśnie twoja siostra i przyjaciele zadają sobie tyle trudu, żeby znaleźć ci nowego mężczyznę, a przynajmniej nowe hobby. Coś, co by cię mogło pochłonać zamiast przeszłości.

- Ale wszyscy faceci, z którymi się spotkałam, okazali się beznadziejni - zauważam.

- Okej, poznałeś kilku nudnych facetów, wstawionych facetów, facetów o wąskich wargach. Niestety, na plaży bywa mnóstwo rozbitków życiowych, ale później poznałeś Craiga i okazał się perłą.

- Tak, ale...

- Założyłem się, że podświadomie byłeś nawet zadowolona, kiedy w połowie udanego spotkania z Craigiem dowiedziałaś się tych rzeczy o swoim byłym i jego żonie. Dało ci to pretekst do ucieczki.

- Moja podświadomość nie jest aż tak skomplikowana. Ja nie jestem tak skomplikowana - protestuję.

- Wszyscy jesteśmy skomplikowani, Rose.

- Ja jestem prostolinijna i bezpośrednia. Nie jestem auto-destrukcyjna czy skomplikowana.

Helen i Susanne patrzą na mnie. Na ich twarzach widzę chyba współczucie.

Milczymy i pijemy wino. Mam szczerą nadzieję, że to koniec tej dyskusji. Gorączkowo szukam w myślach innego tematu do rozmowy, ale jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, to o napawającej przerażeniem możliwości, że jednak mają rację.

- Powiedz mi jedno - odzywa się Susanne. - Czy gdybyś podczas tego wesela nie dowiedziała się o romansie Lucy, spotkałabyś się ponownie z Craigiem?

- Tak - odpowiadam z żarem, po czym przez chwilę się waham i dodaję: — Prawdopodobnie tak.

- Może - mówi Susanne; wygląda na sceptyczną. - Albo może uznałabyś, że chłopcom nie spodoba się twoje spotkanie się z dyrektorem, albo być może czułabyś się niezręcznie pod szkolną bramą, albo prawdopodobnie, po zawarciu bliższej znajomości, uznałabyś jego śmiech za irytujący. Założyłabym się o ostatniego dolara, Rose, że znalazłabyś jakiś pretekst, żeby to skończyć.

- Dlaczego miałabym to robić?

- Ty mi powiedz. Ponieważ lubisz być sama? Ponieważ nadal pragniesz Petera? Ponieważ tak bardzo się nienawidzisz, że uważasz, że pozwalanie, żeby młodość przeciekała ci między palcami niekończącym się strumieniem straconych możliwości jest do przyjęcia? Ja nie wiem. Jestem w kropce.

Te słowa są brutalne, tym bardziej że jej uwagi są odzwierciedleniem moich myśli. W środku nocy, kiedy myśli przekształcają się w obawy, a rozsądek zupełnie ulatuje, też się nad tym zastanawiam.

- Może w duchu uważasz, że wiadomość o romansie Lucy całkiem ci odpowiada. To pierwsza przysługa, jaką ci oddała - oświadcza Susanne. Prawdopodobnie rozumie, że więcej nie zniósę, ponieważ na tym samym oddechu pyta: - Dobrze, kto ma ochotę na deser? Mają tu boskie tiramisu.

Podczas gdy Helen i Susanne zastanawiają się nad wyborem deseru, ja przetrawiam ich słowa. Robi mi się niedobrze na myśl, że Susanne być może wykazała się przenikliwością tak trafną, że aż graniczącą z naruszeniem granic. Czy spokojny, cywilizowany rozwód to coś nienaturalnego? Owszem, często czuję się wykorzystana czy niedostrzegana, ale czy powiedziałam na ten temat choć jedno słowo? Choćby raz? Nie. Zawsze zachowuję się pogodnie. Czy Peter ma pojęcie, jak wielkie wyrządził szkody? Wątpię. To mało prawdopodobne, żeby poświęcił tej sytuacji wiele uwagi. Poza tym nieustannie robię, co tylko mogę, żeby go zapewnić, że wszystko jest w porządku. Mówię mu, że u chłopców wszystko w porządku, że u mnie wszystko w porządku, że fakt, że mieszka tak blisko nas jest w porządku, że posłanie jego córki do szkoły chłopców jest w porządku. Cóż, nie jest w porządku. Nie wszystko. Nie przez cały czas. To nie moja wina, że Peter oszedł, ale być może moją winą jest to, że nie wie, ile cierpienia z tego wynikło.

Czy jestem w stanie położyć kres swojemu poczuciu skrzywdzenia i gniewu?

Jestem zdumiona tym, że moje koleżanki nie chcą się dowiedzieć, co zamierzam zrobić ze swoją plotką. Nie wydają się zainteresowane tym, czy planuję zdemaskować Lucy, czy nie. To oczywiste, że nie obchodzi je Peter i jego sprawy domowe. Obchodzę je ja. A Peter i jego sprawy domowe nie mają ze mną nic wspólnego. I jest tak już od dawna.

Od czasu wesela byłam jak oszalała i pełna urazy. Nie zajmowałam się niczym innym, jak analizowaniem przeszłości i wyobrażaniem sobie wspaniałej ostatecznej rozgrywki, podczas której demaskuję Lucy i załamuję Petera. Ale w rzeczywistości jedyne, co zrobiłam, to wystosowałam jedną drwiącą uwagę do Lucy, żeby jej pokazać, że znam jej paskudny sekret. I wcale nie jestem pewna, czy mnie wtedy usłyszała. Prawda jest taka, że nie wiem, co chcę zrobić z tą wiedzą. Nawet w swoich najbardziej szaleńczych fantazjach nie wyobrażam sobie, żeby rozstanie Petera i Lucy miało oznaczać, że Peter wróci do mnie. To byłoby absurdalne. Jeden krok za daleko i wcale nie to, czego pragnę. Czego więc pragnę? Gdy delektuję się lekkim i kremowym tiramisem, zastanawiam się nad wszystkim, co usłyszałam od Susanne i Helen. Mają rację w tak wielu sprawach, ale jest jedno, w czym Susanne absolutnie nie ma racji.

Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, żeby śmiech Craiga miał mnie zacząć irytować.

WTOREK, 12 GRUDNIA

J O H N

Bose dzieciaki ze ścierkami na głowach pędzą na złamanie karku. Kusi mnie, żeby krzyknąć „Nie biegać po korytarzach!”, co mnie przeraża, ponieważ to z mojej strony taka rozsądna i dorosła myśl.

Wsuwam głowę do klasy i widzę panią Foster, nauczycielkę, która we wrześnie pokierowała mnie do gabinetu Craiga. Otacza ją grupa dziewczynek ubranych w poszewki na poduszki, związane w pasie lametą. Przytwierdza właśnie skrzydła i aureole, i widać, że to bardzo trudne zadanie, ponieważ dziewczynki są niesamowicie wprost podekscytowane. Podskakują i kręcą się - to cud, że nie kłuje ich raz po raz agrafkami. Macham do niej ponad morzem jasnych główek, a ona uśmiecha się promiennie, natychmiast mnie rozpoznając.

— Ach, pan Harding, kolega pana Walkera. Miło znowu pana widzieć. Zjawił się pan, żeby zobaczyć jasełka? - Kiwam głową. - Świetnie pan sobie poradził ze scenografią. Jeszcze nigdy nie mieliśmy tak autentycznego tła.

— Cieszę się, że mogłem pomóc. Widziała pani pana Walkera?

Oboje robimy to, co dorośli w towarzystwie dzieci. Używamy nazwisk, próbując nakłonić dzieci do myślenia, że cieszymy się szacunkiem i sprawujemy kontrolę.

— Jest chyba w auli, wita rodziców. W tym roku przed przedstawieniem serwujemy babeczki i grzane wino. Zawsze

zostawialiśmy to na później, ale przekonaliśmy się, że jeśli rodzice są w nieco bardziej świątecznym nastroju, wtedy tak bardzo się nie przepychają, próbując zdobyć miejsca w pierwszych rzędach.

Uśmiecham się i odwracam, żeby iść poszukać Craiga. Wołam jeszcze przez ramię:

— Połamania nóg, pani Foster!

Szkolna aula pęka w szwach. Na zewnątrz jest mroźno, rodzice zjawiają się więc opatuleni w grube kurtki i płaszcze, ale mamy chętnie się rozdziewają, żeby zademonstrować nowe stroje, kupione specjalnie z myślą o jasełkach. Dlatego też ojcowie stoją obładowani płaszcami, rękawiczkami, czapkami i szalikami, gdy tymczasem matki z gracją koncentrują się na trzymaniu papierowego talerzyka z babeczką i papierowego kubka z grzanym winem. Rodzice są chyba jeszcze bardziej podekscytowani niż małe aniołki. Matki promienieją, gawędzą i zachowują się nieco wariacko. Nie mogą się doczekać, aż zobaczą na scenie swojego przyszłego Roberta de Niro czy Nicole Kidman. Ojcowie wymieniają się spojrzeniami i przewracają oczami w udawanej rozpacz z powodu entuzjazmu ich żon, ale każdy jest uzbrojony w aparat i kamerę.

Nie widzę Craiga, ale niemal natychmiast zauważam Connie.

Z nami tak jest zawsze. Znajdujemy się w zatłoczonym pomieszczeniu i jakimś cudem wyławiamy się z niego, przyciągamy się nawzajem - może to instynkt zwierzęcy, który określa przyciąganie lub niebezpieczeństwo. Odwraca się powoli w moją stronę, po czym w komediowym przyspieszonym tempie przeciska się przez tłum, żeby stanąć twarzą w twarz ze mną.

- Cóż, szkoda, że nie mogę nazwać tego miłą niespodzianką. Myślałam, że wszystko między nami zostało wyjaśnione. Naprawdę nie spodziewałam się, że cię tu spotkam. Powiedziałeś, że wyjeżdżasz. Cóż, nie ma wyjścia, przedstawię cię Luke'owi. Mam dość tego czajenia się. Tam stoi.

Moje spojrzenie podąża za jej palcem. Właściwie to poznanie Luke'a mogłoby być nawet interesujące. Gdybym miał czas, przyjrzałbym mu się uważnie, zrozumiał go i może się nawet czegoś od niego nauczył. Ale nie mam czasu, a poza tym nie ma sensu psuć mu dnia, wdzierając się w jego myśli na samym końcu gry.

- Przyszedłem się pożegnać.

- Pożegnaliśmy się.

Owszem, może nie dosłownie, ale często cenne jest to, co nie zostało wypowiedziane.

- Z Craigiem - dodaje.

- Och, rozumiem. - Connie przez chwilę milczy.

- Wyjeżdżasz więc do Manchesteru?

- Tak, już się nie mogę doczekać.

- Niezłe sklepy.

- Czysty start.

Uśmiecham się do niej. Connie kiwa głową. Wie, że poza powiedzeniem „cześć” Craigowi, żegnając się z nami, tym, nieważne, jak to nazwać, i wszystkim innym.

- Pan Walker witał rodziców przy bramie. Nie wiem, czy uda ci się z nim pogadać przed przedstawieniem. Powinieneś zostać i je obejrzeć. Fran jest Maryją.

Uśmiecha się do mnie z dumą.

- Tylko dlatego, że pociągnąłem za sznurki - oświadczam.

- Nieprawda. - Wygląda na przerażoną.

- Masz rację, nieprawda. Otrzymała tę rolę na podstawie przesłuchania.

Nie wolno mi drwić z matczynej dumy. To oczywiste, że Connie już sobie wyobraża godne przyjmowanie podziękowań córki, która wygłasza mowę po otrzymaniu Oscara.

- Kiedy więc jedziesz?

- Dziś po południu. Moja praca tutaj już się skończyła.

- Projekt zakończył się sukcesem? - pyta uprzejmie.

Chciałem, żebyś znowu się we mnie zakochała, tak się jednak nie stało, więc nie, nieszczególnie. Mówię to w myślach. Głośno zaś odpowiadam:

- Tak, wynik nieoczekiwany, ale bardzo pouczający.

Kiwa głową. Ktoś popycha ramię Connie, która prawie rozlewa wino. Wraz z pojawianiem się coraz większej liczby rodziców jesteśmy zmuszani do przysuwania się do siebie.

- Nigdy nie porozmawialiśmy - mówi.

- Nie robiliśmy niczego innego - odpowiadam.

Uśmiecha się szeroko.

- Nie, chodzi mi o prawdziwą rozmowę o przeszłości.

Poddaję się tej okropnej nieuchronności. Zbyt długo robiłem uniki. Jestem zmęczony.

- Co takiego chcesz wiedzieć?

Milczymy i wydaje się, jakby mijały całe godziny. Zaczynam się zastanawiać, czy nie miałem przez cały czas racji i rozmowa między mężczyznami a kobietami jest rzeczywiście niemożliwa. W końcu Connie mówi:

- To już nie ma znaczenia. - Ale ona mnie nie oskarża. Nie jest na mnie zła. Jest pogodzona. Oboje wiemy, że z przeszłości trzeba wyciągać wnioski, a potem pozwolić jej odejść. Nie da się jej ponownie odwiedzić. Znika. - Och, z wyjątkiem jednej rzeczy. Nie wiesz może, co się wydarzyło między moją przyjaciółką Rose a panem Walkerem? Musiał zrobić coś naprawdę okropnego. Rose od czasu ich spotkania zachowuje się doprawdy dziwnie.

- Ona jest dziwaczna - odpowiadam. - Porzuciła go na weselu. Bez słowa ostrzeżenia. Po prostu uciekła.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Był załamany.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę ją lubi. Nie wiem, kobiety. - Wzruszam ramionami.

- Jesteśmy tajemnicą, prawda? - pyta Connie z wdzięcznym uśmiechem. Widzę, że nie myśli już o mnie, ale zżera ją

ciekawość i troska o koleżankę. - Lepiej już pójdę. Chcę zająć dobre miejsce. - Nachyliła się ku mnie i całuje w policzek. - Pa, John. Dbaj o siebie.

Następnie, zanim zdążę choćby mrugnąć okiem, rozpływa się w tłumie niespokojnych, podekscytowanych rodziców.

WTOREK, 12 GRUDNIA

LUCY

Opuścił moje życie w równie łatwy i dyskretny sposób, w jaki się w nim pojawił, miał jednak przemożny wpływ na to, jak się zdecydowałam od tej pory żyć, o czym się nigdy nie dowie.

Wystraszenie Joego Whiteheada okazało się śmiesznie proste. Kiedy Mick i ja wróciliśmy do biura, Mick wezwał go do sali posiedzeń i razem stawiliśmy mu czoło. Chłodno, spokojnie i odważnie Mick stanął w mojej obronie i wyjaśnił Joemu, dlaczego uważamy, że byłoby dla niego najlepiej, gdyby dzisiaj złożył wypowiedzenie, nie zmuszając nas do tego, żebyśmy przedstawili tę żałosną sprawę Ralphowi, działowi zasobów ludzkich i być może nawet w sądzie. Joe zachowywał się bezczelnie tylko przez chwilę. Upierał się, że dobrze się z nim bawiłam.

- Raczej trudno mi w to uwierzyć - oświadczył Mick.
- A ty jesteś jeszcze bardziej szalony, niż sądziłem, jeśli naprawdę w to wierzysz.

Mick zauważył, że nie tylko zachowanie Joego w stosunku do mnie było nieprofesjonalne. Wymienił co najmniej pół tuzina incydentów, kiedy to Joe wściekł się na kogoś z niższych pozycją członków jego teamu i winił go za problemy, które powinien był rozwiązać osobiście. Mick podkreślił wypadki, gdy klienci wyrazili niezadowolenie lub ponieśli straty finansowe. Dał mu jasno do zrozumienia, że jeśli zgłosi ten ostatni incy-

dent Ralphowi, ten z całą pewnością wykorzysta go jako idealny pretekst do jego zwolnienia.

Joe musiał dostrzec ostateczność słów Micka, ponieważ ci-cho zgodził się na złożenie wypowiedzenia w trybie natychmiastowym. Z pewnością uznał, że lepiej poszukać nowej pracy bez ciągnącej się za nim aury skandalu. Rozumiałam to. Patrzyłam, jak pakuje swoje rzeczy, i myślałam, że to ja znalazłabym się na jego miejscu, gdyby nie miłosierdzie Boga, czy też w tym akurat wypadku miłosierdzie Micka.

Bez nieustannego zagrożenia ze strony psychicznego prześladowcy szybko zaczęłam odrabiać straty w firmie. Wcześniej nie miałam pojęcia, jak dużo myśli i czasu poświęcam na zamartwianie się Joem Whiteheadem. Teraz przestałam podskakiwać za każdym razem, kiedy telefon sygnalizuje nadejście nowego esemesa. Nie boję się już logować na swojej skrzynce pocztowej, wiem, że nie będzie zapchana kilkunastoma wiadomościami od niego, a kiedy na moim ekranie pojawia się symbol komunikatora, wiem, że to jakaś słodka wiadomość od Petera. To nieopisana ulga.

Ralph zauważył, że moja wydajność i nastawienie zdecydowanie się poprawiły i nie ma już powodu, żeby wzywać kogokolwiek do swojego gabinetu i omawiać moje wyniki, ani mnie, ani Micka. W tym tygodniu nadal udało mi się wychodzić z biura dość szybko, trzy razy na pięć, i mam zamiar tak właśnie czynić. Planuję także ograniczyć wyjazdy służbowe i w nowym roku będę się mocno posiłkować wideokonferencjami. Ale kiedy już jestem w biurze, pracuję ciężiej niż kiedykolwiek wcześniej. Nie chcę musieć rezygnować z kariery zawodowej. Znajduję równowagę. Równowaga, z samej definicji, będzie oznaczać, że muszę zrezygnować z największych premii i najmocniejszego poklepywania po plecach, żebym mogła spędzać więcej czasu z Auriol i Peterem. Ale mnie to odpowiada. Po wielu latach pracy jako trader wreszcie dotarło do mnie, że pieniądze przychodzą i odchodzą, a czas tylko odchodzi, dlatego też jest najbardziej

cennym towarem i chcę go spędzać jak najwięcej ze swoją rodziną. To naprawdę proste.

Mogę więc podziękować Joemu Whiteheadowi za przeddefiniowanie swoich priorytetów i zauważalną poprawę domowej harmonii, choć nie bezpośrednio.

Oczywiście, ciągle jeszcze nie wyszłam na prostą. Choć w pracy jest już mniej stresujące w domu nadal balansuję nad przepaścią. Im więcej czasu i wysiłku poświęcam na zrozumienie i tworzenie więzi z Auriol (i tym samym między innymi zdobyacie pochwały i szacunku Petera), tym bardziej się staję świadoma tego, że gram o przerażająco wysoką stawkę. Rose jednym prostym ruchem może wysadzić mój świat w powietrze. Kilka miesięcy temu nie wierzyłam, że mój świat skupia się wokół życia domowego. Sądziłam, że mój świat znajduje się tam, gdzie akurat jestem - w firmie, w SPA, w koktajlbarze czy w pięciogwiazdkowym hotelu w jakimś gorącym miejscu. Kiedyś przy każdej nadarzającej się sposobności z wdzięcznością wybiegałam z domu, byle dalej od przesłodzonego zacisza domowego. Teraz się zastanawiam, jak bym sobie poradziła, gdybym straciła Petera i Auriol, tak szybko po ich odnalezieniu, prawdziwym odnalezieniu.

Zadzwoiłam do Rose z zamiarem bronięcia się i błagania ją, żeby zachowała w tajemnicy mój sekret. Nie było jej wtedy w domu, a nie jest to wiadomość, jaką można zostawić na automatycznej sekretarce. Nie oddzwoniła do mnie i może tak właśnie jest lepiej - nie jestem pewna, czy zdanie się na jej łaskę i niełaskę to moja najbardziej rozsądna opcja. To raczej mało prawdopodobne, żeby uznała, że zasługuję na jej wyrozumiałość i zrozumienie. Zastanawiam się, czy nie warto, żebym wszystkim zaprzeczyła. Mogłabym ją uprzedzić, mówiąc Peterowi, że w firmie krąży denerwujące plotki, zupełnie wyssane z palca. Uwierzyłyby mi. Ufa mi. I to właśnie jego zaufanie uniemożliwia skorzystanie z tej możliwości. Swoje sprawy sercowe i łóżkowe zawsze rozgrywałam według własnych zasad, nie takich samych standardów moralnych, których większość ludzi utrzymuje, że

przestrzega, ale jednak te zasady istniały. Zasada numer jeden: nie wolno mi okłamywać Petera.

Tak więc jestem na łasce i niełasce Rose. Dziewięć dni minęło od dnia, kiedy mi dała znać, że wie o mojej niewierności. Od tamtej pory za każdym razem, gdy rozlega się dzwonek przy drzwiach, zastanawiam się, czy to przypadkiem nie Rose, która zajrzała po drodze, żeby odebrać to, co należy do niej, oświadczając mojemu ukochanemu, że uprawiałam seks z paskudnym mężczyzną. Jej milczenie wcale mnie nie uspokaja. Być może czeka na najlepszy moment, żeby mnie upokorzyć i zdemaskować. Szkolne jasełka, kiedy świadkami jej rewelacji mogłyby stać się nasze dzieci i przyjaciele? Boże Narodzenie? Albo może uprawia długoterminową grę i czeka do dnia ślubu Auriol.

Wyłapuję ją natychmiast w tłumie rodziców w szkolnej auli. Pałaszuje niepotrzebne kalorie i sączy tanie grzane wino. Ma włosy upięte w koka. Nie spodziewałabym się, że coś takiego może jej pasować (koki potrafią niezłe postarzać), ale tak rzeczywistość jest, wygląda nowocześnie i pewnie. Z moją bezbronnością wyraźnie jej do twarzy. Trzyma w ręku talerz z babeczkami i częstuje nimi wszystkich dokoła. Bez wątplenia są domowej roboty. Ja też przyniosłam babeczki, ale kupne. Niemniej jednak Auriol była zadowolona, ponieważ podczas dożynek nie pamiętałam, żeby przynieść cokolwiek. Małe kroki.

Peter dostrzega Luke'a, który siedzi już na wąskich ławkach porostawianych dla publiczności. Otaczają go płaszcze i torby porozkładane na ławce po to, żeby rezerwować miejsca, na pewno zgodnie z wytycznymi Connie. Peter udaje się w jego stronę, żeby z nim pogadać i dotrzymać towarzystwa. Mówię mu, że później do nich dołączę, i przeciskam się w przeciwnym kierunku - w stronę Rose.

- Witaj, Rose.

- Witaj, Lucy, wyglądasz jak zawsze wspaniale - mówi, gdy jej spojrzenie przemyka szybko po moich czekoladowo-brązowych aksamitnych spodniach i golfie od Josepha.

Ciekawe, czy zabrzmiałoby szczerze, jeśli jej powiem, że do twarzy jej w tej fryzurze. Okazja przepada, kiedy Rose dodaje:

- Z każdym popełnianym występkiem wydajesz się coraz ładniejsza. Jesteś niczym Dorian Gray, prawda, Lucy?

Uśmiecham się spokojnie.

- Wolałabym nie być obiektem twoich drwin po wsze czasy, Rose. Nie sądzisz, że powinniśmy porozmawiać o tym, co wiesz?

- A co tu jest do omawiania? Popełniasz cudzołóstwo. Normalka.

Choć słowa Rose są wojownicze, zauważam, że ściszyła głos i podczas wygłaszania swojej zjadliwej uwagi rozgląda się z niepokojem na prawo i lewo. Nie chce, żeby inni rodzice wiedzieli o moim haniebnym występku - jestem w końcu jakoś z nią związana. Pociesza mnie ta jej konwencjonalność. Rose uśmiecha się do dziecka, które częstuje się ostatnią babeczką, po czym odstawia talerz na stół.

Krzyżuje ramiona na swoich olbrzymich piersiach.

- Układ sił się zmienił, prawda, Lucy? - mówi. Wpatruję się w nią. Nie rozumiem w jaki sposób. - Choć raz to ja sprawuję kontrolę, to ja rozdaję karty, a ty czekasz, co ja zrobię.

Ja czekam, żeby się przekonać, co ona robi, ale nic się nie zmieniło. Całe moje życie przebiega w cieniu Rose. Czy Peter oświadczy się Rose? Czy zostawi Rose? Czy Peter oświadczy się mnie, po Rose? Czy kupimy dom niedaleko Rose? Czy pošlemy naszą córkę do szkoły, którą wybrała Rose? I tak w kółko.

- Będę szczerą, cieszy mnie to — oświadcza.

- Nie wątpię - przyznaję.

- Nigdy nie pomyślałaś o mnie nawet przez chwilę, Lucy, i czuję się świetnie teraz, kiedy m u s i s z myśleć o mnie. Załóż się, od wielu dni nie myślisz o niczym innym, tylko o mnie.

Rose jest ze zrozumiałych względów podekscytowana, ale mimo zapewnień, że cieszy ją ta sytuacja, sprawia wrażenie raczej rozgorączkowanej niż uszczęśliwionej. Bycie paskudną jej nie pasuje. Najgorsza obelga wobec niej to nuda.

— Czy tak właśnie sądzisz? Że mało o tobie myślę? - pytam.
- Od wielu lat rzadko myślę o czymkolwiek innym.

Patrzy mi prosto w oczy, próbując ustalić poziom mojej szczerości. Wytrzymuję jej spojrzenie. Mówię prawdę. Mimo wszystkich swoich wad Rose nie jest głupia. Z rezerwą rozważa to, co właśnie powiedziałam.

- Jesteś koszmarna. Zniszczyłaś wszystko swoją chciwością i nieustępliwym egoizmem. Ukradłaś mojego męża i rozbiłaś moją rodzinę, i wygląda na to, że nawet to ci nie wystarczyło - syczy gniewnie.

Muszę przyznać, że podziwiam jej obcesowość.

Obie mamy świadomość, że to ostateczna strzelanina. Już od dawna się na nią zanosilo. Właściwie to czekam z niecierpliwością na odrobinę porządnego obrzucania się błotem. Zawsze miałam Rose za złe jej obłudne pogodzenie się ze zdradą Petera i moją. Jej pozorna nieśmiałość i uczynność nigdy nie wydawały się prawdziwe. To pewne, że musiała być na nas wściekła. Nieuzewnętrzniecie tego wydaje się tchórzostwem.

Zerkam na zegarek. Jasełka mają się rozpocząć za piętnaście minut. Bez względu na to, jak bardzo się boimy i nie znosimy nawzajem, jak bardzo jesteśmy zdesperowane, żeby „wszystko wygarnąć”, żadna z nas nie chce przegapić przedstawienia. Bliźniacy są wieśniakami, Auriol drzewem i obie uważamy, że nasze dzieci zostały obsadzone w niewłaściwych rolach, i dlatego też wymagają od nas jeszcze większego wsparcia.

Rose prawdopodobnie dokonuje takich samych kalkulacji. Podejmuje decyzję, że albo jej złości wystarczy na niecałe piętnaście minut, albo że nie może czekać ani chwili dłużej, żeby zmarnować mi życie, ponieważ każe mi iść za sobą do jednej z klas, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Kiedy już sadowimy się między małym stolikiem i krzesłkami, farbkami i plasteliną, oznajmiam:

— Nie mam romansu z Joem, jeśli tak właśnie myślisz.

— Nie wiem, co myśleć. On powiedział, że masz.

Mogłabym wykorzystać to szczere wyznanie Rose. Widać, że ma wątpliwości co do tego, czy Joe powiedział prawdę. Nie mam czasu na to, żeby ustalić, jak dobrze się znają i w jakich okolicznościach doszło do wymiany informacji. Teraz nie ma to jednak znaczenia. Mogłabym się tego wyrzec, oddając jej nawet w ten sposób przysługę. Ale w wypieraniu się swoich wykroczeń jest coś tak strasznie podłego, prawie tak, jakby się je popełniało po raz drugi. Nie mogę tego zrobić.

Poza tym nie mam za bardzo okazji, żeby to zrobić. Wygląda na to, że Rose ma sześć lat żali do złożenia pod moimi drzwiami i tylko piętnaście minut, aby to uczynić. Nie marnuje ani sekundy.

- Czy masz w ogóle pojęcie, co ty zrobiłaś, Lucy?

Wpatruje się w rzędy tac, które skrywają dziecięce książki, puszki z kredkami i przekąski. Zastanawiam się, czy ona naprawdę oczekuje ode mnie odpowiedzi.

- Myślę, że tak.

-Wątpię. Ukradłaś mi męża, a tym samym pośrednio moje najlepsze lata. Zmarnowałam na Petera moją młodość. Ukradłaś moje wspomnienia i znaczącą część mojej przyszłości. Pozbawiłaś moje dzieci prawa przysługującego z urodzenia - zaangażowanego, przebywającego w pobliżu ojca. Pozbawiłaś mnie mojej rodziny, a ja chciałam mieszkać na wsi, wśród polnych kwiatów, ptaków, nawet zaskrońców. Ale jestem uwięziona tutaj, w Londynie, pośród smogu i tandety.

- Rose, mieszkasz w Holland Park, nie masz na co narzekać.

- Mieszkamy wygodnie i gdyby życie w Londynie było tym, czego pragnę, wtedy nie miałabym się na co skarżyć, ale nie jest. Chciałam, żeby ich dzieciństwo polegało na przygodach, odkryciach i zachwycie, a nie lekcjach pianina i wynikach testów.

Jestem zaszokowana jej słowami. Zawsze myślałam, że Rose uwielbia surowość bycia mamą Alfa w centrum Londynu. Sądziłam, że lubi być określana przez pryzmat liczby zajęć

pozalekcyjnych, które jest w stanie wtłoczyć do grafików swoich dzieci.

- Nie znoszę tego, że to ty zdecydowałaś, jak i gdzie żyją moi chłopcy — dodaje.

- Ja tego tak nie postrzegam. Jest dokładnie na odwrót.

- Muszę zostać w pobliżu Petera, ale Peter nie znajduje się w tym samym domu, ponieważ zostawił nas dla ciebie. Nie możemy spakować manatków i wyjechać do Australii czy choćby do North Yorkshire. Jestem odpowiedzialna za utrzymanie między nimi relacji. Relacji, którą zniszczyłaś. Nie sądzę, abyś przerwała na chwilę i zastanowiła się nad tym, kiedy ścierałaś majtki przed moim mężem, prawda?

Wzbiera w niej coraz większy gniew. Gorączkowo szukam w myślach czegoś, co mogłoby ją udobruchać.

- Przynajmniej możesz siedzieć w domu i cieszyć się swoimi dziećmi. Ja muszę chodzić do pracy i nie możemy sobie także pozwolić na czwórkę dzieci, ponieważ utrzymujemy was.

- Nie oddajecie mi tym żadnej przysługi, to po prostu minimalne wymagania prawne. Poza tym bywa, że bardzo bym chciała kupować wytworne garsonki i wystawać obok automatu do kawy.

- Moja praca wymaga czegoś więcej, i ty dobrze o tym wiesz.

- Tak, i uwielbiasz swoją pracę i za żadne skarby świata nie chciałabyś zostać w domu z Auriol. Ty nawet nie lubisz dzieci, ale się upierałaś, żeby mieć córkę, która powinna być moja.

To oskarżenie aż do niedawna było prawdą. Nie oczekuję od Rose, żeby uwierzyła w moją zmianę poglądów albo ją zrozumiała, nie zaprzeczam więc. Poza tym nie mam takiej możliwości, gdyż zdążyła się nieźle rozpędzić.

- I to, co mi zrobiłaś, Lucy, nie jest jedynie przeszłością, wiesz? Nadal mnie to rani. Czy wiesz, że Sebastian zapytał mnie kiedyś, czy mógłby mieszkać z tatą? Moje serce pękło wtedy na milion małych kawałków, ale powiedziałam, że tak, jeśli tego

naprawdę chce, i zapytałam dlaczego. Odparł, że chciałby, ponieważ ty i jego ojciec pozwalacie mu przez cały dzień grać na konsoli i nigdy nie każecie odrabiać pracy domowej. - Rose patrzy na mnie z pogardą. - W tamtej chwili zdecydowanie nie nawidziłam Petera. Często zniża się do najgorszych sztuczek, pozwalając bliźniakom robić to, na co mają ochotę, oglądać telewizję i jeść lody, nie pilnując stałych godzin pójścia spać i mycia zębów. W pewnym sensie to właśnie wydaje się większą zdradą niż pieprzenie się z tobą. Widziałam twoje zdolności rodzicielskie. Wiem, że oboje idziecie po linii najmniejszego oporu. Armia niań, niekończące się smakołyki, dyscyplina na poziomie zerowym. Nie obchodzi was to aż tak, żeby angażować się w wychowywanie Auriol. Nie obchodzi aż tak, żeby mówić „nie”, i to ja muszę po was sprzątać. Ale wszystko to byłabym w stanie zaakceptować, gdybyś go kochała.

Rose drży. W klasie jest zimno, ale wydaje mi się, że trzęsie się z frustracji, wściekłości czy rozczarowania - burzy emocji - a nie z powodu niskiej temperatury. Ale nie szlocha ani nie krzyczy i nagle uderza mnie godność jej milczącego cierpienia. Nie wydaje się już tchórzliwa ani nieśmiała. Nie uważam jej drżących ramion za absurdalne, są niemal szlachetne. Czuję wobec niej szacunek. Wiem, dlaczego mój ukochany ożenił się z nią. Wiem, dlaczego moja najlepsza przyjaciółka wznosi peany ku jej czci. Wiem, dlaczego moje dziecko lubi przebywać w jej towarzystwie.

Zawsze wiedziałam. W tym tkwił mój problem.

- Naprawdę kocham Petera - oświadczam. Trochę niemądre wydaje się mówienie czegoś takiego pośród tych wszystkich dzieciennych książeczek i tabliczek mnożenia. - Kocham go równie mocno, jak kiedyś ty, być może nawet mocniej. Kto wie? Jak można zmierzyć i porównać miłość?

- W takim razie, dlaczego przespałaś się z kimś innym?

Rose patrzy mi prosto w oczy i zadaje to pytanie bez złośliwości czy gniewu, jest po prostu zdumiona. Kiedy Peter na-

leżał do niej, bez wątpienia nigdy nie odczuwała niezadowolenia. Nigdy się nie wahała, nie popełniała błędów ani nie czuła się sfrustrowana. Robiła ciasta i inne słodkości.

Słuchanie jej tyrady było bolesne. Nie dlatego, że czułam się niesłusznie szkalowana, ale dlatego, że znajdowanie się tak blisko popekanych marzeń jest czymś bardzo smutnym. Jej lista kłopotliwych konsekwencji, afrontów, obelg i bólu, które spowodowała moja pogoń za miłością, jest okropna. Pragnę przeprosić ją za to, że musiała przeżyć tyle udręki po to, żebym ja mogła mieć Petera, i pragnę przeprosić ją za to, że nie doceniałam Petera i Auriol wystarczająco mocno, żeby powstrzymać się przed uprawianiem nic nieznaczącego seksu z obcym mężczyzną i przysporzeniem jej kolejnych kłopotów, ale nie mogę. Nie mogę powiedzieć jej o moich frustracjach, zazdrości i niezadowoleniu, które pchnęły mnie do tak ekstremalnego działania, ponieważ to wszystko, od czego ja chciałam uciec, jest tym, czego ona z kolei pragnie. Jeśli jej powiem, że zacisze domowe wysysało ze mnie życie, jeszcze bardziej ją zranię.

 Nie jestem aż taka zła.

 Wyjaśnienie moich czynów nie może wydawać się jedynie usprawiedliwieniem, ponieważ nic nie może usprawiedliwić tego, że zdradziłam Petera. Nie mogę oczekiwać od tej kobiety współczucia czy solidarności, ale jestem jej coś winna.

 - Trudno być drugą żoną - przyznaję. - Trudno jest ci dorównać. - Zerkam ukradkiem na Rose i widzę, że jest zdumiona moim wyznaniem. - Naprawdę bardzo się starałam.

 - I twoje starania zawsze były tak cholernie rewelacyjne, prawda, Lucy?

 - Nie w kwestii bycia matką. Teraz naprawdę się staram, Rose. Chcę być lepszą mamą i żoną. Naprawdę. Nigdy nie uda mi się to tak dobrze jak tobie. - Rose posyła mi wzburzone spojrzenie. Spieszę, żeby ją uspokoić. — Nie dlatego, że w twoim matkowaniu jest coś złego, właściwie to wprost przeciwnie. Byłam, jestem o ciebie zazdrosna. Nigdy nie będę tak dobra

jak ty, w taki sam sposób. Ale próbuję znaleźć własny sposób. Naprawdę próbuję. Rozpoczynam nowy rozdział. I to nie jest pora, żeby rozwalić moją rodzinę niczym domek z kart. Uprawiałam seks z innym mężczyzną. To przeszłość. On odszedł. To nic nie znaczyło.

- To może znaczyć wszystko.

-Tylko wtedy, jeśli powiesz Peterowi. W przeciwnym razie nadal nic nie znaczy. Proszę, nie mów mu, Rose.

- I to tyle, tak, Lucy? Twój nowy rozdział będzie oparty na kolejnych sekretach i kłamstwach. Jeśli nic nie powiem, ten problem nie odejdzie, będzie jedynie czekał w uśpieniu.

- Chyba nie mam wyboru, Rose.

- Ależ masz. Wiesz o tym. Zawsze ma się wybór.

Odzywa się dzwonek, sygnalizując, że przedstawienie zaraz się zacznie. Obie kierujemy się w stronę drzwi. Nie wiem, czy powie Peterowi o Joem, czy nie, ale w tej akurat chwili mała dziewczynka ubrana w zielony golf, brązowe rajstopy i z dwiema gałęziami w rączkach musi zobaczyć mnie na widowni, nie możemy więc rozmawiać ani chwili dłużej.

WTOREK, 12 GRUDNIA

ROSE

Oczywiście, że płaczę. Występ chłopców w rolach wieśniaków jest raczej symboliczny, ale to nie powstrzymuje wielkich łez przed spływaniem po moich policzkach i skapywaniem na kolana. Pociesza mnie fakt, że na widowni mało kto nie uрониł choćby jednej łzy. Niewielu rodziców jest odpornych na widok poważnych dzieci śpiewających na całe gardło *Dzisiaj w Betlejem*.

Czuję się tak, jakbym w ciągu ostatniego miesiąca została oblana wodą i wyżęta częściej niż stara skarpetka. Czułam przynębienie, nadzieję, radość, miłość, gniew i zaledwie dziesięć minut temu coś ocierającego się o współczucie. Żal mi Lucy. Przedziwne, prawda? Ona jest zazdrosna o mnie. Cóż za odkrycie. Ta wiedza przesącza się do mojej świadomości i chroni mnie w sposób, w jaki wyższe uczucia nie były w stanie. Nigdy nie czerpałam tyle pociechy z ugryzienia się w język i zachowania szacunku dla samej siebie. Nigdy tak się nie czułam, gdy przyjmowałam postawę moralizatorską. Czy to nie dziwne, że coś tak pośledniego jak zazdrość Lucy potrafi mnie ułagodzić? Okazuje się, że nie jestem taka wspaniała, za jaką się zawsze uważałam. Współczucie wobec niej jest dla mnie swego rodzaju bonusem. Trochę kręci mi się w głowie.

Ale mimo współczucia nie lubię jej. I absolutnie nic nie jestem jej winna. Moje uczucia są pogmatwane, nie zaskakuje mnie

więc to, że czerwone usteczka sepleniące wyćwiczoną linijkę, że „Nie ma miejsca w gospodzie”, całkiem dobra Fran odgrywająca zmęczoną Maryję i przerażeni pastuszkowie stający twarzą w twarz z aniołem Gabrielem, sprawiają, że zaczynam pochlipywać.

Zaskoczeniem jest to, że zapomniałam chusteczek. A niech to. Zawsze noszę ze sobą małą paczkę, jak mogłam być tak niefrasobliwa? Cicho pociągam nosem, mając nadzieję, że nie zwracam na siebie zbyt wielkiej uwagi. Okazuje się, że tak, kiedy nagle w moim kierunku zmierzają nie jedna, lecz dwie chusteczki.

Przede mną siedzi Peter. Odwraca się i wyciąga chusteczkę. Byłby to symboliczny gest, gdyby była to jedna z chusteczek, którą podarowałam mu w imieniu chłopców na ich pierwszy Dzień Ojca. Kupiłam je w BHS - ta, którą mi podaje, jest od Paula Smitha. Druga chusteczka podawana jest z prawej strony. Odwracam głowę, żeby się przekonać, kto jest taki miły. Craig.

Wcześniej nie zauważyłam, że wślizgnęłam się na miejsce tuż obok niego. Ponieważ Lucy i ja prowadziłyśmy zagorzałą dyskusję w jednej z klas, o mały włos nie przegapiłyśmy początku przedstawienia. Zarumieniona wbiegłam na aulę i zajęłam pierwsze wolne miejsce. Ciekawe, czy on uważa, że zrobiłam to celowo. Nie mam pojęcia, czyją chusteczkę powinnam wziąć. Nie istnieją zasady etykiety obowiązującej w takiej akurat sytuacji. Biorę obie i głośno wydmuchuję nos w każdą po kolei.

Kiedy przedstawienie dobiega końca, dzieci ustawiają się w nierównym szeregu, żeby następnie wrócić do swoich klas. Kilka odważnych dzieciaków wyłamuje się i biegnie na widownię, żeby zebrać od rodziców pochwały i uściski. Jestem zaskoczona tym, że wśród nich są Henry i Sebastian. Rzucają się na mnie i wpychają każdy pod jedno ramię.

- Dobra robota, chłopcy. Gwiazdorski występ - wyrzucam z siebie.

Mam nadzieję, że nie widzą, że płakałam. Poczuliby się skrępowani i ten spontaniczny objaw uczuć natychmiast dobiegłby końca.

- Och, mamó, musieliśmy robić nic - oświadcza Henry.
- N i e musieliśmy nic robić - poprawiam.
- Cześć, tato - mówi lekko Sebastian, kiedy dostrzega Petera.

- Wasza mama ma rację, byliście świetnymi wieśniakami. Całe mnóstwo realizmu, kiedy udawaliście, że śpicie - mówi Peter, puszczając oko. — Doskonałe kostiumy - dodaje.

- Mama je zrobiła - wyjaśnia Sebastian. - Nawet sandały. Są superbomba, nie?

- Superbomba - potwierdza Peter.

Czuję się zakłopotana tym nagłym uznaniem. Chłopcy muszą naprawdę pokładać we mnie nadzieję na świąteczne prezenty i odrzucać możliwość, że to Mikołaj przyniesie im to najnowsze ustrojstwo o nazwie Hot Wheels. Odganiem ich i każę wracać do klasy, żeby się przebrali. Odwracam się do Petera.

- Mogę zamienić z tobą słówko? To nie potrwa długo.

Unikam spojrzenia Lucy.

Idziemy korytarzem, oddalając się od hałasu panującego na auli. Wielu rodziców załapuje się na drugą rundę babeczek i grzanego wina. Inni śpieszą w stronę drzwi, chcąc wrócić do pracy, zanim przełożeni zauważą ich nieobecność.

Gdy idę wzdłuż korytarza, udekorowanego ręcznie robionymi papierowymi łańcuchami i płatkami śniegu, zastanawiam się, w jakie słowa ująć to, co muszę powiedzieć.

Ludzie myślą, że jest ciężko, kiedy zostaje się z dwójką płaczących dzieci, które dopiero co zaczęły regularnie sypiać, ale jeszcze nie siadają na nocniku. To nie to było trudne - zresztą od ich narodzin Peter i tak rzadko bywał w domu. Żołądkował się, kiedy musiał zrobić choćby coś drobnego. Jeśli wykapał ich dwa razy w tygodniu, spodziewał się medalu. Trudny nie był fakt, że mnie nie chciał — nawet z tym nauczyłam się żyć. Trudne było wyjaśnienie dzieciom, dlaczego Peter odszedł. Zaczęli zadawać to pytanie, gdy mieli cztery lata. Wiek Auriol. Wrócili pewnego dnia ze szkoły, zdumieni odkryciem, że większość

matek i ojców mieszka w tym samym domu. Pytali raz po raz, dlaczego tatuś odszedł.

Patrzę na Petera, który z uwagą przygląda się rysunkowi rudzika. Ciekawe, jak on by odpowiedział na to pytanie. Jaka jest właściwa odpowiedź? Ponieważ nie potrafił utrzymać siusiaka w spodniach? Obawiam się, że nieco obcesowa jak dla czterolatków.

Powiedziałam im, że stało się tak dlatego, że zakochał się w Lucy, a Lucy zakochała się w nim. Posunęłam się nawet do tego, że wymieniłam im wiele zalet Lucy, żeby to wydawało się naturalne i nie czuli do swojego taty odrazy. Ale choć starałam się być ostrożna, nie dało się powstrzymać bólu i strachu.

- Na pewno mnie nie lubi - powiedział przestraszony Henry.

Jego małą buźkę wykrzywił ból i konsternacja.

- Nie, kochanie, on jedynie niewystarczająco mocno lubił mamusię.

To była najbardziej ugrzeczniona odpowiedź, jaka mi przychodziła do głowy.

Sebastian zaczął się śmiać.

- Chyba żartujesz, mamo.

Henry odwrócił się do mnie. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie i zdumienie.

- Ale to niemożliwe.

To właśnie jest miłość.

Weekend po weekendzie błagali mnie, żeby nie musieli iść do Petera. Narzekali, że to nudne. Pakowałam ich ulubione zabawki i upierałam się, żeby szli. Dzwoniłam do Petera i mówiłam mu, by zabrał ich do cyrku albo wesołego miasteczka, ponieważ wiedziałam, jak desperacko tego pragną. I siedziałam sama, podczas gdy Peter i Lucy bawili się w szczęśliwą rodzinę, obsadzając w rolach drugoplanowych moich synów. Wciąż przypominałam sobie o tym, jak ważne jest, żeby chłopcy budowali więź ze swoim tatą.

To właśnie jest miłość.

Jest mnóstwo *rzeczy* dotyczących posiadania dzieci, o których nikt ci nigdy nie mówi. Wiele świeżo upieczonych matek ma za złe to, że nikt ich nie ostrzegł. Chodzą po swoich domach z niemowlęciem w ramionach, ubrane w pobrudzone wymiocinami koszule nocne, z urazą lamentując, że nikt ich nie ostrzegł.

Niektóre świeżo upieczone mamy tworzą teorie spiskowe na temat istnienia rodziców zazdroszczących bezdzietnym parom wolności i zakładają, że tacy rodzice celowo zatajają informacje po to, by zwabić innych w swoje umordowane szeregi. Ja tego nie kupuję.

Moja teoria jest taka, że ludzie posiadający dzieci po prostu nie mają czasu, żeby ludziom bezdzietnym mówić *w s z y s t k o*. Podczas dni, gdy ich dziecko porządnie spało, jadło i gruchało, mają szklane spojrzenie, przypominające żony ze Stepford, i mruczą: „Jest cudownie”. Ale nie podają żadnych prawdziwych spostrzeżeń na temat tej cudowności.

Podczas dni, gdy niemowlęta nie chciały spać, starsze dzieci nasusiały na dywan i potłukły porcelanę sąsiadów, kiedy dzieci w wieku szkolnym przeklinały, pluły czy po prostu odmawiały stosowania się do jakichkolwiek zasad, rodzice kręcą znużonymi głowami i mruczą: „To wszystko zmienia, przekonacie się”.

Ale w większość dni mamy tak naprawdę nie mają czasu, żeby przejechać grzebieniem po włosach, i nie można od nich oczekiwać, że wykroją godziny potrzebne do pełnego zaznajomienia przyszłych rodziców z tym, w jaki sposób i do jakiego stopnia zmieni się ich życie.

Rzeczywiście, nikt cię nie ostrzega, że przez około pięć lat po urodzeniu dziecka znalezienie czasu na pójście *s a m e m u* do łazienki będzie uznawane za jeden z większych luksusów. Nikt ci nie mówi, że solidne nianie są absolutną rzadkością. Albo że będziesz posłusznie biegać po schodach trzydzieści razy w ciągu jednej nocy, żeby doglądać dziecka z gorączką, mimo że należysz do tego rodzaju kobiet, które mają problem z zapi-

saniem się na zajęcia fitness, nawet tych prowadzonych przez Georgea Clooneya.

Bycie matką oznacza życie pełne sprzeczności. Nikt ci nie mówi, że dzieci mają małe dziwactwa. Małe pacnięcie w głowę lub sposób trzymania konewki potrafi doprowadzić cię do łez szczęścia.

Nikt ci nie mówi, że ty sama znikniesz. Że nigdy nie byłaś bardziej ważna. Że będziesz się czuła lepka, niechlujna i będziesz używana jako ludzka trampolina, ale że twoje ramiona będą wydawały się puste, jeśli kiedyś rzeczywiście uda ci się uciec do sklepu albo biura. Umarłabyś dla dzieci. Żyjesz dla nich. Zabierają każdą chwilę twojej świadomości i podświadomości i nie tylko to.

Co Peter teraz do mnie mówi?

- Kostiumy chłopców są świetne. Może za rok pomogła-byś przy kostiumie Auriol? Lucy nie umie szyć.

Ale ma tupet. Patrzę na człowieka, który kiedyś był dla mnie wszystkim, moim początkiem i końcem, i niemal wybucham śmiechem. Wydaje się rozluźniony i zycziwy. Naprawdę nie uważa, żeby było coś niestosownego w proszeniu mnie o pomoc w uszyciu kostiumu dla Auriol, i być może nie ma. Dzisiaj rzeczywiście męczyła się z tymi olbrzymimi gałęziami, aż mi jej było szkoda. Ja bym przyszyła do jej golfu liście z materiału.

- Okej - kiwam głową.

I to nie boli. Pomoc Auriol, a tym samym Lucy, nie boli mnie. Właściwie to czuję się z tym dobrze. Podaję mu jego designerską chusteczkę.

- Zostaw ją - mówi.

„Przynajmniej dopóki jej nie wypierzesz” - to właśnie znaczą jego słowa. Uśmiecham się w duchu. Peter zawsze był nieco zbyt grymaśny i pedantyczny. To mnie nie boli, lecz bawi. I czuję nawet ulgę, że nie żyje już w świecie, w którym chusteczki z BHS były uważane za nie na poziomie. Szczerze mówiąc, bywało, że snobizm Petera nieco mnie irytował.

Odgarnia włosy z oczu. To znajomy gest. Bardzo lubię Petera. W tym samym momencie jestem na niego trochę zirytowana i bardzo go lubię. Nie jestem na niego wściekła i go nie Kocham. Czuję, jak okowy urazy, które mi przeszkadzały, opadają z moich kostek i nadgarstków. Czuję się lekka jak piórko.

- O czym chciałaś ze mną porozmawiać? — pyta.

- Zastanawiałam się, czy nie miałbyś nic przeciwko, gdybym w Boże Narodzenie zabrała chłopców do północnego Londynu. Daisy chce być w tym roku gospodynią.

- O, niezłe odejście od tradycji. Wiem, że uwielbiasz spędzać ten dzień we własnym domu.

- Tak, ale Daisy naprawdę tego pragnie. Myślę, że ma dość czucia się jak małe dziecko i chce pokazać mamie i tacie, że ona także potrafi przygotować pyszny obiad. Zmiany bywają czymś dobrym.

- Cóż, mnie to zupełnie nie przeszkadza. Chłopcy spędzą tam superdzień.

- Jeśli chcesz, możecie wpaść po południu, żeby się z nimi zobaczyć.

- To chyba nie jest zbyt dobry pomysł. Daisy nie zechce gościć Lucy w swoim domu.

- Dopilnuję tego, żeby Daisy była uprzejma. - Nie wygląda na przekonanego. - Dopilnuję tego, żeby Lucy została tam ciepło przywitana, choć wcale na to nie zasługuje - dodaje, chichocząc.

Peter uśmiecha się, doceniając mój żart.

- Pomyślimy o tym. Dzięki.

- Myślę, że czas, żebyśmy wszyscy ruszyli do przodu ze swoim życiem - mówię.

Tym razem w moim głosie nie słychać śmiechu. Jestem śmiertelnie poważna.

- Świetnie to słyszeć, Rose.

- Przeszłość to obcy kraj. Przyszłość wydaje się bardziej przyjazna.

- Wypiłeś za dużo grzanego wina?

Peter jest bardzo angielski i zawsze walczył z moim amatorskim filozofowaniem. Dlatego właśnie już od dawna tego nie robiłam. Ale uśmiecha się do mnie i widzę w nim wystarczająco szacunku do mnie i ciepła, żebym nie musiała głupio się czuć.

- Lepiej wróć do Lucy, będzie się zastanawiać, gdzie się podziałam.

W tej sekundzie jak na zawołanie na korytarzu pojawia się Lucy.

- Hej, skarbie, właśnie czyniliśmy plany na Boże Narodzenie - mówi Peter, swobodnie obejmując ją ramieniem. Całuje ją w policzek. Sprawdzam. Czuję coś? Zero urazy. Zero bólu. W ogóle nic. - Rose zaprosiła nas, żebyśmy po południu wpadli na godzinkę do Daisy.

Lucy mierzy mnie nerwowym spojrzeniem.

- To miło - mruczy.

- Właśnie rozmawialiśmy o tym, że pewne rzeczy należą do przeszłości i lepiej, że tak jest - mówię do niej.

To nasza chwila. Wymieniamy spojrzenia konspiratorek i myślę, że ona rozumie, że ma zapewnione moje milczenie, dlatego właśnie czymś nieco dziwnym jest to, że odwraca się do Petera i mówi:

- Kochanie, masz czas, żeby zamiast wracać do pracy, iść do domu na obiad? Muszę ci coś ważnego powiedzieć. Musimy porozmawiać.

- Zostawiam was z tym - mruczę i udaję się z powrotem do auli, mając nadzieję na babeczkę i zasłużony kubek grzanego wina.

Nie mam pojęcia, czy Lucy i Peter wrócą do domu, żeby porozmawiać szczerze, czy też obleci ją strach i zamiast tego będą uprawiać szaleńczy seks. Ważne jest to, że nie mam nic przeciwko. To nie moja sprawa. Myślę, że nic im nie będzie. I nie tylko dlatego, że uważam ich za typ ludzi, którym nigdy nic nie jest, ale dlatego, że według mnie są sobie przeznacze-

ni, i myślę, że oni też o tym wiedzą. A miłość jest wyjątkowa w swojej zdolności wybaczenia. Jak powiedzieliby Sebastian i Henry: nieważne.

Mam ważniejsze sprawy do załatwienia. Po pierwsze, muszę zadzwonić do Daisy i powiedzieć jej, że wszyscy zjawiamy się u niej na bożonarodzeniowym obiedzie, a potem muszę odnaleźć swoją przyszłość.

EPILOG

WTOREK, 12 GRUDNIA

CRAIG

Rose trzyma moją chusteczkę. Wygląda na niespokojną, lecz podekscytowaną. Cała lśni. Nie chodzi mi o jej policzki i czoło, choć rzeczywiście błyszczą (przynajmniej raz w szkolnej auli jest ciepło i pełno w niej rozgorączkowanych rodziców), chodzi mi o to, że jej oczy lśnią. Uważam, że Rose ma wiele zalet, dotyczących zarówno wyglądu, jak i charakteru. Kocham jej życzliwość, jej śmiech i rude włosy, ale chyba najbardziej jej oczy. Są takie piękne. Są bystre, błyszczące i figlarne. Łatwo przeoczyć figlarność, ponieważ Rose chce, żeby wszyscy uważali ją za nadzwyczaj rozsądną. Ale ja nie dam się oszukać. Wiem, że kiedyś dobrze się bawiła podczas wieczoru karaoke.

Biorę od niej chusteczkę i wciskam ją do kieszeni dzinsów.

Jest skruszona.

- Przepraszam, trochę ją zabrudziłam. Szminka i smarki, dość paskudne połączenie, ale jeśli upierze się ją w gorącej wodzie, wtedy...

- Możliwe, że nigdy jej nie wypiorę, Rose. Może będę ją trzymał pod poduszką. - Wygląda na zaskoczoną. - Tylko żartuję - dodaję pospiesznie.

Uśmiecha się do mnie z ulgą. Rose i ja nie rozmawialiśmy od czasu wesela Toma. Ostatnie, co jej powiedziałem, to że za sześć miesięcy najpewniej będziemy razem wybierać ta-

petę. Mój Boże, ależ ja się zadreczałem tą uwagą. Nie miałem zamiaru jej odstraszyć i brzmieć jak jakiś prześladowca. Myślałem, że potrzebna jej pewność, że nie jestem jakimś nieodpowiedzialnym typem. Chciałem, żeby wiedziała, że uważam, że mamy wspólną przyszłość, a przynajmniej szansę na nią. Przez ostatni miesiąc nieustannie rozbieierałam nasze spotkanie na czynniki pierwsze, szczególnie zaś tę uwagę. Uznałem, że Rose sobie pomyślała, że jestem szalony i nadgorliwy, a już z całą pewnością płytki, niemądry i lubiący gładkie słówka. Ale ja nie kłamałem ani nawet niczego nie wyolbrzymiałem. Podczas wesela czułem taką bliskość z Rose. Myślałem, że istnieje między nami prawdziwy szacunek i że nasza rozmowa była zabawna i interesująca. Myślałem, że dobrze nam idzie. Ale potem ona zniknęła.

Przez ostatni miesiąc zastanawiałem się, jak najlepiej wyjaśnić to nieporozumienie. To straszne, że ona jest tak bardzo skrupowana, że nie śmie już pokazywać się w szkole. To jasne, że mnie unika, co pewnie jest już lepsze niż złożenie na mnie skargi zarządowi szkoły z powodu niestosownego zachowania, ale kiepskie to dla mnie pocieszenie. Gdyby rzeczywiście złożyła na mnie skargę, miałbym przynajmniej szansę znaleźć się blisko niej. Miałbym szansę powiedzieć jej, za jak wspaniałą kobietę ją uważam i jak bardzo mi jej brakowało przez ostatni miesiąc. Wcześniej nie miałem pojęcia, jak bardzo za nią szaleję.

Na Rose zwróciłem uwagę na długo przed tym, zanim John zapoczątkował kampanię znalezienia mi kobiety. Odkąd chłopcy zaczęli chodzić do szkoły, uderzała mnie jej pogodna natura i umiejętność radzenia sobie w każdej sytuacji. Podobał mi się jej styl bycia matką. Ma nieco staromodne podejście do macierzyństwa, ale potrafi być także nowoczesna. Widać, że chłopcy ją uwielbiają. Cieszy się popularnością wśród innych mam, i nauczycieli także, ponieważ choć jest zaangażowana w pracę każdego szkolnego komitetu, udaje jej się być dyskretną i pomocną, a nie arogancką czy apodyktyczną.

Podczas dnia sportu w zeszłe lato zaczęło do mnie docierać, że moje zainteresowanie Rose nie jest wyłącznie platoniczne. Przyłapałem się na tym, że wykręcam szyję, wypatrując jej przy każdej sposobności. Poczułem prawdziwe ukłucie rozczarowania w brzuchu, kiedy nie wygrała wyścigu matek, i rzeczywiste poruszenie nieco niżej, kiedy leżała na trawie, dysząc i śmiejąc się i próbując dojść do siebie po wyczerpującym biegu.

Zacząłem kręcić się przy szkolnej bramie w nadziei zamienienia z nią słowa czy dwóch. Byłem zawsze uradowany, widząc ją na zebraniach Komitetu Rodzicielskiego, na które zawsze czekałem z większą niecierpliwością niż na wycieczki po pubach i barach w towarzystwie Johna.

Jestem zażenowany tym, że podczas wesela przekroczyłem granicę i zniszczyłem naszą przyjaźń. Przez ostatni miesiąc nieustannie żałowałem, że nie pozwoliłem pozostać sprawom w stanie niezmienionym. Bycie już zawsze jej przyjacielem byłoby lepsze niż jej utrata. Ale potem usiadła obok mnie podczas jasełek i zacząłem się zastanawiać. Mieć nadzieję.

Pani Baker podeszła do mnie od razu po zakończeniu przedstawienia. Przyjąłem jej uśmiechy i gratulacje, od innych matek także.

- Zabiera pan Rose na przyjęcie bożonarodzeniowe w piątek? - zapytała mnie.

- Eee, cóż, nie. Nie planowałem prosić jej o to - wymamrotałem, okropnie skrępowany tym, że pani Baker poruszyła publicznie ten temat.

- Dlaczego nie? - zapytała.

- Nie sądzę, żeby Rose miała na to ochotę - przyznałem.

- Rose czasami nie wie, co jest dla niej dobre - stwierdziła pani Baker z nutką zniecierpliwienia w głosie. - Nasz wspólny przyjaciel, John, powiedział mi, że porzuciła pana na weselu. Zgadza się?

Poczułem na twarzy gorący rumieniec, ale udało mi się skinać głową.

- Powiedział, że był pan załamany. Zgadza się? - zapytała.
Dzięki, John, ale z ciebie kumpel. Ponownie kiwnąłem głową.

- Cóż, nie umiem wyjaśnić, dlaczego tak się stało. Ale wiem za to, że jest pan pierwszym mężczyzną, którym się zainteresowała od sześciu lat. Do odważnych świat należy, i w ogóle. Sugeruję, żeby jeszcze raz ją pan zaprosił.

- Naprawdę?

- Tak, i nie tylko dlatego, że John i ja jesteśmy zdeterminowanymi swatami. - Uśmiechnęła się do mnie szeroko.

- Dziękuję pani, pani Baker, za to, że porozmawiała pani o tym ze mną. Zastanowię się nad tym, co mi pani powiedziała.

- Koniecznie. - A potem dodała. - Proszę mówić mi po imieniu.

Connie Baker mogła coś opacznie zrozumieć. Bo w końcu jak mogę ufać zdaniu kobiety, która kiedyś szalała za Johnem Hardingiem? Ale sprawiała wrażenie szczerzej i zawsze istnieje możliwość, że się nie myli.

„Możliwość” to słowo i pojęcie, które bywa niedoceniane, ale dla mnie ma ono wielką moc.

Rose wpatruje się w sufit. Pewnie próbuje unikać w ten sposób mojego spojrzenia.

- Ładne dekoracje - stwierdza.

- Tak myślisz? Ja uważam, że zabrakło tutaj twojej ręki.

Patrzy na mnie i uśmiecha się nieśmiało.

- Jestem ci winna przeprosiny i wyjaśnienie.

- Wcale nie, zakładam, że nie lubisz tortu weselnego — uśmiecham się.

Co mogę zrobić innego poza żartowaniem z najbardziej upokarzającej chwili w moim życiu?

Rose odpowiada uśmiechem. Dużo się dzisiaj uśmiecha. Nie wygląda jak kobieta bojąca się dyrektora szkoły, który zamienił się prześladowcą. Nie wygląda jak kobieta, która mogłaby chcieć złożyć na mnie skargę, odrzucić mnie czy uciec.

- Martwiłaś się tym, że chłopcy nie zaaprobują naszego spotkania się?

Ryzykuję to twierdzenie. To jedna z wielu teorii, jakie miałem szansę stworzyć. Mam jakieś trzydzieści siedem innych, jeśli ta nie okaże się właściwa.

- Tak, ale nie dlatego wtedy wyszłam. Istniały pewne sprawy, z którymi musiałam się uporać. Także takie, którym musiałam dać odejść, zanim mogłabym zacząć coś nowego. Rozumiesz mnie?

Kiwam głową. Chyba tak. Chcę rozumieć.

- Już to zrobiłaś? - pytam.

Poprawiam okulary. Ustalenie, na czym teraz stoimy, jest ważne, tak bym mógł się przygotować na kolejne zniknięcie.

- Tak.

Rose ponownie się uśmiecha. Jej każdy uśmiech jest zachwycający.

- Być może mogłabyś mi o tym opowiedzieć przy kawie? Składam ostrożną propozycję. Wstrzymuję oddech.

- Nie, nie sądzę. - Ogarnia mnie rozczarowanie. Myślałem, że się zgodzi. A przynajmniej miałem taką nadzieję. Gorączkowo szukam w myślach pomysłu na pełne godności i szybkie wyjście z tej rozmowy. - Myślę, że powinnam ci to wyjaśnić przy drinku, w barze. Naprawdę modnym barze. Najlepiej koszmarnie drogim i mocno zatłoczonym. Chcę znowu czuć, że żyję. Ja stawiam. Jesteś wolny dziś wieczorem? - pyta Rose z szerokim i wesołym uśmiechem.

- Dziś wieczór, eee, może być. Uda ci się znaleźć kogoś do chłopców w tak krótkim czasie? - pytam.

- Myślę, że tak. Zrobimy to, Craig, zmarnowałam już wystarczająco dużo czasu.

A więc tak zrobimy.

Zrobimy to.